

ZDANIE

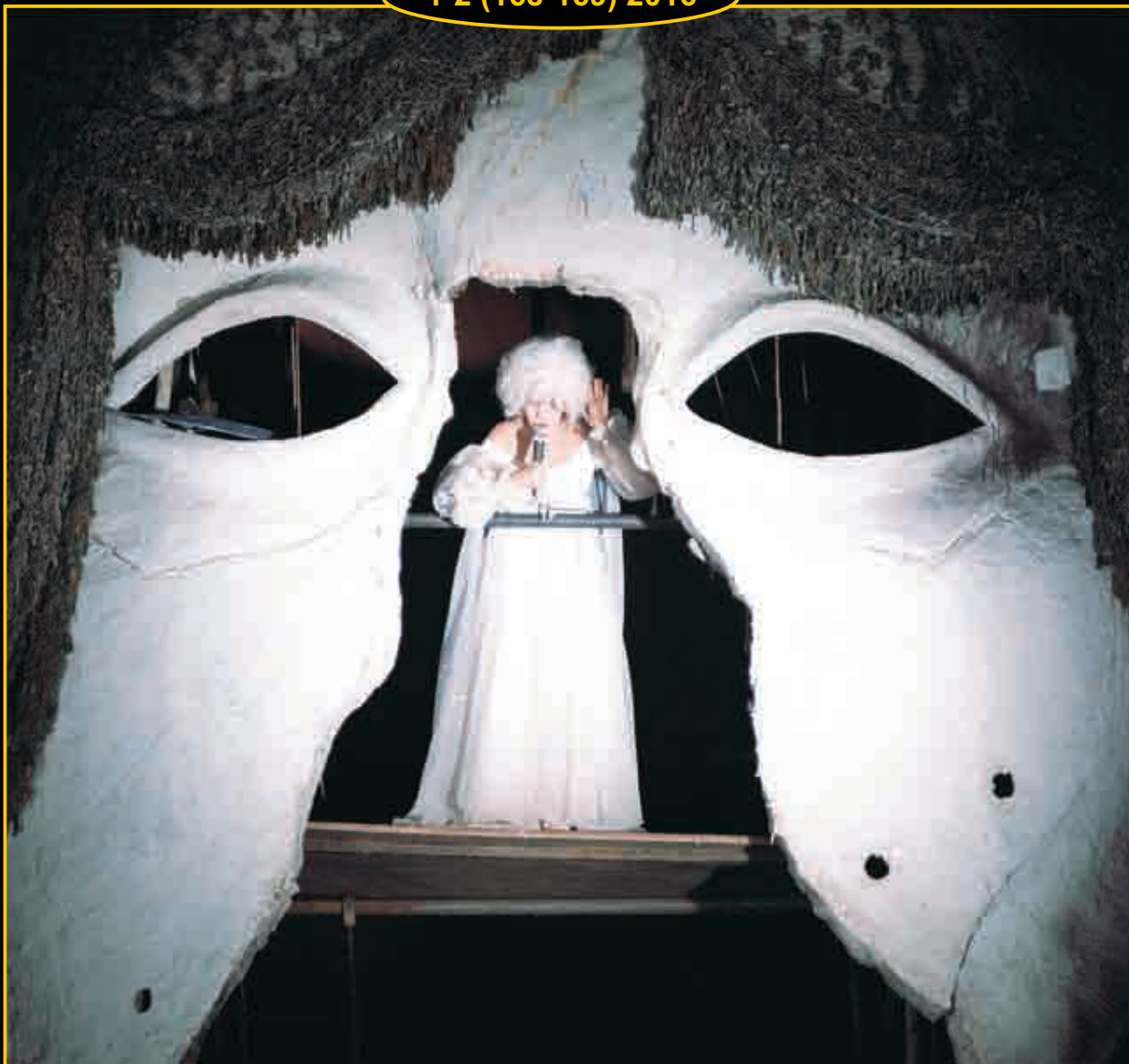
„Trzech na jednego”
z MARIANEM STĘPNIEM

A. Walicki, PRZYSZŁOŚĆ LEWICY. DIAGNOZY
I PROGNOZY.
KARTKI Z DZIENNIKA

A. Mencwel, „KOWADŁA” DLA MARIANA STĘPNIA
COKOLWIEK W ŚWIECIE JEST... I KRZYSZTOFA JASIŃSKIEGO.

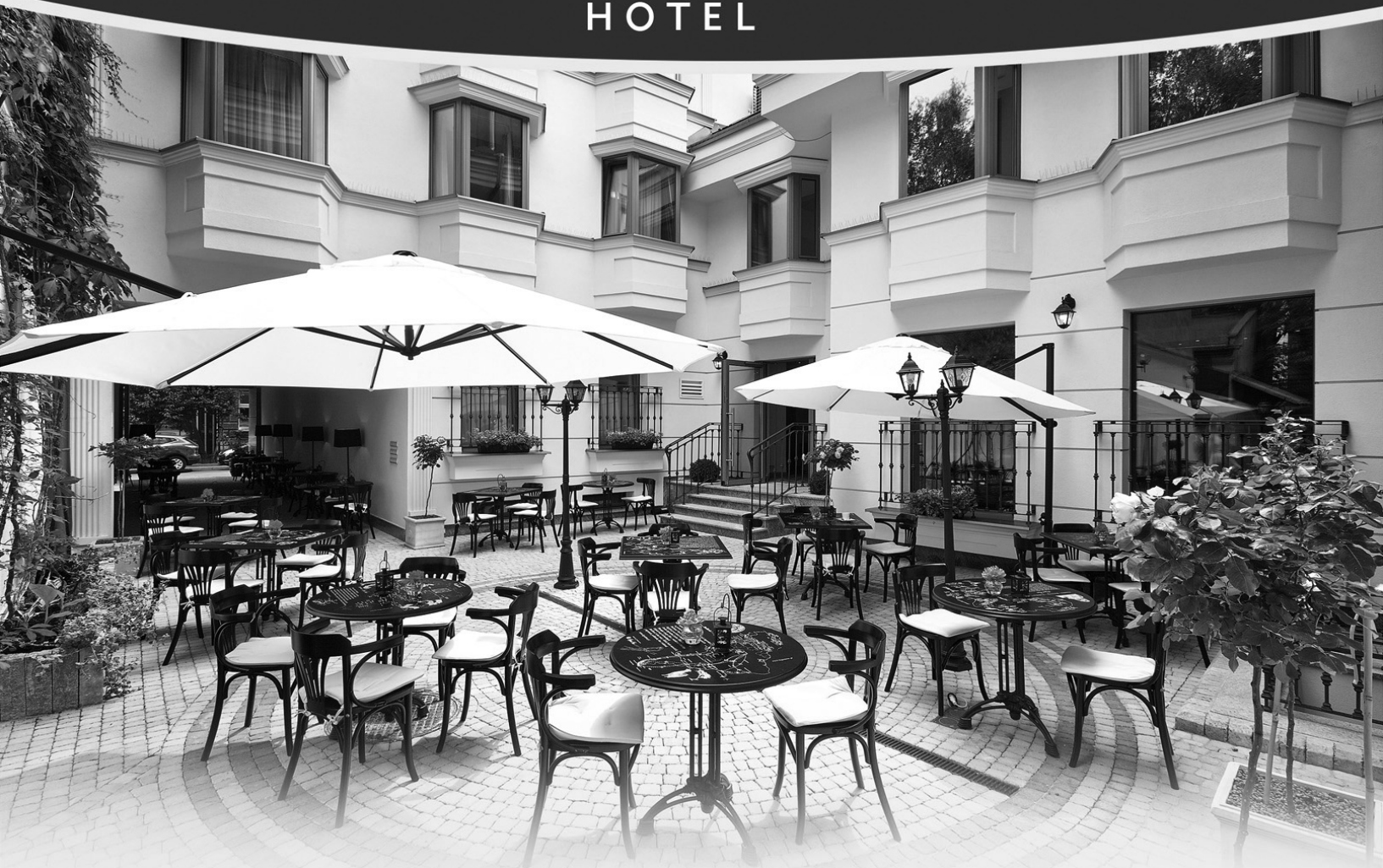
MICHAŁ JAGIEŁŁO (wiersze)

1-2 (168-169) 2016



Logos^{***}

HOTEL



NOWOCZESNY HOTEL USYTUOWANY W BEZPOŚREDNIM SĄSIEDZTWIE STAREGO MIASTA, REKOMENDOWANY PRZEZ POLSKIE ZRZESZENIE HOTELI. SPECJALIZUJE SIĘ W OBSŁUDZE TURYSTYKI INDYWIDUALNEJ, RODZINNEJ, BIZNESOWEJ I MOTYWACYJNEJ.

HOTEL:

- KOMFORTOWE POKOJE
- 2 SALE KONFERENCYJNE
- SAUNA
- MASAŻE RELAKSACYJNE LECZNICZE
- BEZPŁATNY INTERNET

RESTAURACJA:

- KUCHNIA FUSION I POLSKA
- KOMUNIE, CHRZCINY, BANKIETY
- ROMANTYCZNE KOLACJE
- OGRÓDEK LETNI LOGOS GARDEN
- DRINK – BAR

OFERTY SPECJALNE:

- KONFERENCJE I SZKOLENIA
- IMPREZY INTEGRACYJNE
- ZWIEDZANIE KRAKOWA
- ŚWIĘTA I FESTIWALE W KRAKOWIE
- POBYT DLA RODZIN Z DZIEĆMI



HOTEL LOGOS, UL. J. SZUJSKIEGO 5, 31-123 KRAKÓW, POLSKA

TEL. (+48) 12 631 62 00, FAX (+48) 12 632 42 10

E-MAIL: REZERWACJA@HOTEL-LOGOS.PL, **WWW.HOTEL-LOGOS.PL**

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (168–169) 2016

OD REDAKTORA

Lewica, kojarzona głównie z SLD, po 1989 roku była dyżurnym chłopcem do bicia. Kiedy ostatni raz rządziła (2001–2005), zawiązał się przeciwko niej egzotyczny, liberalno-prawicowy sojusz pod nazwą PO-PiS, o którym dzisiaj wielu obrońców wolności obywatelskich i państwa prawa chciałoby zapomnieć. Przez co najmniej 15 lat od upadku PRL-u solidarnościowe elity wmawiały społeczeństwu, że największym zagrożeniem dla demokracji i pożądanych reform w III RP jest postkomuna. Tymczasem to partia ją reprezentująca i jej liderzy wprowadzili Polskę do NATO i Unii Europejskiej. Ale totalna krytyka PRL-u bis – tak w propagandzie nazywano rządy lewicy – oraz niezaprzeczalne błędy, jakie lewicowa z nazwy władza popełniała w nadmiarze, odniosły skutek niekoniecznie przez krytyków spodziewany. Do władzy doszedł PiS po raz pierwszy, jeszcze przy pomocy koalicjantów, a po ośmiu latach rządów PO zdobył ją po raz drugi i teraz urządza Polskę po swojemu najzupeł-

niej samodzielnie. Lewica zaś przestała się w ogóle liczyć. Nie ma jej w w parlamencie i raczej nikłe są szanse, aby ten krajobraz po klęsce uległ zmianie po następnych wyborach. O tym sporo piszemy w tym numerze „Zdania”.

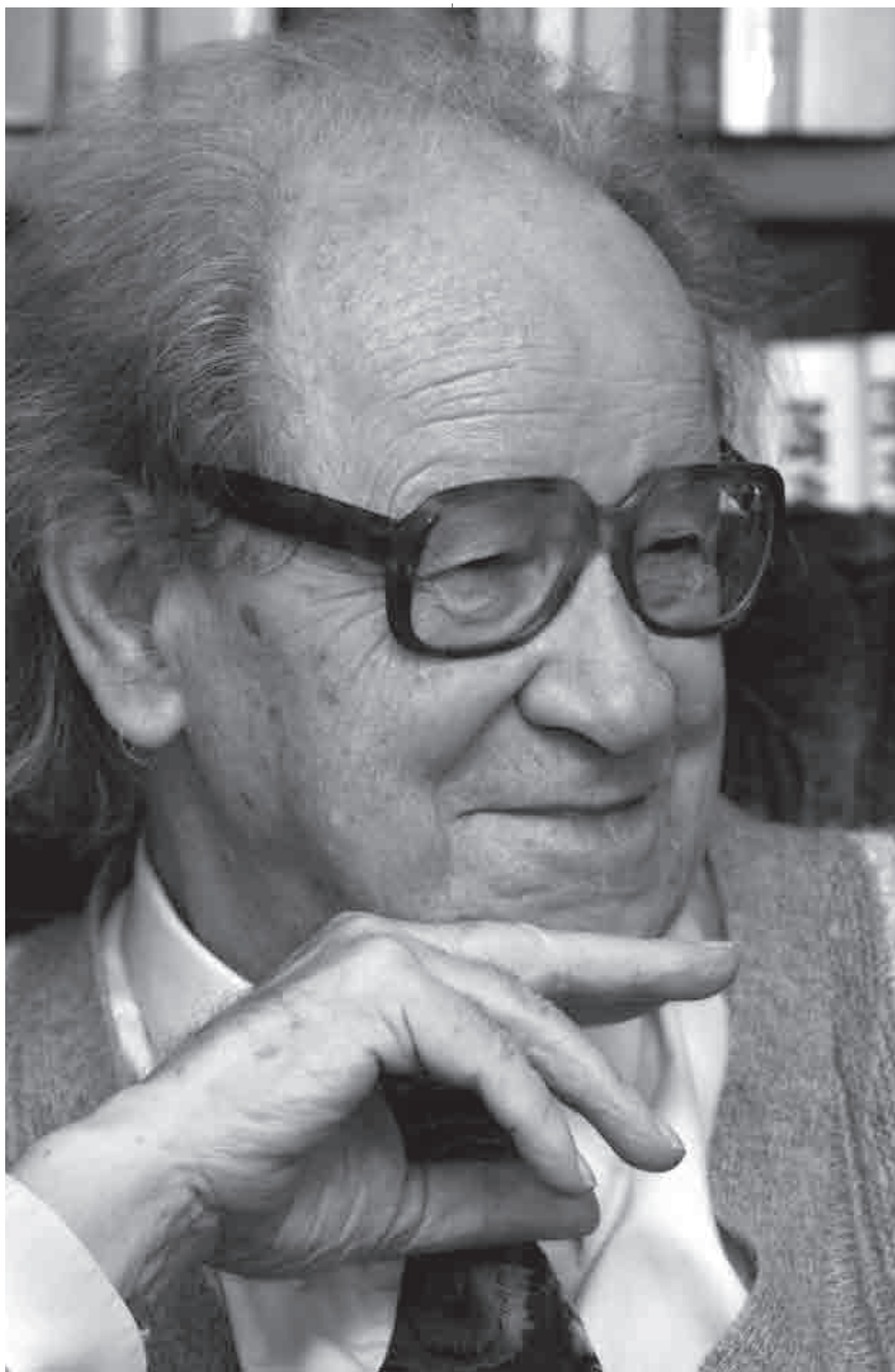
Poza tym wiele w nim interesujących artykułów, m.in. o społeczeństwie niszowym, demokracji liberalnej, sędziach konstytucyjnym, polityce pamięci, terroryzmie w aspekcie medialnym, a także o marności świata tego. Prezentujemy laureatów „Kowadła”: Mariana Stępnia i Krzysztofa Jasińskiego oraz najnowsze wiersze Michała Jagiełły. Niestety, Autor już ich nie zobaczy w druku, gdyż odszedł od nas nagle i niespodziewanie podczas pobytu w Zakopanem – u podnóża ukochanych Tatr. Żegnamy Go z wielkim żalem.

W cyklu „Trzech na jednego” tym razem były redaktor naczelny „Zdania” i tegoroczny laureat „Kowadła” – prof. Marian Stępień.

EDWARD CHUDZIŃSKI

MARIAN STĘPIEŃ SZANUJĘ SWOJĄ BIOGRAFIĘ „Trzech na jednego”	3
„KOWADŁO” DLA MARIANA STĘPNIA	12
Tadeusz Bujnicki TWOJE ŚWIADECTWA OBECNOŚCI	13
Andrzej Walicki KARTKI Z DZIENNIKA 2011–2016	15
Lech M. Nijakowski „DOBRA ZMIANA” I POLITYKA PAMIĘCI	25
Paweł Kozłowski SPOŁECZEŃSTWO NISZOWE	29
PRZESTRZEGAMY I WZYWAMY DO DZIAŁANIA – stanowisko „Kuźnicy”	31
Mateusz Burzawa JAK ODRADZA SIĘ LEWICA W POLSCE?	32
Adam Jaśkow EPITAFIUM DLA SLD	37
Rafał Skąpski KULTURA I POLITYKA Z PERSPEKTYWY LEWICY	40
Jarosław Ładosz SĄD KONSTYTUCYJNY A PARLAMENT	42
Henryk Domański CZY JEST W POLSCE PANIKA MORAŁNA?	51
Tomasz Goban-Klas TERRORYZM I MEDIA	53
Stanisław Jędrzejewski DZIEWIĘĆDZIESIAT LAT I CO DALEJ?	56
Michał Jagiełło WIERŚE	60

62	Stanisław Gębala NIE MOGĘ UWIERZYĆ...
65	Włodzimierz Luty DYLEMATY I ILUZJE LIBERALNEJ DEMOKRACJI
71	Jan Szymd UNIwersytet w społeczeństwie rynkowym
77	Edward Karolczuk O NIEISTNIENIU BOGA
81	Andrzej Kurz LAUREAT – KRZYSZTOF JASIŃSKI
82	Adam Komorowski RWANIE W SKRZYDŁACH
85	Krzysztof Jasiński: SAM SIĘ MIANOWAŁEM DYREKTOREM STU I SAM SIĘ ODWOŁAM
87	Stanisław Gębala TADEUSZ RÓŻEWICZ – ZAMIESZKAĆ W TERAŹNIEJSZOŚCI
90	Jacek Cygan PAMIĘCI TADEUSZA RÓŻEWICZA
91	Andrzej Mencwel COKOLWIEK W ŚWIECIE JEST, WSZYSTKO MARNOŚĆ
99	Stanisław Burkot „ZIEMI PRZYPISANY”: JULIAN KAWALEC
105	Wiktor Kubica MOONSHINE BRANDY
111	Adam Kulawik KTO ZDEFLOWOWAŁ PANNĘ IZABELĘ ŁĘCKĄ?
120	Jacek Wojciechowski PROZATORSKIE PRZCIEKI ZNAD WOŁGI
124	Krzysztof Komornicki ANIOŁ SIĘ SPOŹNIŁ
126	Tomasz Goban-Klas MEDIÓW PUBLICZNYCH KONIEC ŻAŁOSNY
127	Sceptyk ZMARŃNOWANY POTENCJAŁ



Fot. Grzegorz Kozakiewicz



JEDEN:
MARIAN STĘPIEŃ
 TRZECH:
EDWARD CHUDZIŃSKI
STEFAN CIEPŁY
FILIP RATKOWSKI

SZANUJĘ SWOJĄ BIOGRAFIĘ

EDWARD CHUDZIŃSKI: Urodził się Pan w Sławsku koło Stryja. Dziś to Ukraina.

MARIAN STĘPIEŃ: Tak. To miejsce moich urodzin zaowocowało w przyszłości pewną, niezbyt dla mnie przyjemną przygodą, ale o tym później. Urodziłem się tam dlatego, że moja matka na czas połogu pojechała do swej siostry, żony tamtejszego naczelnika straży granicznej Stefana Gawrońskiego. Stąd się wzięło Sławsko w moim życiorysie. To była znana narciarska stolica Bieszczad (ładnie ją prezentuje Stanisław Nicieja w VII tomie *Kresowej Atlantydy*). A związki mojej matki ze wschodem to ciekawa historia. Urodziła się na Wileńszczyźnie, carskie ośmioletnie gimnazjum kończyła w Bobrujsku. (W widłach Berezyny i Dniepru była od dawnych czasów liczna kolonia polska. W przejmujących powieściach opisuje jej życie Florian Czarnyszewicz). Na balu maturalnym, na który abiturientki zaprosiły oficerów z przybyłego tam korpusu generała Dowbora-Muśnickiego, mama tańczyła z jego adiutantem, którym był Władysław Anders. (W tym korpusie walczyli również Józef Czapski, Kazimierz Wierzyński).

Moja ciąga i już niezła pamięć sięga Zbąszynia w Wielkopolsce, gdzie ojciec pracował w urzędzie celnym. A jednym z dobrze zapamiętanych wydarzeń tamtych lat była śmierć Piłsudskiego...

CHUDZIŃSKI: Widzę tu, na ścianie, zdjęcie z nieco późniejszej epoki...

STĘPIEŃ: To już w Jamielniku, siedem kilometrów od Ławy. Ojciec został tam przeniesiony latem 1935 roku na stanowisko naczelnika urzędu celnego (przestrzegano wówczas zasady, że celnik powinien zmieniać miejsca pracy co pięć lat). W Jamielniku była szkoła czteroletnia, siedmiooddziałowa – wedle jędrzejewiczowskiej reformy. Wszystkich uczył jeden nauczyciel. Do trzeciej klasy chodziło się dwa lata, do czwartej – trzy. Dla władz było ważne, by młodzież wiejska była

pod opieką szkoły do czternastego roku życia, a czy i jak się rozwijała – o to się nie kłopotano.

CHUDZIŃSKI: Ława przed wojną była niemiecka, a granica biegła z nurtem Drwęcy. Sam pochodzę z tamtych stron.

STĘPIEŃ: W tym budynku mieszkali urzędnicy państwowi. Pierwszy z prawej stoi mój ojciec w mundurze celnika. W środku, w jasnej sukni, moja mama, a przy niej jej dzieci – moja starsza siostra i ja. W 1939 roku miałem 10 lat. Moje dzieciństwo – wcześniej w Zbąszyniu, później w Jamielniku – do wybuchu wojny było naprawdę sielsko-anielskie.

Z najmniejszymi szczegółami pamiętam dzień 30 sierpnia i pożegnanie z ojcem na peronie. Wskutek niepokojących zamieszek przygranicznych już na parę tygodni przed 1 września, postanowił wysłać swą żonę i dzieci w bezpieczniejsze miejsce, do swych rodzinnych stron, do Gorlic. Nazajutrz miał nam wysłać swą trzymiesięczną odprawę. Sam, zbrojny w szablę, która wisiała nad łóżkiem pod płaskorzeźbą przedstawiającą tatrzańskich „śpiących rycerzy”, wybierał się z kartą mobilizacyjną do Chełmna. Był porucznikiem rezerwy, w pierwszej wojnie legionistą.

Wtedy widzieliśmy go ostatni raz. Stępień to niezadkie nazwisko i kilka osób o tym nazwisku znaleźliśmy na listach katyńskich. Podobnie jak wuja Gawrońskiego. Ale przypuszczam, że ojciec zginął w Ostaszku, bo tam znalazłem kilka nazwisk znanych mi z jego legionowych wspomnień. W tym też kierunku prowadziły sugestie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, za którego pośrednictwem mama poszukiwała ojca już w czasie wojny i później przez kilka lat powojennych.

STEFAN CIEPŁY: A zatem dobrze pamięta Pan czas wojny.

O tym mógłbym mówić godzinami. Okupację przeżyliśmy w Gorlicach i tam poszedłem do piątej klasy.

W 1942 roku skończyłem szkołę powszechną i zacząłem pracować, bo byliśmy w dużej biedzie. Zaczynałem od pasienia kozy... I tu poznałem prawdziwe podziały klasowe. Najwyżej plasowali się synowie gospodarscy, którzy paśli krowę, choćby jedną, ale własną, mniejsze poważanie mieli ci, co paśli własną kozę, potem chłopcy z cudzą krową, a na końcu ja – z cudzą kozą! To przekładało się – czasem nawet dotkliwie – na hierarchię w dziecięcych zabawach.

Pracowałem gdzie się dało. Plewiłem ogródki prowadzone przez Radę Główną Opiekuńczą, potem zatrudniłem się w fabryczce drewnianych zabawek. To już była lepsza, prawdziwa praca. Dziesięć godzin przez sześć dni tygodnia. Do końca wojny. Po wojnie mama dostała pracę w Starostwie Powiatowym, a ja w Powiatowym Urzędzie Ziemskim. Po południu uczyłem się w gimnazjum, potem w liceum, systemem skróconym – dwie klasy w jednym roku szkolnym – aż do matury w 1948 roku.

Zaraz po egzaminie maturalnym profesor matematyki namawiał mnie, bym poszedł na politechnikę, albo na uniwersytecki wydział matematyczny; polonista zachęcał mnie do podjęcia studiów polonistycznych. Ksiądz katecheta wręczał mi na dalszą drogę pewną kwotę, gdy się wzbraniałem z przyjęciem, ze słowami: „bierz, to za twój charakter, jak będziesz miał, to oddasz to komuś, kto będzie potrzebował”.

A ja, uskrzydłony tymi zachętami i świadomością, że dzięki powojennym reformom studia są dostępne, bezpłatne, a nawet można liczyć na stypendium, wybrałem się do Warszawy na Wydział Dyplomatyczno-Konsularny Akademii Nauk Politycznych, bo z tym kierunkiem kojarzyła mi się możliwość ciekawych podróży. Egzamin zdałem wcale nieźle, ale nie zostałem przyjęty. Nie mogłem wracać do Gorlic na tarczę. Dowiedziałem się, że są jeszcze miejsca na handlu zagranicznym w Akademii Ekonomicznej w Szczecinie. Bratniak pomagał, dawał bezpłatne bilety. Pojechałem, a w oczekiwaniu na decyzję o przyjęciu na uczelnię podejmowałem się różnych prac. W Miejskich Zakładach Komunikacyjnych malowałem tramwaje, nocami w porcie szczecińskim dorabiałem przy ładowaniu i rozładowywaniu statków.

W listopadzie 1948 roku „Kurier Szczeciński” ogłosił konkurs na opowiadanie z życia studenta. Wziąłem w nim udział; spróbowałem moje doświadczenia przedstawić „literacko”. Dostałem najwyższą z przyznanych nagród, drugą. Pierwszej nie przyznano nikomu z powodu „niewystarczającej szaty literackiej”. Po opublikowaniu opowiadania trzy instytucje proponowały mi stypendium. Mogłem wybierać najkorzystniejsze. Uczelnia przysłała bezpłatne zaproszenie na bal.

Zdawanie egzaminów nie sprawiało mi większych trudności, ale to nie było studiowanie. Bardziej mnie interesowała literatura. W tym czasie ukazywały się ciekawe książki, pamiętane i wspominane do dzisiaj. Borowskiego *Pożegnanie z Marią*, Żukrowskiego *Z kraju milczenia*, Dygata *Jezioro Bodeńskie*, Andrzejewskiego *Popiół i diament*. Stojące tu na półce *Ocalenie* Miłosza – kupiłem wówczas w Szczecinie. W Klubie 13 Muz odbywały się spotkania literackie. Z Andrzejewskim, Gałczyńskim, Różewiczem.

CHUDZIŃSKI: **Niektórzy wtedy właśnie przenieśli się do Szczecina, jak Andrzejewski czy Gałczyński...**

STĘPIEŃ: Z dużym zainteresowaniem przysłuchiwałem się obradom IV Zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich w styczniu 1949 roku

FILIP RATKOWSKI: **Zjazd z referatem Sokorskiego *Sztuka w walce o socjalizm*?**

STĘPIEŃ: Tak, a główny referat z postulatami pod adresem pisarzy wygłosił Stefan Żółkiewski. Czułem, że jestem świadkiem ważnego zdarzenia. Odbierałem je, jako coś pozytywnego. Później zrozumiałem, że, owszem, było to ważne zdarzenie, ale w innym, negatywnym znaczeniu.

W ostatniej klasie szkoły średniej wstąpiłem do Związku Młodzieży Demokratycznej. W Szczecinie byłem członkiem Związku Akademickiego Młodzieży Polskiej. Dyskutowaliśmy o podstawowych reformach przeprowadzanych wówczas w naszym kraju (reforma rolna, upaństwowienie przemysłu). Byłem wśród tych, którzy odnosili się do nich z pełną akceptacją. Świeże były jeszcze wspomnienia lat okupacyjnych, w których mieliśmy odcięty dostęp do nauki i kultury. Toteż reformy w tej dziedzinie spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem.

A we mnie dojrzewała decyzja (ciągle nie bez zrozumiałych wątpliwości), by przenieść się do Krakowa i tam, nie przerywając studiów ekonomicznych, by nie stracić tych dwóch szczecińskich lat, podjąć równocześnie studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim.

RATKOWSKI: **Wtedy, jak i dziś, studia w części wstępnej trwały trzy lata?**

STĘPIEŃ: Już wtedy był to kiepski pomysł, ale o tyle sensowny, że chodziło o szybkie wykształcenie rzeszy ogromnie potrzebnych inżynierów. Do studiów humanistycznych system taki szczególnie nie pasował, ale brak nauczycieli też był odczuwalny.

Przenosiłem się zatem do Krakowa, formalnie na dalsze studia w Wyższej Szkole Handlowej – dziś Uniwersytecie Ekonomicznym. Po drodze wstąpiłem jeszcze do Gorlic, co spowodowało, że aby zdążyć na egzamin wstępny na polonistykę, musiałem nocą pokonać piechotą, po kolejowych podkładach, trasę z Gorlic do Stróż (chyba około 30 kilometrów), by złapać pociąg z Krynicy do Krakowa. Udało się. Kupiłem w kiosku atrament i tak zwaną „rączkę” ze stałówką. Dostałem się na polonistykę. Wkrótce, utwierdziwszy się w przekonaniu, że dokonałem słusznego wyboru, zrezygnowałem ze studiów ekonomicznych.

CIEPŁY: **Na uniwersytecie miał Pan wtedy wspólnych mistrzów!**

STĘPIEŃ: O, tak! Historyków literatury: Juliusza Kleinera (byłem uczestnikiem jego seminarium magisterskiego), Stanisława Pigonia, Kazimierza Wykę. Językoznawców: Zenona Klemensiewicza, Stanisława Lehra-Splawińskiego, Kazimierza Nitscha. W Radzie Wydziału zasiadał Stanisław Skimina, autor podręcznika *Elementa Latina*, z którego uczyliśmy się łaciny w gimnazjum, wielki znawca kultury i literatury antycznej Tadeusz Sinko. Wspaniała plejada. Mogłem się jej przyglądać, i przysłuchiwać. Bo moi koledzy (nieco młodszy ode mnie) wybierali mnie na różne funkcje. Byłem starostą roku, delegatem studentów do Rady Wydziału, przewodniczącym Koła Naukowego Polonistów, co stwarzało okazję do częstszego i bliższego spotykania profesorów.

CHUDZIŃSKI: To brał Pan udział w zjazdach młodych polonistów!

STĘPIEŃ: Oczywiście. We wszystkich, które odbywały się podczas moich studiów. Te zjazdy (i ich uczestnicy) stały się przedmiotem zainteresowań młodego pokolenia polonistów. Poświęcił im uwagę Jerzy Smulski, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, w książce *„Przewietrzyć zatęchłą atmosferę uniwersytetów”*. *Wokół literaturoznawczej polonistyki doby stalinizmu*, wydanej w 2009 roku. Otrzymałem ją od autora z sympatyczną dedykacją.

CHUDZIŃSKI: Czy dyskutowaliście o socrealizmie? Czy ta „nowa literatura” była w spisie lektur?

STĘPIEŃ: Zналиśmy ją jako czytelnicy. Rozmawialiśmy o niej, ale nie było jej jeszcze w spisie lektur, nie pojawiała się w dyskusjach seminaryjnych. Kazimierz Wyka miał wykład o literaturze współczesnej. Zaczynał (co rozumiałe z pozycji jego pokolenia) od schyłku epoki Młodej Polski i prowadził przez międzywojenne dwudziestolecie.

CHUDZIŃSKI: I nie było w tych latach żadnego marksisty na polonistycę?

STĘPIEŃ: Był Henryk Markiewicz, zajmował się przede wszystkim teorią literatury.

CHUDZIŃSKI: Pan był wtedy aktywny w ZMP, a potem w PZPR? Jak to się stało, że syn sanacyjnego urzędnika, legionisty, ofiary Katynia, wybrał taką drogę?

STĘPIEŃ: „Sanacyjny urzędnik” – czy można tak określić raczej skromne stanowisko mego ojca. Może... Moje skojarzenia wywołane tym zwrotem kierują się raczej ku wyższym pozycjom. Ojciec był w Legionach, w Drugiej Brygadzie, nie w tej Pierwszej, Kadrowej. A tradycja legionowa, to również tradycja PPS-owska. W tego rodzaju kręgach inteligencji, do których należeli moi rodzice, panowały z reguły poglądy demokratyczne, bliskie społecznej lewicy. W takiej atmosferze wzrastałem. Moja mama, jak to było zwykle w przedwojennych rodzinach urzędniczych nie pracowała, nie musiała pracować. Pensja ojca wystarczała na niezłe utrzymanie rodziny. W sytuacji powstałej w wyniku wojny musiała się zdobyć na samodzielność i na dzielność niezwykłą. W 1945 roku wstąpiła do Polskiej Partii Socjalistycznej.

A co do moich doświadczeń, o których trochę mówiłem, prowadziły mnie one wprost do ruchu, w którego programie była sprawiedliwość społeczna.

RATKOWSKI: Szczególnie dla pariasa z pastwiska, któremu oto otwarto wiele drzwi!

STĘPIEŃ: ...a także dla nieletniego robotnika wytwarzającego zabawki przez 10 godzin dziennie. Również doświadczenie zdobyte w ZAMP-ie było inspirujące. W tej organizacji wiele się dyskutowało, nie brakowało sporów. Poznawaliśmy filozofię marksistowską, która pod wieloma względami objaśniała nam społeczny świat i nierzadko potwierdzała moje własne doświadczenia i obserwacje.

CHUDZIŃSKI: Ale były to też czasy, kiedy niektórych profesorów odsuwano od dydaktyki, atakowano w niewybredny sposób...

STĘPIEŃ: To prawda. Aczkolwiek wydaje mi się, że na Uniwersytecie Jagiellońskim dochodziło do takich zdarzeń w znacznie mniejszym stopniu niż na innych uniwersytetach, a zupełnie nie wystąpiły one w kręgu naszej polonistyki. Zdarzyło się raz, pamiętam,

jeden z moich kolegów nazwał profesora Pigonia – w jego obecności – „uczonym burżuazyjnym”. Profesor zareagował dobrotliwym, wyrozumiałym humorem, że wreszcie dożył czasów, kiedy syn niebogatego chłopca z Komborni dorobił się pozycji prawdziwego „burgeois”! A co do trafności takiego określenia opowiedział o kłótni przekupki na Kleparzu, której był świadkiem. Padało w niej „przezvisko”: „ty sufraganie!”

Zdarzyło się raz, że jako starosta roku, na prośbę grupy studentów, przepraszałem profesora za jakiś wybryk jednego z nas. Bardzo ceniłem profesora Pigonia z jego chłopską twardością, dążeniem do konkretności, wymaganiem ścisłego trzymania się tekstu literackiego przy jego interpretacji, ale i z niewątpliwym urokiem osobistym. Pracę magisterską pisałem pod kierunkiem profesora Juliusza Kleinera, subtelного, nieco uduchowionego inteligenta...

CIEPŁY: Jednak już wkrótce stał się Pan ze studenta – wykładowcą.

STĘPIEŃ: Po zdaniu egzaminu z materializmu historycznego ze stopniem bardzo dobrze z plusem u prof. Stefana Morawskiego, dostałem propozycję etatu asystenta w Katedrze Podstaw Marksizmu-Leninizmu, którą kierował Marek Waldenberg. Byłem wtedy jeszcze studentem, na drugim, magisterskim stopniu studiów.

CIEPŁY: A jak Pan to godził ze swoją wiedzą o Katyniu i z osobistą tragedią? Sam mam zresztą identyczny problem...

STĘPIEŃ: Nie miałem nigdy wątpliwości, kto był sprawcą zbrodni. W moim najbliższym otoczeniu wszyscy byli pewni, że to zrobili Rosjanie. A w różnych ankietach personalnych, które wypełniało się przy wielu okazjach i w których zawsze była rubryka dopominająca się dokładnych informacji o rodzicach, zawsze pisałem, że mój ojciec zginął w Katyniu.

RATKOWSKI: Głośno o tym nie mówiono, ale w rodzinach inteligentnych żadnych wątpliwości w tej sprawie nie było!

STĘPIEŃ: Dlatego nie bez ironicznego rozbawienia odbierałem zwierzenia mądrych skądinąd osób, że u nich nawet w domu, w rodzinnym gronie obawiano się mówić o Katyniu. A o prawdę o tej zbrodni upomniałem się publicznie w dyskusji po wysłuchaniu referatu Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR, za co zostałem srodze naganiony przez Celinę Bobińską i Marka Waldenberga. „Trzeba dawać odpór takim myślom”.

CHUDZIŃSKI: Czy lata stalinizmu na studiach można porównać z późniejszą chińską „rewolucją kulturalną”!

STĘPIEŃ: Na pewno nie, przynajmniej jeśli chodzi o Uniwersytet Jagielloński.

Kończyłem drugi stopień studiów zimą 1955 r. W ostatnich tygodniach seminarium magisterskiego profesor Kleiner przyjmował nas już w swoim mieszkaniu, później, wskutek złego stanu zdrowia musieliśmy się przenieść do innego opiekuna naukowego. Poszedłem do profesora Henryka Markiewicza. Po egzaminie magisterskim, moi egzaminatorzy, profesorowie Markiewicz i Wacław Kubacki zaproponowali mi asystenturę w Katedrze Historii Literatury. Bardzo byłem szczęśliwy. Był to wówczas szczyt moich marzeń. Ale warunkiem było objęcie obowiązków „od zaraz”, od początku drugiego semestru. A ja miałem zobowiązania wobec Waldenberga! Nie mogłem nagle tamtej pracy porzucić.

RATKOWSKI: I to wtedy chyba po raz pierwszy objawiła się u Pana trudna przypadłość – „ta paszkalna lojalność”?

STĘPIEŃ: Niestety. Nieraz przychodziło mi za nią płacić.

CIEPŁY: Jak Pan dziś ocenia swoje ówczesne wybory ideowe?

STĘPIEŃ: Dla mojej generacji Październik'56 był przeżyciem pokoleniowym. Młodzi, ideowi członkowie partii, którzy dali się porwać wzniosłym ideom socjalizmu, byli skłonni przymykać oczy na zło, przypisując je marginalnym wypaczeniom. Rewelacje ujawnione przez Chruszczowa na zamkniętym posiedzeniu XX Zjazdu KPZR, były niezwykle ciężkim ciosem. Szczególnie dotyczyło to pracowników Katedry Podstaw Marksizmu-Leninizmu, którzy nie tylko przekazywali wiedzę naukową, ale – przynajmniej pośrednio, jeśli nie wprost – przekonywali słuchaczy o słuszności programu PZPR. Byli wśród nich między innymi: Irena Kaniewska, Mariusz Kulczykowski (historycy), mówiący te słowa, Władysław Loranc (poloniści), z Wydziału Prawa Stefan Bratkowski i kilku innych.

Przeżywane przez nas wątpliwości, uprzednio hamowane, wyciszane, ustępujące ogólnej afirmacji powojennej Polski, w świetle faktów ujawnionych przez XX Zjazd KPZR doszły do głosu ze zdwojoną siłą. Wywołały nastrój wielkiego rozczarowania, przygnębienia, a także niepokój sumienia; poszukiwanie miary własnej winy lub usprawiedliwienia. Dociekania momentu, od którego zaczynała się nasza odpowiedzialność. Za kształtowanie postaw studentów, ich wykształcenie, za przekazywane im informacje i rozwijane przed nimi komentarze.

RATKOWSKI: I żaden *Notatnik agitatora* nie pomagał? Traktowaliście marksizm poważnie!

STĘPIEŃ: Powstało środowisko lewicowe zrywające z oszukiwaniem ludzi. Zaczęły się autentyczne, niezwykle interesujące spotkania z młodzieżą. Dobrze pamiętam świetne dyskusje z Jackiem Maziarskim, Ireną Wollen, którzy należeli do najlepszych moich studentów. Naszą reakcją na Październik nie była rozpacz i rezygnacja, ale nadzieja w przywrócenie ideałom socjalistycznym właściwego im blasku.

CIEPŁY: No i do dziś istnieje legenda o Pańskim zaangażowaniu w październikową odwilż, co skończyło się dość dramatycznie...

STĘPIEŃ: Jeszcze przed XX Zjazdem KPZR, w styczniu 1955 roku odbyło się plenum Komitetu Centralnego, które podjęło uchwałę „o przewyższeniu wypaczeń w pracy partii i aparacie państwowym” oraz w sprawie „wzmocnienia kontroli partii nad działalnością organów bezpieczeństwa”. To była pierwsza faza odwilży, potem przyhamowana.

RATKOWSKI: Do czasu! A dokładniej do epoki Chruszczowa, do jego referatu na XX Zjeździe KPZR i do wstrząsu, jakim były wydarzenia w Poznaniu.

STĘPIEŃ: W śmiertelnej ciszy członkowie uniwersyteckiej organizacji partyjnej słuchali go w auli Collegium Novum. A potem wybuch różnych emocji. I na uniwersytecie toczył się spór między „betonem” czy „stalinistami” a nurtem „odnowy” określanym niekiedy mianem „rewizjonizmu”. I wkrótce, w listopadzie odbyła się partyjna konferencja wyborcza, na której po raz pierwszy wyboru I sekretarza Komitetu Uczelnianego dokonali wszyscy delegaci obecni na sali. Zostałem tym I sekretarzem.

Lucjan Motyka, wówczas I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego w Krakowie w swych wspomnieniach pisze o wielogodzinnych dyskusjach z moim udziałem...

CHUDZIŃSKI: A potem zaczyna się odwrót od Października.

STĘPIEŃ: Wyrazistym sygnałem tego procesu była likwidacja czołowego wówczas pisma młodej, rewolucyjnej inteligencji – „Po prostu”. Dostałem wówczas sygnał z Warszawy, że przygotowuje się tam studencka demonstracja przeciw decyzji Gomułki; potrzebne jest poparcie ze strony krakowskich studentów. Polecilem zorganizować wiec popierający warszawskich studentów w drugim domu akademickim.

Członkowie uniwersyteckiej organizacji partyjnej przychodzili do mnie z żądaniem zwołania zebrania w tej sprawie. Równocześnie dostałem pilny telefon z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, że tego mi robić nie wolno.

Zebranie się odbyło. Przed jego rozpoczęciem wręczono mi dwa dokumenty: list redakcji „Po prostu” do Władysława Gomułki i list zespołu partyjnego przy redakcji „Po prostu” do niego. W bardzo emocjonalnej atmosferze jeden z uczestników zebrania (dobrze pamiętam kto – wolę myśleć, że była to duża naiwność z jego strony, a nie świadoma prowokacja) poinformował, że widział, jak mi wręczano jakieś dokumenty i żądał ich odczytania. Gdy odmówiłem wiedząc, że tego nie powinien robić, padł wniosek, by rzecz przegłosować. W głosowaniu prawie wszyscy opowiedzieli za ich odczytaniem. Uznając, że w czasie trwania ogólnego zebrania sekretarz musi podporządkować się jego decyzji – wyjąłem schowane w kieszeni listy i je przeczytałem.

RATKOWSKI: I to był koniec Pańskiego „sekre-tarowania”?

STĘPIEŃ: Nie miałem złudzeń. Zapadły odpowiednie decyzje egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. Nowego, komisarzycznego sekretarza (nikt z uniwersytetu w tych warunkach nie chciał się podjąć tej funkcji) ściągnięto z innej uczelni. A ja, w towarzystwie m. in. Wiesława Langa, późniejszego profesora prawa i Jerzego Grotowskiego (będąc pracownikiem Wyższej Szkoły Teatralnej należał do uniwersyteckiej organizacji partyjnej), działacza Politycznego Ośrodka Lewicy Akademickiej, stanąłem przed Wojewódzką Komisją Kontroli Partyjnej. Ukarano mnie naganą z ostrzeżeniem, z którą wiązał się zakaz kandydowania do wszelkich władz partyjnych.

Zanotowałem fragmenty rozmowy z członkami komisji. Na moje słowa o obowiązku mówienia prawdy jeden z nich zwrócił się do mnie: „Towarzyszu, a ja was zapytam, czy członek partii ma obowiązek mówić prawdę, czy ma obowiązek realizować generalną linię partii?”

Komisji przewodniczył przedwojenny komunista Władysław Kozub. Po wielu latach spotkałem go na przyjęciu urodzinowym u profesora Henryka Markiewicza. Sam rozpoczął rozmowę o tamtym czasie świadom wartości, znaczenia i publicznej roli – w partii i poza nią – tych, których niegdyś tak surowo osądzał. Chciałby się z nami teraz spotkać. Prosił o pomoc w zorganizowaniu takiego spotkania. Niestety, umarł w krótkim czasie po tej rozmowie.

CIEPŁY: Ale ostatecznie nie związał się Pan z „nurtem rewizjonistycznym” w PZPR?

STĘPIEŃ: To jest poniekąd sprawa terminologii. W opinii władz partyjnych uchodziliśmy za „rewizjonistów”, a kary nam udzielone były przejawem walki z „re-



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

wizjonizmem". Ale istotnie z dystansem odnosiłem się do radykalnych konwersji czołowych rewizjonistów, tym bardziej że dobrze znałem ich poprzednie prace filozoficzne.

RATKOWSKI: W tamtym „październikowym” kryzysie tliły się zalążki innego, późniejszego kryzysu – Marca’68.

STĘPIEŃ: Panowie mogli tego nie zauważyć, ale ja to dokładnie śledziłem. Kiedy przez kilka lat, w rocznicę Marca, chłostano różne uczelnie za relegowanie studentów i profesorów, nigdy nie padała nazwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. To nie było przypadkowe. Wojewódzkie władze polityczne domagały się relegowania studentów zaangażowanych w „wydarzenia marcowe” i skazanych prawomocnym wyrokiem (na podstawie art. 155, 156, 164, 170 kodeksu karnego) na kilka miesięcy aresztu. (Za tymi numerami kryło się: inspirowanie zażść oraz udział w organizowaniu nielegalnych zgromadzeń, strajków okupacyjnych uczelni i innych wystąpień wchryzcielskich. Sporządzanie i kolportowanie ulotek i innych opracowań zawierających fałszywe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny oraz wzywających do wystąpień przeciwko władzy. Udział w awanturach ulicznych, napaść na funkcjonariuszy MO, niszczenie mienia społecznego i inne przestępstwa chuligańskie). Profesor Siedlecki, znakomity prawnik, powstrzymywał władze uczelni przed podjęciem decyzji wyjaśniając, że rzecz musi zawsze przejść przez Komisję Dyscyplinarną do Spraw Studenckich. Pilnował procedury. A ja w tym czasie byłem członkiem tej komisji.

Zatrzymam się na dwóch przypadkach, z którymi spotkałem się bezpośrednio. Przed komisją stanęło dwóch znanych mi studentów filologii polskiej. Jeden został skazany na osiem miesięcy aresztu, drugi na

siedem, z zawieszeniem na trzy lata. Na stole leżała teczka z dokumentami sprawy przysłana przez Komendę Milicji Obywatelskiej z oczekiwaniem, że uniwersytet ze swej strony podejmie odpowiednie decyzje w stosunku do obwinionych. Oczekiwano relegowania z uczelni. Przewodniczący komisji pouczył jej członków, że po ujęciu studenta przez milicjanta na miejscu zdarzenia, aresztowania go i ukarania, uniwersytet powinien zastosować w stosunku do niego własny wymiar kary przewidziany w takich przypadkach.

Na mój wniosek (wszyscy członkowie komisji milczeli i patrzyli w moją stronę, ku temu, który był członkiem partii; czuli się zwolnieni od podejmowania inicjatywy w tej sprawie) komisja wymierzyła obydwoim karę w istocie symboliczną: zawieszenie w prawach studenta na ten okres, który i tak już stracili z powodu zatrzymania ich przez milicję. Tak wyliczyłem, by kończył się on w dniu posiedzenia komisji. Komisja jednomyślnie przyjęła takie rozwiązanie. Ale jej przewodniczący, przestraszony możliwymi konsekwencjami, następnego dnia wprowadził do protokołu swoje *votum separatum*.

CHUDZIŃSKI: Innym problemem tamtego czasu były tzw. docentury marcowe.

STĘPIEŃ: Mnie to zupełnie nie było potrzebne. Miałem za sobą wydane w 1968 roku dwie książki naukowe, kończyłem następną, na której podstawie uzyskałem wkrótce stopień doktora habilitowanego (a w toku pracy nad nią powstała kolejna książka niebawem opublikowana – o Brzozowskim), kilka artykułów w polonistycznych periodykach. Dając mi w takich okolicznościach stopień docenta wyrażdżono mi krzywdę. To raczej ja byłem potrzebny, by wychodzące z uczelni wnioski jakoś wyglądały.

A przy okazji muszę dodać, że znam niemało tzw. „marcowych docentów”, którzy poddając się później procedurze habilitacyjnej, dorabiając się tytułu profesora dowiedli, że ten ich awans nie był nieporozumieniem.

CIEPŁY: A więc był Pan wierny partii do jej rozwiązania?

STĘPIEŃ: W partii były różne nurty. Czułem się związany z jej nurtem reformatorskim. I tak byłem postrzegany, jak zresztą całe środowisko „Kuźnicy” i „Zdania”. Dlatego z inicjatywy generała Wojciecha Jaruzelskiego, by ten nurt wzmocnić, zostałem sekretarzem Komitetu Centralnego. Zwycięstwem tego nurtu, które nie przyszło łatwo, był Okrągły Stół i jego konsekwencje.

CHUDZIŃSKI: Zapędziliśmy się w politykę i zostawiliśmy zupełnie z boku Pańską ważniejszą przecież działalność naukową. Jeden z moich młodszych kolegów, specjalizujący się w literaturze XIX w., ceni Pańską, pierwszą w dorobku, książkę o Narcyzie Żmichowskiej! Potem wybrał Pan wiek XX!

STĘPIEŃ: Wspólnie z Tadeuszem Bujnickim, a także sam, opublikowałem w początkach drogi naukowej kilka pozycji poświęconych lewicowej literaturze okresu międzywojennego. W sprawie doktoratu rozmawiałem z profesorem Markiewiczem, który zgodził się być moim promotorem. Odradzał mi ten międzywojenny lewicowy temat. Nie był pewny, jakie stanowisko (w tajnym głosowaniu nad zatwierdzeniem tematu) zajmie Rada Wydziału. Można było spodziewać się pewnych kłopotów ze względów politycznych.

RATKOWSKI: Bo też ta przedwojenna lewica była dla PZPR kłopotliwa. A to jakiś Wat, a to Herling-Grudziński, a to Miłosz, a to Michał Chmielowiec. Ciągłe wypadały jakieś trupy z szafy.

STĘPIEŃ: Tu chodziło o prawicowe przekonania niektórych członków Rady.

Markiewicz wówczas interesował się myślą estetyczną XIX i XX wieku. Radził mi zająć się Narcyzą Żmichowską. I wyszła z tego praca doktorska, książka ukazała się w PIW-owskiej serii *Ludzie żywi* w sporym nakładzie. Dostałem za nią tyle pieniędzy, że mogłem sobie kupić škodę.

RATKOWSKI: Co wzbudziło żywiołową niechęć środowiska...

STĘPIEŃ: O tym nie wiedziałem. Tylko po wielu latach, już w czasie pracy w „Zdaniu”, dowiedziałem się od Zbigniewa Bauera, że studenci mój samochód nazywali „Narcyzą”.

CHUDZIŃSKI: Ale główne Pańskie dokonania to XX wiek i m.in. literatura emigracyjna. Kierunek zainteresowań, jak na profesora z partyjnym życiorysem, nietypowy.

STĘPIEŃ: Zawsze uważałem, że wszystko co wartościowe, w języku polskim napisane, niezależnie od miejsca, w którym powstało, należy do polskiej kultury, do polskiej literatury i powinno być przez nas, polonistów, opisywane i przyswajane. A poczułem się tym bardziej w prawie pisania o literaturze emigracyjnej na Zachodzie, bo jako pierwszy zająłem się literaturą emigracyjną na Wschodzie. Moja książka o literaturze Polonii radzieckiej ukazała się wcześniej niż moja praca doktorska; po informacjach o losach polskich pisarzy w ZSRR, które przyniósł XX Zjazd KPZR, a przeżywałem je bardzo emocjonalnie (próbowałem nawet w języku literackim je przedstawić).

CHUDZIŃSKI: O! Jeszcze jeden historyk literatury, niespełniony beletrysta!

STĘPIEŃ: Musiałem sobie jakoś przedstawić uczucia i myśli Brunona Jasieńskiego stojącego przed plutonem egzekucyjnym... bo w takiej sytuacji go sobie wyobrażałem. Później w książkach o nim, pióra Janiny Dziarnowskiej i Anatola Sterna przeczytałem, że zmarł gdzieś na etapie, w trakcie podróży na zesłanie. Przyjąłem tę wersję, gdy pisałem szkic o nim. W 1993 roku „Karta” opublikowała dokumenty NKWD. Okazało się, że moja pierwsza intuicja była trafna. Bruno Jasieński osadzony na Łubiance, 17 września 1938 został oskarżony, skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok wykonano tego samego dnia.

Po kilku latach starania w naszym ministerstwie o stypendium i zgodę władz radzieckich, udało mi się w 1965 roku wyjechać na trzy miesiące do ZSRR. Owocem tej podróży była owa książka o Polonii radzieckiej, kontakty i przyjaźnie z radzieckimi polonistami, które przez wiele lat skutkowały naukowymi spotkaniami i międzynarodowymi konferencjami.

CHUDZIŃSKI: A jak to było z wyjazdami na Zachód, zwłaszcza do USA? Ze strony władz PRL nie było chyba przeszkód, ale jak Pana przyjmowano – tam?

STĘPIEŃ: Być może, początkowo, z ostrożnym dystansem. Ale zawsze stroną zapraszającą były instytucje amerykańskie. I zaproszenia się powtarzały. Od uczelni, Fundacji Fulbrighta, Fundacji Kościuszkowskiej. Świadczy to raczej o rosnącym zaufaniu i uznaniu.

W moim najbliższym środowisku były jakieś podejrzenia. No bo jak to: w jednym roku w Moskwie, w drugim w USA – i dalej tak na przemian tu i tu. I te inne, liczne wyjazdy na międzynarodowe konferencje, na kongresy... Moja młodsza koleżanka z katedry w sympatycznej i szczerzej rozmowie dała do zrozumienia, że jestem podejrzwany o działalność szpiegowską, tylko nie wiadano, na czyją działam stronę. Odpowiedziałem żartem, że na obydwie. Do dzisiaj nie mam pewności, czy naprawdę wzięła to za żart.

Podobnie było w Ameryce. Mój przełożony na uczelni w stanie Michigan, zaprosił mnie na lunch, wypytywał, kogo ja znam w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. Odpowiadałem: „panią Budziszewską”. Dolewał dobrego wina, pytał ponownie, ja mu to samo, aż wreszcie się trochę zniecierpliwiłem: „mówiłem ci przecież, że panią Budziszewską”. Czegoś chciał się dowiedzieć.

Pani Budziszewska to była sekretarka ambasady, która mi telefonicznie przekazywała informacje związane z Fundacją Fulbrighta. W lipcu 1977 roku, nieoczekiwanie, bez zabiegów z mojej strony, zadzwoniła do mnie pani Budziszewska z Ambasady USA w Warszawie, z zaproszeniem do Stanów na stypendium Fulbrighta na trzy lata, minimum na dziewięć miesięcy, od września; to był warunek. Musiałem odmówić. Jako redaktor naukowy Rocznika Komisji Historyczno-Literackiej PAN nie zdążyłbym przygotować materiałów do publikacji, na co czekała grupa młodych naukowców. Wiadomo, co znaczy publikacja dla młodego adepta nauki. Miałem też jesienią tego roku zorganizować Pracownię Literatury Polski Ludowej i otrzymać dla niej cztery etaty (czekali na nie niecierpliwie najzdolniejsi, świeżo upieczeni magistrzy). Sam się

przestraszyłem tego, co zrobiłem, nie przyjmując takiej propozycji. Ale nie mogłem inaczej postąpić.

Po dwóch tygodniach ponownie zadzwoniła pani Budziszewska. Połączono się z Waszyngtonem. Stypendium dla mnie udało się przesunąć na rok następny. W USA byłem przez dłuższy czas czterokrotnie. Zawsze na zaproszenie strony amerykańskiej. Przez rok w Meksyku. Książki i artykuły publikowałem w kilku językach, włącznie z hebrajskim i chińskim.

Wybrałem się kiedyś na weekend do Kanady. Wracając przez most nad rzeką Niagara. Opuściłem ziemię kanadyjską, a przy wjeździe do Stanów spotkało mnie brutalne potraktowanie i odmówienie zgody na wjazd. Był to czas (koniec lipca 1978 roku), gdy w Moskwie skazano rosyjskiego dysydenta, Szczarańskiego na lata obozu pracy, mimo że sam Jimmy Carter, ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych wziął go w obronę i oświadczył, że nigdy on nie był amerykańskim szpiegiem. W ramach retorsji przywrócono obostrzenia przy wjeździe członków partii do Stanów. A co dopiero takich, którzy urodzili się w „Soviet Union” (takie miałem w paszporcie wpisane miejsce urodzenia z powodu tego Sławska). A to, że jestem członkiem partii, funkcjonariusz Immigration Office dowiedział się z szyfru złożonego z literek i cyferek, wprowadzonego ręcznym pismem pod amerykańską wizą w moim paszporcie. Objaśnił mi to Kanadyjczyk.

Dał mi też wizę na powrót z mostu do Kanady, a na zajutrz urzędnik w amerykańskim konsulacie w Toronto dołożył starań, by wszystko wyjaśnić i udzielić mi nowej wizy wjazdowej do Ameryki. Radził tylko, bym teraz w innym miejscu, tam, gdzie jest Windsor i Detroit przekraczał granicę kanadyjsko-amerykańską. Zatelefonował, by mi nie robiono trudności. Urzędnik amerykański myśli, jak rozwiązać problem, z którym petent do niego się zwraca. Urzędnik polski – jak pozbyć się petenta.

CIEPŁY: A w tym czasie w Polsce zaczął się „karnawał »Solidarności«”? Jaki miał Pan do tych wydarzeń stosunek?

STĘPIEŃ: Rok 1981, a więc rok tego „karnawału” w większości spędziłem w Meksyku. Wydarzenia w Polsce śledziłem za pośrednictwem prasy amerykańskiej i meksykańskiej telewizji.

CHUDZIŃSKI: Wtedy akurat krakowski Teatr STU występował na wielkim festiwalu teatralnym Cervantino w Guanajuato, a także w stolicy, gdzie z tej okazji odbyło się spotkanie w polsko-meksykańskim salonie artystycznym pani Sten.

STĘPIEŃ: Byłem na nim. U pani Marii Sten bywałem dość często, później korespondowaliśmy ze sobą aż do jej śmierci. To siostra Artura Starewicza, bardzo zasłużona w popularyzowaniu spraw polskich na meksykańskim gruncie.

Opinie o Polsce w prasie amerykańskiej były zawsze dwuczłonowe. Najpierw uznanie, niekiedy słowa zachwytu, później sceptycyzm, uwagi krytyczne i przestrogi. W zamieszczanych w polskiej prasie (do której sięgałem po powrocie) przeglądach opinii zagranicznych, nigdy tego drugiego członu nie znajdowałem. A co do mojej opinii o „Solidarności”. Miałem do niej i mam krytyczny dystans. Skoro mnie pan o to pyta, to nie mogę nie powiedzieć, że według mnie temu ruchowi zawdzięczamy (poza jednostkami wartościowymi i zasłużonymi) uwolnienie z przysłówiowej Puszki Pandory wszelkiego zła, z którym nie możemy sobie wszyscy do dzisiaj poradzić.

CHUDZIŃSKI: A sam stan wojenny jak Pan przyjął?

STĘPIEŃ: Przyjąłem go jako „konieczne zło”. W Jaruzelskim widziałem postać tragiczną, w takim pojmowaniu, jak w tragediach antycznych (a tragizm uwzniośla). Był skazany na podjęcie doniosłej decyzji, z których każda mogła okazać się złą. A nad nim, jak greckie fatum, spełniała się historia. Stałem po jego stronie; dałem temu wyraz w wystąpieniu telewizyjnym. Także w wywiadzie udzielonym telewizji amerykańskiej. Przytoczę tu słowa z rozmowy (opublikowanej, autoryzowanej) z działaczem emigracji niepodległościowej w Ameryce, „cichociemnym”, Stanisławem Mostwinem: „Rozciągnięcie przez Jaruzelskiego kontroli nad krajem przy użyciu sił polskich uratowało biologicznie Polskę”.

RATKOWSKI: Przed Jaruzelskim stał dylemat Chłopickiego z 1831 roku, który wbrew żądaniom Rosji nie „uspokoił ulicy”, tylko złożył dyktando powstania i do końca życia mieszkał spokojnie w Krakowie. Jaruzelski „wyprowadził armaty”, ale uniknął wojny z Rosją, której następcy Chłopickiego nie uniknęli! A nasze straty byłyby wielokrotnie większe niż w pierwszej połowie XIX wieku!

STĘPIEŃ: Odbierałem wyraźne sugestie ze strony amerykańskiej, że mógłbym tam zostać. Że wystarczy, bym dał znak, a oni wszystko załatwią. Dla mnie rzecz była nie do przyjęcia. Tym bardziej w czasie, gdy Tadeusz Hołuj i Włodek Rydzewski pisali do mnie, bym ponad potrzebę pobytu w Stanach nie przedłużał, bo źle się dzieje wokół „Zdania”, że jestem potrzebny.

CHUDZIŃSKI: I tu pojawia się dobry moment na wątek autotematyczny. Porozmawiajmy o „Zdaniu” i „Kuźnicy”, która w początkach stanu wojennego została przymuszona do samorozwiązania.

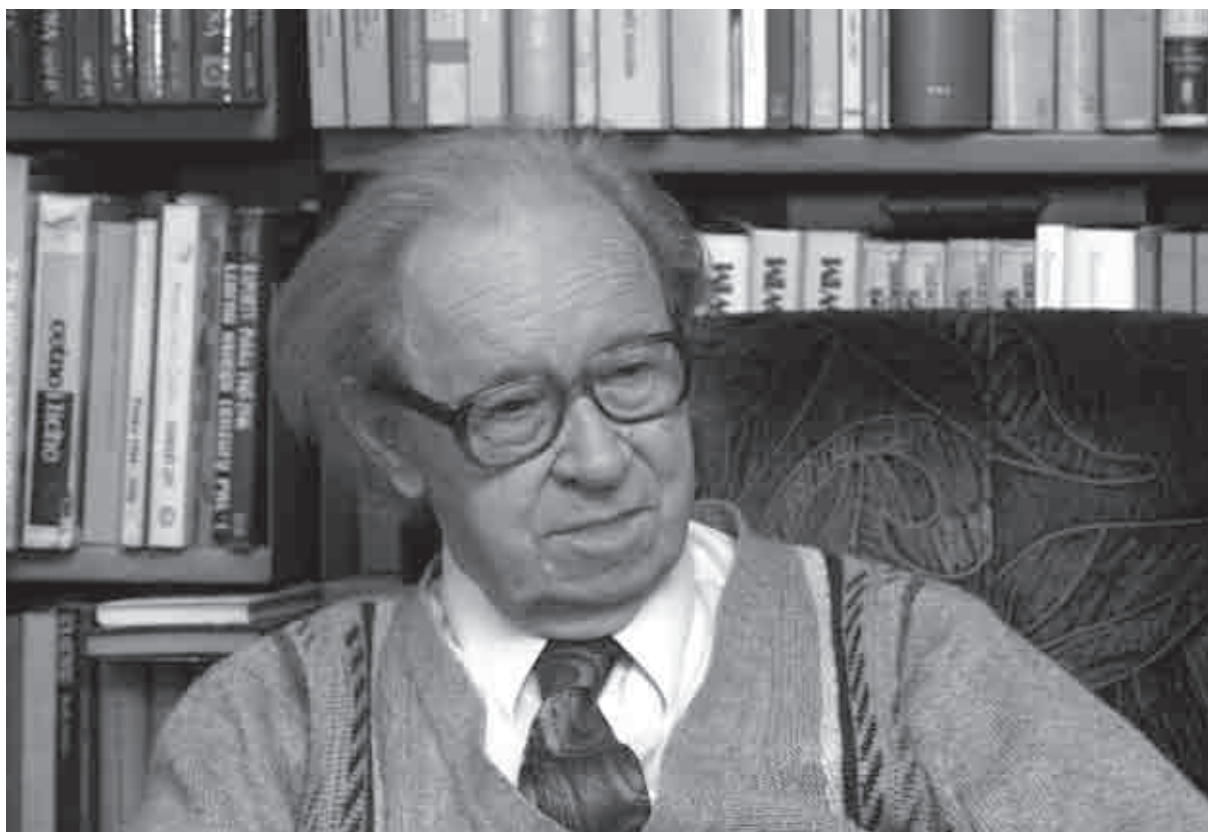
STĘPIEŃ: Gdy Biuro Polityczne rozwiązało „Kuźnicę” jako stowarzyszenie wyższej użyteczności publicznej, niektórzy w rozgorzyczeniu i proteście odeszli od naszego grona. Pozostała, niemała część towarzyszyła Tadeuszowi Hołujowi w ratowaniu tego, co się jeszcze z dorobku „Kuźnicy”, mimo wszystko, dało uratować. Brałem udział w jego rozmowach z władzami Krakowa – politycznymi i administracyjnymi – które doprowadziły (co nie było takie łatwe, jak to niektórym się wydawało) do utworzenia miejskiego ośrodka kultury „Krakowska Kuźnica”, nadal pod kierunkiem Hołuja.

CHUDZIŃSKI: „Zdanie” miało w aparacie partyjnym opinię jak najgorszą, a Pan zostaje jego redaktorem naczelnym – ale z dodatkiem literek p.o., co było chyba wyrazem braku zaufania ze strony władzy. Niektóre komitety wojewódzkie PZPR zalecały oddziałom „Ruchu”, aby na swoim terenie „Zdania” nie wprowadzały do kiosków...

STĘPIEŃ: Robiłem wszystko, by założone przez Zbigniewa Reguckiego „Zdanie”, które wysoko ceniłem, zachować i zapobiec temu, by ktoś z zewnątrz przyszedł na jego miejsce. To „p.o.” było moją decyzją. Taką formułę przyjąłem wbrew woli władz. Dla mnie był to rodzaj protestu przeciw odwołaniu Zbyszka. Z własnej też woli, nie będąc do tego zobowiązany, dla solidarności z zespołem redakcyjnym poddałem się weryfikacji jako niby dziennikarz...

CHUDZIŃSKI: Ale w takich sytuacjach zawsze będą padały pytania o granice oportunistu.

STĘPIEŃ: W tym przypadku widzę raczej działanie, którego zasadność, mądrość i – skuteczność zostały



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

potwierdzone przez późniejsze dzieje „Kuźnicy”, jej środowiska; także „Zdania”.

CIEPŁY: *To były skomplikowane sprawy, ale po uczonym zostaje przede wszystkim jego praca badawcza. W tych trudnych warunkach Pan przyswaja nam literaturę emigracyjną...*

RATKOWSKI: *...która ciągle przecież, poza wspomnieniową, znajduje się poza oficjalnym obiegiem!*

STĘPIEŃ: Starłem się, by polski odbiorca literatury emigracyjnej. O wspaniałej eseistyce Jerzego Stempowskiego, Stanisława Vincenza, Józefa Wittlina. O prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Danuty Mostwin, Józefa Mackiewicza, Floriana Czarnyszewicza, Wacława Solskiego, mało znanego, a którego się czyta jak Czechowa. Pisałem o nich w podręczniku literatury polskiej, w esejach, mówiłem w pogadankach telewizyjnych.

RATKOWSKI: *To wiedzą poloniści!*

STĘPIEŃ: Prawda, nie są to autorzy czytani masowo. Niemniej od czasów Wielkiej Emigracji literatura emigracyjna jest integralną częścią kultury narodowej i dobrze się stało, że minął czas, w którym to kwestionowano.

RATKOWSKI: *Cóż, to prawda, że wartościową literaturę i tak czytają tylko ci, którzy ją czytają!*

STĘPIEŃ: Wczesną jesienią 1988 roku uczestniczyłem w ustalaniu planu wydawniczego „Czytelnika” na następny rok (byłem członkiem Rady Wydawniczej tej oficyny). Henryk Bereza najenergiczniej upominał się o pisarzy emigracyjnych, mocno go wspierałem. Kto by wtedy przypuszczał, że za parę miesięcy zostanę sekretarzem KC? I oto w pierwszych dniach mego urzędowania przychodzi do mnie szef cenzury z planem wydawniczym „Czytelnika”, w którym jest *Mój wiek*

Aleksandra Wata, Józefa Czapskiego *Na nieludzkiej ziemi*, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego *Inny świat*. Umywa ręce. Prosi, bym sam zdecydował.

W świeżej pamięci miałem niedawne spotkania organizowane z inicjatywy Wydziału Kultury KC, na których krytykowano mój stosunek do literatury emigracyjnej, raport do generała Wojciecha Jaruzelskiego przeciwko mnie i PWN-owi za informacje o niej w moim rozdziale *Historii literatury polskiej w zarysie*, rezolucję warszawskiego oddziału ZLP z oburzeniem, że w czasie, gdy brakuje papieru, drukuje się książki wrogów Polski Ludowej.

Wstałem, stanąłem obok biurka, zwróciłem się w kierunku sekretarskiego fotela i sam siebie głośno zapytałem: „I co teraz zrobisz?” Przekazałem głównemu cenzorowi moją decyzję opublikowania książek zapowiadanych w planie wydawniczym „Czytelnika”.

Wkrótce odwiedził mnie Jerzy Kulczycki, londyński księgarz i wydawca. Proponował utworzenie na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie stoiska z literaturą emigracyjną. Pod warunkiem, że nie będzie ono cenzurowane. Zawarliśmy *gentlemen's agreement*: cenzura się nie wtrąci do jego stoiska, a on dopilnuje, by nie było na nim propagandy antykomunistycznej.

Kilka dni później otrzymałem do wiadomości raport wysłany przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk do generała Wojciecha Jaruzelskiego, premiera Mieczysława Rakowskiego, szefa Telewizji Polskiej Jerzego Urbana, do Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, że na skutek decyzji sekretarza KC Mariana Stępnia cenzura nie mogła „dopełnić swoich obowiązków”. Okazało się, że na skutek mego polecenia, by nie cenzurować stoiska Kulczyckiego, cenzura (też ma swą godność) w ogóle nie we-

szła nocą na teren targów i po raz pierwszy nie zostały one poddane jej kontroli. Nie wiem, jakie były echa tego raportu; do mnie one nie doszły.

CHUDZIŃSKI: *Wtedy zdumiewała mnie Pańska zgoda na to, by w końcu PRL-u przyjąć funkcję sekretarza KC PZPR! Po co to Panu było?*

STĘPIEŃ: Tego rodzaju pytania nigdy przede mną nie stawały. Przeżywane przeze mnie dylematy były bliższe duchowi znanej modlitwy: „Boże, daj mi odwagę reagować tam, gdzie powinienem to czynić, bo coś ode mnie może zależeć; zdolność pogodzenia się z tym, co nieuchronne i na co nie mogę mieć wpływu, oraz umiejętność odróżniania jednego od drugiego”. W istocie rzeczy, to samo dotyczy mojego zachowania się w sprawie „Kuźnicy” i „Zdania”.

CHUDZIŃSKI: *Ale to nie na takich ludziach jak Pan i Rakowski spoczywała odpowiedzialność za te 40 lat, a wyście przyszli i podżyrowali niejako walący się system. I to wam przyszło „sztandar wprowadzić”, więc dla wielu, zwłaszcza młodych, nie znających historii PRL-u, staliście się niemal symbolami minionej epoki, całkowicie niezastąpieni. Zwłaszcza w przypadku Rakowskiego słyszę okrutny chichot historii.*

STĘPIEŃ: Jest odpowiedzialność za przeszłość i jest odpowiedzialność za przyszłość. Jako profesor uniwersytecki, do którego powinno należeć również reagowanie na ważne sprawy społeczne, jak i jako współzałożyciel i działacz „Kuźnicy” czułem się odpowiedzialny za przechodzenie od systemu autorytarnego do demokracji parlamentarnej. A że nie było to ani proste ani łatwe, dowodzi przebieg dwuczęściowych obrad plenarnych KC w grudniu 1988 i styczniu 1989 r.

A co do przeszłości. Na przykład: dużo mówi się o odpowiedzialności za wprowadzenie stanu wojennego. A co z odpowiedzialnością osób, instytucji i środowisk, których działanie – lub zaniechanie działania – doprowadziły do sytuacji, w której ono okazało się konieczne?

CHUDZIŃSKI: *Ale przecież i w „Kuźnicy” sytuacja nie była jednoznaczna. Pan nie zawsze utożsamiał się z tzw. opozycją wewnątrzsystemową, a wobec antysystemowej był zdecydowanie krytyczny.*

STĘPIEŃ: I w „Kuźnicy” i w zespole „Zdania”, o czym obaj dobrze wiemy, przy wspólnie uznawanych wartościach, które nas łączyły, były między nami różnice. Uważałem to za naturalne pod warunkiem wzajemnego szacunku, a tego wśród nas nie brakło.

Przez dłuższy czas po wojnie wszelkie zło społeczne przypisywano pozostałościom ustroju kapitalistycznego. Odwagi wymagało podjęcie problemu „immanentnego zła socjalizmu”. Nastąpiło to po upływie niespełna dziesięciu lat. Kiedy wreszcie przestanie się bezmyślnie i cynicznie zło naszych czasów łączyć ze spadkiem po Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w czym biorą udział także tzw. autorytety naukowe i moralne? A człowiekowi wrażliwemu na bóle społeczne przypisuje się miano „homo sovieticus”, co rozpoczął książd Józef Tischner. Pora publicznie upowszechnić prawdę, że początkowe zasługi „Solidarności” od znacznego już czasu pozostają w cieniu zgubnego dla Polski zła czynionego pod jej firmą.

RATKOWSKI: *A może to po prostu „Polska własnie”?*

STĘPIEŃ: Pamiętam lata, a przypadają one na okres Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w których,

mimo wszystko, istniała bariera wstydu, granice publicznego głoszenia kłamstwa, bezkarnego obrzucania się oskarżeniami i obelgami, cynizmu i obłudą.

RATKOWSKI: *Ale każdy socjolog powie, że takie ekstrema to efekt społecznego ciśnienia gromadzonego przez dziesięciolecia!*

STĘPIEŃ: Zbyt często socjologiczne czy historyczne wyjaśnianie zjawiska pełni funkcję jego usprawiedliwienia.

CHUDZIŃSKI: *Pan jest dla mnie przykładem człowieka starającego się dochować wierności swoim ideałom, z natury pryncypialnego i z tego powodu często narażonego na krytykę, a nawet ataki z różnych stron. Widziałem to na własne oczy w paru sytuacjach, m.in. w środowisku polonistów.*

STĘPIEŃ: Wydałem ostatnio tom swych artykułów publicystycznych z lat 1978-2013: *Świadectwa obecności*. (Okres nie tak długi, a dzielący się na cztery, bardzo się od siebie różniące fazy: końcowe lata PRL, triumfy „Solidarności”, stan wojenny, transformacja ustrojowa). Bez zmian i skreśleń, z datą ich napisania. Jestem, kim byłem, byłem, kim jestem. Z sukcesami i porażkami, niezależnością i kompromisem, z trafną opinią i pomyłką, odwagą i obawą, z pewnością siebie i zwątpieniem. Znam cenę, jaką się płaci za odwagę cywilną, za przeciwstawienie się stadnym nastrojom. Ale też wiem, że płacić ją warto, bo tędy wiedzie droga do poczucia wolności.

CHUDZIŃSKI: *Jak Pan widzi szanse lewicy – dzisiaj?*

STĘPIEŃ: W ostatnim czasie przestałem rozumieć Leszka Millera. Jako „Kuźnica” mamy lepszą kartę. Nie głosowałem na panią Ogórek, ale żałuję, że podpisywaliśmy w „Kuźnicy” listę z poparciem jej kandydatury.

CHUDZIŃSKI: *Od dawna „Kuźnica” popełnia różne błędy, ale tłumaczy je zwykle względami pragmatycznymi.*

STĘPIEŃ: Kuźnica była zbyt długo i zbyt lojalna wobec SLD, chociaż widzieliśmy i niektórzy z nas dawali temu wyraz, że jego liderzy bardziej dbają o zaistnienie na politycznych salonach niż o wierność ideologii, do czego byli powołani.

Mam sympatię do Arnolda Znanieckiego i jego ruchu. Rozumiem jego dystans do SLD, niechęć do występowania wspólnie z Leszkiem Millerem. Ale za polityczny błąd uważam, że – przy zachowaniu swoich zasad – nie połączył się z całą lewicą w parlamentarnych wyborach. Z pewnością mielibyśmy dzisiaj nieco inną Polskę.

RATKOWSKI: *Podobnie jednak zachował się np. prof. Łagowski, który na łamach naszego „Zdania” mówił, że nie głosował na zjednoczoną lewicę ze względu na Palikot i przywołał przykład swego znajomego, który nie akceptował z kolei Millera...*

STĘPIEŃ: To jest ta „czystość” intelektualistów, to ich poczucie „estetyczności”, o które łatwiej niż im się to wydaje. A skutki takiej postawy, jak to i dzisiaj widać, okazują się zupełnie inne, niż ich intencje i życzenia.

CHUDZIŃSKI: *Dziękujemy za rozmowę i poświęcony nam czas.*

Rozmawiali:

Edward Chudziński, Stefan Cieplý, Filip Ratkowski
Kraków, 22 stycznia 2016 r.

KOWADŁO DLA PROFESORA MARIANA STĘPNIA

Rada „Kuźnicy” przyznała nagrodę *Kowadła* Marianowi Stępnia – uczonemu, politykowi i publicyście, jednemu z twórców Stowarzyszenia – człowiekowi, który pomógł mu przetrwać najtrudniejsze chwile, a w bolesnych czasach stanu wojennego przejął funkcję redaktora naczelnego „Zdania” chroniąc pismo przed likwidacją.

Uroczystość otworzył prezes „Kuźnicy” Andrzej Kurz trzykrotnym uderzeniem młota w kowadło, a obszerną laudację wygłosił profesor Tadeusz Bujnicki, wieloletni przyjaciel i współpracownik Mariana Stępnia.

Dorobek Profesora jako historyka literatury – wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego jest ogromny. Opublikował 25 pozycji książkowych i setki artykułów, a lista ta wydłuża się z roku na rok. W początkach swej drogi naukowej koncentrował się na literaturze przełomu XIX i XX wieku, opublikował pracę o Narcyzie Żmichowskiej, książkę uważaną do dziś za fundamentalną, potem, mimo zrozumiałych trudności, pisał o sporach literackich w łonie polskich środowisk w ZSRR w latach 20. i 30., oraz o lewicowym nurcie krytyki literackiej w czasach II Rzeczypospolitej. Największą część swego naukowego dorobku poświęcił jednak Profesor Stępień literaturze

emigracyjnej i jest w tej dziedzinie niekwestionowanym autorytetem.

Jako stypendysta amerykańskich fundacji Fulbrighta, i Kościuszkowskiej, prowadził obszerne badania źródłowe, jest członkiem-założycielem Stowarzyszenia Stypendystów Fulbrighta w Polsce, i otrzymał *fellowship* Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku. Na zaproszenie zagranicznych uniwersytetów wygłaszał odczyty m.in. w Jerozolimie, Moskwie, Pekinie, Cambridge (Wielka Brytania), Berlinie, Budapeszcie, Pradze, Kijowie, Wilnie. Wykładał na uczelniach Stanów Zjednoczonych i Meksyku, a jego książki i artykuły tłumaczone są na wiele języków, w tym także na chiński!

Za swoją pracę naukową, działalność publicystyczną i społeczną Marian Stępień otrzymał wiele odznaczeń i wyróżnień, między innymi krzyże: Kawalerski, Komandorski i Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski i Medal Komisji Edukacji Narodowej.

W trakcie uroczystego spotkania wielu kuźniczan dodało do tych oficjalnych, także całkiem prywatne wyrazy uznania i przyjaźni dla Profesora, a Jan Güntner uświetnił uroczystość swym kunsztem aktorskim. (F.R.)



Fot. Andrzej Głuc

TADEUSZ BUJNICKI

TWOJE ŚWIADECTWA OBECNOŚCI

Z Marianem Stępnem łączy mnie ponad sześćdziesiąt lat znajomości i wieloletnia przyjaźń. Ale nie tylko. Mogę bowiem mówić o Marianie, wybitnym i rzetelnym badaczu literatury, z którym moje drogi krzyżowały się często; Marianie – działaczu społecznym, Marianie – żarliwym publicyście, wreszcie o człowieku, którego cywilną odwagę przyszło mi nie raz podziwiać.

Lecz będę o nim mówił przede wszystkim jak **historyk literatury o historyku literatury**. Bo tutaj Marian zrealizował się chyba najpełniej. Poznałem Go na studiach polonistycznych. Był rok wyżej ode mnie. Studiowaliśmy w niedobrych latach 1950-1955, w momencie apogeum stalinizmu. A jednak... uczyliśmy się nie tylko uproszczonych formułek rzekomego „marksizmu”. Mieliśmy i to szczęście, że naszymi profesorami – nauczycielami byli wybitni uczeni: Stanisław Pigoń, Juliusz Kleiner, Zenon Klemensiewicz, z młodszych Kazimierz Wyka... Nazwiska można mnożyć. A obok nich – dopiero wstępujący „młodzi” (wówczas) marksiści – Henryk Markiewicz, Stefan Morawski, Marek Waldenberg. Ich podpisy mamy w naszych indeksach. Byliśmy „młodzi i gniewni” – nie aprobowaliśmy „konserwatywnych” poglądów „starej” profesury, ale przecież od nich się uczyliśmy. Poznawaliśmy ich wiedzę oraz znaczenie, jakie przywiązywali do faktu literackiego i jego osadzenia w historii.

Marian Stępień niewątpliwie – przyjmując dyrektywę marksistowską – wyraźnie kontynuował rzetelny, chciałoby się powiedzieć „pozytywistyczny” nurt badań. Rozpoczął wszakże od prac nad literaturą późnego romantyzmu uwieńczonych książką o Narcyzie Żmichowskiej, przybliżając się później ku czasom nam bliższym. Opanował wielki i znaczący „kawał” naszych literackich dziejów.

Nie będę mówił o jego „karierze” uniwersyteckiej. Zapisana w słownikach i encyklopediach nie wymaga powtórzenia. Natomiast chcę się bliżej przyjrzeć jego widzeniu literatury.

Kiedy przyglądałem się osiągnięciom Mariana, to zawsze mnie zadziwiała jego erudycja i wielkość dorobku. Bo półka z jego książkami jest długa – prze-

szło dwadzieścia „grubych” tomów, a przecież to nie wszystko; około pół tysiąca większych artykułów i rozpraw, obszerne fragmenty w akademickich podręcznikach i mnóstwo innych drobniejszych publikacji. Jego naukowa twórczość z reguły zmierzała ku syntezom, ku wielkim i znaczącym problemom literackim, które zarazem posiadały istotne znaczenie społeczne i światopoglądowe. W kręgu jego zainteresowań znalazł się nurt literatury i krytyki lewicowej (przede wszystkim międzywojennej), literatura emigracyjna, literatura powojenna. Wszystkim poświęcił ważne i znacznie poszerzające naszą wiedzę książki. Nie będę ich wymieniał, ale wspomnę o tych, które się mieszczą w nurcie dziś zapoznanym i „wyklętym” – nurcie literatury lewicowej. Kiedy je pisał – też nie było łatwo; większość „bohaterów” jego rozpraw zginęła w stalinowskich czystkach. Aby odtwarzać ich dorobek i tło pisarstwa, trzeba było szukać materiałów nieomal niedostępnych i ukrytych. Marianowi to się z reguły udawało!

Jakie jest więc to „pisanie naukowe” Mariana? Łatwe czy trudne? Zgodne z „nowoczesnymi”, modnymi metodologiami, czy „konserwatywne”? Nie wydaje się, aby tą drogą dało się ocenić jego naukowy dorobek. Bowiem dla niego pisanie o literaturze to nie była badawcza „sztuka dla sztuki” i „gra” z tekstem – to było przede wszystkim określanie miejsca oraz powinności społecznych i ideologicznych literatury. Ale wspartej na rzetelnej, zobiektywizowanej wiedzy. W tym sensie uprawianie przez Stępnia badań literackich miało istotną rolę edukacyjną oraz kierowało się do szerszego, nieprofesjonalnego, adresata.

I dlatego rzekomy „konserwatyzm” badacza się sprawdzał, wypełniał puste miejsca, wzbogacał wiedzę o literaturze. Prace jego cechuje dokładność materiałowa, rzetelność – chciałoby się rzec – „pozytywistyczna”. Wzorem – Ludwika Krzywickiego. Jest w tym również trwała inspiracja marksizmu, obraz literatury jako obrazu społecznej świadomości, w różnych jej indywidualnych ujęciach. Jego podejście było zawsze ostrożne i skromne, aż zbyt skromne w eksponowaniu efektów własnych badań. Do tych wszystkich cech warsztatu

Mariana dodajmy jeszcze jedną wcale niebiałą – olbrzymią pracowitość i jego dociekliwość, ciekawość.

W opisywanych dziełach, twórcach, środowiskach dostrzegał Marian Stępień przede wszystkim napięcie, konflikt i dramatyzm wywoływane różnicami między wyobrażeniem, marzeniem i ideą a ich realizacjami, praktyką, wreszcie zawłaszczaniem przez niepowołanych uzurpatorów.

I wreszcie „pro domo sua”. Z Marianem łączą nas wieloletnie lata naukowej współpracy. Do niej nas skłonił i tym samym związał ze sobą Henryk Markiewicz. Za jego zachętą powstały teksty, które były naszym wspólnym debiutem. Od artykułów ogłoszonych w „Życiu Literackim” w 1959 roku, przez wiele lat publikowaliśmy artykuły i rozprawy o krytyce lewicowych nurtów międzywojennych. To były dobre i ciekawe lata, razem „uczyliśmy się” sposobów pisania, opanowywaliśmy metodologię badawczą, prowadziliśmy poszukiwania i zawzięcie dyskutowaliśmy. W tych wielogodzinnych i częstych spotkaniach umacniała się nasza przyjaźń i rodziły się nowe pomysły. Praca wspólna współtworzyła nasz obraz literatury, wzmacniała intelektualnie, uczyła dialogu. Bez współpracy z Marianem na pewno nie powstałyby przynajmniej dwie moje książki i kilkadziesiąt artykułów.

Jednak aby odpowiedzieć dlaczego Marian Stępień otrzymuje nagrodę *Kowadła*, należy odpowiedzieć także na inne pytania. Nierozzerwalnie związane z jego postawą badacza, ale poza nią daleko wykraczającą. Wskazanie na Jego głęboko umotywowaną światopoglądowo działalność społeczną. Marian zawsze był człowiekiem lewicy. Jego zasługi społeczne są naprawdę wielkie. W znacznej i bardzo istotnej części wiążą się one z „Kuźnicą”. W trudnych latach 1983-89 był przecież redaktorem naczelnym „Zdania”.

Kształtowało nasze pokolenie doświadczenie legendarne 1956 roku. Mariana jednak – „doświadczyło” ono szczególnie gorzko, wówczas, kiedy jego ówczesne działania jako sekretarza KU na Uniwersytecie Jagiellońskim „oceniono” – naganą z ostrzeżeniem. Mimo to pozostał wierny swoim przekonaniom. Nie był nigdy „ortodoksyjny”, a jego zaangażowanie nie miało w sobie nic z zacietrzewienia, krańcowości, agresji. Często, podobnie jak w badaniach literackich, szedł pod prąd, wbrew koniunkturalizmom. Jego poglądy oczywiście ulegały ewolucji, ale z trwałością podstawowej lewicowej zasady, której nie obawiał się wyrażnie artykułować. Taki był na uniwersytecie, w „Kuźnicy”, jako wspomniany już redaktor „Zdania” i działający w reformatorskim ruchu partii – sekretarz KC w „czasach” Rakowskiego. Dotyczy to także jego publikacji wykraczających poza opłotki literackie. Zwłaszcza jednej z ostatnich książek: *Świadectwa obecności*, która dokumentuje wielkie życiowe doświadczenie Mariana, nie tylko „świadka”, ale i aktywnego uczestnika współczesności.

Dlatego na zakończenie warto podkreślić, iż takie osobowości jak Jego są nam niezwykle potrzebne. Stanowią bowiem punkt odniesienia, wzór, pozwalający mieć pewność, że taki wybór, jakiego dokonał, opłaca się i intelektualnie, i emocjonalnie. Nagrodę *Kowadła* uważam za uzasadnioną w całej pełni. Od dawna należała się Ci Drogi Marianie!

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Marianowi Stępniewi

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

► jego dorobku badacza dziejów
polskiej literatury XX wieku –
krajowej i emigracyjnej, nauczyciela
pokoleń studentów i adeptów nauki

► wiernego zaangażowania
w ideę socjalizmu i w polską drogę
do niego – od Października’56
do dzisiaj

► owocnego działania w szeregach
„Kuźnicy” od jej początków
i współprzewodniczenia
w trudnym dla niej okresie

Kraków, 27 stycznia 2016 r.

ANDRZEJ WALICKI

KARTKI Z DZIENNIKA 2011–2016

19 czerwca 2011, Pluski koło Olsztyna

Społeczne wymiary wolności

Fryderyk Hayek definiował wolność jako przeciwieństwo przymusu, czyli zależności od cudzej, arbitralnej woli. Definicja ta, uważana przez wielu za klasycznie liberalną jest jednak zbyt jednostronna i zawężająca, czego dowodzą m.in. koncepcje wolności opracowane przez innych wybitnych teoretyków nowoczesnego liberalizmu.

Klasyczną krytykę wymienionej definicji wolności sformułował, jak wiadomo, Karol Marks, wyszydzając koncepcję „wolnego” kontraktu między posiadaczem środków produkcji a głodującym i izolowanym (wskutek zakazu zrzeszeń) sprzedawcą własnej pracy. Krytyka ta uczyniła rzeczą oczywistą, że formalny brak przymusu może iść w parze z bezlitosnym przymusem ekonomicznym, mimo że nie jest on zależnością od czyjejś arbitralnej woli.

Idźmy jednak dalej. Co z tak banalnym problemem jak oszustwo? Czy można daną transakcję nazwać wolną, jeśli nabywca został oszukany i dostał nie to, czego chciał? Owszem, dał się oszukać „dobrowolnie”, ale dokonując tej transakcji nie realizował swojej wolności, przeciwnie – uszczuplił ją! Ma to oczywiście zastosowanie także do oszustw wyborczych, a więc do problemu wolności politycznej.

Czy arbitralne zmiany warunków pracy lub emerytury, krzyżujące plany ludzi i podkopujące podstawę ich bytu, nie są naruszeniem wolności? Są, ponieważ zmieniają treść prawomocnej umowy, a więc zmuszają ludzi do akceptacji czegoś gorszego. Dotyczy to oczywiście wszelkiego pozbawienia ludzi praw nabytych. Itd., itp.

Słowem, „dobrowolność” nie jest wolnością, bo może być rezultatem manipulacji, a nawet wymuszenia, szantażu lub stworzenia faktów dokonanych. Nie jest wręcz prawdą, że jedynym zagrożeniem wolności jest stosowanie formalnego przymusu. Wiemy dzisiaj aż nadto dobrze, że istnieje przemoc symboliczna oraz inne techniki wymuszania zgody, od manipulowania pokusami do manipulowania strachem. Szantaż lustracyjny w naszym kraju był przykładem ograniczenia wolności tzw. postkomunistów. Tak samo szantaż patriotyczny, czyli przywoływanie pojęcia „prawdziwych Polaków” w celu wykluczenia lub marginalizacji części współobywateli. Wszelkie formy zorganizowanej, świadomie stosowanej presji psychicznej są drastycznym ograniczeniem lub wręcz niszczeniem cudzej wolności. Zapominają o tym ci, którzy utożsamiają liberalizm z respektowaniem wolności rynku, ignorując fakt, że genezą liberalizmu była walka o wolność jednostkowe go sumienia.

Znamy argument tradycjonalistów, że bez pewnego quantum presji psychicznej nie może być spójnego społeczeństwa. A także argument zwolenników autorytaryzmu, że nie może być społeczeństwa bez przymusu. Co nie przeczy jednak prostemu stwierdzeniu, że im więcej presji i przymusu, tym mniej wolności.

Zauważmy, że dotyczy to również tych form nacisku społecznego, które skłonni jesteśmy uważać za pozytywne. Na przykład: czy akces do „Solidarności” w okresie euforii 1980 roku był zawsze aktem wolnym? Czy wystąpienia z PZPR po wprowadzeniu stanu wojennego były zawsze decyzjami prawdziwie wolnymi?

John Stuart Mill słusznie podkreślał, że wolności sumienia zagraża władza opinii publicznej. Zasada „ciśniesz przedwyborczej” milcząco uznaje, że wolne decyzje nie mogą być podejmowane w warunkach presji. Mobilizacja ideologiczna, zwłaszcza zaś mobilizacja zbiorowego entuzjazmu lub oburzenia, nie sprzyja wolności jednostek. Dowiodły tego m.in. klasyczne reżimy totalitarne, czerpiące siłę z różnych kombinacji wewnętrznego entuzjazmu z zewnętrznym przymusem.

Utożsamianie wolności z niezależnością od cudzej woli prowadzi do konkluzji, że wolni są właściwie wszyscy z wyjątkiem więźniów i niewolników. Tak jest przy interpretacji zawężającej, mówiącej tylko o zależności bezpośredniej i dosłownej. Zaś w interpretacji szerszej nikt nie jest wolny, bo manipulacja i presja docierają wszędzie.

Nie jest natomiast ograniczeniem wolności opór stawiany naszej woli przez prawa przyrody. Ale dlatego właśnie najłatwiej godzimy się z tymi ograniczeniami naszej woli i naszych możliwości, które maskują się jako konieczności przyrodnicze. Klasycznym tego przykładem jest nasza gotowość podporządkowania się obiektywnym rzekomo, quasi-naturalnym prawom rynku – nawet w sytuacjach, gdy są one ewidentnym rezultatem świadomych działań finansowych potentatów, manipulujących rynkiem we własnym interesie. Trzeba więc nauczyć się odróżniania żywiołowych form zniewolenia ekonomicznego od świadomego ukierunkowywania procesów gospodarczych przez praktykę niekontrolowanych społecznie imperiów finansowych.

Rynek jako taki – jako gwarant wolności produkcji i konsumpcji – nie jest wrogiem wolności, ale jednym z jej warunków. Nie zmienia to jednak faktu, że ograniczają lub unicestwiają naszą wolność manipulatorzy rynkowi, coraz potężniejsi i coraz mniej kontrolowani w warunkach globalizacji.

Demokracja polityczna nie jest synonimem wolności, może być nawet zaprzeczeniem wolności, gdy

oznacza faktycznie dyktaturę profesjonalnych polityków podporządkowanych dyktatorowi światowej oligarchii finansowej, ale za to zupełnie nie liczących się z wolą własnego elektoratu.

W swojej książce *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii* (PWN, Warszawa 1996, s. 71-78) poświęciłem wiele uwagi rozróżnieniu dwóch typów zależności (a więc dwóch typów zniewolenia) dokonane przez Marksa w *Grundrisse*: „zależności osobistej”, charakteryzującej formację przedkapitalistyczne i zreifikowanej „zależności obiektywnej”, czyli „zależności od „niewidzialnej ręki rynku”, pozostających wobec siebie w stosunku odwrotnie proporcjonalnym. W przeciwieństwie do liberałów Marks uważał tę drugą za znacznie gorszą od pierwszej – zniewalającą dogłębniej bo „niewidzialnie”, ogłupiającą i dehumanizującą zarazem. Większość ludzi sądzi z pewnością inaczej, uważa bowiem zależność osobistą za bardziej upokarzającą niż zależność od sił bezosobowych. Analiza racji przemawiających za każdym z tych przeciwstawnych poglądów wymagałaby napisania całej książki o tragicznych dylematach wolności. W niniejszych uwagach ograniczyć się muszę do stwierdzenia, że wyrazistość omawianej typologii zatarła się nieco w epoce globalizacji; rynek światowy nie jest już bowiem domeną prawdziwie „niewidzialnych” bezosobowych sił, mówiąc „rynki” mamy na myśli układy osobowe, ludzi posiadających adresy, ulegających emocjom i mogących popełniać błędy.

Ponadto uwyraźniła się rola społecznych mechanizmów, ani rynkowych, ani bezpośrednio politycznych, a więc ani bezosobowych (w sensie rynkowym), ani osobowych (w sensie bezpośredniego nakazu). Jest to właśnie przemoc symboliczna, manipulacja, mobilizowanie nacisków i pokus, obecne we wszechobecnej perswazji i reklamie, na każdym kroku. A więc ani rynek nie jest już „obiektywnym biegiem rzeczy”, ani pozarynkowe formy ograniczania wolności nie występują już w postaci jednoznacznych „zakazów” i „nakazów”. Zwiększa to znacznie trudność określenia granic wolności. Mnożą się sytuacje niejasne: ktoś prowadzi życie niewolnika, ale sam tak chce, ktoś inny podporządkowuje się restryktywnym zasadom z dobrej i nieprzymuszonej woli, ktoś jeszcze zachowuje się jak pozbawiona podmiotowości marionetka, ale nie wie o tym, czuje się wolny. I tak dalej.

W tych warunkach zadaniem ludzi chcących promować wolność staje się maksymalne wspieranie świadomego nonkonformizmu – zwłaszcza moralnego i intelektualnego, bo w sferze praktyki konieczne są wszak kompromisy. „Opinia publiczna”, jak słusznie twierdził J.S. Mill, to nie coś, do czego trzeba się przystosować, ale zagrożenie własnej autonomii, z którym nieustannie trzeba walczyć. Liberalizm musi więc:

1. ograniczać władzę polityczną,
2. ograniczać władzę ekonomiczną,
3. ograniczać władzę opinii, zdominowanej przez media.

W Polsce, niestety, istnieje świadomość tylko pierwszego z tych zadań.

1 października 2011

Dziwny „liberalizm”

Zdumiewające! Dzisiejsza „Gazeta Wyborcza” (1-2 10 2011, s. 21) w osobie swego reprezentatywnego

przedstawiciela, Mirosława Czecha, wypowiada pogląd że Leszek Miller słusznie „wyraża zawód z powodu zbytniej lewicowości (!) partii rządzącej, nominalnie liberalnej”. Że w sporze z Balcerowiczem o OFE Tusk ostatecznie porzucił „liberalne pryncypia, które legły u podstaw polskiej transformacji, na rzecz interwencjonizmu państwowego”. I że przyszły rząd „będzie musiał być bardziej liberalny niż socjaldemokratyczny”, a więc „premier Tusk, aby sprostać historii, musi powrócić do swoich liberalnych korzeni. Polsce potrzebne jest liberalne szarpnięcie, w przeciwnym wypadku ugrzęźniemy w biurokratycznej hybrydzie à la Grecja”.

A więc najważniejsze jest nie to, czy uda się powstrzymać Jarosława Kaczyńskiego, ale to, „co Tusk zamierza zrobić z Polską”! Jest to bardzo zły, zgubny wręcz wybór priorytetów. Tym bardziej że z gruntu błędne jest utożsamianie nowoczesnego liberalizmu z dogmatyczną „wolnorynkowością”, forsowaną przez ludzi nazywanych w USA neokonserwatystami, a w Europie neoliberalami.

Michnik, na szczęście, rozkłada akcenty nieco inaczej. A we fragmentach programu (na s. 4-5) PO zapowiada państwo, które „nie narzuca obywatelom przekonań, nie poucza i nie wyklucza nikogo. Akceptuje złożoność rzeczywistości, odrzuca radykalizm polityczny, broni spotkania wolności i solidarności pod rządami prawa”.

Za to PiS chce „jakości moralnej” państwa, przez co rozumie „uczciwe rozliczenie komunistycznej przeszłości i oczyszczenie życia zbiorowego RP z wynaturzeń”, które ponoć „nabrały szczególnej intensywności w związku z katastrofą smoleńską”. Innymi słowy, dzielenie społeczeństwa i krucjata ideologiczna (bo przecież nie „moralna”) przeciwko „gorszej” jego części.

Nie spodziewałem się tak dobrych sformułowań, jak przytoczone wyżej deklaracje PO, ani też tego, że PiS tak jawnie wróci do programu IV RP. Ale zarazem zdumiewa mnie negatywnie, że na łamach „Gazety Wyborczej” tak jawnie i wprost reklamowany będzie program powrotu do wolnorynkowego dogmatyzmu Leszka Balcerowicza.

22 października

Wydaje się niestety, że ta dziwna, moim zdaniem, opcja będzie znakiem rozpoznawczym „Gazety”. Świadczy o tym oburzający artykuł M. Czecha pt. *Tusku, więcej liberalizmu* („GW”, 22-23 10 2011, s.22). Jest to frontalny atak na państwo opiekuńcze, na „przyjaciół ludu” (autor uważa to określenie za zdyskredytowane), a jednocześnie panegiryk na cześć Balcerowicza, którego dokonania ponoć „bronią się same”. Szkoda tylko, że Balcerowiczowi nie udało się usunąć z konstytucji zapisów na temat bezpłatnej edukacji i opieki zdrowotnej, które uważał za „puste” i hamujące rozwój.

Co ciekawsze, publicysta „Gazety” uznał całą polską transformację za niedostatecznie „Balcerowiczowską” i z tego powodu nieudaną: „Nasza transformacja nie powiodła się, gdyż została zbudowana na kompromisie między wymaganiami budowy kapitalizmu w kraju biednym i zacofanym a dostosowaniem się do modelu europejskiego państwa opiekuńczego. Po decyzjach w sprawie OFE mocno przechylił się w stronę równości i dbałości o sprawiedliwość społeczną”.

Towarzyszy tej diagnozie (s.20-21) artykuł Witolda Gadomskiego *Świat oszalał* z takim oto podtytułem: *Do-bija ranne i chore banki oraz państwa, które się lekko-*

myślnie zadłużyły. Jak hiena. I oczywiście teza, że winowajcami kryzysu nie są banki, ale menedżerowie i politycy. To jasne: Gdamski zawsze twierdził, że system kapitalistyczny jako taki za nic winy ponosić nie może.

Mnie osobiście bardzo przykro jednak, że liberalizm kompromitowany jest w ten sposób przez wpływową gazetę, w innych sprawach rzeczywiście liberalną.

22 grudnia

Niebezpieczeństwa nieodpowiedzialnej stadności

W „Polityce” (nr 51, 14-20 12 2011, s. 34-36) przeczytać można niezmiernie ciekawą rozmowę z anonimowym inspektorem pracy, niejakim Marcinem, pt. *Zmowa-zlecenie* – o tym, jak Polacy wymknęli się spod opieki kodeksu pracy, we wspólnym interesie pracodawców i pracobiorców, polegającym na oszukiwaniu ZUS-u. Dziś „niejeden chętnie wróciłby pod ten parasol”. Ale początkowo wydawało się korzystne wykorzystanie klauzuli „umowa-zlecenie”, aby nie płacić ZUS-owi składek! W efekcie pojawiły się problemy z podstawowymi normami, choćby BHP, z badaniami lekarskimi i z innymi świadczeniami, nie mówiąc już o urlopach i emeryturach. Cofnęliśmy się do XIX wieku lub do Trzeciego Świata. Ale wielu osobom jest to na rękę, bo nie są formalnie zatrudnione i mogą jeszcze dostawać zasiłek.

Zgroza!

Przyszło mi do głowy, że warto zastanowić się nad konsekwencjami historycznie ukształtowanego charakteru narodowego dużej części Polaków, które ujawniły się w naszych postPRL-owskich już czasach.

O tym, co ujawniło się w PRL-u w okresie 16 miesięcy pierwszej „Solidarności”, pisałem na łamach londyńskiego „Aneksu” (*Myśli o sytuacji politycznej i moralno-psychologicznej w Polsce*, t. 35, 1984, s. 82-104) wywołując tym bardzo burzliwą dyskusję. Tym razem zogniskuję uwagę na różnicach między zachowaniami wielu rodaków w niepodległym już państwie a zachodnią normą demokratyczno-liberalną.

Wciąż potwierdza się, moim zdaniem, diagnoza, że Polaków cechuje anarchizujący kolektywizm, a nie etos indywidualistyczno-liberalny. Kłótlivy, często dewiacyjny wręcz, mogący przechodzić we wzajemną nieufność i niechęć, ale jednak kolektywizm, czyli nadmierne uzależnienie „każdego od wszystkich”, a więc konformizm moralno-umysłowy, czyli stadność. Ważną cechą w tej stadności jest błędne przekonanie, że jeśli postępujemy „tak jak wszyscy”, to jesteśmy bezpieczni. Nie sprzyja to, niestety, zachowaniom odpowiedzialnym, ponieważ podmiotem odpowiedzialności może być tylko racjonalnie myśląca jednostka.

Nie mam zamiaru przeczyć, że tendencja kolektywistyczna mieć może postać kolektywizmu moralnego, przybierającego atrakcyjną postać solidarności patriotycznej. Bywało tak niezliczoną ilość razy w wypadku Polaków przyłączających się do powstań narodowych wbrew własnym poglądom politycznym, w imię solidarności z walczącym narodem lub (co nieco mniej chwalebne) w obawie przed infamią. W niniejszych rozważaniach będę jednak mówić tylko o jednoznacznie negatywnym aspekcie rezygnacji z zachowań odpowiedzialnych na rzecz „owczego pędu”, czyli bezrefleksyjnego naśladowania niemądrych zachowań krótkowzrocznej większości, myślącej zgodnie z regułą, że „lepszy wróbel w garści”, a potem „jakoś to będzie”.

Przykładem takiego właśnie zachowania było wymknięcie się spod opieki kodeksu pracy, w imię doraźnej korzyści niepłacenia składek.

Oczywisty jest, jak sądzę, związek takich zachowań z cechującą wielu Polaków przesadną, choć mającą historyczne przyczyny, nieufnością do państwowości (związaną oczywiście z tym, że w okresie zaborów była państwowość obca). Polacy przywykli niejako do pomagania sobie w oszukiwaniu państwa, a więc trudno się dziwić, że bardziej zaufali klientelistyczno-kumplowskiemu układowi niż ZUS-owi. Klientelizm był zresztą polską cechą od zawsze. W Rzeczypospolitej szlacheckiej bardziej ufano klientelistycznym relacjom z magnaterią niż władzy ogólnopaństwowej, którą podejrzewano o najgorsze. W czasie okupacji niemieckiej oszukiwanie władzy, nawet municypalnej, a więc w jakimś sensie polskiej, było narodową cnotą. W PRL żyło się, jak pisał Adam Podgórecki, we „wspólnotach brudnych interesów”, moralnie wątpliwych, ale (jak dowiódł przekonywująco inny socjolog, Winicjusz Narojek) dających poczucie wzajemnej poręki, względniego bezpieczeństwa i zakorzenienia w rzeczywistości. Nic dziwnego więc, że nadmiar zaufania do „brudnych układów” personalnych, w połączeniu z programowym brakiem ufności wobec instytucji państwowych, przetrwał ustrojową transformację. Zaś szkody społeczne, które stąd wynikły i za które długo będziemy musieli płacić, to sprawa zupełnie inna.

Na razie przejmujemy się tą perspektywą zadziwiająco mało. Wizja wyłączenia społeczeństwa z uprawnień socjalnych, łącznie z drastyczną redukcją emerytur, wywołuje wprawdzie protesty poszczególnych grup zawodowych, ale w sumie przyjmowana jest ze stoickim niemal spokojem, grzeszącą beztroską raczej niż histerią. Szczególnie dziwna wydaje się zwłaszcza bierność licznego i wpływowego, zdawałoby się, środowiska naukowego, niepotrafiącego zdobyć się na efektywny protest wobec radykalnej reformy, która nie tylko pozbawia je autonomii, ale wprowadza na to miejsce małostkowy nadzór biurokratyczny i błędne w samym założeniu zasady komercjalizacji. Kontrastuje to z energicznymi, irracjonalnymi nieraz protestami w sprawach czysto symbolicznych, religijnych i narodowych, aczkolwiek często kompromitujących egzaltację religijną i niemających nic wspólnego z narodowym interesem.

Wymieniony wyżej Adam Podgórecki, w tekście cytowanym przeze mnie w roku 1981, w polemice z patriotyzmem solidarnościowych radykałów, nazwał to postawą „spektakularnej pryncypialności”. Cytuję: „Przez spektakularną pryncypialność rozumiemy postawę, która wyraża się nie tylko w aprobacie danych norm i wartości, lecz również w celebrowaniu ich jako świętych i mających walor symboliczny. Wśród Polaków wyraźnie przejawia się tendencja do traktowania ze szczególnym szacunkiem tego wszystkiego, co wiąże się z ojczyzną, niepodległością polityczną i martyrologią narodową. (...) Zwyczajna, zdroworozsądkowa pryncypialność jest tej postawie obca”. (A.Podgórecki, M.Łoś, *Multidimensional Sociology*, London 1979, s. 240-241)

Po upływie wielu lat mogę ponownie przytoczyć te słowa, w poczuciu ich nieprzebrzmiałej aktualności. Widzę w nich potwierdzenie własnego poglądu, że wielu Polakom obce są cechy racjonalno-indywidualistycznej kultury społeczeństw zachodnich. W tym również

racjonalne i odpowiedzialne rozumienie własnego jednostkowego interesu, co znalazło wyraz w „wymknięciu się” spod opieki kodeksu pracy.

28 luty 2012

Refleksje z powodu reformy emerytalnej

„Gdy wydajność jest do kitu
Wiek obniżę emerytur”

– mówił Gomułka w operze Janusza Szpotańskiego *Cisi i gęgacze*. A więc „obniżę”, a nie „podwyższę”. Słusznie! Bo dłużej pracujący blokują miejsca pracy dla młodych, co szkodzi gospodarce.

Dlaczego więc Donald Tusk chce podnieść granicę wieku emerytalnego, mimo że mamy 13 procent bezrobotnych, w tym 60 proc. ludzi młodych, na tzw. umowach śmieciowych? Dlatego, że interes gospodarki w naszym obecnym ustroju nie pokrywa się z interesem rządu! Rząd nie czuje się odpowiedzialny za miejsca pracy, bo to sprawa pracodawców; jeśli zatrudni się więcej młodych, to zyska na tym wprawdzie gospodarka, ale rząd do tego nie dopłaci. Natomiast podniesienie wieku emerytalnego zaszkodzi wprawdzie gospodarce, ale ułatwi życie rządowi, bo nie będzie musiał dopłacać z budżetu tak wielu emerytom. Czyli: strata dla gospodarki, ale dla rządu czysty zysk! Ale ja wołałbym zysk dla gospodarki nawet kosztem straty dla rządu. I chyba nie jestem w tym odosobniony.

Ponadto trzeba mieć jakieś zasady.

Zasada 1: Nie może być „społecznego przymusu pracy”, to idea czysto bolszewicka. To przymus pozaekonomiczny, czyli niewolnictwo państwowe! A przecież finansowe kary za wcześniejsze przejście na emeryturę byłyby w istocie formą przymusu. Obowiązkowy wiek emerytalny to tyle, że po jego osiągnięciu traci się pracę. Ale jeśli się chce, jeśli godzi się na niższą (proporcjonalnie niższą) emeryturę, to przejść na emeryturę wcześniej, bez potrzeby jakiegokolwiek uzasadnienia tej decyzji. Wysokość emerytury zależy od liczby przepracowanych lat, a nie od liczby lat, które (statystycznie biorąc) może jeszcze przeżyć przechodzący w stan spoczynku pracownik.

Zasada 2: Powszechność świadczeń emerytalnych, czyli zabezpieczeń przed przymusem ekonomicznym. To też ABC sprawiedliwości społecznej. Przymus pozaekonomiczny odrzucam jako liberał, a na przymus ekonomiczny nie godzę się jako liberał lewicowy.

22 września 2013

Wolność ludzi czy wolność rynku?

Uwagi o antologii Leszka Balcerowicza

Przeszło tysiącstronicowa antologia Leszka Balcerowicza pod tytułem *Odkrywając wolność Przeciw zniewoleniu umysłów* (Poznań 2012) jest zbiorem tekstów mówiących faktycznie o tym, czym nie jest nowoczesny liberalizm, ale zawsze dobrze informujących o tym, jak rozumieją liberalizm neoliberalni reformatorzy gospodarki polskiej. Mówiąc najkrócej, istotą liberalizmu jest w tym ujęciu absolutna nienaruszalność prywatnej własności i całkowita wolność rynku. Oba te dogmaty zgodne są z ideologią amerykańskiego CATO Institute, założonego przez libertarianów (czyli zwolenników skrajnie antyetatystycznego kapitalizmu), których nikt w USA za liberałów nie uważa. Dla autora antologii nie ma to jednak znaczenia, sądzi on bowiem (patrz s. 35), że libertarianie

właśnie są prawdziwymi liberałami, a większość partii określających się jako „liberalne” ma w istocie orientację socjaldemokratyczną. Nie ma przeto wahań wobec umieszczenia w książce tekstów ilustrujących – w ramach odkrywania wolności – myślenie skrajnie konserwatywnych i głęboko antyliberalnych w istocie apologetów nieokiełznanego kapitalizmu. Oto parę przykładów:

Antony de Jasay, 2010 (s. 271-272): „liberalna demokracja” to wewnętrzna sprzeczność, bo liberalizm jest definicyjnie sprzeczny z demokracją i pogodzić się z nią nie da. Albo bowiem własność jest najwyższym prawem (jak twierdzi ponoć liberalizm), albo wola ludu.

Tenże Jasay, 2007 (s. 670): To biedni i średniozaможni wyzyskują bogatych, nie odwrotnie.

William A. Niskanen, 2000 (s. 102): Bernard Madoff odsiaduje wyrok 150 lat więzienia za oszustwo finansowe w skali 60 milionów dolarów, a tymczasem siedzieć powinni byli prezydenci Roosevelt i Johnson za wprowadzenie ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych (Social Security i Medicare), co obciążało Amerykanów stumiliardowym długiem.

Vito de Tanzi, 2005 (s. 643): Państwo powinno dopilnować, aby ludzie nie lekceważyli starań o zabezpieczenie swojej starości, co należy uczynić przez wprowadzenie wymogu, aby każdy określoną część swoich dochodów lokował w prywatnych funduszach (czyli przymus oszczędzania w prywatnych instytucjach w rodzaju OFE!).

I tak dalej, i temu podobne. A wszystkie te pomysły podbudowywane koncepcją natury ludzkiej jako nieuchronnie ponoć zachłannej i agresywnej, zgodnie z tezami twórców tzw. socjobiologii. A także, oczywiście, tezą o absolutnej nadrzędności własności prywatnej jako fundamentu cywilizacji.

Warto przypomnieć w związku z tym, że idea nieograniczonej własności prywatnej i „świętości kontraktu” pojawiła się w chrześcijańskiej Europie wraz z teorią absolutnie wolnej woli, która w paradoksalny sposób uzasadniała niewolnictwo. Człowiek (jak dowodzili wielcy scholastycy w XVI wieku – L. de Molina i F. Suarez) jest panem (dominus) własnej woli, a więc może sprzedać się w niewolę wraz z całym potomstwem, a kontrakt taki jest obowiązujący dla przyszłych pokoleń. Píše o tym R. Tuck w książce *Natural Rights* (Cambridge 1979), podkreślając związek tych idei z praktyką handlu niewolnikami z Afryki. Amerykańscy właściciele niewolników w wielu wypadkach mieli bowiem po swojej stronie formalnie nabyte prawo własności.

Jedną z niewątpliwych zasług myśli liberalnej jest jednak uznanie niezbywalności wolności, a więc nadrzędności praw ludzkich nad prawami właścicieli. W antologii Balcerowicza nie znajdziemy jednak obrazu rozwoju i obecnego stanu myśli liberalnej. Nie ma w niej T.H. Greena, Hobsona i Hobhouse’a, Crocego i Deweya, a także, rzecz jasna, twórców liberalnego państwa dobrobytu, czyli Beveridge’a i Keynesa, Wilsona i Roosevelta. Oczywiście nie ma też Johna Rawlsa, twórcy najświetniejszej liberalnej teorii sprawiedliwości, ogłoszonej w roku 1971 i do dziś dnia zachowującej pozycję najważniejszego tekstu na ten temat w rozległej i wciąż rosnącej literaturze przedmiotu.

Antologia Balcerowicza nie zasługuje więc na swój tytuł, zaciemnia bowiem, a nie rozjaśnia obraz współczesnych sporów o istotę i granice ludzkiej wolności.

23 października 2013

Ignorowany przez nas powrót kwestii społecznej

O powrocie kwestii społecznej pisze T. Judt w ostatnim rozdziale ważnej książki *Reappraisals. Reflections on the Forgotten Twentieth Century* (London 2008).

Przyznaje, że państwo nie może już organizować produkcji, ale podkreśla zarazem, że tylko ono może zagwarantować służbę zdrowia, transport, edukację i masową rekreację. A jest to niezbędne, ponieważ kwestia społeczna powróciła i nie zniknie!

W 2005 roku słuchacze BBC za największego filozofa wszystkich czasów uznali Marksa. Bo zaczęły się potwierdzać jego prognozy co do nieuchronnej polaryzacji społecznej w kapitalizmie. Okazało się, że Leszek Kołakowski pomylił się ogłaszając całkowitą dezaktualizację marksizmu.

Dlaczego więc u nas zamyka się na to oczy? Postaram się odpowiedzieć na to pytanie w punktach.

Po pierwsze, szantaż patriotyczny. Odrzuca się priorytety społeczne w imię rzekomego „dobra narodu”, jego modernizacji, prestiżu i siły. Jest to oczywiście absurd aksjologiczny, bo lekceważenie palących problemów społecznych nie może służyć dobru narodu.

Po drugie, nieustannie odczuwana potrzeba obozu postsolidarnościowego, aby wyolbrzymić swe sukcesy przez odmowę przyznawania się do błędów i ignorancji (choćby nie wahał się czynić tego Jacek Kuroń). Co dziwniejsze, demontaż państwa opiekuńczego uzasadniany jest często... potrzebą zwiększenia wolności!

Po trzecie, zwyczajny egoizm ludzi umiających się urządzać, zdrowych, nie chcących słyszeć o potrzebach ludzi starych, młodzi, o zobowiązaniach wobec przyszłości kraju. Dobrze współgra to z typowo polską, krótkowzroczną bez troską, wyrażoną w powiedzeniu „jakoś to będzie”.

Po czwarte, ideologia prawicy wolnorynkowej, głoszącej bezwstydnie, że wszystkie problemy rozwiąże mitologizowany rynek. W mądrość rynku nie należy wątpić, a tym bardziej jej korygować. Oczywiście jest, że ta filozofia nieingerencji zwalnia społeczeństwo od troski o własne losy, ku zadowoleniu beneficjentów status quo.

Dodajmy do tego, że beneficjenci systemu stosują bez skrupułów chwyt poniżej pasa: indoktrynują, zawstydzają, zastraszają, a tzw. naród pozwala „tyranizować samego siebie” (jak to trafnie ujął J.S. Mill). Sprzyja temu niestety notoryczny wśród Polaków brak odwagi cywilnej, co tak uporczywie podkreślał Cyprian Norwid.

14 września 2014

Dziewięćdziesięciolecie Andrzeja Werblana

Przedstawicielom tzw. pokolenia 1968 nazwisko Andrzeja Werblana, wieloletniego przewodniczącego Wydziału Nauki KC PZPR, kojarzy się głównie z jego artykułem o genezie konfliktu w partii, opublikowanym w czerwcu 1968 roku i interpretowanym jako wsparcie udzielone antysemitom poczynaniom frakcji generała Mieczysława Moczara. Jest to jednak interpretacja mylna i krzywdząca. Artykuł Werblana nie miał charakteru ideologicznego; mówił tylko o potrzebie uwzględniania w analizach politycznych ważnego społecznego procesu polonizacji ruchu komunistycznego w Polsce, a więc odchodzenia od tradycji Komunistycznej Partii Polski, będącej (i podkreślającej to w swojej nazwie) nie partią polską, ale partią wieloetnicznego proletariatu Polski

w sensie terytorialnym. Ważność tej ewolucji jest oczywista, niezależnie od tego, jak ją oceniamy. Nie jest też antysemityzmem twierdzenie, że nie było żadnego powodu, aby liczni w KPP przedstawiciele dyskryminowanej i krzywdzonej w Polsce mniejszości żydowskiej mieli mieć taki sam stosunek do tzw. afirmacji narodowej jak większość etnicznych Polaków. I nie było też żadnym „moczaryzmem” podkreślenie, że Gomułka był przysięgłym krytykiem „błędów KPP w kwestii narodowej” (o czym można się przekonać czytając jego pamiętniki wydane później przez Werblana). W roku 1968, w warunkach antysemityzmu histerii, służącej interesom żadnych posad karierowiczów, spokojna i rzeczowa analiza kwestii narodowościowej w polskim ruchu komunistycznym nie mogła mieć miejsca.

Werblan w gruncie rzeczy zawsze reprezentował w PZPR stanowisko pragmatyczne, opowiadające się za porzuceniem komunistycznych dogmatów (lub ich resztek) na rzecz nieideologicznie pojmowanego państwowego interesu. Było to zgodne z koncepcją politycznego realizmu, którą sformułował w roku 1946 wybitny teoretyk PPS, profesor Julian Hochfeld i która stała się wyróżnikiem działaczy PZPR o genealogii PPS-owskiej.

Po pojawieniu się „Solidarności” i szesnastu miesiącach jej burzliwych działań Werblan znalazł się wśród tych stosunkowo nielicznych działaczy PZPR-owskiej elity, którzy wyraźnie zdawali sobie sprawę, że nadchodzi czas nieodwracalnych przemian. Posunął się nawet do wsparcia tzw. struktur poziomych w partii, co było radykalnym zerwaniem z obowiązującą polityką demokratycznego centralizmu. Trudno się więc dziwić, że po wprowadzeniu w kraju stanu wojennego Moskwa stanowczo zażądała – w marcu 1982 roku – usunięcia go (wraz z Rakowskim, Barcikowskim i Kubiakiem) ze wszystkich stanowisk rządowych i partyjnych. Sprawilo to, że 21 lipca 1982 roku utracił stanowisko wicemarszałka sejmu. Pozostał jednak, nieoficjalnie, ważną postacią w kręgu otaczającym gen. Jaruzelskiego, wywierając pewien wpływ na przebieg wydarzeń, zwłaszcza w polityce dotyczącej nauki.

O tym, jak wpływ ten widziany był oczyma przeciętnych pracowników ówczesnych służb specjalnych informuje książka wydana przez Instytut Pamięci Narodowej pt. *Spętana Akademia. Polska Akademia Nauk w dokumentach władz PRL* (t. 1, Warszawa 2009). Czytamy w niej, że w PAN, w roku 1983, panoszyły się i nagradzane były różnymi wyróżnieniami osoby znane z „wrogiej działalności antysocjalistycznej”, a głównym obrońcą i rzecznikiem ich dążeń, sprzecznych z „podstawowymi interesami ustrojowymi PRL” był profesor Andrzej Werblan (s. 422 i 459). Autorzy tych wypowiedzi wiążą to z wyraźnymi wśród polskich humanistów wpływami obszarnictwa, warstw urzędniczych związanych z II RP oraz masonerii (s. 372). Miło mi było stwierdzić, że nie zapomniano w tym kontekście o mnie. Określony zostałem jako człowiek „prezentujący wyjątkowo negatywne stanowisko wobec założeń ustrojowych PRL, udzielający wsparcia i ochrony osobom prowadzącym działalność antypaństwową” (s. 392). Moja kandydatura na członka-korespondenta PAN, zgłoszona w roku 1983, budziła więc poważne obiektywne „z uwagi na postawę polityczną, dotychczasową działalność antypaństwową oraz niejednokrotnie wątpliwy dorobek naukowy” (tamże). To samo dotyczyło m.in. Klemensa Szaniawskiego

i Marii Janion. W innym miejscu (s.422) wymieniono mnie obok takich wrogów ustroju jak Henryk Samsonowicz i Barbara Skarga. Werblan zaś – powtarzam – uznany został za głównego protektora tych osób.

W intencji wydawcy książki, czyli IPN, informacje te służyć miały udowodnieniu tezy o „spętaniu” PAN przez tajne służby. W rzeczywistości jednak udowodniono coś przeciwnego, ukazano bowiem PAN w dobrym świetle, jako instytucję nie dającą się „spętać”, a reformatorom partyjnym – zarówno spośród członków PAN (np. Władysław Markiewicz), jak i spoza ich kręgu (Werblan) – wystawiono świadectwo nadspodziewanie wręcz dodatnie.

Zakończę te refleksje wspomnieniem z okresu, gdy znałem już Werblana osobiście, Polska zaś odrzuciła gorset PRL-owski.

Mam przed sobą pierwszy numer „Polityki Polskiej” z lipca 1990 roku – pisma do niedawna drugoobiegowego, nawiązującego do racjonalnych wątków myśli Romana Dmowskiego. Na okładce tego pisma, uchodzącego za prawicowe, znajduję własne nazwisko jako autora artykułu kwestionującego stosowanie w odniesieniu do PRL terminu totalitaryzm oraz stanowisko Stanisława Stommy, seniora niezależnej myśli czasów PRL, opozycyjnej wobec jej ustroju, ale koncyliacyjnej zarazem. W środku numeru znajdują się z kolei doskonały artykuł Bronisława Łagowskiego, będącego dziś najbardziej nieprzejednanym krytykiem ułomności i śmieszności pseudoprawicowego radykalizmu III RP. Wszystkie te osoby należały do Rady Redakcyjnej pisma, obok Johna Graya, Stefana Kisielewskiego i Pawła Hertza, a do redaktorów należeli m.in. Rafał Matyja, K.M. Ujazdowski i Tomasz Wołek. Ta dziwna dziś konstelacja nazwisk możliwa była dzięki temu, że słowo prawica oznaczało wówczas politykę umiaru, odrzucającą prymat walki o władzę, a tym bardziej obsesję rozrachunków politycznych. Za priorytet uważano przemiany gospodarcze i prawne, możliwe do realizacji w konstruktywnej współpracy ze środowiskiem „postkomunistycznym”. Dowodem takiej postawy była otwierająca numer dyskusja o bilansie PRL. Nie ma w niej zupełnie demonizowania rzekomego komunizmu lub redukcjonowania okresu PRL-owskiego do czarnej dziury. Przeciwnie, wyraźnie występuje dążenie do ukazania również pozytywów porzuconego ustroju.

Zamknięciem tej dyskusji była wypowiedź Werblana – bardzo krytyczna wobec formacji politycznej, do której należał, ale zarazem bardzo wyważona w rozłożeniu akcentów. Wielka szkoda, że poziom wymiany poglądów możliwy w roku 1990 załamał się wkrótce potem, a w późniejszym okresie często przybierał postać karykaturalną, uniemożliwiającą racjonalną dyskusję i głęboko zniekształcającą samowiedzę polityczną.

4 czerwca 2015

Czy relacje polsko-rosyjskie muszą być „grą o sumie zerowej”?

Trudno nie zauważyć, że w naszej polityce zagranicznej dominuje kompleks peryferyjności wobec Zachodu, połączony z przekonaniem, że można kompensować to sobie odgrywaniem kierowniczej roli w europejskiej polityce wschodniej, rozumianej jako przeciwdziałanie politycznym i gospodarczym wpływom postradzieckiej Rosji. Innymi słowy, uważamy z reguły, że kraj nasz powinien być antyrosyjskim ba-

stionem (słynna teoria przedmurza), a nie pomostem łączącym Rosję z Europą.

Na początku 2004 roku miałem możliwość uczestniczenia w zorganizowanej w Warszawie międzynarodowej konferencji o *Nowej geopolityce*. Z góry przewidziałem jednak, że nie będzie to dobre miejsce do dyskusji nad tezą (której chciałem bronić), że Polska powinna konstruktywnie włączyć się w gospodarczą współpracę niemiecko-rosyjską, ponieważ moglibyśmy na tym sporo skorzystać, zdobywając jednocześnie szacunek obu sąsiadów, a bezpieczeństwo (wraz z granicą zachodnią) mając zabezpieczone przez członkostwo w UE i w NATO. Główny organizator konferencji wyjaśnił mi wprost, że jest to (jego zdaniem) teza głęboko błędna, Polska bowiem, aby uniknąć wasalizacji przez Niemcy, musi być jednoznacznie proamerykańska i antyrosyjska. W przeciwnym wypadku straci znaczenie, jest ono bowiem funkcją „rosyjskiego zagrożenia” lekceważonego przez UE, a zwłaszcza przez Niemcy.

W bardziej skrajnej formie rozwijał podobny pogląd Jan Rokita w artykule *Polska i nowe niemieckie mocarstwo*, opublikowanym w piśmie „Europa” (dodatek do „Dziennika”), w lutym 2007 roku. Dowodził tam, że peryferyjność Polski skazuje ją na drugorzędność, ale że można temu przeciwdziałać przez ekspansję na Wschód, czyli przez „strategię rozciągania europejskiego centrum na wschód tak daleko, aby objęło ono Warszawę” (patrz: *Idee z pierwszej ręki. Antologia najważniejszych tekstów „Europy”*, Warszawa 2008, s.87). Inaczej mówiąc, aby Polska znalazła się w centrum, Rosja musi być odepchnięta na wschód – im dalej, tym lepiej.

A więc musimy odpychać Rosję nie dlatego, że nam zagraża, ale dlatego, aby znaleźć się bliżej zachodniego centrum, uciekając w ten sposób przed peryferyjnością. Zatem nie polityka obronna, ale ekspansja w postaci czystej.

W tej perspektywie polski *Drang nach Osten* nie może mieć nic wspólnego z wolnościową europeizacyjną *misją wobec Rosji*. Przeciwnie: Rosja zeuropeizowana zmarginalizowałaby Polskę, zwiększając swą atrakcyjność w oczach narodów Zachodu! To samo mówił niegdyś ideolog endecji, Jan Ludwik Popławski na pogrzebie liberalnego rzecznika ugody polsko-rosyjskiej, Włodzimierza Spasowicza. W interesie Polski – dowodził – jest Rosja despotyczna, zacofana i antyeuropejska! Trzeba więc zepchnąć Rosję do Azji, odgrodzić się od niej.

Ku swemu zdumieniu odkryłem niedawno dobitne rozwinięcie tych myśli w antologii tekstów polskiej opozycji demokratycznej lat 1976-1989 przygotowanej przez Jana Skórzyńskiego pod tytułem *Na przekór geopolityce*, wydanej zaś (co kłóci się z dobrymi obyczajami w polityce) przez Kancelarię Prezydenta RP (Warszawa 2014) i opatrzonej w dodatku prezydencką przedmową. Lektura tej książki uświadomiła mi, że pojawienie się „Solidarności” wywołało w pewnych kręgach polskiej opozycji wzrost zainteresowania szansami odbudowy quasi-mocarstwowej roli Polski w polityce wschodniej! Oto parę przykładów:

W ciekawej dyskusji z końca 1980 roku (opublikowanej w marcu 1981) stwierdzono na samym początku, że „zadaniem najważniejszym jest odepchnięcie Rosji raz na zawsze od Europy” (*Na przekór*., s. 87, słowa W. Maziarskiego). Myliłem się więc sądząc, że sprawą

najważniejszą była wówczas dla wszystkich Polaków społeczno-polityczna przebudowa naszego kraju.

Iđmy dalej. Oto przestroga przed demokratyzacją Rosji, sformułowana w piśmie „Niepodległość” w 1983 roku: „Rosja nawet demokratyczna czy może przede wszystkim demokratyczna, będzie dla nas zbyt potężna, abyśmy mogli sobie pozwolić na bezpośrednie z nią sąsiedowanie. (...) Dlatego nie możemy dopuścić, aby w jakiegokolwiek formie powstała Federacja Rosyjska” (tamże, s. 102).

Dopuszciliśmy jednak, a skoro tak, to powinniśmy zamiast zbliżenia z EWG (Europejska Wspólnota Gospodarcza) skoncentrować uwagę na Ukrainie. Jan Waszkiewicz pisał o tym już w roku 1980 na łamach „Biuletynu Dolnośląskiego”: „Wchodząc w skład EWG skazani będziemy na rolę politycznego i gospodarczego kopciuszka” (*Na przekór...*, s. 76). Wprawdzie będzie to „rola popłatna”, ale wolimy rolę pierwszoplanową w Europie Środkowo-Wschodniej, a droga do tego wiedzie tylko przez Ukrainę.

Żeby nie było złudzeń co do wolnościowej misji Polaków wobec Rosji, „Niepodległość” w roku 1983 uczciwie deklarowała „Niesienie rewolucji antykomunistycznej (wolnościowej) do Moskwy nas nie interesuje (choć do Kijowa – tak)” (*Na przekór...*, s. 101). A w roku 1988 to samo pismo piórem Artura Wieczystego (Adama Chojewskiego) tak oto określiło warunki normalizacji stosunków z Rosją: Powrót do granicy ryskiej (następnie zaś dobrowolne przekazanie Wilna i Lwowa Białorusi i Ukrainie). Rosja z ustrojem wynegocjowanym z udziałem Polski, żołnierze radzieccy, którzy zginęli na terenie Polski, uznani za najeźdźców, przyłączenie do Polski Kaliningradu, a następnie wyegzekwowanie od Rosji ustalonych przez Polaków wysokich odszkodowań za okupację. Przed Rosją bowiem „nie ma ucieczki, trzeba ją pokonać” (*Na przekór...*, s. 369-379).

Tą konkluzją kończy się antologia opatrzona rekomendacją przez Prezydenta RP. Można powiedzieć: „co kraj, to obyczaj”.

Ciekawe, że zupełnie inaczej widział te sprawy Zbigniew Brzeziński – mimo że jako polityk amerykański był (w odniesieniu do Rosji) jastrzębiem raczej, niż gołębiem. W wywiadzie udzielonym A. Bernatowi i P. Kozłowskiemu (*Życie z Polską*, Warszawa 2004, s. 72) powiedział on, co następuje: „Myślę, że Polska powinna teraz próbować systematycznie rozszerzać społeczną, ekonomiczną i polityczną współpracę z Rosją. Polska powinna stanowić dla Rosji konieczne i konstruktywne ogniwo łączące z Europą. Skoro Polska zabezpieczona jest przez związanie z Europą, taka rola mogłaby podnieść znaczenie Polski i to zarówno dla reszty Europy, jak i dla Polski, stopniowo eliminując tradycyjne zagrożenie ze strony Rosji dla polskiej niepodległości i narodowej tożsamości”.

Ośmielam się sądzić, że była to dobra rada, choć (jak się okazało) zbyt trudna dla zrozumienia i realizacji. Prawdę mówiąc, to samo powiedzieć chciałem na konferencji o *Nowej geopolityce* w tymże samym 2004 roku.

5 grudnia 2015

Konstytucja jest integralną całością

Gwałcenie uprawnień Trybunału Konstytucyjnego jest na pewno działaniem ubolewania godnym. Ustrój RP opiera się przecież na trójpodziale władz, a Trybu-

nał jest ważną, niezbędną częścią władzy sądowniczej. Konstytucja mówi jednak nie tylko o prerogatywach poszczególnych władz, lecz również o *prawach obywateli*, ludzi. Nie ma żadnego powodu, żeby uważać katalog tych praw za mniej ważny niż artykuły konstytucji mówiące o sposobach sprawowania władzy.

Uprawnienia Trybunału ważne są głównie dlatego, że ma on bronić konstytucyjnych uprawnień obywateli przed zakusami władzy wykonawczej. A przecież bronić ich trzeba, bo wiele z nich ignorowano permanentnie, przy akompaniamencie głosów utożsamiających uprawnienia z populistycznymi „roszczeniami” lub „przywilejami” odziedziczonymi po odrzuconym ustroju.

Cieszę mnie, że doskonale ujął tę sprawę Adrian Zandberg, przedstawiciel nowej partii „Razem”, w wywiadzie pod wymownym tytułem *Polska, macocha, nie matka* (rozmowa Macieja Stasińskiego, „Gazeta Wyborcza”, 5-6 grudnia 2015, s. 22-23). Oświadczył mianowicie, że ludzie z „Razem” poszli pod Sejm, aby upomnieć się o całą konstytucję, nie tylko o Trybunał. Wiele z uprawnień przyznanych nam przez konstytucję istnieje bowiem tylko na papierze. Zandberg wymienił dla przykładu wolność związkową w sektorze prywatnym oraz zobowiązanie do popierania budownictwa socjalnego, w rzeczywistości zwijającego się od lat, przy jednoczesnym praktykowaniu eksmisji rodzin na bruk, w imię nieprzedawnionych rzekomo praw prywatnej własności.

W zakresie tzw. praw wolnościowych należałoby dodać do tego takie przykłady nierespektowanych uprawnień jak np. artykuł konstytucji zakazujący aresztowań dłuższych niż 24 godziny bez postanowienia sądu (co więc z tzw. aresztami wydobywczymi? Lub artykuł gwarantujący prawo do wychowywania dzieci zgodnie w przekonaniach rodziców (którzy przecież mogą być ateistami). Dla większości Polaków są to sprawy mało zauważalne, ale bezsporne. Za bardziej kontrowersyjne uważane są niestety dyskredytowane przez zwolenników neoliberalizmu uprawnienia socjalne. Dwa spośród nich są szczególnie ważne, ale w praktyce bardzo dalekie od realizacji.

Jednym z nich jest oczywiście prawo do powszechnego darmowego leczenia. Konstytucja mówi o tym jednoznacznie w artykule 68. Uprawnienie to zniesiono jednak przez wprowadzenie obowiązku opłat za świadczenia medyczne w wysokości 9 procent od całości uzyskanych dochodów oraz przez pozbawienie tych świadczeń osób nieuiszczających tych opłat. Jest to ewidentnie sprzeczne z zapisem o zabezpieczeniu opieki zdrowotnej wszystkim obywatelom ze środków publicznych, a także z tak powszechnie uznawanymi zasadami tworzenia prawa jak „prawo nie działa wstecz” oraz zasadą nienaruszalności praw nabytych; naruszono bowiem w sposób ewidentny prawa osób, które nabyły prawo do darmowej opieki zdrowotnej przez całonocną pracę i uzyskały pisemne tego potwierdzenie w karcie emeryta-rencisty. Dodajmy, że wskutek braku określenia górnego pułapu wymaganych opłat naruszono również prawa ludzi bardzo zamożnych, bo płaćcie 9 procent od bardzo dużych zarobków z a usługi niewarte tego, byłoby przecież absurdem. Po co więc zapisano w konstytucji, że prawo do świadczeń medycznych przysługuje wszystkim „niezależnie od ich sytuacji materialnej”?

Drugą sprawą, tym ważniejszą, że prawie niezauważoną, jest nowelizacja kodeksu pracy dokonana

„cichcem” w sierpniu 2014 roku. Przewiduje ona, że dobowy czas pracy może być przedłużany, zależnie od aktualnych potrzeb pracodawcy, do 12, 16, a nawet 24 godzin pracy, że można narzucać zatrudnionym pracę przez siedem dni w tygodniu, przestrzegając jedynie zasady 11 godzin od powrotu do domu do ponownego rozpoczęcia pracy oraz rekompensowania tego później dłuższym okresem wczasów (czysta fikcja, bo przecież jasne jest, że w czasie tych przymusowych wakacji ludzie też będą się wynajmować) itd., itp. Słowem, pod pretekstem uelastycznienia czasu pracy (zależnie tylko od woli pracodawców!) całkowicie zmieniono zasadę ośmiogodzinnego dnia pracy (osiem godzin pracy – osiem godzin odpoczynku), czyli podstawową zdobycz ludzi pracy najemnej, która w Polsce wypracowana była wraz z ukonstytuowaniem się II Rzeczypospolitej i wydawała się nienaruszalna.

Nasza konstytucja nie mówi wprawdzie o ośmiogodzinnym dniu pracy, ale mówi jednak (artykuł 66) o prawie do „określonych w ustawie dni wolnych od pracy”, a także o ustawowo określonej płacy minimalnej, obowiązkowym zabezpieczeniu społecznym i płatnych urlopach. W praktyce okazało się, że „uelastycznienie” tych zasad zaowocowało powstaniem drugiego, niekonstytucyjnego rynku pracy, z płacą minimalną o wiele niższą od ustawowo obowiązującej i nie powiązaną z żadnym społecznym zabezpieczeniem. A tymczasem również obowiązujące minimum jest zdecydowanie zaniżane, a na związkowe żądanie jego podniesienia polski Związek Przedsiębiorców i Pracodawców odpowiada bardzo dosadnie: „przedsiębiorcy mają to w dupie” (patrz: *Polska nierówność – wstydlivy temat*, rozmowa G. Sroczyńskiego z prof. K. Jasieckim, „Gazeta Wyborcza-Magazyn”, 24 12 2013, s. 25).

Sama możliwość takiego oświadczenia dowodzi, że III RP nie jest jeszcze pełnowartościowym państwem prawa. Partia „Razem” ma przeto całkowitą rację, podkreślając to i dowodząc, że trzeba walczyć o to, aby konstytucyjne określenie „państwo prawa” było nie aspiracją tylko, ale namacalną, empiryczną rzeczywistością.

3 stycznia 2016

Niewesołe refleksje na początek 2016 roku

Przeszło miesiąc temu przeczytałem w „Gazecie Wyborczej” (z dn. 31 10–1 11 2015, s. 1) artykuł Pawła Wrońskiego pt. *Nie bójcie się Kaczyńskiego*. Publicysta „Gazety” wyraził w nim pogląd, że zwycięstwo wyborcze PiS jest „zasłużonym triumfem” Jarosława Kaczyńskiego. Nagrodą za to, że umiał być cierpliwy i przesunął swą partię ku politycznemu centrum.

Diagnoza ta szybko okazała się błędna – tak szybko, że również dla mnie było to pewnym zaskoczeniem. Co do meritum sprawy nie miałem jednak żadnych optymistycznych złudzeń, wprost przeciwnie: uważałem, że nie PiS przesunął się w kierunku poglądów centrowych, ale polskie centrum od dawna przesunęło się w stronę PiS-u i w ten sposób utorowało drogę jego zwycięstwu. Nie kłóci się to z popularnym poglądem, że Kaczyński zwyciężył jako „zarządca społecznego gniewu”. Tak, społeczeństwo miało wiele powodów do gniewu, ale rzecz w tym, że prezesowi PiS-u udało się ukierunkować ten gniew w pożądaną przez siebie stronę i że w istocie pomogli mu w tym bardziej umiarkowani przedstawiciele polskiej prawicy, zgodnym chórem

głoszący, że wszystko co złe w dzisiejszej Polsce nie jest ich własną winą, ale skutkiem nie do końca usuniętego dziedzictwa PRL.

Pogląd taki jest stuprocentowo zgodny z głębokim przeświadczeniem Kaczyńskiego, że podstawową, fatalną w skutkach wadą postPRL-owskiej Polski był brak aktu rewolucyjnego zerwania z przeszłością (określonego po hiszpańsku słowem „ruptura”), czyli wprowadzenie zmian ustrojowych przy współpracy dawnej elity władzy. W rzeczywistości zgoda w tej kwestii (dominująca pod rządami premiera Mazowieckiego) była jednak bardzo krótka i wątła, już wówczas radykalnie zakwestionował ją Kaczyński właśnie. Natychmiast bowiem po otrzymaniu z rąk Wałęsy funkcji naczelnego redaktora „Tygodnika Solidarność” rozpoczął on na łamach tego pisma kampanię publicystyczną na rzecz konsekwentnej i pozbawionej skrupułów „dekomunizacji”. Cele tej akcji określał z nieprześcignionym ekstremizmem, żądał bowiem zakazania bytym funkcjonariuszom PZPR nie tylko udziału w polityce, lecz także obejmowania stanowisk w administracji i gospodarce, poczynając od tak niskiego szczebla jak stanowisko brygadzysty w fabryce. Domagał się także podziału „Solidarności” na dwie partie: jego własna partia (Porozumienie Centrum) reprezentować miała prawicę, a partia Mazowieckiego (Unia Demokratyczna) – lewicę. Podział ten służyć miał oczywiście konsolidacji PC jako partii myślącej w kategoriach nieubłaganej walki o władzę („kto-kogo”, jak mawiał Lenin) oraz stopniowej eliminacji UD, oskarżanej o przysłówiową „miętkość” wobec komunizmu.

Szczególną „cechą firmową” tego programu było przekonanie o nierreformowalności ludzi, a więc o konieczności dzielenia ich wedle „rodowodów” – na „naszych” i „nie-naszych”. Nie bez pewnego powodzenia szerzono taki pogląd wśród robotników przekonując ich, że nowych kapitalistycznych właścicieli przedsiębiorstw dzielić należy na „solidarnościowych” (którym należy ufać) i eks-nomenklaturowych, zawłaszczających dobro publiczne we własnym interesie. Uznano nawet, że jest to świetny sposób odwracania uwagi robotników od niekorzystnych dla nich skutków reform Balcerowicza i na dawaniu im (w postaci usuwania dawnej nomenklatury) „moralnej rekompensaty” za bezrobocie i inne negatywne dla nich skutki prywatyzacji. W istocie był to przemysłny plan skierowania robotniczego gniewu przeciwko byłej nomenklaturze, a więc obciążenia „komunistów” winą za wprowadzenie kapitalizmu. Co ciekawsze, Kaczyński był tak zadowolony z tego pomysłu, że otwarcie mówił o swych intencjach na łamach francuskiego pisma „Le Figaro” z 31 07 1990 r. (Pisałem o tym w liście do „New Left Review” z 25 września 1990 roku, opublikowanym po polsku w mojej autobiografii *Idee i ludzie*, Warszawa 2010, s. 277; podkreśliłem w nim konieczność przeciwstawienia się prawicowemu populizmowi w Polsce, ponieważ „wzniesła on emocje antykomunistyczne i stwarza atmosferę nietolerancji, odwracając uwagę od realnych problemów i zagrażając rządowi prawa”).

Głównym rzecznikiem odrzucanej przez Kaczyńskiego „drogi hiszpańskiej”, czyli pojednania narodowego, bez czystek i rodmuchiwania dawnych nienawiści, był wówczas Adam Michnik. Na pewno jednak najbardziej interesował się on utrzymaniem moralno-ideowego wpływu na inteligencję, a nie społeczno-gospodarczymi

problemami nowego ustroju. Dlatego też dla mnie osobiście symetrycznym przeciwieństwem konfrontacyjnego programu Kaczyńskiego były idee założyciela Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego, Mirosława Dzielskiego. Jego „twórczy antykomunizm” polegał na „walce o coś”, a nie „przeciw komuś”, czyli konstruktywnej pracy nad przemianą cywilizacyjną, z wciąganiem do niej wszystkich Polaków, bez potrzeb dzielenia ich na „naszych” i „nie-naszych”, lepszych i gorszych.

Dzieje post-PRL-owskiej Polski potoczyły się jednak inaczej, główną legitymacją przemian stał się bowiem „antykomunizm” coraz skrajniejszy, w coraz większej mierze przysyłający pozytywne przesłanie demokracji liberalnej. Bardzo wyraźnie ujawniło się to w okresie zacieklej walki o obowiązującą dziś konstytucję (prowadzoną przez Akcję Wyborczą Solidarność pod wodzą Mariana Krzaklewskiego), a następnie podczas zażartych sporów o ustawę lustracyjną (uchwaloną w lutym 2007 roku). Krzaklewski atakował konstytucję z prawdziwą furją, określając ją mianem „bolszewickiej nawały”, przy wtórze katolickich hierarchów oraz całej (nie potrafiącej się jednak zjednoczyć) prawicy. Zdumiewającym zakończeniem tych zmagani był przykry fakt, że Unia Wolności (pod przywództwem Balcerowicza), a więc partia współodpowiedzialna wraz z „postkomunistami” za tekst konstytucji, porzuciła po jej uchwaleniu swoich niedawnych sojuszników i sprzymierzyła się... z Krzaklewskim właśnie! Równie zawstydzające okazały się spory o lustrację, ujawniły bowiem, że niefortunna (i do dziś nie do końca wyjaśniona) afera Rywina umożliwiła postsolidarnościowej prawicy olbrzymi sukces w rozbudzaniu w kręgach opinotwórczych irracjonalnych lęków przed umocnieniem wpływu „postkomunistów”. Nawet środowiska inteligenckie kojarzone do niedawna z „drogą hiszpańską” (np. grupa „Tygodnika Powszechnego”) zaczęły zmieniać swe stanowisko w tej sprawie. Ułatwiło to oczywiście zwycięstwo PiS w 2005 r. i uchwalenie ustawy lustracyjnej, bardziej radykalnej niż się spodziewano i wywołującej duży opór w społeczeństwie.

Nie muszę przypominać w tym miejscu ponurych okoliczności, które doprowadziły do decyzji o nowych wyborach parlamentarnych już w roku 2007 oraz do porażki poniesionej w nich przez PiS. Przypomnę jednak, że od razu zwróciłem uwagę na merytoryczną i polityczną błędność interpretowania tego faktu jako zwycięstwa „twardych liberałów” spod znaku Balcerowicza. Większość społeczeństwa odetchnęła z ulgą, uwolniwszy się od koszmaru pozasądowej powszechnej lustracji, z IPN w roli głównego rozgrywającego, ale nie pragnęła kontynuacji (a tym bardziej radykalizacji) polityki gospodarczej kojarzonej z programowo „antyroszczeniowym” ekonomicznym ultraliberalizmem. Cieszą się także z zakończenia przez zwycięską PO zimnej wojny domowej między Polakami, czyli sztucznego reanimowania przez prawicę dawnych nienawiści. Ludzie głęboko zainteresowani konstruktywnym przezwyciężaniem „historycznego podziału” (do których się zaliczam) wspierali w tej kwestii Donalda Tuska i, przez pewien czas, łączyli z jego polityką przesadne nawet nadzieje.

W rzeczywistości jednak, Tusk nie zrezygnował i chyba nie mógł zrezygnować z legitymizowania rządów swej partii programowym „antykomunizmem” w postsolidarnościowym rozumieniu tego terminu. PO

pod jego kierownictwem pozostała więc więzieniem podziału historycznego, a jeśli chciała w jakiejś mierze uwolnić się od niego, to obawiała się do tego przyznać. Stąd chyba brało się dziwne zjawisko współistnienia pod jej rządami dwóch, logicznie sprzecznych tendencji: z jednej strony faktyczna rezygnacja z lustratorskiej „dekommunizacji”, z drugiej zaś, coraz radykalniejszy „antykomunizm” w oficjalnej polityce historycznej, posunięty aż do granic absurdu, a mianowicie do traktowania całych dziejów Polski Ludowej jako czasów „komunizmu” i obcej okupacji.

Innego rodzaju wewnętrzną sprzecznością ośmioletnich rządów PO było łączenie dążeń do spokojnej i mało konfliktowej „normalności” z nadmierną uległością wobec środowisk domagających się wciąż nowych cięć socjalnych w imię zwiększania konkurencyjności Polski. W imieniu polskich przedsiębiorców głośno domagała się tego Henryka Bochniarz, pisząca wprost, że trzeba znacznie pogorszyć warunki pracy, bo konkurować musimy z tanimi pracownikami z Azji („Gazeta Wyborcza”, 22.09.2014, s. 9). Wtórował jej niestrudzony propagator neoliberalizmu, Witold Gadowski. W uzasadnieniu tych postulatów nie brak było oczywiście powoływania się na dobro Polski, zmierzającej jedynie słuszną drogą do wspaniałej przyszłości. Po pewnym czasie okazywało się jednak, że cena za ten postęp (nazywany dziś modernizacją) coraz bardziej się zwiększa i że płacić ją mają nie beneficjenci nowego ustroju, ale ludzie zgłaszający pod ich adresem różne „roszczenia”: robotnicy, którym dzieje się ponoć zbyt dobrze, ludzie młodzi, muszący szukać pracy i możliwości założenia rodziny za granicą, a także ludzie starzejący się i zaniepokojeni perspektywą drastycznego zmniejszenia oczekiwanych emerytur. A wszystko to pod akompaniament natarczywie powtarzanej tezy o najpomyślniejszym okresie w nowożytnej historii Polski.

Nie mogę podejmować w tej kwestii generalnej dyskusji z tym ostatnim poglądem. Ujmując sprawę w telegraficznym skrócie, przyznaję mu sporo racji w sporze z nacjonalistycznymi idealizacjami szlacheckiej Polski, ale nie potrafię zaakceptować go jako patriotycznej moralistyki, usprawiedliwiającej narastanie nierówności w rozkładzie ciężarów społecznych. Dobrze rozumiem, że partia sprawująca władzę musi legitymizować się troską o przyszłość, ale troskę taką trudno mi pogodzić z polityką przywracania *status quo ante*, jak np. bezwzględna repywatyzacja, pociągająca za sobą nie tylko olbrzymie koszty, ale również jakże liczne i niezawinione tragedie ludzkie. Trudno mi też uwolnić się od myśli, że wybór przyszłości typu europejskiego zobowiązuje w jakiejś mierze do przestrzegania zasad Europejskiej Karty Społecznej, nie usprawiedliwia zaś traktowania jej jako luksusu, na który nas nie stać i który trzeba zwalczać w imię fety-szu „konkurencyjności”.

Jak dobrze wiadomo, głównym atutem PO był lęk większości Polaków przed powrotem do władzy antykomunistycznych lustratorów spod znaku PiS. Mało kto myślał dobrze o atmosferze nienawiści, uzasadnianej manichejskim oddzieleniem „dobra” od „zła”, nie mówiąc już o polityce zastraszania przeciwników i jaskrawego lekceważenia prawa. Upływ czasu zacierał jednak pamięć o tym, wysuwając na pierwszy

plan nowe zagrożenia. Sukces naszego kraju w minimalizacji skutków światowego kryzysu 2008 roku oraz wysoka pozycja Polski w międzynarodowych rankingach gospodarczych szły przecież w parze ze stałym przesuwaniem się na prawo w polityce społecznej i z instytucjonalizacją (w systemie edukacyjnym i głównym nurcie mediów) skrajnie „antykomunistycznej” legitymizacji ustroju, co nadawało III Rzeczypospolitej cechy „państwa światopoglądowego”. Był to model niebezpieczny, naruszał bowiem równowagę społeczną przez skuteczne blokowanie normalnej, nierewolucyjnej opozycji lewicowej, przy jednoczesnym tolerowaniu wyjątkowo agresywnej opozycji prawicowo-populistycznej, ochoczo sięgającej do rezerw nacjonalizmu i katolickiego fundamentalizmu. Dodajmy do tego zupełny brak jakichkolwiek skrupułów w obarczaniu rządu Tuska odpowiedzialnością za tragiczną katastrofę smoleńską, paroksyzmy rusofobii wywołane konfliktem na Ukrainie, niepokoje związane z kryzysem UE, kolosalnie powiększone ostatnio przez źle rozgrywany problem uchodźców, itd., itp. W tej sytuacji, tak trudnej do całościowego ogarnięcia, ale ewidentnie niespokojnej i niestabilnej, politycy partii odpowiedzialnej za kraj nie powinni byli dać się uśpić wynikami sondaży ani dziwić się, że wyborcy okazali się podatni na zapowiedź jakiejś „dobrej zmiany” (choć nie zmienia to faktu, że nie miała to być przecież zmiana rewolucyjna, połączona z łamaniem uprawnień Trybunału Konstytucyjnego i odstępstwami od przyjętego w liberalnych demokracjach modelu trójpodziału władzy).

Filozofia polityczna PiS, obiecująca naprawę wszystkiego przez państwo programowo-ideologiczne, absolutyzujące własne racje i postulujące walkę „genetycznie lepszych Polaków” z kontynuatorami „tradycji narodowej zdrady”, kojarzy mi się jak najgorzej. Trwałe zwycięstwo takich idei byłoby przekreśleniem całego mojego życiowego dorobku. Przeczą one wszystkiemu co pisałem o „liberalnym nacjonalizmie”, wolnym od tak częstego u nas patologicznego etnocentryzmu, mającym łączyć poczucie zakorzenienia z pluralizmem, inkluzywnością i maksymalnym „ujednostkowieniem” w ramach autentycznie tolerancyjnej wspólnoty. Wszystko co napisałem o dziejach myśli rosyjskiej i o potrzebie rozumienia Rosji jest zaś - nie tylko z perspektywy PiS-owskiej - wysoce nagannym „rusosilstwem” – ja zaś, mimo licznych rozczarowań, nie przestanę widzieć w endemicznej rusofobii, wspólnej wszystkim odmianom ideologii postsolidarnościowej, brzemiennego w skutki błędu. To samo powiedzieć można o moich pracach o Marksie i dziejach marksizmu. W latach 80. ubiegłego wieku plasowały mnie one, zwłaszcza na Zachodzie, wśród radykalnych krytyków komunistycznej utopii. Dziś jednak rozwój sytuacji ideologicznej w „postsolidarnościowej” Polsce nadał im inny, lewicowy sens: tylko dlatego, że odróżniałem Marksowską utopię od Marksowskiej krytyki ustroju kapitalistycznego, coraz bardziej aktualizującej się w świetle monstrualnych nierówności, narastających w zawrotnym tempie w wyniku niekontrolowanej politycznie globalizacji. To samo stało się z moim zaangażowaniem na rzecz liberalizmu, w Polsce bowiem kojarzy się liberalizm ze skrajnie prawicowym neoliberalizmem ekonomicznym, a nie (jak miało to miejsce w moim przypadku) z poglądami liberalnych teoretyków

welfare state, z „pluralizmem wartości” Isaiaha Berlina i z liberalną teorią sprawiedliwości Johna Rawlsa.

Ważnym argumentem na rzecz prawicowego nawet liberalizmu jest kwestia rządów prawa. O centralności prawa w cywilizowanej gospodarce kapitalistycznej pisałem już w anglojęzycznej książce o filozofii prawa przedrewolucyjnego, rosyjskiego liberalizmu (*Legal Philosophies of Russian Liberalism*, Oxford 1987), dowodząc, że wprowadzeniu wolności politycznej i gospodarczej towarzyszyć powinna od samego początku intensywna praca nad rozwojem kultury prawnej. Z tym zaś, niestety, nie było w Polsce dobrze. Chętnie przyznaję, że rządy PO dawały obywatelom większe poczucie bezpieczeństwa i indywidualnej wolności niż rządy PiS. Ale również PO realizowała politykę prymatu neoliberalnych celów nad obowiązującymi teoretycznie zasadami prawa, dopuszczając wysoki stopień ideologizacji państwa, narzucając środowisku naukowemu drobiazgową, biurokratyczną kontrolę, sprzeczną z przysługującą mu prawnie autonomią, naruszając równowagę społeczną przez faktyczne wycofanie się z obowiązku kontrolowania relacji między kapitałem a pracą, co naruszało zasady ustalone w konstytucji.

Postscriptum, koniec stycznia 2016 roku

Napisałem to wszystko nie w celu wywarcia wpływu na sytuację, bo doskonale wiem, że nie mam na to szans. Chodzi mi raczej o wyjaśnienie kilkudziesięciu osobom ze środowisk umiarkowanie lewicowych, w tym zwłaszcza z przyjaznego mi od dawna środowiska „Kuźnicy”, mojego relatywnego dystansu wobec mobilizowania się przeciw obecnej władzy pod przewodnictwem neoliberalnej partii Ryszarda Petru lub nawet PO (nieco bliższej mi, mimo wszystko, bo lepiej znanej). Wezwaniom do takiej mobilizacji powinno towarzyszyć, moim zdaniem, zapewnienie że nie chodzi o zwykły powrót do tego co było, czyli do łagodniejszej formy prawicowego monopolu władzy, uzasadnianego ideologicznie anachronicznymi ambicjami, rozrachunkami z historią lub słabo maskowanym egoizmem tzw. elit.

Do zajęcia takiej postawy zmuszają mnie moje własne przemyślenia z kilkudziesięciu już lat, zebrane m.in. w trzech tomach wydawanej przez Universitas „Biblioteki Kuźnicy”. A dobra, stara zasada *scripta manent* mówi, że „słowa napisane zobowiązują”, czyli że nie należy zmieniać wyłożonych na piśmie poglądów bez istotnych po temu przyczyn. Zławsza – dodam – gdy ma się tyle lat co ja, nie reprezentuje się żadnej siły zdolnej wymusić zmianę sytuacji, ale ma się za to mocne przekonanie o pożytkach mogących kiedyś wyniknąć z zachowywania maksymalnej niezależności sądu.

Wciąż istnieją osoby zdolne do zachowania takiej niezależności. Liczę na nie, chciałbym się do nich zaliczać, a jeśli różnimy się w rozłożeniu akcentów, to przecież ważna jest niezależność właśnie, a nie uzgodnienie wszystkich poglądów. „Trzeba różnić się pięknie”, jak powiedział Norwid. Umiejętność ta, zakładająca uwolnienie się od dzisiejszych warunkowań, potrzebna jest Polsce chyba najbardziej.

ANDRZEJ WALICKI

LECH M. NIJAKOWSKI

„DOBRA ZMIANA” I POLITYKA PAMIĘCI

W wakacje 2015 roku internetowy magazyn historyczny Histmag.org publikował systematycznie kolejne głosy na temat polskiej polityki historycznej. Pretekstem było zbliżające się zaprzysiężenie prezydenta Andrzeja Dudy. Liczni dyskutanci pisali nie tylko o pamięci zbiorowej i roli polityków, ale także kreślili optymalne zasady regulujące politykę pamięci. Pamiętając wcześniejsze rządy Prawa i Sprawiedliwości, wydawało się, że polityka wobec przeszłości stanie się ponownie okrętem flagowym nowego rządu, nie obciążonego już partiami koalicyjnymi. Zawrotne tempo życia politycznego po wyborach odwróciło uwagę od tej sfery aktywności władz państwowych. Tymczasem nowa polityka pamięci rozwija się i warto poświęcić jej uwagę. W artykule tym wykorzystam swój głos, który zabrałem w dyskusji Histmag.org.¹ Pragnę także przypomnieć, że poruszałem już kiedyś na łamach „Zdania” podobne zagadnienia.²

Zwykle przez politykę pamięci (określaną najczęściej mianem „polityki historycznej”) rozumie się celowe działania urzędników i polityków, które mają zmienić lub podtrzymać wizerunek kraju na arenie międzynarodowej i/lub zmienić świadomość historyczną społeczeństwa. Jest to jednak bardzo wąskie rozumienie tej polityki. W książce *Polska polityka pamięci*.

Esej socjologiczny.³ zaproponowałem trzy definicje, od najszerzej, wedle której za politykę pamięci można uznać wszelkie działania – świadome i nieświadome, intencjonalne i przypadkowe – które prowadzą do ugruntowania i wzmocnienia pamięci zbiorowej lub też do jej zmiany (politykę pamięci w tym sensie prowadzą wszyscy obywatele: publikując wspomnienia dziadków, pisząc listy do gazet, zamieszczając wypowiedzi na forach internetowych, nosząc t-shirty z hasłami i znakami nawiązującymi do cenionych postaci i wydarzeń, itd.), po najwęższą („państwową polityką pamięci”), ograniczającą politykę historyczną tylko do działań, które mają publiczną formalną legitymizację.

Wspominam o tym, aby pokazać, że polityka pamięci – tak jak się ją powszechnie rozumie – obejmuje jedynie wąskie spektrum działań, które służą codziennemu kształtowaniu pamięci zbiorowej, a przez to odtworzeniu takiej specyficznej „wspólnoty wyobrażonej” (konceptcja Benedicta Andersona), jaką jest naród. Nawet znaczące nakłady finansowe oraz zgodne zaangażowanie wszystkich organów państwa nie są w stanie szybko zmienić stanu społecznej świadomości czy to w kraju, czy za granicą. Państwowa polityka pamięci jest w zasadzie bliska pojęciu propagandy. A z historii wiemy, jak ograniczone efekty wywiera ona w krótkim czasie, jeśli nie zakorzeni się w społecznych emocjach, postawach i wiedzy.

¹ L.M. Nijakowski, *Politycy, historycy i pamięć zbiorowa*, „Histmag.org”, 1.08.2015 r., <http://histmag.org/Politycy-historicy-i-pamiec-zbiorowa-11576> [dostęp: 10.02.2016].

² L.M. Nijakowski, *Niechciane wspólnoty pamięci a polityka lewicy*, „Zdanie” 2007, nr 1-2 (136-137).

³ L.M. Nijakowski, *Polska polityka pamięci. Esej socjologiczny*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2008.

Siła polityków

Prezydent RP – mający silną legitymację demokratyczną, a zarazem bardzo ograniczone prerogatywy konstytucyjne – jest bez wątpienia ważnym aktorem polityki pamięci. Jego publiczne słowo waży o wiele więcej niż wypowiedź premiera, a nawet – w pewnych przypadkach – sejmowa uchwała. Ale nawet najsprawniejszy polityk na tym urzędzie nie jest w stanie zarządzać systemową państwową polityką pamięci, chyba że będzie miał po swojej stronie w pełni usłużny gabinet. Przemówienia okolicznościowe, honorowe patronaty, a nawet odmowa podpisania ustaw są tylko puchem, który nie przeważa codziennej pracy tysięcy „analityków symbolicznych”, prowadzących mniej lub bardziej autonomiczną politykę pamięci w muzeach, szkołach czy masowych mediach. Prezydent na tym polu jest raczej maszyną memetyczną niż polityczną. I dobrze, jeśli potrafi z tej ograniczonej siły właściwie skorzystać.

Opanowanie przez polityków PiS kluczowych stanowisk we władzach i mediach publicznych oraz wsparcie ze strony rozwiniętej sieci organizacji pozarządowych stworzyły nową jakość. Możliwe jest dziś bowiem prowadzenie szerokiej polityki pamięci, oczywiście pod warunkiem współpracy różnych ministrów i liderów opinii. W przypadku tej partii zgodność zapewnia wspólny światopogląd, który przez lata zinstytucjonalizował się nie tyle w dokumentach programowych, co w wielu rytuałach i gestach polityki symbolicznej. Wspólna formacja dyskursywna zapewnia wysoką zgodność działania, nawet przy niskiej koordynacji biurokratycznej.

Można wiele napisać o tym, jak powinna wyglądać polska polityka pamięci, tyle tylko, że przez ćwierć wieku obserwowaliśmy, co w praktyce politycy i za ich plecami urzędnicy robią. Również Prawo i Sprawiedliwość – którego Andrzej Duda jest prominentnym politykiem – dało przykład „ofensywy” na tym polu, kreśląc projekt IV Rzeczypospolitej, a później starając się go zrealizować. Można było oczekiwać promocji bardzo specyficznej wizji historii Polski, która wyklucza wiele wspólnot pamięci i pomija niewygodne tematy. Dziś jesteśmy świadkami urzeczywistniania się tego scenariusza.

Oczywiście, każdy naród ma prawo do dumy. Gdy ma ona właściwe ramy symboliczne, może mieć bardzo pozytywny efekt, ułatwiając mobilizowanie ludzi do prospołecznych działań. Gorzej, gdy duma zamienia się w wyniosłość. Wtedy bardzo często mamy do czynienia z dyskryminacją tych mniejszościowych wspólnot pamięci, które nie mieszczą się w oficjalnej wykładni dziejów państwa i narodu. Każda państwowa polityka pamięci ucieka się niejedenkrotnie do przemocy zarówno bezpośredniej, polegającej np. na administracyjnej decyzji – wbrew opinii mieszkańców – o zmianie nazw ulic lub usunięciu pomników i innych symboli nieakceptowanych przez elity władzy, reprezentujące dominującą wspólnotę pamięci, jak i „miękkiej” przemocy symbolicznej, narzucając poprzez swe działanie nowy „horyzont oczywistości”. Przemoc symboliczna naturalizuje kategorie poznawcze, które sprawiają, że zdominowany nie może nazwać swojej podległości i się przeciw niej zbuntować. Jego miejsce w społeczeństwie wydaje mu się „oczywiste” i bezdyskusyjne.

Zmiana pamięci społecznej sprawia, że ludzie postrzegają rzeczywistość społeczną zgodnie ze schematami sprzyjającymi grupie dominującej, sami wykluczają się z rywalizacji o dobra rzadkie, np. o władzę. Zatem polityka pamięci to gra o wysoką stawkę.

Wykluczeni z pamięci oficjalnej

Polski dyskurs publiczny na temat przyszłości nieustannie wyklucza tych, którzy nie mieszczą się w wąskich ramach pamięci Kongresówki i Generalnego Gubernatorstwa. Wystarczy przypomnieć cyniczne rozgrywanie „dziadków z Wehrmachu”, wypieranie pamięci o zbrodniach Polaków wobec ludności rodzonej na Ziemiach Zachodnich i Północnych czy wobec ludności prawosławnej (w tym zwłaszcza Białorusinów). Przywołajmy kilka przykładów.

Ślązacy są obecnie społecznością o najsilniejszej tożsamości regionalnej. Głośno domagają się uznania etnolektu śląskiego za język regionalny, a samych Ślązaków za mniejszość etniczną. Wyrazistym symbolem tych działań było wniesienie obywatelskiego projektu ustawy o zmianie ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym, a także niektórych innych ustaw. Pierwotnie Komitet Inicjatywy Ustawodawczej reprezentował Zbigniew Kadłubek, później Jerzy Gorzelik, kontrowersyjny lider Ruchu Autonomii Śląska. Projekt miał na celu oficjalne uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną (czyli *de facto* odrębną narodowość). Budził on poważne obawy zarówno wielu posłów Platformy Obywatelskiej, jak i Prawa i Sprawiedliwości. Na posiedzeniu Sejmu w dniu 15 stycznia 2016 roku odbyło się pierwsze czytanie projektu ustawy. Dyskusja ujawniła skalę uprzedzeń wobec inicjatorów nowelizacji ustawy, ale także siłę wielu stereotypów na temat Śląska i Ślązaków. Poseł Stanisław Pięta powiedział nawet, myśląc o inicjatorach ustawy: „Przecież zarówno Korfanty, jak i Mackiewicz kazaliby strzelać do was”.

W tej atmosferze próby upamiętniania historii Ślązaków postrzegane są często jako działania nacjonalistów, którzy prowadzą agitację na rzecz uznania swej grupy za naród. Tymczasem odniesienia do burzliwej przeszłości są ważnym elementem tożsamości Ślązaków o różnych identyfikacjach narodowych. Dziś zwłaszcza „tragedia górnośląska” stała się ważnym elementem dyskursu publicznego. Mianem tym obejmuje się wydarzenia, które nastąpiły na Śląsku po wkroczeniu Armii Czerwonej. Dochodziło do zabójstw i masakr oraz gwałtów. Niszczono mienie. Ślązaków zamykano w obozach (symbolicznego znaczenia nabrały obozy w Świętochłowicach-Zgodzie i w Łambinowicach pod Opolem) oraz deportowano do pracy w kopalniach w ZSRR (wywieziono, jak się szacuje, od około 20 tys. do ok. 30 tys. Górnoślązaków). Co ważne, represje dotyczyły Ślązaków niezależnie od ich deklarowanej narodowości czy wojennych losów.⁴

W PRL o tragedii górnośląskiej nie można było mówić. Do dzisiaj nie wszyscy gotowi są wspominać te apokaliptyczne czasy, a szkolnictwo powszechne

⁴ Szerzej w publikacji pokonferencyjnej *Tragedia Górnośląska 1945*, Biuro Analiz Sejmowych, Warszawa 2015. Książka do pobrania pod linkiem: <http://www.sejm.gov.pl/sejm8.nsf/publikacjaBAS.xsp?documentId=5A6AD74FCC75985AC1257E73003723A7> [dostęp: 10.02.2016].

nie wypełnia w tym zakresie białych plam. Bernard Waleński, autor wstrząsającego reportażu o Boguszycach, zanotował: „Dwie osoby, które mogłyby bardzo pomóc w odtworzeniu przebiegu wydarzeń, odmówiły rozmowy z nie ujawnionych przyczyn. Tłumaczono mi, że pewnie się wciąż boją. Bo przez lata publicznie i głośno w Boguszycach o frontowych dniach 1945 roku się nie mówiło. Ludzie się bali – zapewniało mnie teraz. W szkole dzieci dowiadywały się – i słusznie – o wojennej tragedii Warszawy, o eksterminacji wsi kieleckich, o pacyfikacji Zamojszczyzny, nigdy natomiast nie poznały dramatu własnej miejscowości. Ale przecież go znały, bo chodziły na cmentarz, bo dowiadywały się o nim z rodzinnego przekazu. Coraz więcej jest w tym przekazie przeinaczeń i zniekształceń, ale trudno się temu dziwić”.⁵

Teoretycznie cierpienia zadane przez „komunistów” powinny włączać tragedię górnośląską w główny nurt upamiętniania narodowej przeszłości. W praktyce jednak podejrzania wobec „separatystycznych” Ślązaków przenoszą się na politykę pamięci. Dziś przeważają głosy tych, którzy mówią o Ślązakach jako o Polakach i interpretują ich historię przez pryzmat dominującego kanonu pamięci. Wszelkie dwuznaczności, zwłaszcza związane z wojennymi losami (umieszczenie na Niemieckiej Liście Narodowościowej, służba w Wehrmachcie, pograniczna tożsamość i pozytywny stosunek do niemieckiego dziedzictwa kulturowego) są przemilczane albo retuszowane. Mogliśmy takie napięcia i spory obserwować przy okazji obchodów Dnia Pamięci o Tragedii Górnośląskiej, który w tym roku przypadł na 31 stycznia.⁶

Podobnie można mówić o dyskryminacji historycznej Białorusinów. 29 stycznia obchodziliśmy 70. rocznicę pacyfikacji pięciu białoruskich wsi przez oddział „Burego” (Romualda Rajsa).⁷ W okresie od 29 stycznia do 2 lutego 1946 r. urządzono masakrę we wsiach zamieszkałych przez ludność białoruską – spalono Zanie, Zaleszany, Końcowiznę, Szpaki i Wólkę Wygonowską. „Bury” jest również odpowiedzialny za śmierć 30 furmanów zamordowanych koło wsi Puchały Stare. W procesach w PRL „Burego” skazano na karę śmierci. Wyrok został unieważniony w 1995 roku. Śledztwo IPN w sprawie mordu umorzono w 2005 roku, ale w uzasadnieniu napisano, że działania „Burego” nosiły znamiona ludobójstwa. „Nie kwestionując idei walki o niepodległość Polski prowadzonej przez organizacje sprzeciwiające się narzuconej władzy, do których należy zaliczyć Narodowe Zjednoczenie Wojskowe należy stanowczo stwierdzić, iż zabójstwa furmanów i pacyfikacje wsi w styczniu i lutym 1946 r. nie można utożsamiać z walką o niepodległy byt państwa, gdyż nosi znamiona ludobójstwa. W żadnym też wypadku nie można tego co się zdarzyło usprawiedliwiać walką o niepodległy byt Państwa Polskiego”.⁸

W tym przypadku zbiorowe heroizowanie zbrojnego podziemia – „żołnierzy wyklętych” – sprawia, że politycy nie chcą przypominać o zbrodniach poszczególnych partyzantów i oddziałów. Pamięć o mordach przechowują wspólnoty lokalne i kultywują organizacje mniejszościowe (dotyczy to także np. Słowaków, wypominających zbrodnie Józefa Kurasia „Ognia”). Rodzi to poważne konflikty nie tylko w regionach zamieszkiwania mniejszości, ale również w ogólnopolskim dyskursie publicznym, w którym obrona pamięci „niepodległościowego podziemia” oznacza często racjonalizowanie zbrodni i doszukiwanie się politycznych interesów ludzi zaangażowanych w upublicznianie prawdy.

W Polsce nie wygasa także walka symboliczna o interpretację relacji polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej. Kluczowym wymiarem tej konfrontacji jest wykazywanie, że Polacy nie byli współsprawcami Zagłady, a jeśli już uczestniczyli w niemieckich zbrodniach, to albo pod przymusem, albo byli to zdrajcy narodu (a zatem obcy, których czyny nie mogą obciążać narodowej hipoteki).⁹ Dlatego tak wielkie emocje budziły kolejne książki Jana Tomasza Grossa – od *Sąsiadów* (2000), poprzez *Strach* (2006) po *Złote żniwa* (2011). Oliwy do ognia dołączyły komentarze Grossa na temat stosunku Polski do kryzysu migracyjnego. W emocjonalnym i nie mającym podstaw naukowych wystąpieniu stwierdził, że w czasie II wojny światowej Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców. Nic dziwnego zatem, że stał się dla wielu publicznym wrogiem numer jeden. Jak się ostatnio dowiedzieliśmy, Kancelaria Prezydenta zwróciła się do MSZ z wnioskiem o opinię w sprawie odebrania Janowi Tomaszowi Grossowi Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi. To bez wątpienia eskalacja konfliktu. Niektórzy być może sądzą, że „pozbawienie Grossa honoru” umniejszy wagę jego tez o zaangażowaniu Polaków w pogromy Żydów. (Nic bardziej mylnego – polska szkoła historyków Holokautu udokumentowała wiele wstydliwych faktów.¹⁰) Artur Domosławski skomentował to następująco: „Mit Polski Niewinnej był i jest żywy, mimo wieloletnich wysiłków Grossa i wielu innych autorów badających czasy Zagłady Żydów. Dzisiaj jednak kustosz tego mitu zdobyli władzę i – jak widać – ochoczo z tej władzy korzystają. Wciąż jest czas na opamiętanie i być może haniebnym pomysłem nie zostanie zamieniony w decyzję. Fakt, że komuś w Kancelarii Prezydenta przyszedł do głowy, wróży – niestety – jak najgorzej”.¹¹

wie pozbawienia życia 79 osób - mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946”, Instytut Pamięci Narodowej, <http://ipn.gov.pl/wydzial-prasowy/komunikaty/informacja-o-ustaleniach-koncowych-sledztwa-s-2802zi-w-sprawie-pozbawienia-zyc> [dostęp: 10.02.2016].

⁹ Por. P.T. Kwiatkowski, L.M. Nijakowski, B. Szacka, A. Szpociński, *Między codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*, wstęp P. Machciewicz, komentarz historyka M. Kula, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Muzeum II Wojny Światowej, Warszawa-Gdańsk 2010, s. 269-281.

¹⁰ Por. zwłaszcza: B. Engelking, „Szanowny panie gestapo”. *Donosy do władz niemieckich w Warszawie i okolicach w latach 1940-1941*, Warszawa 2003; B. Engelking, J. Grabowski (red.), *Zarys krajo-brazu. Wieś polska wobec zagłady Żydów 1942-1945*, Warszawa 2011.

¹¹ A. Domosławski, *Odebranie odznaczenia Grossowi mocno zaszkodzi wizerunkowi Polski*, „Polityka”, 10.02.2016 r., <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kraj/1650390,1,odebranie-odznaczenia-grossowi-mocno-zaszkodzi-wizerunkowi-polski.read> [dostęp: 10.02.2016].

⁵ B. Waleński, „Na plac zabrakło łez...”. *Boguszyce 1945. Blog-reportaż Bernarda Waleńskiego*, <http://boguszyce45.blog.onet.pl/2008/08/28/od-autora> [dostęp: 31.01.2016].

⁶ Należy przypomnieć, że w poprzedniej kadencji Sejmu z inicjatywy Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, przyjęto (bardzo ogólnikowo) uchwałę z dnia 15 maja 2015 r. w sprawie uczczenia ofiar Tragedii Górnośląskiej z 1945 r.

⁷ Por. audycję wyemitowaną w Radiu Białystok, przygotowaną przez Jarosława Iwaniuka - <http://www.radio.bialystok.pl/wiadomosci/index/id/130608> [dostęp: 30.01.2016].

⁸ „Informacja o ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w spra-

Powyższe „miejsca pamięci” są przedmiotem intensywnych polityki historycznej, dzięki czemu mają swoje reprezentacje (choć ubogie) w społecznej świadomości, nawet jeśli silnie zmityzowane. Ale są też wydarzenia prawie zupełnie nieznane. Polska pamięć zbiorowa jest dziurawa jak ser szwajcarski. W 2015 roku obchodziliśmy stulecie bieżenstwa – ucieczki, wysiedleń i ewakuacji ludności z zachodnich guberni Cesarstwa Rosyjskiego. Dotknęło to prawie 3 miliony osób, w większości prawosławnych Białorusinów i Ukraińców.¹² To ważna składowa pamięci rodzinnej wielu polskich obywateli.¹³ Kto o tym słyszał?

Po co polityka pamięci?

Oczywiście, można powiedzieć, że to złe postawienie sprawy. Dziś w stosunkach międzynarodowych „polityczne rytuały pokuty” odgrywają ogromną rolę, status ofiary jest ceniony i wykorzystywany, dyskusja o przeszłych zbrodniach płynnie przechodzi w domaganie się wypłacenia odszkodowań.¹⁴ USA, które mają znacznie więcej na sumieniu niż Polska, bez mrugnięcia okiem pouczają innych o tym, jak należy żyć. W tym sensie *Realpolitik* nie pozwala nam uciec od polityki pamięci i dziejowego samochwalstwa. Ale zasadnicze pytanie brzmi – jaką wspólnotę polityczną chcemy tworzyć, w jakim kraju chcemy żyć? Polityka pamięci ma bowiem dwa ostrza – zewnętrzne, na potrzeby dyplomacji, oraz wewnętrzne.

Narracja o przeszłości jest ważna ze względu na współczesność i przyszłość. Konstruując w jej trakcie tradycję dokonujemy wyboru potwierdzającego i wzmacniającego nasze normy i wartości. Dlatego, jak zauważył Jerzy Szacki, „nie władza umarłych nad żywymi, lecz żywych nad umarłymi jest właściwym przedmiotem badań nad tradycją”.¹⁵ Upamiętniając bohaterów i ich czyny wskazujemy na pożądane wzory osobowe i sposoby zbiorowego działania. Jaka lekcja ma zatem płynąć z nieustannego wychwalania przegranych powstań i straceńczych akcji militarnych? Czy dzisiaj także bezsensowna z punktu widzenia strategii danina krwi będzie wymagana od obywateli Rzeczypospolitej? Upamiętnianie powstańców warszawskich jest ważne i godne pochwały. Ale nie bezrefleksyjna akceptacja dla tego czynu zbrojnego – źle przygotowanego, prowadzonego z lekceważeniem dla życia cywili (co poświadczają liczne opracowania). Tymczasem powstanie zamienione w narodowy fantazmat prowokuje niektórych do snucia niebezpiecznych marzeń na jawie o kolejnych polskich miastach-redutach i współczesnych powstańcach.

Newralgicznym obszarem polityki pamięci jest szkolnictwo powszechne. Obok przekazów rodzinnych i kultury popularnej to najważniejszy obszar kształtowania pamięci zbiorowej i narodowej tożsamości. Poświęcono temu wiele naukowych opracowań, w tym szczególnie analiz treści podręczników czy podstawy

programowej. Nauczanie historii w polskich szkołach wymaga sanacji, co pokazują choćby raporty Instytutu Badań Edukacyjnych.¹⁶ Jednak szkolna edukacja nie może zamienić się w narodowe samochwalstwo. Zaangażowanie polityków na tym polu często prowadzi do opłakanych skutków. Mądre reformy powinny być dziełem profesjonalistów, których urzędnicy i politycy powinni wspierać. W gruncie rzeczy to właśnie wsparcie historyków i edukatorów powinno być – poza specyficzną dziedziną dyplomacji – głównym zadaniem racjonalnej polityki pamięci.

Dobrym przykładem jest *public history*, rozwinięta zwłaszcza w USA i Kanadzie, która obejmuje różne rodzaje aktywności podejmowane zazwyczaj przez historyków, wykraczające poza profesjonalne, akademickie pole. Składa się na nią działalność muzealna i wystawiennicza, ochrona dziedzictwa kulturowego, popularnonaukowe wykłady i warsztaty, rekonstrukcje historyczne, gromadzenie pamiątek i relacji świadków (*oral history*), itd. *Public history* powinna rozwinąć się także w Polsce. Politycy powinni wspierać popularyzatorów, historyków i lokalnych animatorów kultury, a nie ich zastępować, narzucając swoją ideologiczną wizję przeszłości kraju.

Mądra polityka pamięci polega na stworzeniu takiej sfery publicznej, w której różne wizje przeszłości mogą wybrzmieć. Przypominanie dokonań polskich polityków, dowódców, naukowców czy poetów nie może zagłuszać tych, którzy wskazują na ciemne karty historii. Poczuwając się do dumy narodowej musimy bowiem być jednocześnie gotowi do poczucia wstydu i winy. To transakcja wiązana. Ten wielogłos ma ogromne znaczenie dla kształtowania społeczeństwa obywatelskiego, inkluzji mniejszościowych wspólnot pamięci i tworzenia projektów na przyszłość. Pozwoli on także w praktyce na urzeczywistnienie wizji narodu zawartej w preambule do Konstytucji – złożonego z „wszystkich obywateli Rzeczypospolitej”, a nie tylko etnicznych Polaków. W tym sensie jest miejsce, w którym spotkać się mogą narodowi mitotwórcy, tworzący na co dzień dzieła kultury popularnej i profesjonalni historycy, którzy pokazują, że narracji o przeszłości nie da się sprowadzić do kiczowatej, hollywoodzkiej opowieści o wielkim nieskalanym narodzie. Jeśli pozwolimy politykom na samodzielne prowadzenie polityki pamięci, bez oglądania się na profesjonalnych badaczy przeszłości i lokalnych popularyzatorów, to grozi nam panowanie medialnego „rytualnego chaosu” i wykorzystywanie przeszłości do cynicznych politycznych gier. Jak na obrazku Młeczki, przedstawiającym plenarne obrady Sejmu, gdy jeden z posłów mówi: „Uczcijmy coś minutą ciszy, bo się nigdy nie zamkną”.

LECH M. NIJAKOWSKI

¹² Por. D. Fionik, *Bieżenstwo 1915. Wspólna historia*, Fundacja im. Księcia Konstantego Ostrogskiego, Białystok 1915.

¹³ Por. „Przegląd Prawosławny” 2015, nr 6, s. 3-7.

¹⁴ Por. E. Barkan, *The Guilt of Nation. Restitution and Negotiating Historical Injustices*, W.W. Norton & Company, New York, London 2000.

¹⁵ J. Szacki, *Tradycja. Przegląd problematyki*, PWN, Warszawa 1971, s. 150.

¹⁶ Do pobrania na stronie: <http://www.ibe.edu.pl/pl/publikacje/analizy-ibe>.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

SPOŁECZEŃSTWO NISZOWE

Jesteśmy inni niż kiedyś, jesteśmy również nie tacy sami, jakimi jeszcze niedawno byliśmy. Ci, którzy przeżyli więcej niż 25 lat, na ogół dobrze to widzą, a w każdym razie czują. Młodszy słyszą o tym, a także posługują się wyobraźnią. Niezależnie od źródła, doświadczenia lub intuicji wielu z nas zdaje sobie sprawę z tego, że się zmieniliśmy. My, to znaczy społeczeństwo. Przywykliśmy do słowa „społeczeństwo”, w nauce traktowanego jako termin i pojęcie. Czasem jednak staje się ono mniej oczywiste, a nawet zwodnicze. Wskazuje bowiem na istnienie tożsamości czegoś, co przecież się zmienia i czego nowa postać ma mniej cech wspólnych z przeszłością niż oznak teraźniejszej swoistości. W takich sytuacjach pytanie o znaczenie tego podstawowego, zdawałoby się, słowa, a tym bardziej o treść pojęcia, narzuca się mocniej.

Ostatnio zaczęły być popularne dwa inne terminy, sugerujące, że odnoszą się do czegoś innego niż po prostu do społeczeństwa. Pierwszy z nich to społeczeństwo obywatelskie, drugi to kapitał społeczny. Społeczeństwo obywatelskie w tradycji myśli filozoficznej miało różne znaczenia, a przede wszystkim niejednoznacznie było oceniane. Dla jednych było tym co najlepsze w nowoczesności, dla innych wyrazem ujawniania się wybiórczej interesowności grup i poszczególnych ludzi. W okresie pierwszej „Solidarności” kojarzyć się miało właśnie z tym pierwszym, wygłaszano również zdanie, że to dowód naszego w stosunku do innych krajów wyprzedzenia czasu. Pokazujemy naszą jedność, społeczeństwo stało się narodem. Zanika potrzeba istnienia systemu demokracji wielopartyjnej, dezaktualizują się spory parlamentarne i w ogóle publiczne. Tak apologetycznie solidarnościową postać społeczeństwa obywatelskiego przedstawiono jeszcze niedawno. Teraz jest zupełnie inaczej. Każde dążenie do realizacji swoich potrzeb i uprawnień traktuje się jako roszczenie lub wyraz irracjonalnego populizmu i z reguły potępia. Jednak mniejsza o to, choć to niebłahе zjawisko naszych czasów. W tym przypadku ważne jest co innego, a mianowicie pytanie: na czym polega różnica między społeczeństwem a społeczeństwem obywatelskim, gdzie przebiega między nimi granica? Czy może być jedno bez drugiego, czy mogą istnieć obok siebie? Społeczeństwo obywatelskie jest u nas słabe i jeśli odznacza się jakkolwiek żywotnością, to w postaci ledwie rudymen tarnej i niepodlegającej rozwojowi. Wnioski z tego nasuwają się same.

Drugi ze wspomnianych popularnych teraz terminów to kapitał społeczny. Oznacza on tyle co zdolność do współpracy, gotowość do podejmowania wspólnych działań, samorządności, kooperacji itp. Jest to zatem więź osobowa, a nie rzeczowa, wyrastająca z kultury zaufania, a nie konkutowania, z harmonii, a nie walki. Kapitał społeczny ma przemożny wpływ na jakość życia i na samopoczucie ludzi. To oddziaływanie jest pozytywne, a niski kapitał społeczny wpływa negatywnie na stan psychiki i egzystencji.

Kapitał społeczny wiąże się też z realnie istniejącym systemem politycznym. Jest bazą demokracji, bo przecież jest ona pochodną samorządności obywateli. Jest również jedną z podstaw współczesnej, rozbudowanej gospodarki. Niski kapitał społeczny zwiększa koszty transakcyjne, a więc produkcja, dystrybucja i konsumpcja stają się droższe. Kapitał społeczny ma także silny związek z państwem: kształtuje jego rzeczywiste funkcjonowanie. Niski kapitał społeczny zmniejsza efektywność rządzenia, oddala decyzje od ich realizacji, rozbudowuje biurokrację i kontrolę. A ta nie ma granic i hamulców wewnętrznych. Kapitał społeczny mamy bardzo ubogi. *Notabene*, jego słaba kondycja i tendencja do obniżania się są – jako jeden z wielu – dużo mówiącym wskaźnikiem i podstawą oceny transformacji.

Warto mieć to na uwadze, ale w kontekście naszych rozważań ważniejsze jest jeszcze co innego – pytanie podobne do tego, które towarzyszy społeczeństwu obywatelskiemu: czym w gruncie rzeczy różni się kapitał społeczny od społeczeństwa oraz, co ważniejsze, czy możliwe jest żywotne społeczeństwo bez kapitału społecznego? Odpowiedź, rzecz jasna, zależy od przyjmowanej definicji oraz od perspektywy, z której patrzymy. Społeczeństwo można przedstawiać opisowo lub normatywnie, a więc nazywać tak nie każdą dużą zbiorowość i nie dowolne łączące ją więzi, ale takie ich właściwości, które pozytywnie formują wchodzących w jego skład ludzi. W tym drugim przypadku odpowiedź będzie inna niż w pierwszym. Stanie się mniej banalna, z sugestiami dalej idących wniosków.

Społeczeństwo to nie jedyna forma ludzkiej zbiorowości. Jest jeszcze naród. Norwid podkreślił tę różnicę, a nawet przedstawił jej składniki. Wysoko ocenił świąteczne życie polskiego narodu, ostro skrytykował codzienność. Polacy jako zbiorowość rozciągnięta w czasie, zarysowana wertykalnie, wiążąca teraźniej-

szość z wyobrażoną lub rzeczywistą przeszłością, godni są, zdaniem poety, podziwu. Są niczym sztandar w zwyczajnej przestrzeni. Jako zbiorowość horyzontalna, żyjąca teraz, tworzona przez zróżnicowanych, realnych ludzi, a więc społeczeństwo, nie skłania do aklamacji, przeciwnie – wywołuje niedosyt. Myśl Norwida, jako klasyka, nie zwietrzała. Formułuje to samo, choć krócej i wprost, co inni.

Spółeczeństwo, a w każdym razie to, co tak konwencjonalnie nazywamy, jest tworem gospodarki. Nie tylko ona, ale właściwie cały system gospodarczy, jest w bardzo dużym stopniu czynnikiem formującym. System gospodarczy zaś powstaje w wyniku decyzji politycznych. Nasz system, kształtowany od ćwierćwiecza, wyrasta z idei neoliberalnych. Jego ośrodkiem jest rynek, najlepiej niczym nieograniczony, a więc w pełni wolny. Jedyną prawdziwą, czyli uprawnioną postacią posiadania jest własność prywatna. Wszystko powinno być podporządkowane zyskowi, a miarą sukcesu kraju jest wielkość PKB i tempo jego wzrostu, mechanizmem napędzającym – konkurencja zarówno między przedsiębiorstwami, jak i w ich ramach, czyli wśród personelu i współpracowników. Rynek ma, tak głoszą leseferystyczni neoliberalowie, samoistne właściwości regulacyjne, znajduje się w ciągłej, dynamicznej harmonii. Państwo ma służyć maksymalizowaniu wzrostu i wspomagać tych, którzy mają to zapewnić. Rynek, niezależnie istniejący, jest w społeczeństwie obiektywną miarą wszystkiego. Bo wszystko można i należy ująć ilościowo, skwantyfikować i ukazać tego wartość – jako towaru.

Tak z grubsza wygląda nie tyle system, co jego model, czyli idealizacja. Realistyczny obraz jest znacznie odmienny. Obecny rynek nie jest ani wolny, ani otwarty, ani sam się nie reguluje. Dominują w nim koncerny międzynarodowe lub związane z najbogatszymi państwami. Kluczowe stały się instytucje finansowe, zwłaszcza banki, które niczym przedsiębiorstwa produkcyjne nastawione są na maksymalizację zysku. Ogon macha psem. Do tego dopasowuje się społeczeństwo i stosownie się formuje. Wszystko staje się towarem jawnie, a także podskórnym: zdrowie, kultura, nauka, cmentarz, stadion, przestrzeń, czas, człowiek i jego życie. W takim systemie kapitał rodzi kapitał, a więc bogatsi stają się coraz bogatszymi. To dla niego państwo dla nich funkcjonuje i się rozbudowuje. Biedni oddalają się od zamożnych. Środek, zwany jeszcze czasem klasą średnią, grupowa podstawa demokracji, zanika lub staje się czymś innym niż był kiedyś. Dominuje niepewność jako stymulator ciągłej rywalizacji. Bezrobocie temu sprzyja, jest więc funkcjonalnym i trwałym elementem tego systemu. Dyscyplinuje i przyczynia się do niskiej ceny pracy. Ryzyko przenoszone jest na słabszych. Wyjątkiem jest sytuacja, kiedy wielkim bankom grozi bankructwo. Wtedy ratuje je państwo, bo chroni ono system.

Wzorcowym przedmiotem nauczania staje się zarządzanie, a modelową organizacją korporacja: przykładowa i ekspansywna postać współczesnej instytucji totalitarnej. Nową klasą, charakterystyczną dla systemu i go współdefiniującą stał się prekariat oraz wykluczeni. Ani jedni, ani drudzy nie są jednak wspólnotą, bo brak im zwartości i umiejętności porozumiewania się ustanawiającego trwałą jedność. Nie są świadomi swej odrębności i swoistości. Może to się zmienić, ale

jeśli tak, to nie wiadomo, co z tego wyniknie. Do tego dopasowana jest ideologia, która z jednej strony odwołuje się do powierzchownego scjentyzmu i głosi, że wszystko to jest naturalne i konieczne, a z drugiej strony dyskwalifikuje poglądy odmienne jako obskurantkie, antymodernizacyjne, populistyczne, roszczeniowe, peryferyjne lub podobnie. Z rynku wyrasta merytokracja, a więc zwycięzcy są nimi sprawiedliwie i pożytecznie, bo są lepsi, a przegrani są merytorycznie gorsi. Jeszcze do niedawna tak mówili i pisali rozmaici przedstawiciele nauk społecznych, którzy widzieli to, co chcieli zobaczyć i myśleli tak, jak nakazywało im zaangażowanie oraz lokalna poprawność. Powstało społeczeństwo składające się z wielu ludzi zależnych, bojących się, agresywnych, niespełnionych, oddzielonych od siebie i walczących z innymi. Mających umieć „zarządzać” życiem, swoim i cudzym, a także jego przejawami: zdrowiem, umysłem, uczuciem, nocą i dniem, snem i jawą. Traktujących siebie jako składnik korporacji lub jako element rynku.

Tak nasza zbiorowość została uformowana, poszatkowana na getta z własną milicją, ogrodzeniem i kamerami, i na obszary inne, składające się z bloków i z kamienic, które wypływają starych lokatorów. Na duże miasta i na małe. Z ludźmi podzielonymi i oddzielonymi. Brakuje im wszystkim kilku elementów potrzebnych do życia nie mniej niż pieniądze i niezbędnych jak woda, tyle że ich niedobór objawia się później i nie od razu staje się nieznosny. Brakuje bezpieczeństwa, komunikacji, łagodnej bliskości i sensu. Te deficyty wywołują napięcie, rodzaj podciśnienia. One to formują ludzi i ich zwłaszcza małe, ale i duże grupy – nas również. A także tych emigrujących, którzy wyjeżdżają już nie tylko z powodów materialnych czy politycznych, ale w dużym stopniu z przyczyn, nazwijmy je, systemowo-społecznych. Oni i my zastanawiamy się, jacy teraz jesteśmy, jakie jest nasze „społeczeństwo”, cokolwiek teraz ta metafora znaczy.

Określa go cecha i kształtuje proces, które albo kiedyś nie występowały, albo nie pojawiały się w takim nasileniu i towarzyszyły jeszcze innym, bez dominacji. Ludzie tworzą nisze, miejsca w przestrzeni społecznej, a czasem też fizycznej, w której znajdują się wraz z innymi, do siebie podobnymi. Oddzielają się od reszty, starają się być u siebie i ze sobą, skoro nie ma dla nich miejsca gdzie indziej, w przestrzeni otwartej, nie uważanej już za wspólną.

Te nisze, a raczej *społeczeństwo niszowe* mają swoje właściwości. Po pierwsze, poszczególne nisze są odrębne. Dlatego i po to właśnie powstały. Nie chcą wpływać na resztę, na całość, nie chcą w niej uczestniczyć, pragną się od niej oddzielić. Nie jest to jednak eskapizm, nisze są obecne w świecie, ale na swoich warunkach, zarówno dotyczących sposobu tej obecności, jak i określania i interpretowania otoczenia. Nisze, a dokładniej tworzący je ludzie oczekują przede wszystkim od „całości” (np. państwa), by się nie wtrącała, nie przeszkadzała. Pomoc nie jest im potrzebna. Po drugie, nie tworzą całości. Nie układa się z nich mozaika, której składniki wspólnie coś obrazują i wyrażają. Nisze nie przylegają do siebie. Są większe i mniejsze, o składzie stabilnym lub zmiennym. Można należeć do kilku, ale raczej uczestniczyć w jednej, do tego bowiem potrzeba czasu oraz emocjonalnej

gotowości. Istnienie nisz wyraża tylko fakt egzystencji ich członków i ich stylu. Nic ponadto. Są mikroświatami partykularyzmów. Po trzecie, ich fundamentem może być wszystko ze świata kultury i życia społecznego: robienie i oglądanie filmów czy teatru, życie rodzinne, muzyka i plastyka, czytanie i pisanie, podróżowanie, oglądanie, hodowanie, zdrowie, kibicowanie, bieganie, siedzenie, tworzenie lub konsumowanie. Zawsze z własnego wyboru i w kontakcie z innymi, ale tylko niektórymi. Po czwarte, społeczeństwo niszowe nie ma żadnej ideologii scalającej, przyjętej przez wszystkich. Nie ma też między nimi, tzn. między niszami, komunikacji. Wymiana doświadczeń, a zwłaszcza przeżyć dokonuje się w niszach. Nie tworzą sieci, nie mają bowiem wspólnej podstawy i jednej osnowy, a powstały nie po to, by pokazywać się innym, lecz by być dla swoich. Liczy się komunikacja wewnętrzna, sygnałów wysyłanych na zewnątrz może w ogóle nie być. Emitowane fale nie są dopasowane do obcych odbiorników. Świadomość przynależności nie jest konieczna, ważniejsza jest świadomość nienależenia do tego, co jest na zewnątrz. Po piąte, obecność w nich i aktywność nie jest dochodowa, nie ma na celu zarobku. On może mu towarzyszyć, ale najczęściej stara się go zdobyć gdzie indziej. Nisze nie są także formą spędzania wolnego czasu, czas bowiem wypełniają intensywnym zaangażowaniem i zmagają się do pochłaniania jak największej jego ilości. Nie są dodatkiem, ale głównym ośrodkiem identyfikacji. Po szóste, ich istnienie, powstawanie lub zamieranie nie ma żadnego kierunku. Do niczego nie zmierzają. Nie są przejawem aprobatywnego dostosowywania się społeczeństwa polskiego do systemu kapitalistycznego w wersji z dominacją gospodarki wolnorynkowej i biurokratyzacją życia zbiorowego. To nie są zaangażowani orędownicy takiego systemu ani nie stanowią jego tradycjonalistycznego obciążenia, zapóźnienia i hamowania ruchu.

Nisze mają jednak związek z rozwijającym się systemem rynkowo-biurokratycznym, co wyraża się samym ich powstawaniem. Są one reakcją na rzeczywistość. Nie oznaczają uczestnictwa, ale i nie są wyrazem przeciwdziałania czemukolwiek. Nisze nie są także wyrazem oportunistu, ale i nie szukają drogi reformistycznej czy rewolucyjnej. Obecność nisz wynika z czego innego: poszukiwania i tworzenia tożsamości.

Nisze są obroną, miejscem schronienia przed istniejącym systemem. Także przed jego specyficzną kulturą, nowomową, monoideą sukcesu, pseudonaturalnością i niby nieuchronnością tego, co jest i być powinno, nazywaniem czegoś racjonalnością i merytokracją, i podobnymi określeniami perswazyjnymi. Są także ratunkiem przed atomizacją i osamotnieniem, zwanymi często indywidualizacją, przed presją reklam i marketingowej polityki. Przed alienacją. Można je uznać za przejaw zaniku społeczeństwa, nazwa „społeczeństwo niszowe” byłaby więc niczym więcej niż metaforą. Ale ta obecna postać naszej zbiorowej egzystencji może być też świadectwem siły potrzeb prospołecznych, które właśnie tak współcześnie się realizują. To społeczeństwo przykucnięte. Chowa się, a także niechący pokazuje czym teraz społeczeństwo nie jest. Poeta napisał, że „najplastyczniejszym /opisem chleba/ jest opis głodu”.

PAWEŁ KOZŁOWSKI

PRZESTRZEGAMY I WZYWAMY DO DZIAŁANIA

„Kuźnica” zwraca się dziś nie tylko do swych członków i sympatyków, lecz do całej opinii społecznej, ze słowami niepokoju, przestrogi i wezwaniem do działania.

Od dziesięciu co najmniej lat ugrupowania rządzące Polską lekceważą zasady kultury politycznej, nie rozumieją konieczności rozwijania kultury prawnej w naszym społeczeństwie. Ostatnio doszedł do tego ich instynkt agresywnego odwetu, odwołanie do populistycznej demagogii, nacjonalizmu i ksenofobii. Szczególnie niebezpieczne jest podważanie ładu konstytucyjnego i naszych związków z Unią Europejską, naszego w niej umocowania – fundamentu polskiej racji stanu. Droga nacjonalistycznego separatyzmu i zadęcia prowadzi Polskę i Polaków do zguby.

Żyjemy zarazem w epoce psucia polskich mediów – środków masowego przekazu i uczestnictwa. Agresja i nienawiść stają się w nich najczęstszymi środkami wyrazu.

„Kuźnica” nigdy nie wzywała do obywatelskiego nieposłuszeństwa i anarchicznych zachowań. Uczestniczyliśmy czynnie w przełomowym wydarzeniu najnowszej historii Polski – wielkim kompromisie przy Okrągłym Stole i włączeniu się naszego państwa do Unii Europejskiej i NATO. Rozumieliśmy to jako drogę realizacji współczesnej polskiej racji stanu.

Wzywamy więc wszystkich, a szczególnie najbliższą nam inteligencję polską wszystkich pokoleń, do obywatelskiej aktywności i odpowiedzialności na długiej drodze tworzenia dobrej Polski w dobrej Europie i w świecie pokoju, i ekologicznej równowagi.

Wzywamy do uczestnictwa w działaniach i manifestacjach dających tej odpowiedzialności świadectwo.

Rada „Kuźnicy”

Kraków, 16 grudnia 2015 r.

MATEUSZ BURZAWA

JAK ODRADZA SIĘ LEWICA W POLSCE?

Pisałem, że rok 2015 może być smutnym przełomem, a nowe będzie mogło powalczyć o sukces dopiero w latach 2018-2019¹. Niestety nie pomyliłem się. Wybory parlamentarne 2015 r. dały prawicowym populistom większość w parlamencie. Prezydent Andrzej Duda okazał się niezłomnym lizusem, a Beata Szydło marionetkową premierką w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, zaś ten jako prezes za nic nie odpowiada, ale o wszystkim decyduje. Piosenkarz P. Kukiz wprowadził do sejmu nacjonalistów z Ruchu Narodowego. Do sejmu nie dostała się za to Zjednoczona Lewica, która obwinia za swoją klęskę socjaldemokratów i socjaldemokratki z Partii Razem. Czy słusznie? W poprzednich numerach „Zdania”² diagnozowałem problem z SLD (dlaczego systematycznie upada), zwracałem też uwagę na bariery między postpolitycznymi partiami a nowymi politycznymi ruchami na lewicy, które uniemożliwiają zjednoczenie. Teoretycznie pomyliłem się w przypadku Zielonych i PPS, które jednak wystartowały w ramach ZL. Ale jeśli przyjrzemy się temu bliżej, zobaczymy, iż partię Zielonych i PPS opuściła spora grupa członków i członków, którzy założyli Partię Razem. Mój opis dotyczący postaw w Partii Zielonych dotyczył ich właśnie. Akcentowałem, że potencjalne elektoraty SLD i lewicy społecznej (przyszłej Partii Razem) są inne, oraz że ich hipotetyczne zjednoczenie skompromitowałoby tylko i unicestwiło ruch młodej lewicy. Owe artykuły powstały, zanim „geniusze” z SLD wystawili Magdalenę Ogórek jako kandydatkę na urząd prezydenta RP i przed powstaniem Partii Razem.

Upadek SLD: Zjednoczeni ale osobno

Pomysł wystawienie M. Ogórek, był z jednej strony aktem rozpacz, wynikającym z braku innego kandydata lub kandydatki, ale przede wszystkim bazował na wierze w postpolityczność. Kandydat(ka) musi być atrakcyjna, ale niekoniecznie musi mieć jakieś konkretne poglądy. M. Ogórek ma doktorat, jest osobą atrakcyjną, lecz poglądy przez nią wyartykułowane były mocno liberalne, by nie powiedzieć libertariańskie. Nie bez powodu P. Wipler proponował kandydatce SLD przejście do libertariańskiej partii KORWIN.

Antylewicowa kandydatka nie spodobała się jednak lewicowemu elektoratowi i zdobyła mniej głosów niż zebrano podpisów pod jej startem. Dla Sojuszu był to znak, iż zwrot w kierunku elektoratu J. Korwina-Mikke to nie najlepszy pomysł. Pozostał więc manewr w lewo, a że

start Ogórek odbił się negatywnie na sondażowym poparciu SLD, stało się jasne, iż by dostać się do parlamentu, nie może być konkurencji na lewo od PO. Tak oto w ostatniej chwili narodziła się Zjednoczona Lewica. Powstała jednak o wiele za późno, gdyż powinna być ona dzieckiem Kongresu Polskiej Lewicy z 2013 roku. Ale jak pamiętamy, **SLD zawsze traktował wszelkie zjednoczenia instrumentalnie i Kongres Lewicy potraktowany został jako przyznanie przez polską lewicę przewodniej roli SLD.**

W 2015 roku jednak SLD było na tyle słabe, że musiało dogadać się z upadającym Twoim Ruchem, a Zieloni, PPS, UP oraz inne podmioty służyły jako kwiatek do kożucha. SLD ciągle było i jest wewnętrznie podzielone na frakcje walczące o jak najlepsze miejsca na listach wyborczych dla „swoich”, a tu doszły kandydatki i kandydaci z innych partii i organizacji zaostrzając rywalizację różnych sztabów między sobą. W praktyce zjednoczenie było tylko na papierze i przed kamerami. W realnej kampanii było jak zwykle osobno. Zresztą na naprawienie kilkunastu lat błędów było już za późno³. Zwrot w lewo – robiony rękami ludzi o nielewicowych poglądach⁴ – nie przekonał elektoratu. ZL poniosła klęskę. Dla niecierpliwego i krótkowzrocznego aparatu SLD jest to pewnie sygnał, że Sojusz musi działać sam i że na lewicę w Polsce nie ma zapotrzebowania. Czytając wypowiedzi Leszka Millera⁵, ale też i wpisy członków SLD na portalach społecznościowych odnośnie do uchodźców z Syrii czy polityki PiS mam przeczucie, iż SLD może teraz postawić na „umiarkowany nacjonalizm”. Nie pomoże to jednak partii, bo Ruch Narodowy i PiS będą tu zawsze o kilka kroków do przodu. Co prawda Miller nie jest już szefem SLD, zastąpił go Włodzimierz Czarzasty, jednak uważam, iż mimo oczywistej inteligencji Czarzasty nie da rady reanimować Sojuszu, gdyż w swej masie aktyw partyjny jest niereformowalny, na dodatek część tego aktywu nie akceptuje Czarzastego. Więc SLD jest już nie do uratowania i rozsypuje się.

³ Armani zamiast Marksa, czyli anatomia upadku, <http://strajk.eu/armani-zamiast-marksa-czyli-anatomia-upadku/>

⁴ Były szef kampanii ZL wychwala Thatcher, <http://trybuna.eu/byly-szef-kampanii-zl-wychwala-thatcher/>

⁵ 1) Leszek Miller, *Wojujący islam jest wrogiem naszej cywilizacji*, <http://www.rp.pl/Plus-Minus/311209986-Leszek-Miller-Wojujacy-Islam-jest-wrogiem-naszej-cywilizacji.html?template=restricted>

2) Leszek Miller, *pierwszy PiS-owiec III RP* [7 cytatów], <http://300polityka.pl/news/2016/01/05/leszek-miller-pierwszy-pis-owiec-iii-rp-7-cytatow/>

3) <http://www.tvn24.pl/wiadomosci-z-kraju%2C3/miller-pis-nie-dokonuje-zamachu-stanu-zachodnie-media-histeryzuja%2C608186.html>

¹ Mateusz Burzawa, *Jak naprawić lewicę?*, „Zdanie” 1-2 (164-165) 2015, s. 66.

² Mateusz Burzawa [w:] „Zdanie” 1-2(160-161) 2014 i Burzawa, op.cit.

Nadzieja: „Dlaczego Razem powstała tak późno”

Podczas kampanii wyborczej objawiła się nowa siła na lewicy, a mianowicie socjaldemokratyczna Partia Razem, która podważyła opinię, iż tylko SLD jest jedyną liczącą się siłą na lewicy⁶. Na każdym kroku Partia Razem podważała różne „mądrości” głoszone przez inne partie, np. to, że „poza SLD nie da się zbudować innej partii lewicowej”, lub że „młodzi nie garną się do polityki”, a „bez lidera i pieniędzy nie da się nic zrobić” czy nawet to, że „bez wielkich struktur nie da się zarejestrować list wyborczych”. Ludzie zakładający i działający w Partii Razem na szczęście „tego nie wiedzieli”.

Ale zacznijmy od początku czyli od genezy Partii Razem. Jak opisywałem, w numerach „Zdania”⁷, na lewicy istnieje podział mentalno-ideowy. Różne środowiska lewicowe, lokatorskie, feministyczne, prozwierzęce, ruchy miejskie, ruchy broniące praw człowieka, nawet anarchistyczne i antyglobalistyczne od lat kontaktują się i współpracują na różnych płaszczyznach. **W styczniu 2015r. pojawił się pomysł, by je jakoś połączyć, a za pomocą apelu „Razem damy radę” zawalczyć o zjednoczenie rozdrobnionej lewicy, ale bez skompromitowanych i postpolitycznych podmiotów, jak SLD.** Ostatecznie pod apelem podpisało się ok. 2 tys. ludzi w większości nie powiązanych z żadną organizacją (choć oczywiście osób powiązanych też było wiele). Ponieważ decydenci partii takich jak Zieloni czy PPS woleli „nie ryzykować” i startować z SLD, co dawało gwarancję rejestracji list, projekt w tej postaci upadł. Ale wielu nowych ludzi zainteresowanych przedstawionym projektem zaproponowało inicjatorom i inicjatorom apelu, **by zaryzykować i spróbować razem z tymi nowymi osobami stworzyć partię wzorowaną na hiszpańskim Podemos.** I tak w marcu 2015 roku, w cieniu zbiórki podpisów pod kandydatkami i kandydatami na urząd prezydenta, rozpoczęło się tworzenie Partii Razem. Bardzo szybko okazało się, że zainteresowanie nowym projektem jest bardzo duże. Poza wspomnianymi aktywistkami i aktywistami wielu środowisk, do powstającej partii zaczęły się zapisywać masy osób wcześniej nigdzie nie działających: maturzyści, studenci, doktoranci, prekariusze, bezrobotni, ale też nie zabrakło ludzi starszych czy emerytów. Mają oni bardzo różną biografię – owa wewnętrzna różnorodność okazała się olbrzymim atutem nowej partii. Szybko został rozbity „szklany sufit mikrolewicy”.

Inna polityka jest możliwa

Wiele osób zastanawia się: jak to się stało? Przecież z punktu widzenia doświadczonych polityków Partia Razem zachowuje się nieracjonalnie. Ale jej siłą jest właśnie odrzucenie sposobu postrzegania świata dominującego w naszej polityce. Bez wątplenia siłą Partii Razem jest jej zakorzenienie w prekariacie – założyli ją prekariusze i zarys programu tej partii jest emanacją poglądów prekariatu. A że znaczną część prekariatu stanowią osoby dobrze wyedukowane jak i o dużym kapitale kulturowym, więc **Partia Razem jest ruchem intelektualistów na śmieciówkach.** Ludzi, którzy czytają, dyskutują, ale którzy równocześnie są wkurzeni na to, jak są traktowani w Polsce i chcący to zmienić. Dlatego w Razem panuje zupełnie inny klimat mentalno-intelektualny niż np. w SLD. Nie bez powodu ekspert w dziedzinie prekariatu,

prof. Guy Standing zaliczył tę partię właśnie do ruchów będących formą politycznej aktywizacji prekariatu⁸. By zrozumieć owe ruchy, dobrze jest zapoznać się z opiniami choćby przez Guy Standinga⁹, Thomasa Pikettygo¹⁰, a z polskich autorów Rafała Wosia i Jana Sowy¹¹, gdyż diagnozy i wnioski z nich płynące są wykorzystywane przez Partię Razem. Zresztą wykorzystanie do działań politycznych – analiz naukowych odróżnia Razem od postpolitycznych partii, korzystających tylko z *public relation* lub swoich wąskich interesów.

Dla aktywistek i aktywistów Partii Razem ważne jest traktowanie polityki i polityczności na serio. Polityka to zmienianie otaczającej rzeczywistości, a zarazem pewna misja. Dla Razem wejście do parlamentu czy samorządów itd., to jedno z wielu narzędzi do zmieniania rzeczywistości. Na przykład naszą rzeczywistość mocno kształtujemy za pomocą języka, dlatego sprawując władzę trzeba też posługiwać się własnym lewicowym sposobem porozumiewania się. Partia Razem buduje własną narrację, a „stare” centrolewice dostosowują swój język do dominującej (na ogół konserwatywnej, patriotycznej lub neoliberalnej) opowieści. Partii Razem już udało się sprowokować dyskusję o progresji podatkowej czy zwrócić uwagę niektórym publicystom na klasowe źródła sukcesu PiS, czyli przewlekłe choroby transformacji ustrojowej i niezbędnych kierunków zmiany¹².

Dla Partii Razem kluczowa jest wiarygodność. Nie da się wprowadzić pewnych zmian w kraju, jeśli nie wprowadzi się ich u siebie. Zatem skoro opowiada się za progresją podatkową, a jednocześnie wierzy w uczciwość ludzi, to wysokość składki członkowskiej jest dobrowolna i ludzie płacą ją w takiej kwocie, w jakiej chcą. Skoro partia sprzeciwia się polityce wodzowskiej, to i sama nie może mieć wodza. To powoduje, że partia ta jest bardzo innowacyjna. Dodać należy, że dzięki korzystaniu z internetu ma i stosuje narzędzia umożliwiające partycypację wszystkich jej członkiń i członków w pracach programowych, organizacyjnych, edukacyjnych czy politycznych.

Programowo Partia Razem akcentuje bólczki prekariatu z pozycji prekariuszy, dlatego wśród najważniejszych tematów znalazły się zagadnienia dotyczące zmiany prawa pracy, poprawienia jego egzekwowania, znacznego zwiększenia progresji podatkowej, czy powrotu do finansowanego z budżetu budownictwa komunalnego i wsparcia budownictwa spółdzielczego. Większość członków Partii Razem edukując się i podążając za chlebem musiało opuścić swoje rodzinne strony i przeprowadzić się do wielkich miast. Oni zdają sobie sprawę ze skutków podziału kraju na zamożną rozwijającą-

⁶ Jerzy J. Wiatr, *Czy to już wiosna*, „Zdanie” 3-4 (146-147) 2010, s.122.

⁷ Burzawa, op.cit.

⁸ 1) Guy Standing #zarazem <https://www.facebook.com/partiarazem/videos/533603416807719/?pnref=story> 2) Prof. Guy Standing o swojej książce „Prekariat” (powt. 24.11.2015), <http://audycje.tokfm.pl/odcinek/Prof-Guy-Standing-o-swojej-ksiazce-Prekariat-powt-24-11-2015/32770#>

⁹ Guy Standing, *Prekariat. Nowa niebezpieczna klasa*, PWN, Warszawa 2014, zob. również <http://ha.art.pl/prezentacje/39-edukatory/1948-guy-standing-prekariat-nowa-niebezpieczna-klasa.html>

¹⁰ Thomas Piketty, *Kapitał w XXI wieku*, <http://www.krytykapolityczna.pl/wydawnictwo/kapital-w-xxi-wieku>

¹¹ Jan Sowa, w Polsce już dzisiaj jest gorzej niż w Grecji, <http://wiadomosci.wp.pl/kat,141202,title,Jan-Sowa-w-Polsce-juz-dzisiaj-jest-gorzej-niz-w-Grecji,wid,17677359,wiadomosc.html?tid=1163ae>

¹² 1) Adrian Zandberg o sukcesie, podatkach i przyszłości Polski, 31 grudnia 2015 <http://dziendobry.tvn.pl/video,2064,n/adrian-zandberg-o-sukcesie-podatkach-i-przyszlosci-polski,189826.html> 2) Grzegorz Sroczynski, Zarobię mniej, czyli obrona demokracji, <http://wyborcza.pl/duzyformat/1,149727,19406771,zarobie-mniej-czyli-obrona-demokracji.html>

ca się Polskę A i zwiijającą się – mimo zewnętrznych inwestycji i remontów finansowanych ze środków unijnych – Polskę B. Problem marginalizacji peryferiów i walka z tym podziałem jest jednym z priorytetów. By skutecznie zaakcentować pięć priorytetów, Partia Razem nie akcentuje innych spraw. Chociaż wśród członków i członków wielu jest niewierzących, sceptycznie nastawionych do postępującej klerykalizacji kraju, to jednak znając postpolityczne realia, wedle których lewicę od prawicy różni tylko inny stosunek do Kościoła i PRL, Partia Razem nie poruszała zbyt intensywnie tematyki światopoglądowej, choć ją od początku zawarto w deklaracji programowej.

Dla większości osób, przywiązanych do klasycznego wodzowskiego modelu partii politycznych, największym problemem z Partią Razem jest **brak w niej funkcji przewodniczącego** i dążenie do kolektywnego zarządzania. Razem ma Zarząd Krajowy, Radę Krajową i zarządy oraz rady okręgów, a ponadto sąd partyjny. Organy te działają kolektywnie, a w miarę potrzeby rotacyjnie ustalone są osoby moderujące spotkanie. Członkinie i członkowie zarządów czy rad dzielą między sobą, stosując zasadę konsensusu, pewne zadania – przewodniczący są zbędni. Tym bardziej że w **wielu organizacjach** (nie tylko partiach) **walka o to, kto zostanie przewodniczącym, jest źródłem powstawania zwalczających się frakcji i w efekcie tworzy silne podziały wewnętrzne** prowadzące do secesji. W tym kontekście instytucja przewodniczącego jest wręcz szkodliwa.

Razem znaczy razem

Dla Partii Razem kluczowe okazało się zbieranie podpisów. Można było to zrobić tylko dzięki olbrzymiemu zaangażowaniu wszystkich członków i członków, ale też dobremu planowaniu. Powstająca Partia Razem nie była w stanie zebrać podpisów we wszystkich 41 okręgach, ale mogła zrobić to np. w 23, a trzeba było je zebrać w co najmniej 21 okręgach. Plan był następujący: Największe okręgi (Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań, Katowice, Szczecin itd.) najpierw szybko zbierają je u siebie, a potem ludzie z tych okręgów ruszają wspierać zbiórkę podpisów w najbliższym – sąsiednim okręgu. Np. Kraków po zebraniu podpisów w swoim okręgu 13, zbierał podpisy w okręgu tarnowskim (15), a gdy tam skończył, wsparł Bielsko-Białą.

Bardzo ważne było **doświadczenie zdobyte na ulicy w trakcie zdobywania podpisów**. Zbierały je przede wszystkim młode osoby, które przeważnie pierwszy raz w życiu musiały podchodzić na ulicy do nieznanym im osób, zagadywać je i prosić o udzielenie poparcia listy KW Partii Razem. Większość odmawiała, czasem w niegrzeczny sposób, część podpisywała. W czasie takich spotkań zawiązywały się rozmowy, niekiedy sympatyczne i budujące, ale niektóre były przerażające, skłaniające do zwątpienia w społeczeństwo. Ze spotykanych na ulicy ludzi wychodził antysemityzm, islamofobia, nacjonalizm, ksenofobia czy gloryfikacja zbrodniarzy typu Stalin i Hitler. Można też było doświadczyć braku elementarnej wiedzy społeczeństwa o polityce, wyborach czy ordynacji itd. Często zbierający słyszeli o wielu dramatach ludzkich o bezdomnych, zagrożonych eksmisją czy wyzyskiwanych w pracy. Zbieranie podpisów w różnych okręgach i różnych miejscowościach było empirycznym doświadczeniem – sprzyjało poznaniu różnic między np. Krakowem, Tarnowem, Bochnią,

Brzeskiem, Olkuszem czy Miechowem. Jak ludzie są tam inni i jak inne mają problemy. Zauważyłem np., że w Tarnowie mało było osób młodych powyżej 18 roku życia, i to, że młodzi mężczyźni często chodzili w T-shirtach z nadrukiem „żołnierze wyklęci”.

Udało się zebrać na czas podpisy w 22 okręgach. Co ciekawe, okręgowe PKW były zaskoczone, że podpisy pod listami KW Partia Razem są wypełnione różnymi charakterami pisma, a nie jednym. Ta konstatacja stawia pytanie o uczciwość zbiórki podpisów przez inne komitety. Wszyscy razem pracowali na wynik swojej partii. Intensywne zbieranie podpisów w ponad 30-stopniowym upale (często w ramach wakacji i urlopów), a następnie intensywne współdziałanie w ramach kampanii mocno scementowało ludzi w Razem. Cieniem na kampanię kładł się kompletny brak zainteresowania Partią Razem głównych ogólnopolskich kanałów telewizyjnych. Już po zarejestrowaniu list w całym kraju, **między 7 a 27 września TVP poświęciła KW Partia Razem aż 8 sekund**. W tym samym czasie rządzącej PO poświęciła 16 h 58 min 5 s, PiS 15 h, 31 min 51 s, Nowoczesnej 1h 56 min 52 s, a nawet KORWIN-owcom 19 min.6 s¹³. Za to jawne dyskryminowanie, Partia Razem zagroziła TVP prawnymi konsekwencjami. Faworyzowanie przez TVP – PO i PiS, którego eskalacją była debata Ewy Kopacz z Beatą Szydło, zrodziły na tyle duże oburzenie wielu środowisk o brak obiektywności telewizji publicznej, że ta ugięła się i zorganizowała w ostatniej chwili „debatę liderów”. Zarząd Partii Razem wydelegował na nią Adriana Zandberga.

Efekt Zandberga

Niewątpliwie zwycięstwo Adriana Zandberga w debacie było przełomem. Media, które kilka dni wcześniej ignorowały Partię Razem, teraz dopytywały się „dlaczego ukrywaliście Zandberga” choć ten występował w mediach, które go zapraszały, jak radio Tok Fm czy Polskie Radio. Po debacie dało się odczuć także na ulicach zmianę nastawienia ludzi do Partii Razem – nagle zaczęli ją kojarzyć. Nasiliła się jednak też i kampania pomówień. Środowiska liberalne i centrolewicowe twierdziły, że Partia Razem chce wyjścia Polski z NATO, dokwaterowywać bezdomnych do prywatnych mieszkań, opodatkować – liniowo – wszystko na poziomie 80 proc. Zjednoczona Lewica próbowała przedstawić partię jako homofobiczną i klerykalną, oraz określić jako „partię osobno”. Ale **gdyby Partia Razem nie wystartowała osobno, to by jej już nie było**. Tzn. istniałaby, ale tak samo jak obecnie istnieje Unia Lewicy, która powstała dziesięć lat wcześniej jako koalicja 6-7 partii i kilku organizacji lewicowych poza SLD, i która bardzo szybko, pragmatycznie, w imię jedności wystartowała z SLD. Nikt jej już nie pamięta podobnie jak Unii Pracy. W tej ostatniej działał niegdyś m.in. Adrian Zandberg.

Co ciekawe w 2004 roku na łamach „Forum Klubowego”¹⁴ Zandberg zauważył, iż będąc w koalicji z „liberalnym SLD”, Unia Pracy popiera i uchwała rozwiązania jawnie sprzeczne z własnym lewicowym programem, co powoduje, że traci swoją wiarygodność. Jednocześnie

¹³ <https://www.facebook.com/partiara-zem/photos/pb.430323810469014.-2207520000.1451760897./517251845109543/?type=3&theater> za BIP <http://centruminformacji.tvp.pl/18918901/politycy-w-tvp-2015-r>

¹⁴ Adrian Zandberg, *Po co istniejemy*, „Forum Klubowe” nr.2 (16) kwiecień/maj 2004. str.29-30.

swoim działaniem liberalna koalicja SLD-UP pracuje na sukces PiSu i Samoobrony. A Zandberg postulował by UP albo wymusiła lewicową politykę na SLD albo rezygnowała z koalicji. Co więcej, ostrzegał, iż pragmatyczne trwanie UP w tej koalicji w imię jedności i zgody na lewicy doprowadzi tę partię do politycznego upadku. Historia przyznała Zandbergowi rację. Na szczęście Partia Razem wyciągnęła nie popełniła tych błędów. Dlatego dwa miesiące po wyborach – mimo własnej narracji odnośnie do polityki PiS i liberalnych ruchów antyPiS – utrzymała poparcie na poziomie 4 proc.¹⁵

Zrozumieć lewicową Razem

To co robi Razem, wybiega poza postpolityczne schematy, do których przywykliśmy w III RP. Stawiająca na wiarygodność oraz ideologiczną wewnętrzną spójność partia bardzo pilnuje się przed zaszufładowaniem czy krótkowzrocznym pragmatyzmem (który zgubił SLD), nawet jeśli miałyby się to odbić na chwilowym spadku poparcia. Przykładowo, w sporze o Trybunał Konstytucyjny partia nie dała się wciągnąć w dyskusję między autorytarnym PiS a liberalnymi obrońcami demokracji, i przedstawiła własne stanowisko. Zdaniem Razem bronić trzeba nie tyle wybranego przez PO, PiS, PSL składu obecnego Trybunału Konstytucyjnego, ale przede wszystkim respektowania zapisów Konstytucji, co biorąc pod uwagę liczbę nie wykonanych do tej pory orzeczeń TK, okazało się problemem.

Organizując 2 grudnia 2015 roku manifestację pod sejmem¹⁶ **Partia Razem oświadczyła, iż będzie bronić Konstytucji zarówno przez przed PiS jak i przed PO, bankami, korporacjami czy Kościołem.** Oprócz protestów pod sejmem (w których przypominała m.in. o tym, iż wyroki TK dały prawo do zrzeszania się w związku ludziom zatrudnionym na umowie-zlecenie), Pałacem Prezydenckim¹⁷ i protestów w innych miastach¹⁸, partia ta broniła konstytucyjnego prawa do zrzeszania się w związki zawodowe wspierając protesty związkowców z Polskiego Busa, Biedronki czy Amazona. Partia była tam, gdzie od lat konstytucja łamana jest w praktyce, bo Razem chce być z ludźmi na ulicy i tam, gdzie jest miejsce lewicy. Tym bardziej że w partii pamiętany jest błąd Jacka Kuronia z początku lat 90., kiedy w imię zgody narodowej potrzebnej do budowy III RP Kuroń nie inicjując budowy nowoczesnej demokratycznej lewicy oddał pole neoliberalnej i klerkalnej prawicy, która zdominowała III RP. Stąd też sceptycyzm w Razem wobec pomysłów o zgodzie nad podziałami¹⁹, gdyż zgoda na taki kompromis jest proszeniem się o nieszczęście w przyszłości.

Taka strategia nie spotkała się ze zrozumieniem wielkomiejskich (często liberalnych) środowisk²⁰ raczej star-

szego pokolenia, uczestniczących w protestach KOD. Środowiska te wierzą, iż potrzebna jest wielka koalicja ponad podziałami (może i nowy LiD), porozumienie ugrupowań opozycyjnych od „prawa do lewa”, czyli od Petru, PO, Palikota, przez PSL, SLD i Razem po pozapartyjne, by wspólnie przeciwstawić się PiS-owi. Bo „zaraz nie będzie demokracji”. KOD traktowany jest przez nich jako wyraz buntu całego społeczeństwa wobec ciemnogrodu, co jednak nie do końca jest prawdą. Widać to choćby po specyficznej grupie wiekowej protestujących, w której dominują osoby w średnim wieku i starsze, a bardzo mało młodych, poniżej 30 roku życia. W protestach „nie dla ACTA” było na odwrót. Tam dominowała młodzież.

Jednocześnie zwolennikom KOD nie przeszkadza, iż mimowolnie legitymizują środowiska, które od lat omijają lub łamią Konstytucję oraz że wzmagają poparcie dla ortodoksyjnych neoliberalistów, których „reformy” zaostrzyłyby podział kraju na Polskę A i B. **Jeżeliby sukces KOD przełożył się np. na sukces wyborczy Nowoczesnej Petru, to w perspektywie dalszych kilku lat może otworzyć to drogę do sukcesu np. Ruchu Narodowego** (który skonsoliduje frustrację społeczną). Dla starej liberalnej inteligencji żyjącej mitami UW i III RP, która w „obronie demokracji” odkurzyła oporniki, taka myśl, że z III RP jest coś nie tak („bo kiedyś było gorzej” i „cieszymy się z tego co jest”) jest nie do pojęcia. Poza tym, gdyby nie psucie państwa przez PO i PSL, to PiS by nie wygrał. Co więcej, legitymizowanie PO i PSL przez KOD odbierane jest przez nie małą część społeczeństwa jako dowód na to, iż KOD protestuje w obronie zagrożonych interesów elit „które okradają Polskę”. Takie myślenie utrwała dualistyczny podział sceny politycznej na „proPiS i anty PiS, co jest na rękę Kaczyńskiemu. Potwierdza to wszak narrację, jaką od lat buduje jego partia²¹. Narrację, wedle której wybrany z woli narodu (mający demokratyczny mandat) PiS broni Polskę przed „rozkradającymi ją elitami i oligarchią zarządzanymi z ul. Czerskiej”, a wszelkie partie w opozycji do PiS/Zjednoczonej Prawicy, są de facto strażnikami elit i owej oligarchii. **Partia Razem bardzo nie chce się w ten duopol wpisać²².**

Przed Razem jako partią inteligentną stoi wyzwanie ominięcia inteligenckich kolein. Potencjał intelektualny swoich członków i członków musi wykorzystywać do głębokich analiz tego, co się rzeczywiście w Polsce dzieje. Na przykład, co rzeczywiście w parlamencie robi PiS? Dlaczego to robi? Dlaczego 18,6 proc. społeczeństwa w to wierzy i dlaczego prawie 50 proc. społeczeństwa nie chodzi na wybory? Jak to zmienić? Dla Partii Razem sukces PiS i to co z niego wynika, jest skutkiem pewnego wieloletniego i nie zakończzonego procesu społeczno-ekonomicznego. **By pokonać PiS trzeba odzyskać chociaż część ludzi głosujących na tę partię, i zaktywizować tych, którzy zniechęceni polityką nie głosują.** Mówiąc inaczej, PiS „odebrał”

¹⁵ Sondaż TNS dla „Gazety Wyborczej”, 10-11.12.2015 [w:] Agnieszka Kubik, *Nie ma zgody na taką demokrację*, „Gazeta Wyborcza” 292 (8625), 15 grudnia 2015.

¹⁶ <http://partiarazem.pl/2015/12/partia-razem-demonstracja/>

¹⁷ 1) *Partia Razem też pod Pałacem*, „Gazeta Wyborcza” 11 12 2015, 289(8622)

2) *PiS jest bardziej zachłanny niż PO. Chce zawłaszczyć całe państwo. Partia Razem przed Pałacem Prezydenckim*, <http://www.tvp.info/23066958/pis-jest-bardziej-zachlanny-niz-po-chce-zawlaszczyc-cale-panstwo-partia-razem-przed-palacem-prezydenckim>

¹⁸ *Partia Razem pod urzędem wojewódzkim: Prezydencie, przestrzegaj prawa!* <http://krakow.wyborcza.pl/krakow/1,44425,19327768,partia-razem-pod-urzedem-wojewodzki-prezydenzie-przestrzegaj.html>

¹⁹ *Ważne są i chleb, i wolność*, „Gazeta Wyborcza” 21 12 2015, 297(8630) str.12-13 <http://wyborcza.pl/1,75478,19376842,wazne-sa-i-chleb-i-wolnosc.html#ixzz3UwQQdwKj>

²⁰ 1) Adam Leszczyński, *Uparte Razem wciąż osobno*, „Gazeta Wybor-

cza” 12.01.2016, <http://wyborcza.pl/1,75968,19461611,uparte-razem-wciaz-osobno.html> 2) Majstersztyk i bubeł 2015: typuje Janusz Majcherek <http://wyborcza.pl/1,75968,19423494,majstersztyk-i-bubel-2015-typuje-janusz-majcherek.html>

²¹ *Polska macocha a nie matka, rozmowa z Adrianem Zandbergiem*, „Gazeta Wyborcza” 5-6 12 2015, 284(8617) 22-23 <http://wyborcza.pl/magazyn/1,149724,19297101,polska-macocha-nie-matka-rozmowa-z-adrianem-zandbergiem.html?disableRedirects=true>

²² Co zostało zapisane w uchwale Rady Krajowej Partii Razem z dnia 20 12 2015, <http://partiarazem.pl/2015/12/partia-razem-jestesmy-trzecia-mozliwoscia/>

kiedyś „socjalny elektorat” SLD²³, a Partia Razem chce go teraz odebrać PiSowi²⁴. I nie zważa na to, że opinio-
twórczy liberałowie, nazwą ją partią populistyczną, tak
jak jej hiszpańską odpowiedniczkę Podemos. By trafić
do tych grup społecznych, potrzeba lat przemyślanej
pracy u podstaw i cierpliwości, której brak w partiach
postpolitycznych, broniących obecnego *status quo*²⁵.

Podsumowując: Partia Razem jest bardzo krytyczna
wobec III RP. Dlatego też nie może iść ramie w ramie
z PO, Petru czy SLD jako siłami, które współtworzyły
i bronią jej – i to w obecnym neoliberalnym i konserwa-
tywnym kształcie²⁶. Taki alians „z elitami” pozbawiłby
ją wiarygodności²⁷. Jednocześnie Razem nie ignoruje
autorytarnych zapędów PiS i przeciwko nim protestuje,
jednak zachowuje zimną krew i nie chce pracować na
przyszły sukces wyborczy neoliberalistów.

Razem z PODEMOS i związkami

Krytyczne podejście Partii Razem do neoliberalnej
III RP ma przełożenie na stosunek tej partii do SLD. So-
jusz w swoim „programowym etosie” ma budowę nowej
Polski z jej dobrymi (akcesja do NATO, wstąpienie do
UE), ale i złymi elementami (np. likwidacja funduszu ali-
mentacyjnego, liniowy CIT, pozostawienie klerykalnych
reform AWS, udział w wojnie i okupacji Iraku), już daw-
no usytuował siebie jako jej obrońcę²⁸. Jak już pisałem
w „Zdaniu”, SLD jest niezdolny do autorefleksji i samo-
krytyki, która by mogła zreformować dogłębnie partię.
**Aktyw Sojuszu ciągle tkwi w przekonaniu, że jako
partia kiedyś rządząca wie, co można, a czego nie
można, i socjaldemokratyczne reformy są tym, cze-
go w Polsce nie można przeprowadzić, bo „przed-
siębiorcy i korporacje uciekną za granicę”, ale mimo
to „można obniżyć im podatki”.** Dlatego zamiast da-
lekosiężnych wizji przyszłości, Sojusz skupiony jest na
reagowaniu w sprawach bieżących. To tzw. polityka
„cieplej wody w kranie”, którą przez 8 lat realizowała PO.

Zresztą, jak pokazały badania Anny Pacześniak i Je-
an-Michel De Waele’a, „PO i SLD nie prezentują dwóch
antagonistycznych wizji świata” i „działaczy obu ugru-
powień nie dzieli ideowa przepaść”²⁹. Jak daleko w tym
patologicznym myśleniu zaszedł aktyw Sojuszu, widać
choćby w wypowiedziach wychowanków tej partii. Kan-
dydujący na szefa Sojuszu przedstawiciel młodego po-
kolenia, „gwiazdor” programu Młodzież Kontra, Dariusz
Szczotkowski w swoim ocierającym się o libertarianizm
programie wyborczym głosił, iż chce walczyć z lewac-
tstwem w Sojuszu. Jest przeciwnikiem przyjmowania do

Polski uchodźców i poruszaniu przez SLD tzw. spraw
światopoglądowych. Młody kandydat na przewodni-
czącego SLD chciał rozpocząć dyskusję nad likwidacją
podatków CIT i PIT³⁰. Szczotkowski uważa również, iż
obecne SLD powinno być „racjonalną lewicą” taką, jaką
jego zdaniem była w latach 2001-2004³¹. Mówiąc ina-
czej, Szczotkowski chce popełnić wszystkie stare błędy
SLD, ale „chce je popełnić jeszcze bardziej”, a na do-
datek planuje zupełnie nowe, na które nawet Leszek
Miller by nie wpadł. Oczywiście D. Szczotkowski nie był
liczącym się kandydatem (zdobył 0,9 proc. głosów) ale
fakt, że taka osoba znalazła się w SLD i kandydowała
na przewodniczącą partii określającej się jako partia
lewicowa, daje do myślenia! Na dodatek są w Sojuszu
osoby popierające jego poglądy. Między nim i ludźmi
tak myślącymi o „nowoczesnej lewicy”, a popierający-
mi znaczną progresję podatkową socjaldemokratami
i socjaldemokratami z Partii Razem jest przepaść tak
wielka, że nie ma płaszczyzny do wspólnych rozmów.
I nie bez powodu w Partii Razem opinie o młodych
w SLD są jeszcze bardziej nieprzychylnie niż o starych³².

Kolejną barierą jest to, że **Partia Razem chcąc wal-
czyć z procesami wzrostu nierówności i podziałem
na Polski A i B – siłą rzeczy walczy również z częścią
dorobku SLD.** Współpraca z Sojuszem pod jakimkol-
wiek pretekstem może tylko zdezawuować Razem –
nową partię z czystym kontem. Trzeba o tym pamiętać
także z racji olbrzymiego zniechęcenia społeczeństwa
do polityki i polityczności. W 2015 roku zaistniały aż trzy
nowe podmioty polityczne: Partia Razem, Nowoczesna
i Kukiz15 – wszystkie są „świeże”, nie mają „antenatów”,
choć jest w nich wiele osób z pokaźnym politycznym CV.
Mimo to nadal da się zauważyć oczekiwanie społeczne
na coś nowego, co odmieni scenę polityczną. Pragma-
tyczny sojusz Partii Razem z SLD to by zaprzepaścić.

Wbrew dorabianej gębie Partia Razem nie działa
osobno. Współpracuje ze związkami zawodowymi –
zwłaszcza z Inicjatywą Pracowniczą, ZNP i OPZZ³³ (któ-
rego drogi z SLD już dawno się rozeszły³⁴). Nawiązała
kontakty międzynarodowe ze swoimi odpowiednikami
– hiszpańską Podemos (która w wyborach parlamenta-
rnych 20 grudnia zdobywając 21 proc. głosów osiągnęła
trzeci wynik i prawie zrównała się z socjalistami³⁵) i otwarta
jest na współpracę z progresywnymi ruchami lewicowymi
w kraju jak i za granicą. Nie są to jeszcze spektakularne
sojusze, ale też partia „zalicza” dopiero pierwszy rok ist-
nienia, a praca u podstaw to zajęcie na lata. W Partii Ra-
zem liczy się wiarygodność, cierpliwość, asertywność,
zimna krew i dalekosiężna perspektywa. Dokładnie tak
jak sugerował to w „Kuźnicy” kilka lat temu Zygmunt
Bauman³⁶.

MATEUSZ BURZAWA

²³ 1) Jacek Zychowicz, *Jak być na lewo od prawicy*, „Forum Klubowe” nr. 5(24) 2005, str. 6, 2) Tomasz Nestorowicz, *Zanim nie zagości idealizm*, op. cit.

²⁴ „Tygodnik Powszechny” 2016, <https://www.tygodnikpowszechny.pl/wszyscy-polacy-to-rozne-rodziny-31857>

²⁵ Polecieć tu muszę tekst Rafała Wosia, *Czas na V RP*, <http://wiadomosci.wp.pl/kat,141202,title,Rafal-Wos-czas-na-V-RP,wid,18054010,martykul.html>

²⁶ Adran Zandberg, *Z partii Razem o stanie polskiej demokracji i o tym, dlaczego Razem nie protestuje razem z KOD*, <http://audycje.tokfm.pl/odcinek/Adran-Zandberg-z-partii-Razem-o-stanie-polskiej-demokracji-i-o-tym-dlaczego-Razem-nie-protestuje-razem-z-KOD/33398#>

²⁷ *Ważne są i chleb, i wolność*, „Gazeta Wyborcza” 21 12 2015, nr 297(8630) str. 12-13 <http://wyborcza.pl/1,75478,19376842,wazne-sa-i-chleb-i-wolnosc.html#ixzz3uwQQdwKj>

²⁸ Jacek Zychowicz, *Czy warto bronić III RP?*, „Forum Klubowe” nr. 1(20) 2005, str. 15.

²⁹ Anna Pacześniak, Jean-Michel De Waele, *Lidzie partii idealisci czy pragmatycy*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR 2011, str. 141

³⁰ *Kandydat na szefa SLD: Likwidacja podatku dochodowego do rozważenia*, <http://pikio.pl/kandydat-na-szefa-sld-likwidacja-podatku-dochodowego-do-rozwazenia/>

³¹ *SLD dziesięcioro kandydatów do przywództwa*, <http://trybuna.eu/sld-dziesiecioro-kandydatow-do-przywodztwa/>

³² Zbigniew Bartuś, *Punk rock, równość, spółdzielnia, czyli wszystkie ogniwa Razem*, „Dziennik Polski” 6 11 2015.

³³ *OPZZ i Razem: Razem o godną pracę!* <http://partiarazem.pl/2015/12/opzz-i-razem-razem-o-godna-prace/>

³⁴ *Gorzej niż czarny scenariusz*, „Przegląd” 2011, <https://www.tygodnikprzeglad.pl/gorzej-niz-czarny-scenariusz/>

³⁵ Maciej Stasiński, *Hiszpania: powybiorczy klincz* „Gazeta Wyborcza” 22 12 2015, nr 298(8631) str. 10

³⁶ Zygmunt Bauman, *Czy przyszłość ma lewicę?*, „Zdanie” nr. 3-4(154-155), 2012.

ADAM JAŚKOW

EPITAFIUM DLA SLD

Wprawdzie pacjentowi wydaje się jeszcze, że żyje, ale wszyscy dookoła wiedzą, iż to jego ostatnie chwile. Przyznaję, przyłożyłem w pewnym sensie rękę do powstania SLD, mimo początkowych wątpliwości. Pamiętam długie rozmowy z Andrzejem Urbańczykiem, który najdłużej chyba opierał się pomysłowi przekształcenia komitetu wyborczego w jednolitą partię. Niektórzy mieli obawy, czy taki projekt ma sens. W szczególności obawiano się:

- roztopienia socjaldemokratycznego rdzenia (SdRP) w morzu innych organizacji,
- ograniczenia demokracji wewnętrznej,
- wzrostu znaczenia biurokracji wewnątrzpartyjnej,
- dominacji taktyki politycznej nad celami społecznymi.

Oczywiście pojawiły się wszystkie te elementy, ale też doszło kilka nowych, o których nikt nie wspominał lub nie zdawano sobie sprawy z możliwości ich zaistnienia. SdRP była partią formalnie socjaldemokratyczną, w deklaracjach, hasłach programowanych używano takich określeń jak sprawiedliwość społeczna, dobrobyt, społeczna gospodarka rynkowa, a nawet pojęcia „demokratyczny socjalizm”, ostatni raz w programie przyjętym na II Kongresie SdRP w 1995 roku. W programie wyborczym Komitetu Wyborczego SLD w 1997 roku sprawiedliwość społeczna już nie się nie pojawiła. Być może dlatego, że znikła też z programu SdRP przyjętego na kolejnym kongresie w 1997 roku. Zniknął socjalizm. Z programu sączyła się duma z rządu oraz dokonania rządu. Tak więc transformacja partii w kierunku środka rozpoczęła się, zanim powstał projekt powołania SLD.

Sprawiedliwość społeczna znalazła się chyba po raz ostatni w *Deklaracji Krakowskiej*, przyjętej na pierwszym Forum Socjaldemokratycznym Europy Środkowo-Wschodniej. Apelowano w niej, aby zjednoczona Europa w takim kierunku zmierzała. O ironio, socjalizm i społeczna sprawiedliwość skończyły się przy okazji wielkiego rozszerzenia Unii Europejskiej. Zaczęła się epoka polskiej racji stanu, która nie musiała już być społecznie sprawiedliwa.

W wyborach 1997 roku zwyciężył jednak AWS wspierany przez NSZZ Solidarność, co było największym sukcesem związku zawodowego i zarazem zwycięstwem pyrrusowym. Władzę *de facto* objęła neoliberalna frakcja Unii Wolności. Panował Jerzy Buzek, rządził Leszek Balcerowicz.

Wcześniejsza koalicja SdRP/SLD i PSL łagodziła nierówności powstałe w czasie rządów postsolidarnościowych, korzystając też z ogólnoswiatowej koniunktury. Kurs był na korektę, a nie na zmianę. Do konstytucji wprowadzono społeczną gospodarkę rynkową, ale na zapisach raczej się skończyło. W rzeczywistości trwało budowanie podstaw kapitalizmu.

Podobnie też wyglądał program SLD przyjęty na kongresie założycielskim. Ale potem to już niewiele do niego zaglądało. Z drugiej strony liderzy SLD byli wyraźnie pod wrażeniem liderów europejskiej lewicy, niestety tych, którzy wybrali tzw. trzecią drogę. Kontakty z Blairem i Schroederem sprawiły, że i u nas SLD realizował koncepcję łagodnego kapitalizmu. W praktyce oznaczało to przesunięcie się europejskich partii socjaldemokratycznych na prawo, w Polsce zaś spowodowało znacznie głębsze skutki. Europejska socjaldemokracja miała się gdzie przesuwac i miała co demontować. Nawet ograniczone państwo socjalne pozostaje państwem socjalnym. Polska doktryna walki z bezrobociem okazała się mało skuteczna, oznaczała magiczną wiarę we wzrost PKB na poziomie pięciu, a potem ośmiu procent, co miało gwarantować stały przyrost nowych miejsc pracy i postępujący dobrobyt.

Nabór do partii władzy

Partia się powiększała. W momencie powstawania SLD jako partii, lewica skupiona wokół SdRP była dobrze osadzona w strukturach władzy, której generacja Millera i Kwaśniewskiego nigdy całkiem nie oddała, mimo kolejnych akcji dekomunizacyjnych i czystek personalnych. SLD cieszył się zaufaniem części biznesu, zwłaszcza tej, którą zarządzali koledzy ze studiów Aleksandra Kwaśniewskiego, Józefa Oleksego, Marka Siwca, Marka Borowskiego, Włodzimierza Cimoszewicza. Stowarzyszenie Ordynacka wspierało nowe SLD z całych sił. Dla tej generacji otworzyła się szansa powrotu do władzy. Apetyty na nią były, po okresie rządów w latach 1993-97, bardzo rozbudzone. Na sztandarach widniała socjaldemokracja, ale w głowach był głód sukcesu. W tym również osobistego. Kilka lat później ludzie z Ordynackiej wsparli nowe PO.

Do partii napływali też młodzi ludzie z zakodowanymi ścieżkami kariery. Napompowani wolnością, samoświadomością, przekonani o własne j. wspaniałości. Łączyło ich to, iż nie przywiązywali wagi do poglądów politycznych lub ich nie mieli w ogóle. Część założycieli SLD też nie posiadała sprecyzowanych poglądów politycznych i tym chętniej przejęła liberalne uzasadnienia kapitalizmu. Kolorowa otoczka wolnego rynku kusila. Królowała pragmatyzm i otwartość na kompromis. I nade wszystko polska racja stanu, czyli NATO, Unia Europejska i wzorcowe stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Być może sprawiła to szczerze wyznawana wiara, że tak być musi, że nie ma innego wyjścia. Ufność do amerykańskiego brata była większa niżby to nakazywał zdrowy rozsądek.

Trzecia droga i podatek liniowy

SLD okazał się w praktycznym działaniu mało skuteczny. Tak naprawdę odniósł tylko jeden sukces, któ-

ry okazał się pierwszym krokiem do spektakularnej katastrofy. Może dlatego, że mało kto we władzach partii był zainteresowany przyczynami sukcesu wyborczego w 2001 roku. Więcej emocji budziło roztrząsanie co by było, gdyby udało się zdobyć ponad 50 proc. mandatów i rządzić samodzielnie. Czy to była wina Marka Belki, którego ukarano relegowaniem z rządu Leszka Millera i obarczono winą za brak sukcesów? Potem obarczano winą Jerzego Hausnera, zaś Lwa Rywina pewnie za to, że wystąpił jako aktor drugiego planu, a marzyła mu się reżyseria. Tak naprawdę zwycięstwo wyborcze zostało podarowane SLD przez AWS, a w zasadzie przez Leszka Balcerowicza. Być może SLD zrewanżowało się i utorowało PO drogę do władzy.

Z dzisiejszej perspektywy patrząc, rządy SLD, które zresztą trwały tak naprawdę tylko nieco ponad dwa lata, jawią się jako ciąg afer, potknięć i nieporozumień. Celem głównym było wejście do Unii Europejskiej i jemu Leszek Miller podporządkował wszystko. Niestety, nie osiągnął niczego więcej. Może dlatego, że skupiał się na pakowaniu i kompromisach z elitami, w tym kościelnymi oraz z rosnącym medialnym imperium Adam Michnika. Czas rządów wspieranych przez SLD to dalsza ostrożna, ale jednak liberalizacja gospodarki. Wprowadzono liniowy podatek dla podmiotów gospodarczych, kontynuowano prywatyzację. Zaniechano współpracy z otoczeniem społecznym oraz budowy zaplecza ideowego. Efekty mamy do dziś.

W cieniu męża opatrznosciowego

Po rozpadzie SLD, bo tak należy nazwać secesję Socjaldemokracji i powstanie Partii Demokratycznej, nieformalnym jego nadprzewodniczącym został Aleksander Kwaśniewski. Wszyscy kolejni liderzy widzieli w nim swojego patrona, choć były prezydent znajdował się już bliżej centrum niż Trzecia Droga. Wybrał swoją, chciał być personalizacją III RP. I można powiedzieć, że był jej najlepszą twarzą. Problem w tym, że III RP nie miała nic wspólnego z lewicą, sprawiedliwością społeczną czy równością. To była II RP po liftingu. Popularność i wpływy Aleksandra Kwaśniewskiego brały się ze słabości wewnętrznej SLD, braku wyraźnej linii programowej. Ton w partii nadawali pragmatycy kroczący „trzecią drogą”, a nawet i ci, którym było jeszcze bliżej do centrum.

Wybory w 2005 przyniosły SLD klęskę. Hasło „Zmieniając siebie zmieniamy Polskę” było z jednej strony doskonale nijakie, z drugiej lokowało SLD w centrum. Nie było to jednak centrum wydarzeń. SLD z nowym młodym przewodniczącym osiągnęło czwarty wynik, przegrywając nie tylko z PO-PiS-em, ale także z Samoobroną. A w latach 2005-2007 dokonały się ważne przemiany w świadomości społecznej. Od roku 1991 w kolejnych wyborach dominującą grupę stanowili ci, którzy chcieli większej sprawiedliwości, większej równości, lepszej opieki państwa. Duża ich część za każdym razem głosowała na inne ugrupowanie, traktując poważnie składane społeczeństwu obietnice. Wybory 2005 roku zamknęły polityczne koło – wszystkie opcje dostały szansę sprawowania władzy. Można powiedzieć, że kompromitując Samoobronę Jarosław Kaczyński zakończył okres przejściowy. Od tej pory na scenie politycznej zaczęli dominować beneficjenci przemian i ci, którym się wydawało, że nimi są. Wybory przestały być wyborami za jakąś opcją czy programem, a stały się wyborami przeciw rządzącym

lub przeciw tym, którzy rządzić chcieli. Dialog społeczny i polityczny zamarł. Mimo szczytnych celów programowych na jego rozbudowie nie zależało wcale Platformie Obywatelskiej.

Na tak przebudowanej scenie politycznej nie było miejsca dla SLD, a już na pewno dla SLD, które chciało uosabiać III RP. Taka partia nie była ani społecznie potrzebna, ani użyteczna. Jedna Platforma Obywatelska w zupełności wystarczała. Miała swoje skrzydła, takie jakby lewe, drugie całkiem prawe, i szerokie centrum. Wyborczy sojusz Lewica i Demokraci, w jakim SLD wystartował w 2007 roku, miałby może jakieś szanse powodzenia, gdyby od początku nie miał wyłącznie taktycznego celu. Członkowie i sympatycy obu ugrupowań nie byli do niego przekonani, ani też nikt ich specjalnie nie chciał przekonywać. Wszystkiego miał dokonać duch Aleksandra. Wiara w niego była zupełnie bezpodstawsza, oparta na historycznym wyniku wyborczym, którego przyczyn nikt nie próbował analizować. Nie brano też pod uwagę zmian sytuacji na scenie politycznej, ani zmiany postaw społecznych. Wynik był w efekcie gorszy niż w 2005 roku; mimo większej liczby zdobytych głosów, liczba zdobytych mandatów była mniejsza, a jeszcze trzeba było się nimi podzielić z Demokratami. Wypadnięcie SLD z parlamentarnego układu było tylko kwestią czasu. Tym bardziej że kolejne kierownictwa polityczne powtarzały konsekwentnie te same błędy, nie zauważając szans, jakie stwarzała konkurencja.

Bez serc, bez ducha, bez nadziei

Kampanie wyborcze z lat 2014-2015 przyspieszyły erozję pozycji politycznej SLD. Mimo gestów pod adresem związków zawodowych (OPZZ), a w zasadzie ich kierownictwa, partia w dalszym ciągu szukała wyborców wśród potencjalnie zawiedzionych na PO. Pocieszano się, że SLD jest partią drugiego, trzeciego wyboru i wielu rozważa głosowanie na nią w drugiej kolejności, ale z takich wyborczych rozważań rzadko w efekcie są mandaty parlamentarne. Kierownictwo partii, nie tylko Leszek Miller, nie miało pomysłów na trafienie do wyborców, a już na pewno do tych, którzy mogliby rozważyć głosowanie na SLD w pierwszej kolejności. Co ciekawe, Leszek Miller intronizowany na zbawiciela SLD nie przedstawił przez cały okres pełnienia funkcji przewodniczącego żadnej koncepcji strategii politycznej. Wokół SLD nie było żadnej grupy opiniotwórczej, programowej, która przygotowałaby analizę sytuacji politycznej, zaproponowała nowe rozwiązania. Mimo dysponowania funduszami z subwencji oraz ze sprzedaży nieruchomości, nie powstała żadna struktura zajmująca się tymi problemami.

Powołany przez Józefa Oleksego Kongres Lewicy Społecznej był na pewno sukcesem organizacyjnym i jednocześnie najbardziej niewykorzystaną szansą schyłkowego okresu SLD. Zgromadził wiele osób, pomysłów i mógł być szansą na drugie życie partii. Szansa nie została wykorzystana. SLD wybrał kurs na dezintegrację. Powolną, ale skuteczną i nieuchronną.

Sojusz stawał się apolitycznym ugrupowaniem. Wszystkie podejmowane działania miały tylko taktyczne znaczenie, nie wypracowano żadnej długofalowej wizji politycznej. Współpraca ze związkami zawodowymi była czysto formalna i okazjonalna. Lokalne struktury więdły, a centralizacja partii postępowała. Demokracja wewnątrzpartyjna istniała co najwyżej formalnie. Szeregowi człon-

kowie nie rozumieli decyzji podejmowanych przez władze, a te z kolei nie interesowały się zdaniem członków.

Koszmarne decyzje wyborcze, od eurowyborów do wyborów parlamentarnych, były skutkami długo trwających procesów alienacji grupy przywódczej partii nie tylko wśród jej członków, ale i w społeczeństwie. Co ciekawe, fatalne decyzje nie powodowały fali grupowych odejść czy ostentacyjnych rezygnacji członków władz centralnych bądź regionalnych. Co gorsza, najwięcej głosów w ostatnich powszechnych wyborach przewodniczącego partii uzyskali kolejno Włodzimierz Czarzasty, Jerzy Wenderlich i Krzysztof Gawkowski, którzy w niemniejszym stopniu niż Leszek Miller są współodpowiedzialni za ostatnie spektakularne klęski SLD. Główna oś sporu dotyczyła dalszej współpracy pomiędzy Sojuszem a innymi grupami tworzącymi Zjednoczoną Lewicę. Nie były to różnice programowe, a jedynie taktyczne. Programowo SLD dalej miałby być lewym skrzydłem PO. Taktycznie zwyciężyła opcja wewnętrznego patriotyzmu SLD reprezentowana przez Czarzastego. Taktycznie nie sposób odmówić mu racji, ponieważ żaden z podmiotów tworzących ZL nie jest bytem politycznie istotnym. Strategicznie niestety, w takim kształcie, w jakim istnieje w 2016 roku, SLD nie jest nikomu potrzebny, może z wyjątkiem samych działaczy.

A do nich nie dotarła post-liberalna krytyka stosunków ekonomicznych, jaką prezentują w Europie i w Stanach Zjednoczonych ekonomiści określani jako neoklasyści czy bardzo ostrożni, wbrew pozorom, krytycy neoliberalizmu jak Piketty. Pomysły ekonomiczne i polityczne SLD zatrzymały się na roku 2005. A przecież nawet w liberalnej PO dostrzeżono konieczność zwiększenia dostępności przeszkoli, bezpłatnych podręczników, likwidacji OFE (choć to akurat wynikało niejako z przymusu ekonomicznego). Nawet w tej ostatniej sprawie Sojusz nie zdobył się na jednoznaczne stanowisko.

Do anegdoty przeszły wyniki badań ankietowych, przeprowadzonych podczas dolnośląskiego zjazdu SLD w maju 2008 roku. Aż 62 procent działaczy z tego regionu uważa, że dla dobra gospodarki państwo powinno się trzymać od niej z daleka. 35 proc. jest za sztywnym dla ekonomicznych liberałów podatkiem liniowym, a 72 procent opowiedziało się za współpracą lewicowego z nazwy SLD z partiami liberalnymi. Janusz Krasoń, szef SLD na Dolnym Śląsku: – Nie jestem tym zaskoczony, ale nie zmienia to faktu, że mamy problem. W XXI wieku zatarły się granice między tradycyjną lewicą i prawicą. Musimy jeszcze raz zastanowić się, jaka powinna być współczesna lewica.

Tymczasem z ankiety wynika, że w sprawach światopoglądowych i obyczajowych niektórym działaczom Sojuszu bliżej do partii prawicowych. 28 proc. badanych uważa homoseksualizm za sprzeczny z naturą człowieka. Jeszcze więcej, bo 48 proc. sprzeciwia się legalizacji małżeństw osób tej samej płci. Za takim rozwiązaniem jest tylko 34 proc. badanych. 71 proc. nie chce legalizacji miękkich narkotyków. 42 proc. chce przywrócenia kary śmierci, tyle samo twierdzi, że szkoła powinna uczyć przede wszystkim dyscypliny. (źródło: „Gazeta Wyborcza”, Wrocław, 13 listopada 2008).

Jarosław Klebaniuk skomentował to proroczco dla tej samej „Gazety”: „W przewidywalnym czasie (SLD) nie będzie odgrywać znaczącej roli na scenie politycznej. Po prostu nie ma już miejsca dla kolejnej siły propagującej społeczny konserwatyzm lub liberalizm gospodar-

czy”. (więcej w: *LUDZIE PARTII: idealisci czy pragmatycy? Kadry partyjne w świetle badań empirycznych*, red. Anna Pacześniak, Jean-Michel De Waele, wyd. Scholar, Warszawa 2011). Badania objęły aktyw partyjny z całego kraju. Okazało się, poglądy gospodarcze aktywu SLD są zbliżone z poglądami aktywu PO. Nawet deklaracje gotowości współpracy z PO były częstsze niż gotowości z Partią Demokratyczną, koalicjantem LiD. Nic dziwnego, PO rządziła, a PD nie. Platforma zrealizowała marzenia Sojuszu o rządach przez więcej niż jedną kadencję. I to rządząc w sposób nie lepszy niż SLD.

Zapomniano o wnioskach...

Czy był czas na wyciągnięcie wniosków? Zapewne tak. Ale być może sterowanie Latającym Holendrem lewicy było już niemożliwe. Aktyw partyjny w ankietach odpowiadał, że nie jest zadowolony ani z komunikacji wewnątrz partii, ani ze sposobu zarządzania nią. Zmieniali się przewodniczący (sześciu w okresie 17 lat), tyle że one niczego nie zmieniały. Przynajmniej na lepsze. Sposób zarządzania partią, sposób działania, praktyka polityczna, notoryczny brak sukcesów, nic się zmieniało. Proces autodestrukcji trwał. Świadomość, że nie jest potrzeba PO-bis, o lekko różowawym zabarwieniu, bardzo słabo przenikała do aktywu partyjnego. Kronika zapowiedzianej śmierci SLD pisała się sama. A raczej SLD pisało ją samo.

Czy SLD ma jeszcze szansę na reaktywację? Może, ale tak naprawdę musiałoby dokonać czegoś więcej niż zmiana kierownictwa, czegoś więcej niż zmiana programu, czegoś więcej niż remont generalny. Baczni obserwatorzy węgierskiej sceny politycznej są przekonani, że nie ma szansy dla Sojuszu w jego obecnym kształcie. Na Węgrzech doszło do całkowitej dekompozycji opozycji i zupełnej marginalizacji formalnie lewicowej partii, węgierskiego odpowiednika SLD. W Polsce mikrolewicową niszę zagospodarowała partia „Razem”, radykalnie lewicowa jak na polskie warunki, czyli w ogóle lewicowa. Trudno dziś powiedzieć, czy uda jej się wyjść poza swoją niszę, tym bardziej że nie tylko od niej to zależy. Do poważnej współpracy ruchów sytuujących się na „na lewo” od polskiego centrum nikt chyba jeszcze nie dojrzał. Tyle że czasu na dojrzewanie nie ma.

Największą winą SLD jest to, że zaniedbał elektorat, łudząc się, iż ten z 2001 roku zostanie z nim na zawsze. Okazało się, że zniknął szybciej niż się pojawił. Część centrowa wybrała sobie lepsze centrum, a część lewicowa straciła wszelką nadzieję i praktycznie od 2001 roku nie bierze udziału w wyborach. Nowi wyborcy lokują swoje nadzieje między ekonomicznym liberalizmem a ksenofobicznym nacjonalizmem, zgodnie z wiedzą wpojoną im w szkole i tym, co dociera do nich z mediów i internetu. Sami z siebie na lewicę nie zagłosują. Nawet bardzo, bardzo centrową.

Leninowskie pytanie „Co robić” pozostaje bez odpowiedzi.

ADAM JAŚKOW

Dokumenty:

SDRP. Rada Naczelna 1993–1997. Dokumenty programowe, Warszawa 1997.

Program wyborczy SLD z 2001 roku

Artykuł publikujemy jako głos w dyskusji o sytuacji lewicy w Polsce. Przedstawione w nim stanowisko jest wyrazem poglądów i ocen Autora. (Redakcja)

RAFAŁ SKĄPSKI

KULTURA I POLITYKA Z PERSPEKTYWY LEWICY

Mijająca dekada to czas, w którym lewica, także głosem Stowarzyszenia „KUŹNICA”, dopominała się o aktywność państwowego mecenatu, wskazywała zagrożenia i niepokojące tendencje, nie godziła się na spadek uczestnictwa Polaków w kulturze, na powiększanie się obszarów zaniechań i obojętności państwa, jego wręcz niefrasobliwości, na mnożenie działań pozornych.

Zgłaszane postulaty odnajdywały odzwierciedlenie w programach wyborczych SLD, LiD czy Zjednoczonej Lewicy. Ale i wcześniej, w latach 90. ubiegłego wieku były one także formułowane jako głos sprzeciwu wobec komercjalizacji kultury, zmian w szkolnictwie, degradacji instytucji kultury, co następowało w wyniku reform początku transformacji.

Mimo dwukrotnego sprawowania rządów przez lewicę w latach 1993-97 i 2001-05 (w dużej mierze były to rządy koalicyjne) programy te nie miały możliwości pełnej realizacji, gdyż raz tylko i to zaledwie nieco ponad pół roku resortem kultury kierował polityk identyfikujący się z programem lewicy i dążący do jego realizacji.

W mijającej dekadzie lewica zgłaszała swe uwagi wobec obozu rządzącego w sposób delikatny, by nie powiedzieć ugodowy. Wiązało się to z nadzieją części polityków na powstanie koalicji centrowo lewicowej. Platforma Obywatelska możliwemu koalicji z lewicą traktowała jak najgorszy z możliwych scenariuszy, więc sporadyczne głosy krytyki czy sprzeciwu ze strony lewicowych parlamentarzystów z reguły były całkowicie ignorowane.

Sytuacja polityczna, jaka wytworzyła się w Polsce w wyniku październikowych wyborów 2015 roku, zmusza lewicę już nie tylko do wyliczania zaniechań i wskazywania jak przeciwdziałać negatywnym tendencjom, jak to odbywało się poprzednio, ale do protestowania przeciw naruszeniom wolności twórców, narzucaniu jedynej słusznej narracji historycznej, wymuszaniu jednostronności mediów, edukacji czy postaw ideowych.

Kultura, w rozumieniu tego tekstu, w rozumieniu lewicy to suma wszelkich przejawów intelektualnej działalności człowieka tak twórczej, kreatywnej jak i konsumpcyjnej, odbiorczej. Nie jest to więc sposób spędzania czasu, dodatek czy ozdoba ludzkiej aktywności, lecz jej baza, podstawa, nośnik i siła sprawcza rozwiązania wszelkich ważnych problemów Polaków i społeczeństw w ogólności. Właściwy rozwój kultury, odpowiedni poziom kulturalnego wyedukowania każdego obywatela, wpojenie mu jako naturalnej potrzeby uczestnictwa w kulturze, to siła sprawcza i szansa rozwiązania takich problemów jak poziom usług medycznych, start młodego pokolenia, godność i status emeryta, świadomość obywatelska, a szczególnie prawna i ekonomiczna. Zaraz za tym idą

możliwości przeciwdziałania wykluczeniu społecznemu, bezdomności, wymogi ekologii i wszelkie następne.

Konstytucja Rzeczypospolitej z natury takiego aktu zadania państwa w obszarze kultury precyzuje skrótowo i ogólnie. Warto przywołać najważniejsze frazy zawarte w artykułach 6 i 73: „Rzeczpospolita Polska stwarza warunki upowszechniania i równego dostępu do dóbr kultury, będącej źródłem tożsamości narodu polskiego, jego trwania i rozwoju [...] Każdemu zapewnia się wolność twórczości artystycznej badań naukowych oraz głoszenia ich wyników, wolność nauczania, a także wolność korzystania z dóbr kultury”.

Tak określone zadania państwa i prawa obywateli skłaniają do zastanowienia się nad możliwością stworzenia katalogu bezwzględnych obowiązków państwa i opisanie obszarów, w których ingerencja państwa jest niepożądana. Najbardziej istotnymi (spis ten jest oczywiście niepełny) są dziś następujące zagadnienia:

Obszar obowiązków państwa: edukacja powszechna, edukacja artystyczna, zapewnienie uczestnictwa w kulturze, zapewnienie informacji o wydarzeniach kulturalnych, ochrona dziedzictwa, utrzymanie instytucji narodowych i samorządowych, warunki funkcjonowania mediów publicznych, ochrona własności kulturalnej.

Obszar wspomagania państwa: społeczny ruch kulturalny, artystyczny, regionalny, prywatny management artystyczny, eksperyment artystyczny, debiuty, ułatwienia dla prywatnych mecenasów.

Obszar nieingerencji państwa: swobody twórcze, komercyjna działalność kulturalna.

Są to sprawy podstawowe. Konstytucyjne. Nie można ich naruszać, można i należy dopominać się o ich realizację podpowiadając szczegółowe rozwiązania. Minister kultury jest jednak tylko jednym, choć głównym adresatem, gdyż sprawy kultury to odpowiedzialność wielu resortów, odpowiedzialność rządu.

Każdy, nawet mało uważny obserwator życia kulturalnego dostrzega postępującą degradację kultury, obojętność decydentów na likwidowanie instytucji, na zapaść edukacji, zamazywanie się cech tradycyjnej odrębności i różnorodności kulturowej, na obniżanie się poziomu uczestnictwa w kulturze, co szczególnie drastycznie objawia się poziomem czytelnictwa, istnieniem grup i obszarów wykluczeń kulturowych. Zjawiska te szczególnie w ostatniej dekadzie przysłaniane były fajerwerkami, jednorazowymi akcjami czy festiwalami, obiektywnie potrzebnymi, lecz kierowanymi do wąskiej grupy tych samych niemal adresatów.

Warto w tym kontekście przywołać słowa z wrześniowego (2015) wywiadu Katarzyny Tubylewicz dla

tygodnika „Przegląd”, która zwraca uwagę na aktywność wielu wydarzeń kulturalnych pochłaniających spore wydatki, organizowanych *ad hoc* bez całościowego planu i bez kontynuacji. Pamiętać też trzeba wypowiedź Józefa Hena z roku 2013, gdy mówił o marginalizacji spraw kultury w świadomości rządzących, czy Krzysztofa Vargi stwierdzającego z sarkazmem, iż sprawy rozwoju kultury to dla rządzących „szlachetna zbędność”.

Aby uspokoić ewentualnych adwersarzy, wypada zapewnić, iż nie można podejrzewać wypowiadających się, że nie słyszeli o nowej siedzibie NOSPR w Katowicach, Forum Muzyki we Wrocławiu czy budynku Filharmonii Szczecińskiej. Ale te wspaniałe inwestycje (za pieniądze europejskie głównie) nie mogą przysłaniać prawdy o rzeczywistej kondycji polskiej kultury. Choć zapewne temu jednak służą, podobnie jak informacje o kolejnych muzeach, których merytoryczna potrzeba jest co najmniej wątpliwa, jak na przykład Muzeum Pana Tadeusza we Wrocławiu, uruchamiane za dziesiątki milionów złotych.

Nowym inwestycjom towarzyszy brak zainteresowania losem instytucji o wieloletnich tradycjach i zasługach (PIW, Polskie Nagrania), obojętność na fakt stałego zmniejszania się liczby bibliotek i wielu innych placówek czy spadek uczestnictwa w kulturze. Kolejnym przykładem jest lekceważenie od lat kłopotów warszawskiego Klubu Księgarza, instytucji o niepodważalnych zasługach dla promocji czytelnictwa. Niemal manifestacyjna bez troska wobec problemów finansowych mediów publicznych doprowadziła do degradacji ekonomicznej radia i telewizji oraz degradacji programowej szczególnie telewizji. Próba ratowania sytuacji poprzez dotacje z budżetu kierowane za pośrednictwem ministerialnych instytucji, co było praktyką ostatnich lat, spowodowała zależność programową od państwa niezależnych z założenia mediów. W tej sytuacji działania nowego rządu mogą budzić aprobatę, przynajmniej wobec głoszonych haseł poprawy statusu prawnofinansowego radia i telewizji. A dzięki takim hasłom łatwiej ukryć zmianę ideowo-programową publicznych mediów, z którą już godzić się nie wolno.

Założenia programowe wspomnianych wyżej ministerialnych instytucji (Mickiewiczza, Chopina, Muzyki i Tańca, Książki, Dziedzictwa, Muzealnictwa, Audiowizualnego, Sztuki Filmowej, Teatralnego) czy innych działających na podobnych zasadach, jak na przykład Narodowego Centrum Kultury, są w intencji powoływania każdego z nich uzasadnione, ale ich „zadania” nie obejmują całego obszaru kultury, a co gorsza wielokrotnie pokrywają się ze sobą tworząc zamieszanie kompetencyjne, a czasem wręcz prowokując konkurencję. Spektakularnym przykładem z 2011 roku jest koordynacja przez Instytut Mickiewiczza (mającego zadania promocji kultury w świecie) obchodów 90 urodzin Tadeusza Różewicza na terenie Polski, a przez Instytut Książki setnej rocznicy urodzin Czesława Miłosza za granicą. Lewica powinna cieszyć się, iż instytucje te rozrastają się etatowo, bo stwarza to nowe miejsca pracy, ale logika podpowiada potrzebę analizy zadań, tym bardziej iż przejmują one wiele obowiązków samego ministerstwa i jego departamentów, w którym zmniejszenia zatrudnienia nie widać, wręcz odwrotnie.

Najwięcej zagrożeń, najwięcej powodów do niepokoju budzą sprawy książki, niech będą one przykładem na zaniechania lat ostatnich. Jakże wymowne są dane o bibliotekach publicznych. W ostatnich siedmiu latach (rok 2014 do 2007) zakończyło swój byt blisko 400 bibliotek, ich

księgozbiór spadł o blisko 5 milionów egzemplarzy, o 400 tysięcy jest mniej czytelników, a wypożyczeń odnotowano o ponad 12 milionów mniej. Tak mówią dane GUS, który od dwóch lat zaprzestał podawania globalnego nakładu publikowanej literatury pięknej – pewnie ze wstydu, bo nakład z 2012 r. był na poziomie końca lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Co prawda corocznie modernizuje się niewielki procent tych bibliotek, które jeszcze funkcjonują.

Pojawiają się więc nowoczesne biblioteki, lecz nie ma w nich nowości, bo spadają zakupy. Najwyższy poziom dotacji na ten cel odnotowano w roku 2005 – wyborczym – 30 milionów. A wybieraliśmy od tego czasu kilkakrotnie i ten poziom nie został nigdy nawet powtórzony. Normy unijne to zakup 17 egzemplarzy w roku na 100 tysięcy mieszkańców. W Polsce jest to wciąż około 7 egzemplarzy (w Danii kupuje się ponad 30, w Estonii blisko 40 woluminów). Będą więc nowoczesne biblioteki, ale bez nowości, bez czytelnika. Piękne, lecz puste.

Kolejną ilustracją sytuacji niech będzie fakt, iż ogłoszony kilka lat temu program promocji czytelnictwa był bardziej promocją owego programu niż czytelnictwa. Podobnie wcześniej, w 2010 roku ogłoszono z wielkim szumem medialnym inicjatywę wspierającą i pobudzającą, w zamiarze wzrost czytelnictwa pod piękną nazwą – Republika Książki. Mimo zaangażowania autorytetów, o poważnych środkach finansowych nie wspominając, było to jednorazowe, dosłownie jednodniowe wydarzenie bez dalszej przyszłości, mające, co z perspektywy czasu widać dobitniej, przysłonić moment wprowadzania pięcioprocentowej stawki VAT na książki.

W innych dziedzinach kultury po raz pierwszy od wielu lat, w roku sprawozdawczym 2014 na szczęście notuje się na ogół niewielki wzrost. Szczególnie pozytywnie potraktować należy rozwój kinematografii i powrót widzów do kin.

* * *

W roku 2013 odbył się Kongres Lewicy. Nie przyniósł spodziewanych, a tym bardziej natychmiastowych rezultatów, ale jednoznacznie wyartykułował głosami uczestniczących organizacji i ruchów społecznych świadomość potrzeby jedności lewicy. Powołanie w roku 2015 koalicji Zjednoczona Lewica, to co prawda odległa nieco w czasie, ale mądra, choć z różnych powodów nieskuteczna realizacja głoszonych wówczas idei. Stowarzyszenie „Kuźnica” było obecne poprzez swych przedstawicieli w gremiach organizujących Kongres Lewicy, wspierało też kandydatów i samą ideę Zjednoczonej Lewicy zgodnie z założeniem, iż ruchy lewicowe, nie tylko koniunktyralnie, nie tylko wobec aktualnej hegemonii rządzącej formacji nieliczącej się z głosami opozycji, ale z przekonania swego skazane są na współpracę, na budowanie wieloźródłowego a spójnego ideowo programu. Stowarzyszenie „Kuźnica” za swej natury wspiera więc idee ogłoszone w końcu 2015 roku przez Fundację im. Kazimierza Kelles Krauza, oraz w styczniu 2016 przez nowego przewodniczącego SLD – organizacji forów i kongresów najszerzej rozumianej lewicy. Powinniśmy dążyć do skoordynowania tych planów czy tych pomysłów, by osiągnąć wreszcie rezultat najszerzej rozumianego porozumienia programowego i wyborczego Lewicy.

RAFAŁ SKĄPSKI

JAROSŁAW ŁADOSZ
(1924-1997)

SĄD KASUJĄCY USTAWY I DYKTUJĄCY PARLAMENTOWI ICH WYKŁADNIĘ*

I.

Wszystkie parlamentarne siły polityczne naszego Sejmu unisono opowiadają się za nadaniem orzeczeniom Trybunału Konstytucyjnego ostatecznej mocy wiążącej, tzn. za pozbawieniem Sejmu przysługującego mu dotąd prawa odrzucenia kwalifikowaną większością werdyktów tego Trybunału. Wtórują im w dziesiątkach artykułów, w wywiadach, w ogłaszanych ekspertyzach dziennikarze w prasie codziennej i tygodnikach, uczeni prawnicy w specjalistycznych czasopismach. I wszyscy razem przy najrozmaitszych okazjach w „publicznym” radiu i telewizji. Od lewicy do prawicy, bez wyjątku.

Obalalność werdyktów trybunałów konstytucyjnych to ponoć wynalazek i relikט komunistycznego totalitaryzmu, kolidujący w skali powszechnej z ideałem demokratycznego państwa prawa.

Z postulatem takiego rozszerzenia kompetencji Trybunału siedł do ostatnich wyborów parlamentarnych SLD, zamieszczając go w 12 punkcie swego programu i w programie legislacyjnym. Za tym postulatem wypowiedzieli 1 lipca 1994 roku się w debacie sejmowej o stanie prawa: W. Cimoszewicz, Z. Siemiątkowski, J. Jaskiernia (ten ostatni uznał go za istotny „dla budowy kapitalizmu”). Za tym samym agituje nieustannie w licznych wywiadach prasowych aktualny przewodniczący TK Zoll, dawny, z czasów PRL sędzia TK Działocha i prezydencki prawnik Falandysz. Za tym wypowiada się, jako za czymś niekwestionowanym socjaldemokratyczne pismo „Trybuna” i hołubiąca pozaparlamentarną pravicę „Rzeczpospolita”.

Rzadki to fenomen w naszym życiu politycznym i uczonych opiniach. Dziw bierze, że nie zrealizowano tego postulatu w nowelach do konstytucji, że zapomniano wprowadzić odpowiedni zapis do Małej Konstytucji. Jednomyślność bowiem nie zrodziła się nagle dziś, lecz ma miejsce od chwili upadku realnego socjalizmu.

Wszak co się odwlecze, to nie uciecze. Gwarancją tego jest włączenie zapisu o ostatecznym charakterze orzeczeń TK do **wszystkich projektów konstytucji oficjalnie uznanych za podstawę pracy Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego i do projektu zgłoszonego przez „Solidarność”, który, po zebraniu wymaganej liczby podpisów, uzyskał tę rangę.**

Nie tylko postulat nowego usytuowania trybunału konstytucyjnego jest pozornie powszechnie uznany, lecz również typowa na jego rzecz argumentacja polityczna i naukowa. Taka jednomyślność w kwestiach polityczno-społecznych jest tak wyjątkowa, że aż podejrzana. Zapoznajmy się więc z typową argumentacją na rzecz tego postulatu. Sprowadza się ona do trzech argumentów, których treść i wartość dowodową prześledzimy kolejno.

II.

Argument pierwszy – Możliwość uchylania przez Sejm werdyktów TK jest – zdaniem zwolenników nadania im mocy ostatecznej – naruszeniem demokratycznej zasady trójpodziału władzy państwowej.

Odwotywalność orzeczeń TK przez Sejm stanowić ma, ich zdaniem, ewidentne naruszenie niezawisłości sądownictwa, jednego z naczynnych atrybutów trójpodziału. Dziennikarze, profesorowie prawa, politycy i politologowie notorycznie posługują się formułą: „Sejm nie może być sędzią we własnej sprawie”. Inny wariant tejże argumentacji: trzeba wykorzenić do końca antydemokratyczną, forsowaną i proklamowaną przez komunistów zasadę jedności władzy państwowej, której konsekwencją było przyznawanie parlamentowi rangi władzy najwyższej. W Małej Konstytucji zapis o takiej randze usunięto. Odwotywalność werdyktów TK przez Sejm ma być reliktem uznania Sejmu za wła-

dzę najwyższą, sankcjonować ingerencję parlamentu w orzeczenia sądów, zamach na ich niezawisłość, podporządkowywać sądy parlamentarnym rozstrzygnięciom sędziowskiej materii.

Restytucji niezawisłości TK i respektowania trójpodziału służyć mają także lansowane projekty zlikwidowania lub ograniczenia wyboru sędziów tego trybunału przez parlament oraz możliwości ich odwoływania przez parlament. Najłagodniejsze propozycje – to wydłużenie ich kadencji znacznie ponad czas kadencji jednego parlamentu. Dalej idą propozycje dożywotniego ich powoływania i nieodwoływalności przez Sejm, ustanowienie parytetu powoływania tych sędziów przez Sejm, Senat, Prezydenta i samorząd sędziowski czy na koniec – powoływania ich przez kooptację dokonywaną przez skład istniejący z grona sędziów o określonym stażu. To ostatnie bywa prezentowane jako realizacja ideału niezawisłości składu sędziowskiego od władzy ustawodawczej i wykonawczej.

Scharakteryzowana tu argumentacja jest pozornie racjonalna, składna logicznie i robi wrażenie, że sprzyja umacnianiu demokracji. Pozornie jednak, faktycznie bowiem optuje za jaskrawym naruszeniem trójpodziału władzy i ograniczeniem jej demokratyczności.

Kanonem trójpodziału władzy państwowej jest przecież przyznanie parlamentowi i tylko parlamentowi mocy stanowienia prawa, rządowi – realizowania działań wykonawczych w ramach tego prawa, zaś sądom i tylko sądom – wymierzania sprawiedliwości. Każda z tych władz ma monopol w swojej dziedzinie. Treść prawa jest wolą ustawodawcy, tj. woli parlamentu. Nadanie TK mocy nieodwoływalnego kwestionowania aktów prawnych przez parlament ustanowionych, orzekania o ostatecznie miarodajnej dla obywateli, dla władzy wykonawczej rządowej i samorządowej oraz dla całego sądownictwa wykładni tych aktów – to przyznanie mu mocy orzekania o woli parlamentu i kwestionowanie jego woli – nieodwołalnie dla parlamentu samego. To nadanie orzeczeniom TK mocy prawa! Jest to ograniczenie parlamentu w stanowieniu prawa, i to nie chwilowe, do „zastanowienia się”, do „opamiętania”, do refleksji i ewentualnego skorygowania prawa przez parlament; nie byle jakie, lecz zwierzchnie w stosunku do parlamentu, bowiem ostateczne i nienaruszalne dla wszystkich władz państwowych.

Chwytliwe haselko: „Sejm nie może być sędzią we własnej sprawie” jest w istocie zwykłą demagogią. W demokratycznym ustroju jedyną instytucją, która władna jest „sądzić” parlament, wymuszać korekty ustaw i wykładnię ustaw jest naród obywateli, a trybunałem w tej materii orzekającym – akt wyborów deputowanych parlamentu przez obywateli. Jeśli zaś „własna sprawa” Sejmu – ustawa podlegać ma jurysdykcji TK, to sam TK staje się „sędzią we własnej sprawie” i przewrotnie to sobie przyznaje. Posłużmy się pozytywnym przykładem. Nasz TK wydał orzeczenie, że jeśli Sejm w ciągu 6 miesięcy nie uchyli postanowienia TK, zakwestionowany przezeń akt prawny traci moc obowiązującą, orzeczenie TK nabiera mocy ustawy przez opublikowanie w Dzienniku Ustaw odpowiedniego komunikatu. To przepis potrzebny, uzupełniający lukę w obowiązującej ustawie o TK. Ustawa bowiem zobowiązuje Sejm do ustosunkowania się w ciągu 6 miesię-

cy do orzeczenia TK, ale nie zawiera przepisu, jakie skutki prawne pociąga niespełnienie tego zobowiązania. Jednakże to Sejm w drodze samokrytyki uzupełnić powinien ustawę o ten przepis. Nadanie mu mocy obowiązującej, mocy prawa przez Trybunał Konstytucyjny jest dokonane prawem kaduka.

Trójpodział wymaga wręcz, by sędzią w kwestii stanowienia prawa, zarówno jego treści, jak i procedury stanowienia był, w toku kadencji, wyłącznie organ je stanowiący. Samokrytyka – to nie przekłety wymysł komunizmu, to cenny instrument doskonalenia pracy wszelkich instytucji i jednostek. A wszelka samokrytyka stanowi suwerenne orzekanie w swej własnej sprawie. Parlamentowi nikt jej nie zabrania, a jej stosowanie jest wyrazem mądrości każdego parlamentu.

W wielu konstytucjach niewątpliwie demokratycznych państw mamy zapisy, iż **powszechnie obowiązująca wykładnia ustaw przysługuje wyłącznie władzy ustawodawczej** (tak dosłownie w art.28 konstytucji Belgii, tak w art.18 konstytucji Finlandii, w art.art. 72. i 77. konstytucji Grecji). „Powszechnie obowiązująca”, bowiem sądom najwyższym konstytucje zlecają formułowanie wykładni, która obowiązuje jedynie sądy niższe w porządku orzekania, ale nie wiąże władzy wykonawczej i obywateli. Taki przepis traktowany jest jako rozwinięcie, uszczegółowienie jednej ze stron trójpodziału władzy.

Powołajmy się na świadectwo profesora-konstytucjonalisty, który niegdyś dostrzegał, że nadawanie trybunałowi konstytucyjnemu ostatecznej decyzji w kwestii niekonstytucyjności aktów prawnych jest naruszeniem trójpodziału władz. Janina Zakrzewska tak komentowała przepisy konstytucji włoskiej o TK, które przyznają TK ostatecznie, niepodważalnie dla parlamentu słowo w kwestii konstytucyjności ustaw:

„Ustawodawca nie zamieścił postanowień o Trybunale Konstytucyjnym w tytule poświęconym sądownictwu i fakt ten nie jest z pewnością przypadkowy. I jakkolwiek zdarzają się w literaturze poglądy, przyznające jeszcze Trybunałowi charakter władzy sądowej, to jednocześnie obwarowane są one zastrzeżeniami, że jest to władza sądowa *sui generis*, że jest to władza sądowa zbliżona do innych organów bądź że jest to nie tylko władza sądowa. ... praktyka działania Trybunału ... wykazała bowiem dość jasno polityczny charakter organu, mogącego przecież kontrolować akty prawne parlamentu. ... Decydujący w ocenie instytucji Trybunału Konstytucyjnego wydaje się jednak fakt, że przepisy zarówno konstytucji, jak i później wydawanych ustaw (konstytucyjnych i zwykłych) stawiają Trybunał ponad parlamentem. Mówimy w tym miejscu jedynie o działalności Trybunału, wynikającej z kompetencji badania zgodności ustaw Republiki z konstytucją. Uprawnienia bowiem Trybunału Konstytucyjnego polegające na rozstrzyganiu konfliktów kompetencyjnych między państwem a regionami oraz między poszczególnymi regionami wydają się nam zupełnie zrozumiałe i usprawiedliwione, zważywszy szeroką autonomię, jaką konstytucja przyznaje regionom”.

Mądrze i logicznie rozumowała w latach 70. profesor Zakrzewska. Dziś jest namiętym krytykiem komunistycznego totalitaryzmu, jako sędzia TK nie protestuje przeciw kampanii jego przewodniczącego, który

powtarza, iż trzeba mu nadać ustawodawcze uprawnienia.

Jeszcze mniej sensowne jest przeciwstawianie sobie trójpodziału władzy zasadzie jedności władzy państwowej, której wcieleniem ma być konstytucyjny zapis o zwierzchniej roli parlamentu, a konsekwencją pozbawianie orzeczeń TK ostatecznej mocy, dopuszczalność ich odrzucenia przez parlament. Traktowanie tej „zasady” jako złowieszczonego wynalazku „komuchów” jest świadectwem ignorancji. Po pierwsze, trójpodział w żadnym razie nie implikuje rozpadu jedności władzy państwowej. Prawdą jest, że monarchia absolutna czy faszystowski autorytaryzm oznacza jedność władzy przy odrzuceniu jej trójpodziału. Lecz twierdzenie odwrotne nie jest prawdziwe, a idea trójpodziału i historyczne jego wcielenia bynajmniej nie wskazują na zamiar i konieczność rozbicia jedności władzy. Wręcz przeciwnie, trójpodział jest – co najmniej w intencji – umocnieniem jedności władzy przez upodmiotowienie obywateli i demokratyczne podporządkowanie wszystkich członków władzy jednej woli obywateli, narodu. Jest sposobem gwarantowania tego podporządkowania. Trójpodział władz to nie tylko rozdzielenie ich funkcji (kompetencji), lecz zarazem ustanowienie ich więzi, ich jedności: sądy niezawisłe w orzekaniu zawisłe są od parlamentu, bowiem orzekają na podstawie prawa przezeń stanowionego; rząd działa w ramach tegoż prawa, wykonuje jego dyspozycje, jest niezawisły w tym sensie, że parlament nie może sprawować jego funkcji, lecz zależy od parlamentu i od sądów, gdyż musi wykonywać ich orzeczenia pod groźbą odwołania przez parlament; parlament wreszcie jest suwerenny w stanowieniu prawa, lecz zależny w treści i skuteczności stanowionego prawa od sprawności rządów i sądów.

Naczelne miejsce parlamentu w systemie demokratycznego trójpodziału władzy państwowej bynajmniej nie jest złowieszczym wynalazkiem komunistów (którzy, nawiasem mówiąc, w praktyce realnego socjalizmu łamali ten zapis notorycznie), lecz wynalazkiem demokratycznej tradycji konstytucyjnej od jej zarania, a w połączeniu z trójpodziałem od czasów nowożytnych. Do dziś sankcjonują je zapisy wielu, w tym najstarszych demokratycznych konstytucji. Np. w konstytucji Szwajcarii jest on przeprowadzony bardziej rygorystycznie niż w którejkolwiek konstytucji krajów realnego socjalizmu i, w przeciwieństwie do większości krajów realnego socjalizmu, faktycznie konsekwentnie realizowany. W krajach socjalistycznych miał on, poza krótkimi okresami rewolucyjnej euforii, charakter atrapy. Były sędzia realsocjalistycznego TK ogłasza w wywiadzie, w którym odważnie broni demokratycznych zasług i ducha prac tego Trybunału, chwalać go m. in. za to, że łamał zasadę „jedności władzy, a więc kierowniczej roli partii”. Zadziwiająca amnezja! Przecież to „kierownicza rola partii” właśnie łamała ową jedność władzy prowadząc do pomniejszania suwerenności parlamentu, stawiania ponad nim rządu i dysponowania parlamentem za jego pośrednictwem.

Beztroskie powoływanie się na zasadę trójpodziału władzy jako na argument za przyznaniem TK mocy orzekania ponad parlamentem o konstytucyjności ustaw i ich wykładni nie jest wynikiem braku logiki i ignorancji u prawników i publicystów (choć bywa, że i logika mocno szwankuje). U wykształconych prawni-

ków-konstytucjonalistów (abstrahując od tych, którzy instrumentalnie traktują własne teorie) to powoływanie się bywa wmontowane we względnie logiczną strukturę. Staje się to możliwe w wyniku mniej lub bardziej świadomego podstawiania w ich twórczości na miejsce locke’owskiego rozumienia trójpodziału władzy państwowej – amerykańskiej interpretacji tego trójpodziału jako „systemu hamulców i równowagi” między trzema władzami. Ta interpretacja przenika następnie do ogółu prawników, do dziennikarzy w postaciach niekiedy wręcz karykaturalnych. Jaskrawym tego przykładem jest wywiad w „Rzeczpospolitej” z profesorem Zollem, przewodniczącym TK. Dziennikarka stwierdza z głębokim przekonaniem: „zgodnie z konstytucyjnym trójpodziałem władzy sądownicza powinna być **równoprawna** z ustawodawczą i wykonawczą z samej definicji...”. To nonsens, takiej definicji nie znajdziecie nawet u amerykańskich konstytucjonalistów. To karykatura owej amerykańskiej interpretacji: „hamulce” zniknęły, „równowaga” przedzierzgnęła się w „równoprawność”! I oto Zoll aprobuje ten nonsens, wchodząc jej w słowo: „Ale tak nie jest” – żali się, zapowiadając walkę o tę równoprawność prowadzoną ramię w ramię z Pierwszym Prezesem Sądu Najwyższego profesorem Strzemboszem, któremu przypisuje podzielenie tej opinii. Obaj bowiem uważają, że władza sądownicza jest w ogóle zepchnięta na dalszy plan, krzywdzona przez pozostałe władze.

Ta płyciutka i prosta teoria pozwala Zollowi bez trudu wyjaśnić dziennikarce tajemnicę, czemu to, choć wszystkie partie parlamentarne i wszystkie wpływowe massmedia deklarują poparcie dla koncepcji „równoprawnego” z parlamentem TK, tj. orzekającego ostatecznie, wprowadzenie odpowiedniego zapisu do konstytucji odwleka się latami. Zoll twierdzi, że przyczyną tego jest wieczna natura władz ustawodawczej i wykonawczej, także tej postkomunistycznej, w których tkwi niechęć do pełnej niezależności władzy sądowniczej.

Pojawienie się w ostatnim stuleciu w wielu krajach dawniej nieznanej instytucji trybunału konstytucyjnego nie jest oczywiście przypadkiem i jakimś złowieszczym wynalazkiem. Jest to w praworządnych społeczeństwach twór nowy o charakterze ponadustrojowym, zrodzony z praktycznych potrzeb współczesnej państwowości: rosnąca lawinowo ilość i złożoność regulacji prawnych wymaga powołania fachowych, profesjonalnych instytucji sprawujących kontrolę nad spójnością systemu prawa i wymuszających taką kontrolę na użytek ustawodawcy, kontrolę *ex ante*, bądź (i) *ex post*. Instytucji orzekającej fachowo także o prawomocności prawa lokalnego, stanowionego przez wspólnoty terytorialne, i zarządzeń władzy wykonawczej. Potrzeba takiej instytucji zrodziła się najwcześniej w państwach federacyjnych, w państwach o szerokiej autonomii władz regionalnych. Sprostanie tym potrzebom powierzane jest początkowo instytucjom już istniejącym (sądom najwyższym, trybunałom administracyjnym, połączonym ich kolegiom), a następnie instytucji odrębnej, wydzielonej, powoływanej przez parlamenty, przez prezydentów, o zbliżonym w różnych krajach zakresie kompetencji i o różnych nazwach. Generalne kwestionowanie potrzeby takiej instytucji jest bezpodstawne. Nie jest też prawdą, iżby „komuniści” byli jej notorycznymi wrogami. Nadanie kompetencji tego ro-

dzaju Sądowi Najwyższemu przewidywała chociażby pierwsza konstytucja ZSRR z 1924 r. Traktowała ten sąd jako organ Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Wszakże stosowanie do tych instytucji nazwy „Trybunał Konstytucyjny” zaciera to, że jej kompetencje są odmienne od przypisanych sądownictwu. Są to przecież instytucje *sui generis*, do sądów podobne tylko ze względu na profesjonalny skład i formy procedowania. Nie przypadkiem we współczesnych demokratycznych konstytucjach, które przewidują istnienie trybunału konstytucyjnego, przepisy o jego kompetencjach i składzie umieszczane są często poza rozdziałami o sądownictwie, w rozdziale wyodrębnionym całkowicie bądź traktującym takich o instytucjach kontroli działania władz, jak naczelne izby kontroli, rzecznicy praw obywatelskich itp. Wspominaliśmy już, że tak są ulokowane w konstytucji Włoch, powrócimy do tego szerzej później.

Nie budzi też wątpliwości nadanie TK pełnej niezależności w orzekaniu od parlamentu, rządu, partii politycznych, tak jak nie budzi niezależność NIK w podejmowaniu kontroli i prezentowaniu jej rezultatów. A także niezawisłości w opiniowaniu, orzekaniu przez prawników w skład TK powołanych. To nieodzowne dla samej sprawy, to w interesie parlamentu, który sędziów powołuje. Umocnieniu takiej niezależności sprzyja wydłużenie kadencji sędziów ponad trwanie kadencji parlamentu, ewentualna rotacyjność wyboru części ich składu przez nowo wybrany parlament i, oczywiście, nieodwoływalność pełna w toku kadencji. Lecz powoływanie do składu TK powinno być pozostawione wyłącznie parlamentowi, chodzi bowiem o instytucję służebną w stosunku do funkcji władzy ustawodawczej, a nie o jakieś kondominium trzech czy czterech władz (co stanowi dodatkowe naruszanie trójpodziału władz i stawia TK ponad ustawodawcą niezależnie od tego, czy nadaje werdyktom TK moc ostatecznie wiążącą parlament, czy nie). Wreszcie całkiem opaczne jest powoływanie składu TK przez korporację prawniczą, przez samorząd sędziowski bądź przez Sąd Najwyższy spośród sędziów. To pełne uniezależnienie od narodu, od obywateli autorytatywnej części aparatu państwa. To tak, jakby skład Najwyższej Izby Kontroli powoływała korporacja księgowych, a ministra zdrowia korporacja lekarzy.

III.

Argument drugi rzeczników nadania TK ostatecznego słowa w stanowieniu o konstytucyjności praw jest następujący: Utrzymywanie wyższości Sejmu nad Trybunałem Konstytucyjnym przez przyznanie pierwszemu prawa do odrzucania orzeczeń drugiego oznacza stawianie polityki i ideologii ponad prawem, proklamowanie prymatu polityki i ideologii w stosunku do prawa. Jest to więc zamach na demokratyczne państwo prawa, które *ex definitione* oparte jest na prymacie prawa właśnie.

Wedle tej koncepcji parlament – każdy – uznany jest za niezbywalne uosobienie polityki i ideologii, TK natomiast za wyraziciela czystego prawa jako takiego, stojącego ponad polityką i ideologią. Aby mógł ujawnić tę swoją istotę, musi być wyposażony w niezawisłą od parlamentu moc orzekania o konstytucyjności lub niekonstytucyjności ustaw czy ich poszczególnych

zapisów, nieodwołalnego samodzielnego stanowienia wykładni spornych kwestii w ustawach zwykłych i w konstytucji, suwerennie, ponad polityką, która obciąża każdą parlamentarną opinię.

Różne są warianty i stopień radykalności tej argumentacji. Od spokojnego przekonywania, że nadanie orzeczeniom TK ostatecznego charakteru gwarantuje nieodzowny dla powagi prawa profesjonalizm w konstrukcji i treści ustaw, zagrożony zawsze przez niefachowość parlamentarzystów (tak plus minus – poseł Jerzy Jaskiernia w klubowym wystąpieniu SLD na debacie o stanie prawa w Sejmie 1 lipca 1994 r.) do postulowania przez przewodniczącego Trybunału Konstytucyjnego, że jego trybunał „istnieje i czuwa, aby prawo w państwie tworzone według reguł wyrażonych w konstytucji, a parlament nie działał w sposób dowolny”, i jeszcze dalej – do opinii byłego ideologa socjalizmu, Mariusza Gulczyńskiego, który ogłasza teraz, iż pisanie konstytucji to zadanie nieunikniane w politykę prawników raczej niż polityków.

Prasa donosi, że na XIX Zjeździe Zrzeszenia Prawników Polskich żalono się na złą jakość aktów prawnych powodowaną przez naciski w Sejmie i rządzie czynników politycznych, które traktują prawo instrumentalnie. Miano też postulować, by politykom dać tylko możliwość inicjatywy legislacyjnej, zaś opracowanie projektów aktów prawnych powierzyć wyłącznie kompetentnym prawnikom. W opinii prof. Działochy, sędziego TK w pierwszej kadencji, Trybunał uniknąć miał ideologizacji orzecznictwa, podważając przez to komunistyczny totalitaryzm. Zaś publicysta „Rzeczpospolitej” w kwestiach prawotwórstwa, niejaki Pilczyński, twierdzi, że po obaleniu komunizmu Trybunał pielęgnuje tę tradycję.

Tego rodzaju uparczywie powtarzane opinie i wyrażane apodyktycznie przekonania, iżby trybunały konstytucyjne stanowiły tamę przed instrumentalnym traktowaniem tworzenia prawa przez polityków i ideologów, stanowiły świątynię apolityczności i aideologiczności orzeczeń są całkowicie bezpodstawne przez swoją jaskrawą sprzeczność z praktyką wszystkich krajów świata i Polski – w całej historii i współcześnie. Zdumiewającym zjawiskiem socjologicznym jest to, że wielu ich propagatorów święcie wierzy w zasadność tych przekonań, jest „nieprzemakalna” na racjonalne argumenty i na fakty, które w skali masowej tę zasadność podważają.

Polityczna i ideologiczna bezstronność orzeczeń sędziów w procesach karnych i cywilnych, w wyrokowaniu i uzasadnianiu postanowień dotyczących pospolitych przestępstw, czy w postępowaniu i orzekaniu w sprawach cywilnych dotyczących spornych, czy wręcz niespornych problemów majątkowych i rodzinnych szarych obywateli to rzecz w praktyce szeroko osiągalna, a idea tej bezstronności godna najwyższego szacunku. Jednakże czym sądy wyższej instancji, czy w niższych – sprawy nie tak pospolite, tym z taką bezstronnością gorzej. Czy nawet na szczeblu sądów rejonowych panuje bezstronność sędziów w kwestiach reperywatyżacji? Czy nie są stronnicze politycznie i ideologicznie działania sądów w procesach dotyczących wielkich afer finansowych? Czy apolitycznie i aideologicznie działają sądy w sprawach generałów Płotka i Ciastonia? Czyż nie jest naiwnością mniemanie, iż taki

proces i jego sędziowie mogą być apolityczni i aideologiczni? Posługujemy się przykładem, w którym sąd nie ugiął się pod prawicowymi naciskami politycznymi i prasowymi – uniewinnił oskarżonych. Ale 2 lata utrzymywał ich osadzenie w areszcie, choć dowodów winy nie znalazł. A w uzasadnieniu wyroku złamał zasadę domniemania niewinności, „tłumaczył” się ze swego wyroku, użalał, że nie znalazł dowodów, sugerował winę. Czy to nie ideologiczna i polityczna postawa?!

Postanowienia sądów najwyższej instancji są z reguły polityczne i ideologiczne w sposób wręcz jaskrawy, bowiem do sądów tych wpływają z reguły właśnie sprawy budzące spory o masowym charakterze w opinii publicznej, w orzecznictwie sądów niższych, dzielące wielkie grupy obywateli i wielkie grupy sędziów na szczeblu podstawowym. Zaś orzeczenia trybunałów konstytucyjnych są niemal z reguły i właśnie w najwyższym stopniu z całego sądownictwa polityczne i ideologiczne. Abstrakcyjnie rzecz biorąc, mogą być i bywają reakcyjne bądź postępowe, ale nigdy neutralne. Nie są tu rzadkością „salomonowe” wyroki, pozornie bezstronne, bo kompromisowe. Jednakże kompromis (zdrowy lub obrzydliwy, jaskrawo gwałcący logikę w sposób jawny dla każdego) też jest polityczny. Jest tak niezależnie od tego, czy orzeczenia płyną z najświętszych przekonań ich autorów, czy z najwyższego ich cynizmu. Neutralne i niepolityczne tematy nie trafiają w ogóle do takich trybunałów. Samo ich wniesienie do trybunału, sama decyzja o wzięciu ich na warsztat trybunału jest politycznym aktem, ingerencją w spór polityczny i ideologiczny toczony w opinii publicznej i w parlamencie.

Nasz TK wielokrotnie „rozstrzyga” w swych orzeczeniach, bądź powołuje się w ich uzasadnieniach na określoną interpretację sprawiedliwości generalnie, zasadę równości obywateli itp. zasady. Utrzymywać, że czyni to ponad ideologią i polityką, to ponury żart. Nie ma nieideologicznego, czysto prawniczego pojmowania sprawiedliwości czy równości. Podobnie – nie ma nieideologicznej i apolitycznej interpretacji niezawisłości sędziów. Nasz Trybunał Konstytucyjny orzekł o niekonstytucyjności ustawy, która wprowadzała „lustrację” sędziów przez ministra sprawiedliwości. Chwała mu za to. Lecz stał się stroną w sporze politycznym, który podzielił parlament i opinię publiczną. A proszę sięgnąć do tekstu uzasadnienia, którym orzeczenie opatrzył. To jeden z najbardziej stronicznych dokumentów ideologiczno-politycznych! W każdym akapicie! TK dokonuje w nim jednoznacznej oceny historii Polski XX wieku, potępia PRL sztamowo, ale nie neutralnie. Idealizuje wydobyte gdzieś z lamusa deklaracje – zamierzenia emigracyjnego rządu londyńskiego w kwestii ustroju sądownictwa itd. itp. Najwyraźniej orzeczenie jest nakierowane w treści na to, by sędziów TK osłonić przed podejrzeniami o to, że bronią tych sędziów, którzy ferowali wyroki na działaczy politycznej opozycji, „niepodległościowego” podziemia w Polsce Ludowej.

Sąd Najwyższy orzeka u nas, gwałcąc jawnie, w sposób dla wszystkich widoczny elementarną logikę, że wprowadzenie religii do państwowych szkół nauczanej przez nauczycieli mianowanych przez Kościół, uczyńnię ich członkami rad pedagogicznych jest zgodne z konstytucyjnym zapisem o oddzieleniu kościołów od państwa i o świeżości państwowego szkolnictwa!

Taki eksponowanie polityczny i ideologiczny charakter trybunałów konstytucyjnych czy innych trybunałów wyrokujących o konstytucyjności aktów prawnych i o powszechnie obowiązującej wykładni konstytucji, nie jest słabością Polski, jest czymś właściwym jaskrawo wszystkim tego typu trybunałom bez wyjątku. W USA Sąd Najwyższy wstąpił się orzeczeniami o zgodności z konstytucją stanowych ustaw o segregacji rasowej, podejmując wydykt, iż taką jest segregacja w przedziałach kolejowych, bowiem Murzyni korzystają tam z praw „równych, ale oddzielnie”. Ten salomonowy wydykt przez kilka dziesięcioleci sankcjonował „przez analogię” segregację w szkolnictwie, w kościołach, w restauracji i parkach. Nigdy nie był odwołany, choć później SN podejmował orzeczenia wręcz przeciwnie i traktujące segregację za gwałt na konstytucji. Tak czy siak uczestniczył w politycznym procesie epoki za każdym razem. TK w RFN usankcjonował w 1975 roku sławetny Berufsverbot, uznał za zgodne z konstytucją przepisy nie tylko w treści jawnie sankcjonujących dyskryminację obywateli w dostępie do szkolnictwa, administracji, wojska z powodów poglądów politycznych, ale na dodatek ustanowionych bez ustawy, na mocy decyzji premierów niemieckich landów w 1972 r. Tenże Trybunał dawał sławetne wykładnie układów normalizacyjnych i dotyczących uznania granic między RFN a ZSRR, Polską i NRD jawnie polityczne, jawnie przeczące ich literze. A ostatnio, w lipcu 1994 r., orzekł, że nie gwałci konstytucji RFN udział armii RFN w operacjach poza terenem państw NATO, znów gwałcąc wręcz elementarną logikę i traktując prawo w sposób jawnie instrumentalny. Wreszcie w Rosji: TK po długich przygotowaniach wydał „salomonowe” orzeczenie w sprawie KPZR. Uznał za legalne i konstytucyjne zakazanie po „puczu” sierpniowym 1991 r. działalności KPZR i wywłaszczenie jej majątku, za nielegalne – zakazanie działania podstawowych organizacji terenowych KPZR, i wreszcie oddalił wniosek Jelcyna o uznanie KPZR za organizację przestępczą. Makarow – adwokat–rzecznik Jelcyna na procesie określił wydykt jako polityczny kompromis. Moskiewska „Niezawisimaja Gaziet” nazwała „karkołomnym” wydykt TK o zgodności dekretów Jelcyna z konstytucją. Gorbaczow nazwał proces polityczną imprezą, by uzasadnić odmowę stawienia się na rozprawę. Wszystkie te przykłady są jawnie politycznym działaniem takich trybunałów, działaniem będącym następnie trwałym elementem wprowadzonym do annałów politycznych wydarzeń danej epoki. Można je mnożyć w nieskończoność. A niechże ktoś spróbuje pokazać przykłady przeciwnie!

Trybunały konstytucyjne rozpatrują z reguły takie sprawy wnoszone przez polityków i ruchy społeczno-polityczne, które budzą ostre kontrowersje w społeczeństwie co do charakteru określonych działań politycznych, ich zgodności z prawem. Są w ten sposób eksponowanym ogniwem procesu politycznego i ideologicznych kontrowersji, które społeczeństwo dzieli, są w orzeczeniach stroną tego procesu, a nie czymś ponad tym procesem unoszącym się. I taką rolę odgrywają niezależnie od tego, czy uznaje się konstytucyjnie bądź zwyczajowo ich wydykty za obligatoryjne dla parlamentu, czy też pozostawia możliwość ich prawomocnego odrzucenia przez parlament. Nadanie TK mocy orzekania ostatecznego nie stawia go ponad po-

lityką, a wzmacnia jego pozycję jako czynnika procesu politycznego i ideologicznych kontrowersji. I to pozycję czynnika, którego sposób wyłaniania i kontrolowania trudno traktować jako demokratyczny, bowiem czynnik nie związanego wyborami obywateli z ich opinią ani z demokratycznie wyłonioną ich reprezentacją.

Wyobrażenie, iżby prawo stało, czy mogło stać ponad polityką i ideologią, zaś strażnikami jego czystości są apolityczni prawnicy, którzy realizują zgodność prawa z czystymi jego zasadami, wyprowadzają je logicznie z tych zasad (których trzon nazywany dziś bywa zasadami konstytucjonalizmu) samo ma jaskrawo ideologiczny charakter, dawno rozeznany i zanalizowany pod nazwą „iluzji prawniczych”. Abstrakcyjnie rzecz biorąc działania podejmowane pod auspicjami tej ideologii mogą służyć i Diabłu i Panu Bogu. I faktycznie służyły i służą tam jako instrument walki przeciwko autorytaryzmowi, dyktaturom, o demokratyczne państwo prawa, ówdzie usprawiedliwianiu dyktatur, autorytaryzmu w imię Ducha Prawa skierowanego przeciwko ludowi, który jest dla prawa puer robustus sed malitiosus. Bywa i tak i owak, zależnie od konkretnych okoliczności historycznych i od osobowości prawników, posługujących się ich sztandarem. Wszakże w każdym wypadku pozostają ideologicznym złudzeniem, klasycznym typem „fałszywej świadomości”, szczególnie jaskrawym zwłaszcza w odniesieniu do konstytucji, które zawierają przecież zasady prawa właśnie. Jednocześnie prezentowane orzeczenia są zawsze aktem politycznym i ideologicznym ich twórców.

Jak powiedzieliśmy, złudzenia prawnicze służyć mogą pozytywnie jako broń w walce z łamaniem istniejącego prawa w politycznej praktyce rządów i partii politycznych. Jednakże usprawiedliwianie nimi działań TK, jest najczęściej reakcyjne, bowiem chodzi tu nie o stosowanie prawa, lecz o tworzenie prawa. Zaś proces tworzenia prawa jest zawsze procesem politycznym, czego świadectwem - głosowania w parlamencie z reguły niejednogłośnie, przyjmowanie ustaw dotyczących materii pozornie apolitycznych i aideologicznych przy sprzeciwach znaczącej opozycji. Zwłaszcza prawo konstytucyjne jest tworzone i stanowione wśród takich kontrowersji. W demokracji jednogłośnie jest wyjątkiem, a kontrowersyjność – odbiciem społecznych sił ujawnianym w parlamentach wybranych w wolnych wyborach.

Prawa, konstytucje są w demokracji tworem parlamentu, który wyraża w nich „wolę narodu, wyborców”, ogółu obywateli (z całą złożonością struktury tej „woli”, z nadawaniem sankcji zmiennej przewadze określonych historycznie grup interesów i zależności między nimi, wyraża w swej treści kompromisy zmienne tych sił). Wykładni wymagają najczęściej, niemal wyłącznie, właśnie akty prawne najbardziej kontrowersyjne politycznie w danym historycznie momencie, właśnie budzące największe kontrowersje ideologiczne i podziały polityczne w narodzie. I wykładnia „najczystszych” prawników nie może stać ponad tymi podziałami, jest zawsze stroną w tych kontrowersjach, i to stroną raczej konserwatywną, bo kierującą się dogmatycznie zakreślonymi już interpretacjami „ducha prawa”.

Teza o primacie prawa nad polityką i ideologią w połączeniu z akceptacją niewątpliwie prawdziwego

twierdzenia, iż parlamenty są ciałami wyrażnie politycznymi i ideologicznymi prowadzi do absurdu ogłaszania demokratycznego parlamentu, jedyne tworcy prawa w demokracji, demiurga państwa prawa, za siłę prawa z natury wrogą, siłę, która szkodzi jego czystości. W ten sposób wyraża okreśną, pokretną drogą ideę ograniczenia parlamentu w tworzeniu prawa, jako jedyne ustawodawcy i poddania go kontroli władczej nadzoru korporacji prawników. Kwestionuje arbitralnie zarazem polityczny i ideologiczny charakter tej korporacji, wbrew faktom historycznym. Korporacja taka jest bowiem sama polityczna, jest stroną w procesie politycznym, jest stroną z reguły niepokrywającą się z parlamentarną większością. W „gospodarce rynkowej” jest z reguły powiązana mocnymi nićmi (wręcz łańcuchami) z moznymi tej gospodarki, ze sferami biznesu.

Jeśli TK ma służyć demokratycznemu parlamentowi za sojusznika w walce o stabilność porządku prawnego, przeciwko doraźnemu manipulowaniu nim o politykierskim charakterze, jeśli ma być sojusznikiem sił politycznej powagi i szacunku dla ideowej konsekwencji i wierności demokratycznym zasadom w tworzeniu prawa w jego łonie, powinien być instytucją kontrolną, fachową, powołaną przez parlament w jego służbie. Gdy TK staje ponad parlamentem, pretenduje do roli ciała wyrokującego nieodwołalnie, ponad parlamentem o treści ustaw, o ich prawomocności w całości bądź we fragmentach, stanowi w załączku, potencjalnie polityczną siłę antydemokratyczną, skierowaną przeciw demokratycznej reprezentacji narodu.

IV.

Argument trzeci - nadanie orzeczeniom Trybunału Konstytucyjnego ostatecznego charakteru ma być niezbędne dla dopasowania polskiego prawa konstytucyjnego do współczesnego europejskiego standardu prawa i demokracji. Polska prezentowana jest jako jedyne w Europie państwo, w którym orzeczenia te nie mają charakteru ostatecznego i wymagają zatwierdzenia przez Sejm. Odstaje tu jaskrawo od Europy i świata, nie spełnia wymogów i wzorów uznanych przez współczesną naukę konstytucjonalizmu.

Pomińmy to, iż jest to argument *par excellence* ideologiczny, a nie naukowy. Dokonajmy przeglądu, jak to jest „w Europie” faktycznie, a przekonamy się, że przesłanka tego argumentu jest fałszywa, że jest wprowadzaniem w błąd narodu, wyborców, posłów; fałszywie, oszukańczo przedstawia faktyczny stan rzeczy i ideologiczne życzenia prezentuje jako rzeczywistość. Przegląd nasz ograniczymy do „atlantydwów”, do demokratycznych krajów „prawdziwie europejskich” (łącznie ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej), tj. wyłączmy kraje „postkomunistyczne”.

Specjalne trybunały konstytucyjne, których orzeczeniom konstytucyjnie przyznaje się *expressis verbis* ostateczną moc obowiązującą, mamy w czterech krajach: w RFN, we Włoszech, w Austrii i w Hiszpanii. W RFN art. 94 konstytucji stanowi, że ustawa o TK określa, w jakich przypadkach orzeczenia TK mają moc ustawy (a więc przesądza wzrost o nadaniu TK funkcji ustawodawczych!). Sędziowie TK powoływani są na dwunastoletnią kadencję po połowie przez każdą z dwóch izb parlamentu – przez Reichstag w wyborach

pośrednich przez wybranych z grona deputowanych elektorów, przez Bundestag w wyborach bezpośrednich, w obu wypadkach większością 2/3 głosów.

We Włoszech przepisy o TK nie są zawarte w rozdziale konstytucji o sądownictwie, lecz w rozdziale zatytułowanym „Gwarancje konstytucyjne”. Sędziowie powoływani są na dziewięcioletnią kadencję po pięciu przez prezydenta, parlament i wyższe sądownictwo.

W Hiszpanii przepisy konstytucji o TK są skonstruowane, jeśli idzie o kompetencje i procedury działania na wzór włoski i zawarte nie w rozdziale o władzy sądowej, lecz w rozdziale odrębnym, poświęconym wyłącznie temu trybunałowi. Powoływanie sędziów TK należy do króla.

We wszystkich tych krajach TK ma szerokie kompetencje w rozstrzyganiu sporów między samorządami regionów (landów, prowincji), którym w ich strukturze politycznej przysługuje szeroka autonomia.

Chyba nie przypadkiem wszystkie one są krajami „postfaszystowskimi”, w których tradycje nowożytnej demokracji nie są głęboko zakorzenione i chlubne.

Instytucję Trybunału Konstytucyjnego przewiduje także demokratyczna konstytucja Portugalii, lecz nie przyznaje jego werdyktom charakteru ostatecznego. Zawiera ona postanowienie, że parlament może większością 2/3 głosów oddalić orzeczenie TK i utrzymać w mocy zakwestionowany akt prawny (a więc przepis analogiczny jak obowiązujący obecnie w Polsce!). Przepisy konstytucji Portugalii zalecają TK prewencyjne orzekanie o zgodności ustawy z konstytucją przed jej podpisaniem przez prezydenta czy ministra (w tym również umów międzynarodowych).

Kazus Portugalii dowodzi bezapelacyjnie, że sugestia, iżby Polska była jedynym krajem Europy, w którym orzeczenia TK mogą być „kasowane” przez parlament, jest fałszem.

Z drugiej strony konstytucje co najmniej sześciu krajów Europy (a więc jednej trzeciej, jeśli nie liczyć takich państw jak Andorra, Monako, Lichtenstein, San Marino czy Watykan) i USA nie spełniają rzekomego „standardu europejskiego”, **bowiem w ogóle nie przewidują istnienia TK**. Mamy wśród nich wszystkie wzorcowe, tradycyjne, historycznie najstarsze demokracje. Jest to Wielka Brytania, USA, Francja, Szwajcaria, Belgia, Finlandia i Grecja.

W Wielkiej Brytanii istnienie TK jest niemożliwe, bo to państwo, w którym nie ma wydzielonego prawa konstytucyjnego, wszystkie ustawy są ustawami zwykłymi. Nie ma też wyraźnego trójpodziału władz, zwłaszcza na szczeblu centralnym. Izbie Lordów przysługują pewne kompetencje analogiczne do sądu najwyższego w innych krajach oraz w zakresie oceniania ustaw podejmowanych przez Izbę Gmin. Lecz nie jest ona sądem. Lord kanclerz – jej przewodniczący pełni funkcję podobną do przewodniczącego sądu najwyższego i tradycyjnie ma profesjonalne kwalifikacje prawnicze, lecz jest zarazem ministrem sprawiedliwości i – o zgrozo! – powoływany jest tradycyjnie z szeregu **polityków** partii rządzącej.

W USA nie ma odrębnego TK, ale, powie ktoś, funkcję tę pełni przecież w sposób eksponowany Sąd Najwyższy. Formalnie konstytucja nie daje mu takich uprawnień w swych zapisach. Zarówno formalnie, jak i faktycznie Sąd Najwyższy nie kwestionuje praw przez

Izbę Reprezentantów przyjętych, a więc nie orzeka ostatecznie o ich ważności, bo w ogóle o ich ważności nie orzeka. Konstytucja nadaje mu uprawnienia do **ostatecznego** rozstrzygnięcia o zgodności ustaw stanowych z prawem federalnym, w tym z konstytucją. Lecz – powie ktoś – sąd ten wydał kilka tysięcy orzeczeń zaliczanych w amerykańskiej tradycji prawniczej do prawa konstytucyjnego. Tak, ale czyni to prawem kaduka. I ustrój USA poniekąd tolerowanie tego zwyczaju wymusza. Poprawki bowiem do konstytucji, aby były prawomocne, wymagają długotrwałej procedury ratyfikacji przez 2/3 stanów. Ponadto, również prawem kaduka, SN wydaje niektóre ustawy – kodeksy za nieformalnym przyzwoleniem, albo na zlecenie Izby Reprezentantów. Toteż niewątpliwie ten sąd przyswoił sobie pewne funkcje ustawodawcze. W USA tolerowana i aprobowana jest praktyka naruszania konstytucyjnej wyłączności Kongresu w stanowieniu prawa.

We Francji konstytucja nie zna trybunału konstytucyjnego, ale – powie ktoś – jest tam przecież instytucja, która, występując pod nazwą Rady Konstytucyjnej, stanowi SuperTK. Ta Rada nadzoruje działalność ustawodawczą i regulaminy parlamentu. Jej werdykty są ostateczne i nieodwołalne. Nie jest jednak traktowana przez konstytucję jako władza sądownicza, lecz jako władza *sui generis*, i konstytucja nie wymaga, by składała się z prawników. Jej członkowie nie są nazywani sędziami. W jej skład wchodzi dziewięciu członków (po trzech mianowanych przez prezydenta i każdego z przewodniczących izb parlamentu) oraz dożywotnio byli prezydenci Republiki. Konstytucja Francji nie honoruje trójpodziału władzy. Przewiduje wprowadzić, że ustawy uchwała parlament, ale wyłącznie tzw. ustawy organiczne, których zakres tematyczny jest wyszczególniony w konstytucji. Ponadto, jeśli ustawa organiczna jest przedłożeniem rządowym, to parlament przyjmuje ją bez głosowania. Odrzucić ją może tylko w całości przez uchwalenie wotum nieufności rządowi. Rada Konstytucyjna nie tylko ostatecznie może odrzucić ustawę parlamentarną, lecz także ostatecznie daje wykładnię, czy dany akt spełnia wymóg „organiczności”. Ostatecznie też orzeka o prawomocności regulaminów parlamentu. Czy to wzór demokratycznego państwa prawa i rekomendowany standard europejskiego konstytucjonalizmu?

Konstytucja Szwajcarii, najstarsza z republikańskich konstytucji demokratycznych współczesnej Europy, nie przewiduje żadnego TK. Sąd Związkowy rozstrzyga spory między władzami konfederacji a władzami kantonów, ale nie ma prawa orzekać o konstytucyjności ustaw przyjętych przez Zgromadzenie Związkowe. Na dodatek sędziowie tego sądu wybierani są przez związkowy parlament i może być na urząd takiego sędziego powołany każdy obywatel konfederacji, który ma prawa wyborcze do parlamentu (nie musi mieć ani stażu sędziowskiego, ani wykształcenia prawniczego, ani cenzusu wieku, wykształcenia, osiadłości czy majątkowego!).

Konstytucja Belgii nie przewiduje TK, a na dodatek nie tylko daje parlamentowi monopol na stanowienie prawa, lecz w art. 28 wyklucza możliwość jakiegokolwiek trybunału do prawomocnego interpretowania treści ustaw: stanowi, że jedynie władza ustawodawcza władna jest dawać wykładnię ustaw.

Podobnie – w konstytucji Finlandii. Sąd Najwyższy, Najwyższy Trybunał Administracyjny bądź oba te sądy łącznie mają obowiązek na żądanie prezydenta lub Izby Przedstawicieli dostarczać opinię o projekcie ustawy oraz prawo zwracania się do prezydenta z wnioskami o modyfikację ustawy już funkcjonującej. Lecz te opinie nie są wiążące dla nikogo, dla parlamentu mają charakter pomocniczy. A niezależność owych sądów jest wręcz niestychana: formują swój skład przez kooptację sędziów przez ich skład dotychczasowy!

Podobnie w konstytucji Grecji. Przewiduje ona wprowadzenie istnienia Wyższego Sądu Specjalnego, wśród kompetencji którego wymienione jest na przedostatnim, piątym miejscu ostateczne rozstrzygnięcie o niezgodności ustawy z konstytucją i o wykładni ustawy, lecz jedynie wówczas, gdy trzy sądy najwyższe mają sprzeczne opinie na dany temat. Ten WSS składa się z prezesów tych sądów i sędziów tych sądów wyłonionych przez losowanie. Jednakże w sprzeczności z tym są postanowienia art. art. 72 i 77 konstytucji, iż autentyczna wykładnia ustaw należy tylko do władzy ustawodawczej i dokonywana być może i musi w drodze ustawy.

Na marginesie dodajmy, że – o zgrozo! – konstytucje Szwajcarii i Finlandii stanowią, iż władza **zwierzchnia** w tych państwach należy do Zgromadzenia Związkowego czyli do narodu reprezentowanego przez parlament. A nasi ideologowie–konstytucjonaliści ogłosili, że to paskudna zasada jedności władzy państwowej proklamowanej przez totalitarny komunizm. W Szwajcarii zwłaszcza owa zasada zwierzchności parlamentu jest przeprowadzona w tekście całej konstytucji o wiele bardziej konsekwentnie niż w jakiegokolwiek konstytucji stworzonej przez „komuchów”.

Konstytucje Włoch, Hiszpanii i Portugalii przepisy o trybunach konstytucyjnych lokują poza rozdziałem o sądownictwie, co potwierdza cytowaną opinię Zakrzewskiej, że ich twórcy traktowali je jako instytucję *sui generis*, nie sądową czy nie w pełni sądową. Tę opinię najwyraźniej podzielają u nas prawnicy, którzy w złożonym przez „Solidarność” „obywatelskim” projekcie konstytucji RP umieścili artykuły o TK w rozdziale o instytucjach kontrolnych, razem z przepisami o Najwyższej Izbie Kontroli i o Rzeczniku Praw Obywatelskich.

W sumie upowszechniana opinia, iż trybunał konstytucyjny wyrokujący o treści ustaw ponad Sejmem wymaga standard europejski, jest ordynarnym kłamstwem. Chyba że obowiązuje tu logika pana Piłczyńskiego, publicysty „Rzeczpospolitej”, który agituje za utrzymaniem w Polsce drugiej izby - Senatu w następujący sposób: „Obecnie w świecie parlamenty dwuizbowe istnieją w 50 krajach, w tym 15 europejskich. Można by więc powiedzieć, że dwuizbowość jest rozwiązaniem *powszechnie* stosowanym...”. Jak wiadomo, krajów na świecie jest blisko 200, a w Europie – 35. Skoro wśród 23 krajów Europy nie dotkniętych po II wojnie światowej rządami „komuchów” w czterech mamy trybunały konstytucyjne, których orzeczenia są ponad orzeczeniami parlamentu, to – wg logiki Piłczyńskiego można by powiedzieć, że jest to rozwiązanie *powszechnie* stosowane! Powiedzieć można, czego dowodem jest pan Piłczyński. Lecz będzie to

jaskrawo błędne rozumowanie, świadczące o kompletnym nierozumieniu sensu kategorii powszechności.

V.

Argumentacja za trybunałem konstytucyjnym ostatecznie, ponad parlamentem wyrokującym o konstytucyjności aktów prawnych parlamentu, odwołująca się do wymogów trójpodziału władz, do wyższości prawa nad polityką i ideologią w demokratycznym państwie prawa jest pozbawiona naukowych podstaw. Argumentacja odwołująca się do konieczności przejęcia historycznie ukształtowanych europejskich standardów konstytucjonalizmu jest wręcz oszukańcza: trybunał wyposażony w takie uprawnienia nie jest żadnym standardem, pojawia się w niewielu krajach, a demokracje o najszczytniejszych tradycjach nie stosują takiego rozwiązania.

Wyposażenie Trybunału w takie kompetencje czyni zeń stronę w politycznych i ideologicznych kontrowersjach o kształt prawa, wyniesioną ponad demokratyczne przedstawicielstwo, które prawo stanowi. Czyni zeń politycznego nadzorcę parlamentu o autorytarnym charakterze. Jest rozwiązaniem antydemokratycznym.

Instytucja profesjonalnie analizująca rozwiązania ustawowe, ich kompletność, zwracająca uwagę na ich zgodność z konstytucją, na niebezpieczne luki w zapisach, wieloznaczności, jest potrzebna współcześnie dla racjonalnej pracy demokratycznego parlamentu – jako jego pomocnik i doradca, jako instytucja przezeń powołana dla samokontroli poziomu stanowionego prawa. Jednakże aby spełniała maksymalnie skutecznie właśnie profesjonalną rolę, nie stawiała się stroną w politycznych walkach o kształt prawa, o jego ideologiczne treści, aby cieszyła się autorytetem w parlamencie i w społeczeństwie, nie może orzekać ponad parlamentem, nie może być wyposażona w ustawodawcze kompetencje. Uwolnić się od uwikłania w politykę i ideologię nie może. To mityczny wymóg. Lecz od przewagi politykierstwa w orzeczeniach, od haniebnych, faryzeuszowskich, krzyżujących, dla wszystkich widocznych podporządkowań logiki orzeczeń i ich uzasadnień, głoszonych obłudnie w imieniu czystego prawa może się właśnie uwolnić, gdy jest pomocnikiem Sejmu, a nie jego nadzorcą.

Oczywiście, dla spełnienia swej roli instytucji profesjonalnej samokontroli tworzenia prawa przez parlament, Trybunał Konstytucyjny powinien przez ów parlament być wyposażony w szerokie uprawnienia do działania i wysoki stopień niezależności swych działań od regulaminowych mechanizmów działań parlamentu, a jego sędziowie w niezależności opiniowania i nieusuwalność w toku kadencji. Powoływani jednak powinni być przez sam parlament. Celowe jest wzmocnienie niezależności sędziów przez powoływanie określonej części ich składu rotacyjnie każdorazowo przez nowo wybrany parlament, co zarazem gwarantuje, że jego skład nie będzie totalnie obcy politycznie i antagoniście politycznie nastawiony w całości swego składu do zmienionej w wyborach parlamentarnej większości. Nie rzekoma apolityczność sędziów, lecz mieszany politycznie ich skład najlepiej służy profesjonalnej służbie. Nadzwyczajne przypadki odwołania sędziego przed upływem kadencji powinny być szczegółowo określone w ustawie i orzekane przez parlament wyłącznie na wniosek kwalifikowanej większości składu Trybunału.

Trybunał powinien mieć szerokie uprawnienia orzekania o wadach ustaw, w tym o ich niekonstytucyjności, nie tylko *ex post*, lecz także w fazie rozpatrywania przez parlament ich projektów, tj. *ex ante*; mieć prawo w pełni samodzielnie decydować o podawaniu swoich orzeczeń do publicznej wiadomości. Powadze państwa sprzyjałoby wprowadzenie wymogu, iż o konstytucyjności traktatów międzynarodowych TK obowiązany jest ustosunkować się przed ich ratyfikacją, wyłącznie *ex ante*. Ograniczenie dotychczasowe, iż wolno mu orzekać tylko o ustawach wydanych po 1982 roku należy, oczywiście, znieść. Może orzekać o wszystkich ustawach, które zachowują moc obowiązującą.

Nie koliduje z monopolem ustawodawczym parlamentu również wprowadzenie zapisu ustawowego, iż wejście w życie zakwestionowanej przez TK ustawy bądź określonego jej artykułu zostaje zawieszane do czasu rozpatrzenia przez parlament i że jeśli parlament w ustawowym czasie nie odrzuci orzeczenia TK kwalifikowaną większością, orzeczenie traktowane jest za uznane przez parlament.

Oczywiście, wyposażyć należy TK w kompetencje **ostatecznego** orzekania w sporach między rządową władzą wykonawczą a władzami samorządu lokalnego, w orzekaniu o niekonstytucyjności i w ogóle niezgodności z ustawami prawa lokalnego stanowionego przez organy uchwałodawcze samorządu. Takie kompetencje są rzeczywiście standardem współczesnych rozwiązań demokratycznych konstytucji w krajach, w których zagwarantowana jest szeroka autonomia terytorialnych wspólnot.

Natomiast wątpliwa jest celowość przyznania TK możliwości rozpatrywania skarg poszczególnych obywateli czy osób prawnych na decyzje administracyjne bądź postępowanie władz naruszające prawa i wolności zawarowane w konstytucji. Po wprowadzeniu do konstytucji artykułu, iż jej zapisy stosują się bezpośrednio, tak jak zapisy ustaw zwykłych, skargi takie powinny rozpatrywać i w ich przedmiocie orzekać sądy powszechne (z normalną procedurą apelacji do sądów wyższej instancji oraz z orzeczeniami sądu najwyższego w kwestii wykładni sądownictwo wiążące).

VI.

Jakie są społeczne przyczyny i rzeczywiste funkcje szerzenia się idei ustanawiania w konstytucjach byłych krajów socjalistycznych trybunałów konstytucyjnych nieodwołalnie orzekających, ponad parlamentami, o treści konstytucyjności ustaw? I nie tylko szerzenia się idei, lecz usankcjonowania: tu faktycznie takie trybunały stają się standardem w nowych konstytucjach kapitalistycznej restauracji.

Nie jest to wyraz wiecznej walki między trzema władzami o hegemonię w strukturze państwa, wyraz ich niezbywalnego antagonizmu, i walki o równowagę naruszoną przez realny socjalizm. To mistyfikacja, nielogiczna na dodatek. Przecież uznanie istnienia takiego antagonizmu pociągałoby za sobą wieczną walkę ideologii afirmujących hegemonię każdego z członów trójpodziału, a tu mamy kapitulację ideologii sejmowładztwa i hegemonii egzekutywy!

Mitem jest racjonalizowanie tej idei jako zapory przed autorytaryzmem, jako narzędzia osłony przed nim demokracji, gwarancji jej bezpieczeństwa. To nie

uznanie parlamentów, władzy przedstawicielskiej za najwyższą w konstytucjach socjalizmu rodziło autorytaryzm, bowiem owo uznanie było deklaratywne, parlamenty były *impuissance mise en action*.

O cóż więc chodzi? Chodzi o powołanie do życia instytucji będącej bezpiecznikiem dla przeprowadzania „reformy” ponad ewentualną wolą wyborców, ochroną sławetnej władzy „klasy średniej”, ochroną przed ewentualnym pojawieniem się w parlamencie większości, która „reformę” zastępuje lub będzie w stanie odwrócić jej kierunek. Chodzi o instytucję policji polityczno-prawnej stojącej na straży „budowy kapitalizmu”. Za budową takiej instytucji optują wszystkie aktualne „reformatorskie” siły parlamentarne – od ich lewicy do prawicy. Z budową kapitalizmu wiązał u nas w sejmowej debacie poparcie SLD dla TK wyrokującego ostatecznie poseł Jaskiernia. Mamy tu sytuację podobną do jednomyślności wszystkich partii parlamentarnych za szybkim wstąpieniem Polski do NATO. Przy obłudnej patriotycznej frazeologii chodzi tu przecież o zabezpieczenie budowy kapitalizmu nie przed zewnętrznym zagrożeniem, lecz przed realną ewentualnością zagrożenia wewnętrznego.

W RPA biała mniejszość „wynegocjowała” wprowadzenie Sądu Konstytucyjnego, który ograniczając demokrację w procesie znoszenia apartheidu i przyznania praw obywatelskich i ludzkich czarnej większości, chronić ma „zasady reformy”: zagwarantowanie własności i ekonomicznych praw białej mniejszości, zagwarantowanie jej partiom politycznym udziału we władzy politycznej. Sąd ten jest wyrazem kompromisu, pokojowego przeprowadzenia „reformy”. Sąd ten ma prawo ponad parlamentem, wybranym w wyborach powszechnych, w których 80 proc. to czarni dotąd praw obywatelskich pozbawieni, kasować ustawy i rozporządzenia władzy czarnej większości, które czarna większość uchwalaby w parlamencie. Stanowi on osłonę na czas nieokreślony zawartego kompromisu. Kompromis – rzecz dobra, pożądana. Ale Sąd Konstytucyjny jest jawnie gwarantem ograniczeń demokracji wynegocjowanych w tym kompromisie, konserwacji i nietykalności określonego kręgu przywilejów białej mniejszości. W przypadku RPA sąd ten jest ustanawiany bez obłudnej ideologii, jawnie jako instrument politycznej osłony białej mniejszości i – aktualnie – jako pewien bezpiecznik przechodzenia „reformy” w pokój i spokój.

Iluzją jest jednak, że przetrwa on dziesięciolecia, jak złudzeniem „reformatorów” w PZPR było wynegocjowanie jako strażnika kompromisu w ich kontrakcie z „Solidarnością” instytucji władnego prezydenta.

Władne, ponad parlamentem decydujące trybunały konstytucyjne w krajach „budowy kapitalizmu” znikną, gdy liczące się siły demokracji odnajdą drogę skutecznego okiełzania euforii tej budowy wbrew interesom narodów.

JAROSŁAW ŁADOSZ

***Artykuł Sąd kasujący ustawy i dyktujący parlamentowi ich wykładnię został po raz pierwszy opublikowany w czasopiśmie Stowarzyszenia Marksistów Polskich „Opinie krytyczne. Pismo lewicy”, nr 1 (9) z 1995 roku jako głos w dyskusji nad kształtem przygotowywanej Konstytucji RP.**

HENRYK DOMAŃSKI

CZY JEST W POLSCE PANIKA MORALNA?

Panikę moralną można zdefiniować jako poczucie zagrożenia jakimś „złem” – jest to reakcja wrogości i lęku na wydarzenie definiowane w terminach zagrożeń dla moralnego porządku. Postawa ta może przybierać bardzo różne postaci. W średniowieczu był to lęk przed czarownicami lub zabijaniem dzieci przez Żydów – w świecie obecnym jest to zagrożenie AIDS, narkotykami, pedofilią, napływem imigrantów z Syrii i atakami terrorystycznymi. Charakterystycznym przejawem tego zjawiska jest postrzeganie zagrożenia w wydarzeniach, które w rzeczywistości nie naruszają struktury społecznej i systemu politycznego, a jeżeli oddziałują to słabo. Panikę moralną się wznieca przypisując negatywne cechy i źródło zła obiektowi paniki. Tezy te rozwijają m.in. Goode i Yehuda, autorzy książki poświęconej tej kwestii.¹

Nasuwa się pytanie, na które postaram się odpowiedzieć w odniesieniu do Polski: czy panika może być skierowana przeciwko rządowi? Jest to jedna z możliwych interpretacji oznak wzrostu niezadowolenia z polityki rządów Prawa i Sprawiedliwości po wygraniu wyborów przez tę partię w październiku 2015 roku. Odzwierciedleniem tych postaw są obniżenie się notowań PiS w opinii społecznej i demonstracje uliczne. Wprawdzie rozważania na temat tych zjawisk można by traktować jako podyktowane aktualnymi wahaniami nastrojów i nie warte do prowadzenia analiz, ale wydaje się, że kryje się za nimi coś więcej. Zaliczyłbym je do ogólniejszej refleksji nad kształtowaniem się napięć społecznych. Mimo że panika moralna traktowana jest jako zjawisko przejściowe, to podlega one prawidłowościom, które warto uchwycić.

Rozpatrzmy to pod kątem źródeł paniki moralnej, zaczynając od mechanizmów kreowania paniki. Mogą być nimi: (I) media, którym np. zależy na przesadnym wykreowaniu określonych wydarzeń, w celu przyciągnięcia uwagi odbiorców, (II) organy administracji państwowej, takie jak policja, żeby uzasadnić, powiedzmy, potrzebę zwalczania przestępczości, przez niekonwencjonalne metody działania, (III) politycy i rząd, w celu odwrócenia uwagi społeczeństwa od własnych niepowodzeń i osłabienia krytyki, (IV) opozycja, dla której może to być skuteczne narzędzie walki z klasą rządzącą, (V) organizacje pozarządowe, związki zawodowe i inicjatywy lokalne które chcą w ten sposób pobudzić społeczeństwo do aktywnego działania. Jeżeli chodzi o Polskę, to do roli inspiratorów paniki moralnej przeciwko obecnemu rządowi kwalifikują się wszystkie z sił wymienionych powyżej, oczywiście z wyłączeniem samej klasy rządzącej.

Przechodzę do źródeł. Jeżeli zgodzimy się, że panika moralna jest efektem pobudzenia emocji, to narzędziem sprzyjającym wykreowaniu tego zjawiska jest stereotypowa prezentacja wydarzenia, będącego przedmiotem paniki. Polega to na ogół na jednostronnym kreowaniu

nastrojów, bez pogłębiania i wchodzenia w szczegóły – negatywnie oceniane i „złe” wydarzenia wyolbrzymia się w stosunku do zagrożeń realnych. Mogą one istnieć obiektywnie, chociaż wtedy przedstawiane są w sposób odbiegający od faktów, ale też mogą być wymyślone i tak naprawdę ich nie ma. Są trudne do zidentyfikowania i niełatwo je „zmierzyć”.

W przypadku Polski, zjawiskami zaliczanymi najczęściej do miana zagrożeń były: brak lustracji dotyczącej agentów komunistycznych pracujących dla służb bezpieczeństwa, a poza sferą polityki – m.in. pedofilia, naruszanie porządku przez tzw. kiboli, a obecnie lęk przed napływem imigrantów z krajów Bliskiego Wschodu. Pytanie jest następujące: czy reakcje na rząd Prawa i Sprawiedliwości spełniają kryteria paniki moralnej? Czy zagrożenie dla funkcjonowania systemu demokratycznego jest wyolbrzymiane czy nie jest? Odpowiedź zależy od tego, jak demokrację rozumieć. Z jednej strony, jest to system rządów, w którym źródło władzy stanowi wola większości, z drugiej strony – są to wolności obywatelskie, swoboda dostępu do stanowisk publicznych, tworzenie wyspecjalizowanych instytucji kontroli nad władzą, mających zapobiegać nadużyciom klasy rządzącej oraz instytucjonalna ochrona praw obywatelskich, wyrażająca się w stwarzaniu formalnych zabezpieczeń przed nadmierną ingerencją władzy w sprawy jednostek.

Ocena sytuacji jest zatem ambiwalentna. Niewątpliwie, władza w Polsce sprawowana jest przez przedstawicieli obieralnych w wyborach powszechnych przez naród i działających pod jego kontrolą. Tak więc uczestniczenie w masowych protestach tylko z tego powodu, że władzę sprawuje partia, która chce coś (jak przekonuje) naprawić, byłoby przejawem paniki moralnej. Równocześnie jednak nie jest wyolbrzymieniem faktów naruszanie przez władzę niezależności Trybunału Konstytucyjnego, który zaliczany jest do instytucjonalnej gwarancji sprawowania kontroli nad władzą. Walka o niezawisłość Trybunału Konstytucyjnego i sprzeciw wobec podporządkowania mediów publicznych rządowi stanowiły dotąd główny cel demonstracji.

Drugim świadectwem paniki moralnej jest personifikacja zagrożenia – polega to na wskazywaniu na burzycieli istniejącego porządku. W średniowieczu były to konkretne postaci (czarownice i diabły), przeciwstawiane ludowi, jako zło absolutne i wieczne, którego nie trzeba było dowodzić. Wywieranie ich negatywnego wpływu objawiane było bez potrzeby sprawdzenia i konfrontacji z faktami – kiedy pojawiało się zagrożenie, należało je zaakceptować jako nie podlegające dyskusji. Obiektywnie rzecz biorąc, wizerunek ten nie pasuje do protestów wymierzonych przeciwko PiS-owi. Po pierwsze, dlatego, że protesty te odwołują się jednak do zasad racjonalności funkcjonujących w ramach systemów rynkowych. Nie występują przeciwko spersonalizowanemu złu, można

¹ Goode E. i N. BenYehuda, *Panics in Social Construction of Deviance*, Blackwell Publishers, Oxford 1994

je raczej interpretować w terminach teorii racjonalnego wyboru: pojawiły się „koszty” związane z rządami Prawa i Sprawiedliwości, które należy poddać kontroli (przez demonstrowanie sprzeciwu) w celu powrotu do demokracji, czyli osiągnięcia „korzyści”. Po drugie, opór kierowany jest bardziej pod adresem instytucji niż konkretnych jednostek – oczywiście w świadomości społecznej takie jednostki istnieją, ale Jarosław Kaczyński, Jacek Kurski, Antoni Macierewicz czy Zbigniew Ziobro nie są postrzegane w roli wilkołaków. Są członkami demokratycznego reżimu, krytykowanymi są za konkretne decyzje.

Do sytuacji w Polsce bardziej pasują inne uwarunkowania paniki moralnej: (I) odwoływanie się do niedobrych doświadczeń z przeszłości, (II) zapowiedzi przyszłego nieszczęścia i (III) wrogość. Obiektami wrogości stały się konkretna partia i klasa rządząca. Co do efektu przeszłości, to poczucie zagrożenia demokracji może wynikać z przeświadczenia, że poczynania obozu rządzącego są kontynuacją polityki prowadzonej przez PiS w poprzedniej kadencji, co spotkało się z dużym oporem społecznym. Ludzie obawiają się powtarzania tego wariantu z lat 2005-2007. Z badań CBOS-u wynika, że w wyborach z 2007 roku elektorat nie kierował się ocenami dotyczącymi sytuacji gospodarczej, obniżenia statusu materialnego, możliwości utraty pracy i warunków bytowych. Przedmiotem krytyki była brutalizacja życia politycznego, aresztowania bez postawienia zarzutów, ingerencja w wolności osobiste jednostek, aroganckie lekceważenie przeciwników, naiwny triumfalizm, nazywanie częścią „układu” opozycji i mediów oraz niezdolność negocjowania. W polityce zagranicznej Kaczyńscy próbowali być twardzi, a byli komiczni.

Zdaniem badaczy tych zjawisk, źródła paniki moralnej tkwią również w procesach modernizacji społecznej. W najogólniejszym sensie, panika moralna jest reakcją na utratę bezpieczeństwa – rodzi się na podstawie zagrożenia tradycyjnych wartości przez zmianę. Walka z modernizacją polega więc na kreowaniu przeciwników tradycyjnych wartości. Jak to się odnosi do Polski? Rzut oka przekonuje, że hipoteza ta nie znajduje zastosowania przy wyjaśnianiu źródeł rodzenia się opozycji przeciwko PiS-owi. Protesty te nie wynikają przecież ze sprzeciwu wobec próby modernizacji społeczeństwa polskiego, ale jej bronią. Walczy się przeciwko ksenofobii, obskurantyzmowi i polityce zagrażającej izolacji Polski w Unii Europejskiej. Z badań prowadzonych na próbach ogólnokrajowych wynika, że obawy przed modernizacją koncentrują się raczej w kategoriach społecznych popierających obóz rządzący – wśród reprezentantów klas niższych, ludzi z niskim wykształceniem i mało zamożnych. Pozwólmy sobie na refleksję, że kategorie te wydają się być bardziej podatne na panikę moralną niż ich opozycjoniści i kontestatorzy.

Sięgnijmy jeszcze raz do teorii. Panika moralna wydaje się zaprzeczeniem racjonalności – ale ma ona również funkcjonalne znaczenie dla systemów społecznych, czyli przynosi korzyści. Do jej funkcjonalnych aspektów zaliczam: (I) wytyczanie granic dobra i zła, które powinny obowiązywać rządzących, (II) określenie barier racjonalności i legalizmu, których nie wolno przekroczyć, (III) mobilizację ludzi do realizacji celów uznawanych za słusze, oraz (IV) wskazywanie na realne zagrożenia dla dobrobytu, interesów i podstawowych wartości. A więc funkcjonalne aspekty widoczne są wtedy, gdy sy-

gnalizuje ona jakieś trudne, ale konieczne do rozwiązania problemy, na które trudno odpowiedzieć w ramach istniejącego porządku prawnego. Z kolei, wskaźnikiem dysfunkcjonalnego oddziaływania paniki moralnej byłoby odwracanie uwagi od spraw ważnych, zasługujących na to, żeby się nimi zajmować. Jeżeli chodzi o Polskę, to opór społeczny wymierzony przeciwko PiS-owi można traktować jako uniemożliwianie rządowi zamierzonej przezeń reformy państwa i systemu prawnego. Innym aspektem tej argumentacji są interwencyjne działania ze strony Unii Europejskiej i polityków zachodnich.

Pytanie, w jakim stopniu akcje protestacyjne są poczynaniami dysfunkcjonalnymi, niełatwo rozstrzygnąć w krótkim przedziale czasowym, gdy reformy dopiero próbuje się wdrożyć. Byłyby one dysfunkcjonalne, gdyby zaczęły, dajmy na to, blokować wzrost innowacyjności, dochodu narodowego, rozwoju technologii, przedsiębiorczości, interesów liczących się grup społecznych i obniżyły ocenę ratingu Polski na rynkach finansowych. Ale tak nie jest, co stawia nas przed klasycznym problemem demokracji – kto ma rację: społeczeństwo czy władza?

Jedną z możliwych odpowiedzi wynika z przekonania, że demokracja jest nieprzerwanym procesem relacji między instytucjami i obywatelami. W świetle związanej z tym teorii „kongruencji” im bardziej zmiany instytucjonalne przewyższają oczekiwania obywateli, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo zwiększenia zakresu demokracji.² Prawdopodobieństwo to świadczy bowiem o występowaniu „nadmiaru” instytucji w stosunku do potrzeb. Sytuacja ta odzwierciedla (jak sądzę), reformatorskie koncepcje Prawa i Sprawiedliwości. W odróżnieniu od dotychczasowych partii rządzących, PiS jest partią przekonaną o konieczności przekształceń instytucjonalnych w imię naprawy ustroju. Jest partią wizjonerską i stając przed wyborem umiarkowania lub permanentnego burzenia, wybiera to drugie. Nie bierze pod uwagę, że dla pełniejszej demokratyzacji lepiej jest, żeby było odwrotnie: im większe są oczekiwania obywateli, tym większe są szanse rozwoju. Oznacza to bowiem, że społeczeństwo czuje się „niedodemokratyzowane” (*underdemocratization*), czyli inspiracja do zmiany wychodzi oddolnie.

W międzykrajowych analizach porównawczych wskaźnikiem „niedodemokratyzowania” jest przewaga oczekiwań na poprawę demokracji nad pozytywnymi doświadczeniami – czyli, wyższy jest odsetek respondentów przekonanych o ograniczonym charakterze demokracji w stosunku do respondentów wskazujących, że doświadczają jej całkowicie i nie należy jej zmieniać. Otóż z badań (omawianych przez cytowanego Shina) wynika, że społeczeństwo polskie sytuuje się po stronie systemów „niedodemokratyzowanych” (podczas gdy przekonanie o nadmiarze demokracji dominuje w Afryce i Azji!). W praktyce oznacza to, że społeczeństwo polskie nie chciałoby „przedemokratyzowania” klasy rządzącej. Głosowano w większości na PiS jako na jedyną alternatywę wobec zbyt długich rządów PO, ponieważ ktoś wygrać musiał, ale bez popierania przyspieszonych zmian w stylu rządzenia.

HENRYK DOMAŃSKI

² Shin D.C., *Demokratyzacja: perspektywy obywateli globu*, [w:] J.R. Dalton i H.-D. Klingemann (red.), *Zachowania polityczne*, PWN, Warszawa 2010

TOMASZ GOBAN-KLAS

TERRORYZM I MEDIA

*Ballada z trupem, z trupem ballada**otwieram szafę facet wypada.*

Kabaret Starszych Panów

W *Balladzie z trupem* wystarczy zmienić „szafę” na „telewizor” lub „tabloid” i mamy zwięzłą analizę horrorów z pierwszych stron gazet i minut wiadomości telewizyjnych. „Dajcie krew na pierwszą stronę” – brzmiał okrzyk redaktora międzywojennych gazet (proto-tabloidów) zwanych czerwoniakowe nie ze względu na lewicową orientację, ale na kolor wielkich nagłówek. „Nic tak nie ożywia gazety jak trup” – brzmiało dziennikarskie powiedzonko, i to obowiązuje media popularne i dzisiaj.

Sprzedają się bowiem nie same wiadomości, ale emocje, których dostarczają. A zbrodnie i horror sprzedają się dobrze od wieków, o czym wiedział dobrze teatr. Był on jednak środkiem artystycznego przekazu i duchowego oczyszczenia, *katharsis*. Natomiast media są pełne wszelkich strachów, przy czym na nieprawdopodobnie dzisiaj rozdętym rynku mediów nie chodzi o *katharsis* czy o uzasadnione obawy przed epidemiami, ale o przestraszyć, który ma przyciągnąć i wywołać emocje masowej widowni. Ma on jednak bardziej trwałe konsekwencje – wywołuje lęki w skali masowej, a co ważniejsze – nieproporcjonalnej do zagrożenia.

Sam strach przed rozlicznymi plagami nie jest nowością. Przeciwnie, w pewnych epokach i społeczeństwach bywał dominujący. *Strach w kulturze Zachodu* – dzieło Jean Delumeau o historii kultury widzianej z punktu widzenia codzienności, zwykłego człowieka i wspólnoty zachodnioeuropejskiej w wiekach XIV-XVIII. Epidemie dżumy, klęski głodowe, zagrożenie tureckie, szeroko rozpowszechniona przemoc – prowadziły do utraty poczucia bezpieczeństwa i wyzwały różnorodne reakcje, w tym polowania na czarownice, pogromy żydowskie, itp. Nie zanikły one w wiekach późniejszych, przybierając jednak nowe formy, z których najstraszliwszą (w dosłownym sensie) był Holocaust.

Wszakże dzisiaj, jak dowodził trzeźwo patrzący psycholog Steven Pinker, „od wieków przemocy jest coraz mniej. Prawdopodobnie żyjemy dziś w najspokojniejszej epoce w dziejach człowieka na ziemi. (...) Po zakończeniu zimnej wojny nie tylko maleje na całym świecie liczba konfliktów międzypaństwowych, ale w dodatku te, do których mimo wszystko dochodzi, częściej kończą się ugodą niż krwawym starciem”¹.

Choć od 2011 roku sytuacja ogromnie się pogorszyła, nadal żyjemy w najspokojniejszych – porównawczo – czasach. Jednorazowe ofiary liczy się często w dziesiątki, setki, co najwyżej tysiące. Dawne plagi zdają się opanowane, choć niekiedy straszą (np. ebola). Jednak strachy

nie zanikły, podsycane przez nasilające się od 2011 roku konflikty religijne, etniczne i wręcz wojenne. W Europie i Ameryce na czoło wysuwa się – liczbowo skromne, lecz psychologiczne ogromne – zagrożenie terroryzmem.

Terroryzm stał się bronią słabych, ale o potwornej mocy psychologicznej *via media*. Sam termin etymologicznie wywodzi się od łacińskiego słowa „terrere” (przestraszyć).² Etymologicznie można zatem ujmować terroryzm jako metodę siania strachu i grozy. Dlatego często to słowo jest używane bardzo ogólnie; stało się synonimem rebelii, buntu, walk ulicznych, powstania, partyzantki, zamachu stanu. Wówczas z pomocą przerażających środków walczy się o cele polityczne. Nie tylko posługują się nim oskarżani o terroryzm, korzystają na strachu także jego oficjalni przeciwnicy – demokratycznie wybierane władze. Paradoks? Niezupełnie.

Spirala nieufności i strachu

Władza państwowa wymaga legitymizacji społecznej, a ta opiera się nie tylko na przyzwoleniu i zaufaniu, ale także na strachu i lęku.³ Wprawdzie starożytny chiński filozof Konfucjusz wskazywał na znaczenie zaufania dla dobrego rządzenia, lecz inny Chińczyk, genialny strateg polityczny Sun-Tzu, w słynnej księdze *Sztuka wojny* realistycznie doradzał nie tyle jak najmądrzej rządzić, lecz jak skutecznie i korzystnie zwyciężać⁴. Na mądrość Konfucjusza odpowiadał anty-mądrością: Zdobywanie miast bez szturmów i obalanie państw bez długotrwałych walk osiąga się przez wciąganie przedstawicieli rządu w mactactwa, podrywanie ich dobrego imienia, otaczanie ich pogardą rodaków, sianie waśni i niezgody między obywatelami, dyskredytowanie wszystkiego co dobre w kraju przeciwnika. W konsekwencji zatruwanie atmosfery społecznej pociąga ogromne koszty społeczne, które mogą spowodować upadek władzy i przejęcie jej przez kontestatorów.

Najskuteczniejszą metodą jest paraliżowanie wroga przez wywoływanie w jego szeregach powszechnego zamętu i strachu. „Terroryści, posługując się swoim strategicznym dżiu-dżitsu, mogą zwyciężać tylko dzięki technice dżwigni, pokonać przeciwnika, wykorzystując jego własny impet”, pisał Benjamin Barber.⁵

² Zob. hasło „terror” (strach; stosowanie przemocy, zamachów w celu wywarcia presji, zastraszenia władz lub społeczeństwa) [w:] M. Smaza, Słownik wyrazów obcych, Toruń 2003, s. 340.

³ Zob. przykłady T. Goban-Klas, *Idzie bida*, „Zdanie” 2000, nr 1-2.

⁴ Sun-Tzu, *Sztuka wojny*, One Press, Warszawa 2004.

⁵ B. Barber, *Imperium strachu*, s. 26

¹ S. Pinker, *Żegnaj, przemocy*, „Gazeta Wyborcza” 11.7. 2007.

Terrorystom bardzo wiele się udało. Na bazie strachu rodzi się lęk, czyli negatywny stan emocjonalny związany z antycypacją niebezpieczeństwa nadchodzącego z zewnątrz lub pochodzącego z psychiki, objawiający się jako niepokój, uczucie napięcia, skrępowania, zagrożenia. W odróżnieniu od strachu jest on procesem wewnętrznym, nie związanym z bezpośrednim zagrożeniem lub bólem. Ulrich Beck wprost wskazuje na wywoływanie przez terrorystów aktywnej nieufności.⁶ Rosnąca nieufność społeczna utrudnia działanie władz, które są podejrzewane o skrywanie informacji istotnych, a zwłaszcza tuszowanie błędów. Powoduje znaczną dezintegrację społeczną. I przygotowuje grunt do radykalnych rozwiązań i powszechnego nadzoru.

Tezę Ulricha Becka wzmacnia politolog, Benjamin Barber: „Na arenie międzynarodowej (...) panuje stan bezustannego strachu i niebezpieczeństwa gwałtownej śmierci, co jest udziałem (...) drżących ze strachu mieszkańców uprzywilejowanych przedmieść Pierwszego Świata, których prześladowuje wizja losu, jaki gotują im terroryści. (...) Terroryści odkryli ponure tajemnice Hobbesowskiego stanu natury: w świecie, gdzie panuje strach i niepewność (...) ludzie mogą ulec pokusie zrezygnowania z wolności (...) na rzecz bezpieczeństwa. (...) Podkopując fundamenty wolności, terroryzm skutecznie wypełnia swoją misję, jaką jest sianie przerażenia”.⁷

Medioznawca David Altheide napisał dwie obszerne książki o tym, jak współczesna kultura i polityka podsycają ludzkie obawy.⁸

„Teza, którą wysuwam, głosi, że media masowe i rozrywkowy format kultury popularnej przyczyniły się do zmiany oczekiwań społecznych oraz rutyny dnia codziennego przez promocję rozrywki i lęków. Dziennikarze, socjologowie, i inni obserwatorzy amerykańskiego życia stwierdzają, że Amerykanie boją się zła i złych rzeczy, włączając zbrodnię. Skupiam się na tym, jak strach stał się częścią dyskursu publicznego i perspektywą przeżywania doświadczenia społecznego.”⁹

Media w sianiu strachu mają wielu, choć zapewne mimowolnych, sojuszników. Jednym z nich są eksperci, którzy wyliczają wszelkie możliwe zagrożenia. Np. pojawia się w mediach wiadomość, iż „Naukowcy z USA w najnowszym raporcie ostrzegają, iż już niebawem terroryści mogą wkrótce zaatakować zatruwając masowo produkowaną żywność. Liczbę ofiar takiego zamachu liczyłoby się w dziesiątkach tysięcy. Prawdopodobieństwo ataku na system bezpieczeństwa żywności jest ogromne. Profesor Larry Wein z Uniwersytetu Stanforda wylczył, że wlanie zaledwie 10 gramów botuliny do przewożącej mleko cysterny może spowodować śmierć ponad 100 tys. osób”.¹⁰

Stąd trudno się dziwić, że gdy w latach zimnej wojny w obawie przed atakiem nuklearnym Amerykanie budowali podziemne domowe schrony, tak dzisiaj popularne stało się w Stanach Zjednoczonych indywidualne zabezpieczanie domu czy mieszkania przed rozmaitymi atakami typu terrorystycznego (przy okazji także przed przy-

rodniczymi katastrofami). Wydano już liczne podręczniki, jak się chronić przed zamachami. Najbardziej znany z nich ma sugestywny tytuł: *Terrorism survival guide* (Poradnik przetrwania terrorystycznego ataku).¹¹

Polityczne wykorzystanie strachu obywateli

Kategoria strachu staje się centralnym narzędziem opisującym i wyjaśniającym działania na arenie politycznej – taką tezę lansuje coraz więcej politologów i socjologów.¹² W 1986 roku Ronald Reagan publicznie wskazywał na Libię i prezydenta Kaddafiego jako głównego winowajcę popierania terroryzmu międzynarodowego, aby w imię „wojny z terroryzmem” przeprowadzić w Kongresie USA swój kosztowny plan zmian ustawodawczych i organizacyjnych.¹³

Benjamin Barber wprost stwierdza: „Strach jest narzędziem i katalizatorem terroryzmu, pomnaża i wzmacnia rzeczywiste incydenty terrorystyczne, które w skali globalnej są nieliczne i zdarzają się w miejscach oddalonych od siebie”.¹⁴ I dodaje: „Strach jest główną bronią terroryzmu.”

Terroryzm zorientowany medialnie przynosi – paradoksalnie – określone korzyści demokratycznemu państwu. Pozwala uzasadnić potrzebę istnienia silnej władzy w niebezpiecznym świecie. „FBI słynie z wykorzystania mediów dla własnej promocji, jak i generowania obaw co do tematów, które pomagają jej umacniać pozycję prawną oraz zwiększać fundusze przyznawane przez władze”.¹⁵

W szczególnych przypadkach medialne obrazy pomagają władzy we wprowadzaniu rządów silnej ręki. Douglas Kellner dowodzi centralnej pozycji polityki medialnej w kształtowaniu tematów polityki międzynarodowej i wojennej. Wykazuje, jak całkowicie odmienne siły polityczne, poczynając od administracji prezydenta Reagana do George’a W. Busha, wykorzystywały medialne spektakle terrorystyczne, aby umacniać własną politykę i pozycję społeczną.

Telewizja, nagłaśniając terroryzm, lecz pokazując bez kontekstu, tym samym go mitologizuje i wyolbrzymia. Kellner wręcz twierdzi, że „spektakle medialne” zdominowały sprawozdania telewizyjne i odcinają widownię od realnych problemów społecznych”.¹⁶

Brian Jenkins w materiale dla Rand Corporation z 1981 roku podkreślał, że wedle sondażu ośrodka Harris z 1977 roku, aż 90 procent Amerykanów uznawało terroryzm za „bardzo ważny problem”, a 60 proc. za poważny problem narodowy, co dzisiaj może budzić zdumienie, gdyż wówczas nie było jeszcze większych aktów terrorystycznych na terenie samych Stanów Zjednoczonych.¹⁷ W rezultacie opinia publiczna dosyć łatwo wyraża przyzwolenie na stosowanie ostrych metod postępowania z terrorystami, a nawet na ograniczanie praw obywa-

⁶ U. Beck, *The Terrorist Threat. World Risk Society Revisited*, „Theory, Culture, and Society”, 2002, vol. 19 (4), s. 44.

⁷ B. Barber, *Imperium strachu*.

⁸ D. Altheide, *Creating Fear: news and the construction of crisis*, Aldine de Gruyter, New York 2002, oraz *Terrorism and the politics of fear*, AltaMira Press, Laham 2006.

⁹ D. Altheide, *Creating Fear*, s. 1.

¹⁰ Zob. *Terroryści mogą zatruć jedzenie*, „Dziennik”, 25.08.2006

¹¹ <http://www.jurispub.com/books/book.php?id=34&mode=toc7>

¹² Por. F. Czech *Polityka strachu. Nowy kierunek badań sceny politycznej*, referat wygłoszony na XIII Zjeździe Socjologicznym, Zielona Góra 14.09. 2007.

¹³ Prezydent nakazał uderzenia lotnicze na Trypolis i Bengazi w Libii w odwecie za zabójstwo dwóch amerykańskich żołnierzy w Berlinie Zachodnim, które przypisał władcy Libii, Kaddafiemu.

¹⁴ B. Barber, *Imperium strachu*, s. 29

¹⁵ M. Ranum, *The myth of homeland security*, Indianapolis, Ind. Wiley Pub, 2004, s. 116.

¹⁶ D. Kellner, *Spectacle and the Crisis of Democracy. Terrorism, War, and Election Battles*, Paradigm Publishers 2005.

¹⁷ B. Jenkins, *The Psychological Function of Media-Constructed Terrorism*, Rand Corporation, P-6627, June 1981, Santa Monica, California, s. 3.

telskich (amerykański program komputerowego nadzoru nad obywatelami nazwano symbolicznie Matrix).

W 2016 roku ten strach przeradza się w aprobatę ustawy o inwigilacji, polskiego odpowiednika amerykańskiego Patriot Act z 2001 roku, dającą ogromne uprawnienia policji i służbom wszelkiej maści w zakresie podsłuchów. Chciałoby się rzec „Śpij spokojnie, ORMO czuwa”, ale zakres i łatwość inwigilacji, jak to kiedyś stwierdził Edward Snowden, jest szerszy i głębszy niż enerdowskiej STASI. Więc żarty na bok i zapytajmy: W jakim celu podsycany jest przez polityków i media strach, czasem nawet w absurdalny sposób? Czy islamscy fundamentaliści w końcu osiągną swoje: ich szaleństwo doprowadzi do zniknięcia społeczeństwa otwartego? – zastanawiał się Ulrich Beck. Pisał:

„Jedenastego marca w Madrycie, 7 lipca w Londynie po raz pierwszy, 21 lipca w Londynie po raz drugi i 24 lipca w Szarm Hasz-Szajch – po każdym zamachu umiera kawałek otwartego społeczeństwa. Kiedyś zagrożeniem dla praw i wolności wolnego świata był faszyzm i komunizm, dziś jest nim wszechobecne ryzyko związane z terroryzmem. Tak żyć nie warto.

W społeczeństwie otwartym naturalny konflikt między wolnością i bezpieczeństwem pozostaje w stanie równowagi. I ten właśnie stan bierze na cel terrorysta. Zrównoważenie takie zakłada, że wolność jako najwyższy priorytet opiera się na fundamencie bezpieczeństwa osób i ich własności. To ostatnie jest więc koniecznym warunkiem realizacji wolności¹⁸.

Benjamin Barber sugeruje, że „Terroryzm może doprowadzić do tego, że kraj sam się zastraszy i doprowadzi do stanu paraliżu¹⁹”. Jednak w praktyce okazuje się, że strach nie tyle paraliżuje władzę, co daje argumenty budowania silnego państwa, tak silnego, że może stopniowo przekształcać się w państwo stanu wyjątkowego, i to pod szyldem pięknie brzmiącego prawa – *Patriot Act*.

Korzystają z terroryzmu również media, które same nic nie tracą finansowo na zamachach czy katastrofach, przy czym kontrolują przepływ informacji społecznej zyskując społeczną wiarygodność oraz ogromną widownię, a zatem w ostatecznym rezultacie wielkie zyski. Zwłaszcza tabloidy chętnie znajdują w nim temat na okładki – epatując obrazem i wielkimi nagłówkami.

Zatem krytyczna perspektywa wobec medialnej wizji terroryzmu polega na wskazaniu na głębsze, strukturalne podłoże tworzenia dyskursu; my-oni, terroryści-patrioci. Rutynowe spojrzenie dziennikarzy jest pochodną dominującego politycznego, ekonomicznego i medialnego modelu kapitalistycznego globalnego społeczeństwa. Obsesje medialne, np. groźba użycia broni biologicznej, atak wąglikiem (*antrax*), zagrożenie ptasią grypą na pewno nie są dla niego nierealne, ale jak dalece zostają wyolbrzymione! Bary Glassner w książce *Culture of Fear* (Kultura strachu), konkluduje: „Przestraszeni obywatele są lepszymi konsumentami i potulniejszymi wyborcami²⁰”.

Analiza sytuacji w świecie nie uprawnia wszakże do takiej histerii lękowej, jaką prezentują media, politycy oraz objawiają liczne środowiska w krajach zachodniej cywilizacji. „Z punktu widzenia statystyki akty terrorystyczne są mniej znaczące niż na przykład wypadki dro-

gowe czy prozaiczne dramaty ludzi, którzy we własnym domu spadają z drabiny”, zauważa Benjamin Barber²¹. I mimo że aktualna sytuacja na Bliskim Wschodzie aktualnie ogromnie się pogorszyła, spostrzeżenie Pinkera nadal jest trafne:

„Dlaczego widzimy głównie zło? (...) Częściowo dzieje się tak z powodu rozpowszechnionej iluzji poznawczej – mamy skłonność, by prawdopodobieństwo jakiegoś zdarzenia oceniać na podstawie łatwości, z jaką przychodzi nam przywołanie podobnych przykładów. Obrazy jatek częściej goszczą na ekranach naszych telewizorów i skuteczniej zapadają nam w pamięć niż sceny z życia staruszków²²”.

Analogicznie działają obrazy i informacje o zalewie Europy przez muzułmańskich uchodźców. W polskiej literaturze, choćby w lekturach szkolnych Sienkiewicza (*Ogniem i mieczem*, *W pustyni i w puszczy*) nie brak obrazów zdradzieckiego Turczyka, podstępnej Azjaty, krwawego muzułmanina (Mahdi). Sceny naddciągającej fali uchodźców łączą się w głowach z wcześniejszymi obrazami ucinania głów w Państwie Islamskim, a może i nabijania na pal Azji Tuchajbejowicza w *Potopie* Kawalerowicza. Odzywa się w Polakach zew krwi sarmackiej, a uczeniej mówiąc – emocji plemiennej.

Odwolanie się do poczucia inkluzywnej etniczności („logika plemienna”) ma silny oddźwięk w okresach gwałtownych, radykalnych zmian. Kwestie imigracji mają szczególny potencjał: nasze plemię jest atakowane przez hordy najeźdźców. Trzeba szybko budować mury, w USA na granicy z Meksykiem, Niemcy powinni uszczelniać granicę (mur ma tam negatywną konotację), pilnować bram. Społeczeństwo musi się odizolować i to szybko – barbarzyńcy u bram. *Hannibal ante portas*.

Oczywiste dla naukowców są złudne takie środki. Migracje, wojny i przemoc są podstawą exodusu z Afryki od początku dziejów ludzkości. Ale w sytej i ustabilizowanej Europie (zwłaszcza świeżo ustabilizowanej i nadal głodnej konsumpcji nowej Europy wschodniej) żywiołowość jest niechciana i niepożądana. Stare lęki ożywają w rozmowach i w milionach wpisów internetowych, czasami ujawniają się w gniewnych wystąpieniach tłumów na ulicach i aktach przemocy małych grup czy nawet pojedynczych osób. Z tych wystąpień korzystają – a właściwie je inicjują i podsycają – skrajnie nacjonalistyczne partie operujące etnicznym dyskursem.

I dopóki nowe narracje demokratyczne i mądre ochronne i kontrolne działania polityczne nie zastąpią starych stereotypów, nie sprowadzą strachów do właściwych proporcji, kolejna zmiana w polityce europejskiej będzie wynosić przywódców, którzy będą odwoływać się do etnicznego gniewu i poczucia zagrożenia opartego na panicznym strachu.

Jak jednak bronić się na co dzień przed nadmiernym strachem? Redukcją strachu przez uznanie realiów, niekiedy nawet takich, jak we wspomnianej na początku tego tekstu *Balladzie z trupem*:

Może nie trup, to może to kukła

Z szafy do stóp mi jak długa gruchła...

TOMASZ GOBAN-KLAS

¹⁸ U. Beck, *The Terrorist Threat. World Risk Society Revisited*, „Theory, Culture, and Society” 2002, vol. 19 (4), s. 44.

¹⁹ B. Barber, *Imperium strachu*, s. 26.

²⁰ B. Glassner, *The Culture of Fear. Why Americans Are Afraid of the Wrong Things*, Basic Books, New York 1999.

²¹ B. Barber, *Imperium strachu*, s. 29.

²² S. Pinker, *Żegnaj, przemoc*, „Gazeta Wyborcza” 11.7. 2007.

STANISŁAW JĘDRZEJEWSKI

DZIEWIĘĆDZIESIĄT LAT I CO DALEJ?

Historia

18 kwietnia minie 90 lat, gdy Polskie Radio, działając jako spółka z o.o., rozpoczęło regularne nadawanie programów. Po nieśmiałyłych początkach, w lata 30. XX wieku radio w Polsce wkracza jako w pełni świadomy swojej roli i wartości środek społecznej komunikacji.

W Polskim Radiu pracują wówczas jako redaktorzy muzyczni – R.Jasiński i S.Kisielewski, spikerzy – T. Bocheński i Z.Świętochowski, twórcy radiowego teatru – W.Hulewicz i M.Melina T Byrski, A.Bohdziewicz, pisarze – J.Parandowski i Z.Kosidowski, dyrygenci, szefowie orkiestr radiowych – G.Fitelberg i Z.Górzyński. Z radiem współpracowali tacy wybitni polscy pisarze jak J.Szaniawski, J.Iwaszkiewicz, B. Hertz, M.Dąbrowska, M.Kuncewiczowa, kompozytorzy, m.in.K.Szymanowski, aktorzy S.Jaracz, A.Zelwerowicz i wielu innych.

Działają dwie orkiestry, rozwija się teatr radiowy. Dzięki talentom i energii pierwszego dyrektora generalnego Polskiego Radia Zygmunta Chamca Polskie Radio zajmuje znaczącą pozycję w Międzynarodowej Unii Radiofonicznej.

Z czasem radio jako medium informacyjne staje się przedmiotem większej uwagi polityków. Jeżeli podczas zamachu majowego praktycznie nie odgrywa żadnej roli, to już pogrzeb marszałka J. Piłsudskiego transmitowany jest z Warszawy i Krakowa przez 15 godzin, co było wówczas swoistym rekordem świata.

W 1929 r. Polskie Radio otrzymuje następną koncepcję – tym razem na lat 20. Powstaje silna jak na owe czasy stacja nadawcza w Raszynie o mocy 120 kW, odbywa się intensywna radiofonizacja kraju, podwaja się liczba abonentów radiowych, rozpoczyna się produkcja polskich odbiorników.

W 1935 roku po wykupieniu udziałów przez Skarb Państwa Polskie Radio staje się całkowicie upaństwowione, podległe Ministerstwu Poczty i Telegrafów. Powstają specjalnie zaprojektowane gmachy rozgłośni regionalnych w Katowicach i Łodzi, i nowe rozgłoszenie w Baranowiczach i Łucku, rozpoczęto budowę gmachu Centrum Radia i Telewizji w Warszawie.

W czasie wojny i okupacji szczególnie dwa momenty warte były uwagi: działalność rozgłośni warszawskiej we wrześniu 1939 r. pod kierunkiem dyrektora muzycznego Polskiego Radia Edmunda Rudnickiego oraz epizod powstania radiostacji „Błyskawica” w czasie powstania warszawskiego – również pod tym samym kierownictwem.

Powojenne dzieje Polskiego Radia rozpoczęła działalność prowizorycznej rozgłośni, tzw. „Pszczółki”, nadającej z bocznic kolejowej dworca w Lublinie.

Polskie Radio przybrało formę przedsiębiorstwa państwowego. Powołane zostało na mocy dekretu PKWN z 20 listopada 1944 r. Znamienny był fakt, że Polskie Radio podlegało wówczas z jednej strony Ministerstwu Informacji i Propagandy, zaś w kwestiach technicznych – Ministerstwu Komunikacji, Poczty i Telegrafów.

Pierwsze miesiące i lata powojenne to okres odbudowy zniszczonych rozgłośni i uruchamianie nowych, ponemieckich na Ziemiach Zachodnich. Odbudowie infrastruktury technicznej towarzyszyła odbudowa programowa wg wzorów przedwojennych. Już od 1948 r. Polskie Radio stało się ośrodkiem zmasowanej propagandy, indoktrynacji politycznej i światopoglądowej. Odtąd cały program polityczno-informacyjny i publicystyczny obudowany przekazami o charakterze oświatowym, artystycznym, sportowym, rozrywkowym służył kształtowaniu postaw i zachowań sprzyjających nowemu ustrojowi. Następuje intensywny rozwój infrastruktury technicznej, a Polskie Radio zostaje przekształcone, zgodnie z wzorami radzieckimi, w Centralny Urząd Radiofonii, a następnie Komitet ds. Radiofonii „Polskie Radio” jako „centralny organ administracji państwowej podległy Prezesowi Rady Ministrów”.

Aż do 1989 r. Polskie Radio w różnym kształcie organizacyjnym działa w warunkach monopolistycznych jako jedyna na terytorium Polski organizacja radiowa. I choć do Polski docierały wówczas przekazy wielu polskojęzycznych rozgłośni nadających na Zachodzie (Radio Wolna Europa, Głos Ameryki, BBC, Deutsche Welle, Radio France Internationale, Radio Canada International, Radio Watykan), to oczywiście ich odbiór był nieporównywalny z odbiorem programów Polskiego Radia. Mimo to wpływ wspomnianych rozgłośni na krajową opinię publiczną, zwłaszcza Rozgłosni Polskiej Radia Wolna Europa, był nie do przecenienia.

Lata pięćdziesiąte to dla Polskiego Radia okres intensywnego rozwoju programowego i technicznego. Już wówczas nadawane były dwa programy ogólnopolskie. Od 1953 r. trwały próby emisji w zakresie UKF, wprowadzano magnetofony stacjonarne i przenośne, reporterskie. Wraz z uruchamianiem nowych nadajników rosła ich moc – a więc i możliwości docierania do coraz większej liczby słuchaczy. W 1958 r. pojawił się Program III, który najpierw był nadawany dla Warszawy,

by od 1962 r. stać się programem ogólnopolskim. Stanowił on wówczas alternatywę dla dwóch istniejących, adresowano go przede wszystkim do studentów i młodej inteligencji.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych ekspozytury wojewódzkie Polskiego Radia zostały przekształcone w rozgłośnie regionalne, w których przygotowywano programy miejskie i przeznaczone dla lokalnych radio-węzłów. Sterowane przez centralę nadawały bardzo ograniczony program lokalny.

Lata sześćdziesiąte to okres gwałtownego rozwoju telewizji i zmian w sposobie odbioru radia, które z wolna stawało się medium towarzyszącym.

Wraz z pojawieniem się Programu III – popularnej „Trójki”, rozpoczyna się proces dywersyfikacji programowej. Jednakże ze względu na brak odpowiednich zmian organizacyjnych (utrzymanie naczelnych redakcji tematycznych zaopatrujących dwa programy), proces różnicowania programowego nie może być kontynuowany.

O ile lata sześćdziesiąte po październikowym zwrocie przyniosły istotne zmiany w sferze programowej (pojawienie się powieści radiowych, rozwój reportażu literackiego, nowoczesne w formie audycje dla młodzieży), o tyle nie wniosły one wiele nowego do dziedziny techniki i technologii produkcji radiowej. Dopiero następna dekada okazała się być dla Polskiego Radia czasem rozwoju technicznego. W 1974 r. oddano do użytku Centrum Radiowo-Telewizyjne przy ul. Woronicza, postawiono 646-metrowy maszt i 2000 kW nadajnik w Konstancynie k. Gąbina, dzięki którym rozszerzył się niepomierne zasięg Programu I, obejmując nie tylko całą Europę, lecz także Afrykę Płn., a na Wschodzie ogromne połacie ówczesnego Związku Radzieckiego. W 1976 r. powstał Program IV o charakterze edukacyjnym. Pojawiły się audycje nadawane „na żywo”: *Lato z radiem*, *Sygnały dnia*, *Cztery pory roku*. Równocześnie jednak Polskie Radio zostało wciągnięte w tryby propagandy sukcesu uprawianej przez ekipę Edwarda Gierka, czego postacią symboliczną stał się niedawno zmarły Maciej Szczepański.

Odnosić też wypada, że 1 lipca 1983 r. nastąpiła zasadnicza zmiana struktury organizacyjnej Polskiego Radia. W miejsce naczelnych redakcji pojawiły się samodzielne programy. Był to zarazem, jak pisze J.L. Myśliński, „początek przejścia od rygorów stanu wojennego, od polityki informacyjnej sterowanej przez najbardziej konserwatywną część kierownictwa PZPR do bardziej liberalnej”.

Kres „totalitarnej” epoki Polskiego Radia położyła umowa „Okrągłego Stołu”. Otworzyły się zupełnie inne niż dotychczas możliwości rozwoju mediów.

Teraźniejszość

Regulacje prawne i organizacja

Po kilku latach prac i debat politycznych i prawnych, 22 grudnia 1992 r. uchwalona została przez Sejm ustawa o Radiofonii i Telewizji (DzU z 2004 r. nr 253, poz. 2531), która weszła w życie 1 marca 1993 r. Zgodnie z jej zapisami zasadniczym przekształceniom uległo państwowe radio i telewizja. Polskie Radio, funkcjonujące w strukturze Państwowej Jednostki Organizacyjnej „Polskie Radio i Telewizja”, zostało przekształcone w dwie ogólnokrajowe (Telewizja Polska SA i Polskie Radio SA) i 17 regionalnych jednoosobowych spółek akcyjnych Skarbu Państwa, zarządzanych już odtąd przez

radę nadzorczą i zarządy, działające obecnie na podstawie przepisów kodeksu spółek handlowych.

Założony przez ustawę o radiofonii i telewizji system radiofonii publicznej należy dzisiaj ocenić jako bardzo kosztowny i dysfunkcyjny, niewykorzystujący, jak to się dzieje w sektorze prywatnym, możliwości, jakie tworzy zjawisko konsolidacji, efekt synergii i ekonomia skali.

Nowa sytuacja prawna, w jakiej znalazła się radiofonia publiczna, tzn. uzyskanie przez Polskie Radio i rozgłośnie regionalne pełnej samodzielności finansowej, organizacyjnej i programowej, sprawiła, że kwestią pierwszoplanową stało się zachowanie integralności. Obecnie, choć w formie dalekiej od stanu pożądanego, Polskie Radio współpracuje z rozgłościami regionalnymi w sferze programowej, ale rozwijaniu tej współpracy przeciwdziałają lokalne ambicje, interesy instytucjonalne i osobiste, konieczność zawierania przez zarządy umów dotyczących współdziałania, faktyczna odmowa współpracy przez niektóre zarządy spółek regionalnych.

Istnieje silna potrzeba poszukiwania na nowo sensu i sposobu działania radiowych nadawców publicznych w nowych warunkach technologicznych i rynkowych. Niestety, proponowane przez obecny obóz władzy fundamentalne zmiany organizacji i działania mediów publicznych, w tym Polskiego Radia, nie zapowiadają niczego dobrego. Chodzi przede wszystkim o zmianę formuły prawnej publicznych organizacji medialnych. Dotychczasowe spółki skarbu państwa mają zostać przekształcone w państwowe osoby prawne, tworząc „media narodowe”. Notabene zmiana terminologii z „mediów publicznych” na „narodowe” jest znamieną. Intencja twórców ustawy ma charakter ideologiczny. Tymczasem termin „media publiczne” obrósł długą tradycją w Europie, więc ma głęboki sens historyczny i społeczny. Chodzi po prostu o to, że media publiczne reprezentują interes publiczny.

W aspekcie organizacyjno-prawnym przekształcenie to wydaje się niepotrzebne i niweczy dorobek, który przez ponad 26 lat funkcjonowania udało się wypracować tym instytucjom. Spółki prawa handlowego obrosły bogatą praktyką stosowania prawa, orzecznictwem prawnym, zwyczajami itd. Jest to niezwykle ważne zwłaszcza w sytuacji różnego rodzaju konfliktów, kontrowersji i sporów międzyinstytucjonalnych. Nowe uregulowania oznaczają, że trzeba będzie od nowa gromadzić doświadczenia związane z codzienną praktyką funkcjonowania tych mediów w nowej formule prawno-ekonomicznej. Mimo wielu niedogodności formuła spółki prawa handlowego dyscyplinuje zarządzanie finansowe instytucją medialną, a nią samą czyni transparentną. A to, że w wielu przypadkach istnieją dla spółek medialnych wyłączenia z kodeksu handlowego sprawia, że kodeks nie krępuje nadmiernie ich działalności. Forma spółki skarbu państwa, a także sposób wyłaniania jej szefów i rad nadzorczych w drodze konkursu przez organ regulacyjny i ich kadencyjność stanowią formę równowagi wpływów politycznych na media publiczne, którego przecież nie da się całkowicie uniknąć. Nowa formuła zlikwiduje swoisty bufor między politykami i dziennikarzami prowadząc do utraty ich niezależności.

Projekt ustawy o mediach publicznych utrwała charakterystyczny dla epoki analogowej podział na radio i telewizję. Dzisiaj, w związku z głębokimi przemiana-

mi technologicznymi, należałoby raczej unikać tego podziału i łączyć, dodając internet i rozpoczynając od dołu – czyli od poziomu regionalnego. Nie ma przecież żadnego powodu, by nie powstał portal mediów publicznych. Niestety, wygląda na to, że w Polsce jeszcze długo ta koncepcja nie znajdzie swojego wyrazu w praktyce.

Proces digitalizacji produkcji i transmisji wywołany konwergencją technologiczną sprawia, że stacje radiowe i telewizyjne tworzą systemy produkcji przeznaczonej jednocześnie dla anteny radiowej, telewizyjnej i internetu, co niewątpliwie ułatwia, racjonalizuje i przyspiesza proces produkcji i postprodukcji oraz przynosi spore oszczędności. Tymczasem media konwencjonalne działając w osobnych strukturach mają ogromne trudności z zapewnieniem współpracy struktur centralnych z regionalnymi oraz radia z telewizją i internetem.

Finansowanie

Najważniejsze jednak jest to, że projekt nowej ustawy o mediach publicznych nie rozwiązuje podstawowego problemu mediów publicznych w Polsce, czyli ich niewystarczającego finansowania. Co prawda, w projekcie znalazł się zapis, że powstanie zespół międzyresortowy, a jego zadaniem będzie opracowanie do 31 maja 2016 r. nowoczesnej koncepcji finansowania mediów publicznych, ale doświadczenie podpowiada, że jest to perspektywa z gatunku *ad Kalendas Graecas*. Chodzi m.in. o to, że nowy, odmienny od dotychczasowego system finansowania mediów publicznych musi przejść proces notyfikacji w Komisji Europejskiej. A to może potrwać kilka miesięcy. Jeżeli nowa opłata audiowizualna ma mieć np. formę podatku (PIT, CIT), jak to proponuje KRRiIT, to żeby mogła zacząć obowiązywać od 1 stycznia 2017 r. odpowiednie przepisy powinny zostać uchwalone do listopada 2016 r.

Alte problem niedostatecznego finansowania ma inne jeszcze, poważne konsekwencje. Gdy media publiczne są podtrzymywane przez przychody związane z nadawaniem (abonament, reklama, dotacje z budżetu państwa), intensywne korzystanie z nowych technologii łączy się ze zwiększeniem oferty programowej zakładającej rozszerzanie się gamy wyboru nowych usług medialnych typu non-broadcast przez internet – ale nadal finansowanych przez przychody łącznie się z tradycyjnym nadawaniem. W związku z tym rozwój nowych usług poprzez przeniesienie środków z nadawania do sieci może okazać się zagrożeniem wręcz śmiertelnym, jeśli nie uda się zreformować finansowania mediów publicznych.

Wszelkie przekształcenia prowadzące do szerokiego korzystania przez media publiczne z nowych technologii nie są łatwe nawet w przypadku, gdy istnieje stabilna i „neutralna” technologia systemu finansowania. Przyszłość usług publicznych on-line jest w dużym stopniu zależna od tego, czy będzie kontynuowana neutralność sieci. Jeśli równość ruchu w internecie zostanie naruszona, nadawcy publiczni będą zmuszeni do płacenia dodatkowo dostawcom usług internetowych w celu ich utrzymania jako funkcjonalnych i szeroko dostępnych. Nie otrzymają jednak na ten cel dodatkowych środków bez względu na to, jak są ważni dla funkcjonowania demokracji i podtrzymywania różnorodności kulturowej w społeczeństwach europejskich.

Program

Najwięcej kontrowersji wywołuje oferta programowa radiofonii publicznej. Radio publiczne w Polsce, choć słabiej niż telewizja, dotknięte jest dzisiaj skutkiem kryzysu polegającego na zamazaniu tożsamości programowej przejawiającej się w zaniku odrębności i zdolności odróżniania się od radiofonii komercyjnej. W tym samym stopniu co telewizja publiczna, „płaci” za kryzys statusu i sposobu funkcjonowania. Jednakże o wiele dotkliwiej aniżeli telewizja publiczna, przeżywa kryzys finansowania wynikający z katastrofy w ściąganiu abonamentu. Dodatkowo przeżywa również skutki ogólniejszych zjawisk i procesów, takich jak urynkwienie kultury czy zmiany technologiczne obejmujące upowszechnienie konkurencyjnych wobec radia usług nielinearnych, podcastów, usług na żądanie itd.

Konieczność i potrzeba korzystania przez użytkowników z usług systemów on-line powoduje, że nadawcy, w tym publiczni, odchodzą powoli od rozwijania mediów konwencjonalnych. Zjawisko to wynika z wielu przyczyn i okoliczności, w których funkcjonują nadawcy radiowi, zwłaszcza publiczne organizacje radiowe o strukturze wielokanałowej.

Rzeczony oferty programowej Polskiego Radia, pomimo kryzysu finansowania, odbywać się powinien w dwóch podstawowych kierunkach:

- tworzenia kanałów tematycznych,
- przygotowywania serwisów umieszczonych wyłącznie w obrębie nowych mediów i oferujących oryginalne treści w nieznanych jeszcze formach i formatach.

Zgodnie ze zobowiązaniami nadawcy publicznego Polskie Radio powinno oferować nowe programy tematyczne pozostające w kilku obszarach: informacji, edukacji, kultury, rozrywki, muzyki. I jakkolwiek zarówno termin przejścia z technologii analogowej do cyfrowej, jak i procedury uruchomienia multipleksów, a więc kwestie pozostające w gestii organów państwowych, nie zostały dostatecznie określone, pilną potrzebą pozostaje stałe uruchomienie produkcji wymienionych programów tematycznych i innych tworzących bukiety stacji, umieszczania ich na wszystkich dostępnych platformach dystrybucyjnych, np. w internecie, na satelitarnych platformach cyfrowych, w multipleksach cyfrowych itd..

To wszystko jednak nie zawiesza pytania, czy Polskie Radio SA powinno pozostać przy obecnej strukturze kanałów konwencjonalnych. Po realokacji częstotliwości, której dokonał Zarząd PR SA w czerwcu 2007 r., kiedy to do sieci Jedynki trafiła większość częstotliwości dużej mocy Dwójki, uzupełniona częstotliwościami Czwórki, mamy dzisiaj sytuację, w której Jedynka jest odbierana z najwyższą jakością na 92 proc. terytorium, Dwójka – na ok. 67 proc. kraju i jest niemal lub całkowicie niesłyszalna w regionach południowo-wschodniej Polski, a ułomna sieć Czwórki (ok. 30 proc. terytorium kraju) nie pozwala tej stacji na jakiegokolwiek zwiększenie zasięgu technicznego i społecznego. Nie przyniosło efektów w postaci zwiększenia słuchalności nadawanie Czwórki również cyfrowo. W tej sytuacji stajemy przed dylematem następującym: albo pozostać przy koncepcji Czwórki jako programu o charakterze muzycznym i pozostawić dla młodzieży w wieku 10–20 lat i twórczonego przez młodzież, wykorzystującego intensywnie nowe technologie umożliwiające stałą interakcję ze słuchaczami-użytkownikami sieci, czy budować tam kanał

informacyjny, czy też po prostu zlikwidować. Likwidacja oznaczałaby złamanie logicznej koncepcji komplementarności czterech profili programowych tworzących atrakcyjną ofertę dla całego audytorium radiowego. Oferta programowa tak pomyślana tworzyłaby cztery wzajemnie uzupełniające się kanały, których profile powinny wynikać ze zróżnicowań ze względu na wiek, zainteresowania, upodobania estetyczne i artystyczne, styl życia, kompetencje kulturalne i intelektualne słuchaczy.

Jedynka byłaby więc programem uniwersalnym i masowym, nacechowanym głównie informacją i publicystyką, i w zasadzie skierowanym do słuchaczy dojrzałych, ustabilizowanych i cechujących się swoistym konserwatyzmem wobec radia.

Trójka, jako program muzyczno-słowny, byłaby przeznaczona dla słuchaczy dojrzałych, lecz nieco młodszych (tzw. młodych dorosłych), o postawach modernizacyjnych, głównie mieszkańców miast.

Dwójka, jako stacja specyficzna, byłaby wyspecjalizowana w dziedzinie kultury wysokiej, sztuki, nastawiona przede wszystkim na prezentację muzyki poważnej i literatury.

Rozgłośnie regionalne Polskiego Radia są stałym, ugruntowanym elementem polskiego krajobrazu i rynku radiowego. Niestety, z powodu dezintegracji systemu radiofonii publicznej nie uczestniczą one w dostatecznym stopniu w jej programie. Wskutek nacechowania ich programu słowem nie mogą być tak atrakcyjne, zwłaszcza dla młodych słuchaczy, jak stacje muzyczne. Niezależnie jednak od przyjętego w przyszłości wariantu organizacyjnego regionalnej radiofonii publicznej już teraz stacje te są zmuszone do redukcji kosztów działania, nie zaniedbując wszakże zobowiązań wobec regionalnych audytoriów. Powinny więc starać się o nadawanie wspólnych pasm programowych. Chodzi zwłaszcza o rozgłośnie, które ze względu na położenie geograficzne podejmują podobne problemy społeczne, np. stacje usytuowane w pasie nadmorskim.

Inny dylemat programowo-organizacyjny, przed którym stoją rozgłośnie regionalne, dobrze ilustruje warszawsko-mazowieckie Radio dla Ciebie. Ofertę stacji charakteryzuje przenikanie się, ze względu na specyficzne funkcje stolicy, problematyki stołecznej i miejskiej zarazem, co oznacza radio miejskie (*city radio*) obsługujące Warszawę, najbliższą okolicę i cały region – Mazowsze, co wiąże się z podejmowaniem problemów szalenie rozproszonego geograficznie i zróżnicowanego gospodarczo i kulturowo województwa mazowieckiego.

1 października 2013 r. Polskie Radio rozpoczęło regularną transmisję radia cyfrowego w standardzie DAB+. Oprócz znanych pięciu naziemnych, analogowych kanałów i dwóch programów Rozgłośni Regionalnych (Radio dla Ciebie i Radio Katowice) Polskie Radio uruchomiło program informacyjny PR24 oraz muzyczny Radio Rytm, a ostatnio program dla dzieci (Radio Dzieciom). Polskie Radio zamierza wprowadzić program o profilu edukacyjnym (Radio Eureka), oraz program złożony z audycji archiwalnych (Radio Retro). Istnieje też przestrzeń do uruchomienia kanałów o innych profilach, np. obywatelskim (Radio Parlament), religijnym, artystycznym (reportaże i słuchowiska radiowe na wzór BBC 7), społecznościowym (debaty, wypowiedzi antenowe słuchaczy), tematyce sportowej oraz stacji o różnych formatach muzycz-

nych. Niestety, doświadczenie ponaddwuletniej emisji dwóch oryginalnych kanałów cyfrowych – PR24 i Radio Rytm przemawia za tym, że radiowy nadawca publiczny nie jest przygotowany do tego rodzaju zadań. Brak jest pomysłów i ludzi twórczych, którzy byłiby w stanie taką atrakcyjną, oryginalną ofertę stworzyć, ale także brak odpowiednich środków na sfinansowanie tych zamierzeń.

Tymczasem, nowa, cyfrowa dystrybucja programu radiowego DAB+ nie jest na razie opłacalna dla producentów i konsumentów, a także nie jest powszechnie dostępna. Brak w sklepach odbiorników do odbioru radia cyfrowego, a odbiorniki DAB+ nie trafiły jeszcze na deski rozdzielcze samochodów. Ponadto odbiór radia cyfrowego wiąże się ze znacznie większym kosztem związanym z zakupem odpowiedniego sprzętu odbiorczego. Radio cyfrowe wymaga też nabycia nowych kompetencji medialnych ze strony odbiorcy. Słuchacze również nie zawsze widzą konieczność nadawania programów o krystalicznej jakości płyty CD, a zadawają się przyzwoitą jakością UKF. Bardziej liczy się dla nich atrakcyjność oferty programowej, jej jakość, zaspokajanie wielu istotnych potrzeb medialnych, w tym przede wszystkim interaktywnych.

Technologia i nowy model produkcji

Niewątpliwie dzisiaj koniecznością dla wszystkich nadawców radiowych, w tym publicznych, jest wykorzystywanie możliwości, które stwarzają nowe technologie. Generalna tendencja polega na tym, że w rezultacie przekształceń technologicznych, pociągających za sobą organizacyjne, stacja radiowa (program, organizacja radiowa) zmienia się w swego rodzaju fabrykę treści. Ta zaś, dostosowana do nowych nośników i platform dystrybucyjnych, staje się podstawą rozmaitych zastosowań multimedialnych produktów antenowych i pozaantenowych. W rezultacie następuje wymuszona zmianami technologicznymi zmiana modelu produkcji w kierunku uelastycznienia nie tylko struktury produkcji, lecz również organizacji pracy oraz przejścia do modelu organizacji multimedialnej nastawionej na potrzeby wszystkich dostępnych platform dystrybucyjnych. W tej sytuacji organizacja radiowa (zwłaszcza wielokanałowa, a taką jest w istocie każda organizacja publiczna, w tym Polskie Radio SA) składać się będzie z wielu autonomicznych struktur obsługujących i radio, i multimedia, działających na tych obszarach, które dotychczas dominowały: anteny, produkcja treści, służby techniczne. W wypadku organizacji radiowej oznacza to system produkcji (sieciowej), który wykorzystuje multimedia, a którego głównym ogniwem pozostają zbiory programowe i który podstawą czyni gatunki radiowe, a nie tradycyjne anteny.

Niestety, nowe regulacje nie odnoszą się do żadnych istotnych problemów i wyzwań, przed którymi stoją media publiczne, zwłaszcza ich niedostatecznego finansowania, dylematów rozwoju technologicznego, szerszej reprezentacji struktury społecznej i kulturowej, odzwierciedlania pluralizmu poglądów politycznych, aktywnego udziału w budowie społeczeństwa obywatelskiego. Oznaczają natomiast ich upolitycznienie, utratę niezależności i centralizację zarządzania nimi. Zatem i przyszłość Polskiego Radia nie rysuje się w jasnych barwach.

MICHAŁ JAGIEŁŁO (1941-2016)

WIERsze

Skazany na odszukanie

Usiadł na plecaku i zapatrzył się w mgłę.
Odwlekał moment zejścia ku Dziurawej
Przełęczu. Czuł, że roztkliwia się nad sobą;
skazanym na odszukanie swego miejsca
w wierchu, który być może nieprzypadkowo
nazywa się Czerwony.
Spać, spać.

Zobaczył mężczyznę siedzącego pod oknem,
na drewnianej ławie, wczoraj wieczorem; nie-
znajomy wpatrywał się w niego zimnym
wzrokiem. Chuda, zaciśnięta twarz. Pies gończy
na ubabrańców.

Uciekł do pokoju, wślizgnął się do śpiwora
i skuczał do swego środka jak szczenię.
Skrzypnęły drzwi. Zatrzeszczała podłoga.
Nikogo nie zdradziłem! – krzyczał w myślach.
To tylko zwyczajne zaprzaństwo.

Rozparzone kłosa rozpęczniałe ziarno słodkawych
zapach fermentującego zboża.
Zaprzała nam pszenica – mówił ojciec
wieczorem.

Rozpogodziło się, wyszły gwiazdy. Ojciec chodził
jak błędny po podwórku zasłanym zmarnowanym
zbożem i mamrotał coś, że zaprzały albo zbutwieje
albo – bywa – zatli się płomieniem.

Z wilgoci w rozparzenie z rozparzenia w ogień.
Siedzi teraz we mgłę i śnieżycy i słyszy go:
Zaprzyj synu wrota idzie noc zawrzyj stodołę
żeby nie wlaźło w nią złe.
Przenicować słowa, wyciągnąć pojedyncze nici,
z których są utkane, zajrzeć pod pazuchę
znaczeń,
schować się w ich wnętrzu.

Skazany na odszukanie.

Zagroda Tatry Proch

Zetrzeć okruszki zmyślonej pamięci
na garstkę wierszy i rozpylić w górach.
Oby tylko zdążyć. Zagroda Tatry Proch.

Do żywego kamienia

Liczył, że będzie twardo, a tu śnieg do kolan.
Miało być swobodne, niemal bez wysiłku
przemierzanie doliny i stromych stoków, a było
brodzenie po pas w zaspach. Roił o czubkach
i wierchołkach, muskających policzki, a błądzi
wśród kosówkowego gąszczu i czepia się rękami
odziomków jarzębiny.

Rozmiękłość mgła i mżawka czasem
przejaśnienia
i wtedy wyłaniają się stromizny.
Ślady po lawinach, ledwo widoczne, przykryte
świeżym
opadem, niczym porośnięte prześcieradłem trawy
wspomnienie po grodzisku.

Utknął na wyrównanie.
Oddechu.
Wspomnienia.
Obrazu.
Dom z kamienia i drewna chlew stodoła
suszarnia rozkraczona
szopa. Rozwalane. Młotem siekierą obuchem
ostrzem gołymi.
Dłoćmi.
Twarzą.
Zaciętą w tym żarliwym i po swojemu twórczym
pacierzu.
Niszczenia.

Wspinał się na czworakach – jak uparty i tępy
ludzki zwierz.
Obrzmiała tęsknota i kojące poczucie.

Zmęczyć się brnięciem w ciężkim, nasyconym
wilgotną mgłą śniegu.
Zapadać się aż po pachwiny.

Być tu i tam. Nie krzywdzić – na ile to możliwe.
W uścisku i potrzebie. Odpowiedzialności.
Dojść do celu i podzielić się z wierchołkiem
majakami Zagrody przeżutej do żywego.

Okruchy zmyślonej pamięci

Jezioro pokryte przezroczystym lodem, spod
którego prezierają kamienie, ułamki gałęzi,
zwarzone zimnem wstęgi roślin i zaniepokojone

twarze kobiet – skądś znanych? – wyrzeźbione
w białym kamieniu. Chodzi po szklanej tafli, ale wie
– pewnością śniącego – że jeszcze wczoraj żywa
powierzchnia drgała spazmatycznie w rytmie
północnego wiatru. Zamyka oczy.

I zamarznięta tafla staje dębą, a on wchodzi w nią,
w tę idealną lodową ścianę, i wspina się szklistą
gładziną aż do widocznego na horyzoncie lasu
ściśniętego czystym mrozem. Nie ma ani raków
ni czekana przerażony drżą mu nogi zaraz
spadnie

i wtedy ojciec wychyla się z okna ich nowego ale
już opuszczonego drewnianego domu i podaje mu
widły: Nie wstydź się mały.

To bardziej ryzykowne...

To bardziej ryzykowne niż sam akt wspinania –
łatwo się ośmieszyć... A zatem – w górę!
Ze stożka piargów w stromiznę uciekającą
w pion – harmonia ruchów, pieszczotliwe
muśnięcia szorstkich granitowych płyt,
chwytywanie skalnych występów – czujnie
i zdecydowanie, agresywna miękkość.
afirmacja życia i łaskotanie...

Odpowiednio oplecione zwojami alpinistycznej
mitologii – dawało możliwość wczuwania się.

W prawdziwe, razowe życie:
jak zimno – to przenikliwe, jak ciepło – to aż
po upał wyciekający ze skały,
jak pragnienie – to po spierzchnięte do krwi
wargi, jak otwarty widok – to esencja przestrzeni,
jak przestwór – to aż po zatykający banałem
oddech nieskończoności,
jak stromizna – to (oczywiście) lecąca.

W obłaskawianą konformizmem.

Przepaść samokontroli.

I zawsze, i wszędzie to małe namolne „ja”.

STANISŁAW GĘBALA

NIE MOGĘ UWIERZYĆ...

NIE MOGĘ ZROZUMIEĆ...

Ile razy już to słyszeliśmy w ostatnich miesiącach...

Te słowa chyba najczęściej powtarzali telewidzowie dzwoniący do *Szklą kontaktowego*, popularnego programu TVN24. I jeszcze pytanie: „Czy oni [chodzi o prominentnych przedstawicieli PiS-u] naprawdę wierzą w to, co mówią?”.

Niektórzy (nieliczni) dzwoniący przyznawali otwarcie, że sami głosowali na tę partię, oszukani w kampanii wyborczej, inni (liczniejsi) wyrażali żal, że nie poszli na wybory. Z początku, słuchając podobnych wypowiedzi, odczuwałem tylko irytację: jak można być tak naiwnym (albo leniwym)! Po pewnym czasie jednak już spokojniej zacząłem myśleć o naszej podatności na demagogię, a w końcu uświadomiłem sobie całkowitą bezsilność większości ludzi wobec manipulacji, jakiej zostali poddani.

Obiecano im „dobrą zmianę” – kto by takiej nie chciał! Obiecywali działacze jeszcze nie skompromitowani, bo skompromitowanych starannie na czas kampanii ukryto; a ten Najważniejszy, którego ukryć w żaden sposób się nie dało, wypowiadał się z początku rzadko i pojednawczo – o potrzebie budowania wspólnoty i niedopuszczalności odwetu. Na chwilę zapomnieliśmy nawet o podziale: my i oni.

Wielu uwierzyło, bo bardzo chciało wierzyć. Złe emocje są męczące; ciągła nieufność i podejrzliwość powoli ale nieuchronnie degradują nas psychicznie. I odwrotnie: nasza wiara w ludzi sprawia, że sami czujemy się lepsi. Ta wiara jednak nie może ignorować wiedzy ani wyłączać rozumu, a tak, niestety, często się dzieje.

I tu muszę sięgnąć po cytát, który utkwiał mi w pamięci szczególnie mocno, gdyż chyba najcelniej charakteryzuje nastawienie nader często spotykane wśród naszych rodaków. Przytoczył ów cytát sam Witold Gombrowicz w *Dzienniku*, omawiając list korespondentki, która tak pisała o sobie: „nie chcę wiedzieć, nic, nic, nic, chcę tylko wierzyć”. Ta deklaracja dotyczyła wprawdzie wiary religijnej, ale można ją chyba rozumieć szerzej – tym bardziej że religię coraz częściej mieszmamy do polityki, a politykę do religii.

Cytowane słowa zawierają nie tylko celną i lapidarną autocharakterystykę, ale także określają postawę biegunowo przeciwną – tych wszystkich, którzy **chcą wiedzieć**, zatem i **rozumieć**, czyli samodzielnie **myśleć**. A „myślenie to praca” – jak powiedziała Swietłana Aleksijewicz w rozmowie z Wacławem Raddziwinowiczem, do niedawna korespondentem w Mo-

skwie, uznanym przez rosyjskie władze za *persona non grata*¹. Konstatacje noblistki odnoszą się, oczywiście, do Rosjan pod rządami Putina, ale warto wyczytać się uważnie w jej słowa choćby i z tego powodu, że padł już u nas zarzut „putinizacji” Polski pod rządami PiS-u. Szczególną uwagę chciałbym zwrócić na niezwykle mobilizujące hasło „wstajemy z kolan”, które sobie upodobały obie propagandy – putinowska i pisowska: „Myślenie to praca, a ci ludzie są po prostu zbyt zmęczeni, by zrozumieć, co się dzieje. Za to bardzo łatwo, bez najmniejszego wysiłku można uruchomić w nich najprostsze, najbardziej prymitywne emocje. I to dziś robi Putin. Ogłasza, że budujemy wielkie imperium, wstajemy z kolan, nie pozwolimy wrogom więcej pastwić się nad nami”.

To dziś robi Putin i... No niezupełnie, bo u nas jeszcze nikt nie ogłasza, że budujemy wielkie imperium. Ale przecież zawsze można odkurzyć i wypisać na transparentach stare hasło: Polska od morza do morza. A na razie roić o przywództwie małych państw środkowo-wschodniej Europy (komuś nawet już się wypsnęło, że powinniśmy aspirować do posiadania broni atomowej!).

Chorą (na mocarstwowość) wyobraźnię proponuję leczyć lekturą przynajmniej tych fragmentów *Dziennika* Witolda Gombrowicza, które traktują o fatalnym rozziwieniu pomiędzy aspiracjami a możliwościami narodów i państw średnich. W ogóle Gombrowicz znów zyskuje aktualność. Choćby *Ferdynand* z niedościgłym wzorcem bezkompromisowości i niezłomności w postaci Syfona. Niedościgłym? Co najmniej kilku prominentnych polityków PiS-u już go nawet prześcignęło, przekraczając z podobną jak on nieświadomością granice groteski.

Mam nadzieję, że wielu rodaków zapamiętało plenerowe widowisko z 13. grudnia ubiegłego roku, w którym wzięli udział sam prezes Jarosław Kaczyński i wicemarszałek sejmu Joachim Brudziński. Prezes w swoim przemówieniu zacytował część hasła, skandowanego wcześniej przez uczestników manifestacji: „Cała Polska z was się śmieje...”, krygując się, że nie wypada mu cytować końcowych słów – które natychmiast dorzucił, ukryty za pniem drzewa, wicemarszałek, sprawdzony już dawno w roli wiecowego wodzireja: „... komuniści i złodzieje!”.

Zapamiętałem z tego samego dnia jeszcze jedną scenkę. W programie Bogdana Rymanowskiego *Kawa na ławę* rozbawiona Beata Kempa ciągle przerywała (swoim starym zwyczajem, dobrze znanym widzom ze wszystkich jej „występów”) Sławomirowi Neumannowi, a gdy ten zapytał czy tylko tego uczą ich pijarowcy w PiS-ie, odpowiedziała, że nie potrzebuje pijarowców, bo reprezentuje o wiele wyższy poziom niż on. Subtelnie, prawda? I ileż w tym, zalecanej przez panią premier, pokory (przypomnę jej hasło z kampanii wyborczej: „praca i pokora”).

Mam nadzieję, że syrenie śpiewy z kampanii wyborczej nie pójdą w zapomnienie – te wszystkie krótkie magiczne zaklęcia w rodzaju „dobra zmiana” czy „damy radę” (rozszerzone potem o obiecujące słówko „razem”) i dłuższe melodyjne frazy, jak ta na przykład: „To będzie wspaniały rząd, drużyna, która będzie pracowała dla Polaków”. Czy byliśmy głusi? Przecież w tym pobrzmiewa przede wszystkim ton samouwielbienia,

a spod niego przebija inny – jeszcze bardziej niepokojący, bo wręcz narzucający skojarzenie z hasłem nacjonalistów „Polska dla Polaków”. Rychło przekonał się zresztą, że tylko dla „prawdziwych Polaków”, a nie tych dziedzicznie obciążonych „genem zdrady”, „dzieci resortowych”, wnuków „ubecji” itp. Podział: „my” i „oni” znów zyskał na ostrości i wyrazistości, a sejmowa większość zabrała się do pracy z zapałem tak wielkim, że doba wydawała się za krótka.

Atmosfera tych gorączkowych dni (a zwłaszcza nocy) w sejmie z całą pewnością również pozostanie w naszej pamięci – oby na pokolenia. Na szczęście, to co się działo, zostało skrupulatnie opisane. Gorączka i prostactwo arywistów upojonych pełnią władzy. Zwłaszcza jeden tytuł publikacji prasowej utkwił mi w pamięci: *Recht powraca*². Autor – Tomasz Łubieński, 77-letni dziś syn Konstantego Łubieńskiego, posła kilku kadencji sejmu PRL, który uczestniczył także w słynnym posiedzeniu poświęconym wydarzeniom marcowym – relacjonuje wspomnienia ojca: „Kiedy Jerzy Zawieyski odwołał się do sumienia Władysława Gomułki, mówiąc o pobiciu Stefana Kisielewskiego przez »nieznanych sprawców«, Gomułka zarechotał. Cała sala, już nie tylko absolutna, ale przygniatająca większość, zawtórowała pierwszemu sekretarzowi”.

Tym razem rechotała tylko zwykła większość – nawet nie konstytucyjna, ale i bez niej można skutecznie „bronić demokracji” (bo tak określali swoje pośpieszne nocne głosowania pisowscy posłowie).

O propagandzie, która posługuje się konsekwentnie metodą odwracania kota do góry ogonem (pozostaliśmy przy tym potocznym, ale jakże celnym wyrażeniu), powiedziano i napisano już chyba wszystko. Warto może jeszcze tylko zastanowić się, dlaczego – przy całym swoim prymitywizmie – okazała się ona tak skuteczna? Jedna – oczywista – odpowiedź już tu padła: wielu ludzi chce po prostu wierzyć i będą wierzyć mimo wszystko, nawet wbrew „oczywistej oczywistości”.

*

W sejmie słysząc rechot nowej władzy, a przez kraj przetacza się śmiech opozycji. Ale nie jesteśmy już „wspólną śmiechu” jak w PRL-u (akurat przypomniał mi się tytuł książki z tamtych czasów, której autor wspiał się wtedy nawet na ministerialny szczebel władzy). Jacek Fedorowicz, weteran kabaretowych batalii z absurdami Polski Ludowej, który z powodzeniem współtworzył niegdyś tę „wspólną śmiechu”, dostrzeżga zarówno analogie pomiędzy obecną sytuacją pod władzą PiS-u i tamtą – jak i różnice, czyniące nową sytuację wręcz trudniejszą.

Warto uważnie wyczytać się w rozmowę z nim, którą na początku roku opublikowała „Gazeta Wyborcza”³. Oto jej fragment traktujący właśnie o wspomnianych analogiach i różnicach:

„– Faktem jest, że propaganda PRL-owska, w ślad za modelem władzy PRL-owskiej, to ideały, z których PiS czerpie obiema rękami.

– PRL upadł również od śmiechu.

² „Gazeta Wyborcza”, 12 stycznia 2016.

³ *Przepraszam za żartobliwy ton tej rozmowy*, „GW” 25 stycznia 2016. Rozmowę przeprowadził Paweł Smoleński. Dwa dni później „GW” poinformowała, że „chochlik drukarski” zniekształcił tytuł, który powinien brzmieć: *Przepraszam za mało żartobliwy ton tej rozmowy*.

¹ „Książki”, nr 4, grudzień 2015.

– Nie wydaje mi się, chyba że pośrednio. Zasluga satyryków, którzy w PRL-u głośno mówili to, co ludzie myślą, polega na tym, że skutecznie przeciwstawiali się planowi atomizacji społeczeństwa.

Idealem dla tamtej władzy i pewnie dla władzy dzisiejszej jest obywatel, który siedzi przed telewizorem, odbiera propagandę i nie kontaktuje się z innymi. Wydaje się obywatelowi, że to, co ogląda, jest stekiem bzdur, lecz ma poczucie, że w swoich sądach jest odosobniony. A tu nagle słyszy z estrady albo z radia, że inni myślą podobnie, że nie jest sam. W tym znaczeniu satyra przyczyniła się do upadku systemu, bo ośmielała ludzi. Śmiech też łączy!

– Ktoś niedawno napisał, że jednym z kluczowych oręży na fanfaronadę polityków i niedorzeczność ich kłamstw jest właśnie śmiech.

– Nie byłbym takim optymistą. Szczególnie dlatego, że Polacy podzielili się na dwa wrogie obozy. Humor może służyć jako podtrzymywanie dobrego nastroju u przeciwników PiS-u, ale żadnym śmiechem pan nie przekona tych, którzy wierzą w Kaczyńskiego.

Narysowałem go kiedyś patrzącego przez dziurkę od klucza i podpisałem: »Mały brat patrzy«. Pan się z tego będzie śmiać, ale inny Polak się oburzy. Są dziś w naszym kraju dwa wrogie obozy, a każdy z nich z przekonaniem śmieje się z tego, co drugiego zupełnie nie śmieszy. Czyli dokonało się tu coś takiego, co nie wyszło nawet czerwonomu. Pod koniec PRL-u nie było u nas przekonanych komunistów. Dzisiaj śmiechem nie odmieni się niczych poglądów».

Nader smutna ale prawdziwa konstatacja; pomiędzy tymi, którzy nie chcą wiedzieć, nic, nic, nic, chcą tylko wierzyć, a tymi, którzy pragną zrozumieć, rozwiiera się przepaść. I znakomity satyryk przyznaje się do poczucia bezsilności: „– Dla mnie sposób myślenia zwolenników PiS-u jest, i na długo pozostanie, wielką tajemnicą. Nie rozumiem, jak można nie dostrzegać pewnych spraw, nie widzieć nadętych purchasek, nie rozpoznawać ich celów”.

*

Te dychotomiczne podziały są naszym przekleństwem. Żeby jeszcze pomiędzy „my” i „oni” zdołało się wcisnąć „wy” – możliwy byłby jakiś dialog, ale „my” i „oni” bezpośrednio żadnego dialogu nie są w stanie podjąć; choćby z powodów czysto gramatycznych. Wprawdzie niektórzy nasi lekarze próbowali wprowadzić do komunikacji z pacjentem formę trzecioosobową (przykład: „Niech się rozbierze za parawanem” – uwieczniony nawet w filmie ze znakomitą Danutą Szafarską), podobne próby stały się jednak tylko inspiracją dla autorów skeczów kabaretowych. Chociaż... PiS-owi, występującemu właśnie w roli lekarza – otwarcie mówi przecież o sanacji, czyli uzdrowieniu, państwa – pewnie się uda upowszechnić taką formę konwersacji. (Może uchwałą sejmową?)

Rozpoczęta kuracja zapowiada się na radykalną – z gatunku takich, których pacjent może nie przeżyć. Do jej przeprowadzenia trzeba więc ludzi wyjątkowej i niezłomnej wiary. To oni skandowali w kampanii prezydenckiej: „An-drzej Du-da! To się uda!” – i udało się. Niezłomna wiara została wynagrodzona przez Opatrzność „człowiekiem niezłomnym”, który sam się tak przedstawił swoim wyborcom, żeby rozproszyć

choćby cię wątpliwości. Bo wątpliwość jest szczególnie groźnym wirusem, którego trzeba zniszczyć, zanim się uodporni na przepisane przez lekarza środki. I tak właśnie trzeba postrzegać to, co dzieje się w owe pamiętne noce na sali plenarnych obrad sejmiku.

Wiara czyni cuda – a rozum może sprowadzić na manowce. Zatem nie próbujmy **zrozumieć** – starajmy się **uwierzyć**. Nie dajmy posłuchu tym, którzy chcą podważyć nasze zaufanie do nowej władzy powtarzając, że ludzie wielkiej i niezachwianej wiary z reguły budują także aparaty represji – i że robią to zresztą najchętniej rękami tych, których wiary wolą nie poddawać zbyt ciężkim próbom, zadowolając się ich deklaracjami (najlepiej pisemnymi). A budują dla ludzi małej wiary, którzy się naiwnie do tego przyznają, mówiąc np.: „chciałbym wierzyć” albo (co gorsza): „nie mogę uwierzyć”, co również oznacza przede wszystkim „chciałbym” (ale „nie mogę” – trzeba więc pomóc im tę niemoc przełamać).

Porzućmy jednak ironię, tę broń słabych, by za stanowić się jeszcze przez chwilę nad zadziwiającymi swoją arogancją manifestacjami siły władzy, odrzucającej hurtowo wszystkie poprawki wnoszone przez opozycję zarówno w sejmie jak i w senacie. Niektórzy z posłów opozycji podkreślali później w swoich komentarzach przed kamerami telewizyjnymi, że w obu izbach naszego parlamentu działał ten sam automatyzm głosowań (na „nie”), mimo że atmosfera obrad była w nich zasadniczo różna. Rechoł w sejmie czynił wynik łatwym do przewidzenia, ale rzeczowa dyskusja w senacie mogła rodzić płonne nadzieje, że (przynajmniej na chwilę) obudził się rozum. Jednak zbiorowy rozum zwycięzców działa – jak widać – inaczej, sygnalizując przede wszystkim niebezpieczeństwo powstania jakiegokolwiek szczeliny w monolocie władzy. A na pytanie: co się dzieje z naszą demokracją? – wicemarszałek sejmiku Joachim Brudziński w programie telewizyjnym *Kawa na ławę* (24. stycznia, nazajutrz po manifestacjach opozycji w 38. miastach w kraju i za granicą) odpowiedział (powtarzając te słowa dwukrotnie w ciągu niespełna minuty): „Demokracja ma się u nas znakomicie”.

Z taką pewnością siebie może przemawiać tylko człowiek, który posiada wiadomości z pierwszej ręki. Czyżby więc wicemarszałkowi zakomunikowała to osobiście sama Demokracja? Proszę, nie brnijmy już głębiej w groteskę. W tym wypadku „z pierwszej ręki” oznacza: z ust Prezesa. Bo przecież sam by tak świetnego dowcipu nie wymyślił.

Dla odzyskania równowagi psychicznej zakończę cytatem, którego autorstwo jest poza wszelkimi podejrzeniami. Josif Brodski powiedział w *Mowie na stadionie*⁴, iż demokracja „leży w pół drogi między koszmarem a utopią”.

Zatem w którą stronę idziemy?

STANISŁAW GĘBALA

⁴ Esej ze zbioru *Pochwała nudy*, którego obszerny fragment, w przekładzie Anny Kolyszko, zamieściła „Gazeta Wyborcza” 23-24 stycznia 2016.

WŁODZIMIERZ LUTY

DYLEMATY I ILUZJE LIBERALNEJ DEMOKRACJI

Wstęp

Zdając sobie sprawę z historycznej zmienności treści pojęcia „liberalna demokracja”, dla potrzeb niniejszej analizy przyjmuję takie jej rozumienie, które odnosi się do „liberalnego projektu” organizacji życia społecznego na podstawie dwóch podstawowych zbiorów zasad:

1) organizacji działalności gospodarczej w warunkach wolnego rynku i wolnej konkurencji (zwane „zasadami wolnorynkowego kapitalizmu” lub „zasadami liberalizmu ekonomicznego” lub „systemem wolności ekonomicznej”), 2) organizacji i realizacji władzy większości respektującej prawa i wolności człowieka i obywatela gwarantowanych przez państwo prawa (zwane „zasadami demokratycznego państwa prawa” lub „zasadami demokracji konstytucyjnej” lub „liberalnymi zasadami politycznymi” lub „systemem wolności politycznych”).

W „projekcie liberalnym” zakłada się też, że „system wolności ekonomicznych” stanowi warunek konieczny powstania i rozwoju „systemu wolności politycznych”. Natomiast wpływ państwa na działalność gospodarczą przedsiębiorców za pomocą odpowiednich regulacji lub bezpośredniej aktywności ekonomicznej jest dopuszczalny tylko w dwóch przypadkach:

(1) jeśli wprowadzane regulacje nie ograniczają swobodnej działalności gospodarczej przedsiębiorców, (2) kiedy działalność ekonomiczna państwa jest niezbędna i nie może być finansowana z zysków prywatnych.

Problem z adekwatnością

W intelektualnej historii liberalizmu spotykamy dwie grupy argumentów na rzecz „projektu liberalnego”. Pierwszą tworzą różnego rodzaju filozoficzne koncepcje prawa natury (Smith 1954, Mises 1990, Hayek 1982, Friedman 1994), drugą – utylitarno-behawiorystyczne teorie (Mill 1959, Rawls 1994, Gray 1994, Manet 1994). Podejmowane w ramach tych teorii próby wyjaśnienia zachowań ekonomicznych i politycznych człowieka przez odwołanie się do jakiejś natury ludzkiej „prowadzi donikąd, ponieważ wszystkie czyny ludzkie są oparte na naturze ludzkiej”. Od czasów Arystotelesa wiadomym jest, że pojęcia, które wyjaśniają wszystko, nie wyjaśniają niczego. Ta logiczna argumentacja na rzecz mocy wyjaśniającej pojęć ogólnych nie przekonuje Leszka Balcerowicza, który dokonał wyboru i opublikował, znakomity zresztą, zbiór tekstów pod tytułem *Odkrywając wolność*.

We *Wstępie* pisze: „Nie da się sensownie myśleć o alternatywnych ustrojach i warunkach, jakie tworzą one ludziom, bez przyjęcia określonych założeń na temat natury samego człowieka”. (Balcerowicz, s. 49.). Metodolog i filozof nauki Karl Popper, słusznie uważa, że takie myślenie prowadzi na manowce, gdyż wszelka aktywność ludzka związana jest z naturą człowieka”. (Popper 1987, Addenda). Oznacza to, że nie da się również wyprowadzić ulubionych postulatów Balcerowicza „prywatyzacji i deregulacji gospodarki” z ustaleń psychologii ewolucyjnej na temat „natury człowieka”, przywołanych przez autora wyboru tekstów o wolności.

Tę trudność logiczną dostrzegał też inny guru Balcerowicza – August von Hayek. Zauważył on, że wraz z rozwojem ekonomii politycznej jako nauki, w doktrynie liberalnej miejsce „filozofii człowieka”, czy też nawiązujących do niej „teorii praw natury” zaczynają zajmować „ekonomiczne argumenty na rzecz wolności”. Liberalizm XX wieku to – według Hayeka – nic innego jak interpretacja w kategoriach ekonomicznych politycznych ideałów wolności, równości, bezpieczeństwa, demokracji i postępu cywilizacyjnego. (Hayek 1982, rozdz. XIV). „Ekonomiczne argumenty na rzecz wolności” czy też „interpretacja w kategoriach ekonomicznych politycznych ideałów wolności”, również nie wytrzymują wymogów logiki i doświadczenia. Jeśli chodzi o logiczną argumentację, to da się ją przedstawić w sposób następujący: polityczne ideały wolności, równości, praworządności etc. wynikają logicznie z określonej teorii ekonomicznej. W wypadku argumentacji empirycznej podkreśla się ścisły związek genetyczny i aktualny między realizacją w praktyce praw i wolności obywatelskich z rozwojem wolnego handlu, wolnej konkurencji i gospodarki rynkowej w ogóle.

Każdą z owych „racji ekonomicznych” na rzecz polityki wolności można zakwestionować z powodów zasadniczych. Od czasów Hume’a wiadomo, że ze zbioru zdań o faktach nie wynikają nie tylko żadne uogólnienia naukowe, ale również żadne uogólnienia moralne czy też prawne. Oznacza to, że niemożliwe jest logiczne przejście od opisu określonego stanu społeczeństwa do wysuwania określonych postulatów dotyczących naszego w nim zachowania (moralnego, prawnego, politycznego). Z kolei od czasów Kanta wiadomo, że prawa nauki i prawa stanowione nie mają ze sobą nic wspólnego poza nazwą. Zarówno Hume jak i filozof z Królewca negowali w zasadzie możliwość jakiegokolwiek nauki o społeczeństwie, dlatego też na pytanie,

jak należy postępować, próbowali odpowiedzieć, odwołując się do „natury ludzkiej”.

Swą ważność zachowują jednak metodologiczne ustalenia tych filozofów, z których wynika, że jeśli ekonomia pretenduje do miana teorii naukowej (a tak właśnie jest w przypadku ekonomicznej twórczości teoretycznej Hayeka, jego uczniów i zwolenników, wśród których jest też Balcerowicz), to formułowane w jej ramach prawa nie mają nic wspólnego z prawami stanowionymi. Prawa nauki określają bowiem ścisłą i niezmienną regularność, która nie może być zniesiona ani wyprowadzona przez człowieka, która nie zna żadnych wyjątków. Prawo nauki może być prawdziwe lub fałszywe. Prawo stanowione jest natomiast wprowadzane przez człowieka. Może być zatem zmieniane, doskonalone, łamane etc. Prawa stanowione mogą być li tylko oceniane jako dobre, złe, słuszne, niesłuszne, możliwe, niemożliwe do przyjęcia. (por. Popper 1987, t. 1, rozdz. 5 oraz t. 2, Addenda.). Żaden wniosek o charakterze normatywnym nie może być wyprowadzony z przesłanek, wśród których nie ma choć jednego sądu imperatywnego. Oznacza to, że żadnych postulatów dotyczących praw i wolności obywatelskich i szerzej – zasad funkcjonowania demokratycznego państwa prawa nie można wyprowadzić z określonego zbioru sądów teoretycznych (włącznie z teoriami ekonomicznymi Misesa, Hayeka czy Friedmana). Niemożliwe jest zatem „ekonomiczne uzasadnienie polityki wolności” rozumiane w sensie logicznym.

Jeśli zaś chodzi o „empiryczne uzasadnienie” związku „systemu wolności politycznych” z „systemem wolności ekonomicznych”, to faktem jest, że liberalizm polityczny i ekonomiczny w dziejach nowożytnych wzajemnie się wspierały i umacniały. Historia zna jednak wiele przykładów z niedalekiej przeszłości i współcześnie, że wolny handel, wolna konkurencja i gospodarka rynkowa rozwijać się mogą w warunkach dalekich od respektowania praw i wolności obywatelskich (np. dyktatury wojskowe w Ameryce Łacińskiej czy na Dalekim Wschodzie w latach 60. i 70.; od ponad 20 lat rozwija się najbardziej dynamiczna wolnokonkurencyjna gospodarka rynkowa na świecie pod politycznym kierownictwem Komunistycznej Partii Chin Ludowych).

Przytoczone przykłady uzasadniania „projektu liberalnego” są dobrą ilustracją tego, co mam na myśli pisząc o „problemie adekwatności projektu liberalnego”. Chodzi tu o trudności natury metodologicznej związane z możliwością racjonalnego uzasadnienia prawdziwości i adekwatności liberalno-demokratycznych zasad organizacji życia społecznego. Nieudane próby „ekonomicznej interpretacji” politycznych ideałów wolności, równości i demokracji spowodowały, że sferę wolności politycznych i związanych z nimi liberalnych rozwiązań instytucjonalno-prawnych zaczęto traktować w kręgu liberalnych myślicieli jako samoistną sferę powinności (prawa państwowego i prywatnego), mającą wprawdzie wpływ na życie gospodarcze, ale całkowicie od niego niezależną. Jeśli sfera powinności, zasad funkcjonowania państwa i prawa jest bytem samoistnym, to do rozstrzygnięcia pozostaje kwestia: dlaczego wolny w swych wyborach człowiek stojąc w obliczu konfliktu pomiędzy liberalnymi i antyliberalnymi rozwiązaniami prawno-instytucjonalnymi winien opowiedzieć się po stronie ideologii i polityki wolności? Rajmund Aron, kolejny wybitny przedstawiciel myśli liberalnej XX wieku, przyznając że „projekt liberalny” ma poważne pro-

blemy z racjonalnym uzasadnieniem swej adekwatności, odpowiadając na powyższe pytanie głosił, że: „W instytucje liberalne można tylko wierzyć. Fundamentem tej wiary są raczej uczucia niż fakty”. (Aron 1992, s. 318). Jeśli mamy wolność wyboru takiego systemu zasad organizacji życia społecznego, który jest zgodny z naszymi uczuciami to w zasadzie każdy system jest dobry. Odwołując się do uczuć religijnych współczesny fundamentalista islamski wierzy w Allacha, szariat i zorganizowane na jego podstawie państwo islamskie. Współczesny polityk polski z szeroko pojętego obozu zjednoczonej prawicy wierzy w Boga, powszechny Kościół katolicki oraz głoszone przez niego prawdy wiary leżące u podstaw chrześcijańskiej etyki i doktryny społecznej, i marzy mu się „Katolickie Państwo Narodu Polskiego”.

Uznanie sfery powinności, funkcjonowania demokratycznego państwa prawa za samoistny byt ma jeszcze inne niezwykle ważne konsekwencje dla pojmowania istoty „projektu liberalnego”. W jego analizie na czoło wysuwane są **kwestie prawno-proceduralne funkcjonowania instytucji liberalnych**. Występujące tu kolizje i sprzeczności w realizacji prawa, w funkcjonowaniu poszczególnych organów władzy państwowej traktowane są jako rezultat niedoskonałości czy też braku koherentności prawa i wdrażanych rozwiązań organizacyjnych (niedoskonałości instytucji liberalnych). Nad usuwaniem tych niedoskonałości czuwać mają niezależni i apolityczni prawnicy, których zadaniem jest dbanie o spójność i koherentność całego systemu prawa poprzez doprowadzanie go (na drodze interpretacji prawniczej) do zgodności z zasadami konstytucji, traktowanymi jako naczelne zasady prawa. Stąd rodzą się fałszywe przekonania o prymacie prawa w stosunku do polityki (zwane też iluzjami prawniczymi), w których prawne gwarancje wolności, równości i sprawiedliwości społecznej prezentuje się jako ich urzeczywistnienie.

Antynomie wartości: wolność, równość, sprawiedliwość

Alexis de Tocqueville był jednym z pierwszych teoretyków demokracji, który w oparciu o gruntowne badania empiryczne doszedł do wniosku, że konflikt między wolnością i równością należy do fundamentalnych konfliktów każdej demokracji. (Tocqueville 1976, s. 369-482.). Śledząc rozwiązania prawno-ustrojowe, które wówczas obowiązywały w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i na kontynencie europejskim, zwłaszcza we Francji i Anglii, zauważył że konflikt ten może znaleźć rozwiązanie zarówno w „ustroju niedemokratycznego liberalizmu” jak i „nieliberalnej demokracji”. W pierwszym przypadku liberalizm ekonomiczny łączy się z reguły z politycznym despotyzmem. W drugim – w imię ochrony równych możliwości dostępu do władzy, bogactwa, wiedzy i prestiżu stwarza się bariery prawno-instytucjonalne dla niczym nie ograniczonej wolności, zwłaszcza ekonomicznej.

Każde z tych rozwiązań, zdaniem Tocqueville’a, jeśli jest realizowane w sposób konsekwentny, prowadzi do samozaprzeczenia. Polityczny despotyzm prowadzi w końcu do likwidacji wolności w ogóle, w tym wolności ekonomicznej. Skrajny zaś egalitaryzm zagraża nie tylko wolności, ale na dłuższą metę prowadzi też do likwidacji równości. Późniejsze doświadczenia historyczne w całej rozciągłości potwierdziły te konstatacje teore-

tyczne autora *O demokracji w Ameryce*. Jak zatem zachować wolność w warunkach równości? Jak pogodzić nieuchronny ruch ku równości z wolnością? Oto dylematy, przed którymi stoi każdy „projekt liberalny”.

Problematyka równych możliwości w warunkach wolności przewija się również w twórczości innego współczesnego Tocqueville’owi teoretyka demokracji – Johna St. Milla, zwłaszcza w jego publicystyce społecznej. Równe możliwości w dostępie do bogactwa, kultury i władzy, to dla autora *O wolności* warunek niezbędny praktycznej realizacji prawa każdej jednostki do uznania swej odrębności i samorealizacji, która jest wolnością. Na gruncie takiego rozumienia wolności uprawnione stają się pytania: Czy człowiek może się realizować pozostając bez pracy? Czy każda praca umożliwia samorealizację człowieka? Czy można mówić o wolności w warunkach nieograniczonej konkurencji, w której zawsze w końcu zwycięża najsilniejszy? Czy wolność w stosunkach między sprzedającym swoją siłę roboczą pracownikiem a kupującym ją właścicielem kapitału, nie jest przypadkiem czystą fikcją, jeśli sytuacja rynkowa nie zostawia temu pierwszemu żadnego wyboru? Są to pytania nie tylko o praktyczny sens wolności, ale również o sens sprawiedliwości, których związek z równością możliwości był dla Milla oczywisty. (Mill 1959.).

Dla Fryderyka Hayeka (Hayek 1982, cz. IX.) sprawiedliwość to pojęcie pozbawione sensu, bowiem w społeczeństwie wolnej konkurencji prędzej czy później musi się przegrać. A bez wolnej konkurencji nie ma demokracji. W społeczeństwie wolności (ekonomicznej i politycznej) człowiek jest, zdaniem Hayeka, panem swego losu: swą pracą i inicjatywą decyduje o własnym dobrobycie, wrzucając kartkę do urny decyduje o kształcie prawa i instytucji, stojących na straży jego praw i wolności. Jeśli przegrywa w tej ekonomicznej i politycznej konkurencji, to znaczy, że sobie na to zasłużył.

Współcześni kontynuatorzy Milla dowodzą jednak, że wolność wszystkich może być przez to tylko ubezpieczona, gdy państwo bierze w obronę słabszego, który jest słaby nie dlatego, że sobie na to zasłużył, lecz dlatego, że znalazł się w takich a nie innych dyskryminujących go układach społeczno-ekonomicznych, niezależnie od jego własnej woli. Państwo musi więc wziąć na siebie konstytucyjny obowiązek zabezpieczenia prawa każdego człowieka do dostępu do minimalnego zasobu dóbr (materialnych i duchowych) umożliwiających mu zachowanie godności ludzkiej.

Współcześni zwolennicy Hayeka uważają, że państwo w ogóle nie powinno ingerować w „poprawianie” nieodłącznych od wolności ekonomicznej nierówności, zwłaszcza wtedy, gdy nierówności te prowadzą do maksymalizacji zbiorowego dobrobytu, z którego korzystają też ludzie ubodzy. Nie państwo, lecz oparta na indywidualnej wolności ekonomiczna kalkulacja winna decydować o skali tego ubóstwa. Troska państwa o „zasłużenie przegranych i pokrzywdzonych” powinna polegać przede wszystkim na wspieraniu najbardziej produktywnych. Pokrzywdzonymi winni zająć się filantropi i instytucje charytatywne. „Maksymalizacja zbiorowego dobrobytu” w warunkach niczym nie ograniczonej wolności ekonomicznej – to jedyna droga do „minimalizacji cierpień zasłużenie pokrzywdzonych” w walce o zdobycie i efektywne wykorzystanie rzadkich zasobów. Logika tego rozumowania legła u podstaw konstrukcji „planu Balcerowicza”, a jego

współautor do dziś powtarza jak mantrę wynikające z niej postulaty: „niskich podatków dla najbardziej produktywnych” (i regresywnego systemu podatkowego w ogóle, sprzyjającego pomnażaniu bogactwa najbogatszym), „kapitalizacji składek emerytalnych” (uzależniających poziom zabezpieczeń społecznych od wolnej gry sił rynkowych), „elastyczności rynku pracy” (w tym akceptacja „śmieciówek” oraz sprzeciw wobec podwyżek minimalnych wynagrodzeń), znaczącej redukcji wydatków socjalnych państwa). (por. Woś 2014.).

John Rawls wbrew Hayekowi uznaje za uzasadnione posługiwanie się pojęciem „sprawiedliwość”. Znaczy ona dla niego dwie rzeczy: (1) równość wobec prawa i równe uczestnictwo w życiu publicznym oraz (2) taką nierówność w dostępie do dóbr, która maksymalizuje poprawę losów najniezwyklejszych. (Rawls 1994, s.28, 208-224.). To co łączy tę formułę ze stanowiskiem Hayeka i jego zwolenników, to założenie, że tylko w warunkach wolnego rynku i wolnej konkurencji możliwa jest poprawa losu „zasłużenie przegranych”. O ile Hayek stawia wyłącznie na wygranych, to Rawls usprawiedliwia tylko taką wygraną, która poprawia sytuację przegranych. W formule „minimalizacji cierpień” Hayeka zakłada się pewien automatyzm związku pomiędzy bogactwem bogatych a poprawą położenia biednych. Formuła ta określana bywa mianem „teorii skapywania”: bogaci wprawdzie się bogacą ale jednocześnie pomnażają bogactwo narodowe, które przynajmniej w części trafia („kapie”) do biednych. Rawls wyklucza taki automatyzm i postuluje ingerencję państwa w proces bogacenia się jeśli nie towarzyszy mu poprawa losu najuboższych (Rawls 1994, s. 356-456.).

Rozum przeciw wartościom

Rawls ma oczywiście rację, że „maksymalizacja dobrobytu zbiorowego” nie pociąga za sobą automatycznie „minimalizacji zbiorowego niedostatku i nędzy”, a tym samym „minimalizacji cierpień społecznych”. Nie ma bowiem między tymi ekstremami żadnego związku logicznego. Empirycznie natomiast „maksymalizacja zbiorowego dobrobytu” nie wyklucza wcale możliwości ograniczania ilości ludzi korzystających z tego bogactwa, a tym samym powiększania obszaru nędzy. Innymi słowy, „teoria skapywania” nie działa. Konieczna jest, zgodnie z logiką rozumowania Rawlsa, „państwowa korekta” procesu bogacenia się bogatych, umożliwiająca szybsze niż wzrost bogactwa najbogatszych wychodzenie z nędzy ubogich. Co więcej, konsekwentne stosowanie w praktyce optymalizacyjnych metod w celu pogodzenia jednocześnie dążeń do wolności i równości przynosi z reguły skutki odwrotne od zamierzonych – jeszcze większe nierówności uniemożliwiające samorealizację człowieka, która, jak słusznie podkreślał Mill, jest wolnością.

Przykładem tego, jakie skutki społeczne może przynieść realizacja owych „optymalizacyjnych formuł” w skali globalnej, jest logika rozumowania ekonomicznego głównego ekonomisty Banku Światowego (w latach 1991-1996), Lawrence’a Summersa, w kwestii „transferu brudnych technologii” z krajów bogatych (wysoko rozwiniętych) do krajów biednych (rozwickających się). W notatce służbowej, która przedostała się na łamy prasy światowej (pisała o tym „Gazeta Wyborcza”, nr 42, 1992), Summers przekonywał swych najbliższych współpracowników do rachunku ekonomicz-

nego, z którego wynika, że wzrost dobrobytu świata pozostaje w ścisłym związku z intensyfikacją transferu brudnych technologii do krajów słabo rozwiniętych.

A oto podstawowe elementy tego optymalizacyjnego rozumowania.

Wysokość kosztów zanieczyszczeń szkodliwych dla zdrowia zależy od dochodów utraconych wskutek wzrostu zachorowań i śmiertelności. Dlatego też zanieczyszczenia te należy przenieść do kraju o najniższym poziomie płac. Mówiąc inaczej, według Summersa śmierć taniej siły roboczej w krajach słabo rozwiniętych, spowodowana inwazją toksycznych odpadów i napływem szkodliwych technologii, przynosi mniejsze straty w globalnym rachunku korzyści i strat niż odpowiedni wzrost zachorowań i śmiertelności wysoko opłacanej siły roboczej w krajach wysoko rozwiniętych.

Koszty zanieczyszczenia środowiska rosną nieliniowo – z początku są bardzo niskie. Kraje słabo rozwinięte są również mniej zanieczyszczone. W związku z tym obrót odpadami i zanieczyszczeniami oraz transfer brudnych technologii do tych krajów przyczyniłby się do obniżki globalnych kosztów pomnażania dobrobytu.

Popyt na czyste środowisko wynikający z potrzeb estetycznych i zdrowotnych ma z reguły wysoką dochodową elastyczność. Ta zaś jest cechą krajów o wysokich dochodach. Zaspokojenie tego popytu, a tym samym wzrost dobrobytu wymaga więc przeniesienia wszelkich odpadów, śmieci i brudnych technologii do krajów o niskich dochodach.

Ten „rachunek życia i śmierci” spotkał się z moralnym oburzeniem i potępieniem w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej (ubogich, nadmiernie zadłużonych i słabo rozwiniętych), jako wyraz bezduszości światowej technokracji. Zwolennicy „optymalizacyjnych metod” rozwiązywania problemów bogactwa i nędzy w świecie argumentują: Czyż można się obrażać na to, że $2 \times 2 = 4$? Rachunek Summersa pokazuje też, że w warunkach głębokich nierówności ekonomicznych i społecznych bogaci stają się bogatsi, zdrowsi i piękniejsi, a życie biednych przez to jest nadal nędzne, zagrożone utratą zdrowia i przedwczesną śmiercią. Rachunek ten jest też kolejnym dowodem na to, że „teoria skapywania” nie działa. „Maksymalizacja zbiorowego dobrobytu” nie występuje w parze z „minimalizacją cierpień” tych, którym w warunkach wolności ekonomicznej nie powiodło się. Z rachunkiem tym jest jak z nożem: w rękach bandyty służy do zabijania, w rękach rzeźnika – do krojenia polędwicy. Gdy jednak nie ma polędwicy, niepotrzebny jest też nóż, nie mówiąc o takich „drobiazgach” jak równość praw czy też równe uczestnictwo w życiu publicznym.

Nadmierne nierówności w dostępie do dóbr materialnych i duchowych skutkujących nierównym uczestnictwem w życiu publicznym występują również w wysoko rozwiniętych krajach, czego przykładem są Stany Zjednoczone, o których można poczytać w książce kolegi Summersa (po fachu i miejscu pracy: w latach 1999-2001 obaj byli w administracji Billa Clintona) Josepha E. Stiglitz. (Stiglitz 2015.). „Jedną z najmniejszych stron gospodarki rynkowej, jakie wyszły na światło dzienne, są wielkie i wciąż powiększające się nierówności, które naruszyły strukturę społeczną Ameryki i zachwiały jej równowagę gospodarczą” – pisze były urzędnik MFV oraz doradca ekonomiczny prezy-

denta USA. (Stiglitz 2015, s. 64.). Bogaci w Stanach Zjednoczonych „coraz bardziej się bogacą, najbogatsi z bogatych bogacą się jeszcze bardziej, ubodzy coraz bardziej ubożają i jest ich coraz więcej” (s. 75.). W rezultacie „najzamożniejszy 1 procent posiada ponad jedną trzecią majątku narodowego”. (s. 67-68.). Tak głębokie nierówności, zdaniem laureata Nagrody Nobla w ekonomii, destabilizują zarówno gospodarkę jak i jeden z najstarszych w świecie systemów demokracji konstytucyjnej, co znajduje wyraz w:

– przekształceniu „rządów ludu przez lud i dla ludu” (Lincoln) w „rządy 1 procentu, przez 1 procent dla 1 procentu”;

– przekształceniu demokratycznej zasady wyboru „jeden człowiek jeden głos” w zasadę „jeden dolar jeden głos”;

– funkcjonującym „mechanizmie drzwi obrotowych” umożliwiającym płynny przepływ kadr z Wall Street do administracji państwowej i z powrotem;

– faworyzującym 1 procent najbogatszych procesie tworzenia i egzekwowania prawa: od regulacji prawnych stosunków własności, poprzez korzystny dla najbogatszych system opodatkowania a na regulacji stosunków pracy faworyzujących korporacje kończąc;

– faworyzującym najbogatszych systemie sądowniczym: rozstrzyganie spraw na ich korzyść, ograniczanie dostępu biednych do sądów poprzez podnoszenie „kosztów dostępu” (jedną z głównych przyczyn wysokich kosztów dostępu jest dość powszechna praktyka odwlekania wyroków);

– korzystaniu z możliwości urabiania korzystnej dla bogatych opinii publicznej przez należące do nich media.

Rezultat tych zmian jest taki, że „Stany Zjednoczone mają rząd reprezentujący 1 procent społeczeństwa, kształtowany przez 1 procent i na jego rzecz działający”. (Stiglitz 2015, s. 201.). Dzieje się tak, mimo że nadal obowiązuje konstytucja USA oraz jej 27 poprawek gwarantujących prawa i wolności obywatelskie, równy dostęp do władzy publicznej, trójpodział władz oraz kontrolę sądową procesu stanowienia i realizacji prawa. Sąd Najwyższy dba, by regulacje prawne – te federalne i te na szczeblu stanowym były zgodne z konstytucją. Jaki więc ustrój panuje w Stanach Zjednoczonych? „Oligarchicznej demokracji” jak wynika z analiz Stiglitz, czy też „liberalnej demokracji”, na co wskazują formalno-prawne zasady amerykańskiej „demokracji konstytucyjnej”. Co jest decydujące w określeniu demokracji amerykańskiej? Jej cechy formalno-prawne, czy rzeczywista treść społeczno-ekonomiczna funkcjonowania władzy publicznej. Stiglitz w swej analizie koncentruje się na tym drugim aspekcie: bada związki między nadmiernymi nierównościami i ich wpływem na funkcjonowanie amerykańskiego systemu państwa i prawa.

Nawiązując do słynnej wypowiedzi Lincolna o „władzy ludu przez lud i dla ludu” sformułował proste pytanie: Do kogo należy dziś władza w USA, przez kogo i dla kogo jest sprawowana w warunkach nadmiernych nierówności w dostępie do dóbr materialnych i duchowych „ludu amerykańskiego”? I odpowiedział: „władza 1 procentu społeczeństwa amerykańskiego, sprawowana przez 1 procent i dla 1 procentu”. Swymi badaniami Stiglitz potwierdził też, że nic się nie zmieniło od czasu ustaleń Tocqueville’a w kwestii radzenia sobie demokracji amerykańskiej z fundamentalnym konfliktem między wolnością i równością.

Czego i kogo broni Trybunał Konstytucyjny (TK) w Polsce?

Pytanie to często pada w trwającym w naszym kraju konflikcie politycznym wokół ustrojowej pozycji Trybunału Konstytucyjnego (TK). Spór o TK jest dobrym przykładem tego, co wyżej nazwałem „prawno-proceduralnym podejściem do funkcjonowania instytucji demokratycznego państwa prawa”. Trybunał w tym sporze traktowany jest jako skażona polityką instytucja czystego prawa, zaś główni adwersarze oskarżają się wzajemnie o jego upolitycznienie. Bezpośrednim przedmiotem sporu są zmiany prawno-proceduralne wprowadzone przez rządzącą większość parlamentarną. Krytycy tych rozwiązań oskarżają ją o zamach na świątynię czystego prawa. Rządzący odpowiadają, że chcą jedynie pogonić z niej faryzeuszy. Spór dotyczy w szczególności: (1) powoływania i odwoływania sędziów TK (obecna większość sejmowa unieważniła wybór sędziów TK przez poprzednią większość, uznając go za nielegalny i dokonała ponownego wyboru sędziów; TK potwierdził legalność wyboru tylko trzech z pięciu wybranych sędziów w poprzedniej kadencji Sejmu), (2) przyjęcia przewidzianej prawem (konstytucją) przysięgi nowo wybranych sędziów przez prezydenta RP (prezydent przyjął przysięgę sędziów wybranych przez obecną większość parlamentarną i odmawia przyjęcia przysięgi legalnie wybranych sędziów w poprzedniej kadencji Sejmu – wbrew napomnieniom TK) oraz (3) nowelizacji ustawy o TK dokonanej przez większość parlamentarną zmieniającą obowiązujące dotychczas zasady orzekania (rozprawy muszą być wyznaczane według kolejności wpływu do TK, co do zasady TK ma orzekać w pełnym składzie a orzeczenia muszą zapadać większością 2/3 głosów).

To są „dobre zmiany”, powiada rządząca większość, idące w kierunku doskonalenia składu i zasad funkcjonowania TK. To są „złe zmiany”, powiada opozycja i wtórujący jej publicyści i prawnicy, zmierzające do paraliżu działania Trybunału i destrukcji ładu konstytucyjnego w Polsce. Paraliżując TK i dokonując wyboru własnych sędziów rządzący, powiadają ich oponenci, chcą podporządkować prawo polityce (własnej polityce). Rządzący odbijają piłeczkę, zarzucając większości parlamentarnej poprzedniej kadencji Sejmu upolitycznienie Trybunału przez wybór własnych sędziów i przekształcenie go w organ stojący na straży partyjnych interesów i broniący skorumpowane układy.

W świetle tego co napisałem wyżej na temat „iluzji prawniczych” związanych z przeciwstawieniem prawa i polityki, spór o TK jest w zasadzie sporem pozornym i nie dotyczy rzeczywistej natury politycznej tej instytucji.

Obie strony konfliktu problem upolitycznienia Trybunału sprowadzają do tego, jak on działa, kto w nim orzeka i jakie ma poglądy. Nie ulega wątpliwości, że zasady organizacji prac Trybunału są ważne z punktu widzenia skuteczności i efektywności jego funkcjonowania. Same zasady organizacji nie decydują jednak o „polityczności” czy „apolityczności” tej instytucji. Ewentualny „paraliż organizacyjny” można usunąć na drodze zmian czysto organizacyjnych. Nie ulega też wątpliwości, że poglądy polityczne sędziów, ich światopogląd mają wpływ na treść i kierunki orzecznictwa. Ale tak się dzieje w systemach władzy sądowniczej we wszystkich demokracjach konstytucyjnych na świecie. Nikt tam jednak nie podważa pozycji ustrojowej sędziów i nie łączy bezpośred-

nio treści ich orzecznictwa wyłącznie z ich poglądami. W ocenie tych treści nie mniej ważne, jeśli nie najważniejsze jest to, o czym się orzeka i w czyim interesie.

Koncentrując swą uwagę na tym „jak działa Trybunał”, jakie są wewnętrzne zasady organizacji pracy”, „kto w nim pracuje” i „jakie ma poglądy” strony konfliktu wokół TK pomijają, świadomie lub nie, to co rzeczywiście decyduje o jego politycznej istocie, a mianowicie: (1) jego pozycja ustrojowa określona w obowiązującej konstytucji oraz (2) treść orzeczeń w kwestiach fundamentalnych dla ustroju politycznego („demokratycznego państwa prawa”) i społeczno-ekonomicznego („urzeczywistniającego zasady sprawiedliwości społecznej”) Rzeczypospolitej. (Art. 2 Konstytucji).

W pierwszym przypadku chodzi o to, że konstytucja, nadając orzeczeniom TK moc prawa powszechnie obowiązującego i ostatecznego (Art. 190), uczyniła z niego organ sądowej kontroli prawa, opowiadający się po jednej ze stron toczonych w parlamencie i poza nim politycznych sporów ustrojowych. I na tym właśnie polega jego polityczność. Tak rozumiana polityczność jest właściwa dla sądów wyższej instancji we wszystkich demokratycznych państwach prawa na świecie. Jak słusznie zauważył Jarosław Ładosz, zabierając głos w sporach o TK w latach 90.: „Postanowienia sądów najwyższej instancji są z reguły polityczne i ideologiczne w sposób wręcz jaskrawy, bowiem do sądów tych wpływają z reguły właśnie sprawy budzące spory o masowym charakterze w opinii publicznej, w orzecznictwie sądów niższych, dzielące wielkie grupy obywateli i wielkie grupy sędziów na szczeblu podstawowym”. (Ładosz 1995, s. 13.). Sprawy organizacyjne (wewnętrzne regulacje procesu orzekania) i personalne (kwalifikacje i poglądy sędziów) są ważne dla zrozumienia zasad funkcjonowania sądów najwyższych, nie da się jednak na ich podstawie określić politycznej treści i kierunków ich postanowień.

W przypadku polskiego sporu o TK, proponowane rozwiązania prawno-organizacyjne i personalne należałoby ocenić z punktu widzenia tego, jak sprawnie, z jakim skutkiem, w jakim kierunku, w jakim interesie i czy w ogóle ten organ sądowej kontroli prawa rozstrzyga ostatecznie polityczne spory ustrojowe w naszym kraju, opowiadając się tym samym po jednej ze stron tego sporu, czyli: czego i kogo broni TK? Odpowiadając na to pytanie warto rozważyć następujące dwie hipotezy:

(H1) TK, stojąc formalnie na straży konstytucyjności polskiego prawa, broni nieodwracalności procesów restauracji kapitalizmu w Polsce, tj. prawnych i społeczno-ekonomicznych skutków dokonanej w Polsce prywatyzacji i repywatyzacji majątku państwowego, spółdzielczego i komunalnego oraz deregulacji całej gospodarki. (H2) TK poprzez swe orzecznictwo dotyczące relacji państwo-Kościół, przyczynia się do pomnażania majątku kościoła katolickiego w Polsce, katechizacji młodzieży w państwowym systemie edukacji oraz stałej i wciąż rosnącej jego obecności w instytucjach „demokratycznego państwa prawa”, finansowanej z pieniędzy publicznych, a tym samym chroni hegemonię Kościoła katolickiego w instytucjach państwa polskiego związanych z edukacją, wytwarzaniem i upowszechnianiem dóbr duchowych.

Szczegółowa analiza treści orzeczeń TK w sprawach ustrojowych przekracza ramy tego artykułu. Ogra-

niczę się do wskazania niektórych istotnych kierunków zmian ustrojowych aprobowanych przez Trybunał.

Dla uzasadnienia pierwszej hipotezy ważne jest orzecznictwo TK lub jego brak (milcząca akceptacja) w tak kluczowych kwestiach ustrojowych jak: zmiany w prawach własności, będących skutkiem realizacji ustaw o prywatyzacji i komercjalizacji przedsiębiorstw państwowych, likwidacji PGR-ów, związków spółdzielczych oraz roszczeń repriwatywacyjnych dotyczących zwrotu majątku lub wypłaty odszkodowań. Chodzi tu o dyskryminujące zapisy ustawowe dotyczące roszczeń wynikających z prawa własności państwowej, spółdzielczej czy komunalnej.

Przykładem takich zapisów były dyskryminujące przedsiębiorstwa państwowe, w stosunku do prywatnych, zasady opodatkowania: wyższa niż w sektorze prywatnym dywidenda od nieruchomości oraz podatek od ponadnormatywnych wynagrodzeń („popiwek”) obciążający wyłącznie sektor państwowy. Dyskryminujące pracowników byłych państwowych gospodarstw rolnych zapisy „ustawy o gospodarowaniu nieruchomościami rolnymi Skarbu Państwa”, ograniczające ich dostęp do ziemi i majątku likwidowanych PGR-ów (w tym należącej do gospodarstw rolnych infrastruktury socjalnej). Dyskryminujące sektor spółdzielczy, w stosunku do sektora prywatnego, zapisy ustawowe likwidujące związki spółdzielcze, a wraz z nimi dostęp do funduszy rozwojowych w warunkach radykalnego ograniczenia dostępu do kredytów komercyjnych spółdzielni w porównaniu z prywatnymi przedsiębiorcami. Brak reakcji TK na zapisy ustawy o NFI chroniące interesy prywatnych firm zarządzających sprzeczną z interesami Skarbu Państwa (chodzi o zasady wynagradzania tych firm bez związku z efektywnością gospodarowania majątkiem Skarbu Państwa oraz jego odnową technologiczną). Podkreślić też należy brak reakcji TK na łamanie prawa towarzyszące prywatyzacji w ramach NFI. (O skali strat Skarbu Państwa oraz społecznych skutkach prywatyzacji po przez NFI pisałem w poprzednim numerze „Zdania”, nr 3-4, 2015.). Orzeczenia TK, dotyczące sporów pomiędzy roszczeniami wynikającymi z prawa własności państwowej, spółdzielczej czy komunalnej (np. w Krakowie, Warszawie czy Łodzi) a roszczeniami repriwatywacyjnymi (rozstrzyganie z reguły na korzyść byłych właścicieli). Podkreślić też należy brak reakcji TK na afery związane z prywatyzacją sektora bankowego (jedynie orzeczenie TK, stwierdzające niezgodność z konstytucją, dotyczyło wezwania na przesłuchanie przed Sejmową Komisję Śledczą ds. Banków i Nadzoru Bankowego byłego wicepremiera i ministra finansów Leszka Balcerowicza oraz bankowca Wojciecha Kostrzewy.).

Na koniec trzeba wspomnieć o panującym w Polsce regresywnym systemie podatkowym preferującym pomnażanie bogactwa przez najbogatszych, o czym TK również milczy (jedynie orzeczenie dotyczyło wysokości kwoty wolnej od opodatkowania), a otrzymamy obraz „Trybunału niesprawiedliwości”, który po przez ingerencje prawne bądź ich brak stoi na straży prawa łamiącego fundamentalne zasady ustrojowe demokratycznego państwa prawa – „zasady sprawiedliwości społecznej” (Art. 2 Konstytucji).

Na potwierdzenie prawdziwości drugiej z hipotez wystarczy tylko wspomnieć o orzeczeniach TK dotyczących: wprowadzenia za pomocą instrukcji we-

wewnętrznej urzędnika państwowego (ministra) religii do szkół, wprowadzenie za pomocą rozporządzenia tegoż ministra katechetów do rad pedagogicznych i ocen z religii na świadectwo szkolne, wynagradzania nauczycieli religii ze środków publicznych za realizację programu ustalanego i egzekwowanego poza państwowym systemem edukacji, „ochrony życia od chwili poczęcia”, „ochrony wartości chrześcijańskich”, karalności za „obrazę uczuć religijnych”, „klauzuli sumienia” i wreszcie w sprawach najistotniejszych dla Kościoła katolickiego – sprawach majątkowych (zwrotu majątków skonfiskowanych przez zaborców, obdarowania Kościoła katolickiego nieruchomościami kościelnymi na Ziemiach Zachodnich i Północnych, prawomocności rozstrzygnięć Komisji Majątkowej oraz zasad finansowania szkolnictwa wyznaniowego). Rozstrzygając we wszystkich wymienionych kwestiach na rzecz interesów materialnych (pomnażanie majątku) i duchowych (prawna ochrona i wspieranie głoszonych poglądów i wartości religijnych, etycznych i społecznych) Kościoła katolickiego w Polsce, Trybunał Konstytucyjny z instytucji broniącej konstytucyjnych praw i wolności obywatelskich oraz neutralności światopoglądowej państwa stał się „Trybunałem Kościelnym”.

Określenia „Trybunał niesprawiedliwości” czy „Trybunał Kościelny” wskazują na polityczną treść i kierunek orzeczeń związanych ze sprawami ustrojowymi, od których abstrahują główne strony konfliktu o TK, maskując w ten sposób jego prawdziwą polityczną naturę. Dlatego właśnie spór ten nazwałem pozornym, toczonym zresztą w „rodzinie postsolidarnościowej”, która w pełni akceptuje główny kierunek rozstrzygnięć ustrojowych Trybunału Konstytucyjnego, o których mowa w wyżej sformułowanych hipotezach.

WŁODZIMIERZ LUTY

Źródła:

- Aron, R. (1992): *Widz czy uczestnik*, Czytelnik, Warszawa.
 Balcerowicz, L. (2012): *Odkrywając wolność*, Zys i S-ka, Poznań.
 Friedman, M. i R. (1994): *Wolny wybór*, PANTA, Sosnowiec.
 Gray, J. (1994): *Liberalizm*, Znak, Kraków.
 Hayek, A. (1982): *Droga do niewoli*, Spółka Białek i Kuźniak, Londyn.
 Ładosz, J. (1995): *Sąd kasujący i dyktujący parlamentowi ich wykładnię*, „Opinie krytyczne”. Pismo lewicy, nr 1 (9), Warszawa oraz www.smp.edu.pl
 Manet, P. (1994): *Intelektualna historia liberalizmu*, ARCANA, Kraków.
 Mill, J.S. (1959): *Utylitaryzm. O wolności*, PWN, Warszawa.
 Mises, L. (1990): *Liberalizm w klasycznej tradycji*, Spółka Białek i Kuźniak, Wrocław.
 Popper, K. (1987): *Spółeczeństwo otwarte i jego wrogowie*, Vol 2, NOW, Warszawa.
 Rawls, J. (1994): *Teoria sprawiedliwości*, PWN, Warszawa.
 Stiglitz, J.E. (2015): *Cena nierówności*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa.
 Smith, A. (1954): *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*, PWN, Warszawa
 Tocqueville de, A. (1976): *O demokracji w Ameryce*, PIW, Warszawa.
 Woś, R. (2014): *Dziecięca choroba liberalizmu*, Studio EMKA, Warszawa.

JAN SZMYD

UNIWERSYTET W SPOŁECZEŃSTWIE RYNKOWYM

Zmiana

Rozwój uniwersytetu współczesnego – globalnie i statystycznie ujmowanego – jest bardzo złożony i niejednoznaczny, a w związku z tym w dużej mierze sporny. W pewnych swych składnikach i obszarach, takich np. jak infrastruktura uniwersytecka, materiałowe i techniczne wyposażenie, miejsca i zabudowa kampusów, baza lokalowa i laboratoryjna, systemy organizacyjne i strukturalne, zarządzanie i administrowanie, środki finansowe i gospodarcze zachodzi istotny i niewątpliwy, „gołym okiem” nawet dostrzegalny i nierzadko – jak w większości krajów bogatych i cywilizacyjnie przodujących – imponujący czy wręcz spektakularny, wysoce zadziwiający postęp i rozmach rozwojowy.

W innych zaś jego wymiarach i „obliczach”: mniej policzalnych i namacalnie uchwytnych, zewnętrznie niepostrzegalnych i ekonomicznie niekalkulacyjnych, czyli swoście imporabilnych, tzn. pojęciowo i cyfrowo nieuchwytnych, ekonomicznie i finansowo bezprzedmiotowych, a dla „esencjalności uniwersyteckiej”, jego istoty i „duszy” najważniejszych, dostrzegalny jest jednak wyraźny regres, pewien rozpad, a w każdym razie większa lub mniejsza deformacja. Chodzi o zanik lub o znaczne osłabienie przypominanych wyżej atrybutywnych cech uniwersytetu właściwego, klasycznego, tradycyjnego, z jego ogólnym i zarazem swoistym profilem kształcenia, twórczą i niezawisłą postawą badawczą; traktowaniem nauki i bezinteresownej wiedzy jako autotelicznych wartości, pietystycznym kultem racjonalności i prawdy obiektywnej wolności i niezależności badawczej, rzetelności i nieskazitelności postaw moralnych, partnerskiego współdziałania „mistrza” z „żakiem”, z wysokim poczuciem służby publicznej i pro ludzkiej, odpowiedzialności i powinności społecznej uczonego i uczącego się; klimatem swoistej „odświętności” i „dostojeństwa” tej korporacyjnej instytucji (uniwersytet jako „świątynia nauki”, „świątynia prawdy”, miejsce „dostojnych” uczonych i uczących się).

Historyczna i współczesna przemiana uniwersytetu była więc – i nadal jest – w pewnej mierze dwutorowa i zarazem dwupłaszczyznowa; mówiąc ogólnie: przedmiotowa i materialna oraz podmiotowa i duchowa. W pierwszej z nich miała – i ma – poza kilkoma historycznymi etapami zastoju, a nawet pewnego (wcześnie okresy regresu nowożytności, epoka Napoleońska, I i II wojna światowa) imponujące osiągnięcia, w drugiej zaś daje się odnotować, już od czasów późnego średniowiecza (proces ten przedstawiał się i przedstawia różnie

w różnych krajach) tendencję regresywną czy wręcz destrukcyjną (w naszych czasach wyraźnie przyspieszoną). I do tej właśnie, gorszej a interesującej nas tu głównie tendencji w ogólnej przemianie uniwersytetu, odnosi się godne uwagi stwierdzenie jednego z wybitnych znawców dziejów uniwersytetu i jego *essentials affairs*: „dzieje uniwersytetów – czytamy – aczkolwiek bogate i piękne – nie są dziejami rozwoju tej instytucji i wzrostu jej znaczenia, lecz raczej kroniką przemian, w wyniku których treści i zasięg uniwersyteckiej działalności ulegały ograniczeniu i pomniejszeniu”.¹

I do tej kwestii odnosić też można wymowne i aktualne spostrzeżenie zawarte w przemówieniu noblowskim słynnego uczonego i wybitnego odkrywcy naukowego; ostrzeżenie o ogólniejszej i ostrzegawczej wymowie, oto ono: „Najtańszą i najbardziej opłacalną inwestycją jest bogacenie duchowe człowieka. Ale świat inwestuje w banki i korporacje. Jest to najbardziej dotkliwy dylemat naszych czasów. Nikt nie ma pomysłu jak wyjść z tego dylematu. Wychowanie stacza się jak po równi pochyłej, lecz nie jest to wina świata pedagogów. Doktryny edukacyjne płyną z centrów władzy. Świat współczesny ma dziś zbyt wielu „wychowawców”. Politycy, duchowni, establishment, mass media, prasa kształtują oblicze dzisiejszej edukacji. Pedagodzy mają niskie przebiecie społeczne. Stanowią coś w rodzaju „getta” samych dla siebie”.²

O bogacenie duchowe studentów coraz mniej troszczą się także i same uniwersytety. Większość z nich skupia się na edukacji zawodowo użytecznej i na podawaniu wiedzy specjalistycznej oraz – z większym czy mniejszym powodzeniem – na przeprowadzaniu badań naukowych i kształceniu młodej kadry naukowej, a nie na kształtowaniu intelektualnej i osobowościowej jakości człowieka, jego *paideji*. W większej lub mniejszej mierze przekształcają się one w lepsze lub gorsze wyższe szkoły zawodowe i ośrodki pracy badawczej oraz przysposabiania do niej młodych adeptów. Jedynie stosunkowo wąska elita uniwersytetów współczesnych, potwierdzana w okresowych rankingach jakości uniwersytetów (zaledwie kilkadziesiąt uniwersytetów na całym świecie) spełnia w znaczącej mierze wymogi uniwersytetu właściwego, klasycznego. Reszta konsekwentnie „roztopia się” „rozprasza” w szeroko pojętym modelu uczelnie zawodowej, a w pewnej mierze nawet w komercyjnej oraz gospodarczo funkcjonującej, z rynkiem ściśle sprzężonej, „firmy” edukacyjne, z wszystkimi problemami i mechanizmami

funkcjonowania takiego rodzaju „firm”, ze znanymi ich cechami i właściwościami, kłopotami i trudnościami rozwojowymi.

Zmiany te poprzedzone były swoistą „parcelacją” obszaru działania tradycyjnych uniwersytetów, tzn. „odcinaniem” z obszaru ich działania określonych kierunków kształcenia i pracy badawczej, np. w zakresie medycyny, nauk ekonomicznych, rolniczych, pedagogicznych, psychologicznych i powierzenie ich pozauniwersyteckim uczelniom, takim jak akademie i „uniwersytety przedmiotowe” medyczne, ekonomiczne, rolnicze, pedagogiczne, sztuk plastycznych, oraz wyższe szkoły społecznych, psychologicznych, biznesu, organizacji i zarządzania itp. Proces ten, dokonujący się już od kilkunastu dziesięcioleci, nie tylko uszczuplał stopniowo obszar edukacyjnej i naukowej działalności uniwersytetów, pomniejszał i modyfikował ich struktury wewnętrzne, ale też – i przede wszystkim – zasadniczo zmieniał ich właściwy, pierwotny charakter, „powszechnych siedlisk wiedzy i mądrości”, ośrodków „wszechnauk” i wielostronnego kształtowania „jakości” człowieka i możliwie najlepszego przysposabiania go do wypełniania najważniejszych ról społecznych i ogólnoludzkich.

W dalszej konsekwencji proces ten wpłynął na „rozmycie”, zniekształcenie, utratę jednoznaczności i właściwego sensu pojęcia „uniwersytetu” czy „uniwersyteckości”, na wprowadzenie w obieg dyskursu edukacyjnego różnych, najczęściej mylnych i nieuprawnionych, dowolnych i niewłaściwych pojmowań owych pojęć. Co ewidentnie ujawnia się w takich określeniach (nazwach konkretnych uczelni), jak „uniwersytet medyczny”, „uniwersytet ekonomiczny”, „uniwersytet rolniczy” czy „uniwersytet pedagogiczny”, nie mówiąc już o „uniwersytecie technicznym”, „uniwersytecie muzycznym”, „uniwersytecie malarstwa” lub „uniwersytecie sztuk użytkowych” (za mylne i nieuprawnione uznać też można takie obiegowe nazwy jak „uniwersytet ludowy”, „uniwersytet robotniczy”, „uniwersytet trzeciego wieku” itp.). Owa wieloznaczność i niedookreśloność, a zarazem dowolność i przypadkowość we współczesnym użytkowaniu słowa „uniwersytet” jest wymownym wyrazem omówionej wyżej historycznej deformacji uniwersytetu jako takiego i pospolitego zamętu w pojmowaniu oraz praktycznym traktowaniu właściwego sensu oraz swobodnego ducha historycznie ściśle określonego, aksjologicznie wzniesłego pojęcia „uniwersyteckości”.

Uniwersytet a cywilizacja naukowo-techniczna – uzależnienia

Można stwierdzić, że cywilizacja naukowo-techniczna i informatyczna nie stwarza sprzyjających warunków dla dalszego istnienia i funkcjonowania uniwersytetu we właściwym, klasycznym rozumieniu tej jedynej w swoim rodzaju i naukowo-edukacyjnie wysoce płodnej instytucji. Wypowiadane coraz częściej przez wybitnych przedstawicieli świata nauki i myśli twórczej opinie o zmierzchu, a nawet o „śmierci” prawdziwego, autentycznego uniwersytetu, o postępującym uwiąznięciu różnych jego „resztek” w niektórych sławnych i bogatych w piękną tradycję uniwersytetach świata są, niestety, w znacznej mierze zasadne i wsparte licznymi faktami. Przede wszystkim zauważyć daje się, że większość uniwersytetów współczesnych, w tym uniwersytetów polskich, „zlewa się” tracąc swą specyfikę swoistą „jedność” i tożsamość,

w wielki „nowoczesny”, nazbyt zunifikowany, biurokratyzowany i skomercjalizowany system szkolnictwa wyższego globalizującego się świata. Uniwersytet stając się integralnym ogniwem tego systemu jedną z typowych uczelni wyższych, przeważnie o zdecydowanym nachyleniu zawodowym i ekonomiczno-rynkowym, dzieli z nim jego liczne wady i zalety, sukcesy i porażki, różnorakie deformacje i schorzenia.

Na tym miejscu skupmy się głównie na gorszej stronie uniwersytetu współczesnego, (uniwersytetu o utraconym „obliczu własnym”), zwłaszcza na jego głównych, aktualnie podnoszonych w nasilającej się dyskusji o szkolnictwie wyższym, deformacjach i ułomnościach, zahamowaniach i barierach rozwojowych. Zdiagnozujemy wstępnie negatywny stan rzeczy i wskażemy na niektóre dające się wstępnie określić i roboczo scharakteryzować, remedia.

Otóż sferę narastających deformacji i „wypaczeń” obecnego szkolnictwa wyższego, w tym funkcjonujących aktualnie uniwersytetów, można – na przykładzie naszego kraju – uszeregować następująco: deformacje i „wypaczenia” organizacyjno-funkcjonalne, kadrowe i personalne, dydaktyczno-wychowawcze, naukowo-badawcze oraz systemowo-strukturalne.

Oczywiście nasilenie i przejawy tych – jak się okazuje – stosunkowo licznych i różnorodnych negatywnych stron życia i funkcjonowania szkół wyższych, jest w poszczególnych krajach i uczelniach zróżnicowane i przybiera w nich swoiste, lokalne zabarwienie. Większość z nich jednak w większym lub mniejszym stopniu ujawnia się niemal we wszystkich krajach naszego kręgu cywilizacyjnego i prawie w każdej uczelni. Co, oczywiście, nie wyklucza jej najlepszego świadectwa; nie poświadcza przede wszystkim akademickiej zdrowotności uczelni i nie wpływa dodatnio na ich prestiż i działalność oraz na właściwe wypełnianie przynależnych im ról społecznych, edukacyjnych, naukowych i wychowawczych.

Główne deformacje i nieprawidłowości

Przejdźmy do ogólnego przeglądu wyróżnionych wyżej deformacji i nieprawidłowości w funkcjonowaniu obecnym uczelni.

Do pierwszego typu tych negatywnych, a w każdym razie poważnie utrudniających nieskrępowany rozwój szkół wyższych jako akademickich ośrodków kształcenia na poziomie wyższym, twórczego uprawiania nauki i jej upowszechniania, wychowania i kształtowania intelektualnej i osobowej jakości człowieka oraz możliwie skutecznego przysposabiania go do umiejętnego i efektywnego wypełniania określonych ról społecznych i zawodowych przede wszystkim zaliczyć należy daleko idące podporządkowanie ich zasadom i regułom ekonomicznym, ostrym rygorom rachunku ekonomicznego i bilansowania finansowego „kosztów” działalności. W polskich warunkach gospodarczych, a także w sytuacji gospodarczej większości tzw. krajów rozwijających się oznacza to m. in. chroniczne niedofinansowanie ich działalności, skutkujące różnymi, zwykle ze ściśle akademickiego punktu widzenia nieuzasadnionymi i niekorzystnymi „cięciami” kosztów i nieracjonalnymi ograniczeniami działalności naukowej i dydaktyczno-wychowawczej. (Mowa tu o narzuconym uczelniom przez system ekonomiczny nieharmonizującego z nimi, obcemu im i niesprzyjającemu „naturalnemu” funkcjonowaniu i rozwojowi, „fundamentu

aksjologicznego”: nieodpowiedniej w obszarze ich przewodnich celów i praktycznego działania hierarchii wartości; hierarchii uprzywilejowanej wartości „niższe”, instrumentalne, pragmatyczne, użytkowe, kosztem wartości „wyższych” autotelicznych, samych w sobie).

Narzucony uczelniom i niemal całemu szkolnictwu bezwzględny „ekonomizm” czyni je „firmami”, „zakładami pracy”, czyli czyni tym, czym być nie powinny, co je zasadniczo zniekształca i deformuje, a w rezultacie osłabia, ogranicza i ujednolaccia ich właściwe funkcje i pomniejsza efekty działalności. A nadto, że z przymusu ekonomiczno-rynkowego „firmy” edukacyjno-naukowe są dość często źle zarządzane, bo nierzadko są prowadzone przez osoby w zarządzaniu nie dość kompetentne i nie dość umiejętne, tzn. przez „nauczycieli akademickich”, profesorów „uczelnianych” lub „zwyczajnych”, docentów i adiunktów.

Pewnie nie ma większej przesady w opinii dotyczącej tego problemu; opinii nie odosobnionej, opinii wnikliwego obserwatora i autentycznego znawcy omawianego tu kłopotu. Oto ona: „obecny reżim ekonomiczny nakłada na każdą jednostkę akademicką (...) obowiązek bilansowania się. Dyrektorzy i dziekani czują się jak menadżerowie, którymi zwykle nie są, nie chcą i nie potrafią być. Duże firmy, jakimi są uczelnie, pozostawione są w rękach ludzi, którzy nie umieją zarządzać. Dlatego uczelnie są źle zorganizowane (...) tną koszty, ale nieumiejętnie. Na łapu-capu naśladują przypadkowe elementy organizacji korporacyjnej.”³

Zgodną z tą krytyczną opinią jest konstatacja i konkretny wniosek b. ministra szkolnictwa wyższego i nauki dotyczący tej sprawy: „Nasze uczelnie – stwierdza ona – pilnie potrzebują zarządzania. Na świecie szkołami wyższymi zarządzają menadżerowie, a profesorowie i doktorzy są od nauczania i badań. W Polsce naukowcy się obruszają: „Co będzie nam jakiś menadżer mówił, jak mamy prowadzić politykę naukową?” A przecież właściwie po to się bierze menadżera, żeby naukowcy mogli swobodnie prowadzić badania. Myśleć o interesie nauki, a nie o tym, czy budżet się dopina (...) Uczelnie powinny się otworzyć na inny sposób zarządzania”⁴. Ale chodzi tu też o coś więcej: o zmianę całej kultury organizacyjnej środowiska akademickiego w kierunku prostszych i mniej biurokratyzowanych, a klarownych i zasadnych, kulturalnych i etycznych, zdecydowanie i skutecznie naukę i dydaktykę wspierających rozwiązań. „Środowisko musi zmieniać kulturę organizacyjną. Nie można mówić: mam dużo roboty, żeby zajmować się transparentnością, regulami, kulturą i etyką.”⁵

Źłe zarządzanie wiąże się ściśle z nadmiernym biurokratyzowaniem działalności administracyjnej, statutowej, kontrolnej i sprawozdawczej, wybujałą „papiermanią”, „cyfromanią” urzędniczą, technizacją i instrumentalizacją funkcjonowania struktur uczelnianych; struktur coraz mocniej petryfikowanych, zwyczajowo usztywnianych, niepoddawanych niezbędnym modyfikacjom i ulepszeniom, a utwierdzających uczelniane *status quo*, rutyną aktywność głównych jednostek i organów uczelni, sprzyjającym zastojowi i swoistemu konserwatyzmowi uczelnianej korporacji, dość skutecznie izolującego ją od szerszego środowiska naukowych, kulturowych i społecznych, utrudniających mobilność kadry akademickiej. Tymczasem – jak słusznie zaznacza z pozycji socjologicznej i centralnego kierowania polskim szkolnictwem

wyższym dobra znawczyni tego zagadnienia – „Cały świat widzi w mobilności źródło sukcesów, nowych inspiracji, możliwości. My tylko petryfikujemy struktury, które utrwaliły się na uczelniach lata temu. Nie ma dopływu świeżej krwi: młodej, z innych ośrodków (...) To obrona *status quo*, ale nie tylko. Również zwykła rutyna. Zamiast wyciągać wnioski z czyichś sukcesów, patrzymy na nie z zazdrością”⁶.

Jednym z dalszych problemów szkolnictwa wyższego – w tym uniwersytetów – w Polsce i wielu innych krajach, jest problem kadrowy: problem nauczycieli akademickich, pracowników naukowych – profesorów, adiunktów, wykładowców, pomocniczego personelu naukowo-dydaktycznego – asystentów, laborantów, w skrócie – problem „profesorów i doktorów”. Idzie tu zarówno o sposób kształcenia i rozwoju tych kadr, ich „nabywania” i wynagradzania, stwarzania odpowiednich warunków pracy i działalności naukowo-dydaktycznej, jak i o relacje wewnętrzne w ich kręgu, o klimat i atmosferę stosunków wzajemnych, kulturę współbycia i współdziałania, o poziom uzdolnień i umiejętności badawczych i dydaktycznych, o jakość kultury osobowej i postaw moralnych, o standard i żywotność ethosu akademickiego i naukowego itp. W aktualnych dyskusjach o stanie kadrowym uczelni podnosi się przede wszystkim takie mankamenty i nieprawidłowości czy jawne schorzenia i wypaczenia, jak: nierzetelność i nieprawidłowość konkursów o zatrudnienie w uczelni (ustawianie ich pod „swoich”), stronniczość i niedostatek obiektywizmu w przyznawaniu grantów badawczych i zbytnie skomplikowanie procedur przygotowywania na nie projektów, upowszechniające się zatrudnianie młodych pracowników naukowych na tzw. umowach „śmieciovych”, rażąco niskie ich wynagradzanie, niejasne kryteria stypendialne, duże trudności, często niepokonywane, w zatrudnieniu się w uczelni po doktoracie, a nawet po habilitacji, niedostatki obiektywizmu ocen osób starających się o zatrudnienie, kumoterstwo (marnotrawstwo tzw. „kapitału intelektualnego”), przypadki poniżania młodych pracowników nauki itp.⁷

Podnosi się krytycznie też sprawę pojawienia się w Polsce, podobnie jak w innych krajach Zachodu, narastające zjawisko akademickiego prekariatu, tzn. osób dobrze wykształconych – ze stopniem doktora, a nawet doktora habilitowanego z bardzo niskim wynagrodzeniem albo nie znajdujących zatrudnienia w uczelniach swego kraju lub szukających go zagranicą.⁸

Ze zjawiskiem tym wiąże się wadliwy sposób oceny i kontroli pracy naukowej nauczycieli akademickich. Oto jedno z dosadnych określeń tego jakże niewłaściwego stanu rzeczy: „Mamy w nauce biurokratyczny system, w którym uczonego traktuje się jak notorycznego lenia, którego trzeba cały czas skrupulatnie rozliczać, bo inaczej nic nie wyprodukuje”. Skądinąd spostrzegana jest też nie najwyższa aktywność i „wydajność” naukowa nauczycieli akademickich polskich uczelni – stosunkowo rzadko dochodzą oni do wybitnych osiągnięć naukowych, a znaczna ich część, niemal połowa jest naukowo raczej pasywna, pracą badawczą niemal zupełnie się nie zajmuje i prawie nic nie publikuje.⁹ Pozostaje to w związku z niezupełnie poprawną, nierzadko nepotyczną praktyką zatrudnień w szkolnictwie wyższym, z niedofinansowaniem pracy badawczej, brakiem właściwego dla niej „klimatu”, rzetelnego i partnerskiego współdziałania i wspierania się wzajemnego pracowników nauko-

wo-dydaktycznych, w takiegoż współdziałania pracowników młodych ze starszymi, a nadto zjawisko „ucieczki” z uczelni, albo niedopuszczanie do niej utalentowanych z ponadprzeciętnym potencjałem twórczym; najbardziej predysponowanych do pracy badawczej i poznawczo odkrywczej; osób, bez których nie ma postępu w nauce i twórczości intelektualnej. Jakże znacząco i aktualnie brzmią w tej nader istotnej i właściwie rozstrzygającej o żywotności i poziomie aktywności naukowo-twórczej uniwersytetów kwestii, słowa Tadeusza Kotarbińskiego: „(...) gdy się łatwo zastępuje walory przodujących umysłów cnotą socjotechnicznej dyspozycyjności, wówczas elita zuchów umyka z terenu. Niepodobna do tego dopuszczać, a jeśli już doszło do czegoś takiego – niepodobna fatalnego rezultatu utrzymywać. A pamiętajmy, że zło kiełkuje wcześniej, już przy selekcji kandydatów na studia doktoranckie lub na stanowiska pracowników pomocniczych (...) Nie będzie dobrze, jeśli udowodnione i wyróżniające się uzdolnienia nie będą punktowane w sposób pozytywnie rozstrzygający”¹⁰.

Intelektualna jakość kadry naukowej i odpowiedni standard instytucjonalnych warunków jej działalności naukowo-badawczej i jej bytowej sytuacji rozstrzygają o wynikach ich aktywności badawczej i poszukiwań twórczych. W polskich warunkach u rynkowania organizacji i funkcjonowania nauki, komercjalizacji badań naukowych i ich powiązań z celami użytkowo-praktycznymi i biznesem jest wiele rzutujących negatywnie na stosunkowo słabą efektywność pracy badawczej, strukturalnych i finansowych niedopełnień, nie w pełni racjonalnych i nie dość przemysłowych, imitacyjnych przejmowanych, rozwiązań i reguł działania, a nawet pewnej absurdalności i karykaturalności, dziwaczności i śmieszności wykreowanych m. in. przez osławioną, uczelniom i środowiskom naukowym właściwie narzuconą i przez nie w istocie rzeczy odrzuconą, choć z konieczności w znacznej mierze przyjętą i praktykowaną, „reformę polskiej nauki”. Reformę przeprowadzoną „mechanicznie”, naśladowczo, bez wycucia specyfiki i realiów krajowej „rzeczywistości naukowej”, przez b. ministra szkolnictwa wyższego i nauki (Barbarę Kudrycką). W praktyce „reforma” ta zdecydowanie rozminęła się ze swoimi bezkrytycznie i bezrefleksyjnie założonymi celami i zadaniami. „Mielśmy pójść – pisze uważny obserwator mechanizmów i skutków tej „reformy” – w górę w rankingach światowych; publikować więcej po angielsku, a przede wszystkim – pracować więcej.

Reforma – stwierdza dalej ów obserwator – urodziła skomplikowany biurokratyczny system, w którym naukowiec traktuje się jako notorycznego lenia, którego trzeba cały czas skrupulatnie rozliczać, bo inaczej nic nie wyprodukuje, i któremu płaci się żałosne grosze. „Granica między administracją a biurokracją jest oczywiście płynna, ale w przypadku naszych uniwersytetów i instytutów badawczych wszelkie granice zostały już dawno przekroczone” – pisze na swoim blogu znany filozof ks. Prof. Michał Heller ogłaszając „śmierć uniwersytetu”. I dalej „Wyspy nowoczesności” w nauce funkcjonują w półfeudalnym otoczeniu, dzięki pracy kiepsko opłaconych ludzi i toną w kafkowskiej papierologii. Wszyscy wypełniają długie formularze i liczą punkty. Nałożenie importowanych kryteriów sukcesu (publikacje w renomowanych zachodnich czasopiśmie) na polską rzeczywistość – ogólnie sensowne – obrodziło absurdami. Dziś

wybitny historyk za wielką, ważną dla ogólnonarodowej wiedzy o przeszłości książkę, pisaną przez długie lata, dostanie w klasyfikacji ministerialnej 20 punktów – mniej niż za jeden artykuł po angielsku w wysoko punktowanym czasopiśmie.

Niby więc mamy dziś w nauce to samo co na Zachodzie, ale jednak nie to samo (...). Importowane ramy są podobne – granty, konkursy, oceny – ale ich treść i realne funkcjonowanie inne. Moi koledzy na amerykańskich uniwersytetach muszą publikować, ale nie mają nad głową taryfikatora punktów, z których się ich co roku rozlicza pod groźbą utraty pracy. Muszą rywalizować o granty, ale mają znacznie więcej źródeł finansowania. Na Zachodzie także coraz trudniej o stałe zatrudnienie, ale tam przynajmniej na stażu postdoktorskim zarabia się tyle, że można za to się wyżywić.

W polskiej wersji tego systemu jest coś bardziej okrutnego i bezdusznego niż na Zachodzie, ale też arbitralnie przypadkowego – co widać w historiach wyrzucanych z pracy, zatrudnianych na śmieciówkach wykładowców.

Ta bezduszność i krótkowzroczność uwidacznia się w kalkulacji kosztów. Aby je obniżyć, – kontynuujemy tę wypowiedź – naukowców zatrudnia się na śmieciówkach, a równocześnie wymaga się od nich publikowania na światowym poziomie. Cykl publikacyjny w wielu zachodnich czasopiśmie jest dłuższy niż wynosi czas takiej umowy o pracę! Prowadzenie zaś jakichkolwiek sensownych badań wymaga minimum stabilności.(...) Taki system nie działa i nie będzie działał, bo działać nie ma prawa. A idea, że dzięki niemu stworzymy naukę na światowym poziomie, to czysta fantazja.”¹¹

Niewiele do tej trafnej diagnozy można dodać. Może tylko to, że od dłuższego już czasu w centralnych kręgach decydenckich i kierowniczych naszego szkolnictwa wyższego, w tym uniwersytetów, zadziwiająco bezkrytycznie i bezrefleksyjnie ulega się zachodniemu mitowi organizacji i tworzenia, sytuowania i funkcjonowania społecznego nauki oraz przedmiotowego jej uprofilowania – zasadzie niemal pełnego jej „ekonomizowania” i skomercjalizowania, doraźnej użyteczności i przydatności, uzależnienia od biznesu i kapitałowego sponsoringu, ukierunkowania głównie na problematykę technologiczną i informatyczną, fizyczną i biologiczną, medyczną i ekonomiczną, użytkowo-społeczną i praktyczną (np. na problematykę społecznego i biznesowego zarządzania, politologicznych analiz i prognoz itp.), kosztem problematyki humanistycznej i filozoficznej, aksjologicznej i etycznej czy nawet kulturoznawczej i antropologicznej.

Takie uprofilowanie przedmiotowe badań naukowych, a właściwie tego rodzaju deformowanie naturalnej struktury nauki i jej kierunków, kierunków badawczych z natury rzeczy wpływa na ogólny model kształcenia na poziomie wyższym, na jego wyraźne ujednostonnienie i zawężenie w kierunku tzw. „technokratyzmu edukacyjnego”, liberalnej koncepcji nauczania, nastawień na rozwój „myślenia komputerowego”, „cyfrowego”, „kwantytatywnego”, z pomijaniem, marginalizowaniem tych jego płaszczyzn, których zadaniem i celem jest kształtowanie „kultury w człowieku”, „humanistycznej jakości człowieka”, „humanistycznych aspektów jego rozwoju”, myślenia „jakościowego”, „kwalitatywnego”, „myślenia poprzez wartości” i „poprzez człowieka – z pełnym uwzględnieniem jego podmiotowości, duchowości, kultury wewnętrznej, człowieczeństwa, *humanum*.

Tak neoliberalnie i technokratycznie zniekształcona i pragmatycznie nastawiona koncepcja struktury nauki i nauczania sprzyja tendencjom unifikacyjnym w systemach szkolnictwa wyższego, utraty w nim charakterystycznej swoistości uniwersyteckiej, tradycyjnej, klasycznej tożsamości akademickiej, odrębnej i specyficznej roli w tych systemach. Utrudnia też, a nawet wręcz uniemożliwia niezbędną i gruntowną jego reformę, zwłaszcza – naprawę większości współczesnych uniwersytetów – przywrócenie im prawdziwie „uniwersyteckiego charakteru”, zaś słowo „*universitas*” właściwego jego znaczenia¹². Inaczej mówiąc chodzi o „odzyskanie istoty uniwersytetu, w takich warunkach, jakie je mamy.”¹³

Daleka to jednak perspektywa takiego celu i trudna droga dochodzenia do choćby częściowego jego osiągnięcia; trudna m. in. ze względu na stan zastany edukacji i akademickiego wychowania, obecne ich uwarunkowania, sposoby przeprowadzania, obniżający się kunszt dydaktyczny, ze względu także na upadający autorytet wychowawczy i nie zawsze pełne zaangażowanie pedagogiczne nauczycieli akademickich.

Większość omówionych wyżej negatywnych czynników zewnętrznych i wewnętrznych, kształtujących standard i funkcjonowanie współczesnego szkolnictwa wyższego, w tym także przede wszystkim uniwersytetów, wpływa ujemnie na poziom i jakość jego działalności kształceniowej i wychowawczej, na ogólny kształt i charakter tej działalności, osiągane wyniki i rezultaty. Dodatkowo, stosunkowo od niedawna ujawniającym się, ale być może rozstrzygającym o jakości i efektach procesu kształtująco-wychowawczego jest – z jednej strony – pewna specyfika społeczna i umysłowa, osobowa i nastawieniowa młodzieży zgłaszającej się na studia, z drugiej – pewne charakterystyczne, też stosunkowo nowe, a tej działalności niesprzyjające cechy i przymioty tych grup nauczycieli akademickich, którym głównie powierza się obecnie obowiązki dydaktyczne i wychowawcze (mowa tu o polskich realiach edukacji akademickiej).

Dodać tu też trzeba, że obecne zbiorowości młodzieży studiującej są bardzo zróżnicowane nie tylko pod względem socjalnym, środowiskowym i kulturowym, ale także swego przygotowania i nastawienia jej do studiów, predyspozycji i uzdolnień umysłowych, zainteresowań poznawczych i naukowych, planów zawodowych i życiowych, itp. I z uwagi na to, że studia wyższe stały się już właściwie bezalternatywną drogą do zajęcia najwyższych pozycji społecznych i satysfakcjonującego zatrudnienia zawodowego, znaczna część tej młodzieży, jeśli nie większość, podejmuje studia głównie w wyniku motywacji zawodowych i praktyczno-życiowych (dla uzyskania niezbędnego dyplomu), a znacznie mniej z motywacji czysto poznawczych i naukowych czy samorealizacyjnych. Często nie wykazuje ona żadnych większych zainteresowań, uzdolnień i determinacji w tym zakresie. Chodzi jej raczej o formalne niż rzeczywiste studiowanie i nie tyle o autentyczną wiedzę naukową, co o zdobycie realnych czy nawet tylko „papierowych” kwalifikacji zawodowych i społecznie akceptowanych potwierdzeń dla osobistego aspirowania do wyższego statusu społecznego. I znaczna część z tej, niestety stosunkowo dużej części osób „studiujących” nie jest do autentycznych studiów, zwłaszcza studiów uniwersyteckich, mentalnie i osobowo predysponowana (nawiasem – warto by było podejmować okresowe badania nad tym, jaka faktyczna

część osób aktualnie studiujących „nadaje się” w ogóle do studiów wyższych?). Tę kategorię studentów do studiów właściwych nie w pełni predysponowanych powiększa w ostatnich czasach i ta okoliczność, że uczelnie ze względu na niż demograficzny i gwałtowny spadek naboru kandydatów do studiów obniżają, a nierzadko w rekrutacji na studia niemal całkowicie uchylają merytoryczne kryteria przyjęć.

Jest rzeczą oczywistą, że taka z akademickiego punktu widzenia zdecydowanie nieprawidłowa i przypadkowa konfiguracja personalna zespołów słuchaczy wypełniających sale wykładowe utrudnia nauczanie na odpowiednio wysokim poziomie i osiąganie – w odniesieniu do całości takich dość osobliwych audytoriów studenckich zakładanych formalnie poprzez uczelnie i wykładowców celów edukacyjnych. Dodatkowo utrudnia osiąganie w niej pożądaných i nie zaniżonych rezultatów, to, że ze względów oszczędnościowych uczelni audytoria słuchaczy wykładów i studenckie grupy seminaryjne są zbyt liczne, ograniczające lub wręcz uniemożliwiające względnie pełny i bezpośredni kontakt dydaktyczny wykładowcy ze swoim słuchaczem, a nawet odpowiednie „przysposobienie” zbyt dużych i zróżnicowanych zespołów do poznawczego i rozumiejącego odbioru tego, co mu się ma w wykładzie do przekazania. Nie ułatwia też, wbrew przyjmowanym założeniom, odpowiednią i oczekiwane efekty przynoszącą współrelację między wykładowcą akademickim a jego słuchaczem moda na coraz częstsze i przesadne wypełnianie jej środkami komunikacji komputerowej i techniczno-informatycznej (np. praktyka przesyłania i sprawdzania komputerowo prac pisemnych studentów, zaliczanie przedmiotu w oparciu o komputerowo komunikowane teksty itp.). W tej dydaktycznej komputeromanii zapomina się o elementarnej prawdzie edukacyjnej, czyli o tym, że bezpośredni personalny kontakt nauczyciela z nauczającym, obojętnie na jakim szczeblu jest zawiązywany, jest w procesie dydaktyczno-wychowawczym bezalternatywny i bezwzględnie nieodzowny.

A więc cały ten przedstawiony wyżej układ czynników podmiotowych i przedmiotowych aktualnego procesu kształceniowego uczelni, w tym uniwersytetów, oraz konteksty społeczne i ekonomiczne tego kontekstu powoduje, że nie jest on w pełni wydajny i efektywny. Zatem wymaga gruntownej, fundamentalnej, ale rzecz jasna niezmiernie trudnej i niemożliwej do przeprowadzenia w krótkim czasie naprawy, a w każdym razie zdecydowanej i kompetentnej próby zmiany.

Wychowanie akademickie

Osobnym rozważaniem należy tu też objąć nie dość doceniany, a nader istotny aspekt funkcjonowania uczelni, w tym uniwersytetów, a mianowicie aspekt wychowawczy. Ma on ten sam kontekst czynników go określających warunkujących, co ściśle związany z nim ściśle i również go warunkujący i określający kontekst dydaktyczny. Dochodzi tu jeszcze inny czynnik, wcześniej nie omówiony; tu bodaj najważniejszy. Chodzi o to, że podejmująca studia młodzież jest już w znacznej mierze wychowawczo/niewychowawczo uformowana, w swoim systemie wartości, postawach życiowych i typach zachowań w dużym stopniu określona i ukształtowana. Jest to efektem szczególnie silnego w dobie obecnej, od wczesnych lat dzieciństwa dokonującego

się wpływu na nią mass-mediów, presji lokalnego i dalszego środowiska społecznego, oraz wpływu rodziny i grup rówieśniczych.¹⁴ Na studia przychodzi ona już ze stosunkowo utwierdzonym i dość wyrazistym choć ciągle jeszcze niepełnym, fragmentarycznym i niezupełnie dojrzałym syndromem swoich cech mentalnych, osobowościowych i zachowaniowych. I jakość tego syndromu dość często jest niska i kontrowersyjna. Przewaga negatywnego wpływu mediów i obecnego środowiska społecznego na umysłowość i emocjonalność dzieci i młodzieży, na ich postawy życiowe i sposób bycia, sferę potrzeb i dążeń, wybory wartości i nastawienia wobec innych osób, odniesienia społeczne i kulturowe, jest bezsporna.¹⁵ Środowisko uczelnicze, uniwersyteckie, jeśli jest jeszcze w jakiejś mierze środowiskiem wychowawczym, niewiele już może zmienić. (...) Żadne wychowawczo jeszcze jako tako z funkcjonujących instytucji wychowawczych: rodzina, szkoła, Kościół nie są w stanie naporu do systemu wartości dzieci i młodzieży tych „niższych” ale „na czasie” wartości skutecznie zatamować. Nie jest w stanie tego dokonać nawet szkoła, która z założenia swego ma, jakby się wydawało, najlepsze instrumentaria i metody działania w tym zakresie. Tymczasem i ona – jak zauważa jeden ze światłych polityków polskich „uczy sprawnego funkcjonowania w społeczeństwie zatamizowanym. Uczy zwyciężać przeciwko innym. Nie uczy współpracy. Nie łączy tego, co najlepsze w grupie, tylko uczy wyolbrzymiania słabych stron uczestników grupy, jest więc przeciwko jakiegokolwiek wspólnoty. (...) „Dzieci w szkole odwrócone są do siebie plecami. Nie ma nawyku patrzenia na bliźniego, szukania w koledze lub koleżance najlepszych cech. Buduje się za to nawyk wyszukiwania najgorszych. Hajterstwo nie wzięło się znikąd”. I jeszcze: „Młode pokolenie żyje w narastającej frustracji i nie jest wyposażone w intelektualne narzędzia do radzenia sobie z nią. Sieje więc nienawiść”¹⁶.

Powyższej opinii, choć jest ona prawdopodobnie przejawiskawiona i ujednostonniona, nie da się całkowicie zaprzeczyć. Współczesne środowisko akademickie wychowawczo jest w większości przypadków jałowe, pasywne, obojętne, bezradne. Jest ono tego świadome i na ogół pogodzone z tym stanem rzeczy. Nawet dyskurs dotyczący wychowania akademickiego prawie zupełnie już obumarł – w zasadzie nie podejmuje się go ani na uczelniach, ani poza nimi, co gorsza wygasa się on we współczesnej teorii wychowania i nowoczesnych pedagogiach.

Utrata zdolności wychowawczych przez uczelnię wyższą, a zwłaszcza przez uniwersytet oznacza utratę jednej z integralnych jego funkcji, z ważniejszych ról, jaką ma spełnić w społeczeństwie. Jego wsłak zadaniem – przypomnijmy – było i jest, obok kształcenia, uprawiania i upowszechniania nauki oraz przygotowywania kadr naukowych, działanie na rzecz jakości człowieka, jego wszechstronnego rozwoju, „kultury w człowieku”, duchowości i człowieczeństwa.¹⁷ By realnie mógł on wznowić ową funkcję, czyli przywrócić sobie status uniwersytetu właściwego, musi się gruntownie, strukturalnie i funkcjonalnie zreformować i odnowić. Zaden to jest niezmiernie trudne i prawdopodobnie nawet niewykonalne bez zasadnej reorientacji w panującym kręgu cywilizacji technokratycznej i społeczeństwie rynkowym systemie wartości i w neoliberalnym syste-

mie społeczno-ekonomicznym i gospodarczym. Zatem przede wszystkim systemy te w dobrze i perspektywnie pojętym interesie człowieka winny być głęboko przeorientowane lub wymienione na alternatywne, co jest, rzecz jasna, sprawą jeszcze trudniejszą i mniej prawdopodobną aniżeli fundamentalna reforma uniwersytetu. W każdym bądź razie jednak daje się stwierdzić, że społeczeństwo, które pozbawia się uniwersytetu właściwego i w pełni funkcjonalnego szkolnictwa wyższego, pozbawia się tym samym bodaj najważniejszego instrumentu własnego rozwoju i doskonalenia się, i skazuje się na swoistą regresję antropologiczną, a w każdym razie pozbawia się jednego z najważniejszych i historycznie wypróbowanych narzędzi wielostronnej edukacji i integralnego wychowania¹⁸.

JAN SZMYD

- 1 Bogdan Suchodolski, *Uniwersytet a procesy upowszechniania kultury ogólnej*, (w:) *Świat człowieka a wychowanie*, K i W Warszawa 1967, s.405.
- 2 Podaję za: Janusz Czerny, *Pedagogika wobec współczesnych wyzwań cywilizacyjnych* (w:) *Szkoła w świecie współczesnym*, pod redakcją naukową Bożeny Mochackiej i Mirosława Szymańskiego, Oficyna Wydawnicza „Impuls”, Kraków 2008, s. 48.
- 3 Podaję za Adam Leszczyński, *Biegnij, doktorku, biegnij*, „Gazeta Wyborcza”, 10-11 stycznia 2015, s. 29.
- 4 *Uniwersytet psuje się od rektora*, Z prof. Leną Kolarską-Bobińską, minister nauki i szkolnictwa wyższego rozmawia Agnieszka Kublik, „Gazeta Wyborcza”, 7-8 lutego 2015, s. 16-17.
- 5 Tamże, s. 17.
- 6 Tamże, s. 16.
- 7 Por. *Jaki kraj, takie uniwersytety*, „Gazeta Wyborcza” 10-11 stycznia 2015, s. 28.
- 8 Por. Adam Leszczyński, *Biegnij, doktorku, biegnij*, s. 29.
- 9 Tadeusz Kotarbiński, *Drogi dociekań własnych, W setną rocznicę urodzin*, PWN, Warszawa 1986, s.160.
- 10 Tamże.
- 11 Por. Adam Leszczyński, *Biegnij, doktorku, biegnij*, s. 19.
- 12 Tamże.
- 13 Por. *Edukacja wobec wyzwań XXI wieku*, zbiór pod redakcją I. Wojnar i J. Kubina, Warszawa 1996, Komitet Prognoz „Polska XXI wieku przy Prezydium PAN.
- 14 *Student to nie produkt*. Z Anną Gizą-Poleszczuk rozmawia Agnieszka Kublik, „Gazeta Wyborcza” 27-28 czerwca 2015, s. 16.
- 15 Twierdzenie to opieram m. in. na wynikach badań nad zagadnieniem kształtowania postaw życiowych i społecznych uczniów szkół podstawowych i średnich oraz ich systemów wartości, osiąganych w pracach magisterskich studentów pedagogiki, pisanych pod moim kierunkiem w Uniwersytecie Rzeszowskim w latach 2005-2015.
- 16 Andrzej Celinski, *Napiszmy pozytywny scenariusz*, rozmowa Krzysztofa Pilawskiego, „Przegląd” nr. 26(808), 22-28.06.2015, s. 14-17.
- 17 Por. Irena Wojnar, *Humanistyczne intencje edukacji*, Wydawnictwo Akademickie „Żak”, Warszawa 2000.
- 18 Por. Jan Szmyd, *Regresja antropologiczna w świecie „ponowoczesnym” i kryzys edukacyjny*, (w:) *Kultura – przemiany – edukacja. Myśl o wychowaniu. Teorie i zastosowania edukacyjne*, t. I, Redakcja Naukowa Kazimierz Szmyd, Andrzej Garbarz, Zofia Frączek, Barbara Skoczyńska Prokowiec, Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2013; Kazimierz Denek: *Uniwersytet w perspektywie społeczeństwa wiedzy*, Poznań 2011; *Edukacja jutro. Od uniwersytetu do starości. Aspekty edukacji osób dorosłych*. Redakcja naukowa Kazimierz Denek, Aleksandra Kamińska, Piotr Olesiewicz, Oficyna Wydawnicza „Humanitas”, Sosnowiec 2014.

EDWARD KAROLCZUK

O NIEISTNIENIU BOGA

Kiedy absolwenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego opanowują katedry filozofii i socjologii na wyższych uczelniach, kiedy z poczuciem duchowej wyższości żądają sformalizowanego dowodu na nieistnienie Boga, kiedy wielu kleryków poci się nad udowodnieniem tezy, że w Polsce 95 procent ludności to wierzący katolicy – Jerzy Kochan rzuca im w twarz książkę *De non existentia Dei, czyli o nieistnieniu boga* (Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2015, s. 245). Nie jest to książka, na stronach której następuje koncentrowanie się na werbalnym i deklaracyjnym zanegowaniu istnienia Boga z pozycji czystego ateizmu. Problem ten osadzony jest bowiem w płaszczyźnie dyskusji politycznych, filozoficznych i naukowych.

J. Kochan stawia sobie za cel przeciwstawienie się rozpowszechnianiu „klerykalnej ciemnoty” w życiu społecznym, politycznym i naukowym. Jednocześnie stawia sobie ambitne zadanie uświadomienia czytelnika o „słabości intelektualnego ateizmu i totalnej hegemonii katolicyzmu” (s. 10). Wyraża również sprzeciw wobec „miejscami dość prostackiego charakteru propagandy antyreligijnej uprawianej przez wybitnego krytyka religii świata Richarda Dawkinsa” (s. 10). Przypomina współczesnemu czytelnikowi karty prześladowanej przez wieki „wspaniałej tradycji myśli ateistycznej i wolnościowej” (s. 11).

Głównymi bohaterami swej książki uczynił **Kazimierza Łyszczyńskiego** (polskiego szlachcica, ateistę, ściętego i spalonego na stosie), księdza **Jana Mesliera** (którego poglądy zawarte w *Testamencie* poznaliśmy dopiero po jego śmierci), **Giulia Cesare Vaniniego** (skazanego na wyrwanie obcęgami języka, uduszenie, spalenie na stosie i rozrzucenie popiołów na wiatr), **Paula Holbacha** (którego prace publikowane pod pseudonimem były wielokrotnie publicznie palone), markiza **Donatien Alphonse François de Sade’a** (którego seksualność nadal szokuje, przeraża, gorszy, odpycha, i który przesiedział w więzieniach wiele lat, także po wybuchu rewolucji 1789 roku), **Immanuela Kanta**, **Johanna Gottlieba Fichtego**, **Ludwiga Feuerbacha**, **Fryderyka Engelsa**, **Karola Marksa**, **Zygmunta Freuda**, **Richarda Dawkinsa**, **Michela Onfraya** i **Michaela Schmidta-Salomona**.

Kościół i religia a polityka

Tajemniczy wpływów Kościoła katolickiego J. Kochan poszukuje nie tyle w atrakcyjności jego dogma-

tów, których akceptacja nawet wśród wiernych wcale nie jest taka powszechna, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, lecz w jego obecności w aktualnej polityce. Właśnie ta jego wszechobecność sprawia, że „trzeba bronić zarówno prawa kobiet do decydowania o własnym macierzyństwie czy prawa rodziców do możliwości korzystania z technik *in vitro* przy staraniach o własne dziecko, jak i demokratycznej zasady oddzielenia Kościoła od państwa, a nawet teorii ewolucji Darwina” (s. 13).

Autor *Socjalizmu* (książki wydanej w 2013 roku) podejmuje również problem stosunku Kościoła do neoliberalizmu. Jeżeli Jan Paweł II próbował jeszcze na początku swego pontyfikatu mówić o trzeciej drodze i krytykował zarówno „realny socjalizm” jak i kapitalizm, to późniejsze stanowisko w tej sprawie uległo całkowitej zmianie. To właśnie „totalne błogosławieństwo Kościoła katolickiego w Polsce dla neoliberalnej strategii globalistycznej zapewniło w dużej mierze prawie bezkonfliktowy przełom transformacji i potulne podporządkowanie się katolickich owieczek chwalonemu przez pasterzy neoliberalnemu rynkowi dzikiego kapitalizmu oraz akceptację powszechnego rabunku własności społecznej” (s. 14). Nie pozostało to niezauważone przez polityków różnych opcji. Kościół katolicki jako „wspólnik» neoliberalnego ładu, zasługiwał na pomoc, protekcję i hojność kolejnych polskich rządów po 1989 r., cieszył się przywilejami i z nich korzystał” (s. 14).

Dziwnym zbiegiem okoliczności polityczna orientacja Kościoła katolickiego ma zawsze tendencję do skręcania w prawą stronę sceny politycznej. Dlatego Jan Paweł II za jedno z pierwszych swych zadań uznał rozprawienie się z szukającą inspiracji w marksizmie *teologią wyzwolenia*. Michel Onfray „Wypomina [...] Kościołowi katolickiemu, że *Index Librorum Prohibitorum* zawierał pisma najwybitniejszych filozofów i naukowców, ale nie trafił do niego *Mein Kampf* Hitlera, a zdążył trafić Sartre czy Gide; przypomina, że wszystkie faszystowskie reżimy Mussoliniego, Hitlera, Franco, Salazara, Petaina, greckich pułkowników, południowoamerykańskich dyktatorów, Pinocheta cieszyły się wsparciem Kościoła katolickiego” (s. 221).

Warto tu wspomnieć o lustracji w okresie transformacji od „realnego socjalizmu” do kapitalizmu, którą bardzo chętnie wspierali ludzie związani z Kościołem katolickim. Ponieważ Kościół pełnił ważną rolę w zapewnieniu

warunków dla kapitalistycznej transformacji ustrojowej, pozostał praktycznie poza zasięgiem lustracji, chociaż niektórzy sądzą, że współpraca osób duchownych ze służbami specjalnymi PRL była dość powszechna. W imię wyższych racji nie chciano do tej historii wracać.

J. Kochan słowami analizowanych filozofów zdzierza z Kościoła katolickiego maskę instytucji bezinteresownej i humanitarnej. Kościoły były „rdzeniem reprodukcji okrutnych, nieludzkich systemów społecznych i stanowiły ich konstytucyjny składnik. XX w., ze swoimi hekatombami, wojnami, ludobójstwem, jako podsumowanie 2 tys. lat chrześcijaństwa to wspaniała ilustracja tej wielowiekowej tragedii” (s. 217).

Materializm

J. Kochan konsekwentnie ukazuje wśród analizowanych filozofów ich stanowisko materializmu filozoficznego. Referując poglądy księdza Jana Mesliera pisał: „W sensie najbardziej ogólnym jest on materialistą i poglądy jego można nawet określić jako deterministyczny monizm materialistyczny. Świat istniał zawsze i nie został nigdy przez nikogo stworzony. Podobnie czas i przestrzeń. Stworzenie czasu czy przestrzeni jest niemożliwe, bo musiałoby samo być poza czasem i poza przestrzenią, a więc nie mogłoby istnieć, bowiem istnienie zakłada czas, nieistniejące zaś nie może stwarzać czegośkolwiek. Nie może być »niczego, co by poprzedzało czas«, bo samo »poprzedzanie« zakłada istnienie czasu. Materia istnieje samoistnie i wcale nie jest to trudniejsze do wyobrażenia niż bezsensowne łamańce z pomysłem stworzenia świata przez kogoś” (s. 52).

Można te i podobne stwierdzenia odebrać jako pośrednią i bezpośrednią polemikę z astrofizyczną teorią „wielkiego wybuchu”, której na kanałach typu Discovery w programach popularno-naukowych poświęca się wiele czasu. W myśl tej teorii, powstałej w związku z zaobserwowanym oddalaniem się galaktyk, „wielki wybuch” miał być początkiem wszystkiego – czasu, przestrzeni, tworzenia się poszczególnych pierwiastków, formowania się gwiazd i planet. Zwolennicy tej teorii lub jej propagatorzy zapominają o tym, że nawet jeśli przyjmijemy, że „wielki wybuch” nastąpił, to był on tylko jedną z faz istnienia materii, zaś przyczyn jego do tej pory nie znamy. Czas i przestrzeń są zatem atrybutami wiecznej materii w różnych jej formach, nie zaś czymś, co można stworzyć.

J. Kochan przypomina w związku z tym konsekwentnie materialistyczne stanowisko K. Marksa, którego zdaniem pytanie o to kto to wszystko stworzył, ma charakter nieuprawniony, gdyż pytający o początki istnienia zakładają początkowe nieistnienie przyrody i człowieka, a więc domagają się dowodów istnienia tego, co zanegowali na początku. Już młody Marks w *Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych* z 1844 roku pisał: „Powie ci więc: Porzuć swoją abstrakcję, a porzucisz i swoje pytanie, jeśli zaś chcesz się jej trzymać, to bądź konsekwentny, i skoro myślisz człowieka i przyrodę jako *nieistniejące*, to myśl też siebie jako *nieistniejącego*, bo przecież ty też jesteś przyrodą człowiekiem. Nie myśl, nie pytaj mnie, bo skoro tylko myślisz i pytasz, twoje *abstrahowanie* od istnienia przyrody i człowieka traci sens. A może jesteś takim egoistą, że zakładasz nicłość wszystkiego i chcesz istnieć tylko sam?”¹.

Zdaniem Holbacha ruch jest dla materii tak samo istotny jak rozciągłość, bez jakiegokolwiek ruchu mate-

ria nie może istnieć. Nawet martwa materia sama wywołuje ruch. Odkrycie przez niego samoruchu materii eliminuje z naukowych poszukiwań jakiegokolwiek osobowego i świadomego poruszyciela. Skoro materia może w określonych warunkach sama zapalać się i fermentować, może też wytworzyć człowieka. W naturze nic nie dzieje się przypadkiem, wszystko podlega stałym prawom. J. Kochan dostrzega u niego niedialektyczne przeciwstawienie przypadku i konieczności, ale neguje też świat bez możliwości przewidywania, skutecznego osiągania celów bez praw i bez nauki. Nauka Holbacha jest „Bez cudów, tych sakralizowanych form hołdów dla niczym nieuzasadnionej nadziei na przypadek, łut szczęścia, który wszystko odmieni” (s. 79). Odrzucenie cudów pojawia się u Holbacha „już na poziomie ontologicznym i epistemologicznym, uwolnionym od ludowej przypowieści z życia wziętej. Cud jako zaprzeczenie praw rządzących przyrodą powinien być raz na zawsze zakopany na cmentarzu i przyklepany łopatami. [...] Czyż nie komiczne jest historyczne poszukiwanie cudu, choć jednego, w procesach beatyfikacyjnych kolejnych papieży? Choć jednego!” (s. 79-80).

Przy tej okazji można odnotować, że J. Kochan w swoich prezentacjach pominął poglądy W.I. Lenina. Szkoda, gdyż w ten sposób uniknął okazji do ustosunkowania się do dyskusji wokół leninowskiej definicji materii i szeregu problemów praktycznych przez niego podniesionych. Omawiając zaś poglądy Holbacha zawarte głównie w książce *System przyrody*, J. Kochan pominął pracę *Teologia kieszonkowa*, którą przetłumaczył i wstępem opatrzył jego mistrz profesor Jarosław Ładosz, której nie wydano okresie „komuny” i której nie był w stanie wydać nawet w rzekomo „wolnej Polsce”. Holbach w *Teologii kieszonkowej* pod hasłem cuda, odslaniając sprzeczność wewnętrzną w pojmowaniu ich przez samych teologów i z właściwą sobie ironią, pisał: „CUDA – nadprzyrodzone zjawiska, tj. takie, które przeczą mądrym prawom, nadanym przyrodzie przez niezmiennie bóstwo. Jeśli posiada się wiarę, można stwarzać dowolnie wiele cudów. Gdy wiara słabnie, przestaje się dostrzegać cuda, i w przyrodzie wszystko toczy się spokojnie swoim torem”².

Deontologizacja

J. Kochan, który jest również autorem książki wydanej w 2007 roku – *Życie codzienne w matriksie, filozofia społeczna w ponowoczesności* – wskazuje na dziejowy pochodź materializmu i ateizmu. Objawia się on m.in. w dostrzeżonej przez Györgya Lukácsa deontologizacji świata i teorii, w odchodzeniu od ontologii na rzecz teorii poznania. W odniesieniu do religii J. Kochan pisze, że deontologizacja polega na tym, że z ontologii chrześcijańskiej eliminowane są jej różne elementy: „Nikną anioły i diabły, piekło i niebo ... nikną wszystkie specyficzne religijne treści w ramach współczesnej ontologii religijnej ... niknie raj i świętości, nikną chóry anielskie i nawet sam Bóg. A pozostaje właściwie *niewiedomo-co!*” (s. 22). Prowadzi to do „religijnego ateizmu”, „ateistycznej dewocji”, „chrześcijańskich ateistów”, teologii wyzwolenia, eklektyzmu i ekumenizmu. Zapewne też gdzieś koło tego sytuuje się kategoria ludzi popularna w Polsce – „niewierzący-praktykujący”.

Przy okazji omawiania poglądów Michela Onfraya J. Kochan pisze, że teologia przestaje być fundamentem etyki i moralności, że obecnie mało kto wierzy w nie-

pokalone poczęcie, obecność Chrystusa w hostii, czy nieomyślność papieża. „Wiara jest coraz bardziej wiarą w coś – coś, co nie daje się objąć rozumem, jakąś moc, energię, siłę sprawczą; najczęściej chodzi o pozalógiczną siłę sprawczą sprzęgniętą z pragnieniem nieśmiertelności” (s. 220).

Społeczne źródła religii

Skoro dogmaty religijne stają coraz mniej atrakcyjne i coraz mniej nawet zadeklarowanych wyznawców danej religii akceptuje je bezkrytycznie, powstaje pytanie o społeczne ich źródła i przyczyny trwania. Problem ten poruszany jest w poglądach wielu omawianych przez Kochana ateistów. J. Kochan kompetentnie rozpatruje ten problem – jest m.in. autorem *Studiów z teorii klas społecznych*, książki wydanej w 2011 roku.

Giulio Cesare Vanini społecznych źródeł upowszechniania i utrzymywania się religii doszukiwał się w interesach książąt, którzy trzymali ludzi w „religijnej śpiączce i poddaństwie w celu łatwiejszego panowania nad nimi”. Ten swoisty spiszek możliwych miał służyć „zastraszeniu ludu, kierowaniu nim jak dziećmi, ubezwłasnowolnieniu plebsu, pozbawieniu go zdolności do walki, oporu, protestu, buntu, a jednocześnie do uczynienia go chętnym, by przelewał krew w walce o dobra swoich panów, ryzykował własne życie w walce o pańskie interesy” (s. 59). Z kolei książę Meslier uważał, że źródłem religii jest niesprawiedliwość, monarchia, a chrześcijaństwo nie jest prawdziwą religią, bowiem taka religia nie może „tolerować i aprobować nadużyć sprzecznych ze sprawiedliwością i upoważniać do czynienia krzywdy ludowi, do tyrańskich rządów, do surowego i okrutnego panowania” (s. 59). Zdaniem Mesliera prawa wydawane w imieniu bogów są w rzeczywistości prawami ludzkimi, narzucanymi ludowi przez szlachtę. Szlachtę i duchowieństwo zalicza do nierobów, którzy obsiedli lud niczym robactwo. Meslier nawołuje lud do buntu, likwidacji własności prywatnej i stworzenia wspólnej własności. „Tajemnicą religii okazuje się nie jej wymiar nadziemski, mistyczny czy rozumowy, lecz głęboko skrywane uwikłanie w procesy reprodukcji panowania ekonomicznego i politycznego, w strukturalne praktyki okiełznania oporu społecznego i likwidacji możliwości pojawienia się alternatywy społecznej” (s. 63-64).

J. Kochan zwraca uwagę na paradoks dostrzeżony przez Kazimierza Łyszczyńskiego, że chociaż prosty lud w celu jego ciemnienia jest oszukiwany wymysłem wiary w Boga, to jednak jednocześnie zdławiłby tych, którzy chcieliby go wyzwolić przez głoszenie prawdy. J. Kochan komentując jego poglądy pisał: „Ma ona [religia – E.K.] trzymać w ciemnocie prosty lud, aby można było go ciemnić, a więc wyzyskiwać, panować nad nim, dręczyć, prześladować. Czyni to zaś ona tak skutecznie, że sam lud broniłby spontanicznie i z własnej woli tego stanu wyzysku, a chętnych wyzwoliciele by pognębił. Można powiedzieć, że ma on zaszczerpioną świadomość panujących i uznaje ją za własną i jedynie możliwą, i dlatego wartą obrony. Lud nie ma samoświadomości, świadomości własnych interesów i własnego upodlenia” (s. 42-43). Dawni i współcześni ateści nawołujący do antyreligijnej edukacji i propagandy, nie są w stanie przezwyciężyć tego paradoksu.

Marks i Engels nie byli zagorzałymi i wojowniczymi ateistami. Nie religia była dla nich głównym problemem

teoretycznym i społecznym, lecz wyzysk, konflikty klasowe, rewolucja. Alienacja religijna okazuje się tylko świadomościowym odbiciem wyalienowanych stosunków kapitalistycznych ukrytych w relacjach ekonomicznych, w stosunkach towarowo-pieniężnych, własności prywatnej, państwie, prawie i kapitalistycznej kulturze wyzysku. Marks i Engels zwalczali poglądy tych, którzy uważali, że wyzwolenie mas należy zacząć od zadekretowania wyzwolenia ich spod wpływów religii i uczynienia wszystkich ateistami. Fryderyk Engels, krytykując radykalizm blankistów w tym względzie, z ironią pisał, że „prześladowania są najlepszym sposobem aktywizacji niepopularnych przekonań! Jedno jest pewne: jedyna przysługa, jaką jeszcze można dziś oddać Bogu, to narzucić ateizm jako artykuł wiary i przez zakazanie religii w ogóle – prześcignąć antykościelne ustawy Bismarcka spod znaku kulturkampfu”³.

Wielu ludzi słyszało słynne stwierdzenie Marksa, że „religia jest opium ludu”. J. Kochan przytacza szerszą wypowiedź Marksa, w której znajduje się to stwierdzenie: „Religia jest westchnieniem uciśnionego stworzenia, sercem nieczułego świata, jest duszą bezdusznym stosunków. Religia jest *opium* ludu. *Prawdziwe* szczęście ludu wymaga zniesienia religii jako *urojonego* szczęścia ludu. Wymagać od kogoś porzucenia złudzeń co do sytuacji to znaczy *wymagać porzucenia sytuacji, która bez złudzeń obejść się nie może*. [...] Krytyka religii uwalnia człowieka od złudzeń po to, by myślał, działał, kształtował własną rzeczywistość jako człowiek, który wyrzucił się złudzeń i doszedł do rozumu; aby obracał się dookoła samego siebie, a więc dookoła swego rzeczywistego słońca. Religia jest jedynie urojonym słońcem, które dopóty obraca się dookoła człowieka, dopóki człowiek nie obraca się dookoła samego siebie”⁴.

Zmiana formuły, że „religia jest opium ludu” na formułę, że jest „opium dla ludu”, całkowicie zmienia jej sens i jest zafałszowaniem metodologicznego stanowiska Marksa. Szerzej o genezie stwierdzenia Marksa i jego konsekwencjach pisał Marek Zagajewski. Na łamach krakowskiego „Zdania” czytamy m.in.: „Ponieważ społeczne źródła religijności są niezależnie od woli i świadomości człowieka zakotwiczone w obiektywnej rzeczywistości, z nieubłaganą koniecznością rodzą konkretne religie, nadając im kulturowo zróżnicowane formy. Religia nie jest zatem wymysłem »dla ludu«, świadomie narzuconym, wyzyskiwanym przez kapłanów i panujących, aby ich sobie skutecznie podporządkować. Masowa religijność, wedle Marksa, pełni ważną funkcję w zaspokajaniu zrodzonej »w łonie ludu«, w rezultacie jego obiektywnej sytuacji życiowej, potrzeby pogodzenia się ze stosunkami wyzysku pracowników najemnych. Oskarżanie kapłanów jako przedstawicieli uprzywilejowanych warstw społecznych o to, że wspólnie z nimi obmyślili i narzucili »ludowi« religijną świadomość wraz z właściwą jej psychologią społeczną, bezzasadnie zakłada ich abstynencję wyznaniową połączoną z cynicznym wykorzystywaniem praktyk sakralnych dla swoich egoistycznych celów. Tymczasem także w świecie klas panujących działają, co prawda w inny sposób, podobnie społeczne mechanizmy kształtowania się religijności, niekiedy nawet bardziej intensywnie niż w środowisku mas ludowych, być może dlatego, iż panujące ekonomicznie grupy społeczne otrzymują »rozgrzeszenie«, które uwalnia je od moralnych

niepokojów związanych ze stosowania brutalnego wyzysku czy korzystania z życia na koszt społeczeństwa”⁵.

Prześladowania

O prześladowaniach przeciwników ideowych i politycznych donosi nam historia od momentu swego powstania. Panujący system zawsze dyskryminował swoich rzeczywistych i wyimaginowanych wrogów, uniemożliwiał im dostęp do nauki, twórczości naukowej i kulturalnej. W prześladowaniach tych poczesne miejsce zajmuje Kościół katolicki. Historia ateizmu – to nie tylko historia rozwoju jego myśli, ale również historia jego prześladowania. „Dominacja chrześcijaństwa, zrodzona z upaństwowienia tej monoteistycznej religii i z brutalnej, krwawej eliminacji innych wierzeń, na wieki określiła także stosunek do ateizmu. Był on czymś w zasadzie kompletnie niedopuszczalnym i siłą państwa okrutnie rugowany przez wieki” (s. 27-28). Chrześcijaństwo, jak na ironię, pomimo swego zwycięstwa musiało w znaczący sposób podporządkować się „logice i teorii pogańskiej Grecji i pogańskich filozofów. Nie ma teologii Augustyna Aureliusza bez Platona, nie ma św. Tomasza z Akwinu bez Arystotelesa” (s. 28).

Droga do ideologicznej dominacji teologii chrześcijańskiej stała się możliwa dzięki temu, że została w średniowieczu wyposażona w państwowe aparaty przemocy i panowania. „Średniowieczna teokracja stworzyła system, w którym nie tylko aktualna rzeczywistość mogła być wyłącznie chrześcijańska, lecz także i historia ludzkości, a nawet biologiczne powstanie człowieka musiały być zgodne z religijnym nieuctwem i interesami Kościoła jako instytucji. Szatańska instrumentalizacja prawdy i złożenie z niej ofiary na ołtarzu chrześcijańskiego imaginariu określiły kulturę europejską na wieki” (s. 29). Setki tysięcy osób stało się ofiarami bezpośrednich prześladowań Kościoła.

Ateistyczni autorzy musieli publikować swoje dzieła anonimowo lub pod pseudonimami. Ksiądz Meslier przedstawił swoje poglądy w specyficznej formie – w *Testamencie*, który został udostępniony dopiero po jego śmierci.

Jedną z ofiar tych prześladowań był Kazimierz Łyszczyński, były jezuita, wykształcony i obeznany z problemami filozofii, polski szlachcic, który za napisanie ateistycznej książki został skazany na śmierć i konfiskatę majątku. Przypiekano go ogniem, wyrwano mu język, obcięto rękę, ćwiartowano i spalono razem z niepublikowanym rękopisem jego książki *De non existentia Dei*. Zadenuncjowany został przez swego sąsiadę, Jana Kazimierza Brzuskę (ówczesnego stolnika bractwa ławskiego), który nie chcąc zwrócić pożyczonej mu przez Łyszczyńskiego dużej sumy pieniędzy, wykradł i przekazał sądowi rękopis traktatu, nad którym Łyszczyński rozpoczął pracę w roku 1674. Koronnym argumentem na rzecz ludzkiego pochodzenia religii była obecność wielu sekt i grup religijnych.

Przypadek Łyszczyńskiego, skazanego za ateizm, jest bardzo znamienity. Nie pomogło mu to, że książka została napisana kilkanaście lat przed procesem, że nie została opublikowana oraz tłumaczenie się że stanowiła jedynie pierwszy tom, a w drugim miała być jej krytyka. Łyszczyński prowadził sprawę o odszkodowania od instytucji kościelnych. Został aresztowany przez władze kościelne z naruszeniem zasady *neminem captivabimus*

nisi iure victim, a więc bez skazania wyrokiem sądu, co podważało jeden z zasadniczych przywilejów szlachty. Nie uznając tej decyzji oddano go pod sąd sejmowy, aby potwierdzić zasadę, że szlachcica można pozbawić wolności tylko na podstawie wyroku sądowego, co było zaporą przed samowolą władców i działalnością inkwizycji. Sąd sejmowy wymierzył jednak karę surową „aby uniemożliwić potencjalne zarzuty o chronienie bluźnierców przez władze państwowe, świeckie, i postawić tamę panoszeniu się Kościoła katolickiego” (s. 39).

Popularny jest stereotyp, że Polska była „państwem bez stosów”. Tymczasem wyrok na K. Łyszczyńskiego został wydany w 1689 roku po przereklamowanej w podręcznikach szkolnych konfederacji warszawskiej z 1573 roku wprowadzającej pokój religijny, po wygnaniu z Polski arian w 1658 roku, po przyjęciu przez sejm w 1668 roku uchwały zakazującej odchodzenia od katolicyzmu oraz karaniu śmiercią sekciarzy i kacerzy. Jeszcze nawet *Konstytucja 3 maja*, świętowana do dzisiaj m.in. z powodu wprowadzenia równości religijnej i pokoju religijnego, wprowadzała zasadę, że religia katolicka będzie „religią narodową panującą” i utrzymywała przestępstwo apostazji (czyli zakaz odstępowania od wiary katolickiej).

Poszczególne rozdziały w książce J. Kochana poświęcone są w zasadzie poszczególnym filozofom. Przy takiej konstrukcji nie udało się uniknąć pewnych powtórzeń omawianych problemów – przydałby się krótki skorowidz przedmiotowy. Ma to jednak pewną pozytywną stronę – zaprasza czytelnika i ułatwia mu samodzielne studiowanie myśli poszczególnych filozofów. Problemowy układ rozdziałów książki z pewnością wyostrzyłyby widzenie niektórych spraw.

* * *

Książkę Jerzego Kochana można polecić wszystkim tym, którzy krytycznie patrzą na historię religii i kościołów. Z pewnością znajdą w niej coś nowego, czego wcześniej nie wiedzieli, co wywoła nowe refleksje i skojarzenia. Jest godna polecenia również dla zdecydowanych obrońców religii i kościołów, gdyż mają do czynienia z książką zawierającą nowoczesną postać antyklearykalizmu i ateizmu, napisaną z pasją i znanstwem historii filozofii europejskiej. Nie będą musieli odwoływać się do nadużyć i uproszczeń z okresu stalinizmu i będą mogli swoją krytykę ateizmu i antyklearykalizmu wznieść na nowy, wyższy poziom merytoryczny.

EDWARD KAROLCZUK

Jerzy Kochan, *De non existentia Dei, czyli o nieistnieniu Boga*, Scholar, Warszawa 2015.

- 1 Karol Marks, *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła t. 1*, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, s. 588.
- 2 Paul Thiry baron d'Holbach, *Teologia kieszonkowa*, z francuskiego przełożył i odredakcyjnym wstępem opatrzył Jarosław Ładosz, Warszawa 1997. Materiał powielony.
- 3 Fryderyk Engels, *Literatura emigracyjna*, K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 18, Książka i Wiedza, Warszawa 1969, s. 590.
- 4 K. Marks, *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa. Wstęp*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła t. 1*, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, s. 458.
- 5 Marek Zagajewski, *Opiumologia stosowana*, „Zdanie” 2013, nr 1-2 (156-157), s. 14-15.

ANDRZEJ KURZ

PREZENTACJA LAUREATA

Przyszliśmy na spotkanie z Krzysztofem Jasińskim, naszym przyjacielem, aby wyrazić nie tylko uczucia trwającej od początków „Kuźnicy” bliskości, ale by dać świadectwo naszego podziwu i uznania dla jego dzieła i jego wiecznej młodości, a także dla jego postawy przywódcy całego środowiska, artysty i obywatela.

Jasiński, współtwórca i prekursor wielkich przemian w kulturze wywołanych w świecie przez bunt młodzieżowy roku 1968, jest w pewnym sensie późnym dzieckiem polskiego Października 1956, co było jednym z najważniejszych wydarzeń historii Polski w XX wieku. Warto też przypomnieć, że stosunkowo niedawno wręczaliśmy *Kowadło* współtowarzyszowi Krzysztofa w jego drodze twórczej – wielkiemu artyście i obywatelowi Jerzemu Treli, nagrodę taką otrzymał też studentki przywódca epoki popaździernikowej w Krakowie nasz Honorowy Prezes Hieronim Kubiak, a zupełnie niedawno lider „październikowej odnowy” na Uniwersytecie Jagiellońskim, prof. Marian Stępień. Nie dalej jak wczoraj spotkałem się też z innym laureatem naszej nagrody, przywódcą październikowych wydarzeń w Krakowie, sędziwym prof. Markiem Waldenbergiem.

Jednak dziś, i nie tylko dziś, naszym bohaterem jest Krzysztof Jasiński, animator wielkich przemian w polskiej kulturze, ale też twórca ciągle poszukujący i przewodzący wielu, który przeszedł wielką drogę ku spokojniejszej dojrzałości, a nawet – dostojeństwu. Przechodziliśmy tę drogę wraz z nim, wzbogaceni przez jego twórczość – jego teatr, i dziś pozostaje mi tylko uderzyć w wielkie kowadło, a za chwilę, po laudacji jaką zechciał przygotować Adam Komorowski, obdarować Laureata!

Rada Stowarzyszenia

„Kuźnica”

przyznaje

Krzysztofowi Jasińskiemu

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

► Jego dorobku w dziedzinie polskiego teatru i wyjątkowej w nim pozycji jako założyciela teatru STU, którym kieruje nieprzerwanie od lat pięćdziesięciu,

► roli, którą odegrał w kulturze studenckiej lat 60. i 70. ożywiającej całą kulturę polską i wzbogacającej światowy ruch kontrkultury,

► Jego postawy obywatelskiej i zaangażowania w naprawę świata poprzez teatr.

Kraków, 18 lutego 2016 r.



Fot. Andrzej Głuc

ADAM KOMOROWSKI

RWANIE W SKRZYDŁACH

Krzysztof Jasiński stworzył i tworzy własny teatr od równo półwiecza. Teatr nazywa się STU. Oczywiście laureat *Kowadła* to nie tylko STU, ale dla potrzeb tej laudacji będę słów STU i Jasiński używał wymiennie. Korzystam z formuły Włodzimierza Majakowskiego „gawarim STU podrozumiewajem Jasiński / gawarim Jasiński podrozumiewajem STU”.

W niezwyklej fakcie istnienia STU i tworzenia go przez 50 lat przez tego samego człowieka zawarte są różne aspekty. Sam fakt kierowania przez twórcę, stworzoną przez niego niemałą instytucją kultury, przez tak długi okres jest zadziwiający i mamy spore kłopoty ze wskazaniem kogoś i czegoś podobnego. Człowiek, który zapewnił przetrwanie instytucji kultury tak długo budzi nasz podziw i zazdrość dla swoich umiejętności, które można najogólniej określić jako menedżerskie. Jest tak szczególnie dzisiaj, kiedy samo przetrwanie traktowane jest jako wartość najwyższa. To wywyższenie nagiego przetrwania jako niekwestionowanej wartości, jak zauważył Zygmunt Bauman, jest diabelskim spadkiem pozostawionym nam przez Zagładę. Dlatego mamy cenić tych, którym udało się przetrwać, staramy się nie pytać. W tej kwestii pozostajemy nieświadomymi darwinistami.

Nie chcę powiedzieć, że nie podziwiam zdolności organizacyjnych Jasińskiego, ale nie jest moim celem napisanie poradnika coachingu kadry kierowniczej. Tym bardziej że owo przetrwanie STU w dwóch różnych rzeczywistościach, realnego socjalizmu i realnego kapitalizmu, wystarczająco intryguje wypowiadających się o STU i przesłania aspekt o wiele bardziej istotny, kwestię ciągłości w kulturze i historii.

Przetrwanie i trwanie STU jest dla mnie pewnego rodzaju darem, bowiem o znaczeniu zachowania ciągłości nam przypomina. Tym bardziej że trudno wskazać w kulturze polskiej inne podobne przykłady. Teatr STU jest miejscem wyjątkowym, ponieważ pozwala przyjrzeć się i prześledzić dialektykę myślenia pokolenia, onegdaj określanego pokoleniem Polski Ludowej, a potem „pokoleniem 68”.

Przyglądając się i myśląc o dziele STU, mogę próbować zrozumieć formację, do której należę, jej dylematy, porażki i dokonania. Próba dostrzeżenia ciągłości owej formacji i jej ewolucji, jest możliwa dzięki STU. Utwierdza nas w przekonaniu, że istnienie formacji „pokolenie 68” nie było u swoich źródeł młodzieńczą uzurpacją, a dziś nie jest jedynie domniemaniem trzymających, anachronicznej i biologizującej kategorii pokolenia, badaczy kultury. Zapewne w historii kultury pojawiają się pokolenia o mniej lub bardziej rozmytej tożsamości. Ale wiele. i STU także, wskazuje, że „pokolenie 68” w kulturze Zachodu zaznaczyło swoją obecność. Fakt, że pokolenie następne, przez badaczy niemieckich określane jako „pokolenie golfa”, tak wyraźnej tożsamości nie posiada, świadczy tylko na korzyść tego pierwszego.

Ten pokoleniowy stygmat jest także istotny z innego powodu – dowodzi, że pomimo Muru Berlińskiego i politycznych podziałów pozostawaliśmy, niejako na przekór geopolityce, częścią Zachodu. Mimo różnic i ograniczonej cenzuralnymi zapisami przestrzeni potrafiłmy dzielić wspólne niepokoje i troski. Pozwala nie odwracać się od przeszłości, uniknąć poddania się narcyzmowi chwili, teraźniejszości. Bowiem, jak mawiali amerykańscy transcendentaliści: „Pierwszą rzeczą, którą należy zrobić, jest zaprzestanie naszej wrogości wobec przeszłości”. To emersonowskie wezwanie jest jeszcze ważniejsze dzisiaj, w Polsce XXI wieku, aniżeli było w Ameryce wieku XIX. Mówiąc w dużym skrócie można powiedzieć, że ciągłość STU zabezpiecza nas przed jednostronnością hegemonii narracji IPN.

Lidia Burska, w swojej monografii *Awangarda i inne złudzenia. O pokoleniu 68 w Polsce*, referuje reakcję Tadeusza Nyczka, z 1970 roku, na *Spadanie*: „Pisząc o krakowskiej inscenizacji Krzysztofa Jasińskiego, Nyczek najbardziej docenia to, że zaangażowanie społeczne i polityczne aktorów i reżysera staje się »manifestacją i sztandarem postawy najbardziej osobistej«”. Wyznaje z egzaltacją: „tu objawia się najpełniejsza, najbardziej prawdziwa w pytaniach i wątpliwościach twarz młodego pokolenia”.

Możemy wybaczyć Burskiej wytyk Nyczkowej egzaltacji, ponieważ była zbyt młoda, by uczestniczyć w tamtych spektaklach. W tym sceptycznym wytknięciu autorka dotknęła istotnej sprawy, otóż Jasińskiemu udało pytania zadawane przez poetów Nowej Fali przełożyć na przeżycie zbiorowe. Nowofalowa kwestia: „Co ja tu robię?” została przez Jasińskiego przełożona na język teatru, to już nie była prywatna lektura tomiku Krzysztofa Karaska czy Juliana Kornhausera, to było rozpoznawanie się we wspólnocie widzów i aktorów. Oczywiście STU nie był jedynym miejscem takich zdażeń, ale był najbardziej emblematycznym i istnieje do dziś w zmieniających się konstelacjach, sam też podlegając ewolucji.

Znaczenie tych historycznych spektakli, zwłaszcza triady *Spadanie*, *Sennik polski* i *Exodus* dla ekspresji i zdobywania samoświadomości pokolenia nie ogranicza się tylko do tego. Jeśli zgodzimy się, że jednym z postulatów kulturowej kontestacji w skali globalnej w Krakowie, Paryżu, Berlinie, Nowym Jorku i Meksyku było przełamanie podziałów na kulturę elitarną – wysoką i popularną – masową, to możemy wskazać niewiele udanych przykładów takich działań, dla mnie osobiście był to amerykański Bread & Puppet, Teatro Popular de Bogota i właśnie STU.

W Polsce ani Grotowski ani Kantor, na Zachodzie ani Wilson, ani Brook ani Beck takich ambicji nie mieli. Światowy sukces wymienionych tutaj spektakli STU, granych na świecie dla wielotysięcznych widowni, miał między innymi tutaj swoje źródło. Nie jest przypadkiem, że zarówno Grotowski, Kantor i Brook ostro limitowali liczbę widzów na swoich spektaklach, dbając o aurę pewnej ekskluzywności. Dla STU praktycznie jedynym ograniczeniem w tamtych czasach mogła być pojemność pomieszczeń, w których grano.

Inna przyczyna sukcesu STU i Jasińskiego, zwłaszcza w czasie zagranicznych wojaży, jest mniej oczywista, a zapewne dla ówczesnych decydentów i sporej części krytyki była niezrozumiała. Jest to bowiem pewna polityczna osobliwość STU i suwerenność wrażliwości Jasińskiego, dla której znalazł wsparcie u współautorów *Spadania* i *Sennika polskiego* Edwarda Chudzińskiego i Krzysztofa Miklaszewskiego oraz *Exodusu* Leszka Aleksandra Moczulskiego.

Najkrócej można powiedzieć, że Jasiński nigdy nie dał się wpisać w wyłączość kontestacji realnego socjalizmu. Być może fakt, że Krzysztofowi stosunkowo wcześniej udało się przeczuć jednostronność antykapitalistycznej kontestacji alternatywnego teatru na Zachodzie, pomógł w dostrzeżeniu, że większość upierdliwości naszego życia ma nie tyle źródła systemowe ale cywilizacyjne, że choć dzieli nas Żelazna Kurtyna, to troski są wspólne, a bariery stawiane spontaniczności istnieją tam i tutaj, że – by posłużyć się Różewiczem – „spadamy we wszystkich kierunkach, na podobieństwo róży wiatrów”, tak w Krakowie, jak w Nowym Jorku i Erlangen. Fakt, że nasza nowoczesność i procesy modernizacji miały charakter nieco peryferyjny, ustrojowo inaczej sformatowany nie zmieniał tego, że Stary Świat wartości i autorytetów sypał się zarówno na Wschodzie jak i Zachodzie.

„Podtrzymywanie radosnych pozorów trwania pochodu” (Jarosław Markiewicz) nie było monopolem realnego socjalizmu, jak się niekiedy mogło wydawać

Stanisławowi Barańczakowi i twórcom Teatru 8 Dnia. „Policje – tajne, widne i dwupłciowe” nie były monopolem realnego socjalizmu. Paradoksalnie można powiedzieć, że wiara w wyzwajające moce konsumpcji i produkcji śmieci (także kulturowych) w społeczeństwach gospodarek niedoboru mogła być silniejsza, aniżeli w tych bardziej rozwiniętych. Marzenie o świecie, w którym „jedyne problem znaleźć miejsce do parkowania” (S. Barańczak) pozostaje niezaktłócone.

Kryzys teatru w latach 60. miał zasięg globalny. Konstanty Puzyna w 1969 r., w rozmowie z Tadeuszem Różewiczem, stwierdzał: „Teatr się skończył. Jako gatunek sztuki. Tkwi dziś w przedsionku muzeum... Można jeszcze napisać wiele świetnych sztuk, zrobić nie jeden dobry spektakl... Ale znaczenie teatru w rozwoju kultury jest coraz bardziej problematyczne. Przestaje być nieodzowny... Trzeba by znaleźć dla teatru – nową – funkcję społeczną, jaką miał kiedyś i jaką utracił. Nową zasadę porozumienia z widzem, która by sprawiła, że znowu stanie się potrzebny”. Jasiński i STU należeli do tych, którzy tę nową zasadę porozumienia z widzem znaleźli. Docenił to sam Puzyna i swój teatralny pesymizm złagodził.

Spadanie, *Sennik polski* i *Exodus* będąc spektaklami nicowały społeczeństwo spektaklu, świat współczesny jako miejsce, gdzie: „Pod roziskrzoną rozmaitością spektaklu świat współczesnego społeczeństwa opanowany jest przez banalizację” (Guy Debord). Pokazywały, że jeżeli nawet świat współczesny zdominowany jest przez pozór spektaklu, w którym istnienie równa się byciu widzianym (idolem, władzą, celebrytą), to teatr może być miejscem fizycznego i cielesnego doświadczenia wspólnoty widzów i aktorów. Tylko tyle i aż tyle.

Okazało się, że widz był zmęczony deklamowaniem prawd i półprawd. Nie oczekiwał, by teatr był jeszcze jednym depozytariuszem niezmiennych prawd. To rozumieli już twórcy teatru absurdu. STU wybrał inną drogę. Zastosowana przez Jasińskiego technika rozchwywania pozorów, stereotypów, klisz, nowomowy Wschodu i Zachodu była dużo bardziej fascynująca, aniżeli Brechtowska dydaktyka zakładająca wspólnotę wyznawanych wartości, która na Wschodzie i Zachodzie należała już do przeszłości. Problem polegał na tym, że wspólnoty oparte na dekonstrukcji nie mają długiego trwania.

Teatr absurdu doświadczył tego stosunkowo szybko. Natomiast formuła teatru otwartego znajdowała tylu naśladowców, że się szybko dewalutowała. Jasiński rozumiał to równie szybko jak Różewicz, powracający w latach 70., po wyczerpaniu poetyki zbliżonej do teatru absurdu, do formy scalonej, skończonej w *Do piachu*.

Jasiński realizuje wówczas spektakle: *Szaloną lokomotywę*, *Pacjentów*, *Króla Ubu*, *Operetkę*. Pozostaje jednak wierny ambicji tworzenia teatru ponad podziałami na kulturę wysoką i popularną. W dużym stopniu mu się to udaje. Namiotowy czas STU i specyfika wykreowanej dla tych spektakli przestrzeni teatralnej domagałyby się głębszej analizy. Istotne jest, że Jasińskiemu udało się wykroić dla swojego teatru kawałek autonomicznej przestrzeni. Rezygnacja z namiotu pozwoliła mu na zmagazynowanie energii na przestrzeni co prawda mniejszej, ale właśnie przez zmniejszenie – o zwiększonym potencjale tykającej bomby.

Stosunkowo niewielka przestrzeń przy ul. Krasińskiego stała się laboratorium prób tego, czym może być teatr w innej rzeczywistości, nie tylko politycznej i systemowej ale – co równie istotne – ekonomicznej. Ten kolejny etap historii STU jest zbyt wielowątkowy, by dokładnie go analizować. Mam zresztą w tej materii pewne luki z powodu wieloletniej nieobecności w kraju. Nie ulega wątpliwości, że spektakle realizowane na Krasińskiego przez Jasińskiego dowartościowywały pewne ukłasyzczenie formy. Odczytuję to jako jego bunt wobec nowej sytuacji teatru w warunkach wolnego rynku, kiedy nikt, ani władza, ani społeczeństwo nie jest zainteresowane wsłuchiwaniami się w propozycje artystyczne, a najsukcesowniejszą formą wzbudzenia takiego zainteresowania są skandale medialne wywołane za sprawą sztuki.

Promocja za pomocą skandalu nigdy Jasińskiego nie interesowała. Pozostał przy swoim przeświadczeniu, że skumulowana w spektaklu energia może wyzwoić wystarczająco silne reakcje widza – bez skandalu. W tym ukłasyzczeniu zawarty jest pewien element świadomej prowokacji, wyzwania wobec obowiązujących form przyciągania uwagi.

Zawsze było wielu, który przychodzili do teatru w nadziei spełniania przez niego funkcji ludycznej. Nie ma w tym nic złego. Jest to jednak teatr przez małe t, a Jasińskiego zawsze interesował tylko Teatr z dużej litery, czyli teatr jako miejsce, gdzie widz z aktorem dokonuje rytualnej ablucji, coś jakby kąpieli w Gangesie. Tak było w *Spadaniu*, *Exodusie* (gdzie ablucja fizycznie się pojawia), tak było w spektaklach „namiotowych”, *Kur zapiał*, *Kolacji na cztery ręce*, sztukach Samuela Becketta, Szekspira i Fredry, i jest obecnie w wypadku tryptyku Wyspiańskiego. Zawsze wyzwolona przez spektakl energia ma kreować wspólnotę przeżycia. To przeżycie, możemy nazwać także doświadczeniem estetycznym, następujące w warunkach fizycznej bliskości, a nawet pewnego stłoczenia ciał jest dowodem, że wspólnota w ogóle jest możliwa, nawet jeśli jej trwanie miałoby być ograniczony tylko do czasu spektaklu. Ludzi przychodzących do teatru może wszystko różnić, mogą się nawet nienawidzić, ale teatr może dowieść, że na godzinę lub dwie mogą wspólnie coś przeżyć, zadać sobie wspólne pytania. Teatr niekoniecznie daje na te pytania odpowiedzi, nie w tym rzecz, teatr pokazuje, że te pytania mogą nas łączyć bardziej niż odpowiedzi. To się w STU zawsze wydarzało i dlatego ludzie tam przychodzą.

Jest to istotne szczególnie dzisiaj, bowiem zagarnięci bywamy coraz bardziej przez pseudowspólnoty wirtualne. Portale społecznościowe, jak zauważył Bauman, bynajmniej nie tworzą wspólnot, ale roje, są pułapką niebezpieczną dla życia społecznego. Katalizując się do wspólnot w sieci zabezpieczamy się przed ryzykiem fizycznej obecności drugiego, reakcją z nim *face to face*, ale *de facto* popadamy w solipsyzm. Kompulsywna potrzeba komunikowania się w sieci pozabawia nas i innych fizycznej obecności. Grecy mieli agorę i teatr. Nam został tylko teatr, jedyne miejsce, gdzie niezdygitalizowane słowo może sprawdzić się w ciele, dotrzeć do nas wzmocnione energią ciała aktora, publicznie sprawdzone. Nie rozstając się ze swoimi lphonami podświadomie za tym tęsknimy, ponieważ nie chcemy tak do końca stać się bytami wirtualnymi, wiązką bitów w roju. To dlatego ludzie do teatru cho-

dzą i będą go potrzebować jeszcze bardziej. Zwłaszcza takiego jak STU. Już w swoich początkach STU nie odwoływał się do widowni już ukształtowanej, kwestionował jej obiegowe mniemania i ekskluzywne uprzedzenia „tych co bywają w teatrze”, zawsze tworzył własną widownię i udaje mu się to nadal. W tym aspekcie uwalniania wspólnot spontanicznych, zjednoczonych wspólnym przeżyciem, wspólnym zadawaniem pytań i w kwestionowaniu obiegowych opinii STU jest, być może najbardziej wierny źródłowym niepokojom „Pokolenia 68”.

W tym miejscu pojawia się *Rewizor* Gogola. Ale to już nie jest sztuka o korupcji w prowincjonalnym miasteczku carskiej Rosji. Jasiński pokazał zamazane drugie dno tej arcysztuki. Uczestnicząc w tym ostatnim spektaklu STU widzimy, że jest to także dramat o oczekiwaniu. Naczelnik i żałosne prowincjonalne urzędnicy, przed którymi trzęsie się ze strachu całe miasto, jakoś dziwnie przypominają nas samych. Wszyscy mamy bowiem jak Horodniczy czyli Naczelnik i jego totumfaccy coś na sumieniu. Wszystkich nas łączy lęk, „że się wyda”. Wszyscy jesteśmy grzesznikami i czekamy na Mesjasza. Cicho, w skrytości liczymy, że kiedy się pojawi, potrafimy go rozpoznać i na swoje przekabacić. Arcyludzkie oczekiwanie w pewnym momencie zastępuje działanie. Z jednej strony oczekujemy, że ktoś nas rozliczy, skontroluje, ale z drugiej strony liczymy na to, że potrafimy go na swoją stronę przeciągnąć. *De facto* nie czekamy bowiem na Mesjasza i sąd, ale na Chleściakowa. Gdybyśmy bowiem nie czekali na rewizora, gdyby to nasze oczekiwanie nie było tak przepelnione nadzieją, że sobie i z nim poradzimy, i odkupienie grzechów i zaniechań „załtwimy”, nie dalibyśmy się poddać zbiorowej sugestii, że Chleściakow to rewizor.

Teologiczny wymiar twórczości Gogola w spektaklu Jasińskiego, na przekór cyrkowemu sztafarzowi, jest doskonale widoczny. Wolimy czekać na Mesjasza w nadziei, że wkupimy się w jego miłosierdzie, zamiast spróbować osądzić się sami i coś zmienić. STU pokazało, że zmiana możliwa jest i bez rewizora. I tylko wtedy ma głębszy sens.

Ponieważ na początku zaznaczyłem, że Jasiński to nie tylko STU zakończę anegdotą. W 1978 roku, pewna zauroczona Krzysztofem piękna wykładowczyni na wydziale teatralnym UNAM wiozła nas swoim czarnym Mustangiem w mieście Meksyk. Gdy znajdowaliśmy się tuż przed wejściem do Pałacu Prezydenckiego, Krzysztof zauważył idące do katedry przez plac Zocalo trzy młode kobiety. Znajdowały się około 100 metrów od naszego samochodu, widzieliśmy je tylko z tyłu, ale Krzysztof stwierdził autorytatywnie: „Patrz, polskie pupy!” Nie mogło być pomyłki, mowa ciała, tj. pośladków była jednoznaczna. „Para te!” powiedziałem do Marii Luz. Zatrzymała samochód w miejscu absolutnie na to niedozwolonym i wyskoczyliśmy z samochodu. Pobiegliśmy w kierunku trzech młodych kobiet kilkadziesiąt metrów i krzyknęliśmy: „Panie Polki!” Trzy młode kobiety zaskoczone odwróciły się, a gdy znalazłyśmy się bliżej, jedna z nich oznajmiła pozostałym: „Patrzcie, Czorgut!” Jeszcze raz się przekonałem, że w kwestii mowy ciała dobry reżyser nie może się mylić, nawet jeśli dla młodych Polek był bohaterem serialu.

ADAM KOMOROWSKI

KRZYSZTOF JASIŃSKI:

SAM SIĘ MIANOWAŁEM DYREKTOREM STU I SAM SIĘ ODWOŁAM

Jestem bardzo wzruszony tą nagrodą, gdyż nigdy się nie spodziewałem, że spotka mnie taki zaszczyt. Nagroda środowiska lewicowego jest ukoronowaniem moich wielu nagród. *Kowadło* będzie stało na poczesnym miejscu w moim domu i będę myślał o Was! Tym bardziej że kiedy zaczynaliśmy Teatr STU, nie chodziło o politykę. Chodziło o bunt artystyczny wobec tego, co oferowała szkoła teatralna, w której przygotowywaliśmy się do zawodu.

Gdy przyjechałem z Poznania do Krakowa, w „małej żyrafie” Klubu Pod Jaszczurami spotkałem bliskich sobie potem ludzi, na oko krótko ostrzyżonych – Wiesława i Mieczysława Dymnych. Od razu jasne było, że wdepnąłem. Potem poznałem Waldemara Krygiera i Edwarda Chudzińskiego – dwie osoby, które mnie wprowadzały w teatr studencki.

Moim matcznikiem było Zrzeszenie Studentów Polskich. W działalności w ZSP byłem już zaangażowany w Poznaniu i właściwie wszystko zawdzięczam tej organizacji. Spotkałem wtedy sekretarza Rady Naczelnej ZSP – nazywał się Stanisław Ciosek i Eugeniusza Mielcarka, który był wtedy w Poznaniu szefem ZSP na uniwersytecie. To ta organizacja mnie ukształtowała i wypchnęła, w konsekwencji, do teatru. Jej zawdzięczam wszystko.

W Krakowie zdarzył się Teatr STU i odniósł błyskawiczny sukces. To zaczęło się kilku miesięcy, ale na pewien konkretny dzień, dwudziestego lutego 1966 roku, kilkanaście ważnych dla mnie osób otrzymało zaproszenie na spotkanie założycielskie. Już po dwóch miesiącach były premiery, a w czerwcu wyjechaliśmy do Erlangen (RFN) na festiwal. To był nasz pierwszy wyjazd na Zachód, a Wojtek Pszoniak, który mieszkał na Śląsku, mówił że jedziemy do „faterlandu”. Wróciliśmy opromienieni sukcesem. Rok później z Zagrzebia też przywieźliśmy Grand Prix i staliśmy się „europejskim teatrem studenckim”. Potem przyszedł Marzec’68, a ja zostałem szefem strajku w szkole teatralnej. Jeżdżąc wielokrotnie do Francji nie mieliśmy kompleksu, bo nasi rówieśnicy swój chrzest bojowy przeszli dwa miesiące później – w maju 1968 roku.

W tymże roku w Krakowie miał się odbyć Festiwal Kultury Studentów, ale odroczono go z powodu „wydarzeń marcowych”. W maju 1969 roku, na jego otwar-

cie wyreżyserowałem na dziedzińcu wawelskim widowisko *I ciągle widzę ich twarze*, w którym, wspólnie z Edwardem Chudzińskim, sięgnęliśmy po raz pierwszy do utworów Stanisława Wyspiańskiego. Potem zaproponowano mi przygotowanie widowiska w Auschwitz-Birkenau – w rocznicę wybuchu II wojny światowej. Zebrało się tam prawie 100 tysięcy ludzi, a Gomułkę dowieziono jakimiś bocznymi drogami, musiał pokonać pieszko jakieś wertepy i rowy melioracyjne, zamoczył skarpetki i narzekał, że się zaziębi. Ale po obejrzeniu widowiska mu przeszło. Na protagonistę chóru wybrałem wówczas młodego aktora, który się nazywał Jerzy Żelnik i wraz z nim prowadziliśmy to spotkanie w obecności Gomułki. Stałem się więc specjalistą od wielkich widowisk, które miały charakter polityczny, a na pewno wydźwięk patriotyczny.

W latach 70. osobą niezwykle ważną dla mnie stał się obecny tutaj Józef Klasa. Jako człowiek utożsamiający się z lewicą przez całe życie, nie godziłem się na to, co było strupem w realnym socjalizmie, garbem, który nas uwierał. Każdy z nas ma do dziś ślady po plastrach, którymi próbowaliśmy zalepić te obolałe miejsca. I oto pewnego razu przychodzi do Jaszczurów człowiek, wyróżniający się ubiorem, palący cygaro, który właśnie przyjechał z Kuby – to nowy I sekretarz KW PZPR w Krakowie. Wkrótce okazało się, że jest niezwykle wrażliwym na sztukę światowcem, fantastycznym człowiekiem. Otoczył opieką Teatr STU i nie była to opieka oficjalna, ale praktyczna, trzy razy ważniejsza. A kiedy do Krakowa przyjechał Castro, to Józef umyślił sobie, że ja powinienem poprowadzić spotkanie z nim w Miasteczku Studenckim. Nie chodziło o budowanie poparcia, bo Castro i tak był wówczas w Polsce bardzo popularny, ale raczej o to, by spróbować stworzyć podobną atmosferę, z jaką Castro spotykał się u siebie na Kubie. Prowadziłem to spotkanie z udziałem dwudziestu tysięcy studentów, razem z Jerzym Stuhrem. Atmosfera była rzeczywiście znakomita, Fidel rozkręcił się i... poszedł pograć w kosza – zamiast na Wawel, na oficjalną kolację.

Tymczasem Teatr STU się rozwijał, miał już światowe sukcesy i został zaproszony na największy wtedy w Europie festiwal do Nancy. Wsiadam w Paryżu do TGW, najszybszego pociągu, otwieram gazetę, „Trybu-



Fot. Andrzej Głuc

nę Ludu” naturalnie, bo taka była we Francji dostępna i widzę zdjęcie z wizyty szefa Francuskiej Partii Socjalistycznej François Mitterranda w Moskwie. Nagle uświadamiam sobie, że w przedziale siedzi przede mną właśnie Mitterrand! Nie rozmawialiśmy, wymieniliśmy się chyba tylko solniczką przy jajecznicy... Wsiadamy na dworcu w Nancy, a tam komitet powitalny – wita nas obu dyrektor festiwalu Jack Lang, późniejszy minister kultury Francji, bo – jak się okazało – Mitterrand przyjechał specjalnie na nasz spektakl!

Teatr STU nie wchodził jednak nigdy bezpośrednio w politykę. W czasie pamiętnych, sierpniowych wydarzeń w gdańskiej Stoczni im. Lenina byliśmy niedaleko, dwa czy trzy przystanki kolejką, cały teatr – z namiotem i najważniejszymi spektaklami: z *Szaloną lokomotywą*, z *„Pacjentami”*... Wystarczyło przejechać przez bramę stoczni, by stać się narodowym teatrem „Solidarności”. Wielu chciało. Powiedziałem: nie, bo to byłaby śmierć teatru.

Miałem w życiu kilka takich momentów, kiedy musiałem podjąć trudne decyzje. Ale dzięki temu teraz tu przed wami stoję. I miałem potem garb, jak wielu z nas tu obecnych, garb stanu wojennego. Wydawało mi się wówczas, że to koniec mojego teatru, bo jestem wypalony wewnętrznie i nie mam nic nowego do powiedzenia. Przecież wszystko powiedzieliśmy kilka miesięcy wcześniej, w chwili, gdy Jaruzelski został I sekretarzem KC, robiąc *Ubu króla* – rzecz o przewrocie wojskowym...

Tak, historia bywa przewrotna. Dziesięć lat później jesteśmy z Beą na Mazurach, noc, burza i nagle słyszemy natarczywe stukanie do drzwi! Zdumieliliśmy się nieco, ale okazało się, że to trzech ówczesnych związkowych dygnitarzy przyjechało do mnie, żeby ratować imprezę na dziesięciolecie „Solidarności”. Rocznicowy spektakl w Operze Leśnej miał reżyserować Jack Nicholson, ale wszystko się posypało, więc przyszli do

mnie. Długo się nie zastanawiałem, zgodziłem się i był to dla mnie pamiętny dzień. W mojej wizji widowiska mieli w nim zaistnieć różni ludzie „Solidarności”, a ja tuż przed próbą generalną dowiaduję się, że nie będzie Kuronia i Michnika, bo właśnie, po śniadaniu u arcybiskupa Gocłowskiego z Wałęsą i Kaczyńskimi, oni dwaj wyjechali. Widziałem triumf dwóch braci, którzy chodzili po amfiteatrze i odbierali gratulacje. Ciężko to przeżyłem, ale za to Wałęsa był główną postacią.

Tak czy inaczej byłem ciągle uwikłany w politykę. Kilkanaście lat temu dostaję telefon z Warszawy, że Lech Kaczyński prosi mnie o zrobienie widowiska z okazji rocznicy powstania warszawskiego i będzie na nim obecny niemiecki kanclerz Schroeder. Nie mogłem mu odmówić zważywszy, jaka to była rocznica!

Wszystko, o czym tu mówię, zmierza do dnia dzisiejszego. Od paru już lat planowałem odejście z teatru. Zaplanowałem precyzyjnie, bo chcę z ringu zejść w pełni sił. Sam się mianowałem dyrektorem Teatru STU i sam się odwołam – nikt nie będzie spode mnie stołka wyciągał. Teraz jest czas na młodych menedżerów, którzy rozumieją globalną wioskę lepiej ode mnie. Przestanę więc być urzędnikiem państwowym i stanę się prywatnym artystą.

Na zakończenie dyrektorowania zamierzałem zrobić Wyspiańskiego i oto okazało się, że wszystko poszło sprawniej niż myślałem. Tryptyk *Wędrowanie* ukończyłem o rok za wcześniej. Pomyślałem więc o najstarszych aktorach, z którymi przed laty zaczynałem i tak powstał – niejako na deser – *Rewizor* Gogola! Już od dawna chciałem się zmierzyć się z tym arcydramatem. Nie spodziewałem się, że jak dawniej z Edwardem, tak i tym razem idealnie wstrzelimy się w czas!

Warto się z tej okazji stuknąć wódeczką! ■

Nieautoryzowany zapis wypowiedzi (red.)

STANISŁAW GĘBALA

TADEUSZ RÓŻEWICZ

- ZAMIESZKAĆ W TERAŹNIEJSZOŚCI

Zastanawiam się, czy Tadeuszowi Różewiczowi można postawić bardziej niesprawiedliwy zarzut jak ten, który padł z ust prof. Tadeusza Śliwińskiego (a wcześniej został sformułowany „na piśmie”) w rozmowie z Violetką Szostak *Poezja to sprawa gardłowa*¹:

„Piszesz, że mamy dziś poetów, którzy nie są gorsi od Miłosza, Herberta, Różewicza, »pod wieloma względami są równie mądrzy, a nawet mądrzejsi, lecz niestuchani«. O co są mądrzejsi?

– Być może właśnie o tę uwagę zwróconą ku czasowi teraźniejszemu. Starzy mistrzowie miewali kłopot z aprobatą teraźniejszości jako tego, co naprawdę nastąpiło. Nie o to chodzi, że mieliby się godzić na to, jaka ta współczesność jest, ale w ogóle ją uznać, zauważyć istnienie”.

Otóż uwaga Tadeusza Różewicza zawsze była zwrócona ku czasowi teraźniejszemu. Spośród trzech wymienionych „starych mistrzów” był chyba najuważniejszym obserwatorem teraźniejszości, choć niezupełnie wolnym od nostalgii za przeszłością, którą dla niego definitywnie zamknął wojenny koniec świata. Trzeba rozumieć dosłownie tylekroć cytowany początek wiersza *W środku życia*: „Po końcu świata / po śmierci / znalazłem się w środku życia”. Musiało upłynąć dziesięć lat od zakończenia wojny, żeby mogły zostać wypowiedziane tak proste i jednoznaczne słowa. Przynajmniej przez parę pierwszych lat z tych dziesięciu poeta leczył wojenną traumę – a była to radykalna autoterapia, o której mówi np. wiersz *Widzę szalonych*, otwierający tom *Czerwona rękawiczka*:

Widzę szalonych którzy
chodzili po morzu
wierzyli do końca
i poszli na dno

teraz jeszcze przechylają
moją łódź niepewną
odtrącam te sztywne
dłonie okrutnie żywy

odtrącam rok za rokiem.

Jest to jeden z najbardziej znanych wierszy; cytowany i interpretowany zapewne dziesiątki razy. Ja chcę tylko zwrócić uwagę na słowo „teraz” – odcinające czas przeszły i wyznaczające granicę pomiędzy śmiercią a życiem, poza którą próbują „jeszcze” sięgać ręce umarłych. „Teraz” jest czasem życia, będącego niewątpliwie okrucieństwem wobec tamtych.

Ten krótki utwór ma niezwykle przejrzystą strukturę opartą na przeciwstawieniu czasu przeszłego i teraźniejszego. Oczywiście, dominują w nim czasowniki – trzy w czasie przeszłym i trzy w teraźniejszym, przy czym ostatni zostaje powtórzony, jakby ostatecznie przeważając szalę na rzecz teraźniejszości.

Podobnie krystaliczną strukturę językową posiada wiersz *Jak dobrze*, zamykający tom *Czerwona rękawiczka*. Tu pozostaje już tylko jedno słowo w czasie przeszłym, powtarzające się trzykrotnie:

Jak dobrze Mogę zbierać
jagody w lesie
myślałem
nie ma lasu i jagód.

Jak dobrze Mogę leżeć
w cieniu drzewa
myślałem drzewa
już nie dają cienia.

Jak dobrze Jestem z tobą
tak mi serce bije
myślałem człowiek
nie ma serca.

To „myślałem” odnosi się, oczywiście, do wojennej przeszłości i oznacza wyłącznie myśli złe, gorsze i najgorsze, które koniecznie trzeba usunąć z pamięci. Psychoterapia wydaje się nader prosta, bo sprowadza się do magicznych powtórzeń. Ową metodę bohater Różewicza będzie stosował konsekwentnie przez parę dziesięcioleci, rozpaczliwie podtrzymując swoje (stopniowo gasnące) złudzenie co do jej magicznej skuteczności.

Jednak w tej pierwszej powojennej dekadzie jest jeszcze pełen niezachwianej wiary – przede wszystkim

1 „Gazeta Wyborcza”, dodatek „Duży Format” z 4 lutego 2016.

w *Czas który idzie*. Taki „sorealistyczny” tytuł dał poeta *wierszom z roku 1950*, zresztą często kontrastującym z nim tonacją. Znalazła się wśród nich również *Obietnica*:

Ja człowiek pobity w tej wojnie
jak drzewo i trawa
ja wyziębiony
jak podziemia kościołów
ja dół pełen wspomnień
a jedno leżą na drugim

Stworzę dla was obraz nowy
pożywny i pełen ciepła

Obietnica socrealistyczna, ale autoprezentacja podmiotu jest wstrząsająca; nieodparcie przywołuje skojarzenie z masowym grobem, kryjącym warstwy trupów. Z takim bagażem wspomnień z niedawnej przeszłości – nie do udźwignięcia dla człowieka – zamieszkanie w teraźniejszości ze zobowiązaniem stworzenia jej obrazu nowego, pożywnego i pełnego ciepła, to był niewątpliwy heroizm poety, oskarżanego później wielokrotnie z tego właśnie powodu o konformizm i oportunizm.

A znakomitym przykładem próby realizacji owego zobowiązania może być choćby wiersz *W ciszy tak drogo okupionej* z tego samego tomu. Tu również poeta złożył ukłon doktrynie (obowiązkowe akcenty internacjonalistyczne), ale warto było to zrobić dla ocalenia utworu, który jest w istocie apologią domowego szczęścia – zupełnie nie do pogodzenia z założeniami socrealizmu. Oto początkowe strofy czteroczęściowego wiersza:

Śnieg kołował nad czarnym miastem
leży na hałdach senny biały ptak
Cisza jest w naszym domu
w ciszy żona się śmieje
jej śmiech wypełnia ciszę

Koroną złotych włosów błyska
przyciska rękę do piersi
Jej śmiech wypełnia ciszę
tak drogo okupioną

Powtórzą się one, nieco rozbudowane, w ostatniej części, tworząc jakby ramę utworu, którego druga część rozszerza perspektywę – już w całkowitej zgodzie ze wspomnianymi zaleceniami – na całą zniewoloną ludzkość, reprezentowaną tu przez „prostych ludzi” z Hiszpanii i Grecji. W ich domach „mieszka milczenie”. Milczenie to złowroga odmiana ciszy. To domena śmierci, z której „odszedł” śmiech. Nie umarła jednak w tamtych ludziach nadzieja na wyzwolenie, którą słychać w słowach piosenki więźnia.

W części trzeciej, zamiast kontrastu czerni i bieli z początku utworu, pojawia się zderzenie czerwieni i czerni – równie symboliczne:

W ciszy tak drogo okupionej
w mieście fabrycznym leży cmentarz
Czerwony mały cmentarz
w środku czarnego miasta
nagrobki z prostych desek
nad każdym stoi gwiazda

Już tylko najstarsi pamiętają te nagrobki z prostych desek z czerwonymi gwiazdami nad każdym z nich – cmentarze poległych żołnierzy radzieckich, lokowane w samym środku naszego miasta. Nieco później nagrobki z desek zostały wymienione na betonowe płyty, a jeszcze później małe cmentarze zniknęły z placów

w centrum, bo na obrzeżach miast powstawały prawdziwe nekropolie. Spoczęli tam ci, którzy – co warto pamiętać – najdrożej okupili naszą ciszę. Czy cytowany fragment daje się sprowadzić bez reszty do socrealistycznego schematu?

W końcowej części powraca obraz żony – z arcyważnym uzupełnieniem:

Koroną złotych włosów błyska
rękę przyciska do piersi Słyszę jej głos
„Dwa serca teraz biją we mnie”

Słyszę jej głos Słyszę jej śmiech
Szczęśliwy śmiech w tej ciszy.

To już prawie apoteoza żony, która na tym obrazie zostaje przedstawiona w aureoli. Jej piękne słowa: „Dwa serca teraz biją we mnie” oznaczają po prostu, że jest w stanie błogosławionym. Chyba nikt nie odważy się, patrząc w ów obraz, użyć słów trywialnych: „ona jest w ciąży” – ewentualnie można by użyć archaizmu „brzemienna”. Właśnie **teraz** osiągnęła pełnię szczęścia, którą wyraża jej śmiech – w ciszy tak drogo okupionej.

*

Tadeusz Różewicz nigdy nie uległ pokusie ocenyrowania swojego dorobku i usunięcia z niego twórczości z pierwszej połowy lat 50. Ba! Chyba nigdy takiej pokusy nie odczuł – wręcz przeciwnie, miał świadomość integralności swojego dzieła, której wyraz dał choćby w wierszu *Powrót* z tomu *Rozmowa z księciem*. Jest to integralność specyficzna, której istotą bywa również autopolemika. Warto zastanowić się na przykład, czy możliwe byłoby pełne zrozumienie *Kartoteki* bez znajomości utworów jej autora z okresu socrealizmu. Do czego byśmy wówczas odnosili choćby słowa Bohatera z rozmowy z Wujkiem: „Klaskałem. Okrzyki wydawałem”?

Równie ciekawa jest kwestia owego **teraz**, które postawiłem w centrum niniejszych rozważań. Dla Bohatera *Kartoteki* skurczyło się ono najdosłowniej do jednego dnia, do „dziś”, które jest akurat niedzielą. Postulujemy:

BOHATER *zapala papierosa, patrzy w sufit* Leże. Leże! Szefowie rządów i sztabów pozwolili mi leżeć i patrzeć w sufit. Sufit. Piękny, czysty, biały sufit. Kochani są ci szefowie. Można spędzić spokojnie niedzielę.

Po latach obowiązkowego optymizmu mógł już dojść do głosu skrajny pesymizm człowieka dobiegającego czterdziestki, który najpierw, w roku 1939, został oszukany przez mocarstwową propagandę głoszącą, że „nie oddamy ani guzika”, potem po wojnie z całą młodzieńczą naiwnością uwierzył innej propagandzie, głoszącej „walkę o pokój” i budowę „lepszego przyszłości”, a w roku 1956 przeżył szok wywołany ujawnieniem zbrodni stalinowskich. Właśnie wyrzucił na śmietnik wszystkie szczytne hasła, krzyczące z gazet i transparentów. Leży na łóżku i patrzy w sufit. Piękny, czysty, biały – który w każdej chwili może mu spaść na głowę, np. rozbity przez bombę.

*

Powojenne **teraz** wymagało od literatury przede wszystkim jednoznaczności słów. Tadeusz Różewicz bez wahania zaakceptował ten wymóg. Tom *Wiersze i obrazy*, zawierający utwory z lat 1951-1952, otwiera programowy wiersz *Poetyka*, którego część II warto cytować w całości:

Myślałem
 że słowa są lekkie
 jak puch
 lśniąco jak jedwab
 krągłe jak kolana dziewczyn
 beztroskie jak głosy ptaków
 myślałem
 że posłuszne
 przybiegają na każde wezwanie
 że można układać z nich obrazy
 których wieloznaczność
 kryje w sobie bogactwo
 Były w moim życiu
 słowa pożegnania
 i słowa nienawiści
 a potem słowa miłości
 a potem widziałem
 wydrapane
 na więziennym murze
 słowa nadziei
 Wszystkie one były
 jednoznaczne
 nie było między nimi
 porównania ani przenośni
 peryfrazy ani hiperboli
 Ale miały w sobie moc sądzenia
 i moc wzrostu
 i miały moc tworzenia

Bez wątplenia największą katastrofą dla poety jest odkrycie, że słowa, które wyrzekły się wszelkiej ozdoby, wieloznaczności, pragnienia podobania się i w ogóle wszelkich pięknych grzechów, popełnianych przez stulecia; że słowa, które zamiast lekkości puchu miały nabrać ciężaru jednoznaczności, aby mieć moc nieomylnego sądzenia – zostały zakłamane.

Następstwem tej katastrofy była kolejna: społeczna degradacja poety, która stała się głównym tematem tytułowego wiersza tomu *Rozmowa z księciem* (1960). Jednak poeta, którego nikt nie słucha, nie przestaje mówić do swoich współczesnych (potomnych wyklucza), uciekając się do *Żartu patetycznego*:

Mówię do polityków
 którzy mnie nie czytają
 mówię do biskupów
 którzy mnie nie czytają
 mówię do generałów
 którzy mnie nie czytają
 mówię do tzw. „prostych ludzi”
 którzy mnie nie czytają

będę mówił do wszystkich
 którzy mnie nie czytają
 nie słuchają nie znają
 nie potrzebują
 Oni mnie nie potrzebują
 ale ja ich potrzebuję

Ta determinacja widoczna jest w działaniach wszystkich bohaterów Różewicza, z których tylko jeden Bohater *Kartoteki* w proteście (krótkotrwałym zapewne) wybrał bierność i ostentacyjnie położył się do łóżka. No, może dwóch, gdyż Henryk z *Wyszedł z domu* (1964) w zakończeniu sztuki również wykonuje symboliczny gest odjęcia się od otoczenia, bandażując sobie głowę – ale tak, żeby nie zatykać uszu, co również można interpretować

jako rodzaj żartu patetycznego. Natomiast całkowicie serio trzeba traktować jego imiennika ze scenariusza filmowego *Moja córka* (1966), gdy wygłasza deklarację do złudzenia przypominającą tę z wiersza *W środku życia* („człowieka trzeba kochać”). Co ciekawe, jego słowa są skierowane w nieskończoną przestrzeń kosmosu – Henryk, leżąc na ławce w pustym przedziale pociągu jadącego nocą, patrzy w wygwieżdżone niebo i wygłasza w myślach swój wielki monolog wewnętrzny: „te wszystkie gwiazdy i galaktyki uciekają od siebie w nieskończoność... trzeba w tej pustce koniecznie ludziom mówić, że się ich kocha, nie trzeba się wstydić, trzeba głośno mówić »kocham was, kocham ludzi«...”.

Jednak w końcu lat 90. sam autor przyznaje się do poczucia klęski w poetyckim esej *Teraz*, otwierającym przejmującą książkę wspomnieniową *Matka odchodzi*:

»Kiedyś, dawno, w roku 1955 napisałem wiersz *W środku życia*...

Po końcu świata
 po śmierci
 znalazłem się w środku życia
 stwarzałem siebie
 budowałem życie
 ludzi zwierzęta krajobrazy

to jest stół mówiłem
 to jest stół
 na stole leży chleb nóż
 nóż służy do krajania chleba
 chlebem karmi się ludzie
 człowieka trzeba kochać
 uczyłem się w nocy w dzień
 co trzeba kochać
 odpowiadałem człowieka

poeta! zestarzał się, stoi u „progu śmierci” i jeszcze nie zrozumiał że nóż służy do urzynania głów do urzynania nosów i uszu do czego służy nóż? do ucinania głów... gdzieś tam, daleko? blisko? i do czego jeszcze służy nóż? do ucinania języków które mówią językiem obcym i do rozcinania brzuchów ciężarnym kobietom do wycinania piersi karmiącym do urzynania genitaliów do wydłubywania oczu... i co tam jeszcze można zobaczyć w Telewizji? co przeczytać w gazetach? co usłyszeć w radio?

do czego służy nóż
 służy do ucinania głów wrogom
 służy do ucinania głów
 „kobietom dzieciom starcom”
 (Tak to się pisze w gazetach
 od stu lat...)

teraz kiedy piszę te słowa spokojne oczy matki spoczywają na mojej ręce na tych okaleczonych oślepionych słowach«.

*

Powtarzam od lat te same cytaty, a jednak niekiedy wciąż jeszcze nie mogę się opędzić od szkolarskiego pytania, które sam wielokrotnie wyśmiewałem: co poeta chciał przez to... I zawsze urywam w tym miejscu, bo przecież wiem, że on nie mówi **przez to**. On mówi po prostu **to**.

Dwa lata po odejściu Poety można już powiedzieć z całą pewnością, że Jego Słowo zachowało jednoznaczność i moc sądzenia.

STANISŁAW GĘBALA

Jacek Cygan

PAMIĘCI TADEUSZA RÓŻEWICZA

– Umarł Różewicz – ktoś rano zadzwonił,
Wchodzę w Onecie w „Popularne teraz”.
Jest śmierć poety lecz na drugim miejscu.
Na pierwszym news, że jakaś malarka
Maluje swoje obrazy wagoną na środku ulic.
Śmiech poety przez śmierci labirynt:
– *Kuchnia wasza mać! Sponsorzy szmiry i dziry!*

Stary poeta umarł, zostały wyrazy
współczucia. No i liter sterta.
To nie duch, to się tylko czas wyczerpał.
Duch jeszcze chętny tropić, przenikać, osądzać.
Tylko zegarmistrz już wskazówki związał.
Gdzie teraz jest, przez jaki *mur, który budowaliśmy razem*
dorzuca słowo do milczenia?

– Panie Tadeuszu, chce pan posłuchać piosenki do swoich słów?
– Niemożliwe, ma pan coś takiego?
Piosenkę kończy linijka: *Tylko tzy uciekają w głąb naszych ciał...*
– To nawet zgrabnie wyszło – mówi – a ZAiKS będą płacić? – dodaje z uśmiechem.
Innym razem odbieramy poetę starym garbusem z lotniska Okęcie:
– Panie Tadeuszu, jakie wrażenia z Amsterdamu?
– Słuchajcie, moi drodzy, w porównaniu z pobytem sprzed kilku lat,
to śledziów jakby mniej, za to kurwów więcej.

Poeta dożył sędziwego wieku.
Śmierć lubi czytać? Czekala cierpliwie.
Do końca miała nowe wiersze żywe.
Może nie mogła już zwlekać, przeciągać?
Musiała wybrać – przyjemność czy misja?
Tylko śmierć przecież niesie nieśmiertelność,
A życie ból w kolanach i daremność.

ANDRZEJ MENCWEL

COKOLWIEK W ŚWIECIE JEST, WSZYSTKO MARNOŚĆ

Tak, ten nasz Zdzisiek miał piękną śmierć; nie... czy śmierć może być piękna?, czy ten przymiotnik nie kłóci się z tym rzeczownikiem?, czy śmierć jest rzeczownikiem?, co ona ma wspólnego z rzeczą? To, że ciało doczesne nieodwracalnie w rzecz przemienia, zaś duszę nieśmiertelną przenosi w zaświaty? Co do ciała mam niejaką pewność, gdyż przemiany takiej nieraz już dotykałem, co do duszy nieśmiertelnej pozostaję w niewiedzy, którą jako bliską nicości mogę oszacować, ale nie wiem, jak przekazać. Czasem mówimy o jakimś pogrzebie, że był piękny, jednak nie z estetycznego zachwyty, który przewrotnie wyrażał wielbiony ongiś poeta mojej młodości (*a teraz weźcie, teraz wy potraficie / tyle zachwyty połączyć z pogrzebem*), lecz po to, by wychodząc z cmentarza grobowy epizod zamknąć i od żałoby się uwolnić. Można takie powiedzenie zgodnie przyjąć, jeśli był to pochówek przyjazny i pogodny, a niekoniecznie podniosły i ceremonialny. Zmarłemu niedawno pisarzowi, Tadeuszowi K. urządzono ceremonię państwową, a nad urną z jego prochami przemawiał nie tylko pierwszy obywatel Rzeczypospolitej, lecz wystrzelono też, szczęśliwie nie z armat, lecz z karabinów, trzy salwy honorowe pewnie dlatego, żeby uczcić pradawnego partyzanta, którym pisarz był jako nastolatek, ocalony dzięki śmiałej decyzji opuszczenia straceńczego oddziału. Nie sposób przecież utrzymywać, że honorowano tym wojskowym szykiem pisarza nie tylko do imentu cywilnego, ale też coraz bardziej osobistego i osobnego, który na sporo lat przed ostatecznym odejściem

schronił się we własnej niszy, udatnie nazwanej *nyżą* i w niej skutecznie oddalał się od tego wszystkiego, czego do siebie dopuszczać nie chciał.

Jeśli pogrzeb ten był piękny, a dla mnie był, to nie dla politycznych w istocie ceremonii, choć Tadeusz K. był zapewne ostatnim pisarzem polskim przez militarny ordynek uczczonym, i nie z powodu natrętnego w takich okazjach wzajemnego oglądactwa, jakby to była jakaś premiera albo benefis, lecz dlatego że w pewnej chwili, ujrawszy tę szkatułkę z jego prochami, poczułem żal tak serdeczny, iż musiałem zamknąć oczy i zacisnąć powieki, aby łzy powstrzymać. Wszyscy zaś ci oglądacze, którzy codziennie przecież się nie spotykają, nie zawsze witają ze sobą, może nawet wzajemnie nie kłaniają, bo nikt nie pojmuję, nawet oni sami, tych wybujałych między nimi, poprzez dramatyczne półwiecze, niechęci, abominacji i złości, wyrastających z dawnych przyjaźni i miłości; więc oni wszyscy pochylali przed tą urną swoje wytłuszczone i osiwiłe głowy, a jestem pewien, że niejednemu z nich ciarki biegły po krzyżu i łzy, jak mnie, cisnęły się do oczu. Pięknie było zatem uzmysłowić sobie podczas ostatecznego rozstania, że ten mistrz języka ojczystego, artysta sztuki prozatorskiej, wirtuoz słowa dźwięcznego był kochany do końca swoich dni, choć za życia mało mu to okazywaliśmy, a wierzę, że będzie kochany dłużej, na zawsze, jeśli jakieś zawsze jest jeszcze przed nami. W istocie miał talent, nawet geniusz, może największy w prozie polskiej od czasu Henryka Sienkiewicza, i mógłby pewnie opanować

wyobrażenie, umysł i zmysły swoich współczesnych oraz potomnych, jak dokonał tego autor *Trylogii*, ale w epoce totalnych ideologii i planetarnych przekąźników nie było to już osiągalne. W pisarskiej młodości głos skaziła mu ideologia, której nieopatrznie zawierzył, gdy się z niej wyzwolił, ograniczyli jego audytorium ci, do których zwracał się bezpośrednio, jak do swoich znajomych. Jego kawiarniany stolik stał się lokalną, warszawską legendą, co do mnie jednak, uważałem, że stanowi on swego rodzaju separatkę, i wołałem twórcę *Sennika współczesnego* jako przemykającego pod ścianami przechodnia, któremu parę razy towarzyszyłem. Czy pisarz powinien mieć przed sobą wizerunek czytelnika nieznanego, którego chce podbić, czy też kogoś bliskiego, komu chce się spodobać? Nie wiem, choć na pewno każde ograniczenie jest zubożeniem, ale chcąc go koniecznie uniknąć, nikogo nie wybierając, można zostać z nikim. Tadeusz K., myślę, wszystkie te dylematy wziął w siebie i swoim sposobem z nich wyszedł, przewrotnie mawiając pod koniec życia, że napisał górę książek właściwie niepotrzebnie, a czas jego dawno minął – choć wołałbym, żeby było inaczej. Dlatego może na tym pięknym pogrzebie, nie zważając na protokolarny ceremoniał, powinienem wstać w stosownej chwili i powiedzieć, słowami możliwie najprostszymi, iż żegnamy tutaj i teraz pisarza, który inaczej niż wielu naszych twórców, owładniętych ciągle rojeniami o dawnych wajdelotach, rządcach dusz i wykładaczach serc, chciał już być tylko szarym przechodniem na ulicach miasta świata, każdym z nas, człowieczyskiem. Wiedział bowiem dobrze, że pisarz nie może już niczego więcej zrobić, jak tylko pozostawić po sobie wiarygodne świadectwo człowiecze, które nam właśnie pozostawił. A ponieważ tego tam nie powiedziałem, więc tutaj zapisuję, żeby całkiem nie przepadło.

Ten Zdzisiek, o którym muszę i chcę mówić, gdyż spokoju mi nie daje od lat, do dnia swojej śmierci, nie był żadnym pisarzem, ani nawet literatem, lecz był chłopem, rolnikiem, gospodarzem, piszącym do mnie listy bezbłędnym, kaligraficznym pismem, miał też piękny, lecz inny pogrzeb oraz całkiem dobre umiowanie, jeśli ono może być dobre dla tego, kto umiera. Leżał sobie bowiem, nic nie robiąc, co mu się nigdy przedtem nie trafiło, w bielutkiej pościeli, w swoim własnym łóżku, roztawionym w paradnej izbie, zazwyczaj zamkniętej, a otwieranej tylko na największe świąteczne okazje, otoczony przez siostrzenice i kuzynki, tygodniami i miesiącami zwykle tutaj niewidziane, bo albo studiujące w odległych, wielkich miastach lub też w miasteczkach małych i bliskich, wprzęgnięte w swoje sprawy rodzinne. A teraz wszystkie one, a także sąsiadki starsze i młodsze, niektóre za życia ze Zdziśkiem skłócone, bo to albo jakaś przysługa nie została skwitowana, albo pożyczka odplacona, szkoda wyrównana, skupiały się w tym pustym zazwyczaj domu, gdyż zamieszkanym przez dwóch samotnych, starszych już braci, zarządzały nim i gospodarzyły tak sprawnie i zapobiegliwie, że choremu nie tylko na niczym nie zbywało, ale miał się lepiej niż kiedykolwiek przedtem, w ostatnim przynajmniej dziesiętku lat, od czasu gdy odumarała go matka, która była opiekuńczym duchem i ciałem tej rodziny. Kiedy tak patrzyłem na ten wijący się wokół śmiertelnie chorego

przyjaciela kobiety korowód, w którym ktoś zawsze mu coś podawał, poprawiał albo chociaż przy nim przesiadywał, myślałem sobie, że oni wszyscy tutaj, w obliczu dokonującej się nieubłaganej ostateczności, wykazują więcej niż rodzinną, gdyż rodową nieomal solidarność, a ten, kto z tego świata odchodzi, wie, że odchodzi od ludzi i ze świata ludzkiego. Nie było to dla mnie miłe pomyślenie, gdyż sam nie umiałem znaleźć dla siebie miejsca w tym orszaku troskliwych i pętałem się czasem niezdarnie przy łożu boleści, aby nie być posądzonym o nieczułość, co gorsza jednak, miałem żywo w pamięci, nie tak dawne wtedy, chorobę i śmierć mojej samotnej, starszej siostry Trudy, której w obcym dla mnie mieście i mieszkaniu nie dałem rady towarzyszyć, choć próbowałem, ale nie tyle siły, co woli mi zabrakło i umieściłem ją w końcu, sposobem pozaprawnym, mówiąc oględnie, w tamtejszym szpitalu, z którego już kilka tygodni wcześniej jako chorą beznadziejnie ją wypisano, a zmarła tam przy niechętniej służbie i w płataninie jakichś zimnych instalacji, przez nikogo bliskiego nie żegnana i dojmująco osamotniona.

Odejście Zdziśka nie było tak samotne, a zwłaszcza wyobcowane, jak szpitalna śmierć mojej źle kochanej przez wszystkich siostry, ale to nie znaczy, że nie pozostawiło we mnie ciernia serdecznego, zadry sumienia, dotąd mnie trapiących, które tym wspomnieniem dopiero pragnę jakoś zabiłnić, choć łudzę się pewnie mocą leczniczą słowa pisanego. Ta opowieść, właściwie jakaś nowa próba podróży, gdyż tak mi się zawsze składało, że najważniejsze spotkania z ludźmi przypadały mi niejako w podróży, we wzajemnym rozpoznawaniu i oswajaniu trwającym nieraz całe dziesięciolecia, a nie umiem inaczej z nich zdać sprawy niż takim sposobem, jaki sam sobie urabiam, aby uchwycić jednocześnie czasową płynność oraz substancjalną trwałość spotkania, czyli odnalezienia się dwojga ludzi we wzajemnym, możliwie pełnym zaistnieniu. Więc ten Zdzisiek, człek należący do najbliższych mi przez całe życie, umarł w mojej przytomności i na moich oczach, z ostatnim, pamiętnym na mnie spojrzeniem, przed dziesięciu prawie laty, po trzech dekadach bliskiej znajomości, przez znaczny czas będącej przyjaźnią. Cóż to jest przyjaźń? – zapytuje zaraz mój wątpiący w oczywistości umysł, rozważnie zatem kładę tutaj to zobowiązujące słowo, dość przecież teraz spospolitowane, przypominam sobie, jak pewien głośny w swoim czasie polityk krzyknął mi w słuchawkę telefonu, że ma dziesięć tysięcy przyjaciół, a jestem pewien, że mieli oni wszyscy dla siebie tyle dobrych uczuć, ile on miał dla tej słuchawki, kładąc zatem tutaj to słowo, ważę je i poważam jak miłość, gdyż jestem przekonany, że prawdziwa przyjaźń jest niewymienną i niezawodną we wzajemnym oddaniu i poleganiu na sobie. Pewien sędziwy i mądry pisarz powiedział mi ongiś, odwrotnie niż tamten polityk, że trzeba mieć w życiu chociaż jednego przyjaciela i tej prawdy staram się trzymać.

Przeżyliśmy ze Zdziśkiem szmat czasu, ponad trzydzieści lat wspólnej wędrówki, która powinna zasłużyć na trzydzieści chociaż kartek takiej próby, jeśli uda się je wiernie i dorzecznie zapełnić, co nigdy wobec ludzi naprawdę bliskich nie jest łatwe. Ta jego końcówka w odświętnym postaniu i w orszaku

sług poszła jednak bardzo szybko, chyba w miesiąc, w letni, pogodny, wyjątkowo łagodny miesiąc, bez burz i skwarów, gdzieś od połowy lipca do połowy sierpnia, dni dokładnie już nie pamiętam, trzeba będzie sprawdzić datę śmierci na jego granitowym nagrobku, na którym wierny portret rytowano, żeby to jakoś w czasie ułożyć, jestem jednak prawie pewien, że jeszcze w czerwcu mieliśmy sianokosy, którymi jak zwykle Zdzych dowodził, piękne, sute, bujne sianokosy, a właściwie przecież koszenie żywej, zielonej, gęstej, sięgającej czasem do pasa mieszkanki traw, kwiecia i ziół, która dopiero po skoszeniu i słonecznym przesuszeniu zamieniała się w lekkie, zwiewne, aromatyczne siano. Ach, jak lubiłem rzucać w nie swoich chłopców, kiedy się je grabiło i wałowało, zanim suche już i ułożone w kopki ładowaliśmy widłami na wóz, którym wieźliśmy je do gospodarstwa, aby tam wrzucać je znowu odręcznie na poddasza obory, jako zimową karmę dla krów, kiedy one jeszcze żyły w tej oborze.

Mawiam czasem zbyt patetycznie, jak historyk nawykły do wielkich potci czasu, że przeżyłem na tej wsi całą epokę, ale jeśli przypomnieć sobie te wszystkie formy sianokosów, jakie tam przerobiliśmy, to przez ćwierćwiecze wyjdzie nam może stulecie? Zaczynaliśmy co prawda nie od sierpa i kosy, jak w nieśmiertelnej *Konopielce* Edwarda Redlińskiego, choć trzeba pamiętać, że kosa pierwotnie służyła do sianokosów, stąd może zbieżność słowna, sierp zaś do żęcia zboża, dopiero później stała się powszechnym narzędziem żniwnym, co doprowadziło do maskulinizacji zbioru zbóż, bo to chłop był od kosy, a baba od pieca, w polu zaś od wiązania snopków, przy którym bardzo z nią być lubiłem, gdyż była to czynność naprawdę zmysłowa. Przychodzi mi teraz do głowy, że w sławnym symbolu *Mosfilmu*, czyli pokazującym się w czołowiec radzieckich filmów pomniku robotnika i chłopki, który parodiowaliśmy jako licealiści niezliczone razy, chłopce włożono w wyciągniętą triumfalnie rękę właśnie sierp, ponieważ była to oznaka emancypacji, gdy z kosą chodziła śmierć. Myśmy zaczęli sianokosy już od jednokonnej kosiarki i zgrabiarki, ręcznymi jednak nadal grabiami siano kopiliśmy, musiałem opłacać wyrafinowany chwyt, aby ostatnie wiechetki umiejętnie składać na szczycie, odręcznie też ładowaliśmy siano na wóz, rzecz jasna konny, a potem, jak już wspominałem, rozładowywaliśmy pod oborą, wrzucając je na poddasze na dwa lub trzy tempa: ja – Heniek – Zdzisiek, lub oni dwaj w odwrotnej kolejności, zależnie od tego jak Zdzisiek zarządził, bo to on był szefem, chyba że pojawiał się ojciec Stefan, który był jeszcze wtedy nadszefem. Tak czy owak, ojciec czy syn, mnie oszczędzano, dlatego miałem stałe miejsce na wozie, z pełnym oddechem i rozmachem, gdyż takie poddasza wypełnione wyziewami obory i bukietem siana bywają narkotycznie oszałamiające. Jeśli przesuszonemu i gotowemu do zwózki sianu groziła letnia ulewa albo, nie daj Boże, gradobicie, wtedy do pomocy zwoływało się sąsiadów i sąsiadki, bywało więc, że przy tej pospiesznej zwózce uwiijało się kilkanaście osób, przechodzących potem, z wzajemną pomocą, na łąki sąsiednie, dlatego też liczba mnoga, jakiej tu używam, jest uzasadniona.

Cóż to był za przewrót, kiedy potem pojawił się pierwszy ciągnik z kosiarką tarczową i przyczepą

samozbierającą, przy których już tylu ludzi nie było trzeba i dawaliśmy sobie sami radę, pozbawieni niestety podniecającej obecności rozgrzanych kobiet, za to na składanie i uruchamianie elektrycznej dmuchawy schodziło nam takie samo pół dnia, jak na ręczne podawanie siana na poddasze. Podczas tak zwanego transformacyjnego przełomu, a może jeszcze za starego reżimu, kiedy działały ciągle różne przydziały i talony, Zdzych kupił nowy, wielki, czeski ciągnik, familiarnie nazywany *bykiem*, który nie tylko szybkoobrotowo kosił trawę migiem i napędzał też prasę, ubijając otawę w zgrabne, choć ciężkie paczki, wynalazczo nazwane *ciukami*, ale zawoził również na miejsce, jak było trzeba, kilka pełnych przyczep naraz, osłanianych przed deszczem plandekami. Ponieważ dmuchawa działała, więc bez względu na pogodę przesyłaliśmy cały zasób suchutkiego siana płynnie na poddasze, sądząc, że już niczego bardziej dogodnego nie doczekamy. Jest też pewne, że Zdzisiek przedtem, zanim tam nastaliśmy, kosą całe łany kosił, razem ze swoim ułomnym bratem Heńkiem, który szczęśliwie jeszcze żyje, gdy próbuję to pisanie, widywałem ich nieraz, jak podkaszali zielone dla krów na przydomowym smugu, albo żyto na tym piaszczystym łanie koło nas, żeby wyciąć szlak dla wiązałki, kiedy się już jej dorobili, choć sznurek zawsze się w niej rwał i płał tak niemiłosiernie, że na pomoc trzeba było wołać politechnicznego wnuka dziadka Skowrona. Obaj bracia byli ułożeni do kosy, jak gospodarskie konie do zaprzęgu, śmigali kosiskami tak ręczo, że tylko klingi dzwoniły, a spalone słonce karki lśniły perlistym potem. Klepanie kos mieli też w małym palcu, a Henio, choć przekroczył osiemdziesiątkę, do dziś jest w tym niezawodny i wyklepuje mi idealnie kupiony w hipermarkecie półkosek, który chcę spatynować na zabytek. Półkosek to stylowa krzyżówka kosy i sierpa, klingę ma prostą jak kosa, lecz o połowę mniejszą, stąd pewnie nazwa, uchwyt zaś krótki jak rękojeść sierpa, narzędzie już całkowicie zapomniane i nie dojdę, jakim cudem, zresztą jednoznaczowo, znalazł się on w sprzedaży sieciowej, skoro nikt go już w naszej wsi nie kojarzy, a ja widziałem go przedtem raz jeden jedyny w litewskiej izbie pamięci gdzieś koło Puńska albo Szypliszek.

A dziś sianokosy, jeśli jeszcze się dokonują, jak wyglądają? Dziś, na te same łąki, na to nasze ukochane jezioro łąk posuwicie falujących w porannym szkwałe od brzegu bliskiego do prawie niewidzialnego, wjeżdża ciemnym wieczorem lub nocą megakombajn, ogłuszający hukiem silnika i oślepiający feerią świateł, który w parę godzin kosi to wszystko, co dawniej nam zajmowało parę tygodni, rano zaś zwija cały wielki pokos w olbrzymie bele obciążone białą folią i zostawia je nam na widoku, żebyśmy sobie mylnie wystawiali, że to jacyś kosmici tu wyładowali i nas otaczają. Przy całej tej gigantycznej robocie właściwie nie widać żadnego człowieka, choć w wyniosłej kabinie kierowcy siedzi student, syn farmerów, i nie ma jak krzyknąć – Szczęść Boże! Zarządza całą tą eskadrą ciężkich machin latających młode, energiczne, sympatyczne małżeństwo, hodujące więcej krów niż było ich przedtem w całej wsi. Jeśli przejeżdżając naszą gminną szosą, zobaczycie na wzgórzu za wsią otwarte dla przewiewu potężne obory, gdzie jak na fabrycznych taśmach przesuwają się setki krów, a obok

nich firmową cysternę mleczarni z Piątnicy, która z ich fermy odbiera mleko bezpośrednio, to bądźcie pewni, że rozpoznajecie uprzywilejowanego dostawcę jednej z najlepszych polskich i europejskich przeto mleczarni. Nikt nie targa już w ręku kany z mlekiem, ani na żadnym wózku jej nie toczy do punktu skupu, nawet Kulesiak z Trynosów przestał objeżdżać gospodarstwa swoją furą, na którą te kany z całej wsi wciągał i zbierał, jego podleśny skrót drogi zarósł poszyciem, zaś na tych wielkich połaciach tak krówek coraz mniej i coraz dalej pasą się od nas, bo nawet jak ktoś je jeszcze hoduje, to wypędzać na daleką pasionkę nie ma komu, albo się nie chce, co na jedno wychodzi. *Dawne życie poszło w dal, tylko koni, tylko koni, tylko koni* – śpiewała porywająco Maryla Rodowicz, myśmy jej sercem wtórowali, ale czy wy wiecie, jak nam tych krówek żal, jak nam żal samych siebie, bez współbycia tych krówek?

Więc może lepiej, że Zdzisiek tego wszystkiego nie dożył, bo na pewno by się w tym nie odnalazł, zostało po nim całe gospodarstwo, opustoszałe stajnie, obory i chlewy, nawet garaże też puste, oraz chłodnia na mleko, wówczas najnowsza w okolicy, której importowaną (to był kiedyś mocny przymiotnik) glazurę podchodzą brudne liszaje, czy jednak ktokolwiek ma prawo orzekać, że komuś drugiemu lepiej jest umrzeć niż żyć? Myśmy z Heniem to przetrwali, to całe stulecie w parę dziesięcioleci, daliśmy sobie z tym jakoś radę i nie narzekamy, lecz odpoczywamy, kochamy się prawie jak bracia, może lepiej, gdyż nie mamy ze sobą żadnych interesów, najwyższej sprawiamy sobie drobne przysługi, bo lubimy się szczerze i bezinteresownie, póki zaś zdrowie pozwala, wychylamy okazynie kwaterkę gorzałki zagryzając jak dawniej chlebem i solą. No, może jeszcze kwaszeniakiem, bo te wątroby, boczki i kaszany, cośmy zżerali niegdyś przy świnobiciach, to już teraz nie dla nas, a kielbasy domowe to podobno robi jeszcze ktoś na Malinowie.

Jaki właściwie jest ten Henio, najważniejsza po Zdziśku persona tej opowieści? Powiedzieć o nim, że jest mały, czyli niski, to nie powiedzieć wiele, gdyż prawie wszyscy w tamtym wymarłym pokoleniu byli niscy – jego ojciec Stefan, brat Zdzisiek, Wacek Sikorzak z przeciwka, Mietek za jednym płotem, Kasper za drugim, dwóch braci Podolaków, stary Olszewiak, pod którego ciągnik niegdyś prawie wjechałem, tylko jeden Samsluk był wyższy, wyróżniał się mocną posturą, ale zszedł już dawno, wcześniej, nie dociągnął chyba sześćdziesiątki, choć wydawał się okazem zdrowia. Oni wszyscy więc wedle mojej pamięci byli niscy, a przecież pięćset lat temu Jan Długosz, historyk nasz pierwszy i wielki, który zresztą chłopów uważał za plemię odrębne i *skalane*, pisał o nich, że *ruchu i postawę mają piękną, górują nad innymi siłą fizyczną, wzrostu są rosnącego i wyniosłego, ciała zdrowego, o członkach zręcznych, o barwie włosów mieszanej: jasnej i ciemnej*. Widocznie to pobratymcy i potomkowie Długosza tak ich do ziemi przez te pół tysiąclecia przyginali, że jeszcze w drugiej połowie wieku dwudziestego nawet ja, najwyższej średni w szeregu wojskowo szkolonych ongiś studentów, wydawałem się pośród nich sam sobie wysoki, co poprawiało mi samopoczucie, aż przerosła nas wszystkich z głową ta współczesna generacja mieszańców wiejskomiejskich. Mniejsza zresztą

o to, gdyż mówiąc o Heniu trzeba przyznać, że był on niski nie tylko ze wzrostu, lecz także z ułomności. Syn pierworodny Ferdysiaków przyszedł na świat krótko po ich ślubie, kiedy rodzice zaczęli samodzielnie włodarzyć, więc w sam raz, żeby przysposobić się do gospodarstwa i zostać jego dziedzicem. Tylko tego syna, niestety, babka, czyli domorośla położna, nikt wtedy na wsi, w latach trzydziestych zeszłego wieku lekarza do porodu nie wzywał, a gdyby wezwał, toby się nie wypłacił, babka zatem tak niezręcznie dziecię z łona matki wydobywała, że je jakoś przekręciła, czego następstwa trwały przez resztę życia dziecka i całej rodziny. Henio nie jest kaleką, ma sprawne ręce i nogi, głowę na karku, siłę chłopca i zręczność majstra, tylko tę głowę ma jakoś wepchniętą w ramiona, jedno ramię przez to wypchnięte w górę, a kark lekko skrzywiony, co skutkuje też wadą wymowy, sepleni on i zaczyna na zmianę, więc trzeba z nim beczkę soli zjeść, żeby go rozumieć, myśmy już zjedli niejedną, jak jednak nie widzimy się przez zimę, choć na święta grzańca staram się mu podrzucić, to od nowa muszę się w jego mowę wsłuchać. Może jego trzeba rozumieć sercem, nie rozumem, więc jak człowiek tego z bliskości nie przyswoił, to żadnymi studiami nie nadrobi.

Henio więc jest ułomny, dawniej prawie kaleka, taki na wsi nigdy nie miał dobrze, nawet gdy był robotny, bo go przesuwali, odsuwali, poniżali. Pośród rówieśników był zawsze gorszy, do zabaw i psot nieskory, do załatów niezdatny, więc też mieli go za niedojdę, niezgułę, garbusa, raczej do gnoju niż do tańca, ani do wypitki, ani do wybitki. Nawet złego przecierpieć musiał Henio w swoim życiu, te niezliczone przykrości zaś, których ciągle doznawał, umieć puszczać w niepamięć lub przestępować, żeby wcieleniem złośliwości nie zostać. Dlaczego mówią, że garbus jest złośliwy? – dlatego że dużo szykan wziął w siebie. Heniowi na pewno pomogli rodzice, zwłaszcza mama, którzy mimo następnych dwojga zdrowych i dorodnych dzieci, Zdziśka i Gienki, swego ułomnego pierworodnego w kącie nie odstawiła i o jego równoprawność zawsze dbała. Ojciec Stefan nie był uczuciowo wylewny, chyba zresztą nie było na świecie ojców gospodarzy wylewnych, gdyż w samej strukturze ich roli tkwiła dwoistość, która wylewność tłumiła – trzeba było być ojcem i szefem, ale szefem najpierw, bo gdyby firma upadła, to i z ojcostwa nici. Więc Stefan wobec synów był twardy, w ogóle raczej mruklawy i oschły, częściej wydawał polecenia, niż coś wyrażał, na mnie też by chętnie huknął, wobec swego pierworodnego bywał jednak oględny i łagodny, choć o czułość nie można go podejrzewać. Tę, myślę, mama miała wobec wszystkich z nawiązką, nawet wobec męża, nie mówiąc już o dzieciach, wobec Henia zaś emanowała troską i współczuciem.

Tak sobie właściwie gdybam, jakieś tłumaczenia wymyślam, gdyż przed laty, prawie przed wiekiem, czyli w latach międzywojennych, wojennych i powojennych z nimi wszystkimi nie żyłem, nie mogę więc wiedzieć, jak dzieci dorastały, a rodzice się sprawiali, kto komu lepiej współczuł i o kogo bardziej się troszczył, i jak też bracia i siostra odnosili się do siebie. Ale wiem jedno z nie dającą się podważyć pewnością, gdyż sprawdziłem to razy niezliczone, że w Heniu nie ma żadnej złości ani złości, których złoża w człowieku zawsze narastają z krzywd i upokorzeń, więc jeśli ich

doznawał wśród dzieci i młodzieży, to w domu wśród najbliższych mu to wynagradzano, zaś serce matki było jego zadośćuczynieniem. Mama miała dla niego czułość dozgonnie niewyczerpaną, słyszałem ją w miękkości głosek przez nią wymawianych zawsze, kiedy do Henia się zwracała, albo do mnie o nim mówiła. On ma te same błękitne oczy, duże, otwarte, jasne, przejrzyste, takie, jakim ufa się od razu, i też takie, jakich ufności nie chce się zawieść. Możecie wierzyć, że ta jego dobrość płynie z tych oczu, ja jednak sądzę, że one tylko ją wyrażają.

Zdzisiek też nie był zły, niczego złego o nim nie powiem, może nawet nie pomyślę, był jednak wszechstronnie pełnosprawny, zatem pewny swego, bez tego tonu bezbronności, którym pobrzmiewa Henio, a ponadto bystry, celny, sarkastyczny, w najlepszych swoich, pierwszych naszych wspólnych latach promieniował życzliwością, tryskał dowcipem. Zawsze wystrzegam się takich kwalifikacji, głównie dlatego, że źródłowo badałem dziewiętnastowieczny rasizm, zarówno w jego formie nacjonalnej, jak i społecznej (nacionaldarwinizm i socjaldarwinizm), nasłuchiwałem się też pseudokulturalnych głupot wygadywanych przez renomowanych inteligentów, z których jeden narzekał kiedyś do mnie, nie zważając na moich dziadków, wujów, i kuzynów, że w tej prowincjonalnej szkole wyższej, w której nauczał dla miłego grosza, ma przed sobą *same tępe, chłopskie twarze*, więc odrzucając takie kwalifikacje powiem jednak, że Zdzisiek nie tylko za stołem czy w pogawędce, ale nawet na wozie lub ciągniku świecił inteligencją, zaś w oku miał błysk, jaki daje tylko myślowa samodzielność. Uporczywie będziemy tutaj dociekać, jaki on właściwie był i co złego stało się między nami, więc poprzestaję chwilowo na tym pierwszym przybliżeniu i wracam do czasu poprzedzającego jego ostateczne odejście, od którego tę próbę zacząłem. Zresztą zachęcam, żeby obejrzeć jego portret rytowany na wspomnianym już granitowym nagrobku, gdyż skopiowany został ze zdjęcia przedstawiającego klasycznego inteligenta z zeszłowiecznego awansu społecznego, czyli Zdziśsia w najlepszych swoich latach: owal kształtny, włos krótki, czoło odsłonięte, oko lotne, wyraz twarzy baczny i śmiały.

Przypominam sobie teraz, że już wcześniej, co najmniej rok, jeśli nie dwa, przed tym ostatnim latem, zdrowie Zdziśsiowi zaczęło szwankować, dopadały go jakieś bóle i gorączki, których przedtem się nie widywało, pojawiły się lekarskie wezwania i badania, w końcu szpitalne polegiwania, nawet zabiegi, a to jakieś ściętno mu naprawiano, a to przepuklinę wycinano. Wydawało się to nam jednak u mężczyzny po sześćdziesiątce dość zwyczajne, bo mimo wszystkich mechanizacji robota tu ciągle była niewolniczo ciężka i niczym nie dawało się jej zastąpić przy wyrzucaniu gnoju, na przykład, spod kilkunastu krów i świń, gdy widły człowiekowi bokiem wychodziły. Po tych przejściach zdrowotnych Zdzisiek wracał jednak do gospodarki zdrów, jak zawsze zwarty w sobie i sprężysty, choć może męskie jego moce malały, a radość włodarzenia słabła. Został wreszcie suwerenem na wszystkich włościach, na co zawsze pewnie liczył, a mając długowiecznych rodziców długo na to czekał, kiedy bowiem piękna i ciepła mama nagle odeszła, to

stary ojciec, skurczony już i apatyczny, latami jeszcze zrzedził, więc syn musiał go przemilczać i wymijać, gdyż otwartego z nim starcia unikał jak ognia. Piszą teraz dużo o patriarchacie biblijnym i historycznym, rodzinie patriarchalnej, czyli podporządkowanej władzy ojca wczoraj i dziś, nikt jednak, kto nie zna dobrze tradycyjnej rodziny chłopskiej, będącej istotnie autorytarną, gdyż cała władza ekonomiczna i symboliczna, społeczna i kulturowa, powszednia i odświętna skupiona była w ciele i woli ojca, ma o tym patriarchacie pojęcie najwyższej ideologiczne, czyli zafałszowane. Istnienie i działanie w takiej rodzinie żony i matki było misją tajemną, której rozczytanie pozostaje ciągle dla mnie nieosiągalne. Znając przecież ten wzór rodziny lepiej niż jakikolwiek inny, mamę Ferdysia-kową uważam za zjawisko cudowne, pochodzące z innego porządku bytu niż ten, w którym sam przebywam: *Mówili o niej: „Łka, więc jest!” – I nic innego nie mówili, / I przeżegnali cały świat – i świat zadumał się w tej chwili...*

Zdzisiek po śmierci ojca dopiero, przedtem rządząc dziedzictwem kilka lat przy jego swarliwej obecności, został prawomocnie królem, nigdy nie będąc katem, choć rodzice obawiali się jego stosunku do ułomnego brata, kiedy ich zabraknie i nawet mnie obok zięcia wzywali na świadka pisemnie sporządzonej gwarancji równoprawnego, braterskiego dożywocia, a nie łaskawego *wycugu*. Jako najbardziej piśmienny z całego towarzystwa musiałem tekst sam pisać, czego jednak nie pamiętam, choć widzę, jak wyglądał, zapisany pewnie podług jakiegoś wzornika, arkusz papieru i rozmieszczone pod tekstem podpisy, w tym mój własny. Była to tak zwana wówczas umowa prywatna, prywatna również była nasza umowa nabycia działki i chałupki, obie one, jak się później dowiedziałem nie miały żadnej wartości prawnej, ale jednak działały w naszej własnej świadomości i to może było ważniejsze od ewentualnych sądowych procedur, do których na szczęście nigdy nie doszło. Zbadanie tej niezależnej od legislacji i wcześniejszej od niej świadomości prawnej przyczyniłoby się zapewne do lepszego rozumienia tej społeczności, przekracza to jednak moje kompetencje, więc odnotuję tylko, że naszą umowę prywatną przekształciliśmy w notarialną, dopiero w ostatnich latach życia Zdziśka i to za jego namową, gdyż chciał on nas zabezpieczyć przed możliwymi roszczeniami spadkobierców. Ufając sobie wzajemnie przeżyliśmy zatem spokojnie jakieś ćwierć wieku, niby oparci o rękopiśmienny świstek papieru.

Czy jednak całkiem spokojnie, pozostaje pytaniem poruszającym tę opowieść. Pisząc ją popadam w wątpliwości pogrążone w zwojach czasu bezpowrotnie minionego i skłonny jestem sądzić, że mój udział w przygotowaniu i podpisaniu tamtej gwarancji dożywocia dla Henia, opartej na podziale majątku, był może pierwszą rysą nieufności, albo i urazy ze strony Zdziśka. To, że podpisywał ją zięć, czyli członek rodziny, było całkiem zrozumiałe i należało do zwyczaju prawie odwiecznego, choć piśmienność chłopów tutaj, w tym dawnym zaborze rosyjskim była dość świeża i nie sięgała nawet stulecia. Wątpiącym w tę opinię przypomnę, że w Lipcach Reymontowskich, wsi ludnej i zasobnej, choć wyraźnie rozwarstwionej, czytać umieli i pewnie też pisać, bo to nie są umiejętności on-

czas tożsame, ksiądz proboszcz, organista, wójt i młynarz, choć ten ostatni pewnie głównie liczył, a rzecz działa się na początku dwudziestego wieku i to w pobliżu Warszawy, nie w odległej wówczas od centrum terytorialnie i mentalnie puszczy kurpiowskiej. Raczej więc zwyczaj taki, że w rodzinnych działach majątkowych uczestniczą członkowie rodziny był odwieczny, niż pisemne jego potwierdzenie, zatem udział zięcia, męża jedynej córki i siostry, był oczywisty i zrozumiały.

Oni byli już wtedy od lat chyba samodzielni, córka bowiem, należycie wywianowana przez rodziców osiadła w gospodarstwie męża, we wsi położonej po drugiej stronie puszczy, jakieś trzydzieści kilometrów od nas, i tam prowadzili zamożne, pełnoobszarowe według ówczesnej nomenklatury, czyli około dwudziestohektarowe, gospodarstwo pełne dorodnej żywności, wzbogacone na dodatek pięcioma urodziwymi córkami. Na weselu najstarszej z nich, Celiny, dyplomowanej pielęgniarce, którego salą taneczną była umajona stodoła z polewanym klepiskiem, wybijałem niezłe hołubce w takt orkiestry, która już grała disco polo, choć nikt jeszcze nie wiedział, że to się tak będzie nazywać. Pamiętam, że grajkowie nie tylko porywali mnie do tańca, ale budzili też moje instynkta badawcze, bo zachodziłem ich od tyłu i zaglądałem w kajety, z których śpiewali *wokał*, a mieli w nich odręcznie zapisane teksty słowne – rytmy były tak znane, że grały ciałem od razu, zaś teksty własne, nowe, trafiające w ucho, które należało skopiować, najlepiej wykraść, czego jednak nie zrobiłem, a miałbym teraz bezcenny manuskrypt.

Ten zięć imieniem Gienek był chłopem na schwał, miał posturę niedźwiedzia, siłę konia, dłonie jak bochny chleba, którymi wszystkiemu mógł poradzić, wydawał mi się stworem prawie mitycznym, takim, jakiego wszystko się udaje i rodzi tak obficie, jakby pochodził z okolic Macondo, a ściślej z tych Buendia, u których miłość miała moc oddziaływania na przyrodę popadającą w epidemię płodności, a ponieważ jego żona, czyli siostra Zdziśka i Henia miała również na imię Gienka, więc powtarzalność tych imion naprawdę zbliżała ich do rodu Buendia. Ziemia im rodziła tyle zboża, że musieli powiększać stodołę, krowy tryskały mlekiem i owocowały cielętami, więc i oborę trzeba było rozbudować, w chlewach mnożyły się prosiaki, którym Gienka nie nadążała wyłamywać kłów po porodzie, i czasem kaleczyły maciory przy ssaniu. Nad ogrodowym stolikiem, przy którym w letnie wieczory suto biesiadowaliśmy, w gnieździe zanęconym na ściętym celowo wiązcie, klekotały głośno, wtórując naszym wiatom, bociany, których kolejne generacje przyniosły pewnie temu szczęśliwemu domowi ten wianuszek dorodnych córek. A jednak Gienka, który wydawał się uosobieniem szczęścia rodzinnego i którego roznosiła radość życia, pewnego złego dnia i to już dawno, jeszcze za życia Zdziśka, na progu własnego domu ustrzelił zawał nagły jak piorun. Nie byłem przy tym, na szczęście, w końcu bywaliśmy tam rzadko i od wielkiego dzwonu, ukojeni zawsze gościnną serdecznością kojarzącą mi się z arkadyjską krainą wiecznego szczęścia, z której realnie pozostał mi podarowany niegdyś szlabanek, czyli ława do spania, niestety dla dzisiejszych gości przykrótka. Musiałem mieć, nie wiem czym zasłużoną, niezłą pozycję w całej tej rodzinie, także przez córkę i zięcia akceptowaną, skoro

razem z nimi zostałem dopuszczony do rodzinnych chłopskich działów majątkowych, a na to z pewnością nie wystarczy być profesorem uniwersytetu, którym zresztą jeszcze wtedy nie byłem. Nie mam pojęcia, co się ostatecznie stało z tym papierem, na nic on zresztą się nie przydał, gdyż wszystko potoczyło się inaczej niż ktokolwiek przewidywał, i to Heniek został w końcu jedynym włodarzem tej dziedziny, zaznając też tego szczęścia, które Zdziśkowi nigdy się nie trafiło, ale nie żałuję, że złożyłem na tamtym świadectwie swój podpis, przeciwnie, jestem z tego dumny.

Rodzinne te deliberacje przypadły na czas, w którym nadchodziły właśnie głębokie zmiany polityczne i gospodarcze, zwodniczo nazywane *transformacją*, chociaż były formą restauracji, mocno godzące w rolników, i to nie tylko w ośmieszanych i zabiedzonych, ośmieszanych dlatego, że zabiedzonych pegeerów, ale również w najlepszych, zaradnych i zasobnych gospodarzy, do jakich w naszej wsi i w całej gminie Zdzisiek należał. Nie pierwszy to raz w naszych dziejach za kolejną *transformację* największą cenę płacili chłopci, jak płacili za pierwszą industrializację pod koniec dziewiętnastego wieku, za drugą w międzywojniu, za trzecią w latach powojennych, a za co płacili przez całe wieki – tego na wołowej skórze nie spisać. Na szczęście nigdy u nas nie doszło do zbrodniczej eksterminacji, jak w stalinowskiej Ukrainie i Rosji, ale wszystkim tym posunięciom towarzyszyło to samo wyobrażenie – ukrywającego żywność chłopca, którego trzeba docisnąć: cenami, podatkiem, rekwizycją, karabinem. Nikt tego *imaginarium* chyba jeszcze nie rozpracował, a należałoby to zrobić także dlatego, żeby uzasadnić porównanie nie będące zrównaniem: w krajach cywilizowanych nowe technologie wspomagają rolnictwo, w krajach zacofanych z rolnictwa wyciska się środki na nowe technologie. Podczas naszej kosztochłonnej dla rolników restauracji, Zdzisiek ku mojemu zdziwieniu nigdy bowiem przedtem nie tracił trzeźwości rozumu, jakoś się umysłowo zapierał i nie przyjmował wcale tego wszystkiego, co się działo. To prawda, że nagle wszystkie dziedziczne pokoleniami zasady okazywały się zawodne, a ćwiczone za dawnego reżimu nawyki nieprzydatne, nie dawało się niczego przeczekać ani też z władzą załatwić, trzeba było wyłącznie, nieustannie kalkulować i to wtedy, kiedy wszelkie kalkulacje stały się nieopłacalne, bo za worek saletry płacono się wozem zboża, sznurka do wiązałek wciąż brakowało, gdyż wychodziły z użycia i co sprytniejsi sprzedawali je krążącym po wsiach Litwinom i Białorusinom, ci bowiem po epoce kotłochów nie mieli żadnych maszyn do gospodarstw indywidualnych, zaś realizacja *dopłat do produkcji rolnej* wydawała się równie iluzoryczna, jak nadejście Trzeciego Królestwa.

Zdzisiek najpierw z właściwą sobie bystrością, lecz gorzko sarknął na te zmiany, śmiał się z podniosłych *transformacyjnych* frazesów i z naiwnych zapewnień o radosnym skoku do krainy wolności, mądrość pokoleń, które wszystko przetrzymały, wojny, okupacje, deportacje, sekwestry, rekwizycje i kolektywizacje, dawała się przez ten śmiech przemawiać. Podkreślić muszę, że w jego niechętnym postawie wobec przemian nie było żadnych śladów tej chytrkości i złośliwości zarazem, jaką stereotypowo kojarzy się

z chłopami. Ponieważ większość panujących w naszej kulturze stereotypów ma rodowód szlachecki, czyli pański, więc ten wizerunek chłopka uniżonego i podstępного pochodzi z dziedzictwa pańszczyzny. Prawdą jest, że nie był on urojony, gdyż jeszcze sto lat po jej zniesieniu w zaborze rosyjskim, czyli za mojego dorosłego już życia widywałem wieśniaka mnącego pokornie czapkę przed kimś, kogo uważał za rządcę, a kto był urzędnikiem przez niego utrzymywanym, albo też chytrze podpasającego krowy, osłonięte poranym tumanem, na leśnej łące uznawanej za *pańską*. Kurpie, w kręgu których leży nasza wieś, podobno nie znali pańszczyzny, będąc z dawien dawna czynszownikami królewskimi, choć wokół naszej wsi była jakaś szachownica folwarków, utrwalona po wojnie gruntami pegeerów. Nie wiem, jak tam było w okolicach Kadzidła czy Myszyńca, dość od nas odległych, i czy wszyscy ich mieszkańcy nosili się tak godnie, jak Zdzich, ale on głowę miał zawsze podniesioną, zaś rozmówcy patrzył prosto w oczy, także wtedy, kiedy był gminnym radnym za starego reżimu i prerogatyw swoich umiał strzec. Teraz nadal trzymał tę swoją godność i słuszność, ironię jednak porzucał, sarkazmy zbywał, zmyślne żarty go opuszczały, zaczynał natomiast złościć się i wściekać, w końcu kłął zamasyżście i niepohamowanie, czego, będąc powściągliwy i delikatny z usposobienia, nie miał bynajmniej w powszechnym tutaj zwyczaju.

Jak wielu ludzi w takich razach wolał personalne uproszczenia od analitycznych komplikacji, więc wszystkie nieszczęścia wynikające jego zdaniem z przewracania dawnego ładu, związał z Lechem Wałęsą, którego nie znosił od pierwszego telewizyjnego wejścia. Leszek Balcerowicz, właściwy autor radykalnych reform gospodarczych, który skupiał na sobie całe ich społeczne odium, stanowiące pożywkę awanturniczego, rzekomo chłopskiego ruchu politycznego, jakoś nie budził negatywnych emocji Zdzicha, tak jakby przedsięwzięcia jego były zbyt abstrakcyjne, osoba zaś nadmiernie akademicka, może zresztą nie chciał mi robić przykrości mylnie sądząc, że jesteśmy kolegami. Wałęsa natomiast był mu bliski, mógłby przecież być którymś jego kuzynem spod nie tak odległego Lipna, lekcewał więc go, wykpiwał i wyklinał, jak wyserzonego miastowego cwaniaka, którym dla gospodarza co się zowie ten chłoporobotnik z sąsiedniego poniekąd zapłocia był w jakiejś mierze. Mnie natomiast Wałęsa od czasów wielkiego strajku gdańskiego urzekł, wydawał mi się dziejową figurą ludowego przywódcy, a choć nie byłem wobec niego bezkrytyczny, to lubiłem go słuchać, gdyż cieszył mnie sam osobliwy wydźwięk jego polszczyzny. Pierwszy raz usłyszałem go w tamtym, pamiętnym sierpniu przez radio, gdyż na wsi był to nasz jedyny przeказnik i od razu wiedziałem, że ani on, ani „Solidarność” już nie przeminą. W ogóle polszczyzna wtedy rozkwitła, a co polityk, to mówca nadający jej indywidualne brzmienie: Mazowiecki, Kuroń, Geremek, nie mówiąc już o Karolu Wojtyła i nie zapominając o Wojciechu Jarużelskim, którego składnia była klasyczna, bo pobrał dobrą łącznię u księży marianów. Wcale nie żartobliwie, lecz całkiem poważnie proponuję, aby posługiwać się językowym kryterium podczas wyborów, przekrzykujące się w telewizjach polityczne tuzinki nie mają żad-

nego indywidualnego wyrazu, głosujcie więc na tych, których intonacja i artykulacja wpada wam w ucho. Macie wtedy duże szanse wybrać jakąś autentyczną osobowość, która powinna okazać się przywódcą.

Nie tylko z powodu różnego stosunku do Wałęsy coś się wtedy między Zdzichem a mną zaczęło kruszyć, choć mieliśmy za sobą prawie dwadzieścia lat najpierw dobrej znajomości, a potem przyjaźni wzmocnionej w czasach, w których nie tylko o sznurek do wiązałek, ale i o chleb do gęby bywało trudno, chociaż mleka, masła i twarogów od jego krów nigdy nam nie zabrakło. Nie byłem bynajmniej jakimś gorliwym stronnikiem przemian i starałem się szacować je sprawiedliwie, tym bardziej że owego przełomowego lata właśnie myślałem i pisałem o tym, *jakiej cywilizacji Polacy potrzebują*, a wychodziło mi, zarówno z obserwacji, jak i z lektury, że potrzebują własnej, spokojnej, średniej „trzeciej drogi”, której nazwę nawet, nie wspominając domniemanej treści, bezwzględnie wtedy odrzucano, jako chytry podstęp beneficjentów starego reżimu. Czy to atakujący radykałowie wówczas mieli rację, przeprowadzając gwałtowny demontaż gospodarczych podstaw systemu, czy też mieliby ją tacy jak ja moderanci, zwolennicy przemian stopniowych i kropelkowych, które pozwoliłyby przynajmniej wszystkim pracującym się z nimi oswoić – jest pytaniem akademickim, czyli pustym, gdyż rozstrzygnięcie zostało dokonane bez naszego udziału i wszyscy musieliśmy je przyjąć z całym dobro- i zło- dziejstwem. No i przyjmujemy do dzisiaj – zarówno w dobrym, jak i w złym, a dopiero młodszy ode mnie o pokolenie zaczynają myśleć o nowej Rzeczypospolitej, którą nie numer, lecz dobro powszechne ma wyróżniać.

Jakkolwiek ciężkie były te pierwsze lata, reformy, choć dotkliwe, uważałem z nieodzowne pamiętając nadto dobrze, iż jeszcze niedawno, w miejscowym sklepiku zwanym gminną spółdzielnią, w szczycie żniw spiących dorodnym, jędrnym, złotym ziarnem przez całą noc stały kolejki po chleb. Chleborobów, można powiedzieć, stawiano na głowie, aby dostali bochenek chleba i obserwacja tego niebotycznego absurdu i haniebnego niedostatku leczyła mnie z resztek sympatii do systemu prawem kaduka nazywanego socjalizmem, oraz napawała dozgonnym poczuciem upokorzenia, które równie żywo jak wówczas, odczuwam teraz, pisząc to zdanie. Kiedy Zdzisiek wyjeżdżał ze swoimi kaskadami narzekań i litaniami złorzeczeń na nowe czasy, usiłowałem go mitygować mając w pamięci te całkiem świeże jeszcze sceny z życia wsi kurpiowskiej w czasie przeszłym dokonany. Moje łagodzące zabiegi były jednak coraz bardziej płonne, co odstręczało mnie od szczerzych z nim rozmów i niespiesznych rozważań toczonych dawniej dość często, wieczorami przy jadłach i napitkach zawsze treściwym, lecz umiarkowanym, dzięki umiarowi Zdziska. Co do mnie, to wyszedłem od niego parę razy nieźle zachwiany, czego o nim w żadnym razie nie dawało się powiedzieć. Zachwiany szeroką swoją objawiałem naturę – wstawałem, wiwaty wznosiłem, mówki wypalałem, śpiewy też zawodziłem, najczęściej rosyjskie, popularne wtedy wśród nas, warszawskich, by tak rzec, filozofów, co jednak, nie wiedzieć czemu mierzilo moich tutejszych, wioskowych gospodarzy. Nawet polska wersja sławnego *Hymnu traktorzystów*, znane-

go lepiej z zawołania *Hej wy konie, rumaki stalowe*, nie budziła ich zachwyty, gdyż najwyraźniej nie chcieli brać *przeszkód najwyższych*. Razu pewnego, u samych początków naszej zażyłości, przechodząc nagle od stalinizmu do sarmatyzmu, co w Polsce jest pewną prawidłowością, zachęcałem, żeby na pożegnanie wypić *strzeziennego*, a wtedy Zdzisiek, trzeźwiejszy jak zwykle, wyszedł ze mną na próg domu, stuknął się kieliszkiem i rzekł:

– *U nas się mówi: progowy!*

Wtedy ja, który dzieckiem pasałem krowy u babci Agnieszki, u wuja Kazimierza prowadziłem konia w kieracie, lecz po latach zostałem akademickim naukowcem i to od kultury, zrozumiałem, że w Polsce są różne kultury, a chłopska godność nie została wymyślona przez zesłowiecnych chłopomanów.

Skąd jednak we mnie to niestabnące z latami, lecz coraz bardziej natężone przeświadczenie, że rozstaliśmy się ze Zdziśkiem poróżnieni, i to ostatecznie, gdyż przy tym jego łożu boleści, które okazało się marą śmiertelną? O co mogliśmy się tak poróżnić, że przynajmniej dla niego, który odchodził z tego świata, nie w nicość, lecz w zaświat, jako prawdziwie wierzący i należycie rozgrzeszony katolik, byłoby to rozstanie na wieczność? A dla mnie, który bezkres nicości wciąż odczuwam, więc wszystkiemu co docześnie ważne, nadaję ostateczne znaczenie, rozstanie to na resztę życia pozostałoby niezabliźnioną raną? Czy to możliwe, że poróżniliśmy się o poglądy polityczne, tak chwiejne, jak chwiejne były czasy, z którymi przyszło nam się mierzyć, w sile wieku każdego z nas? Nasze poglądy nie były zespołami retorycznych frazesów, jak u zawodowych polityków, którzy im bardziej podniosłe odwołują się do wartości, tym bardziej pozostają bezwartościowi, przeciwnie – były polityczne w najbardziej elementarnym sensie tego słowa, gdyż wiązały się z naszymi istnieniami tu i teraz, a nic bardziej nie określa chłopskiego istnienia niż sposób gospodarowania, który właśnie podlegał śmiertelnej infekcji, co Zdzisiek czuł przez skórę, całym ciałem. Ale ja nie byłem bynajmniej jakimś toksycznym mikroblem tej choroby, byłem przeciwie krytycznym stronnikiem przemian, więc rozróżniałem, starałem się rozróżniać nieomal codziennie to co w nich pożyteczne i przyszłościowe, od tego co szkodliwe i doraźne, tak aby dalekosiężny bilans okazywał się korzystny. Wakacyjny w końcu letnik, więc intelektualny, z konieczności, teoretyk, krytyczną stroną swoich ambiwalencji, wtórowałem Zdziśkowi w jego praktycznych odprawach, zatem różnice naszych poglądów politycznych nie były nieprzekraczalne. Zawsze w takich razach, w których dochodzi do rozstań, nawet zerwań między ludźmi dotąd sobie bliskimi i motywuje się to różnicami politycznymi, podejrzewam, że takie jawnie głośne uzasadnienia są swego rodzaju mistyfikacją, czyli zastoną oddzielającą świadków od właściwej, ukrytej sceny dramatu międzyludzkiego, na której kłębią się wstydliwie skrywane demony uczuć źródłowych: godności, przyjaźni, miłości albo zawiści, złości, nienawiści. A już ich metamorfozy nawet dla tych, którzy milczą i myślą, bywają ciemne i niepojęte.

Jakie to więc demony lub ich przeistoczenia stanęły między nami w ostatniej chwili życia Zdzicha i rzuciły się na mnie w jego przedśmiertnie pożegnalnym spojrzeniu, które na pewno nie było przyjazne, zоста-

wiając we mnie wciąż powracające poczucie winy? Czy mogło być tak, że w tym absolutnie ostatnim – jeśli cokolwiek na tej ziemi jest absolutne, to właśnie to – więc w tym absolutnie ostatnim naszym kontakcie wszystko zostało odwrócone: bliskość w obcość, życzliwość w niechęć, przyjaźń we wrogość? Patrząc bezradnie, niekiedy z politowaniem na tę jego narastającą negatywną zaciekłość, podejrzewałem nieraz, że to może dlatego jest ona tak silna, iż ukrywa jakieś inne przyczyny, których rozpoznać ani domyślić się nie mogę, gdyż czterdzieści poprzednich lat jego życia mnie ominęło, on sam do nich nie nawiązuje i żadnych nieomal znaków nie daje. Historyczne przemiany, gospodarcze reformy, państwo i jego polityczne władze wywoływane najgłośniej i pierwszorzędnie wydawały się jednak jakimś nierealnym, choć eksponowanym obliczem ukrytej wewnętrznej irytacji, której nie można było wysłowić ani nawet nazwać, z niepojętych dla mnie powodów. Widziałem i wiedziałem, że Zdzisiek był samotny, tak samotny, że nawet się o tym nie wspominało, ale z samotnością tą był jednocześnie oswojony, nie odbierała mu ona codziennie życiowego wigoru i nie gasiła życzliwego uśmiechu. Był również osamotniony, gdyż o swoich pragnieniach, lękach i cierpieniach, których chwilami się domyślałem, nikomu, nawet mnie, który byłem mu przyjacielem, powiedzieć nie mógł, z nikim się nimi podzielić, zatem i sobie ulżyć, gdyż tego zwyczajnie i dogłębnie, do wnętrza trzewi i szpiku kości nie potrafił. To jest oczywistość, ale nie czcze słowo, lecz twardy wycisk owiecznej chyba prawdy – w rodzinach chłopskich uczuć nie wyraża się słowami, lecz czynami, troską, pomocą, zgraniem – ręka w rękę, noga w nogę, dech w dech. A już o brakach uczuciowych nawet domysłu się nie dopuszcza, najwyżej ich psychicznie doświadczają, wyraża zaś bezwiednie i psychosomatycznie – pustką oka, grymasem twarzy, sztywnością członków.

Coś takiego i z niego stopniowo wychodziło, ciało mu słabło, sprawność zawodziła, niewyobrażalne dawniej urazy dopadały, więc widząc i czując to wszystko unikałem drażliwych czy spornych, a tym bardziej niewymownych kwestii w naszych kontaktach, zresztą coraz rzadszych. Przychodzi taki dzień, albo godzina, że na myśl o tym, żeby zejść lub zadzwonić do kogoś, z kim zawsze chętnie spędzaliśmy czas, mówimy sobie, że lepiej nie teraz, innym razem, drugiego dnia lub tygodnia i to jest właśnie początek tej ścieżki, która od bliskości prowadzi do obcości. Kiedy po kolejnym szpitalnym pobycie już nie z powodu ściegna, lecz krocza, padło brzmiące złowrogo słowo *biopsja*, sam się wystraszyłem, choć nie wiedziałem, o co chodzi, i nie mogłem też za nieznane odpowiadać. Było to, jak się zaraz dowiedzieliśmy, specjalistyczne badanie, na którego wynik czekaliśmy parę tygodni, gdyż pobrane próbki wożono wtedy do warszawskiego centrum, a okazało się ono zapowiedzią najgorszego, gdyż obudziło uśpionego w organizmie Zdziśka wampira, krwiożerczą bestię, zabójczego nowotwora, raczysko, które pożarło go szybko i bezlitośnie, we własnym domu i łóżku, otoczonego bezradną opieką i troską. Mnie zaś pozostawiło z niewypowiedzianym dotąd poczuciem winy.

ANDRZEJ MENCWEL

STANISŁAW BURKOT

»»ZIEMI PRZYPISANY««:

JULIAN KAWALEC

Jest w jego biografii zapis szczególnie naszych losów: urodził się 11 października 1916 roku we wsi Wrzawy w czasie I wojny światowej, jeszcze przed powstaniem II Rzeczypospolitej, na pograniczu dwu zaborów austrowęgierskiej Galicji i carskiego „Prywislanskiego Kraju”. Zmarł 30 września 2014 roku. Był więc świadkiem i uczestnikiem naszego życia prawie w ciągu ostatnich stu lat. Region sandomiersko-tarnobrzeński, z którego wyszedł, zapisał się w sposób szczególnie w naszej literaturze. Z niego wywodzili się pisarze związani przez swoje pochodzenie społeczne ze wsią, z klasą chłopską. Nie była to „literatura samorodna”, „ludowa”, tworzona przez chłopów, lecz dzieło nowej inteligencji o chłopskim rodowodzie. „Zagłębienie sandomierskie” dało plejadę pisarzy znakomitej rangi. Wystarczy przypomnieć Stanisława Młodożeńca (ur. 1895 w Dobrocicach), futurystę; Stanisława Czerńnika (ur. 1899 w Zochcinie), współtwórcę ruchu autentystów; Romana Kosełę (ur. 1894 w Włostowie) i Wincentego Burka (ur. 1909 w Ocinku), regionalistów; Stanisława Piętaka (ur. 1909 w Wielowsi), poetę i autora głośnej powieści autobiograficznej *Młodość Jasia Kunefala*. Ci „wychodzący ze wsi” kończyli szkoły średnie, w niezwykle trudnych warunkach rozpoczynali stu-

dia uniwersyteckie. Wyrastali w dzieciństwie w kulturze ludowej, uważano ją – mimo młodopolskich „ludowień” – za gorszą, drugorzędną, jak gorsza była ich gwara w stosunku do języka ogólnonarodowego. Rzecz znamienna, że wszyscy, prawie wszyscy, wybierali jako kierunek studiów uniwersyteckich polonistykę. Była w tym nadzieja na „dorównanie”, na kulturowy awans. Wyjątkiem był Wincenty Burek, najsilniej prezentujący w swoich opowiadaniach gwarę sandomierską: studiował anglistykę...

Co się zdarzyło w naszej kulturze w dwudziestolecu międzywojennym? Warto przypomnieć, że spis powszechny na początku lat dwudziestych, u progu II Rzeczypospolitej, rejestrował w ówczesnych granicach kraju 73 proc. analfabetów. Emancypacja klasy chłopskiej zaczynała się pod koniec XIX wieku postępową powoli, przyspieszyła po uzyskaniu niepodległości, stała się dziełem młodego pokolenia chłopów¹. Ważną rolę w demokratyzacji naszej kultury odegrała właśnie inteligencja o chłopskim rodowodzie. Chodzi

¹ Najpełniejszy wyraz znalazła w społeczno-oświatowych programach Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici”. Agrarystą był, obok Józefa Niecki i Stanisława Miłkowskiego, poeta, prozaik, autor dramatów i widowisk, publicysta, Stanisław Młodożeniec.

nie tylko o kształtowanie się politycznego ruchu ludowego, o utopijne programy agrarystów, o oświatowe działania uniwersytetów ludowych, lecz także o znaczącą twórczość literacką całej grupy pisarzy. Trudno sobie wyobrazić przemianę języka poetyckiego w XX wieku bez Juliana Przybosa, który nigdy nie zapomniał swojego chłopskiego pochodzenia. Wywodził się z innego regionu, z Gwoźnicy Dolnej pod Strzyżowem; z innego także – Marian Czuchnowski, poeta i prozaik, radykał – z Łużnej koło Gorlic; jego sąsiadem z Komborni pod Krosnem był znakomity historyk literatury, edytor i filolog profesor Stanisław Pigoń. Tak dokonywała się demokratyzacja naszej kultury, wygasanie i zanik w niej tradycji szlacheckich. Znaczące przemiany, ważne procesy społeczne utrwały się w znacznym stopniu za sprawą tej inteligencji. Sandomierską tradycję – Młodożeńca, Piętaka, Burka – dziedziczy młodszy o jedno pokolenie Wiesław Myśliwski, w którego twórczości chłopskość przestała być kategorią społeczną, a stała się literacką: artystycznym wyrazem powszechności i plebejskości.

W biografii Juliana Kawalca zapisały się wyraźnie te etapy i formuły przemian w naszej kulturze. Do twórczości literackiej prowadziła go utarta wcześniej przez innych droga: zdana w 1935 roku matura skłoniła do podjęcia studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, przerwanych po wybuchu wojny. W czasie okupacji brał udział w tajnym nauczaniu w swoim regionie; w 1944 roku zaczęło się dziennikarstwo – funkcja korespondenta wojennego. Po 1945 r. powrócił do Krakowa, kontynuował i zamknął studia polonistyczne. Rok później rozpoczął pracę dziennikarza i reportera w „Echu Krakowa” i w „Gazecie Krakowskiej”, następnie w Rozgłośni Krakowskiej Polskiego Radia. Dziennikarstwo uprawiał nadal, w latach 1956 – 1969 zatrudniony w „Więściach”, a później, aż do 1995 roku, w „Chłopskiej Drodze”.

Wczesne opowiadanie *Śmierć Baśki* (1948) nie zapowiadało jeszcze jego późniejszych powieści i opowiadań, ich tematyki i odrębnego stylu. Dopiero wydane w 1957 roku *Ścieżki wśród ulic* przynoszą znaczącą w jego prozie problematyką ideową i artystyczną. Jest w tych opowiadaniach – już w ich zbiorowym tytule – znacząca ambiwalencja: bo ścieżki to ludzkie wydeptane ślady na wiejskich polach i drogach, zaś ulice wyznaczają i organizują ruch w mieście. Ale nie chodzi tylko o nowe, dopiero co budowane miasto, lecz o małe miasteczka i wsie, z których wyjeżdżali młodzi, zostawiali tylko starzy ludzie w domach-ruderach:

„Woźnica Bielski mieszka ze swoim ułomnym bratem, który w młodych latach był nosiwodą. Emerytowany urzędnik Cebula z siostrą emerytką, woźny Jaskółta z psem, praczek Wikcia z kanarkiem, a stary stolarz Karwacki sam”.²

Tak zaczyna się debiutancki tom opowiadań *Ścieżki wśród ulic* (1957), a opowiadanie *Dziadek*, otwierające zbiór, zapowiada jeden z powtarzających się wątków w całej twórczości Kawalca: rozpad tradycyjnej wielopokoleniowej rodziny, rozpierzchnięcie się synów i córek po świecie w poszukiwaniu pracy. W tym właśnie procesie społecznym zaczynała się wielka przemiana na wsiach i w miasteczkach. Rozpadała się tradycyjna rodzina, destrukcji ulegały

w niej dotychczasowe hierarchie, zmieniały się obyczaje. Kawalec jest wnikliwym obserwatorem zarówno starych ludzi, pozostających na wsi, jak i młodych wyruszających za pracą do miast i fabryk. Ich historie w niezliczonych wariantach zjawiają się w jego opowiadaniach i powieściach. Bo cywilizacyjne przemiany niosły z sobą prawdziwe dramaty. Starzy wegetują i czekają, kiedy przyjedzie w odwiedziny syn czy córka, zjawi się mały wnuk itd. Ich wnikliwy w sensie socjologicznym obraz przynosi już debiutancki tom *Ścieżki wśród ulic*. Rodzi się nowy świat:

„Było ich siedmiu, wszyscy starsi przedszkolacy. Szli wolno, rozsyaną grupą środkiem niezabudowanego placu Nowej Huty. Po drodze rozmawiali głośno, kopali napotkane kamyczki, zatrzymywali się przy wszystkich przedmiotach błyszczących i kolorowych, przy różnych blaszkach, szkiełkach, puszkach. Rozglądali się za psami...”³.

Marsz owych „siedmiu” przez plac budowy w Nowej Hucie oznacza zmianę – zapowiedź przyszłości: gdyby jeden z nich nie powiedział, że do szkółki drzewek wchodzić nie wolno, nie forsowaliby siatki. Ale co zakazane, kusi... Jest w tym rodzajowym obrazku zapowiedź zmian obyczajowych, niepewnej przyszłości. To już inny świat i inny porządek. Niemożliwy w dawnej rodzinie i w dawnym wychowaniu: dzieci od najwcześniejszych lat znały biedę i uczyły się ciężkiej pracy. Ci, którzy przybyli ze wsi i z małych miasteczek, współbudowali nowe miasta i fabryki, mieli – jak to nazywał wcześniej i przy innej okazji Jakub Bojko – „dwie dusze”: zdobywców i pokory wydziedziczonych. Owe rzesze „chlebojadów” i „zupojadów”, dbających wyłącznie o zarobek, nie miały w sobie poczucia wspólnoty, tej cechy, która spajała dawną chłopską rodzinę. Praca dla wychodźców ze wsi nie była „święta”, nie scalała i nie określała społecznego porządku⁴. Fałszywą wersję moralnego ładu na nowych budowach przedstawiała proza realizmu socjalistycznego⁵. Według oficjalnej formuły postaci w niej cechowała „socjalistyczna świadomość”, a „walka klasowa” wyznaczała drogi postępowania społecznego. Inną wersję przyniósł *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka. Opublikowany został w „Nowej Kulturze” w 1955 roku⁶; wywołał szeroką i zaciętą dyskusję. Dotyczyła ona nie samej budowy nowego miasta, lecz świadomości budowniczych. Ważyk zakwestionował ideologiczny mit – „przodującej klasy robotniczej”. Nie było jej na budowach – tworzyła ją przypadkowa zbieranina, „ludzka kasza”. Rządziła się chęcią zarobku; środkiem spełnienia dążeń był fizyczny wysiłek, siła mięśni. Bo niczego więcej nie przynosili ze sobą ze wsi i miasteczek na budowy. A później po ciężkiej pracy pozostawała „uciecha”: alkohol, krwawe niekiedy porachunki o przywództwo w stadzie, wyprawy na „dziwki”, bo „nastoletnich kurewek” było sporo... Taką wersję przedstawiał *Poemat dla dorosłych*. Była w nim część prawdy, ale była także pogarda dla „kaszy”, negacja zbiorowego wysiłku.

³ Tamże: *Koncert*, s. 8.

⁴ W. Sadkowski, *Psychologiczne zyski i koszty awansu*, „Nowa Kultura” 1963, nr 2.

⁵ Wystarczy przypomnieć reportażową powieść Tadeusza Konwickiego *Przy budowie* (Warszawa 1950), poemat Witolda Woroszyńskiego *Świt nad Nową Hutą* (1951).

⁶ A. Ważyk, *Poemat dla dorosłych*, „Nowa Kultura” 1955, nr 34, s. 1-2.

² Cyt. za: J. Kawalec, *Opowiadania wybrane*, Kraków 1975, s. 5.

Ten kontekst trzeba przypomnieć. Pochodząca z 1973 roku powieść Kawalca *Przepłyniesz rzekę* jest chyba ważniejsza od wczesnych – *Ziemi przypisanego*, *W słońcu* i *Tańczącego jastrzębia* – które ugruntowały popularność pisarza i zdecydowały o sformułowaniu w krytyce literackiej „nurtu chłopskiego” po 1956 roku.⁷ Wszystkie, prawie wszystkie powieści i opowiadania Juliana Kawalca tę właśnie ambiwalencję „dwu dusz” – wychodzenia ze wsi i cywilizacyjnego wejścia w inny świat miasta, fabryk, zakładów pracy, budów, a także ostrych konfliktów społecznych – czynią przedmiotem uważnej penetracji. Jest Kawalec – rzec można – uparty i wnikliwym kronikarzem zachodzących przemian. Powieść *Przepłyniesz rzekę* daje pokrewny obraz jak *Poemat dla dorosłych* Ważyka, w wielu punktach zadziwiająco zbieżny, jednak zasadniczo polemiczny, związany z szacunkiem dla pracy, dla wysiłku anonimowej „kaszy”. Inna jest bowiem wymowa powieści. U Ważyka była czytelna pogarda dla brudnych, obłoconych, anonimowych bohaterów. U Kawalca wśród „ryjących w błocie” pojawiają się „panowie w garniturach i krawatach”, proponują „wyscig pracy”, „zobowiązania pierwszomajowe”, ale „ryjących w ziemi”, kopiących rowy pod przyszłe mury niewiele to obchodzi. *Przepłyniesz rzekę* jest najdalszym zanegowaniem powieści socrealistycznych o budowie nowego miasta, ale jest także odrzuceniem pogardy, widocznej w poemacie Ważyka. Stało się tak za sprawą wyboru i ukształtowania narracji. Budowę oglądamy oczyma grupy robotników z jednej brygady. Są początkowo przypadkową zbieraniną. To praca wytwarza powoli w grupie głębsze związki, przyjaźnie i animozje, poczucie obowiązku wobec współtowarzyszy, współdziałanie w momencie zagrożenia. Powstają naturalne odruchy – chęć nauki, specjalizacji i awansu zawodowego, itd. Brygadę „kopaczy rowów” pod fundamenty przyszłego miasta scala także poczucie wygnania. Wszyscy mieli powody opuszczenia rodzinnego domu. Narrator powieści prezentuje je krótko:

„Gdy jest 5 morgów ziemi, ojciec, matka – jeszcze nie starzy i zdrowi, gdy jest siostra, która wyszła za mąż i ten jej mąż przyszedł do jej domu, i gdy ty masz 20 lat, i razem z nimi mieszkasz, to ty musisz z tego domu pójść. Choćbyś nie chciał, choćbyś się bał świata, który jest za twoją wsią, powinieneś odejść”⁸.

Każdy z brygady ma swoje prywatne powody: starsza kobieta, analfabeta, nazywana w grupie Matką, została wypędzona z domu przez syna i synową; „Młodzieńki” pracuje, bo kusi go sama budowa, ale także chęć nauki; Korbas, bo zwichnęło się dotychczasowe życie cieśli. Początkowo jest jeszcze w brygadzie „Rumiany”, ze sprężynowym nożem w kieszeni, szybko jednak zmienia się w działacza ZMP, jest „Rudy z Kieleckiego” doświadczony na budowach, a obok z półświatka „Zmięty Maciek” sprzedający noże, także właściciel nielegalnej bimbrowni, wiejska babka-akuszerka, Brunetka, która popełnia samobójstwo. „Czę-

sto gęsto trafia się kurewka”⁹. W takim świecie rodzić się mogą ludzkie negatywne, ale i pozytywne zachowania – miłość, grupowa solidarność, ratowanie życia chorej Matki itd. Ta powieść o wielkiej budowie jest najdalszym zaprzeczeniem prozy realizmu socjalistycznego, a także zaprzeczeniem paszkwilowego *Poematu dla dorosłych*.

Nieprawdziwy jest taki portret pisarza, w którym uznaje się go za piewce dawnej kultury wiejskiej, dawnych obyczajów i archaicznych form życia. Z doświadczeń dzieciństwa i młodości, a później z obserwacji reportera i dziennikarza wynikała jego dobra znajomość wsi, wierność rysunku społecznego. Narracje Juliana Kawalca, bo trudno w jego powieściach i opowiadaniach mówić o fabułach w klasycznym znaczeniu, na plan pierwszy nie wysuwają ciągu zdarzeń, ich porządku, naturalnego czy inwersyjnego następstwa w czasie, ale sam proces opowiadania – często po latach¹⁰ wsparty jest na fragmentarycznych przypomnieniach. Postacią główną w konstrukcji jest narrator personalny, umieszczony w środku kręgu zdarzeń: jest obserwatorem, reporterem, ale i konfesyjnym „sprawozdawcą” własnych emocji. Ma zdolność przemieszczania się w czasie, gawędowego, skojarzeniowego łączenia faktów utrwalonych w pamięci. Ma także zdolność wyobrażania sobie cudzych przeżyć i myśli. Kawalec nie jest apologetą, w jego narracjach dostrzeżono ton krytyczny, a nawet oskarżycielski wobec tradycji wiejskiej¹¹. Narrację w pierwszej lub drugiej osobie w stosunku do innych porządkuje tryb warunkowy: narrator personalny „wciela się” w myśli, przeżycia postaci, powstaje czasem odmiana mowy pozornie zależnej. Tak jest w wielu powieściach, między innymi w *Wezwaniu* (1968), *Szukam domu* (1968), *Gąszczu bram* (1989), w opowiadaniach *Odwiedziny w rodzinnym domu*, *Co mi pisze siostra...* z tomu *Zwalony wiaz* (1962). Narracja – rozwlekła i powolna – krąży zawsze wokół jakiegoś zdarzenia, które w powtórzeniach i nawrotach rozrasta się, tworzy liczne odnogi, dygresyjne ślepe ścieżki. To co zostaje odrzucone, zanegowane, co jest domniemaniem ciekawskich sąsiadów, przypadkowych widzów, jest drogą prowadzącą do „prawdy” – zawsze niepewnej, wieloznacznej.

Istnieje w narracjach Kawalca zespół powtarzalnych wątków: opuszczenie wsi rodzinnej, wyjazd w „wielki świat” młodych ludzi, powolne kształtowanie własnego losu. Powieść *Tańczący jastrząb* (1964) jest tu pewnym wzorcem. Ale Kawalec nie powtarza tego wzorca. *Przepłyniesz rzekę* przynosi inną wersję tematu – wspomniania zdarzeń po latach. Do wsi rodzinnej, jak sobie przyrzekał na początku, narrator nie powrócił. Kategorią nadrzędną w Kawalcowych narracjach jest deterministycznie rozumiany „ludzki los”. Kreowane postacie w powieściach i opowiadaniach wypełniają jakiś porządek, spisywany im z zewnątrz przez nakazy i zakazy społeczne, przez obyczaje, wreszcie przez przypadek. Los rzadko spełnia marzenia młodości.

W biografii Kawalcowych bohaterów szczególnie rolę odgrywa nauka jako droga awansu społeczne-

⁷ Dyskusję inicjowała książka Henryka Berezy *Związki naturalne* (Warszawa 1972, wyd. 2-1978). Inne prace rozszerzające znaczenie terminu: Edward Chudziński, *W kręgu kultury i literatury chłopskiej 1918-1939*. Warszawa 1985; także wcześniejsze jego publikacje. W tym: S. Burkot *Marchoń na Parnasie: szkice literackie*, Warszawa 1980.

⁸ J. Kawalec, *Przepłyniesz rzekę*, Warszawa 1973 [1972], s. 7.

⁹ Tamże, s. 59.

¹⁰ Por. T. Drewnowski, *Głos ze środka wychodźstwa*, „Polityka” 1963, nr 11.

¹¹ T. Burek, *Proces przeciwko korzeniom*, „Współczesność” 1963, nr 4.

go. W istocie tylko w *Przepłyniesz rzekę* narrator „ryje w ziemi”. „Pójście do szkół” było jedną z dróg wyrwania się z „chłopskiego losu”, zdefiniowanego prawie biologicznie, zapisanego wręcz w genach przez ciężką pracę. W *Wezwaniu* mamy poetycką „dziadowską” eklogę:

„Marzą dziady o pieniądzach, o przenaświetszych pieniądzach...”

Marzą dziady o swoich własnych głowach wysoko uniesionych ...

Marzą dziady o ubraniach wyprasowanych i butach wyglansowanych, o białych koszulach i kolorowych krawatach...

Marzą dziady o wydawaniu rozkazów...¹²

Julian Kawalec jest uważnym i wnikliwym kronikarzem losów nowej inteligencji, „nowych” plebejuszy. W czasach Kasprowicza, Orkana, jeszcze później Młodożeńca i Przybosia wydawało się, że „ludzie nowi”, jak ich nazywał Stanisław Czernik, zbudują doskonalszy wzór życia społecznego, że Andrzej Radek z *Szyfrowych prac* Żeromskiego odniesie zwycięstwo. Powieści i opowiadania Kawalca mówią o niespełnieniu, o zmieszczaniu wychodźców ze wsi – owych licznych nauczycieli, inżynierów, urzędników. Bo takie historie odnaleźć można w *Oście*, w *Wezwaniu*, w *Szukam domu*. Inteligencja utraciła przypisywane jej wcześniej znaczenie w przemianach życia. Wychowanie zdobywali młodzi na różnych drogach – jedni za sprawą pomocnej ręki krewnych (jak u pozytywistów: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę”), inni z nadmiernym wysiłkiem rodziny, inni wreszcie za sprawą programów państwowych powszechnej edukacji. „Tańczące jastrzębie” krążyły nad wsiami i miastami. Powieść *W gąszczu bram* zawiera wstrząsającą metaforę: polowania na jastrzębia, porywającego kury i króliki z wiejskich obejść. Stalowe kleszcze z kurczakiem jako przynętą zatrzasknęły się na szponach nieostrożnego drapieżcy. Był to triumf człowieka. Ale jastrzęb zerwał skórę z pogruchotanych szponów i okaleczony uniósł się w powietrze¹³. To gorzka figura chłopskich awansów...

W opowiadaniu *Zwalony więz* ojciec, kołujący jastrzęb, składa synowi w mieście ostatnią wizytę, bo chce, nim umrze, zobaczyć „jak jest” w mieście. Ten ostatni pobyt nie daje ojcu satysfakcji:

„Mój stary ojciec uważa, że mądrość jest tylko w wolnym kroczeniu przez urodzajną równinę i rzucaniu na nią ziarna [...]. Wszystko musi być proste i po tej wizycie u mnie powinna nastąpić śmierć [...]¹⁴”

Bo taki jest naturalny porządek, taki ludzki los.

W tej szerokiej metaforze „kołującego jastrzębia” jest krytyczny zapis wieloznaczności na wyboistych drogach awansów edukacyjnych. Dzieci wyjechały do szkół, zostali starzy, coraz bardziej bezradni rodzice. Okolicznościowe odwiedziny są tylko obyczajowym rytuałem. Zerwane więzi i ich następstwa pogrążyły wieś w martwocie, bo wyjechali z niej najbardziej aktywni, najlepsi. Ale okaleczonym jastrzębiom zabrakło „szponów”. „Inni szatani stali się czynni”... W opowiadaniu *Odwiedziny w rodzinnym domu* te dylematy rozpadu rodziny, niepełnego, niemożliwego wręcz powrotu na

wieś nabierają w prozie Kawalca cech autobiograficznego wyznania:

„Matka jest ogarnięta i przykro ci, że się tak ogarnęła jak na przyjazd kogoś obcego, a to przecież syn przyjechał [...]. I odczuwasz coś w rodzaju zażenowania, jakby jakiś wstyd, i choć przyjechałeś do rodziców, zadajesz sobie pytanie: gdzie jestem? po co tu przyjechałem? z czym przyjechałem? co mam powiedzieć? [...] I przychodzi taki moment, w którym chciałbyś, żeby znikło to obejście, te drzewa, płoty, studnia i zdaje ci się, że sam brałbyś udział w rozwalaniu, wycinaniu i niszczeniu tego wszystkiego, bo wolałbyś stanąć na niczyjej ziemi [...]¹⁵”

Tak w narracjach Kawalca pojawia się kolejny zespół motywów: powrotu na wieś. W *Szukam domu* wyprawa narratora – etnografa, pracownika muzeum na wieś w poszukiwaniu domu kończy się zanegowaniem samego powrotu, bo krewni, bo dziadkowie i rodzice są już narratorowi obcy, bo życie na wsi dalekie jest od mitu i sielanki. W *Wezwaniu* narrator kupuje dom od Jadwigi Zawadowej, która z synem Stanisławem, inżynierem, wyjechała do „północnego miasta”. Ale po pewnym czasie wraca na grób starszego syna. Wcześniejszy jej wyjazd i późniejszy powrót staje się tematem narracji, której centrum stanowi samobójcza śmierć starszego syna, niepełnosprawnego ładnego Stefka, w pobliskim bagnie. Matka powtarza pytanie: „Kto zabił mojego syna?”, choć nikt go nie zabił. Jednak winni są wszyscy – ojciec, krewni, sąsiedzi, po części także narrator. „Odmieniec” (dotknięty autyzmem?) nie mieścił się w wiejskim porządku: nie można go było przyuczyć do pracy, rzeźbił tylko siekierką ludzkie kukły w wierzbowym drewnie. Sprzedanie domu, wyjazd matki, młodszego syna inżyniera, do „północnego miasta” poprzedza targ o cenę, chęć zostawienia „odmieńca” w starym domu (za odpowiednią obniżką ceny), i uśmiercenie starego psa... To zderzenie „starego” i „nowego” jest zapisem brutalnej przemiany w „wychodźcach ze wsi”. „Nawiedzony” jest Jasiek-podpalacz z powieści *Oseł*, który marzył o murowanych białych domach w zielonych sadach zamiast drewnianych chat krytych słomą, więc na swój sposób przebudowywał wieś. Podpalał stare domy. Odbił karę więzienia. Po latach powrócił, zobaczył białe murowane domy w sadach, ale wieś nie zapomniała: został ukamienowany przez starców... Niepełnosprawna umysłowo w tej powieści jest młoda dziewczyna, zniewolona przez ojca, którą stary chłop uważa za „mądrą”, bo wie, że osty, by się nie odradzały, trzeba wyrwać z korzeniami. „Nawiedzona” jest także dziewczyna z opowiadania *Ludwika, córka Ładugi*, zniewolona najpierw przez panicza, a później wykorzystywana przez ojca. Przez całe życie „Anna, zwana stateczną” żyła obsesyjną pamięcią, że w młodości, w czasie ślubu organista nie zagrał jej weselnego marsza. Z zemsty spalił organistówkę i od ognia zapalił się drewniany kościółek... Patologie w wiejskim życiu mówią o kłamstwach literackich mitów wsi. Wiejscy nieudacznicy, pomyłenci, dotknięci chorobą, tworzą wyróżnioną grupę postaci w powieściach i opowiadaniach Kawalca; nie chodzi o kolo-ryt lokalny, lecz o przejawy deformacji psychicznych,

¹² J. Kawalec, *Wezwanie*. Kraków, wyd. z 1979 r. s. 83.

¹³ J. Kawalec, *W gąszczu bram*, Warszawa 1989, s. 146-148.

¹⁴ J. Kawalec, *Opowiadania wybrane*, Kraków 1975, s. 99-100.

¹⁵ J. Kawalec, *Odwiedziny w rodzinnym domu* z tomu *Zwalony więz*. *Opowiadania wybrane*, Kraków 1975, s. 62.

jakich nie brakuje także w mieście. Są jednak na wsi skrywane, mieszczą się w ogólnej formule złego losu.

Trzeba od razu powiedzieć, że w ten sposób dociekliwy kronikarz odrzucał zmitologizowaną wersję wsi i chłopca, co to „potęgą jest i basta”; urodziwy i silny „kiby smrek”, odporny na przeciwności, wytrwały w swoich dążeniach – słowem: waligóra. Takie postaci zjawiają w niektórych utworach Tadeusza Nowaka, są rodem z literackiego mitu, a nie z historii. Powieściowe postaci Juliana Kawalca inaczej wyglądają nawet w znaczeniu fizycznym: pokurczone, zreumatyzowane, o zrogowaciałych dłoniach i palcach, o koślawych, „uschniętych” nogach, skrzywionych grzbietach, a także o mrocznych, tajemniczych wnętrzach, niekiedy na pograniczu choroby psychicznej. W nich kryją się wszystkie ślady chłopskiego długowiecznego losu: pazerność, zawiść, przebiegłość. Jest w nich suma doświadczeń wielu pokoleń żyjących w nędzy, zniewolonych i bezradnych wobec ucisku i biedy. *Ziemi przypisany* (1962), *W słońcu* (1963), *Tańczący jastrząb* (1964) – trzy wczesne powieści Kawalca eksponują różne wersje głównego tematu. Wybór formy narracji – monologu wewnętrznego w pierwszej, niekiedy w drugiej osobie – pozwala na uchwycenie tego, co jest wewnątrz, co bywa skrywane przed światem: w *Ziemi przypisanym* jest trudna do wypowiedzenia zbrodnia zrodzona z chęci powiększenia gospodarstwa, gromadzenia majątku; jest to w tej powieści cecha wręcz biologiczna – rezultat wiekowego, idącego przez pokolenia lęku przed biedą. W takiej wersji przeszłości i teraźniejszości Kawalcowej wsi nie ma miejsca na ludomańskie zachwyty. W powieści *Oseł* (1977) młody architekt przyjeżdża do domu rodzinnego, do ojca, Suchego-ryżawego, aby się pochwalić swoim miejskim sukcesem. Zastaje zapłakaną matkę, niszczone gospodarstwo, zapuszczoną ziemię. Wygrany konkurs architektoniczny – wizja białych, niskich domów w zieleni – przypomina marzenie Jaśka-podpalacza. To co się zdarzyło w domu rodzinnym, łącznie z samobójczą ucieczką ojca, Suchego-ryżawego, jest parabolą złego losu. Powieść *W słońcu* przynosi antynomiczny obraz: stary człowiek, który przeniósł się ze wsi do miasta, do dzieci, żyje w psychicznej i społecznej pustce. Nie rozumie nowego świata, swojego otoczenia, bo nie przypominają tego, co było naturalnym porządkiem życia na wsi. Architekt z *Ostu* nie rozumie już ojca i jego postępowania. Rozstanie ze wsią – wyjazd, niemożliwy powrót – jest skazą zbiorowego losu pokolenia – zawieszonego psychicznie między opuszczonym i nie w pełni zdobytym. Samotność i jej następstwa stały się groźnym zjawiskiem w psychice „wychodźców” w mieście, lecz także mieszkańców wsi, przekonanych o swoim gorszym życiu, o przegranej i rozpadzie. Michał Toporny w *Tańczącym jastrzębiu* jest typowym produktem społecznych przemian. Kłeska Topornego, niespełnienie oczekiwań ma inną wersję – o czym była już mowa – w powieści *Przeplynieś rzekę*. Kawalec, reporter i kronikarz przemian cywilizacyjnych wie dobrze, że przynosiły one nie tylko przegrane i klęski, lecz także pozytywne ułatwienia w życiu, w ludzkich losach.

Edukacja szkolna, od końca XIX wieku jedna z dróg społecznych awansów, industrializacja kraju po II wojnie światowej, powstanie nowej inteligencji o chłopskim rodowodzie, demokratyzacja kultury – były to kamienie

milowe na drodze społecznych przemian. Były błędy, były klęski, ale w sumie z chaosu wyłaniała się nowa cywilizacja. Opowiadania z tomu *Ścieżki wśród ulic*, powieści *Ziemi przypisany*, *W słońcu* i *Tańczący jastrząb*, *Przeplynieś rzekę* mają jedną cechę wspólną: mówią o cenie, jaką zapłaciliśmy za przemiany. Jest w narracjach Kawalca, w losach jego postaci prawda o naszej historii, ale historii prywatnej, oczyszczonej z ideologicznych wmówień i uogólnień. To ze względu na typ narracji personalnej (pierwszo- i drugoosobowej, niekiedy w mowie pozornie zależnej) mamy do czynienia z wielkim „monologiem” społeczeństwa, jego zbiorową samoprezentacją. Ważne jest nie tylko co, ale i jak mówią postaci. W sposobach mówienia, w powtórzeniach tych samych słów i zdań, w gawędowym toku wypowiedzi, w skłonności do operowania alegorią i parabolą, w skojarzeniowych przeskokach myśli kryje się chłopska niepewność i nieufność odziedziczone po przodkach, tych analfabetach ze spisu powszechnego z początku drugiej niepodległości.

Dramatyzm i tragizm chłopskich losów w prozie Kawalca w języku i stylu właśnie wyklucza zmitologizowaną arkadyjską wersję życia. Powieści *Wezwanie* (1968), *Przeplynieś rzekę* (1973) kontynuują psychologiczną i moralną analizę z *Ziemi przypisanego*. Co kryje się w ciemnych zakamarkach duszy, w której uzasadnienie znaleźć może zbrodnia, skrajny egoizm, chęć dominacji nad otoczeniem. Co w losie ludzkim, a słowo to powtarza się w prozie Kawalca wielokrotnie, jest wynikiem świadomych działań, przemian społecznych, a co zwykłego przypadku. To, że stary Suchy-ryż w powieści *Oseł*, ojciec architekta porzucił żonę, związał się z młodą kobietą, uzasadnienie znajduje nie tyle w biologii, co w fakcie, że z ziemi trzeba wyrwać osty. To konieczność, ale i przypadek. W opowiadaniu *Gospodarstwo babci Jadwigi* z tomu *Marsz weselny* przypadek decyduje o tym, że stara kobieta zsuwa się z tratwy ratunkowej w czasie powodzi. Nikt nie wie, kiedy. Nikt nie wie także, kiedy i dlaczego Ładny Stefek skoczył do bagna w *Wezwaniu*. Nie wiadomo, co stało się i kiedy z dwójgiem bliskich sobie dawniej ludzi w powieści *Szukam domu*, którzy stają się sobie obcy? Wyobrażenie nie leczy ran: „Ma pewnie na sobie ten lekki kostium koloru dojrzałej śliwy, bo spodziewa się gości. Pod tym kostiumem jest szorstkie, zimne ciało pozbawione miłości; bo miłość z nas wyszła, pozostały dwa puste miejsca w dwóch skorupach”.¹⁶

Przypadek czy reguła przemiany? Dlaczego narrator w *Przeplynieś rzekę* traci nowo narodzonego syna, bo zły los w tym momencie właśnie postawił na jego drodze nożownika? Dlaczego przegrał Michał Toporny w powieści *Tańczący jastrząb*? Czy wychodzący ze wsi, ludzie nowi w mieście dziedziczą skazę jednej z „dwu dusz” z rozważań Jakuba Bojki? Ślad tych medytacji Kawalca odnaleźć można w autobiograficznej powieści *W gąszczu bram* (1989). W pamięci narratora cofającego się w dzieciństwo i młodość tkwią zdarzenia pełne okrucieństwa – polowanie na wielkiego jastrzębia, zabijanie młodego pięknego konia, który złamał sobie kręgosłup, wyprowadzanie po zimie chudej krowy małorolnego podpieranej przez ludzi, bo sama nie może stać ani się poruszać, bicie batem po gołych nogach dziecka zrywającego w ogródku makówki, bicie starego

¹⁶ J. Kawalec, *Szukam domu*, Warszawa 1968, s. 60.

fornala przez równie starego pana. Tkwi w narratorze jednak także pamięć o rodzinie, o prostych czynnościach życia – o mieleniu żyta w żarnach, o koszeniu zboża, o wykopkach, jeździe furą na jarmark do miasteczka. Los ludzki jest zawsze zdobywaniem i otwieraniem kolejnych bram.

„Bramy się rozmnożyły – co krok jakaś brama, którą musisz zdobywać, żeby pójść dalej; mógłbym nawyliczać wiele różnych bram, które w męce musiałem zdobywać – bramy miast, bramy szkół, bramy wiedzy; żyć to znaczy dobijać się do niezliczonej ilości zaryglowanych bram i otwierać je w trudzie, bo zawsze przed tobą jakaś brama. Jesteś w gąszczu bram”.¹⁷

W narracjach Kawalca dominują zdarzenia społeczne i obyczajowe, niewiele jest wśród nich wielkiej historii. Nie ma rodzinnych wspomnień z I wojny światowej; z drugiej – jest tylko pacyfikacja śródlęśnych wsi, rozstrzeliwanie przez Niemców wszystkich ich mieszkańców opisywane szczegółowo, w powolnym rytmie Kawalcowej narracji. Nie ma ruchu partyzanckiego, jest tylko w powieści *Ukrasć brata* scena-migawka o spotkaniu dawnego oracza z panem, scena zakończona zabranie paradnego rumaka od pańskiego powozu. Tak spełniła się rewolucja w życiu pańskiego rataja. Główne postaci z powieści i opowiadań Kawalca wpisane są w trwały porządek społeczny i obyczajowy, wolny od gwałtownych rytmów historii. Obrazy nabierają nowych znaczeń: deterministycznie, niekiedy fatalistycznie rozumiany los bywa nie tyle zaprzeczeniem, co ograniczeniem naiwnie rozumianego awansu, bywa jakąś odmianą „ucieczki od wolności”.

Zranione pokolenie „okaleczonych jastrzębi” wniosło jednak w życie społeczne nowe ambicje i nowe potrzeby – wartości bezwzględne, których nie znała i nie zabezpieczała kultura szlachecka. Powieść *Ukrasć brata* (1982) jest chyba ostatnią opowieścią w naszej literaturze współczesnej o starym konflikcie wsi i dworu. Chodzi w niej jednak o pańskiego rataja, który – jak w *Krótkiej rozprawie* ...Mikołaja Reja – prowadzi dialog z panem. Jest w nim wyznaczenie granicy tego, co się zdarzyło w latach 1938-1946. Dokonała się rewolucja, miała ona u nas odrębny charakter: reforma rolna, powszechna oświata, industrializacja zmieniły oblicze kraju i to niezależnie od zła, jakie się niekiedy dokonywało. W tej, najczęściej anonimowej masie „ludzi nowych” na społecznej arenie wartością bezwzględną był ukształtowany przez wieki nakaz pracy jako źródło, synonim i równoważnik wszelkiego życia. Pochwałę wysiłku, „pochwałę rąk”, najpełniej prezentuje narracja autobiograficzna *W gąszczu bram*, nazwać ją można także powieścią rozwojową. Jest w niej dzieciństwo i wczesna młodość chłopca, który od początku zdobywa kolejne bramy. Wyjazd do gimnazjum w Sandomierzu nie budzi jego entuzjazmu, a przyjazd na wykopki do domu rodzinnego jest pierwszym gorzkim przeżyciem osobistej klęski – rozstania ze wsią, z wpisanym w psychikę nawykiem pracy fizycznej. Tom reportaży *Pochwała rąk* (1969) świadczy jak blisko jest w prozie fabularnej Kawalca do zapisu prywatnego, osobistego. Odwiedziny u matki we Wrzawach, rodzinnej wsi pisarza, pozwalają dostrzec zachodzące zmiany w życiu młodego pokolenia chłopów: nie są już „przypisani do ziemi”. Po wojnie powstała nowa klasa chłopo-robot-

ników: dojeżdżają z Wrzaw do Stalowej Woli, Gorzyc, Dwikoz, Tarnobrzega, Sandomierza, Grzybowia. Staremu ojcu nie podobają się te wyjazdy młodych.¹⁸ Ale świat jest już inny.

Opowiadania z tomów *Blizny* (1960), *Zwalony wiaz* (1962), *Czarne światło* (1965), *Pierwszy biały ręk* (1979), reportaże z tomu *Pochwała rąk* (1969), wiersze z tomów *Kochany smutek* (1992) i *Te dni moje* (1994) dopełniają dzieła pracowitego życia. Jest jeszcze jeden tom prozy wspomnieniowej, poświęcony wybranej, bliskiej sercu krainie – Gorcom. Dom w Rabce, wędrowki do późnych lat życia po górach były ucieczką z miasta, „powrotem na wieś”, choć inną, nie rodzinną. *Harfa Gorców* (1999) jest tomem prozy poetyckiej, wielką pochwałą natury, zachwytem nad urokami pejzażu. Kawalec „szukał domu” poza rodzinnymi Wrzawami i poza Sandomierzem. Ale wieś rodzinna istnieje w narracjach Kawalca jak zadra w pamięci. Bo jego proza ma szczególne rytmy – jest w niej ciągłe wspomnieniowe „teraz”, zawieszeniu ulegają czasowe następstwa zdarzeń: to, co się przypomina nagle, w nieprzewidywalnej kolejności, istnieje jako częśćka świata przywołanego, wyobrażonego, irrealnego, zjawiającego się w pamięci za sprawą języka, bo to, co było, zostaje osadzone, nazwane, powołane do życia w języku. Kraków, gdzie mieszkał, nigdy nie stał się „jego miastem”. Anonimowo istnieje w opowiadaniach z tomu *Ścieżki wśród ulic*, w *Przepłyniesz rzekę*, w migawce ze strajku studenckiego w latach trzydziestych ubiegłego wieku w *W gąszczu bram*. Od 1945 roku ponownie zamieszkał w Krakowie, ale w pamięci pozostawał stale we Wrzawach, w okolicach Sandomierza i Tarnobrzega. Kawalcowa – jak u Piętaka – „ucieczka z miejsc ukochanych” – jest kronikarskim zapisem wsi, której już dziś nie ma, a same teksty należą także do innej epoki. Dobrze, że ta wieś została zapisana w literaturze.

Post scriptum:

Z bezpośredniej obserwacji: żniwa w pięciomorgowym gospodarstwie, wspomnianym na początku powieści *Przepłyniesz rzekę*, trwały w tej dawnej wsi 2-3 tygodnie: koszenie, kopienie, zwózka, omłoty, czyszczenie ziarna w wialniach rozciągało się nawet na całe miesiące. Dziś wszystkie te czynności zajmują razem półtora dnia: jest wypożyczany kombajn z kombajnistą, jest uszczelniona folią skrzynia przy własnym traktorze, jest natychmiastowe odwożenie zboża do sąsiedków... To wszystko. Czy z tego może powstać kontynuacja nurtu chłopskiego w literaturze? To jeszcze jedna przemiana wynikająca z cywilizacyjnego postępu? Nie ma literackiego zapisu tej przemiany. Bo kogo interesuje dziś takie świadectwo? Przemiany życia wydają się oczywiste, zawsze nie spełniają zbiorowych oczekiwań. Należąca do innej epoki proza Juliana Kawalca jest rzetelnym świadectwem przemian.

STANISŁAW BURKOT

¹⁷ J. Kawalec, *W gąszczu bram*, Warszawa 1989, s. 79.

¹⁸ J. Kawalec, *Pochwała rąk*, Warszawa 1969, s. 21

WIKTOR KUBICA

MOONSHINE BRANDY

– O, Woodward i Bernstein! – ironizuje naczelny.
 – Tekst gotowy?
 – Niezupełnie – odpowiadam.
 – Co to znaczy?
 – Potrzebuję jeszcze tygodnia, szefie.
 – Już miesiąc z tym marudzisz.
 – Muszę jeszcze raz zweryfikować dane.
 – Co tu weryfikować? Docent to kapuś, rozumiesz?!
 Kapuś, tajny współpracownik, esbek! Byłeś w ipleenie i wiesz o tym równie dobrze jak ja!

Istnieją okoliczności, które usprawiedliwiają zwłokę. Sęk w tym, że nie mogę o nich wspomnieć – od razu zleciałbym z tematu, a tego nie chcę. Dlatego zabieram się do krążeńa ogródkami:

– Musi pan zrozumieć, szefie, że wszystko, co dla pana jest naturalne, dla mnie to egzotyka. Był pan bezpośrednim uczestnikiem wydarzeń i doskonale czasy stanu wojennego pamięta, ja natomiast, jak pan kiedyś słusznie zauważył, nosiłem wtedy koszulę w zębach. Teraz usiłuję zrozumieć i przebijam się przez magmę. Inaczej mówiąc, usiłuję sobie wyrobić pojęcie o czymś, co bardzo trudno pojąć.

– O czym znowu?

– O bardzo wielu sprawach, składających się na obraz ówczesnego, że tak powiem, dnia powszedniego. Choćby o wódce na kartki i zakazie trącania się przed pierwszą.

– Kpisz ze mnie? Co to w ogóle ma do rzeczy?

– Każdy szczegół ma – tłumaczę. – Nie zażądał pan przecież prostego sprawozdania z dziennikarskiego śledztwa, tylko szerszej publikacji.

– Dlaczego ja cię jeszcze nie wylałem? – rzuca retorycznie; wstaje, urządza sobie spacer w dwie strony, chwilę stoi przy oknie i opada na swój fotel za biurkiem. – Dobra, masz tydzień. Ale pamiętaj, że to ostatni raz!

Poszedłbym od razu po linii oczekiwań naczelnego, gdyby nie zupełnie nieprawdopodobny przypadek. Ma on postać człowieka, oddającego się z zapalem profesji pikietowania sklepu. Od tak dawna, że na stałe wrósł w pejzaż mojego osiedla, a mieszkańcy, gdy go dłużej nie ma, wymieniają między sobą stroskane uwagi. Znam go oczywiście, a nawet zadzierzgnęła się między nami nić pewnego, powiedzmy, porozumienia. Daję się mianowicie tytułować kierownikiem, w sposób umiarkowany sponsoruję dyplomanię, a on obficie raczy i siebie i mnie z tą tylko różnicą, że siebie tanim winem owocowym, a mnie historiami z życia własnego oraz ludzkiego w ogó-

le. Są to opowieści romantycznie rozwichrzone słowami na jedenastą literę alfabetu, z powracającą bumerangiem goryczą stanu wojennego i traumatycznego przeżycia przymusowego zesłania na roboty. Niespodziewanie w jednej z tych opowieści odnalazłem ślad wątku do powielacza, który mój obecny szef wyniósł z zakonspirowanego lokalu. Od tej chwili stało się dla mnie jasne, że usiłuje zamazać jakąś plamę w życiorysie.

Docent Krzywda ponad wszelką wątpliwość był tajnym współpracownikiem bezpieki i pasuje jak ulał do wizerunku negatywnego bohatera historii, którą mam opisać. Poza tym nie jest nikim ważnym i tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia, czy i co się o nim napisze. W tych okolicznościach rozsądniej byłoby pójść po linii oczekiwań naczelnego. Taka kalkulacja budzi jednak moje zastrzeżenia, żeby nie powiedzieć obrzydzenie, i nie idzie tylko o to, że z czystej przyzwoitości nie chcę docentowi Krzywdzie robić dodatkowej krzywdy. Moje wyrachowanie ma głębszy podtekst, a oczekiwany efekt skutecznie równoważy zrozumiałą w tych okolicznościach obawę o własną skórę.

*

Wszystko się zaczęło, gdy generał Jaruzelski narobił totalnego zamieszania reglamentacją alkoholu. Potrzeba jest jak wiadomo matką wynalazków, a docent Krzywda, będąc w skrajnej potrzebie, zmusił swoje szare komórki do wytężonej pracy, czego efektem okazała się oryginalna i absolutnie rewelacyjna metoda destylacji. Rewelacyjna, bowiem jej produkty wielokrotnie przewyższały to, co rzucał na rynek Państwowy Monopol Spirytusowy, a czego i tak nie można było dostać inaczej jak na kartki. Nawiasem mówiąc, gdyby ów monopol zadbał wówczas o wykupienie licencji, a decydenci mieli choć trochę oleju w głowie, żadna „Stoliczna” ani „Smirnoff” po dziś dzień nie byłyby w stanie wysadzić z siodła „Wyborowej”, czy innej „Żyt-niej” z kłosem. W każdym razie w wyniku antyalkoholowej fobii generała docent Krzywda zasłużenie znalazł się na początku lat osiemdziesiątych u szczytu powodzenia. Nagle powiększyło się niezmiernie grono jego znajomych, stał się popularny, zauważany, zaczęto nawet dyskutować o jego dawno zapomnianych naukowych osiągnięciach i nie było dnia, żeby sam rektor nie wpadł na chwilę przyjacielskiej pogawędki.

Takie powodzenie każdemu innemu zdolne było przewrócić w głowie. Każdemu innemu, ale docent

Krzywda znał zarówno rachunek różniczkowy, jak i teorię względności. Wyprany z pospolitego chęstwa oraz zbrojny w oręż wysokiego ilorazu inteligencji, wydawał się być poza zasięgiem wszelkich pokus. W świetle późniejszego rozwoju wypadków były to jednak rachuby złudne. Wkrótce się okazało, iż nie wystarczy stać z boku, unikać dyskusji politycznych czy dbać, by się zbytnio w którąś stronę nie wychylić. Ślepy los okrutnie wyegzekwował zasadę wprost proporcjonalnej zależności pomiędzy wysokością wzlotu a bolesnością upadku. Przekonał się o tym docent Krzywda na własnej skórze. Przekonał się również, że wszelkie rachuby zawiodą tam, gdzie idzie o romantyczne uczucia. Tego nie brał wcześniej pod uwagę i to był jego podstawowy błąd. Ta stara dziwka Nemezis tylko czyhała na taką okazję.

Doczekała się, gdy któregoś pięknego dnia docent, było nie było rutyniarz zadufany we własny intelektualny potencjał i chytrze niczym stary lis omijający życiowe sidła, ni mniej, ni więcej oraz ni z gruszki, ni z pietruszki, jak pierwszy lepszy sztubak zakochał się po uszy! Jak to mówią, raz się jest na, a kiedy indziej pod wozem. Takie jest życie i nie ma na to rady. Zdarzy się nagle miłość i co robić? Jest z tym trochę jak z piciem alkoholu – nie istnieje ani jeden udokumentowany przypadek, żeby ktokolwiek po nim zmadrał. Mało tego! Można natychmiast przytoczyć ogromną ilość odrażających przypadków odwrotnych. No i co? Niby się o tym wie, ale nie ma to żadnego wpływu na ograniczenie spożycia. Tak też było z naszym docentem, którego trudno przecież posądzić o zwyrodnienie szarych komórek.

Inna sprawa, że nie był wcześniej ekspertem w sprawach damsko-męskich. Czyli, mówiąc językiem trenera Piechniczka, brakowało mu ogrania. W trudnych meczach, dodajmy obrazowo. Dlatego swój mecz od razu zaczął przegrywać i to sromotnie. Wybranka jego serca, kierowana kobiecą intuicją, trafiała bezbłędnie we wszystkie jego słabe punkty. Prawdę mówiąc, beznadziejnie zakochany docent silnych już po prostu nie miał.

Taki stan rzeczy spowodował opłakane skutki. Zaniedbał się, opuścił w pracy. Zamiast pilnować temperatury zacieru, bujał w obłokach i wzdychał do swojej bogdanki. Jakość jego trunków natychmiast dramatycznie spadała. Początkowo przymykano oczy. Wiadomo, jak to jest w produkcji – od czasu do czasu coś tam się sknoci. Kiedy jednak zaobserwowano nasilanie się zjawiska, zaczęły się narzekania. Wreszcie wybuchł potworny skandal.

Któregoś dnia rektor przywlokł się ledwie żywy na posiedzenie senatu. Z chorobliwie opuchniętą twarzą i sinymi cieniami wokół oczu wyglądał jak ofiara epidemii duru brzuszego. Tylko niebywałe poczucie obowiązku oraz awizowana wcześniej obecność samego ministra trzymały go na nogach. Na nic się jednak zdało poświęcenie. Mimo że zaciskał zęby mocniej niż bulterier, puścił pawia już w trakcie zagajenia. Potem, gdy rzucono mu się na pomoc, poprawiał jeszcze dwukrotnie i za każdym razem trafiał, niestety, prosto w ministra.

Minister uchodził w rządzie za czołowego eksperta od prowadzenia pertraktacji z sąsiadami zza wschodniej granicy. To oznaczało, rzecz jasna, iż posiadał ku temu nie byle jakie kwalifikacje; od prawników wiado-

mo, że taki, co nie może wypić, nic z Ruskimi nie załatwi. Ponieważ minister mógł, istnieje podejrzenie graniczące z pewnością, że zjawisko puszczenia pawia, jak i okoliczności towarzyszących, z wyżej wymienionych służbowych powodów nie były ministrowi obce. W każdym razie od razu odrzucił wtedy wersję zatrucia salmonellą. Opowiedział mi o tym uniwersytecki cieć, który zaplątał się tam z dzbankiem herbaty. Powiało grozą, gdy odmalował szczegóły dramatu: „Rektor obiecał kupić ministrowi nowy krawat, a mimo to dostał taki opierdol, że mu trepy pospadały”.

Domyślić się przyczyny niestrucho: fatalna jakość trunku, spowodowana bujaniem docenta w obłokach. W tych okolicznościach nie może budzić zdziwienia fakt, iż przygotowany wcześniej wniosek do Rady Państwa o nadanie mu tytułu profesora nadzwyczajnego, wylądował zwyczajnie w koszu.

Stan, w jakim się docent wówczas znajdował, sprawił, że wcale się tym nie przejął. Nie zrobiło też na nim większego wrażenia dyscyplinarne odsunięcie od wszelkich zajęć na uczelni. Już wtedy zresztą tkwił po uszy w „Solidarności”, by po pamiętnym trzynastym grudnia wraz z nią zejść do podziemia.

Na ten półroczny z górą okres, między ogłoszeniem stanu wojennego a wpadką, przypadła największa aktywność docenta. Drukował ulotki, wymieniał hasła, nosił płaszcz z podniesionym kołnierzem, kapelusz, ciemne okulary, zawsze czujnie się rozglądał i w ogóle konspirował. Jego bogdanka, nosząca imię Lusia, konspirowała jeszcze zacieklej i to ona była przyczyną, dla której docent poszedł w ślady Che Guevary.

Docent Krzywda nie był typem nieustraszonego bohatera. Przeciwnie – bardzo się bał, wręcz umierał ze strachu. Nieraz miał ochotę rzucić wszystko w diabły. Ale docent Krzywda przede wszystkim kochał i rozumiał, że miłość wymaga ofiar. Niestety, z biegiem czasu ofiara jego miłości rosła. Odkąd się przekonano, że z jakimś niewiarygodnym szczęściem uchodzi z licznie zastawianych przez esbecję pułapek, proponowano mu coraz ryzykowniejsze zadania. Póty jednak dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

Nie znam, niestety, szczegółów wpadki. Lusia wkrótce potem wyjechała do Australii, gdzie się zmarnowała wychodząc za mąż, a docent, obecnie pensjonariusz Domu Opieki Społecznej przy ulicy Helclów w Krakowie, zasłania się brakiem pamięci z powodu ubytków kory mózgowej na tle alkoholowym. Ani policjantów, ani byłych esbeków nie ma co pytać, bo już ich prawie nie ma. Pozostają ułamki prawdy, jak części zdekompletowanych puzzli.

*

– Z czym ja nie eksperymentowałem! – wspomina docent Krzywda. – Z jęczmieniem, prosem, pszenicą, ryżem, burakami, ziemniakami, kalarepą, rabarborem... Nawet z tekturą! Za każdym razem wychodził mi spirytusik, że paluszki lizać!

Składa palec wskazujący z kciukiem w kółeczko, cmoka, lubieżnie przymykając oczy. Niestety, mimo że na samą myśl mam w ustach Niagarę, nie mogę przeprowadzić organoleptycznego testu. Docent za nic nie chce podać przepisu. Wykręca się, kombinuje, cygani. Jednego dnia już się nawet godzi na osobiste przeprowadzenie eksperymentu. W związku

z tym rzucam się w wir przygotowań, zapewniam sobie entuzjastyczne poparcie dyrektora Domu Opieki Społecznej, idę w kosza nabywając drogą aparaturę, a docent patrzy później na nią jak krowa na pociąg i kręci głową.

– Nie pamiętam – mówi, wpada w debilne otępienie i doprowadza mnie do szewskiej pasji. Oczywiście zmyśla, udaje i w ogóle robi mnie w konia. Jak egipski kapłan z jakichś tam nieznanych przyczyn zamierza zabrać swą tajemnicę do grobu. Nie mogę do tego dopuścić. Dlatego szukam klucza do zagadki, zostawiając głęboko w tyle żądania naczelnego.

*

„W dniu wczorajszym, w wyniku skomplikowanych działań operacyjnych, funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej zatrzymali grupę przestępczą, prowadzącą działalność antypaństwową. W wyniku zatrzymania osadzono w areszcie piętnaście osób – wszystkie związane ze środowiskiem akademickim Krakowa. Zlikwidowano również nielegalny punkt poligraficzny, w którym znaleziono maszyny oraz znaczne ilości materiałów drukarskich. Śledztwo prowadzi Prokuratura Wojewódzka w Krakowie”.

Taki komunikat za Polską Agencją Prasową podały media czternastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Ani słowa o docencie i jego uwielbianej Lusi. Ten komunikat, jedyny oficjalny ślad niewątpliwie dramatycznego wydarzenia, przeszedł kompletnie niezauważony. Przytłumiły go relacje z ruchów, jakie miały miejsce dzień wcześniej we wszystkich prawie większych miastach Polski. Potem zapadła kompletna cisza. Sprawdziłem skrupulatnie i wiem na pewno, że nie było więcej żadnego wyjaśnienia, komentarza czy też sprostowania. Po prostu kamień w wodę.

Dzięki pewnym skomplikowanym układom towarzyskim udało mi się trochę powęszyc w ipeenie. Dość dokładnie przetrząsnąłem zasoby archiwalne i ku swojemu wielkiemu zdziwieniu nie natrafiłem na najmniejszy ślad śledztwa, które przecież oficjalnie zapowiadano. Wynika z tego, że albo go nie było, albo ktoś pieczołowicie zadbał, żeby wszelki ślad po nim zagać. Sprawy nie zwieńczył żaden proces sądowy, ale cała piętnastka znalazła się w obozach internowania. Tych piętnaście zatrzymanych osób wkrótce wyszło na wolność. Wyszli niemal równocześnie, w odstępie zaledwie kilkunastogodzinnym, mimo że siedzieli w kilku różnych obozach. Wszystkim zaproponowano paszporty i wyjazd z kraju na stałe. Skorzystało z tego osób dwanaście, w tym Lusia. Tych trzech pozostałych w kraju jakoś dziwnie nikt się więcej nie czeptał – mam tu na myśli normalne wówczas przykrości, na przykład zwolnienia z pracy. Przeciwnie; nawet na moment nie zostali odsunięci od zajęć dydaktycznych, a jeden z nich krótko potem obronił pracę doktorską. Anatemą objęty był tylko docent Krzywda. Co najdziwniejsze, ze zwykłego wyliczenia wyszło, że wcale nie figurował on w oficjalnym komunikacie. Inaczej byłaby w nim mowa o szesnastu, a nie piętnastu zatrzymanych. Oznaczało to, iż docent jako jedyny z tej grupy nie został w ogóle aresztowany!

To ostatnie oraz niejasne okoliczności wpadki ściągnęły na niego podejrzenia, a w konsekwencji nieubła-

gany wyrok środowiska. Przyłgnęła do niego plakietka kapusia. Symptomatyczny jest tu list Lusi, pisany kilka lat później z Australii, który nie pozostawia na docencie suchej nitki. Trudno jednak mówić o wiarygodności, biorąc pod uwagę zwichniętą optykę osoby zaangażowanej osobiście, rozgoryczonej i być może rozstrojonej psychicznie.

Postanowiłem dotrzeć do trzech pozostałych w kraju osób związanych z wpadką. Pierwszym był mój naczelny, ale to, co już mi powiedział, nie wyglądało wiarygodnie w świetle innych faktów, a pytać dalej, przynajmniej na razie, nie chciałem. Drugiego zrazu nie mogłem namierzyć, a potem się okazało, że od kilku lat leży na cmentarzu w Grębałowie. Trzeci człowiek – ten, który niedługo po wpadce obronił doktorat – został tymczasem profesorem w filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie.

*

– Smród – marszczy nos, kręci głową profesor. – Smród nas dekonspirował. Powielacz spirytusowy czuć na kilometr denaturatem. Zresztą tego denaturatu było na lekarstwo. Ludzie przepuszczali przez chleb i pili, bo kartek na alkohol nie starczało. Hałas by jeszcze uszedł, ale smród... Co dwa, trzy dni musieliśmy zmieniać lokal. Wtedy jedna taka... Nazywaliśmy ją Córą Rewolucji. No więc ta Córa zaczęła przynosić spirytus, który wcale nie śmierdzał. Przeciwnie! Był przepyszny i z dużym żalem się go zużywało do celów poligraficznych.

– Wyrób docenta Krzywdy? – domyślam się, pytam.

– To był łebski gość. Zrobił wcześniej kilka wynalazków, z których nic mu nie przyszło. Wiadomo – takie czasy były. Jakiś patent udało mu się jednak przemycić za granicę i wtedy znalazł się pod lupą esbecji.

– Byliby go zgnoili, gdyby nie pędził bimbru – podejmuje, uśmiecha się do swoich myśli, cmoka profesor. – Ależ to były pyszności! Krzywda mógł się ustawić do końca życia, był jednak całkowitym abnegatem. Na niczym mu nie zależało, za wyjątkiem tej... Córy Rewolucji. Prowadziła go jak pieska na smyczy, a on wodził za nią rozmodlonym wzrokiem.

– Krzywda figuruje na liście Wildsteina jako Te-Wu – przypominam.

– Daj pan spokój z tą listą! Musiał być zarejestrowany, żeby go inne służby nie przejęły. Esbecy też się lubili napić i w ten sposób chronili swoje źródło.

– Wiedzieliście o tym?

– No jasne! Przecież tam, gdzie pędził, umieściliśmy w końcu powielacz! W ten sposób chroniła go esbecja – rozumiesz pan?

– Wiedzieli o powielaczu?!

– Nawet papieru dostarczali, jak zabrakło.

– Niewiarygodne! – ze zdziwienia aż się unoszę. – Mogli przecież od razu rozpiżyć waszą konspirację i pochwalić się sukcesem.

– Przekalkulowali i doszli do wniosku, że się skórka za wyprawkę nie opłaci – macha ręką, chichocze profesor. – Próbowali pędzić sami, po czym główny esbek, naczelnik wydziału zdaje się, wyładował w szpitalu z poparzeniami trzeciego stopnia. Bez Krzywdy nie mogli się obejść. Tkwiła w tym jakaś tajemnica technologiczna, której nigdy nikomu nie wyjawiał. Nawet tej swojej Córce Rewolucji.

Profesor jest kordialnie uśmiechnięty, wręcz serdeczny. Wspomnienia przeszłych wydarzeń sprawiają mu najwyraźniej przyjemność. Wszystko się zmienia, gdy pytam o szczegóły wypadki.

– Nic nie wiem – twarz mu nagle tężeje, wzrusza ramionami, wyciąga przed siebie ręce w obronnym geście. – Nie było mnie przy tym.

– Wszyscy wpadli oprócz docenta Krzywdy, za którym poszła opinia kapusia. Tymczasem, skoro esbecja długo wcześniej wszystko wiedziała, wcale nie musiał kapować. Co się w takim razie stało?

– Coś się pan tak przytratitał?! Zwinęli mnie podczas wykładu na uczelni i jeszcze wstydu się najadłem! Dość, dość! Nic więcej nie powiem!

– Jakaś przyczyna musiała w końcu być – nie ustępuję. – Słyszał pan coś może o wałku do powielacza?

– Słyszałem o wypadku.

– Jakim wypadku?

– Drogowym. Docent skasował samochód.

– A wałek?

– Pytaj pan kogo innego.

*

Wyobraźmy sobie szosę z Krakowa do Katowic, a ściślej obfitujący w nieprzyjemne zakręty odcinek między Modlniczką a Białym Kościołem. Trzynastego czerwca osiemdziesiąt dwa jechał po niej biały fiat 125p, zarejestrowany na nazwisko docenta Krzywdy. On sam zajmował miejsce pasażera obok prowadzącej Lusi.

Szybkość samochodu nie była znaczna, głupie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, ruch niewielki, widoczność doskonała. Lusja prowadziła poprawnie i nic nie usprawiedliwiała wzmożonego niepokoju docenta. Ten jednak wiercił się bez przerwy na swoim miejscu i kręcił głową tak, że aż mu kręgi szyjne skrzypiały. W pewnym momencie zauważył, iż podejrzenie długo trzyma się za nimi inny fiat. Poleciał Lusi zwinąć, potem przyspieszyć i ku swojemu wielkiemu zdenerwowaniu stwierdził, że tamten z tyłu dokładnie kopiuje ich manewry. Na szczęście okazało się zaraz, że gość czekał tylko na kawałek prostej drogi, bo w końcu dodał gazu, śmignął obok, a docent odetchnął z ulgą. Nie na długo. Jakiś czas później zerknął w tył i znów zauważył fiata na ogonie. Tym razem nie wytrzymał nerwowo.

– Śledzą nas! – wrzasnął, a Lusja natychmiast się obejrzała. Niestety, nie panując nad odruchami, gwałtownie skręciła kierownicą, równocześnie dociskając gaz. Samochód zjechał z drogi, cudem ominął kamienny słupek i, kilkakrotnie koziołkując przez dach, zatrzymał się na nim w polu.

Pierwsi pomogli im pasażerowie jadącego z tyłu podejrzanego fiata. Niestuszenie podejrzanego; jak się zaraz okazało, było to starsze, pocziwe, Bogu ducha winne małżeństwo. Żadne drzwi nie dawały się otworzyć, samochód leżał kołami do góry, było więc trochę trudności z wyciągnięciem pasażerów ze środka. Na szczęście, nie licząc oczywistego szoku, nic im się nie stało i w końcu wyszli o własnych siłach przez rozbity przednią szybę. Wtedy nadjechał milicyjny radiowóz i zaczął się dramat. Kłapa bagażnika otwarta podczas wypadku wyrzuciła bowiem na ziemię jego zawartość – paczki z ulotkami o niewątpliwie antypaństwowej tre-

ści. Nie mogło to ująć uwadze milicjantów. W związku z tym, po zorientowaniu się w sytuacji, zamiast karetki pogotowia wezwali przez radio posiłki.

Wszystko to docent z Lusią obserwowali jakby z pewnego oddalenia, wciąż jeszcze w szoku z powodu niedawno przeżytych emocji. Ona cichutko szlochała w jego objęciach, a on przytomnie wykorzystywał sytuację i skrupulatnie scałowywał jej łzy. W tych okolicznościach sprawa ulotek schodziła na dalszy plan. Nie na długo wszakże. Wraz z przybyciem drugiego radiowozu wszystko się przekreśliło.

Starszy rangą milicjant, gdy zobaczył docenta, aż gwizdnął ze zdziwienia:

– Gdzie cię diabli docent noszą? Nie możesz usiedzieć na tyłku, czy jak?

– Panie poruczniku, pan zobaczy – drugi milicjant, starszy sierżant, podszedł z kilkoma ulotkami w rękach.

– No, no – pomrukiwał porucznik, czytając i nie przestając gwizdać. – No, no... Tego się docent po tobie nie spodziewałem.

Docent zeszytywniał, zamrugnął powiekami. Odkąd Lusja stwierdziła, że okulary go postarzają, przestał je nosić. W związku z tym widział kiepsko. Stale się przewracał, nabijał sobie wciąż nowe guzy, ale nic a nic go to nie zrażało. Teraz, gdy zaczął wytyczać wzrok wpatrując się w twarz milicjanta, obok świeżego guza na czole pojawiła mu się głęboka bruzda.

– Pan... mnie zna? – spytał drżącym, zmienionym głosem.

– Panie poruczniku – wtrącił starszy gość, kierowca fiata, który najwcześniej był przy wypadku. – Czy jesteśmy jeszcze potrzebni?

– Nie. Podajcie tylko sierżantowi dane personalne i możecie jechać.

– Już ich spisałem – zameldował sierżant.

– W takim razie w porządku.

– Czy... – zawahał się starszy gość. – Mógłbym może wziąć sobie kilka ulotek? Wie pan, na pamiątkę.

– A bierz pan! – porucznik wzruszył ramionami i wcisnął facetowi w ręce cały plik. Potem zwrócił się do docenta: – To nie nasza działka. Musimy zawiadomić esbecję, tylko że wtedy posiedzisz. Dlatego lepiej zabieraj się stąd. Państwo go podwieziecie do najbliższej miejscowości, dobrze?

– Oczywiście! – przytaknął natychmiast starszy pan, skwapliwie chowając ulotki w kieszeń. – Bardzo chętnie – dodał i dyskretnie pokazał rozcapierzone palce.

– Jakże to? – wykrztusił docent. – A Lusja?!

– Zabieraj się docent pókim dobry!

– Mam odjechać bez Lusi?! O nie! Nigdy! Przenigdy! Porucznik westchnął, pokręcił głową i zsunął czapkę na jej tył.

– Puść panienkę i pozwól na chwilę – powiedział. – No puść!

Brutalnie szarpnął docenta za ramię i pociągnął za sobą. Rozmawiali dłuższą chwilę, przy czym docent żarliwie gestykulował, a milicjant spokojnie tłumaczył. W miarę tego tłumaczenia żarliwość gestykulacji docenta słabła. W końcu już tylko potakiwał z coraz niżej opuszczoną głową. W takiej pozycji, z nosem prawie przy ziemi i nie patrząc ani razu w kierunku osłupiałej, zdenerwowanej, bladej z wrażeń Lusi, dał się w końcu wepchnąć do fiata i wywieźć z miejsca wypadku.

*

– Wcale mi się to nie podoba – stwierdza docent Krzywda, wzruszając ramionami. Zachowuje na pozór olimpijski spokój, odkłada wydruk i udaje, że nic go nie obchodzi. Po chwili jednak wraca do lektury.

– Bujda na resorach i tyle – pomrukuje. – Bujda. Ale trzeba przyznać, że nieźle się czyta. O strachu... Szkoda, że ledwie tu jest zaznaczone, bo to istotne. Jest parę dobrych pytań, na które trzeba znaleźć odpowiedź, jeżeli marzy się panu jaki taki poziom. Choćby, z czego się składa strach? Albo z czego wynika bohaterstwo? Czy to jest na przykład funkcja jakiejś wrodzonej nieugiętości charakteru, czy całkiem przypadkowej, a rozpaczliwej reakcji na pełne portki? I jak się ono ma do pospolitej głupoty?

Wszystko mieściło się w granicach prawdopodobieństwa, coś mi jednak od początku nie pasowało. Skoro było tak, jak opowiadał profesor, docent nie miał powodu, żeby się bać esbeków. Więcej: powinien sam nalegać na ich sprowadzenie, powołując się choćby na tego poparzonego naczelnika wydziału. O wypadku jednak kiedyś mimochodem wspomniał, a ja sprawdziłem – Lusia istotnie skasowała mu auto. Ponownie zagadnięty na tę okoliczność macha tylko ręką i wyjmuje zdjęcie legitymacyjnego formatu, przechowywane w portfelu jak jakiś skarb.

– To jest Lusia – mówi, podsuwa mi pod nos.

Znam tę fotkę. Lusia wygląda na niej, jakby się przestraszyła fotografa. Dawno orzekłem, iż nie jest to preferowany przeze mnie typ urody. Mówiąc ściślej, jest to odwrotność moich preferencji. Docent ma inne zdanie. Nadal nie nosi okularów, co go teraz w pewnym sensie tłumaczy.

– Ładna, prawda? – pyta, a ja bezczelnie potakuję.

Dzięki temu uśmiecha się i dorzuca lakonicznie:

– Spatif.

– Co spatif?

– Poniosłem znaczny uszczerbek – docent odpowiada na pytanie, jak zwykle starannie omijając sedno sprawy.

– Co to znaczy?

– Uszczerbek na honorze niezależnego producenta alkoholu. Ta historia z rektorem ostatecznie wyrzuciła mnie poza nawias społeczności akademickiej. Gdyby nie Lusia, popełniłbym chyba samobójstwo.

Uśmiecha się do zdjęcia, cały zatopiony w jego kontemplacji. Oznacza to, iż nie życzy sobie dalszych pytań i nic więcej nie powie.

*

Niedługo trwała degrengolada docenta, bo Lusia wzięła go do galopu. Było to nieodzowne choćby z tego względu, że chuda uniwersytecka pensyjka nie starczała im na życie. Dlatego docent wrócił do przerwanej procedury, ulepszył aparaturę i jeszcze zwiększył produkcję. Co do jakości opinie są wyjątkowo zgodne; bimber, zwany przez docenta z angielska „moonshine brandy”, przewyższał pod każdym względem wszystkie znane dotąd ludzkości gatunki alkoholu. „Kopało w beret przy zerowym kacu” powiedział cytowany wcześniej uniwersytecki cieć, a ten gość to ekspert – możecie mi wierzyć! Wszystko szło pod czujnym okiem Lusi, która dodatkowo zadbała o dys-

trybucję i skończyła z altruizmem. Nawet wobec rektora, który z prostych względów konsumpcyjnych puścił osobistą urazę w niepamięć.

Wkrótce sława docenta rozkwitła na nowo; ba! Rozniosła się jeszcze szerzej! Do tego stopnia, że na wspólną prośbę egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, kilku organizacji twórczych oraz ajenta restauracji „Spatif”, zaczął docent regularnie zaopatrywać ją w alkohol. To tłumaczy jego częste wizyty w tym lokalu. Również feralnego dnia, trzynastego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego.

Jeżeli ktoś wyrazi teraz zdziwienie, że taki nielegalny proceder odbywać się mógł pod okiem legalnej władzy, spieszę przypomnieć, iż życie obfitowało wtedy w znacznie bardziej bulwersujące paradoksy. Zresztą dla tej władzy ważne były już tylko pozory i żeby od strony ideologicznej wszystko grało. No, prawie wszystko. Na tym polu kwitła dialektyka.

Tego dnia, trzynastego czerwca, pogoda kaprysiła od rana. Wiał silny wiatr, prószyło deszczem, butelki wisiły w powietrzu, jak powiedziałby cytowany wyżej cieć. Jakby to nazwać, biomet był zdecydowanie niekorzystny. Zapewne tym należy tłumaczyć wyjątkową drażliwość Lusi, która towarzyszyła docentowi w spatifie. Na zwróconą sobie uwagę – wyraz niezadowolenia z jej tanecznego popisu połączony z zadziwieniem spódnicy – zareagowała gwałtownie i w sposób nieopanowany. Awantura osiągnęła od razu takie natężenie, że przekroczyła znacznie dopuszczalne normy i oboje zostali z klubu wyproszeni. Dalszy ciąg kłótni umiejscowił się w sieni prowadzącej do lokalu. Ze względu na architektoniczne ukształtowanie każdej dźwięk wewnątrz wzmacniała ona na kształt tuby i roznosiła wielokrotnionym echem po całym placu Szczepańskim. Tak było i tym razem. Traf chciał, że akurat przechodził milicyjny patrol i wykazał się czujnością. Starszy rangą milicjant na widok docenta gwizdnął ze zdumienia:

– Docent! Czego ty się szlajasz po bramach, co? Spadaj stąd, a tą kurwą to już my się zajmamy!

*

– Nieprawda! – wybucha, złości się docent i macha rękami. – W życiu! Nikomu nie dałbym tak powiedzieć o Lusi! To było zupełnie inaczej! Poszedłem oddać książkę jednemu znajomemu, a tam był kocioł! Nawet nie wiedziałem, że działa w podziemiu! Wpadłem jak śliwka w kompot! Wtedy jeden po cywilnemu mi się przyjrzał. To był ubek, nie milicjant! Przyjrzał mi się i... Przyjrzał...

– I co? – pytam.

– I nic – flaczęje docent. – Kazał mi się wynosić.

Czuję dreszcz, jaki czuć musi myśliwy na widok świeżego, wyraźnego tropu. Wiem, co to oznacza! Gdzieś po drodze, mimochodem, potrafiłem czuć strunę, zawadziłem o jakiś bolesny odprysk prawdy. Nie mogę teraz o to spytać, bo docent nie odpowie. Nie mogę też zostawić mu czasu do namysłu, bo się pobiera i zacznie zmyślać. Dlatego brnę dalej:

– Od dawna wiedzieli o panu i przyglądali się z boku pańskiej konspiracyjnej działalności. Mało tego: sami chronili pana przed wpadką.

Widzę nerwowy tik na twarzy docenta, jego spłoszony wzrok i ciągnę bez cienia litości:

– Ubecy też się lubili napić, a pan sprzedawał im gorzałę za rozsądną cenę. Za cenę pozostawienia pana w spokoju, prawda?

– Nie, nie, nie! – zrywa się nagle, wymachuje rękami. – Po stokroć nie! Nie o mnie chodziło! Na sobie mi nie zależało!

Łapie się za głowę, opada na krzesło. Zaczyna się rytmicznie kiwać w tył i w przód, wygląda jak sama kwintesencja nieszczęścia.

– Chronił pan Lusię, prawda? Chronił pan? – pytam dalej.

Nadal się kiwa, a mnie coś zaczyna świtać. Ze zdumienia walę się w czoło:

– Lusia wpadła, zaczęła sypać i całą winę zwała potem na pana! Pan ją ocalił, a ona panu odpłaciła czarną niewdzięcznością!

– Czy to takie dziwne?! – docent chrypi przez ściśnięte gardło; ręce mu drżą, gdy usiłuje ująć szklanke z niedopitą herbatą i błądzi nimi po ubraniu, jakby szukał zapalek. – Czy pan nie wie, że taką delikatną istotę łatwo śmiertelnie przerazić? Niech mi pan pokaże takich, co to wytrzymają! Niech mi pan pokaże!... Idź do diabła! Wynoś się!

– Jeszcze mały drobiazg – potrząsam go za ramię, uśmiecham się do siebie; czuję, że jestem w domu. – Daję słowo, że nikt nigdy się o tym nie dowie i choćby mnie końmi rozrywali, będę milczał jak grób. Pod jednym wszak warunkiem.

Dociera do niego po chwili, łypie spoje łba. Szare komórki pracują mu teraz na maksymalnych obrotach tak, że niemal czuję swąd przegrzanej instalacji. Odgaduję, że czyta moje intencje bezbłędnie, obracając tym w perzynę cały swój udawany debilizm.

– Jakim? – pyta.

Uśmiecham się nadal, bo znam dalszy ciąg i wcale mnie nie przeraża perspektywa rozmowy z naczelnym:

– Podyktuje mi pan swój przepis na księżycówkę.

Wpija się niewidzącym spojrzeniem w ścianę, a po chwili po jego nieogolonym policzku zaczyna się majestatycznie toczyć wielka łza.

*

– O, Woodward i Bernstein! – cieszy się, uśmiecha naczelnym; kilka dni temu został nominowany do prestiżowej nagrody dziennikarskiej i odtąd jest do rany przytóż. – Tekścik ma się rozumieć gotowy?

– Owszem – oznajmiam z równie miłym uśmiechem, kładąc przed nim kalkulatorowy wydruk. Rozsiadam się swobodnie, a on wkłada okulary.

– Wątek? – dziwi się, wzdryga, a cień niepokoju mąci pogodne zadowolenie na jego twarzy. – Skąd?... – dodaje jeszcze, ale już nie kończy pytania.

Zwykle czyta piorunem i te kilka kartek przeleciałby w minutę. Tym razem trwa to o wiele dłużej. Kiedy w końcu unosi głowę, jego oczy są puste:

– Czego chcesz?

– Niczego, szefie.

– Nie spodziewasz się chyba, że to puszczyć?

– Nie będę protestował.

– Pójdiesz gdzie indziej?

– A niby po co? – dziwię się szczerze. – Co to ja jestem; inkwizytor jakiś w rodzaju tego, za przeproszeniem, Wildsteina?!

– Więc czego chcesz?

– Mogę powiedzieć tylko, czego nie chcę. Nie chcę flekować człowieka, który i bez tego ledwo żyje.

– Chyba nie masz wątpliwości, że był tajnym współpracownikiem?

– To nie ulega kwestii. Nie on jednak was zasypał.

Zrywa się nagle i urządza sobie spacer w dwie strony. Zatrzymuje się przy oknie, wygląda i pyta tak cicho, że ledwie go słychać:

– Kto jeszcze o tym wie?

– O czym? – myślę akurat o czym innym i nie rozumiem pytania.

– No, o wałku.

– Ach, o tym... Nikt ważny, szefie. Bezdomny, któremu od czasu do czasu pomagam ugasić pragnienie. Los skrzyżował wasze drogi trzynastego czerwca osiemdziesiąt dwa na korytarzu magistrackim, przed drzwiami urzędującego wówczas non stop kolegium do spraw wykroczeń. Chciał się pan pozbyć wałka, bo to był w tych okolicznościach kibel, i proponował mu pan pewną kwotę za, powiedzmy, przechowanie. Niestety, nie uszło to uwadze pilnującego zomowca.

Odwraca się od okna i siada w sposób przypominający awaryjne lądowanie. Milczy, a ja wyobrażam sobie tę scenę w magistracie. Targowali się? Mój znajomy, który i wtedy był menelem, a więc człowiekiem notorycznie niedoinwestowanym, chciał zapewne maksymalnie wykorzystać nadarzającą się okazję; mój naczelny z kolei, który wtedy nie był jeszcze naczelnym, nie miał przy sobie wystarczającej gotówki. Menel podejrzewał jednak krakowskie skąpstwo, zawołał esbeka i... A może się szamotali? Naczelnym wciskał tamtemu wałek, a on nie chciał wziąć, zanim pieniądze nie dostanie?... A może...

– Proszę? – tak się zamyśliłem, że nie dosłyszałem pytania i naczelny musi powtórzyć:

– Chcesz zrehabilitować esbeka?

– Ależ skąd!

– Pisziesz o nim jak o jakimś Wallenrodzie.

– Piszę prawdę.

– Prawdę... Gównu- prawdę piszesz! Nic nie wiedziałem, że esbecja miała go pod lupą!

– Jeżeli pan nie wiedział, gównu- prawdę usłyszałem od tego profesora z Usiu. Nie zmienia to jednak sprawy wałka. Po co pan go w ogóle ze sobą nosił?

– Guma się wytarła i... Zresztą co cię to obchodzi?

– Ma pan rację.

– Czego chcesz?

– Już pan pytał, a ja odpowiedziałem.

– Naprawdę niczego nie chcesz? – dziwi się naczelnym. – Nawet podwyżki?

– Podwyżki?! – unoszę się zaskoczony. – Jak mógłbym podwyżki nie chcieć?!

– Spadaj!

– A wie pan szefie – odwracam się, przystaję w drzwiach – para jednak wcale nie poszła w gwizdek.

– O czym mówisz?

– O wiekopomnym wynalazku docenta Krzywdy. O absolutnie rewelacyjnej metodzie destylacji alkoholu. Dzięki mojej, a raczej naszej wspólnej inicjatywie, nie zabierze tego wynalazku do grobu.

– Pogięło cię?!

– Chce pan spróbować?

– Spadaj!

WIKTOR KUBICA

ADAM KULAWIK

KTO ZDEFLOWOWAŁ PANNE IZABELE ŁĘCKĄ?

Wreszcie musi to ktoś powiedzieć! Przez całe sto lat czytano wielką powieść Bolesława Prusa – *Lalkę* – mało uważnie, co skutkowało chybioną wykładnią znaczeniową utworu. Mówię „sto lat”, choć od jej wydania w roku 1890 minęło lat sto dwadzieścia pięć, a to dlatego, że ostatnie opracowanie *Lalki*, które słusznie może być uważane za jej monografię, ukazało się w roku 1991 w serii „Biblioteka Narodowa”, autorstwa Józefa Bachórze. Wcześniej Henryk Markiewicz, najwybitniejszy badacz pozytywizmu, poświęcił *Lalcę* najpierw monografię materiałową (1951), w roku 1959 wyszło spod jego ręki nowe opracowanie powieści w „Bibliotece Szkolnej” PIW, wreszcie nowa monografia materiałowa w roku 1967.

W roku 1994 opublikował Markiewicz obszerną rozprawę pt. *Co się stało z „Lalką”?*, będącą przeglądem i krytyczną oceną prac poświęconych tej powieści, które ukazały się po tamtych jego opracowaniach. Nie bez widocznej satysfakcji mówi Markiewicz, że tezy zawarte w jego opracowaniu *Lalki* stanowiły „punkt odniesienia czy – jak kto chce – trampolinę dla wielu autorów, którzy potem o *Lalcę* pisali, dla wielu ich czytelników, którzy wiedzę szkolną o powieści z tego wstępu bądź z jego mutacji czerpali...”.

No tak! To, co chcę tutaj o moim odczytaniu i rozumieniu arcydzieła Prusa powiedzieć, w sposób naturalny musi się odnosić do ustaleń Markiewicza, ale na tę trampolinę nie wchodzę i nikomu wchodzić na nią nie radzę, bo nie jest to konstrukcja solidna. Moje krytyczne uwagi dotyczą nie drobiazgów, ale spraw naprawdę zasadniczych. Ale po kolei.

* * *

Pomysł Prusa na *Lalkę* był taki: „przedstawić naszych polskich idealistów na tle społecznego rozkładu”, co Markiewicz „skonkretyzował” w sposób następujący: „Nie przeciwstawiając się tej formule, lecz tylko ją konkretyzując, można by powiedzieć, że tematem *Lalki* jest klęska dwóch ideologii – romantycznej i pozytywistycznej, ukazana na tle warunkujących ją przemian dziejowych – wygasania walk narodowowyzwoleńczych i zwycięstwa stosunków kapitalistycznych”. Doprawdy, trudno tę Markiewicza konkretyzację „społecznego rozkładu” pogodzić ze słowami samego Prusa, który napisał, co przez społeczny rozkład rozumie, a Markiewicz umieścił to

w swojej monografii materiałowej *Lalki* i stamtąd wziętem ten cytat:

„Rozkładem – pisał Prus – jest to, że ludzie dobrzy marnują się lub uciekają, a łotrom dzieje się dobrze. Że upadają przedsiębiorstwa polskie, a na ich gruzach wznoszą się fortuny żydowskie. Że kobiety dobre (Stawska) nie są szczęśliwe, a kobiety złe (Izabela) ubóstwiane. Że ludzie niepospolici rozbijają się o tysiące przeszkód (Wokulski), że uczciwi nie mają energii (książę), że człowieka czynu gnębi powszechna nieufność i podejrzenia, itd.”

Wobec tych słów Markiewiczowska konkretyzacja tematu *Lalki* była nie tylko niepotrzebna, ale całkowicie błędna, a skoro błędna, to prowadząca do konstatacji rozmiągających się z rzeczywistością fabularną powieści, która na różne sposoby ten społeczny rozkład przedstawia. Zresztą sam Markiewicz napisał w tej kwestii: „Trudniejsza do odczytania, bo niejako zatarta przez samego Prusa, jest w *Lalce* klęska ideologii pozytywistycznej”. Tak, trudniejsza, bo Prusowi nie chodziło o to, co Markiewicz jako temat *Lalki* skonkretyzował. A oto powieściowe, niczym nie zatarte ilustracje rozkładu społecznego.

Nie ma w powieści Prusa rodziny w pełnym tego słowa znaczeniu: Pani Misiewiczowa, jej córka Stawska (ni to mężatka, ni to wdowa) i Helunia takiej nie tworzą rodziny, podobnie jak pan Tomasz Łęcki z córką Izabelą. Krzeszowscy żyją w separacji i sądzą się o pieniądze Krzeszowskiej. Relacje małżeńskie Węgiełków popsuł Starski. A czym było małżeństwo Wokulskiego z Minclową? A czym, jeśli nie obrazem społecznego rozkładu, jest trójkąt Ewelina Janocka, stary baron Dalski i Starski, albo Izabela, Wokulski i tenże Starski, kochanek, którego Izabela postanowiła zabrać ze sobą w podróż przedmałżeńską do Krakowa, na co ogłupiały ze szczęścia Wokulski się zgodził?

Relacje między krewnymi dobrze ilustruje hrabina Karolowa, siostra Łęckiego, która serwis i srebra rodowe Łęckich, wystawione na sprzedaż za pięć tysięcy rubli, chciała przejąć z trzy tysiące. Bracia Minclowie, Jan i Fryc, po to się chyba spolszczyli, żeby być ze sobą w permanentnym konflikcie i nienawidzić się. Siedmiu było subiektów w nowym sklepie Wokulskiego, ale to nie zespół, tylko grupa skłóconych indywidualistów. To nie koniec materii fabularnej *Lalki* ilustrującej społeczny rozkład. Rzecki o sprzedaży sklepu, który był całym jego życiem, dowiaduje się nie od przyjaciela Wokulskiego, u którego i dla którego pracował, lecz od agenta Szprota, a nie mogąc w to uwierzyć, wyzwiał Szprota na pojedynek! Antagonizmy między arystokracją, Żydami i szlachtą, manifestujące się na zebraniu u księcia, również nie mają ideologicznej motywacji. Relacjonując przebieg tego zebrania, na którym Wokulski przedstawia projekt spółki do handlu z cesarstwem, narrator autorski trzykrotnie powtarza, że szlachta nienawidzi magnatów i arystokracji, arystokracja patrzy z niechęcią na Żydów, Żydzi są przeciwko wszystkim pozostałym. No i na koniec tego wyliczenia – relacje sąsiedzkie w kamienicy Łęckich!

Znamienna rzecz w recepcji krytycznej *Lalki*! Kiedy na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku ukazała się *Granica* Zofii Nałkowskiej, krytyka literacka i co bardziej uważni czytelnicy dostrzegali, że rozmieszczenie lokatorów w kamienicy pani Kolichowskiej odpowiada

ich pozycji społecznej, że ta kamienica jest obrazem społecznej stratyfikacji. Ciekawe, że nie zwrócono uwagi na relacje sąsiedzkie między lokatorami kamienicy Łęckich, które są równie antagonistyczne, jak relacje między klasami społecznymi, między braćmi Minclami czy małżonkami Krzeszowskimi.

O mieszkańcach tej okropnej kamienicy i stosunkach między nimi można by powiedzieć: „A to Polska właśnie”. Polska społecznej dezintegracji, niezdolna do społecznego zorganizowania się, kamienica społecznego rozkładu.

Józef Bachórz, który skorzystał z trampoliny Markiewiczza i uzyskał jego uznanie, ma inny pogląd na ten koszmar:

„Cała np. historia z lichym administratorem, nieznośną Krzeszowską, niesformnymi studentami w kamienicy nabytej przez Wokulskiego (nie dość, że nie płacą komornego, to jeszcze żegnają pana Ignacego imperytynencją o starczym uwiadzie mózgu) przeobraża się w jego (Rzeckiego – A.K.) relacji w zabawną opowieść o zwariowanym świecie, z którego nie sposób się nie śmiać. Kłopot z kamienicą przemienia się więc w rodzaj zabawy z kamienicą”. Mam widać inną wrażliwość i wcale mi nie do śmiechu, kiedy czytam relację Rzeckiego.

Tak przez Prusa przedstawiony społeczny rozkład może skutkować klęską ideologii pozytywistycznej, ale jej klęska nie jest tematem *Lalki*, natomiast źródło tego rozkładu bije gdzie indziej – jest on naturalną konsekwencją charakteru Polaków, którzy jako jednostki są osobowościami niespójnymi, sprzecznymi wewnątrznie. Na to przykłady w powieści nie brak. Wokulski mówi o sobie: „We mnie jest dwu ludzi – jeden zupełnie rozsądny, drugi wariat” i jak na jego przykładzie Prus pokaże, połowa rozsądku to całe wariactwo. Rzecki – rzetelny i sprawny menadżer sklepu Wokulskiego, okresowo zastępujący go w sprawach spółki, ale i polityczny fantasta, idealizujący nie tylko Napoleona i napoleonidów, ale i Wokulskiego półwariata. Niespójną osobowość ma panna Izabela, baron Krzeszowski i inni. To właśnie charakterologiczne kalectwo Polaków jest przyczyną społecznego rozkładu. Wewnętrzna sprzeczność jednostek skutkuje sprzecznościami na poziomie rodziny, krewnych, sąsiadów, grupy i klas społecznych. Jeśli *Lalka*, jak mówi Prus, jest powieścią „z wielkich pytań epoki”, to pierwsze i podstawowe pytanie sformułowane na podstawie materiału fabularnego tej powieści winno być pytaniem o przyszłość narodu i powinien na nie odpowiedzieć czytelnik, który, odkąd czytana jest *Lalka*, ma z tym wiele kłopotu.

* * *

Ale skoro wywołana została klęska programu pozytywistycznego, to należy się do stanowiska Markiewiczza i Bachorza odnieść. Píše Markiewicz, a Bachórz się z nim zgadza, że „*Lalka* nie jest (...) oskarżeniem niewoli hamującej normalny rozwój narodu”. Istotnie, nie jest. Za hamowanie tego rozwoju narodu odpowiedzialny jest społeczny rozkład.

Ale nie tylko. Program pozytywistyczny odwoływał się do solidaryzmu społecznego, który nie istniał, którego nie było, bo jak mógł istnieć w społecznym rozkładzie, więc zrealizowany być nie mógł. I Markiewicz ma

rację pisząc, że trafiał on w próżnię społeczną. Gdyby jednak istniało państwo i ten program przybrałby nie formę publikacji prasowych, lecz nadane mu zostały ramy prawne w postaci ustaw, przepisów wykonawczych i ekonomicznych zachęt, szanse jego realizacji byłyby duże. Ale państwa nie było. Jeśli ktoś, jak hrabina Zaslawska, chciał pracę u podstaw i pracę organiczną podjąć i je realizować, robił to, czy mógł to robić nawet nie wiedząc, że jacyś pozytywiści taki program wypracowali. Porządku gospodarczego i społecznego nie buduje się na dobrej woli obywateli i choćby najrozsądniejszej publicystyce. Bachórz pisze, że „realistyczna utopia Paryża (...) pełni w *Lalce* funkcję wzoru społeczeństwa możliwego do zrealizowania u nas”. Nie sądzę. I pytam: Przez kogo? A tej realistycznej utopii Paryża przyjrzyć się niebawem.

Pozytywiści z Aleksandrem Świętochowskim na czele zrobili to, co w popowstaniowych warunkach zrobić mogli – sformułowali program nie mając żadnych środków zachęty czy przymusu do jego wdrożenia. A jeśli liczyli na pozytywny odzew społeczny, byli naiwni. Prus naiwny nie był.

* * *

Trudno mi nadażyć za rozumowaniem Markiewicza piszącego o *Lalce*. Najpierw stwierdził, że jej tematem jest klęska dwu ideologii, romantycznej i pozytywistycznej, a następnie, że *Lalka* jest powieścią o miłości, czemu poświęcił cały rozdziałik swojej monografii. Odnośnie do klęski ideologii pozytywistycznej napisał, że jest „trudniejsza do odczytania, bo niejako zatarta przez samego Prusa”, zaś odnosząc się do drugiej postawionej przez siebie tezy, że jest to powieść o miłości, stwierdził: „powieść o złowrożej roli arystokracji (w życiu Wokulskiego – A.K.) staje się powieścią o nieodwzajemnionej miłości (...). Jest w tym wszystkim niepowodzenie ideowe Prusa, jest również niepowodzenie artystyczne, zwłaszcza gdy chodzi o postać Izabeli znacznie mniej ambitnie nakreślonej, niż zapowiadała to wstępna charakterystyka”.

Tak jak fakty fabularne *Lalki* nie przystawały do Markiewiczowskiej konkretyzacji tematu powieści (klęska dwu ideologii), tak i jego twierdzenie, że arystokracja odegrała złowrogą rolę w życiu Wokulskiego, nie znajduje potwierdzenia w realiach fabuły. Dowody:

Hrabina Karolowa, cokolwiek myśleć o powodach, dla których to zrobiła, zaprasza Wokulskiego do siebie na święcone. Hrabina, książę i pani Zaslawska sprawili, że arystokratyczne towarzystwo zainteresowało się tym bogatym kupcem i niebawem przyniesie spore pieniądze do założonej przez niego spółki. A Wokulski? Opuścił salon nieszczęśliwy, bo nie może po raz ostatni popatrzeć na Izabelę!

Przykład drugi: Książę nie wysłał lokaja, sam fatyguje się do Wokulskiego z zaproszeniem go do siebie na zebranie zainteresowanych utworzeniem spółki do handlu z cesarstwem i Wokulski wiezie tam księcia swoim powozem. Tego faworu Wokulski, wściekły na księcia, nie zauważa, a wściekły jest dlatego, bo właśnie wybierał się do Łazienek, żeby z daleka popatrzeć na pannę Izabelę, a książę mu to uniemożliwił. Wokulski bariery stanowe arystokracji pokonał, ale nie jest winą arystokracji, że Izabela go

nie pokochała! Nie jest to również wina samej Izabeli, kobiety absolutnie do miłości niezdolnej. Prus jest wobec niej bezwzględny, kiedy każe jej mówić o sobie do Florentyny:

„Nie jestem ani tak naiwna, ani tak fałszywie skromna, ażeby nie wiedzieć, że się podobam... mój Boże! Nawet służbie... Kiedyś gniewało mnie to, jak zebrana która zastępuje nam drogę na ulicach, dzwoni do mieszkań, albo pisuje listy z prośbą o wsparcie. Ale dziś – tylko rozumięłam lepiej słowa Zbawcy: »komu wiele dano, od tego wiele żądać będą«”.

Nie wiadomo, co w tej wypowiedzi lepiej charakteryzuje Izabelę – nieposkromiona, zarozumiała duma czy ewangeliczna głupota katolickiej, ale jeszcze nie chrześcijanki. A czy sytuacja, którą przywołuję poniżej, nie dopełnia w sposób wystarczający charakterystyki tej postaci? Wokulski przeprosza Izabelę za coś tam, a ona:

„– Przebaczam.. niech pan siada.

– Niech pani nie spieszy się z przebaczeniem, bo ono może podnieść moje nadzieje...

Zamyśliła się...

Mój Boże i cóż ja na to poradzę?... niech już pan ma nadzieję, jeżeli tak o nią chodzi”.

I w ten sposób rozanielony Wokulski został narzeczonym panny Izabeli!

Może Markiewicz miałby rację, pisząc o „mniej ambitnie nakreślonej postaci Izabeli”, gdyby rzeczywiście była *Lalka* powieścią o nieodwzajemnionej miłości, ale *Lalka* jest powieścią nie tylko o zakochanym do szaleństwa Wokulskim! Byłaby nią, gdyby w świecie przedstawionym powieści nie zaistniał Geist. W odniesieniu do Izabeli Wokulski jest ofiarą swojej upokarzającej namiętności, a w odniesieniu do Geista będzie ofiarą swojego niedorzecznego pragnienia sławy. *Lalka* nie jest powieścią o klęsce dwu ideologii, jak utrzymywał Markiewicz, nie jest też do końca powieścią o miłości, lecz powieścią o dwu klęskach Wokulskiego, zadanych mu przez dwoje oszustów: Izabelę, oszustkę matrymonialną, i Geista, oszusta niby naukowca, a w rzeczywistości hipnotyzera. Klęsk zadanych na własne życzenie Wokulskiego na tle rozkładu społecznego.

* * *

Schematy interpretacyjne, jakie sobie wypracował Markiewicz na użytek *Lalki*, sprawiły, że wytyka on Prusowi kolejny błąd:

„Logika ideowa wymagałaby bowiem, by bohater zginął z winy panny Izabeli, ale Prus – pisze Markiewicz – planował najwidoczniej nową powieść (nawiązującą do tematu zarzuconej *Sławy*), w której występowaliby Wokulski i Ochocki jako współpracownicy Geista, musiał więc jakoś swego bohatera uratować. Stąd to tyle poszlak przemawia za śmiercią samobójczą Wokulskiego, a jednak znaczące zamilknięcie i aluzje Ochockiego w scenie ostatniej dowodzą, że bohater mimo wszystko żyje”.

Słowem, Prus – według Markiewicza – popsuł logikę ideową swojej świetnej powieści! Markiewicz bardziej ufał swoim schematom interpretacyjnym niż wielkiemu pisarzowi i tekstowi *Lalki*! Jeśli logika ideowa powieści wymagałaby śmierci Wokulskiego z winy Izabeli,

to po co Prus tego Geista do świata przedstawionego wprowadził?

Markiewicz dostrzegł „znaczące zamilknięcie” Ochockiego i przypomniał sobie temat zarzuconej *Sławy*, ale przeoczył to, co pod koniec trzeciego tomu powieści napisał Prus *expressis verbis*:

„Nad wieczorem (Wokulski – A.K.) otrzymał telegram z Moskwy (czyli od Suzina – A.K.), po którym natychmiast wysłał depeszę do Paryża (czyli do Geista – A.K.). Zaś następny dzień, od rana do późnej nocy, spędził ze swym adwokatem i rejentem. Kładąc się spać pomyślał:

Czy tylko ja nie zrobię głupstwa?... No, przecież zbadam rzeczy na miejscu... Czy może istnieć metal lżejszy od powietrza, to inna kwestia, ale że coś w tym jest – nie ma wątpliwości... Zresztą szukając kamienia filozoficznego znalaziono chemię; kto zatem wie, co napotka się teraz?... W rezultacie wszystko mi jedno, byle wydobyć się z tego błota”.

Nie lepiej czytał *Lalkę* Bachórz:

„To zaś, czy Wokulski zginął – jak dedukuje doktor Szuman – przywalony gruzami feudalnego zamczyska, czy – jak chce Rzecki – podróżuje z dala od ludzi, którzy mu obrzydli, czy – jakby można wnosić z napomknien i domniemań Ochockiego – zaszył się w pracowni Geista, nie wiadomo. I wolą Prusa było, byśmy nie wiedzieli”.

Są inne jeszcze fakty fabularne potwierdzające wyjazd Wokulskiego do Paryża. Oto pierwszy:

„Gdyby nie ona i nie Starski, za pierwszym razem nie wyjechałbym do Paryża i nie zbliżył się z Geistem, a pod Skierniewicami nie uleczyłbym się z głupoty... Wszakże to moi dobrodzieje, ci państwo... Nawet powinienbym wyswatać tę dobraną parę, a przynajmniej ułatwić im schadzki... I pomyśleć, że z tej mierzwy kiedyś wykwitnie metal Geista”.

Oto drugi fakt fabularny, na podstawie którego mamy prawo twierdzić, że Wokulski nie zginął z powodu Izabeli i do Geista pojedzie z zamiarem pracy nad metalem lżejszym od powietrza, a co go tam naprawdę spotka, Prus każe domyślać się czytelnikowi na podstawie faktów fabularnych opowiedzianych w rozdziale dziewiątym drugiego tomu powieści. Będę miał okazję te fakty zaraz interpretować.

Wokulski do Ochockiego:

„– A gdybym ja panu dał gotówkę i wszedł w pańskie prawa, wyjechałbyś za granicę?

– W jednej chwili... zawołał Ochocki zrywając się. (...)

– Więc, kochany panie – mówił żegnając się z nim Wokulski – sprawę pańskiego kapitału obgadamy. Ja gotów jestem spłacić pana. (...) A więc interes gotów – zakończył ściskając go Wokulski. – W październiku możesz pan mieć pieniądze”.

Ta rozmowa pochodzi z końcowych fragmentów trzeciego tomu *Lalki* i koresponduje z tym, co powiedział Wokulski do Geista w tomie drugim: „Przypuśćmy (...), że ja mógłbym panu dać pieniądze i jednego, a nawet... dwu pomocników?” Na koniec przypomnę, że po wizycie u Geista w Charenton Wokulski rozważał zlikwidowanie interesów w Warszawie i pozostanie przy Zaskawie. I zapewne tak by zrobił, gdyby nie zaproszenie hrabiny Zaskawskiej do Zaskawki i pewność, że spotka tam Izabelę. Ale po skierniewickiej tragedii Wokulski do Paryża wróci, co wynika z powyższych cytato-

tów, a co go tam czeka, a pewnie i Ochockiego, wiem, bo *Lalkę* uważnie czytałem.

* * *

Teraz trzeba się przyjrzeć idealistom, skoro pokazałem tło, na jakim Prus ich przedstawił. Idealista, czytam u Kopalińskiego, to nie tylko ktoś, kto „kieruje się zasadami wzniosłymi, zdolny do poświęceń, marzyciel utopista, ale też ktoś, kto „idealizuje, czyli przecenia kogo, wybiela, przypisuje (komu, czemu) zalety, których ta osoba albo rzecz nie posiada”. Takich idealistów jest w *Lalce* trzech: Rzecki, Ochocki i Wokulski, których wymieniam w porządku tego ich omawiania, a nie pozycji w świecie przedstawionym powieści.

Pan Ignacy Rzecki, chyba najsympatyczniejsza postać w naszej literaturze, jest idealistą, który tuż przed śmiercią zda sobie z tego sprawę: „Stary głupiec ze mnie!... troszczyłem się o Bonapartych i o całą Europę, a tymczasem wyrósł mi pod boki tandeciarz, który każe mnie pilnować jak złodzieja...”.

Mówił pan Ignacy o sobie, że ma Metternichowską głowę. Nie wątpił, że napoleonidzi naprawią świat, nawet po klęsce Napoleona III pod Sedanem, nawet po śmierci jego syna w Afryce, dopóki Szlangbaum nie zaczął go podejrzewać o kradzież. Ale Rzecki idealizował nie tylko Bonapartych, ale i Wokulskiego, przekonany, że ten zaangażowany był w wielką politykę, kiedy pojechał na wojnę turecką po fortunę dla Izabeli, kiedy pojedynkował się z Krzeszowskim i kiedy na koniec gdzieś przepadł: „Mój Stachu (...) tak ci ufam, że gdybyś nawet spalił miasto, jeszcze byłbym pewny, że zrobiłeś to w szlachetnym celu”. Albo: „Wiem, że cokolwiek postanowisz ze sobą, będzie mądre i dobre”. I tego idealizowania Wokulskiego nie wyżył się pan Ignacy do śmierci.

Napisał Markiewicz, że idealisci, marzyciele, romantycy „przegrywają na krótką metę”, ale „ich jest za grobem zwycięstwo”, oni tworzą postęp ludzkości. Myśl ta występuje zarówno u Rzeckiego, jak i Ochockiego. Romantycy, idealisci mogą sobie tak myśleć, ale nie może tak myśleć czytelnik *Lalki*, skoro Prus myślał inaczej. Cóż zyskał Rzecki walcząc z Austriakami na Węgrzech? – Kilka lat tułaczki po Europie i, kiedy do Polski wrócił, rosyjskie więzienie w Zamościu. A o zwycięstwie Rzeckiego po śmierci jakoś nie słychać.

Ochockiemu marzy się machina latająca, która, gdyby ją skonstruował, przyniosłaby mu wiekopomną sławę. Wiekopomna sława! Myślę, że dziewięćdziesiąt procent współczesnych pasażerów wchodzących codziennie na pokłady samolotów nie ma pojęcia, kim byli bracia Wrights. Kiedy patrzeć na marzenie Ochockiego z perspektywy XX czy XXI wieku, nie wydaje się ono absurdałne, ale pod koniec lat siedemdziesiątych wieku XIX, kiedy toczy się akcja *Lalki*, i końca lat osiemdziesiątych, kiedy Prus *Lalkę* pisał, takim absurdałnym marzeniem było. Wysiłki ówczesnych konstruktorów szły w kierunku sterowania balonami. Nie ma w *Lalce* mowy o jakichś próbach podejmowanych w tym kierunku przez Ochockiego, chyba że za takie uznamy puszczanie latawców w Zaskawku, ale o tym marzeniu opowiada on Wokulskiemu z pasją.

Machina latająca Ochockiego znaczy w świecie przedstawionym *Lalki* dokładnie tyle, co metal lżejszy

od powietrza Wokulskiego – pragnienie rzeczy niemożliwej. O skonstruowaniu czegoś praktycznego, ułatwiającego ludziom pracę, choćby wyżymaczki dla praczek z pralni w oficynie Łęckich, Ochocki ani myśli. Mówi idealista Ochocki do Rzeckiego idealisty:

„– Głupi Szuman ze swoim żydowskim klasycyzmem!... On nawet nie domyśla się, że cywilizacji nie stworzyli ani filistrowie, ani geszefciarze, lecz właśnie tacy wariaci (jak Wokulski – A.K.)... Gdyby rozum polegał na myśleniu o dochodach, ludzie do dzisiejszego dnia byłiby małpami...

– Święte słowa.. piękne słowa!... powtarzał subiekt”.

Cóż na to powiedzieć? Bez przesady, panie Ignacy! Cóż takiego stworzył Wokulski? Cywilizacji nie stworzyli ani „filistrowie”, ani geszefciarze, ani idealisci, ani tym bardziej wariaci, tylko ludzie praktyczni. A do charakterystyki Ochockiego należy również jego stosunek do małżeństwa: ożeniłby się, ale nie po to, by założyć rodzinę, ale żeby żona pracowała z nim w laboratorium, o istnieniu którego nie ma w *Lalce* ani słowa. Mówi Ochocki do Wokulskiego: „Ach, jakież podły gatunek zwierząt, te baby!... (...) Gdy raz opanuje człowieka idea, już go nie opuszcza, nie zdradza nigdy”.

Marzenie o sławie zawiedzie Ochockiego wraz z Wokulskim do Geista. On też będzie ofiarą swoich niedorzecznych pragnień. A o jakimś sukcesie Ochockiego po śmierci głucho.

Obaj monografiści *Lalki*, Markiewicz i Bachórz, są zgodni co do tego, że Wokulskiego cechuje maksymalizm dążeń i trudno nie przyznać im racji, natomiast nie mogą z nimi się zgodzić, kiedy twierdzą, że jest to cecha pozytywna. Píše Bachórz:

„Wokulskiego można bowiem traktować jako wyraziciela postawy nieustępliwie zasadniczej i pozbawionej złudzeń wobec świata, jako maksymalistę, który docieka, projektuje, układa strategię życia na miarę pragnień. Maksymalizm ten, godny podziwu i szacunku, wyraża się w bezkompromisowym zmaganiu ze światem na zasadzie: albo–albo... Nadaje on Wokulskiemu wymiary herosa, pokrewnego wielkim kreacjom literatury europejskiej”.

Oświadczam: nie mam szacunku ani podziwu dla postawy albo–albo. Nie mam szacunku dla Wokulskiego, który idzie przez życie od porażki do porażki właśnie wskutek swojego maksymalizmu. Najpierw pragnie zbudować perpetuum mobile – porażka młodego człowieka nie mająca praktycznie przykrych konsekwencji. Potem udział w powstaniu, co traktuję jako pragnienie niemożliwego w takim samym stopniu jak skonstruowanie perpetuum mobile, bo żeby odzyskać niepodległość, trzeba było pokonać Rosję, co nie udało się nawet Napoleonowi – siedem lat na Syberii w Irkucku. Potem starania o to, by pokochała go kobieta absolutnie do miłości niezdolna – próba samobójcza. Na koniec inwestycja w marzenia o sławie, którą ma przynieść efekt pracy nad metalem lżejszym od powietrza, co doprowadzi Wokulskiego do ostatecznej klęski. Za sekwencję tych porażek odpowiedzialny jest wyłącznie Wokulski i jego szalony maksymalizm. Oskarżanie innych za to, że przystąpił do powstania albo że nie pokochała go Izabela, wygląda na dziecinadę.

Powieść Prusa kończy się przywołaniem horacjańskiego przekonania *Non omnis moriar*. Węgiełek na dę-

bowym krzyżu postawionym na ruinie zamku w Zaslau wypisał je na polecenie proboszcza i przytoczył w liście do Wokulskiego. List przeczytał tuż przed śmiercią Rzecki, a na koniec dostrzegł tę cytowaną inskrypcję Ochocki. Ochocki odnosi ją do romantyka Rzeckiego rozumiejąc, że romantyczni idealisci przetrwają, a doktor Szuman powiada o Rzeckim: „oto ostatni romantyk!... Jak oni się wynoszą... Jak oni się wynoszą...”. Prus nie rozstrzyga kwestii, czy romantycy w ogóle wyginą, czy przetrwają, bo tego rozstrzygnąć nie sposób. Sprawę na swój rachunek rozstrzyga Bachórz pisząc:

„Czytelnik wie, że w dumnym zdaniu Horacego zawiera się pragnienie nieśmiertelności, i ma prawo sądzić, iż Prus po to je przywołał, by zapowiadały trwanie w ludzkiej pamięci zasług Wokulskiego. Bo Prus-filozof uznaje wartość tego wyzwania, jakie światu rzucił Wokulski-buntownik. Jego cierpienia i jego klęska to w świetle słów Horacego danina, jaką pionierzy, pragnący przeobrazić rzeczywistość, składają na ołtarzu postępu”.

Cóż na to powiedzieć? W przytoczonym dumnym zdaniu Horacego, kiedy je odnieść do Wokulskiego, zawarta jest ironia – bo zasług Wokulskiego trudno się w jego postępowaniu dopatrzyć. Fakt, że założył dobrze prosperującą spółkę, ale faktem jest również, że się z niej obrażony na cały świat wycofał, a za nim wycofali się najwięksi akcjonariusze. A co do jego pragnienia przeobrażenia rzeczywistości, które Bachórz łączy zapewne z metalem lżejszym od powietrza albo z jakimś innym wynalazkiem, należy powiedzieć, że Wokulski nie tyle pragnie owego przeobrażenia, ile sławy, i że dał się podejść Geistowi, który niebawem okradnie go z majątku i unicestwi, jak dziecko. Nie potrafię też doszukać się wyzwania, jakie według Bachorza rzucił światu Wokulski. Cóż by to miało być? Nieliczenie się z rzeczywistością? Żądanie od społeczności, aby społeczność zapłaciła mu za to, co on dla społeczności zrobił? Czy żądając tej zapłaty jest Wokulski mądrzejszy od tego studenta z kamienicy Łęckich, który nie płaci za komorne, bo społeczeństwo mu nie płaci? Żądanie, aby...pokochała go dwa razy od niego młodsza kobieta? A dlaczegoż on nie był zdolny do pokochania dużo od niego starszej Minclowej? Jest też możliwe inne odczytanie owej ironii: Człowiek tak wewnętrznie podzielony na zupełnie rozsądnego i na wariata jak Wokulski musi w pamięci ludzkiej przetrwać.

Tak widzę i oceniam tych idealistów, których w podręczniku *Pozytywizm* Markiewicz nazywa „szermierzami wielkich idei”.

* * *

A teraz opowiem, co wyczytałem w rozdziałach VIII i IX drugiego tomu *Lalki* o Paryżu i Geiście, a co drastycznie różni się od tego, co wyczytali monografiści Markiewicz i Bachórz.

Suzin, który wybierał się z Moskwy do Paryża, żeby finalizować zamówienie Rosji na okręty (to nie były jeszcze „mistrale”!), nalegał na Wokulskiego, żeby mu towarzyszył, bo on po francusku niegramotny. Wokulski, który za wszelką cenę chce się zbliżyć do Łęckich, do panny Izabeli, i w tym celu nabył wystawione na sprzedaż ich srebra rodowe i serwis, wykupił weksle dłużne Łęckiego, a następnie żeby rato-

wać posag panny Izabeli, przepłacił kupno ich kamienicy, ani myśli o wyjeździe do Paryża. Panna Izabela postępowanie Wokulskiego traktuje jak osaczanie jej i pyta go: „Dlaczego pan tak nas... prześladowa?” Zszokowany Wokulski zdołał wykrztusić, że chce im służyć jak pies, a wtedy do salonu wszedł Starski. I w tym momencie zaczyna się popis arystokratycznego chamstwa. Izabela, robiąc Wokulskiemu wielki zaszczyt, mówi o nim – „Plenipotent ojca”, bo być plenipotentem bankruta to według niej zaszczyt. Wokulski, kompletnie ignorowany, upokorzony, przysłuchuje się salonowej kokieterijnej paplaninie po angielsku, dopóki lokaj nie poprosi go do Łęckiego. To wystarczyło i Wokulski najbliższym pociągiem jedzie za Suzinem do Paryża. Podróż odbył Wokulski w całkowitym rozstroju nerwowym.

* * *

Na temat Paryża mamy w *Lalce* trzy opinie: Suzina, Wokulskiego i narratora, czyli Prusa.

La ville de Paris zachwyca Suzina: „Powiadam ci cud, nie miasto! No a jak zobaczysz Elizejskie Pola, a potem między Sekwaną a Riwoli... Ech! ja tobie mówię cud nie miasto”. Takie opinie o Paryżu wygłaszają turyści zapatrzeni w paryską architekturę. Wokulski chce miasto poznać:

„W ciągu tych wędrówek wchodził na wieże: St Jacques, Notre Dame i Panteonu, wjeżdżał windą na Trocadero, zstępował do ścieków paryskich i do ozdobionych trupami głowami katakumb, zwiedzał wystawę powszechną, Louvre i Cluny, lasek Buloński i cmentarze, kawiarnie de la Rotonde, du Grand Balcon i fontanny, szkoły i szpitale, Sorbonę i sale fechtunku, hale i konserwatorium muzyczne, bydłobójnie i teatry, giełdę, kolumnę Lipcową i wnętrza świątyń”.

O paryżanach powiada:

„Przed wszystkim nadzwyczajnie pracują, po szesnaście godzin na dobę, bez względu na niedziele i święta. Dzięki czemu spełnia się tu prawo doboru, wedle którego tylko najsilniejsi mają prawo do życia. Chorowity zginie przed upływem roku, nieudolny w ciągu kilku lat, a zostają tylko najsilniejsi i najzdolniejsi. Ci zaś dzięki pracy całych pokoleń takich jak oni bojowników, znajdują tu zaspokojenie wszelkich potrzeb”.

Tak widzi Paryż Wokulski przyrodnik, wyznawca teorii doboru naturalnego, czyli, jak się wtedy mówiło, transformizmu. Warto zapamiętać to słowo, bo usłyszymy je także w *Zasławku*. Wokulski wie, skąd się wzięło bogactwo Paryża, musi natomiast zastanawiać, czy Wokulski patrząc na Paryż nie powinien żałować pomocy, jakiej udzielił magdalenie, braciom Wysockim, a później udzielił Węgiełkowi, albo zastanawiać się, dlaczego tej pomocy udzielił, sprzeniewierzając się tym samym prawom transformizmu. Opinia Wokulskiego o Paryżu koncentruje się nie tyle na zasobności miasta, jego bogactwie, ile na porządku, który wyłania się z zewnętrznego chaosu.

Opinia Prusa wyrażona jest nie *expressis verbis*, lecz obrazowo i skupia się na paryżanach. Do obowiązków Wokulskiego jako członka ekipy Suzina należało przyjmowanie interesantów. Więc najpierw listownie składa ofertę jakąś – *excusez le mot* – dziwka: „osoba młoda, elegancka i przystojna pragnie zwie-

dzać z Panem Paryż na wspólny koszt. Odpowiedź złożyć u szwajcara w hotelu”. Szwajcar, wyjaśniam, to taka odpowiedzialna funkcja pełniona przy wejściu, polegająca między innymi na tym, by takich elegantek do hotelu nie wpuszczać. A oto lista tych, którzy fatygowali się do Wokulskiego osobiście: Mężczyzna podający się za pułkownika z propozycją oprowadzania go po Paryżu; jakiś konstruktor karabinu (trzydzieści strzałów na minutę); facet z ruletką i metodą wygrzywania (wystarczy siedmiokrotnie dublować stawkę!); monsieur proponujący Wokulskiemu dyplom doktora filozofii, order i tytuł; baronowa, która za dwadzieścia tysięcy franków chce sprzedać jakąś tajemnicę, a gdy Wokulski propozycję odrzucił, baronowa obcesowo: „Więc po cóż pan tu przyjechał?”; potem inny gość, który mógłby się za Wokulskiego pojedynkować; ktoś, kto zna dokładnie miejsce ukrycia przez Napoleona skarbu nad Berezyną. A jeśli do tego dodać, że podczas spaceru po mieście kieszonkowiec ukradł Wokulskiemu srebrną papierosnicę, to i tak nie będziemy mieli pełnego obrazu mieszkańców miasta. Dopełni go Geist.

Zaapelował w roku 1843 do Francuzów Fr. Guizot: *enrichissez-vous*, więc postanowili bogacić się wszelkimi sposobami, dzięki czemu Paryż może być tak zachwycającą dżunglą. Ale Bachórz pisze, że Paryż jest „realistyczną utopią”, że jest to „miasto optymalne”. „Nie jest to społeczeństwo idealne – są tu grzesznicy, oszuści, naciągacze, złodzieje kieszonkowi – ale obraz etyczny Paryża prezentuje się korzystniej niż obraz Warszawy”. Tylko bagatelizując tych interesantów nawiedzających Wokulskiego i zupełnie nie rozumiejąc, z czym i po co przyszedł do niego Geist, można mówić o realistycznej utopii Paryża i korzystniejszym od warszawskiego obrazie etycznym tego miasta.

* * *

Ktokolwiek Wokulskiego śledził, a śledzono go, bo Geist sporo o nim wie, musiał zadawać sobie pytanie: czym powodowany jest ten zamożny i ustosunkowany człowiek, który interesuje się Paryżem jak urbanista i socjolog albo błąka się po mieście, pije karafkami koniak (Francuz pijący koniak karafkami nie istnieje), gra w karty, ruletę lub – jak pisze Prus – „oddaje się rozpucie”, „puszcza się balonem *captif*” Giffarda i zdradza swoim zachowaniem zamiary samobójcze? Myślę, że nawet mało rozgarnięty paryżanin (mało rozgarnięty paryżanin też nie istnieje) znałby odpowiedź na to pytanie: – *Cherchez la femme!* Paryż nie stłumił w Wokulskim pamięci salonowego upokorzenia i uczucia do panny Izabeli.

Nie wiemy, kto zainicjował to, co po francusku nazywa się *le complot*, ale wiemy, że było w tym spisku trzech panów: Geist, Jumart, na którego jako organizatora spisku pada moje podejrzenie, i Palmieri. Geist jest magnetyzerem udającym naukowca zajmującego się chemią fizyczną, o którym Jumart mówi „profesor”, Palmieri, też profesor, udający magnetyzera, i Jumart, posiadacz – jak sam mówi – dwu tytułów doktora filozofii uzyskanych na dwu europejskich uniwersytetach, pełniący w Grand Hotelu funkcję „marszałka dworu pana Siuzę”, czyli Suzina.

Role tych oszustów rozpisane są, jak następuje: Geist hipnotyzuje Wokulskiego, Jumart prowadzi Wokulskiego do Palmieriego kuglarza, który w wyniku „badania” oświadcza, że Wokulskiego zahipnotyzować w żaden sposób się nie da. W ten sposób Wokulski został przekonany, że to coś, co mu Geist do rąk dawał, rzeczywiście było metalami: jeden metal dużo cięższy od platyny, drugi trzy razy lżejszy od wody, inny lekki jak płatek bibułki, jeszcze inny przezroczysty – wszystkie kowalne i przewodzące prąd elektryczny.

To co tutaj powiedziałem, nie jest moją fantazją, lecz efektem uważniejszej lektury. Rozdział, w którym Prus wprowadza do świata przedstawionego ten *triumvirat*, nosi tytuł *Widziadło*, a widziadło to jest to, co widzimy wskutek złudzenia wzroku. Złudzenie wzroku Wokulskiego było skutkiem zamagnetyzowania go przez Geista, czyli hipnozy. Prus w tym rozdziale powtarza czterokrotnie, że Geist nie spuszcza z Wokulskiego oka. Geistowi chodzi o to, żeby Wokulskiego przekonać do zainwestowania w prace nad metalem lżejszym od powietrza, który oddany w ręce prawdziwych ludzi pozwoli wyeliminować ludzką menażerię z powierzchni ziemi. O tym, kto jest „istotnym człowiekiem” a kto nieistotnym, decydować będzie – oczywiście – Geist! Geist wie, że mówi do człowieka, któremu sprawy z ludźmi układały się źle: „– Gdyby ci kiedy jeszcze raz przyszła ochota próbować... Rozumiesz?... Nie zabijaj się, ale przyjdź do mnie... (...) W moim laboratorium łatwo można zginać i jeszcze jak!”.

Ciekawe, że obaj monografiści *Lalki*, Markiewicz i Bachórz, koncentrują swoją uwagę na tym absurdalnym, fantastycznym, nikomu do niczego niepotrzebnym wynalazku Geista, a nie na Geiście! Zahipnotyzowany Wokulski nie zwraca uwagi (monografiści też), że metal lżejszy od powietrza, gdyby go nawet Geist z Wokulskim otrzymali, nie nadawałby się do zbudowania maszyny latającej, którą trzeba by trzymać na uwięzi, tak jak trzymał swój ogromny balon Giffard. Tu nie idzie o wyprodukowanie metalu lżejszego od powietrza, tylko o ograbienie zahipnotyzowanego Wokulskiego z pieniędzy, po czym będzie mógł on popełnić samobójstwo na wiele sposobów, a nie na jeden jak pod Skierniewiczami: może rzucić się z wieży Eiffła, rzucić się pod pociąg na którymś z dworców paryskich lub skoczyć z któregoś mostu do Sekwany. Ja nie fantazjuję na temat śmierci Wokulskiego. W rozdziale XI pierwszego tomu *Lalki* Prus napisał wyraźnie, że po rozstaniu z Ochockim w Łazienkach Wokulski powiada do siebie: „Co kto robi, jeszcze nie wiadomo. Ja tymczasem jestem dziś człowiek czynu, a on (Ochocki – A.K.) marzyciel... Zaczekajmy rok. Rok!... Wokulski wstrząsnął się. Zdawało mu się, że na końcu drogi, nazwanej rokiem, widzi tylko niezmierną otchłań, która pochłania wszystko, ale nie mieści w sobie nic”. A Markiewicz w tej kwestii napisał:

„Prus szkicuje mit technicznego wynalazku, który umożliwiłby powstanie nowego sprawiedliwego porządku na całym świecie (...). W każdym razie ta ucieczka w fantastykę jest znamienym wyrazem załamania się wiary Prusa w stopniowy, ewolucyjny postęp i jego uczuciowych tęsknot za jakąś wielką przemianą całej rzeczywistości”.

Tak to wielki realista Prus został wielkim mitomanem.

Podobnie rozumuje i pisze Bachórz:

„Mocnym akordem paryskiej utopii Prusa jest ukończony przezeń (...) pomysł rewelacyjnego wynalazku, który przeobrazi świat pod warunkiem, że zostanie się w powołane ręce, ręce ludzi szlachetnych. (...) Nie jest w tym porządku istotne, że z punktu widzenia fizyki wynalazek Geista należy do pomysłów kompletnie fantastycznych”.

Tak to wielki realista Prus został potraktowany jako wielki fantast! „Paryska utopia” nie jest określeniem Prusa. Gdyby Prus uznał Paryż za „miasto optymalne” – określenie Bachórza – nie byłby pozytywistą, bo programy pozytywistów odwoływały się do solidaryzmu społecznego, a nie do walki o byt i pracy w niedzielę i święta po szesnaście godzin na dobę czy eliminacji chorych i nieudolnych.

Jeśli traktować Geista i jego „wynalazek” jako wyraz „uczuciowych tęsknot” Prusa lub jako „mocny akcent paryskiej utopii”, to trzeba stwierdzić, że autor *Lalki*, poświęcając temu wątkowi trzydziestostronicowy rozdział, popsuł w sposób istotny kompozycję powieści. Geist, który nie wchodzi w relację z inną postacią, lecz z autorem zewnętrznym utworu naruszałyby logikę struktury świata przedstawionego, a ta jest nienaganna.

Geist nie jest nachalny. Rozgrywa partię z Wokulskim perfekcyjnie. Kiedy Wokulski mówi: „Przyjdę tu” – Geist odpowiada: „Przyjdiesz tu, kiedy ci już nic nie zostanie z dawnych złudzeń”. Na pożegnanie daje Wokulskiemu „skrawek metalu barwą przypominający mosiądz”, który jest rzekomo pięć razy lżejszy od wody i, jak zapewnia, „Ma on wielką zaletę: nie obawia się żadnych odczynników chemicznych... Prędzej zniknie, aniżeli zdradzi mój sekret”. I z tym amuletem, włożonym do złotego, kupionego w Paryżu medalionu, jedzie Wokulski na wezwanie hrabiny Zasławskiej do Zasławka, gdzie będzie również panna Izabela. I Starski.

* * *

Napisał Bachórz w swojej monografii *Lalki* o „dwu idyllach, dwu krainach utopijnych” – Paryżu i Zasławku. O Paryżu miałem już okazję napisać, że to nie idylla, lecz zachwycająca dżungla, zamieszkała przez drapieżników polujących wszelkimi sposobami na pieniądze. Co do Zasławka, to mówił o nim Wokulskiemu jak o wyspie Utopii Ochocki, porównując poziom i jakość życia pracowników folwarku z polskim folwarcznym standardem. Ale ideowy interes Prusa polegał na czym innym.

Sprowadzając Wokulskiego do Zasławka, pokazał mu Prus pewną społeczno-ekonomiczną przesześć, gdzie obowiązujące w Paryżu prawo doboru naturalnego, owego transformizmu, istotę którego Ochocki pani na Zasławku tłumaczył, zostało odrzucone, bo jak mówi Ochocki, pani Zasławska „brzydzi się transformizmem dlatego tylko, że uznał walkę o byt za fundamentalne prawo natury”. Parobkom wymurowano tu przyzwoite „czworniaki”, ich dzieci mają zorganizowaną opiekę, a spracowani, niezdolni już do prac polowych i gospodarczych zostali przeniesieni do prac lekkich a pożytecznych. Jeśli Zasławek można nazwać idyllą, to taka nazwa na pewno nie przysłu-

guje Paryżowi, gdzie, jak czytaliśmy, „chorowity zginie przed upływem roku, nieudolny w ciągu kilku lat”. Tym sposobem postawił Prus Wokulskiego wobec alternatywy: Albo paryskie prawo doboru naturalnego, albo praca u podstaw w stylu Zastawka. – Wybieraj, Wokulski! Ale on zaprzątnięty był wyłącznie obecnością panny Izabeli.

Prezesowa Zastawska nie tylko brzydzi się transformizmem, ale mu się czynnie i skutecznie przeciwstawia w takim wymiarze, w jakim pozwala jej pozycja społeczna i ekonomiczna. Co zrobiła dla ludzi, właśnie pokazałem, ale Prus pokazuje coś więcej: „Wokulski teraz dopiero zrozumiał cel wyprawy na folwark, gdy w dziedzińcu wybiegło naprzeciw prezesowej całe stado kur, którym ona rzucała ziarno z kosza”.

A potem: „Ze stajni bowiem nagle wybiegło spore źrebię i rzuciło się na prezesową przednimi nogami jak pies, który staje na dwu łapach”.

I jeszcze: „Nawet niektóre krowy poznawały swoją panią i witały ją stłumionym rykiem, podobnym do mruczenia”.

Tak reaguje – zgodnie z jakimś innym prawem – natura na dobro, które jej przedstawicielom świadczy człowiek. A co na to nasz Wokulski? „Dziwna kobieta – pomyślał (...) patrząc na staruszkę, która umiała budzić miłość nie tylko w sercach zwierząt, lecz – nawet ludzi”. Jedyna w *Lalce* szlachetna postać, pani Zastawska, dziwi swoim postępowaniem Wokulskiego, który gwałtownie reaguje na uwagę Rzeckiego o obowiązkach wobec ogółu:

„– A dajże mi ty raz spokój z tym waszym ogółem!... wykrzyknął Wokulski uderzając pięścią w stół. – Co ja zrobiłem dla niego, o tym wiem, ale... cóż on zrobił dla mnie!... Więc nigdy nie skończą się wymagania ofiar, które mi nie dały żadnych praw? Chcę wreszcie raz coś zrobić dla samego siebie... Uszami wylewają mi się frazesy, których nikt nie wypełnia... Własne szczęście – to dziś mój obowiązek... inaczej... w łeb bym sobie pałał, gdybym już nic nie widział dla siebie, oprócz jakichś fantastycznych ciężarów. Tysiące próżnują, a jeden względem nich ma obowiązek!... Czy słyszano coś potworniejszego?”

Taki był ideowy interes Prusa, kiedy kazał Wokulskiemu jechać na wezwanie prezesowej z Paryża do Zastawki. Prezesowej nie dał Prus nawet imienia, ale wiemy o niej to, co najważniejsze. W młodości zakochana w Stanisławie Wokulskim, stryju naszego Wokulskiego, i przez niego kochana, została przez rodzinę zmuszona do poślubienia prezesa Zastawskiego, zapewne dużo od niej starszego, skoro od dawna jest po nim wdową. Postanowiła, nie wiemy czy jeszcze za życia męża, czy dopiero po jego śmierci zadbać o ludzi pracujących na jej folwarku i nie przyszło jej do głowy, by ją ci ludzie mieli za to uszczęśliwić. I na tym właśnie polega różnica zasadnicza między prezesową Zastawską a Wokulskim, który tego rewanzu od „ogółu” kategorycznie się domaga, a kiedy go nie otrzymuje, wyjeżdża do Paryża po sławę. Jak mnie ma.

* * *

I teraz w związku z powyższym muszę postawić kwestię toponomastyczno-fonetyczno-morfologiczną,

bo nie sądzę, by nazwa miejscowa Zastawek była przez Prusa nieprzemyślana, skoro mieści się w niej prawie cały wyraz sława, poprzedzony przymikiem „za”, ponadto jest to forma deminutywu, która – wobec pomnika Sławy, jakiego wizję miał Wokulski w Łazienkach, był to pomnik sięgający chmur, a sam Wokulski dorósł aż do stóp Sławy, – stanowi jakby tego deminutywu przeciwieństwo. Nie chcę rozstrzygać tej kwestii, ale coś w niej jest! A jeśli nie ma, niech przynajmniej świadczy, jak uważnie *Lalkę* czytałem.

* * *

A ten Zastawek pod względem romansowym do złudzenia przypomina mi... Soplicowo! I jestem, podobnie jak w przypadku zdekonspirowania Geista, pierwszym od stu dwudziestu pięciu lat czytelnikiem *Lalki*, który aluzje Prusa dostrzegł, i wiem dokładnie, po co Prus to podobieństwo wyeksponował, choć nie na tyle wyraźnie, żeby piszący o *Lalce* monografiści to dostrzegali. Oto czytam w rozdziale zatytułowanym „Wiejskie rozrywki”:

„Całe towarzystwo skrzyło na lewo i boczną aleją szło do budynków folwarcznych. Naprzód prezesowa z Ochockim...”.

A w pierwszej księdze *Pana Tadeusza* jest tak:

„Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe, Weszło, lecz w porządku; naprzód dzieci małe...” i kilkadziesiąt wersów dalej:

„Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości, Nie chybił gospodarskiej ważnej powinności, Udał się sam ku studni; najlepiej z wieczora Gospodarz widzi, w jakim stanie jest obora”.

Toteż prezesowa, żeby naśladować Sędziego, kieruje się najpierw do kurnika, potem obejrzawszy obory i stajnie, a wciąż w obecności „całego towarzystwa”. I gdyby na tym owo podobieństwo Zastawka do Soplicowa się kończyło, nie warto by o tym mówić, ale w następnym rozdziale powieści „panna Felicja proponowała spacer na rydze (...) i pani Wąsowska dała znak do wsiadania (do breku – A.K.). Gdzie twój szal Ewelinko” – zawołała. Słyszysz tu echo tekstu kończącego drugą księgę *Pana Tadeusza*. Mówi Telimena:

„Panowie, jak widzę,

Chcicie zostać w pokoju, ja idę na rydze:

Kto łaskaw, proszę za mną – rzekła – koło głowy

Obwijając czerwony szal kaszemirowy”.

I jeszcze jedno! Panna Izabela do spacerującego z nią po lesie Wokulskiego:

„Prawda, jak ta część podobna do ogromnego kościoła?... Te szeregi sosen, to kolumny, tam boczna nawa, a tu wielki ołtarz... Widzi pan, widzi pan... Teraz między konarami okazało się słońce, jak w gotyckim oknie... Co za nadzwyczajna różnorodność widoków! Tu ma pan buduar damski, a te małe krzaczki to taburety. Nie brak nawet lustra, które zostało po onegdajszym deszczu”.

Moja pamięć Mickiewiczowskich trzynastozgłoskowców każe mi kojarzyć to, co mówi panna Izabela o „nadzwyczajnej różnorodności widoków”, z wypowiedzią Tadeusza o litewskiej przyrodzie w księdze trzeciej: „U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków” – nie cytuję dalej, bo przecież wszyscy pamiętają. A jeżeli teraz ktoś mnie zapyta, po co te analogie Prusowi, to mu po-

wiem, że nie zasłużyła na to, by cieszyć się *Lalką*, i wyjaśnię – po to ta analogiczna wyprawa na rydze, żebyś sobie, czytelniku, pomyślał i wykombinował, która pani, niczym Telimena Tadeuszowi, któremu panu dała klucz od sypialni. Nie była to Fela Janocka, inicjatorka grzybobrzenia, ani pani Wąsowska, tylko Izabela. Nie Wokulskiemu, boby nam to narrator powiedział, lecz Starskiemu. Mówiła hrabina Karolowa jeszcze w Warszawie do Izabeli gwałtownie zmierzającej do staropanieństwa, że Starskiego powinna Izabela w Zastawku do siebie przywiązać, a nawet go zobowiązać, a Starski podczas tej upokarzającej Wokulskiego wizyty w salonie Łęckich powiedział Izabeli, że nie ma zamiaru tracić czasu w Zastawku. A na poparcie tej tezy przywołuję następujący tekstowy drobiazg: „Zdawało się (Wokulskiemu – A.K.), że Starski w jakiś dziwny sposób spojrzął na pannę Izabelę i że ją oblał rumieniem”. I jeszcze jeden: „Towarzystwo całe” wraca brekiem z Zastawia. Ochocki „nagle chcąc zapalić papierosa, potarł zapałkę i oświecił cały brek, najlepiej zaś Starskiego. W tej chwili Wokulski gwałtownie cofnął się: coś mignęło mu przed oczyma. – Głupstwo!... – pomyślał – piłem za wiele”.

* * *

Na koniec muszę napisać, czego jeszcze dowiedziałem się w Zastawku o Wokulskim, który w rozmowie z Eweliną Janocką, zaprzętą Starskim, a wychodzącą za mąż za trzykrotnie od niej starszego barona Dalskiego, powiedział: „To tylko wiem, jako mężczyzna, że nie potrafiłbym żebrać nawet o miłość. (...) nie tylko nie prosiłbym, ale wprost nie przyjąłbym wybranej ofiary z czyjegoś serca”. Tak powiedział ten Wokulski, który jest „zupełnie rozsądnym” w nim – Wokulskim, natomiast ten drugi, Wokulski wariat, kilka dni później spacerując z Izabelą, mówi: „Dlatego niech mi pani wręcz powie: czy wolno mi, czy nie wolno myśleć o pani? Na dziś nie żądam nic innego. (...) Ja też dziś nic nie żądam. Pytam się tylko, czy nie uważa pani za obrazę dla siebie tego, że ja myślę o pani, nic tylko myślę”.

No cóż! Nie wygląda mi ten Wokulski na „herosa, pokrewnego wielkim kreacjom literatury europejskiej”, jak go określił Bachórz, albo na „szermierza wielkich idei” według Markiewicza.

* * *

Powszechnie i nie bez racji uważa się *Lalkę* za powieść realistyczną, ale zostały w tej powieści opowiedziane fakty i zdarzenia, które w konwencji realizmu w żaden sposób się nie mieszczą i jako takie muszą rzutować na ten realizm. Przypomnę je:

Najpierw wizja otchłani „pochłaniającej wszystko, ale nie mieszczącej w sobie nic”. Ma tę wizję Wokulski w Łazienkach po rozstaniu z Ochockim. Nie ma żadnej wątpliwości, że jest to wizja śmierci bohatera, która ma nastąpić za rok, co późniejsze wydarzenia powieściowe w sposób niezwykle sugestywny potwierdzają: za rok od tego momentu Wokulski przepadnie u Geista.

Dalej. Po skierniewickim dramacie Wokulski z trudem odzyskuje równowagę psychiczną i skłania się do wyjazdu do Geista. Spacerując po Łazienkach ma wrażenie, że „wzgórze jest podwaliną ogromnych schodów,

na szczycie których ukazywał mu się posąg tajemniczej bogini. Ujrzał ją i teraz i ze wzruszeniem spostrzegł, że chmury otaczające jej głowę rozsunęły się na chwilę. Zobaczył surową twarz, rozwiane włosy, a pod spiżowym czołem żywe, lwie oczy, które wpatrywały się w niego z wyrazem przyniatającej potęgi. Wytrzymał to spojrzenie i nagle uczuł, że rośnie... rośnie..., że już przenosi głowę najwyższe drzewa w parku i sięga obnażonych stóp bogini. Teraz zrozumiał, że czystą i wieczną pięknnością jest S ł a w a i że na jej szczytach nie ma innej uciechy nad pracę i niebezpieczeństwa”.

Wreszcie, jak pamiętamy, Geist rozstając się w Charenton z Wokulskim dał mu skrawek metalu pięć razy lżejszy od wody, w co zamagnetyzowany Wokulski uwierzył. I teraz w pociągu przed Skierniewicami dowiaduje się, że ten talizman, ofiarowany Izabeli, kiedy przyjęła jego oświadczyzny, Izabela zgubiła, szukając ze Starskim medalionu. Medalion, rzecz wartościową, złotą, mógł przywłaszczyć sobie Starski, ale blaszka, odporna na działanie odczynników chemicznych, po prostu zniknęła zgodnie z zapowiedzią Geista: „Prędej zniknie, aniżeli zdradzi mój sekret”. No i zniknęła! A co o tym ma myśleć czytelnik powieści realistycznej?

A co myśleć o samym Geście? Co o Geście magnetyzerze? Kiedy lokaj zaanonsował: „Profesor Gest”, Wokulski doznał szczególnego uczucia. Przyszło mu na myśl, że żelazo za zbliżeniem się magnesu musi doznawać podobnych wrażeń”. Jak wygląda ten, co nazywa się Duch, a tytuł rozdziału, w którym on się pojawia, zatytułował Prus *Widziadło*?

„Wszedł człowiek bardzo mały i szczupły, z twarzą żółtą jak wosk. Na głowie nie miał ani jednego siwego włosa”. Na moje rozeznanie – „istny Niemiec, sztuczka kusa”, który Wokulskiemu wydał się „dziwnie sympatyczny”. „Nie spuszczał z Wokulskiego oka i uśmiechał się z łagodną ironią”, zapewne w miarę, jak go sobie psychicznie podporządkowywał. Gest oświadcza: „Jeżeli znajdę ostatecznie metal lżejszy od powietrza, oddam go tylko prawdziwym ludziom. Niech oni raz zaopatrzą się w broń na swój wyłączny użytek; niechaj ich rasa mnoży się i rośnie w potęgę, a zwierzęta w ludzkiej postaci niechaj z wolna wyginą”. No tak! To rzeczywiście może budzić sympatię.

Znów trzeba pytać. Co w tej realistycznej powieści robi ten Duch, Zły Duch, czyli *der boese Geist*, a w każdym razie ktoś, kto na Diabła wygląda? A co do jego magnetyzmu, to nigdy ani magnetyzm dziewiętnastowieczny, ani hipnoza współczesna nie mogły tak oddziaływać na media, że medium jest i jednocześnie nie jest zamagnetyzowane. Nikogo bez jego zgody zahipnotyzować nie można; wybudzone medium nie pamięta stanu w hipnozie. A Wokulski wszystko pamięta, bo niby był zahipnotyzowany, zachowywał się jak medium we władzy magnetyzera, ale wybudzany nie był.

Wszystkie te fakty naruszające demonstracyjnie konwencję realizmu powieściowego są o tyle istotne, choć dotąd w recepcji *Lalki* ignorowane, że dotyczą głównej postaci, kwestii rozstrzygającej o jej życiu, przeto pytanie, dlaczego Prus właśnie w tej kwestii od realizmu odstępował, pojawić się musi. Odpowiedzieć na nie trudno, a odpowiedzieć trzeba. Stąd wniosek, że monografia *Lalki* wciąż czeka na napisanie.

ADAM KULAWIK

JACEK WOJCIECHOWSKI

PROZATORSKIE PRZECIEKI ZNAD WOŁGI

Relacje polsko-rosyjskie i rosyjsko-polskie zawsze były kiepskie lub złe, albo bardzo złe, bądź jeszcze gorsze – i tak już zostało. Mowa nie tylko, a nawet nie tyle o odniesieniach politycznych lub gospodarczych, lecz o znacznie głębszych, ponieważ mentalnych, obiegowych, potocznych, prawie powszechnych i częściowo podświadomych. Nasza rusofobia nie ustępuje ich polonofobii, ani też odwrotnie. Tam *polski pan* albo *lach*, tutaj *iwana* bądź *ruski* – to są określenia jednakowo ociekające niechęcią.

Na pewno nie jest to sytuacja dobra, ponieważ przez takie a nie inne sąsiedztwo zostaliśmy na siebie skazani. My nie wywedrujemy stąd na Antarktydę, a oni nie wyniosą się na Saharę. Byłoby więc nie od rzeczy, żeby tę nieprzyjaźń nieco stonować, osłabić, pokruszyć, ale nikt w tym kierunku nie robi nic – ani tutaj, ani tam. Odwrotnie: przy byle okazji następuje kolejne podbijanie bębena.

Zresztą wzajemne, często półświadome antypatie są zbyt głęboko zakotwiczone, żeby dały się wypłenić szybko, z nakazu lub prostą perswazją: tak to nie zadziała. Potrzeba mądrości, spokoju oraz dużo czasu, żeby rozładować animozje w trybie stopniowym. Najlepiej pośrednio, przez takie zetknięcia, które mogą uchodzić za atrakcyjne. W skali możliwie rozległej.

W tym nieźle sprawdza się sport. Wygrać lub przegrać, ale nieznacznie i po dramatycznej walce: to robi wrażenie i zbliża. Lub kiedy mieszkańcom Kaliningradu i okolic oferuje się to i owo w Olsztynie, bez ceregieli oraz bez obstrukcji. Swoją drogą – oby nikt tego nie sfajczył. Ale to jest wymiar lokalny.

W szerszej skali obopólne odniesienia cywilizują się przez dobre przedsięwzięcia kulturalne albo artystyczne. Trochę takich jest, więcej tu niż tam: balet, koncerty, rzadko filmy w kinach albo w telewizji.

Szanse minimalnego zbliżenia i stonowania emocji stwarzają również przekłady z literatury, jednak tu i tam skoncentrowane głównie wokół klasyki. Dobre i to, ale zdecydowanie za mało. Tymczasem przepływ prozatorskich tekstów współczesnych w obydwie strony jest mierny; wygląda jak przeciek z pękniętej rurki. Fajnie, że wciąż jeszcze w ogóle jest. Gorzej – że to, co przecieka, niekoniecznie powala trafnością.

Dla potwierdzenia posłużę się kilkoma przykładami. Dokładniej – trzema, bowiem nie bardzo jest z czego wybierać.

NO FUTURE?

Dmitrij Głuchowski, *FUTU.RE*, przeł. Paweł Podmiotko, il. Siergiej Krickij, Insignis Media, Kraków 2015, s. 635, ISBN 978-83-63944-48-3.

Ale jest jedna niezwykła rzadkość i rzadka niezwykłość, mianowicie rosyjska powieść (wydana także jako ebook), która okazała się bestsellerem – tak zresztą jak w wielu innych krajach – i szybko zniknęła z księgarń. Podobnie było z jeszcze głośniejszą powieścią tego samego autora *Metro 2033* [Insignis Media, Kraków 2010], wybiegającą w ponurą przyszłość mniej więcej o ćwierć wieku, która zrobiła furorę w całej Europie oraz w USA. Jej oryginalność polegała również na tym, że przed drukiem ostatecznej wersji autor niektóre fragmenty umieścił w internecie i po wymianie uwag z internautami dokonywał później zmian. Tym razem pisanie miało przebieg konwencjonalny, ale rezultat również okazał się frapujący i też zdobył szeroki rozgłos. U nas *FUTU.RE* wydano razem z niezwykłymi ilustracjami, których autorem jest znany moskiewski grafik komputerowy, **Siergiej Krickij**. Niewątpliwą zaletą polskiej wersji powieści jest również perfekcyjny przekład: tłumacz, **Paweł Podmiotko**, już po raz kolejny zrobił czytelnikom oraz autorowi doskonały translatorski prezent.

Dmitrij Głuchowski (ur. 1979) – to jakiś idiotyzm, żeby w Polsce zapisywać takie nazwisko jako *Glukhovsky* – to znany dziennikarz oraz bardzo już głośny prozaik, a z wykształcenia filolog: zna biegle pięć języków, co przydaje mu się niekiedy. Bywał wszak wojennym korespondentem z różnych walk frontowych, również takich, gdzie Rosjanie nie brali udziału. Nie jest apologetą obecnej rosyjskiej władzy (łagodnie mówiąc), ale na ogół nie wdaje się bezpośrednio w polityczne polemiki. Natomiast sens wypowiedzi literackich jest wprawdzie metaforyczny, ale czytelnie krytyczny. Uprawia zaś konsekwentnie gatunek określany jako *political fiction*, pożeniony z nowoczesną formułą *literatury sf*, a wszystko jest dodatkowo wmontowane w kanony opowieści sensacyjnych. To się świetnie czyta!

W tej powieści autor wybiega w przyszłość znacznie dalej niż poprzednio, bo o 500 lat, ale konkluzje są równie ponure, niepokojące, wyjąłkowane z optymizmu. Ogólne przewidywanie jest takie, że nic nie zmieni się na lepsze, poza technicznymi gadżetami, natomiast zostaną opanowane do perfekcji narzędzia sprawowania władzy w sposób totalitarny – przy wysoce skutecznym udawaniu demokracji. Wygląda to zatem tak, jakby dzieje świata miały kręcić się w kółko. Dlatego na końcu powieści znalazł się napis *Początek*, zamiast *The end*, natomiast w tytule pojawia się *Re*. Głuchowski jest więc najwyraźniej wizjonerem pesymistycznym i nie zamierza nikogo pocieszać banałami, ani gadanią podtrzymywać na duchu. To nie w jego stylu. Intencją naczelną jest ostrzeżenie.

Myślę że skuteczne, pisze bowiem perfekcyjnie: frapująco, zgrabnie, inteligentnie. Jest znakomitym opowiadaczem z urodzenia, narracyjnym naturszczykiem. A powieść, podzielona na autonomiczne rozdziały – jak hipertekstowe leksje – mimo chronologicznego pomieszczenia jest fabularnie zwarta i perswazyjnie klarowna. Poza tym czyta się ją świetnie. Także zresztą za sprawą niezwyklej pomysłowości oraz zaskakującej, rzeczywiście sensacyjnej intrygi, która trzyma w napięciu, ale nie narusza reguły referencyjności. Tak pisać potrafi mało kto.

Usytuowanie fabuły w odległej przyszłości wymusza wprowadzenie odpowiednich akcesoriów. No więc rzeczywiście są tam rozmaite futurystyczne gadżety, ale zgromadzone w stopniu umiarkowanym, bez szarży – na tyle, żeby sztafaż był zachowany. Po tym bowiem, co napisał był Głuchowski poprzednio, nie musi już zdawać egzaminu z wyobraźni.

Na pierwszy rzut oka opowieść sprawia więc złudne wrażenie w miarę spokojnej, może nawet lekkiej – wzmożona ekspresja daje znać o sobie dopiero pośrednio i z czasem. Zawiera się mianowicie w pogłębionych, częściowo ukrytych refleksjach, które układają się w sumie w mroczny wizerunek przyszłości zdegenerowanej przez ogólne zdziczenie. A jak już takie skojarzenie nastąpi, to o żadnym spokoju nie może być mowy.

W powieści została zarysowana panorama czasów niby bardzo odległych, jednak niewiele różniących się od współczesności. Może więc nie tylko lub może nawet nie głównie o przyszłość tu chodzi? Czas bowiem równie dobrze wygląda na (prawie) teraźniejszy, tyle że postdatowany.

Główną wykładnią tego co rzekomo ma być za 500 lat, jest totalitaryzm, częściowo taki, o jakim się wie, ale znacznie ulepszony, mianowicie w formule nieomal doskonałej. Oczywiście wśród skojarzeń kłania się George Orwell i jego *Folwark zwierzęcy*, a jeszcze bar-

dziej – drapieżna powieść *My Jewgienija Zamiatina*. Ale to są jedynie genealogiczne powinowactwa. Korzystając z nich namalował Głuchowski pejzaż całkowicie własny.

A widać w nim państwo odrażające, zbójckie, rzeźnickie, gdzie nie ma miejsca na wolność, a tym bardziej na ludzką godność. Zamordyzm to jedyna idea i praktyczna forma sprawowania władzy. Tam zaś, gdzie władza nie sięga (są takie obszary), panoszą się zeszmaczenie i degeneracja. Nic nie zmieni się zatem na lepsze – prorokuje i prowokuje Głuchowski. Jeśli już, to na gorsze. No więc nie jest to sygnał pomyślnej nadziei.

Już raczej przekleństwo. Powiązane z – tak przecież wyczekiwaną i pożądaną – szansą na nieśmiertelność, którą autor złośliwie oczernia i demonizuje. Oto bowiem w przyszłym megapaństwie, Europie Zachodniej, nieśmiertelność zostaje rzeczywiście osiągnięta, ale wkrótce owocuje dramatycznym przeludnieniem – mieszka tam bowiem (autor nie certoli się z obliczeniami) ponad bilion osób. Dla takiej masy nie ma już ani skrawka wolnej przestrzeni, gigantyczne podniebne wysokościowce wyczerpały swoją pojemność i wobec tego za regulację

przyrostu naturalnego zabrały się władze – według niedawnego (ale po zmodyfikowaniu) pomysłu chińskiego. Przy czym to jest jednocześnie świetna okazja, żeby zainstalować właśnie zamordyzm i zniewolenie.

W rezultacie elita rządzi niepodzielnie mając do dyspozycji brutalny aparat represji, a pokorny i bierny plebs poddaje się władzy bez oporu. Można przy tym dojść do wniosku, że to nie są wyobrażenia li tylko przyszłościowe, ani wyłącznie abstrakcyjne.

Mechanizm państwowej przemocy kręci się dookoła nieśmiertelności oraz – w połączeniu – prokreacji. Mianowicie każda rodzina, lecz tylko za zgodą władz, ma prawo do jednego dziecka, jakkolwiek wtedy któreś z rodziców traci swoją szansę na nieśmiertelność. Obowiązuje reguła 1 za 1. Jeżeli zaś noworodek pojawi się nielegalnie, to nieśmiertelności zostają pozbawieni oboje

rodzice, a dziecko przejmują na własność państwo i przygotowuje do funkcji urzędniczych, albo do roli siepacza.

Państwo szermuje argumentem propagandowym, że nieśmiertelność jest wyłącznie przywilejem Europy Zachodniej. Gdzie indziej albo jej nie ma, albo – jak w Panameryce – można ją kupić, jednak za bardzo duże pieniądze. Głuchowski zapewne nie byłby sobą, gdyby w tym miejscu nie dopowiedział, że w Rosji (przyszłej?) w ogóle nie można nic.

Główna nić fabularna powieści skupia się na losach rządowego siepacza-falangisty, który uczestniczy wprawdzie w brutalnych akcjach antyprzeludnieniowych, ale opanowują go narastające wątpliwości. Widzi bowiem jak brutalnie represyjne postępowanie władz



i dostrzega również przejawy buntowniczego ruchu pro wolnościowego. A w tle ujawnia się jeszcze dramatyczne starcie producentów wirusa starości, który pokonując nieśmiertelność doposażyłby władze w dodatkowe narzędzie terroru – z kreatorami stosownych odtrutek. Tak czy inaczej, zagrożenie wyzerowaniem ludzkości sprawia wrażenie realnego, lecz ostateczny rezultat jest do wyczytania w tekście. Bo to w końcu jest powieść także sensacyjna, więc za przedwczesne zdradzenie rozwiązań zagadki grozi zmielenie na sznycle.

A już niejako na marginesie, pojawia się skromny, ale karykaturalny wątek rosyjski. Otóż przyszłą (?) Rosję autor postrzega jako nadal odgradzoną od świata, wyeksponowaną na boczny tor i mizernie wegetującą. Smutek pogłębia krótki wymiar tamtejszego życia, nie mający się nijak do standardów EZ. Jedyne podobieństwo polega na tym, że władzę trzyma równie totalitarna jak w Europie ekipa Wielkiego Smoka. Szczelnie zabarykadowana na Kremlu i ufająca w swoją nieprzemijalność.

Być może to nie jest tak, że Głuchowski widzi całą przyszłość w barwach nieodmiennie mrocznych. Ale prowokuje. Oraz nie wyklucza, że tak już częściowo jest tu oraz ówdzie, ani że tak może być. To jest więc taka natrętna zachęta, żeby sobie to wszystko starannie przemyśleć.

POWIEŚĆ SZKATUŁKOWA

Dmitrij Bykow, *Uniewinnienie*, przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk, Czwarta strona, Poznań 2015, s.319, ISBN 978-83-7976-213-2

A oto inna powieść rosyjska, narracyjnie również znakomita i doskonała w czytaniu, także utrzymana w konwencji *political fiction* oraz podporządkowana stylistyce opowieści sensacyjnych. Ewentualnie może chwilami wydawać się nieco przegadana, ponieważ autor to gaduła niepospolity, ale w końcu literatura właśnie z gadania czerpie swoją wartość i siłę.

Tym razem gadanina jest zresztą wysoce oryginalna, mieszająca kolejność wywodów i wątki – jakkolwiek w sposób bardzo czytelny – została bowiem wpisana w gatunek powieści szkatułkowej. To jest mianowicie tak, że z jednej relacji wyrasta opowieść druga, a z tej zaś następna i jeszcze kolejna, tak, żeby jednak w końcu całość ułożyła się w klarowną wykładnię. W ten sam sposób był skonstruowany *Pamiętnik znaleziony w Saragossie* Jana Potockiego, również w filmowej wersji Wojciecha Hasa.

Autorem *Uniewinnienia* – perfekcyjnie przełożonego przez Ewę Rojewską-Olejarczuk – jest Dmitrij Bykow (ur. 1967), moskiewski prozaik, poeta, krytyk, oraz literaturoznawca, a także dzien-

nikarz, związany z czasopiśmem „Ogoniok”. Ponadto zaś: polityczny aktywny opozycjonista, baczny i nie-spolegliwy obserwator poczyniń obecnej rosyjskiej władzy. W Polsce zapewne mniej rozpoznawalny, jakkolwiek na krakowskie spotkanie z nim w Auditorium Maximum UJ (21 V 2014) przyszło sporo osób.

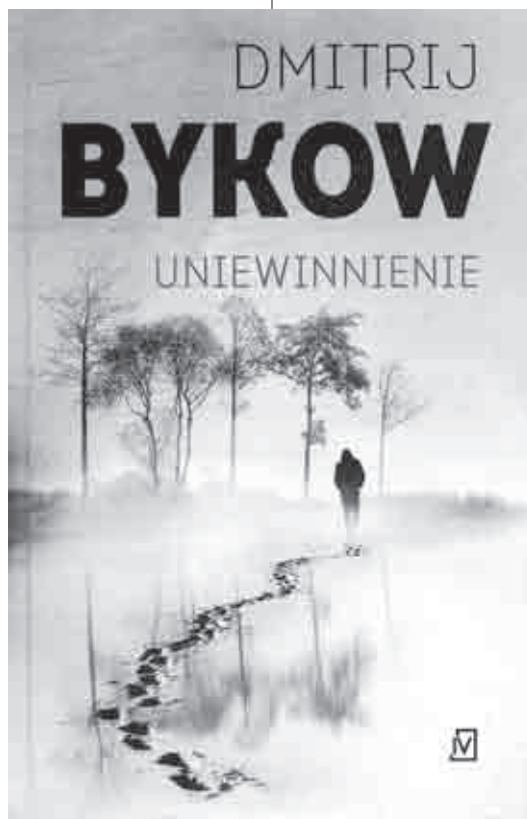
Autorskie nazwisko prawdopodobnie kojarzy się z innym, szeroko znanym pisarzem. Nieżyjący już Wasyl Bykow (właśc. Wasil Bykau), białoruski prozaik dwujęzyczny (pisał po rosyjsku i po białorusku) – autor słynnej powieści *Sotnikow*, przetworzonej na równie głośny film *Wniebowstąpienie* przez Łarysę Szepitko – był powieściopisarzem najwyższej klasy światowej. Na pewno nie gorszym niż Swiatłana Aleksijewicz, lecz Nagrody Nobla jednak nie dostał. Ale Dmitrij Bykow to ktoś całkiem inny, jakkolwiek prozaik wysokiego formatu.

Inaczej niż Głuchowski, który odległą przyszłość powiązał z tym co jest obecnie, Bykow żeni teraźniejszość głównie z niedawną przeszłością. Natomiast obaj dochodzą do wniosków podobnie pesymistycznych. Fabularną oś tej powieści wyznaczają poszukiwania młodego historyka, który podąża tropami aresztowanego przed wojną dziadka oraz represjonowanej rodziny, a ślady prowadzą przez całą Rosję, w końcu oczywiście na Syberię i konkretnie w okolice Omska. Omsk, Jakuck, Kołyma – to są zaś nie tylko nazwy geograficzne, ale też dramatyczne symbole.

W relacji Bykowa pojawiają się różne fantasmagorie, realia i fakty ulegają pomieszaniu z wyobrażeniami, dokładnie jak w baśniach, tyle że tym razem z całą pewnością nie dla dzieci. To jest nieobaśń dla dorosłych – zatem jeszcze jeden komponent gatunkowy zostaje dodany – ale mimo doprowadzenia przez akcesoria sensacyjności, w sumie jednak smutna, ponura i gorzka.

Opowiada o tym, że rozpoczęte we wczesnych latach 30. stalinowskie znęcanie się nad narodem było rozległe, właściwie powszechne i miało kontynuację również po wojnie. Z powieści wynikałoby wprawdzie, że na pierwszy ogień poszła inteligencja, wykształciuchy, lecz w rzeczywistości prześladowania nie omijały nikogo. Utworzył się nieskończony łańcuch aresztowań. Po pierwszym zatrzymanym dobierano się do krewnych, potem do przyjaciół i do znajomych przyjaciół, a na ostatku do kogokolwiek. To był prześladowczy agregat, który napędzał się sam i w ten sposób istniał.

Już o tym wielokrotnie pisano bardziej albo mniej wstrząsająco, jednak Bykow wpadł na pomysł świeży. Zadał mianowicie proste, ale dramatyczne pytanie – jaki był cel tego wszystkiego i jaka geneza. Po co i dlaczego? Bo taka odpowiedź, dostatecznie przekonująca, na dobrą sprawę nigdy nie padła.



Sprawczą rolę z pewnością odegrała schizofreniczna i nienawistna wobec świata osobowość wodza, ale to za mało. Na początku wyraźnie wchodziła w grę walka o władzę, a później obawa przed puczem. Kiedy więc Lenina wykończył syfilis i postrzał, Stalin zabrał się za Trockiego, a potem za innych wysokich funkcjonariuszy i realizował masowe eksterminacje do samego dna, do spodu. Czasem likwidując również pośredników, żeby im się czegoś nie zachciało.

To nie jest wygodne, więc współcześni neostalinowscy opowiadają, że to mógł być sposób na darmową siłę roboczą. Albo na podmianę nieudolnych kadr kierowniczych oraz urzędniczych. Ale to jest mizerne i niewiarygodne legendziarstwo.

Bykow zachowuje się inaczej. Sugeruje ironicznie, że genialny przywódca musiał mieć genialne koncepcje własne, wymyślił więc pozaprawną pretoriańską gwardię do zadań specjalnych, złożoną z osób absolutnie niezłomnych. A tej niezłomności dowodzili opierając się prześladowaniom, represjom, torturom. Następnie byli wysyłani na Syberię i w lasach pod Omskiem przechodzili ostateczny szlif. I odtąd można było być ich pewnym.

Autor kpi w żywe oczy. Wie jednak doskonale, że to nic innego jak Oprycznina. Czyli prywatna (dawniej: carska) banda siepaczy utajona przed wszystkimi, natomiast bezwzględnie egzekwująca terrorem wykonywanie zleceń przywódcy. Którą wymyślił nie Dżugaszwili, ale Iwan Groźny, a potem w szczątkowej postaci przygłęła do Rosji na całe stulecia. Stalin ten pomysł jedynie odkrył, udoskonalił i perfekcyjnie wprowadził w życie.

Po śmierci satrapy pretorianie stali się (na jakiś czas?) niepotrzebni, porozchodzili się więc po Rosji, ruszyli przed siebie byle gdzie, bo przecież nie mieli do kogo, do czego ani dokąd iść. Na tym tle snuje Bykow kolejne bajki: jak to snuli się bez celu i sensu – w tych fantasmagoriach ożyli również ludzie znani i z całą pewnością dawno wymordowani, jak Izaak Babel – i jeszcze bardziej zasmęcili ówczesną sowiecką rzeczywistość. A potem nagle zniknęli. Nikt nie zakazuje myśleć, że zostali znowu (oraz ich młodszy następcy) przejęci do służby oraz do wykorzystania.

W taką sugestię wpisuje autor zakamuflowaną intencję głębszą. Otóż próbuje w ten sposób skompromitować re-stytuowaną właśnie legendę o minionej radzieckiej wszechpotędze i obśmiewa mit rzekomo genialnej nieomylności wodza. Tworzy panoramę politycznego przestępstwa i hucpy, oraz demaskuje system powszechnego zniewolenia.

Nakłada mianowicie na wizerunek czasów minionych ironiczną wersję rzeczywistości współczesnej. Kreuje parodię tego, co teraz jest.

Oto bowiem w dawnych barakach *reedukacyjnych*, w lasach koło Omska (to po to potrzebny był mu ten Omsk), gdzie doskonalila się stalinowska gwardia, jest teraz letni obóz wczasowy dla uciekinierów od cywilizacji. Ludzie przyjeżdżają tu z własnej woli, ponoszą koszty i na swoje żądanie doznają inscenizacji łagrowej codzienności. Z pełnym okrucieństwem, bez udawania. To taka klasyczna ucieczka od wolności.

Wobec takich resentymentów zaczynają się odradzać dawne mechanizmy prześladowania i eksterminacji narodu. Bywają gloryfikowane coraz wyraźniej i jawniej. Społeczeństwo daje wyraźne (?) sygnały, że właśnie tego chce. Co Bykow stwierdza z przerażeniem i z niedowierzaniem. Chciałoby się powiedzieć, że nie ma racji, ale odpowiednich argumentów brak.

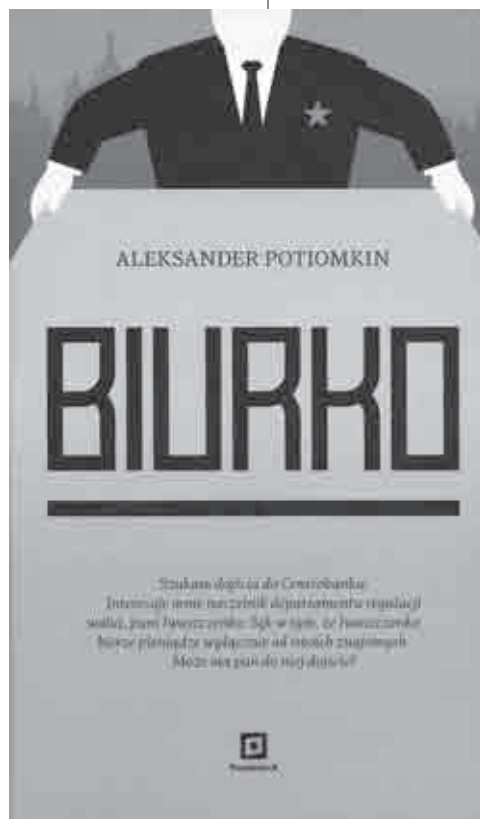
ŁAPÓWKOLANDIA ?

Aleksander Potiomkin, *Biurko*, przeł. Małgorzata Marchlewska, Poradnia K, Warszawa 2015, s. 199, ISBN 978-83-63960-18-6.

W każdym kraju, obok literatury (ewentualnie) wybitnej, a częściej dobrej oraz niezłej lub przeciętnej, istnieje również literatura do kitu. Którą na miejscu wydaje się z jakichś powodów lokalnych, natomiast transmitowanie jej poza krajowe granice zwykle nie ma sensu. Skoro zatem ktoś zdecydował jednak o wydaniu u nas tej właśnie powieści – zresztą w przekładzie katastrofalnym – to wyłącznie z przyczyn pozaliterackich. Które łatwo rozszyfrować.

Jest to bowiem łopatologiczne smęcenie o rosyjskiej epidemii łapówkarstwa, więc kogoś skusiło, żeby takim narzędziem *zdemaskować* tamtejsze korupcyjne dziaństwo. Lekceważy fakt, że nawet powieść nędzna odwołuje się do fikcji, bo nie jest to jednak dokumentalny reportaż, oraz że korupcja, chociaż w Rosji rzeczywiście patologiczna, ma współcześnie charakter globalny. I zapewne też tylko za sprawą rusofobii, pojawiły się u nas głosy pochlebne o tym powieściadle – bez gwarancji natomiast, że opiniodawcom chciało się *Biurko* przeczytać w całości.

Wytwórca tego tekstu, Aleksander Potiomkin (ur. 1949) jest doktorem (po naszymu habilitowanym) ekonomii, pisuje z tego zakresu artykuły naukowe, a przez jakiś czas pracował w Federalnej Służbie Podatkowej (to urząd skarbowy) na wysokim stanowisku. Tłumaczka twierdzi, że był (tak jak i główna postać w powieści) *generałem*, ale to przez translatorską nieporadność: chodzi o dyrektora generalnego. Imał się różnych przedsięwzięć biznesowych, pracował w branży reklamowej i podobno współpracował z Raisą Gorbaczową. Co nie musi być prawdą, tak jak cały życiorys naszpikowany sensacyjkami, ale weryfikować tego nie ma jak i zresztą nie warto. Dotychczas



opublikował siedem powieści, które jednak przeszły bez rezonansu i nie jest to przeoczenie.

Burko to powieść prostacka, naiwna i prymitywna. Nacelowana na bezmyślne, tabloidowe stereotypy, sugeruje, że łapownictwo jest wszędzie i że każdy kradnie (tylko nie ja?), oraz że korupcja to teraz powszechny styl egzystencji. To utrafia w krwiożercze instynkty gawiedzi, która bardzo chce wierzyć, że cały świat utonął w szambie. Jednak na wszelki samoobronny wypadek, autor umieszcza akcję w 2003 roku, a to był dopiero początkowy okres władzy Putina, więc całym złem obciążano poprzednie ekipy: Czernomyrdina, Primakowa i Gajdara oraz bezpośrednio zniszczonego przez alkohol Jelcyna. Taka jest zresztą również dzisiejsza opinia oficjalna, więc Potiomkin niczym nie ryzykuje.

Oczywiście, poza idiotyzmami pisać oraz sugerować można wszystko, ale trzeba to robić przynajmniej na znośnym poziomie referencyjnym. Tymczasem tutaj poziomu nie ma żadnego. W zamierzeniu miała to być zapewne groteska, ale od M. Gogola lub od M. Zoszczenki, dzielą te bajdurzenia lata świetlne. Humor jest prząsny, opinie żałosne, a od tego co opisano kursywą – zabieg rzekomo *ujawniający* przemyślenia pojawiających się osób – wypadają włosy i bolą zęby.

Według *przepisu*, żeby powieść zaistniała, powinna mieć akcję, no więc jakaś akcja jest. Wysoce statyczna, upstrzona marnymi dialogami: toczy się w biurze izby skarbowej, gdzie niejaki Dulczykow – urzędnik wysokiej rangi – przyjmuje interesantów, lecz nie w sprawach podatkowych, ale wyłącznie korupcyjnych. Urzędnik należy bowiem do łapowniczego systemu, jest pośredniczącym ogniwem mafijnej siatki. To i owo załatwia od ręki, czasem coś sygnalizuje *gorze*, a częściej wydaje zlecenia osobom podporządkowanym. Operuje koperkami z gotówką, tyka tabletki na potencję i w godzinach biurowych sypia z sekretarką, która też (jak koperty) jest łapówkowym *ekwiwalentem* przechodnim. Żeby zaś publiczność nie miała wątpliwości, że to jest jedna gigantyczna zgnilizna, pojawia się również wątek gejowski.

Lewa forsa transferuje się w różnych kierunkach i w oceanie korupcji zanurzyli się wszyscy. Politycy, urzędnicy, bankowcy i eks-arystokraci. Biznesmeni, cerkiewni funkcjonariusze oraz restauratorzy. Padają deklaracje, wnioski oraz dyspozycje, a nad wykonawstwem postanowień skutecznie czuwa studencka spółdzielnia egzekutorskich łamignatów. W ten sposób przyszlę wykształciuchy uczą się dorosłego życia.

Żeby przetrwać w tym świecie w stanie względnie dobrym, trzeba mieć odpowiednią pozycję, oraz narzędzie i atrybut przynależności do układu. Jest nim tytułowe *burko*. Kiedy więc w urzędzie wybucha pożar, Dulczykow wraz z biurkiem przenosi się na ulicę i tam kontynuuje funkcjonowanie. Taka ma być finalna, metaforyczna (!!) wykładnia tej historyjki. Z dodatkiem dętej tyrady na temat demokracji, której w Rosji nie ma, naród zaś czeka biernie, aż nadejdzie sama.

Narracyjna jakość i poziom argumentacji nie pozostawiają żadnych złudzeń – to jest absolutna grafomania. Z niejasnych powodów kwalifikowana do literatury. Natomiast intencje translacji są czysto instrumentalne.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

ANIOŁ

Nasz 300-letni dom spalił się doszczętnie o drugiej w nocy 3 grudnia. Siedzimy z Dorotą objęci i rozpamiętujemy ten niezwykle widok palących się z hukiem przełatującego odrzutowca 440 m kw. gontu nasączonego wypracowanym olejem. Od tamtego czasu uciekam we śnie przed tygrysem bengalskim, który według kolejnej wersji hinduskiej mitologii oznacza ogień. O czym więc pisać *List*? Ale Adaś, który wpadł ze śledziem w środę popielcową prosił, żeby coś powiedzieć – więc mówię...

Cenię wysoko dewizę, jaką kierować się mają ludzie z Mi6: „never complain, never explain, never apologize”. Referencji nie podaję, bo 3-kilogramowy Webster się spalił. Należę do tych, którym od dzieciństwa z trudem przychodziło kogokolwiek przeprosić. Nie lubiłem też tłumaczyć, bo uważałem, że albo się wie, albo nie. Co innego ze skargą, którą dziś niosę.

Otóż rok 2015 doświadczył nas srogo. Dziewięć miesięcy spędziłem na – jak się eufemistycznie mówi – walce z chorobą. Z kolejnymi zakażeniami po kolejnych operacjach szlajałem się po wydziałach onkologicznych różnych szpitali, głównie jęcząc z bólu. – Masz niski próg – oświadczyła chłodno szefowa pielęgniarek. Nie wiedziałem, że jest Akademia Stuhra i z takim drugim, też wrzeszczącym chomikowaliśmy środki usypiające, by w odpowiednim momencie zażyć ich całą garść i sprawdzić to cholerne białe światło w tunelu. Dorota mnie nakryła i musiałem zacząć połykać przy świadkach.

Wójtowice kibicowały, choć same dotknięte były i są tą współczesną plagą. – Rypś z prostatą wielkości trufla, żona Bidery błada jak giezło i łysa, Porwisiak z wyciętymi strunami głosowymi, rżęjący, kaszlący i chudnący na potęgę Pender, Marchoń z czerniakiem w okolicy przyrodzenia wrzeszczący, że nie da się „wy-patroszyć jak pularda”... Ale wszyscy dzielni, wszyscy walczący, no i pijący. Po powrocie do domu już nic nie miało się smutnego wydarzyć. Nagle jednak odeszła bliska nam osoba, a potem pojawił się czerwony kur. Kupa gnoju była za stodołą, a ja szykowałem się do roli Hioba. Ów test wytrzymałościowy, któremu poddano tego

SIĘ SPÓŹNIŁ

biedaka, był niezłą jazdą i kiedyś czytywałem tę przypowieść z sadystyczną przyjemnością. Nie znośłem zaś *Próby Abrahama*, z pewnością jednego z najbardziej nieudanych Bożych pomysłów. Bo co by było, gdyby anioł nie zdążył?

A przypowieścią napisaną dla mnie na urodziny przez **Olę Tokarczuk** podzieliłem się z moimi solidarnymi w chorobie. Oto ona:

„Gdyby ktoś umiał spojrzeć z góry na to wszystko, okazałoby się, że świat jest pełen ludzi biegających w pośpiechu, spoconych i bardzo zmęczonych oraz ich spóźnionych, pogubionych dusz, które nie mogą nadążyć za swoimi właścicielami. Robi się z tego wielkie zamieszanie, dusze tracą głowę, a ludzie przestają mieć serce.

Dzieje się tak dlatego, że prędkość poruszania się dusz jest dużo mniejsza niż ciał. Powstały one bowiem w najbardziej zamierzchłych czasach, tuż po Wielkim Wybuchu, kiedy kosmos jeszcze się nie rozpędził, przez co dzisiaj z powodu własnej szybkości nie mógłby się nawet przejrzeć w lusterku. Dusze wiedzą, że zgubiły swojego właściciela, lecz ludzie często w ogóle nie zdają sobie sprawy, że zgubili własną duszę. Był sobie raz pewien człowiek, który bardzo dużo i bardzo szybko pracował i już dawno zostawił swoją duszę gdzieś daleko za sobą. Bez duszy żyło mu się nawet dobrze, ale jakoś płasko, jakby poruszał się po gładkiej kartce z zeszytu do matematyki, kartce, którą pokrywają równiutkie i wszechobecne kratki.

Pewnego razu w pokoju hotelowym ów człowiek obudził się w środku nocy i poczuł, że nie ma czym oddychać. Wyjrzał przez okno, ale nie bardzo wiedział, w jakim mieście się znajduje, bowiem z okien hoteli wszystkie miasta wyglądają tak samo. Nie bardzo też wiedział, jak się tu znalazł ani po co tu przyjechał. I – o zgrozo! – zapomniał też, jak ma na imię. Przez chwilę wydawało mu się, że Andrzej, ale

zaraz potem był pewien, że Marian. Przerazony zajrzał do paszportu i wtedy ujrzał, że ma na imię Jan. Następnego dnia udał się więc do pewnego starego i mądrego lekarza, a ten rzekł mu następujące słowa: »– Musi pan znaleźć sobie jakieś swoje miejsce i tam usiąść i poczekać na swoją duszę. Zapewne jest teraz tam, gdzie pan był dwa, trzy lata temu. Czekać nie może więc trochę potrwać. Inne lekarstwa dla pana nie widzę«. Tak też zrobił ów człowiek. Znalazł sobie mały domek na skraju miasta i tam, w pokoju, codziennie siadał na krześle i czekał na swoją duszę. Trwało to wiele dni, tygodni i miesięcy. Człowiekowi wyrosły długie włosy, a broda sięgała mu aż do pasa. Aż wreszcie pewnego popołudnia ktoś zapukał do drzwi i stanęła w nich jego dusza – zmęczona, brudna i podrapana. Odtąd żyli sobie długo i szczęśliwie, a człowiek zaczął bardzo uważać, żeby nie robić nic szybciej niżby mogła nadążyć za tym jego dusza. W końcu też zakopał w ogródku wszystkie swoje zegarki i walizki podróżne. Z zegarków wyrosły piękne kwiaty podobne do dzwonków, w różnych kolorach, zaś z walizki wykiełkowały potężne dynie, którymi jego rodzina żywiła się do samej zimy”.

Gdy wywozimy z sąsiadami czarne, dymiące rumowisko, przesiewam drobnicę w poszukiwaniu śladów poprzedniego wcielenia. Nie ma śladu po prezencie Olewicza – litografii o powierzchni ponad 1 m kw., z której patrzyli na mnie Bauer, Chudziński i Goban, prawy róg zajmował Sławek Górnicki w mundurze, a obok JRN czyli...Jerzy Robert Nowak! Nie do wiary, ale żal.

Trzeciego grudnia rano nad dymiącymi zgłiszczami żegluję osmalona kartka. Jest to strona z fragmentem artykułu Zbyszka Bauera ze „Zdania”. Pokazuję ją w środę popielcową Hance, która się wzrusza. Tyle zostało. Aż tyle? Dusza nowego domu? ■

DROGI KRZYSZTOFIE!

Jesteśmy z Tobą! Koledzy i przyjaciele ze „Zdania”.

TOMASZ GOBAN-KLAS

MEDIÓW PUBLICZNYCH KONIEC ŻAŁOSNY

Nie lubię określenia media publiczne w sensie używanym w Polsce. To nadużycie medioznawczego (ale niezbyt jasnego) terminu. Dlatego polska ustawa operuje jego węższym rozumieniem: publiczna radiofonia oraz publiczna telewizja. Ich status jest jasno określony: art. 26. stwierdza, że jednostki publicznej radiofonii i telewizji działają wyłącznie w formie jednoosobowej spółki akcyjnej Skarbu Państwa, do których stosuje się przepisy kodeksu spółek handlowych (jednak z pewnymi wyłączeniami i pewnymi osobliwościami).

I tu mamy dziwoląg – własność jest państwowa, nadawca publiczny, a radę nadzorczą – uwaga, uwaga – wybiera niezależny organ konstytucyjny – Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, powoływany przez prezydenta, sejm i senat. Tak zdefiniowana „publiczna radiofonia i telewizja realizuje misję publiczną, oferując, na zasadach określonych w ustawie, całemu społeczeństwu i poszczególnym jego częściom, zróżnicowane programy i inne usługi w zakresie informacji, publicystyki, kultury, rozrywki, edukacji i sportu, cechujące się pluralizmem, bezstronnością, wyważeniem i niezależnością oraz innowacyjnością, wysoką jakością i integralnością przekazu”.

Tę szczytną misję w sposób spełniający wskazane standardy przekazu realizują ludzie tych instytucji, a oceniają – niekoniecznie wedle standardu wysokiej jakości – przede wszystkim odbiorcy, liczeni w milionach, ustawowo zaś Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji oraz powoływane przez nią rady programowe. Nie dopuszcza się tu oceniania ani tym bardziej bezpośredniego wpływu właściciela marki, majątku i praw autorskich instytucji publicznej telewizji i radiofonii na ich działanie. Wyłącza go art. 29 ust 2: „Zarząd spółki nie jest związany poleceniami i zakazami ustanowionymi przez walne zgromadzenie (tworzy go minister Skarbu Państwa – TGK), jeżeli dotyczą one treści programu”.

Podstawą ograniczonej roli właściciela był (i teoretycznie nadal jest) art. 22. 1.: „Organy państwowe mogą podejmować decyzje w sprawach działalności jednostek publicznej radiofonii i telewizji tylko w przypadkach przewidzianych ustawami”.

Układ balansowanej autonomii politycznej został zburzony przez błyskawiczną powyborczą akcję PiS w 2005 roku zmniejszającą do pięciu członków oraz zmieniającą skład KRRiT nocną uchwałą parlamentarną 31 grudnia (i błyskawicznie wydrukowaną). Ale pozory publicznego charakteru nadzoru nad TVP i RP zostały zachowane, a po przegranych przez PiS wyborach w 2007 roku nawet powoli przywracano pewien stopień pluralizmu politycznego i delikatniej naciskano w sprawach kadrowych.

Ale 31 grudnia 2015 r. przyszła dobra zmiana i szast prast skorzystano z art. 26. 1. Jednostki pu-

blicznej radiofonii i telewizji działają wyłącznie w formie jednoosobowej spółki akcyjnej Skarbu Państwa, zatem dodano przepis, że zamiast KRRiT „Członków zarządu, w tym prezesa zarządu, powołuje i odwołuje minister właściwy do spraw Skarbu Państwa” oraz „Członków rady nadzorczej powołuje i odwołuje minister właściwy do spraw Skarbu Państwa”. A jak wiadomo od czasów Jospa Wissarionowicza – kadry decydują o wszystkim.

Nowelizacja ustawy nazwana została przez polityków pirackim abordażem na gabinety władz spółek, a w języku ekonomistów – ich wrogim przejęciem. Oznaczała bowiem arbitralną, natychmiastową wymianę zarządów i rad nadzorczych TVP, Polskiego Radia, 17. rozgłośni regionalnych Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej przez ministra nawet nie kultury, ale skarbu!

W rozdziale 4, art.21.2 ustawa precyzuje, iż realizując misję publiczną publiczna radiofonia i telewizja ma między innymi:

2) rzetelnie ukazywać całą różnorodność wydarzeń i zjawisk w kraju i za granicą;

3) sprzyjać swobodnemu kształtowaniu się poglądów obywateli oraz formowaniu się opinii publicznej;

4) umożliwiać obywatelom i ich organizacjom uczestniczenie w życiu publicznym poprzez prezentowanie zróżnicowanych poglądów i stanowisk oraz wykonywanie prawa do kontroli i krytyki społecznej.

Analiza zmian przeprowadzonych w styczniu 2016 przez ekspertów trzech najważniejszych europejskich międzynarodowych organizacji zajmujących się wolnością mediów jasno stwierdza:

„Ustawa medialna wprowadzona przez obecny rząd stoi w sprzeczności z międzynarodowymi standardami oraz wolnością mediów i prasy. Ustawa urąga tym standardom i stanowi krok wstecz dla publicznych mediów w Europie”.

Należy powiedzieć mocniej – od początku stycznia 2016 r. przestała istnieć w Polsce radiofonia i telewizja publiczna. KRRiT pozbawiono nie tylko kompetencji wyłaniania kierownictw nadawców publicznych, ale i dzielenia wpływów abonamentowych oraz kontroli działalności publicznych organizacji nadawczych. Zatem w sprawach najważniejszych dla nadawców publicznych KRRiT stała się kwiatkiem do państwowego kożucha.

Jest jednak haczyk: nowelizacja z 30 grudnia 2015, w art. 4 stanowi, iż „traci swą moc z dniem 30 czerwca”. Dobra będzie zmiana? Czy będzie dobra na gorsze? Niestety, obstawiam tę drugą możliwość. Gdy nie zdoła się uchwalić nowej „dobrej” ustawy o mediach narodowych, to przecież wystarczy wymienić – zgodnie z obowiązującym prawem – członków KRRiT na wyłącznie swoich. I nadal kadry będą decydować o wszystkim – przez następne sześć lat. ■



ZMARNOWANY POTENCJAŁ

Na lewicy – bez zmian. Niby dużo się dzieje, zmieniają się liderzy, rodzą się nowe pomysły i inicjatywy, dyżurnym hasłem jest zjednoczenie, a tendencja ciągle ta sama, czyli spadkowa. I końca nie widać! W niektórych sondażach SLD, jeśli jest w ogóle brany pod uwagę, ma bliżej do zera niż do progu wyborczego, a Razem ciągle nie może się policzyć. Palikot wykonał tyle ruchów w swoim życiu, że w końcu mu się one pomyliły z frycyjnymi i słuch po nim zaginął. Zostawił sieroty, które były do wzięcia, lecz zabrakło chętnych. Zaledwie dzień po wyborach parlamentarnych obecny wódz Sojuszu oświadczył w telewizji, że Zjednoczona Lewica skończyła się wraz z ogłoszeniem ich wyników i on z tą formacją nie ma już nic wspólnego. Teraz, kiedy wygrał wewnętrzpartyjne wybory, szeroko otwiera ramiona i gotów jest przygarnąć wszystkich, którzy zaakceptują jego i SLD przywództwo. Na ten numer zapewne niewielu da się nabrać, ale być może o to właśnie chodzi. Od jakiegoś czasu bowiem celem liderów tej partii jest przekroczenie progu wyborczego, zdobycie choćby kilkunastu miejsc w Sejmie i brylowanie w mediach. Jakiś sposób na życie to niewątpliwie jest, tylko co on ma wspólnego z lewicą?

* * *

Polityka rządzi się swoimi prawami. Idee i programy są w niej ważne głównie wtedy, kiedy zbliżają się wybory. A po ich wygraniu ideały idą na bok jak nogi partnerki w zespole miłosnym. Rzecz w tym, żeby w owym zapamiętaniu prokreacyjnym nie przesadzić. A to się lewicy po 89 roku wielokrotnie przytrafiło. Właśnie z powodów pragmatycznych, nierzadko bałamutnie utożsamianych z racją stanu, poparła ona bezkrytycznie plan Balcero-wicza, pobratymca, który się przedzierzgnął w neoliberalną, program powszechnej prywatyzacji, będący jawną kpiną z obywateli III RP, a nawet sama inicjowała reformy, jak likwidacja różnych ulg i dopłat, nie mające nic wspólnego z głoszonymi ideałami. Usprawiedliwieniem miało być uczestnictwo w historycznym eksperymencie. Oto nikt przed nami nie torował drogi od socjalizmu do kapitalizmu i dlatego błędy były rzekomo nieuniknione! Dwa razy ludzie w to uwierzyli i powierzyli lewicy rządy. Za trzecim razem już było inaczej, a potem nastąpiła nieunikniona katastrofa. Po raz pierwszy po 89 roku nie ma lewicy w parlamencie.

Jak zwykle w takich razach zaczęto szukać winnych. I znaleziono! Gromy posypały się na tych, co parli do zjednoczenia. A także na konkurencję. No bo gdyby ci z Razem nie poszli do wyborów oddzielnie, to byłibyśmy w Sejmie. To stara śpiewka. Ileż to Sojusz wchodził do przedwyborczej koalicji, na przykład z Demokratami, to za niepowodzenie obwiniany był kolega. Oczywiście nie ma grzeszników bez winy. Demokraci też się do przegranej walenie przyczynili, eksponując swoją kombatancką przeszłość i zasługi w obalaniu komuny, ale wnioski wyciągnięto kuriozalne. Sojusz jest solą lewicy, ma aktyw,

struktury oraz żelazny elektorat i dlatego już nigdy się nie zgodzi, żeby na jego plecach pchali się do władzy kolesie z konkurencji. Tym razem w roli Zosi-Samosi wystąpiły młode wilki, które za przyzwoleniem weteranów i z ich błogosławieństwem przejęły w SLD władzę. To oni przeżyli muskuły, by pokazać swoją siłę, ale do zaproponowania mieli niewiele. Wkrótce wzięli się za łby, wykosili najzdolniejszego i trzeba było wezwać na ratunek weterana Millera. Po niewczasie zrozumieli, że w pojedynkę nie dadzą rady i dzisiaj orędują za Zjednoczoną Lewicą. Chciałoby się rzec: mądry lewak po szkodzie, gdyby z tą mądrością nie był na bakier.

* * *

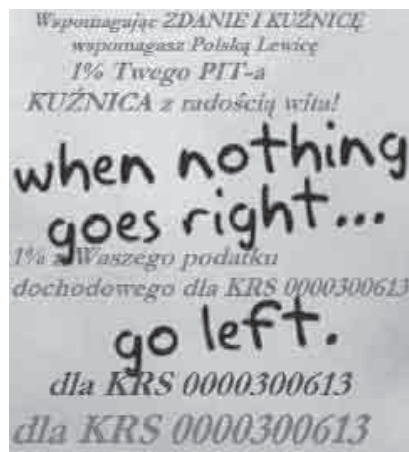
I w tym tkwi jedno ze źródeł klęski. Liderzy lewicy skupionej w SLD nie wychowali godnych siebie następców. Niezależnie bowiem od tego, jak ich dzisiaj oceniamy i jakie do nich mamy pretensje, to jednak oni – na tle elit politycznych III, a zwłaszcza obecnej RP – wypadają bardzo korzystnie. Takie nazwiska, jak Aleksander Kwaśniewski, Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Borowski, Marek Belka, Jerzy Hausner, Grzegorz Kołodko czy nieżyjący Józef Oleksy mówią same za siebie. Także Leszek Miller nie wypada źle na tle innych premierów, ale koniec kariery ma raczej żalospisny. A przecież to zaledwie część SLD-owskiej – do czasu – wierchuszki, której lewica nie ma powodu się wstydzić, a wręcz przeciwnie – jest się kim chwalić. Cóż z tego, skoro byli towarzysze już od dawna nie idą razem, a w pojedynkę, mimo rozlicznych zalet i umiejętności (wiedza, kompetencje, doświadczenie, kontakty) niewiele mogą zdziałać. Opuśczone przez nich miejsce zajęła młodzież SLD-owska, dziś już wchodząca w wiek średni, niestety prezentująca poziom też średni, a i ta ocena wydaje się być zawyżona. W każdym razie na tle rówieśników z innych partii, a zwłaszcza nowej lewicy skupionej wokół Krytyki Politycznej i innych organizacji i ruchów o podobnym światopoglądzie wypada marnie. Toteż w odbudowie prestiżu i wpływów SLD na nią nie ma co liczyć.

Po ostatnim liftingu najdłużej działająca po 89 roku partia, z nazwy lewicowa, swoje dalsze losy związała ze Stowarzyszeniem Ordynacka i jej liderem. Czy postawiono na właściwego konia, to się niebawem okaże. Ja w każdym razie tę przyszłość czarno widzę...

* * *

Paradoks dziejów, mówiąc górnolotnie, polega na tym, że w różnych miejscach i środowiskach, zwłaszcza naukowych, artystycznych i w ogóle opiniotwórczych, lewicowe myślenie, wrażliwość i sympatie są coraz szerzej manifestowane, ale – niestety – nie przekłada się to na poparcie najstarszej lewicowej partii. Co gorsza, ta nowa, jeszcze niezorganizowana lewica od starej wyraźnie się odcina. Jednak to w niej należy pokładać nadzieję, że lewica odzyska należne jej miejsce w państwie i społeczeństwie.

SCEPTYK



Przypominamy, że od 2009 roku **„Zdanie” jest dostępne w sieci empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (Kraków, ul. Miodowa 41) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w internecie: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2015) oraz w internetowym Katalogu Czasopism Kulturalnych (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

Okładka: 50-lecie Teatru STU. *Szalona lokomotywa* (1977), fot. Archiwum STU.

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

anna skibska

Wittraże?



Kraków, ul Bracka 4 Galeria Teatru STU